



***Jennifer Weiner***



***Siostry***

TILAR

*Dla Molly Beth*

***CZEŚĆ PIERWSZA***

***W jej butach***



# 1

– Kotku – jęknął cicho (Ted? Tad? – czy coś w tym rodzaju), tłamsząc ustami boczną część jej szyi i przesuając tym samym jej twarzą po ścianie toalety.

„To śmieszne”, pomyślała Maggie, czując, jak podnosi jej sukienkę. Ponieważ jednak w ciągu ostatnich dwóch godzin wypła około pięciu wódek z tonikiem, nie była w stanie nazwać czegokolwiek śmiesznym. Nie była nawet pewna, czy potrafi prawidłowo wymówić to słowo.

– Jesteś taka sexy! – wykrzyknął Ted lub Tad, odkrywając stringi, które zakupiła na tę okoliczność.

– Chciałabym stringi. Czerwone – powiedziała.

– Szkarłatne – poprawiła ją ekspedientka w Victoria's Secret. – Niech będzie – zgodziła się Maggie. – Rozmiar S – dodała – XS, jeśli jest.

Obdarzyła dziewczynę pogardliwym spojrzeniem dając jej do zrozumienia, że chociaż nie odróżnia czerwonego od szkarłatu, to ona, Maggie Feller, wcale się tym nie przejmuje. Może i nie skończyła college'u, i może nie ma świetnej pracy – OK, od czwartku w ogóle nie ma pracy, a cała jej kariera telewizyjna ogranicza się do trzech sekund, przez które skrawek jej biodra widoczny był na przedostatnim wideoklipie Willa Smitha. I może faktycznie z trudnością pokonywała swoją wyboistą drogę, podczas gdy niektórzy, jak mianowicie jej siostra Rose, śpiewająco przeszli przez college Ivy League<sup>1</sup>, wprost do szkół prawniczych, później firm prawniczych, a następnie luksusowych apartamentów na Rittenhouse Square, zupełnie jakby ktoś usadowił ich na jakiejś wielkiej życiowej

---

<sup>1</sup>Ivy League – osiem prestiżowych uniwersytetów we wschodniej części Stanów Zjednoczonych (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumaczki).

zjeżdżalni i lekko popchnął. A jednak to ona, Maggie, miała coś bardzo wartościowego, coś rzadkiego i naprawdę cennego, coś, co posiada jedynie niewielu, a wielu pożąda – fantastyczne ciało. Czterdzieści siedem kilogramów rozciągnięte na wysokość 165 centymetrów, od głowy po czubki palców przybrązowane w solarium, zadbane, odpowiednio depilowane, wygładzone parafiną, nawilżone, pachnące, doskonale. Miała tatuaż w kształcie stokrotki tuż nad pośladkiem, słowa „STWORZONA DO GRZECHU” wytatuowane wokół lewej kostki, a na prawym bicepsie czerwone, przebite strzałą, pulchne serce z napisem „MAMA” (myślała o dodaniu daty jej śmierci, ale z jakiegoś powodu ten tatuaż bolał bardziej niż dwa pozostałe razem wzięte). Maggie była również właścicielką piersi rozmiar D. Wspomniane piersi były prezentem od pewnego żonatego przyjaciela i zrobione zostały z roztworu soli oraz plastiku, ale to było bez znaczenia. „To moja inwestycja na przyszłość” – powiedziała Maggie. Ojciec wyglądał na urażonego i lekko oszołomionego, Sydelle – Macocha Monstrum oddychała rozszerzając nozdrza, a jej duża siostra Rose zapytała: „Jaką konkretnie przyszłość planujesz? ”, przybierając ten swój pełen wyższości ton, czym sprawiała wrażenie, jakby miała przynajmniej siedemdziesiąt lat. Maggie nie słuchała, miała to gdzieś.

Obecnie dwudziestoosmioletnia Maggie znajdowała się na spotkaniu z okazji dziesięciolecia ukończenia szkoły średniej i była zdecydowanie najlepiej wyglądającą kobietą na sali. Wszystkie oczy zwrócone były na nią, gdy weszła wolnym krokiem do Cherry Hill Hilton w opinającej dokładnie jej ciało czarnej sukience koktajlowej na ramiączkach i w szpilkach Christiana Louboutina, które tydzień temu wyciągnęła z szafy swojej siostry. Mimo że Rose roztyła się – duża siostra na jeszcze jeden sposób – ich stopy wciąż były dokładnie takie same. Maggie czuła na sobie gorące

spojrzenia, gdy lekkim krokiem szła w stronę baru, uśmiechając się i kołysząc biodrami jakby w rytm muzyki, czemu towarzyszyło lekkie podzwanianie bransoletek w okolicy nadgarstków; pozwalając tym samym swoim byłym kolegom szkolnym dobrze się przyjrzeć temu, co stracili – dziewczynie, którą ignorowali, przedrzeźniali i uważali za opóźnioną, tej, która błąkała się korytarzami szkolnymi w zbyt obszernych, wojskowych kurtkach swojego ojca i kuliła przy szafkach w szatni. Tak, Maggie promieniała. Niech widzą, niech się ślinią. Marissa Nussbaum i Kim Pratt, a szczególnie ta suka Samantha Bailey ze swoją tandetną, tlenioną fryzurą i siedmioma dodatkowymi kilogramami na biodrach, których w szkole średniej jeszcze tam nie było. Wszystkie te cheerleaderki, które nią pogardzały albo patrzyły zawsze gdzieś obok, udając, że jej nie widzą. Jakby jej tam w ogóle nie było. Niech teraz nacieszą swoje oczy... albo, jeszcze lepiej, niech ich rozmemłani i łysiejący mężowie poucztują sobie do woli.

– O, Boże! – jęknął Ted– Nie– Ted, odpinając spodnie.

W toalecie obok ktoś spuścił wodę. Maggie zachwiała się na swoich obcasach, gdy Ted– Nie– Tad celował, chybiał i celował ponownie, dźgając jej uda i tyłek. „To jakby atakował cię jakiś ślepy wąż”, pomyślała i parsknęła cicho, który to odgłos Ted ewidentnie pomylił z jękiem rozkoszy.

– O tak, kotku! Dobrze ci, hm? – domagał się potwierdzenia i zaczął szturchać jeszcze mocniej. Maggie stłumiła ziewnięcie i popatrzyła w dół, zauważając z przyjemnością, że jej uda – jędrne dzięki godzinom spędzonym na bieżni w siłowni, gładkie jak plastik po ostatnim zabiegu parafinowym – w ogóle nie drżały, niezależnie jak mocne były pchnięcia Teda. Jeśli chodzi o pedikiur – był idealny. Początkowo nie była pewna co do tego konkretnego odcienia czerwieni – nie dość ciemny, martwiła się trochę – ale to był jednak dobry wybór, pomyślała, patrząc na swoje palce,

które odpowiedziały jej zdecydowanym błyskiem lakieru.

– Jezu CHRYSSTE! – krzyknął Ted. W jego tonie słyhać było mieszaninę ekstazy i frustracji, coś jak u człowieka, który miał wizję, ale nie jest całkiem pewien, co ona oznacza. Maggie spotkała go przy barze, około pół godziny po przyjściu, i był on dokładnie tym, kogo szukała – wysoki blondyn, dobrze zbudowany, nie gruby i nie łysiejący jak większość byłych bogów futbolu i królów balu maturalnego. Uprzejmie grzeczny. Dawał napiwek barmanowi po każdej kolejce, choć wcale nie musiał, bo rachunek regulowało się na końcu; i powiedział jej to, co chciała usłyszeć.

– Czym się zajmujesz? – zapytał, a ona uśmiechnęła się do niego.

– Śpiewam – odpowiedziała. Co było prawdą. Przez ostatnie sześć miesięcy śpiewała chórki w zespole o nazwie Włochata Mycha, który robił thrash–metalowe przeróbki klasyki disco lat siedemdziesiątych. Dotychczas dali jeden koncert, jako że popyt na thrash–metalowe interpretacje szlagieru *MacArthur Park* nie jest specjalnie imponujący, a Maggie wiedziała, że przyjęli ją do zespołu, bo wokalista miał nadzieję się z nią przespać. Ale to było już coś – mały punkt zaczepienia dla jej marzenia o sławie, o byciu gwiazdą.

– Nie chodziliśmy razem na żadne zajęcia – powiedział, gładząc palcem wskazującym jej nadgarstek. – Pamiętałbym cię na pewno.

Maggie popatrzyła w dół, bawiąc się jednym ze swoich kasztanowych kosmyków i jednocześnie zastanawiając się, czy powinna przesunąć lekko sandałem po jego łydce, czy może rozpuścić włosy, pozwalając kaskadzie swoich loków opaść na plecy. Nie, nie chodzili razem na zajęcia. Była w klasie „specjalnej”, klasie „wyrównawczej”, w klasie z tymi mniej zdolnymi i nie tak bystrymi, używającymi książek ze specjalnie dużymi literami, które miały też nieco inny kształt – były trochę dłuższe i cieńsze niż jakiegokolwiek



książki, które nosiły pozostałe dzieciaki. Mogłeś opakować je w szary papier, wepchnąć do plecaka, ale inni i tak wiedzieli. Co tam, pieprzyć ich. Pieprzyć ich wszystkich. Pieprzyć wszystkie śliczne cheerleaderki i wszystkich tych palantów, którzy chętnie zabawiali się z nią na tylnym siedzeniu samochodu starych, ale za nic nie powiedzieliby jej „Cześć” następnego dnia w szkole.

– Chryste! – krzyknął jeszcze raz Ted. Maggie chciała mu powiedzieć, żeby się uciszył, ale gdy tylko otwarła usta, zwymiotowała, zalewając podłogę wokół. Czysta wódka z tonikiem – zauważyła, jakby znajdowała się gdzieś obok całego zajścia – plus kilka kawałków makaronu w stanie początkowego rozkładu. Kiedy jadła makaron? Wczoraj wieczorem? Starła się przypomnieć sobie swój ostatni posiłek, gdy złapał jej biodra i odwrócił gwałtownie tak, że stała tym razem przodem do drzwi, waląc miarowo biodrem w pojemnik na papier toaletowy

– AAAAA! – ogłosił Ted i zakończył, co poczuła wyraźnie na sobie. Maggie wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni, tak szybko, jak pozwalało rozchlapane na podłodze ciekawe połączenie wódki i makaronu.

– Nie na sukienkę! – krzyknęła. A Ted stał tam, mrugając oczami, spodnie gdzieś na wysokości kolan, ręka wciąż na posterunku. Głupkowato wyszczerzył zęby.

– Było super – powiedział i spojrzał na nią mrużąc oczy, jakby starał się coś sobie przypomnieć. – Mówiłaś, że jak masz na imię?

Rose znajdowała się dwadzieścia pięć kilometrów dalej i miała swój sekret – sekret aktualnie płasko rozciągnięty na plecach i chrapiący, sekret, któremu w jakiś sposób udało się zrzucić na podłogę trzy poduszki oraz powyciągać prześcieradło, mimo że od spodu ściągała je przecież gumka.

Rose oparła się na łokciu, do pokoju poprzez żaluzje sączyło się

światło ulicznych lamp. Popatrzyła na swojego kochanka, a na jej twarzy pojawił się słodki, tajemniczy uśmiech, uśmiech, którego żaden z jej kolegów w firmie prawniczej Lewis, Dommel i Fenick by nie rozpoznał. To było coś, czego zawsze pragnęła, o czym skrycie marzyła przez całe swoje życie – mężczyzna, który patrzył na nią tak, jak gdyby była jedyną kobietą w pokoju, na świecie, jedyną kobietą, jaka w ogóle istniała. I w dodatku był taki przystojny, nawet lepiej wyglądał bez ubrania niż w nim. Zastanawiała się, czy może zrobić mu zdjęcie. Ale hałas mógłby go obudzić. No i komu by je pokazała?

Zamiast tego Rose pozwoliła sobie na wycieczkę wzrokiem wzdłuż jego ciała – silne nogi, szerokie ramiona, półotwarte usta, co ułatwia chrapanie. Odwróciła się na drugi bok, tyłem do niego, podciągnęła koc pod brodę i uśmiechnęła do siebie, wspominając miniony dzień.

Pracowali do późna nad sprawą Veedera, która była tak nudna, że Rose miałyby ochotę wyć, gdyby nie fakt, że partnerował jej w tej sprawie Jim Danvers. Była w nim tak zakochana, że mogła spędzić nawet tydzień, wertując dokumenty, jeśli oznaczało to odległość na tyle bliską, by czuć zapach jego wody kolońskiej i dobrej wełny jego garnituru. Zrobiła się ósma, potem dziewiąta i w końcu ostatnia strona została sprawdzona, a następnie odłożona na swoje miejsce, a on spojrzał na nią z tym swoim uśmiechem gwiazdora i spytał:

– Masz ochotę coś zjeść?

Poszli do baru w piwnicy Le Bec– Fin, gdzie kieliszek wina okazał się jednak butelką, goście powoli się wykruszali, świece wypalały, i tak aż do północy, gdy zostali sami, a rozmowa utknęła w martwym punkcie. Podczas gdy Rose próbowała wymyślić, co dalej – może coś o sporcie? – Jim wziął jej rękę i wyszeptał:

– Czy masz pojęcie, jaka jesteś piękna?

Rose potrząsnęła głową, bo faktycznie nie miała pojęcia. Nigdy przedtem nikt nie mówił jej, że jest piękna, oprócz ojca, raz, ale to się tak naprawdę nie liczyło. Gdy patrzyła w lustro, widziała tylko zwykłą dziewczynę, zwyczajną Jane, dorosłego mola książkowego z przyzwoitą garderobą rozmiar 44, do tego brązowe włosy, brązowe oczy, gęste, proste brwi i podbródek, który lekko wystaje, jak gdyby mówił:

– No, więc z kim dzisiaj walczymy?

A jednak zawsze żywiła skrytą nadzieję, że pewnego dnia pojawi się ktoś i powie jej, że jest piękna; mężczyzna, który uwolni jej włosy z kucyka, zdejmie okulary z nosa i spojrzy na nią tak, jakby to ona była Heleną Trojańską. To między innymi dlatego nigdy nie nosiła szkieł kontaktowych. Tak więc pochyliła się do przodu, wpatrując się w Jima, z każdym najmniejszym nerwem ciała napiętym do ostateczności, i czekając na więcej tych słów, które zawsze chciała usłyszeć. Ale Jim Danvers po prostu złapał ją za rękę, zapłacił rachunek i błyskawicznie wyprowadził na zewnątrz, następnie na górę do jej mieszkania, gdzie pozbawił ją butów, wyłuskał ze spódnicy, pocałunkami wyznaczył sobie szlak od jej szyi do brzucha i spędził 45 minut robiąc jej rzeczy, o których wcześniej tylko marzyła (i raz widziała w *Jak upolować mężczyznę, czyli seks w wielkim mieście*). Poczula przyjemny dreszcz i szczerzej otuliła się kołdrą, przypominając sobie, że to może oznaczać kłopoty. Sypianie z kolegą z pracy pozostawało w sprzeczności z jej własnym kodeksem etycznym (kodeks niekłopotliwy, przyznała, gdyż żaden z jej kolegów nigdy nie chciał z nią sypiać). Co gorsze jednak – związki intymne między współnikami a pracownikami były wyraźnie zabronione w myśl zasad obowiązujących w firmie. Obydwoje mogli zostać zwolnieni dyscyplinarnie, gdyby ktokolwiek się dowiedział.

On będzie w tarapatkach, jej zaproponują odejście. Będzie musiała znaleźć inną pracę, zacząć znów wszystko od początku – oznaczałoby to kolejną serię rozmów kwalifikacyjnych, nudne dni spędzane na recytowaniu tych samych odpowiedzi na te same pytania: Czy zawsze chciała Pani być prawnikiem? Które dziedziny prawa szczególnie Panią interesują? Jakie stanowisko najbardziej by Pani odpowiadało? Jak widzi Pani siebie w naszej firmie?

Jim nie był taki. To z nim rozmawiała, gdy przysłała do Lewisa, Dommela i Fenicka. Było piękne, wrześniowe popołudnie trzy miesiące temu, gdy weszła do sali konferencyjnej w swoim granatowym kostiumie z serii „rozmowa w sprawie pracy”, ściskając kurczowo teczkę pełną materiałów firmowych. Po pięciu latach u Dillerta McKeena szukała czegoś nowego – nieco mniejszej firmy i bardziej odpowiedzialnego stanowiska. To było trzecie spotkanie w tygodniu, stopy w czółenkach od Ferragamo nie dawały o sobie zapomnieć, ale jedno spojrzenie na Jima Danversa sprawiło, że wszelkie myśli o bolących stopach i konkurencyjnych firmach po prostu znikły. Spodziewała się typowego wspólnika – około czterdziestki, łysiejącego, w okularach, żywiącego ojcowski stosunek do potencjalnych pracowników płci żeńskiej. A oto pojawił się Jim stojący przy oknie, a gdy odwrócił się, by się z nią przywitać, popołudniowe słońce zamieniło jego jasne włosy w złotą koronę. Zdecydowanie nietypowy model i nie koło czterdziestki, może trzydzieści pięć – pomyślała Rose, po prostu dziecko jak na wspólnika, tylko pięć lat starszy od niej i jaki przystojny! Ta szczeka! Te oczy! Pociągający zapach wody po goleniu, który pozostawiał za sobą! Ten rodzaj faceta, który zawsze był całkowicie poza zasięgiem Rose, gdy w czasach szkolnych, a potem na studiach harowała bez wytchnienia z nosem głęboko w książkach, za to stopniami sięgając szczytów. Ale gdy się

uśmiechnął, zauważyła błysk srebra pomiędzy zębami. Aparat dentystyczny – była pewna; serce zabiło mocniej, rosnąc jej w piersi. Może więc nie był idealny. Może była nadzieja.

– Pani Feller? – zapytał, na co ona skinęła głową, nie ufając swojemu głosowi. Uśmiechnął się, przeciął pokój trzema długimi krokami i ujął jej dłoń. Dla niej wszystko zaczęło się dokładnie w tym momencie – słońce za nim, jego dłoń otaczająca jej dłoń, wysyłająca impulsy elektryczne mierzące dokładnie między jej nogi. Czuła napiętność – coś, o czym dotychczas tylko czytała i nie była nawet pewna, czy w ogóle wierzy w jej istnienie. Napiętność tak wielką i gorącą, jakby wyjętą wprost z romansów Harlequina, napiętność, która odebrała jej oddech.

Patrzyła na gładką skórę szyi Jima Danversa i miała ochotę ją lizać, w tym miejscu, w sali konferencyjnej.

– Jim Danvers – powiedział.

Odchrząknęła. Ciężki oddech, sucho w gardle, chrapliwy głos:

– Rose. – Cholera. Nazwisko?! Jak ma na nazwisko? – Feller. Rose Feller. Dzień dobry. Zaczęło się bardzo powoli – nieco przedłużone przelotne spojrzenie w oczekiwaniu na windę, jego ręka na jej plecach, sposób, w jaki jego oczy szukały jej wśród innych zawsze, gdy mieli jakieś wspólne spotkanie. W międzyczasie czujnie nasłuchiwała każdej informacji

– Kawaler – powiedziała sekretarka.

– Wolny jak ptak – oznajmiła asystentka.

– Seryjny pożeracz serc – wyszeptała inna prawniczka, nakładając szminkę przed lustrem w damskiej toalecie. – I słyszałam, że jest niezły – Rose zaczerwieniła się, umyła ręce i uciekła. Nie chciała, żeby Jim miał

reputację. Nie chciała, żeby opowiadano o nim w toaletach. Chciała mieć go tylko dla siebie. Chciała, żeby mówił jej, jaka jest piękna, wciąż od nowa. W mieszkaniu wyżej ktoś spuścił wodę. Jim chrząknął przez sen. Kiedy przewrócił się na brzuch, poczuła jego stopę ocierającą się o jej łydkę. O, mamoo... Rose eksperymentalnie przesunęła palcami stopy po swoim goleniu. Wiadomości nie były dobre. Miała zamiar ogolić nogi, miała zamiar zrobić to już od jakiegoś czasu, obiecywała sobie, że zajmie się tym przed zajęciami aerobiku, ale ostatnio była tam trzy tygodnie temu, a do pracy codziennie nosiła rajstopy i... Jim znowu się odwrócił, spychając Rose na absolutną krawędź materaca. Nieszczęśliwym wzrokiem popatrzyła na swój pokój, który równie dobrze mógłby zostać opatrzony napisem: Panna, Samotna, Późne Lata Dziewięćdziesiąte. Szlak znaczony jej i jego ubraniami przebiegał przez podłogę, omijając dwuipółkilogramowe hantle, leżące obok taśmy z ćwiczeniami Tae Bo, która wciąż jeszcze tkwiła w oryginalnym celofanie. Bieżnia, którą kupiła, aby spełnić swoje Noworoczne Postanowienie Poprawienia Figury jakieś trzy lata temu, udrapowana była ubraniami z pralni. Była też na wpół opróżniona butelka wermutu na stoliku, przy szafce cztery pudełka butów od Saksy, jedno na drugim, i pół tuzina romansów przy łóżku. Katastrofa – pomyślała Rose, zastanawiając się, co mogłaby zrobić przed świtem, żeby nadać swojemu mieszkaniu wygląd miejsca zamieszkiwanego przez kogoś wiodącego ciekawe życie. Czy istniał jakiś całonocny sezam z egzotycznymi, dekoracyjnymi poduchami i regałami na książki? I czy było już za późno, żeby zrobić coś z nogami?

Najciszej jak potrafiła, sięgnęła po słuchawkę swojego bezprzewodowego telefonu i przemknęła do łazienki. Amy odebrała po pierwszym dzwonku.

– O co chodzi? – zapytała. W tle słychać było zawodzącą Whitney

Houston, co oznaczało, że jej najlepsza przyjaciółka po raz setny ogląda *Czekając na miłość*.

– Nie uwierzysz – wyszeptała Rose.

– Przespałaś się z kimś?

– Amy!

– A więc tak? To znaczy, po co innego miałabyś dzwonić o tej porze?

– Faktycznie – powiedziała Rose, włączając światło i przyglądając się w lustrze swojej zaróżowionej twarzy – Faktycznie. Właśnie to zrobiłam. I było... – przerwała i podskoczyła lekko. – Było cudownie!

Amy wydała okrzyk radości.

– Nieźle, dziewczyno! No, więc kto jest tym szczęśliwcem?

– Jim – odpowiedziała Rose. Tym razem okrzyk był głośniejszy.

– I to było niewiarygodne – ciągnęła Rose. – To było... to znaczy, on jest taki... – Odezwał się brzęczyk, co oznaczało, że ma drugi telefon. Rose patrzyła na aparat z niedowierzaniem.

– Uuu! Jesteś dziś popularna – stwierdziła Amy. – Zadzwoń później!

Rose przełączyła się, spoglądając na zegarek. Kto mógłby dzwonić do niej o pierwszej w nocy?

– Halo? – usłyszała hałaśliwą muzykę i jakieś głosy: bar, impreza. Opadła ciężko na drzwi łazienki. Maggie. A to niespodzianka. Głos po drugiej stronie był młody, męski i nieznajomy:

– Czy rozmawiam z Rose Feller?

– Tak, słucham, kto mówi?

– Eee... no, więc, mam na imię Todd.

– Todd – powtórzyła Rose.

– Tak. I, eee... no, cóż, jestem tu z twoją siostrą, jak sądzę. Maggie, zgadza się?

W tle Rose rozpoznała podniesiony głos swojej pijanej siostry.

– Siostrzyczka! – skrzywiła się Rose, łapiąc butelkę szamponu – „specjalna formuła dla włosów cienkich, słabych i łamliwych” – i rzucając go pod umywalkę. W razie gdyby Jim zdecydował się na prysznic, konfrontacja z dowodami problemów, jakie ma ze swoją fryzurą, powinna zostać mu oszczędzona.

– Ona jest... eee... Nie czuje się dobrze. Za dużo wypła – kontynuował Todd – i była... no, więc... nie wiem, co jeszcze robiła, ale znalazłem ją w łazience i chwilę tam zabawiliśmy, czy coś w tym rodzaju, a potem jej jakby urwał się film, a teraz... hmm, zaczyna być jakby coraz głośniejsza. Ale najpierw powiedziała, żeby zadzwonić do ciebie – dodał. – To znaczy zanim straciła przytomność. – Rose słyszała swoją siostrę i jej okrzyki:

– Życie jest piękne!

– Jak miło z jej strony – powiedziała, ciskając przepisany przez lekarza krem na pryszczę i paczkę wkładek higienicznych w ślad za szamponem. – Dlaczego po prostu nie odwieziesz jej do domu?

– Naprawdę, nie chcę się w to mieszać.

– Powiedz mi, Todd – zaczęła Rose delikatnie tonem, który ćwiczyła w szkole prawniczej. Dzięki któremu, wyobrażała sobie, mogła od naiwnego świadka uzyskać dokładnie to, co chciała. – Gdy ty i moja siostra zabawiliście się chwilę w łazience, co właściwie się działo?

Po drugiej stronie cisza.

– To znaczy, nie chodzi mi o szczegóły – powiedziała Rose – ale z tego, co mówisz, wnioskuję, że już się, żeby użyć twojego słowa, wmieszałeś. Dlaczego więc nie zachowasz się odpowiednio do sytuacji i nie



zabierzesz jej do domu?

– Słuchaj, wydaje mi się, że trzeba jej pomóc, a ja naprawdę nie mam czasu. Pożyczyłem samochód od brata i muszę go oddać...

– Todd...

– OK, czy jest ktoś inny, do kogo mogę zadzwonić? – zapytał. – Rodzice? Matka czy ktoś taki?

Rose czuła, jak serce przestaje jej bić. Zamknęła oczy.

– Gdzie jesteście?

– Cherry Hill Hilton. Matura osiemdziesiąt dziewięć – trzask słuchawki. Todd zniknął. Rose oparła się o drzwi łazienki. Oto ono: jej prawdziwe życie, prawda o tym, kim była, wyrastająca przed nią nagle, jak pędzący z zawrotną prędkością pociąg towarowy. Oto cała prawda: nie była osobą, w której mógłby zakochać się Jim Danvers. Nie była tą, którą udawała: radosną, wesołą, nieskomplikowaną dziewczyną, normalną dziewczyną ze szczęśliwym, uporządkowanym życiem, dziewczyną noszącą śliczne buty, której najbardziej palącym problemem było zastanawianie się, czy *Ostry dyżur* w tym tygodniu to kolejna powtórka. Prawda kryła się w kasecie z ćwiczeniami, której nie miała czasu rozpakować, nie wspominając o samych ćwiczeniach; prawdą były jej owłosione nogi i nieciekawa bielizna. A przede wszystkim prawdą była jej siostra, jej cudowna, wspaniała, popieprzona, fantastycznie nieszczęśliwa i zdumiewająco nieodpowiedzialna siostra. Ale czemu właśnie dziś? Dlaczego Maggie nie może pozwolić jej cieszyć się tą jedną nocą?

– Kurwa mać – jęknęła cicho. – Niech to szlag.

Następnie na palcach weszła z powrotem do sypialni, po omacku szukając okularów, spodni od dresu, butów i kluczyków od samochodu. Zostawiła Jimowi kartkę („Nagły wypadek rodzinny, zaraz wracam”) i

pobiegła do windy, zmuszając się do wyruszenia w tę ciemną noc, by po raz kolejny wyciągać swoją siostrę z tarapatów. Nad frontowym wejściem hotelu wciąż jeszcze wisiał transparent z napisem: „Absolwenci roku 1989. Witamy! ”. Rose ciężkim krokiem przeszła przez hol – sztuczny marmur i purpurowe dywany – do opustoszałej sali, wypełnionej dymem papierosów i oparami piwa. Stoliki nakryte były tanimi, biało– czerwonymi papierowymi obrusami i udekorowane pośrodku czymś w rodzaju plastikowych pomponów. W rogu pijana dziewczyna i chłopak migdalili się, oparci o ścianę. Rose przyjrzała się im. To nie Maggie. Podeszła do baru, gdzie mężczyzna w poplamionej białej koszuli układał kieliszki i gdzie jej siostra, w dość skromnej sukience, niezbyt odpowiedniej na listopad – czy raczej w ogóle na jakąkolwiek okazję towarzyską – siedziała pochylona na stołku barowym.

Rose zatrzymała się na chwilę, rozważając strategię. Z daleka Maggie wyglądała zupełnie w porządku. Trzeba było podejść bliżej, żeby dojrzeć rozmazany makijaż i poczuć odór wódki i wymiocin, który otaczał ją jak gęsta chmura.

Barman spojrzał na Rose ze zrozumieniem:

– Jest tu od pół godziny. Mam na nią oko. Właśnie wypła szklanek wody.

„Po prostu wspaniale – pomyślała Rose. – A gdzie byłeś, jak w toalecie przeleciało ją prawdopodobnie pół miasta? ”

– Dzięki – odpowiedziała w zamian, złapała siostrę za ramiona i potrząsnęła nią. Niezbyt delikatnie. – Maggie?

Maggie otworzyła oczy i skrzywiła się.

– Zoostamie – wybełkotała.

Rose złapała za seksowne ramiączka czarnej sukienki i podniosła je.

Siedzenie Maggie znalazło się 15 cm nad krzesłem.

– Koniec imprezy.

Maggie zachwiała się i ostro kopnęła Rose w goleń jednym ze srebrnych sandałów. Mówiąc dokładniej, jednym ze srebrnych sandałów Christiana Louboutina na szpilce – zauważyła Rose, gdy spojrzała w dół – jednym z sandałów, na które czekała trzy miesiące, zanim je kupiła dopiero dwa tygodnie temu, i o których sądziła, że leżą sobie spokojnie w swoim pudełku, Jednym z sandałów, teraz poplamionym i pokrytym lepka pozostałością czegoś, czego nie potrafiła zidentyfikować.

– Hej, to moje buty! – powiedziała Rose, szarpiąc sukienkę siostry. „Maggie – pomyślała, rozpoznając znajome uczucie furii wzbierające w jej żyłach. – Maggie zgarnia wszystko”.

– Odpieprz sieeee! – ryknęła Maggie i, chcąc wyrwać się z uścisku siostry, zaczęła wykręcać się na boki.

– Nie mogę w to uwierzyć – syknęła Rose, nie puszczając ramiączek sukienki, podczas gdy Maggie rzucała się obok niej na wszystkie strony, a czubki jej butów – jej własnych butów – kopały ją w golenie.

„Nie dość butów, jeszcze i to”, pomyślała Rose, wyobrażając sobie siniaki, które zobaczy rano.

– Nie włożyłam ich jeszcze ani razu!

– Hej, hej, spokojnie! – zawołał barman, najwyraźniej mając nadzieję, że sprzeczka przerodzi się w siostrzaną bitwę dwóch kotek. Rose zignorowała go i na wpół wywlekła, na wpół wyniosła siostrę z baru, po czym umieściła na siedzeniu obok kierowcy.

– Jeśli będziesz miała zamiar rzygać – poinformowała, szarpiąc pasy i owijając je wokół siostry – uprzedź mnie nieco wcześniej.

– Wyślę telegram – wymamrotała Maggie, sięgając do torebki po

zapalniczkę.

– O, nie – powiedziała Rose. – Nawet o tym nie myśl!

Włączyła światła, szarpnęła kierownicą w prawo i zaczęła wyjeżdżać z opustoszałego parkingu na autostradę w kierunku mostu Franklina i Bella Visty, gdzie Maggie wynajmowała ostatnie z długiej serii swoich mieszkań.

– To nie ta droga – oznajmiła Maggie.

– OK – powiedziała Rose. Jej ręce zacisnęły się na kierownicy –  
Więc, gdzie jedziemy?

– Zabierz mnie do Sydelle – niewyraźnie wymamrotała Maggie.

– Po co?

– Po prostu mnie tam zawieź, OK? Jezu, nie muszę chyba zwierzać ci się ze wszystkiego?

– Oczywiście, nie musisz – powiedziała Rose przez zaciśnięte zęby. – Jestem tylko twoim osobistym kierowcą. Wyjaśnienia nie są konieczne. Po prostu dzwonicz i ja się zjawiam.

– Zołza – odburknęła Maggie. Jej głowa, odchyłona do tyłu, leżała na oparciu siedzenia, kiwając się tam i z powrotem z każdym ruchem kierownicy.

– Wiesz – powiedziała Rose swoim najrozsądniejszym tonem – naprawdę można pójść na imprezę z okazji dziesięciolecia ukończenia szkoły i nie skończyć upijając się do tego stopnia, żeby nie zauważyć, że urywa ci się film w toalecie.

– A to co, mamy tydzień wychowania w trzeźwości?

– Można po prostu – ciągnęła Rose – przyjść, powspominać dawne czasy, potańczyć, zjeść coś, kulturalnie się napić, ubrać się w coś, co należy do ciebie, zamiast wyciągać rzeczy cichaczem z mojej szafy...

Maggie otwarła oczy i wpatrywała się w siostrę, zwracając uwagę na

wielką, plastikową spinkę do włosów.

– Hej, dzwonił tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty – powiedziała. – Chce z powrotem swoją fryzurę.

– Co?

– Nie wiesz, że tego się już nie nosi?

– A może powiesz mi, co naprawdę modne dziewczyny noszą, gdy muszą pojechać po swoje pijane siostry w środku nocy? – sarkastycznie zapytała Rose. – Umieram z ciekawości. Czy Nicky i Paris Hilton wypuściły już dla nas jakąś nową linię?

– Wypchaj się – wymamrotała Maggie, wpatrując się w okno.

– Powiedz, czy naprawdę o to ci chodzi? – kontynuowała Rose. – Co noc picie, zadawanie się z Bóg wie kim...

Maggie otworzyła okno i udawała, że nie słyszy.

– Mogłabyś wrócić do szkoły – mówiła Rose. – Dostać lepszą pracę.

– I być taka jak ty – powiedziała Maggie. – To dopiero byłaby zabawa! Zero seksu przez, ile to już, Rose, trzy lata? Cztery? Kiedy ostatnio jakiś facet na ciebie spojrzał?

– Mogłabym ich znaleźć sporo, gdybym włożyła twoje ciuszki – odparła Rose.

– Tak jakby ci pasowały – zadrwiła Maggie. – Twoja noga nie weszłaby do tej sukienki.

– Jasne – powiedziała Rose. – Zapomniałam, że rozmiar zero to najważniejsza rzecz na świecie. Bo właśnie to uczyniło twoje życie tak szczęśliwym i udanym.

Przytrzymała klakson trochę dłużej niż to było konieczne, żeby kierowca przed nią ruszył.

– Masz problemy, Maggie – mówiła dalej Rose. – Potrzebujesz

pomocy.

Maggie, rechocząc, odrzuciła głowę do tyłu.

– A ty jesteś po prostu doskonała, nieprawdaż?

Rose potrząsnęła głową, zastanawiając się, co mogłaby powiedzieć, żeby jej siostra się zamknęła, ale zanim zdążyła opracować linię ataku, głowa Maggie opadła na szybę, a powieki ani drgnęły Chanel, labrador golden retriever – pies należący do Sydelle, Macochy Monstrum – zataczał dzikie koła tam i z powrotem po trawniku, gdy Rose wjeżdżała na podjazd. Światło zapaliło się w sypialni u góry, następnie na dole w holu. Rose złapała Maggie za ramiączka, wyciągnęła z samochodu i postawiła na nogi.

– Wstawaj – rozkazała.

Maggie szła niepewnie, potykając się w uścisku siostry i pokonując podjazd zakolami, aż doszła do frontowych drzwi nowoczesnego budynku o nieco dziwacznych kształtach, który ich ojciec i macocha nazywali domem. Żywopłot przycięty był w wymyślne krzywizny, dokładnie według instrukcji Sydelle, a wycieraczka głosiła: „Serdecznie witamy! ”. Rose zawsze sądziła, że wycieraczka musiała zostać kupiona wraz z domem, jako że macocha nie była ani specjalnie serdeczna, ani szczególnie gościnna. Maggie zatoczyła się kolejny raz, po czym zgięła się wpół. W pierwszym momencie Rose pomyślała, że zwymiotuje, ale Maggie podniosła jedną z płytek i wyciągnęła klucz.

– Możesz iść – powiedziała opierając się o drzwi i próbując trafić do zamka. Bez odwracania się pomachała na do widzenia.

– Dzięki za przejazdzkę. A teraz spadaj.

Drzwi otwarły się na oścież, gdy Sydelle Levine Feller wyszła przez nie w mrok nocy; usta miała zaciśnięte, pasek mocno ściągnięty na szlafroku opinającym jej półtorametrowe ciało, a twarz błyszcząca od kremu na noc.

Pomimo godzin spędzonych na ćwiczeniach, tysięcy dolarów wydanych na zastrzyki botoksu i ostatniego dodatku w postaci wytatuowanej na stałe kreski na powiece, Sydelle Levine Feller nie była piękną kobietą. Po pierwsze, z powodu maleńkich, nieciekawych brązowych oczu. Następnie, ze względu na ogromne, szerokie nozdrza – coś, czego (Rose była o tym przekonana) chirurdzy plastyczni nie byli w stanie poprawić, bo (Sydelle też musiała to zauważyć) z łatwością mogła w każde z nich włożyć sporą parówkę.

– Jest pijana – zauważyła Sydelle, rozszerzając nozdrza. – A to niespodzianka!

Sydelle swoje najbardziej kąśliwe uwagi kierowała w kierunku powietrza znajdującego się mniej więcej siedem centymetrów na lewo od twarzy odbiorcy, jak gdyby adresowała swoje obserwacje do kogoś przypatrującego się całej scenie z boku, kto bez wątpienia podzielał jej zdanie w danej kwestii. Rose pamiętała dziesiątki – nie, setki – takich zjadliwych uwag przelatujących gdzieś obok jej własnego, lewego ucha... a także ucha Maggie. Maggie, siadaj do nauki. Rose, uważam, że to, co zjadłaś, wystarczy, dokładka nie jest konieczna.

– Nic się przed tobą nie ukryje, Sydelle – powiedziała Maggie.

Rose parsknęła wbrew sobie i przez chwilę znów były drużyną, zjednoczone przeciw wspólnemu, groźnemu wrogowi.

– Sydelle, muszę porozmawiać z ojcem – powiedziała Rose.

– A ja – oświadczyła Maggie – muszę skorzystać z toalety.

Rose spojrzała w górę i w oknie sypialni dostrzegła błysk okularów swojego ojca. Jego wysoką, chudą, pochyloną sylwetkę w spodniach od piżamy i w starej koszulce, i jego siwe włosy zaczesane tak, by zakryć łysinę. „Kiedy zdążył się tak postarzeć?” – pomyślała. Wyglądał jak duch.

Przez te lata, gdy byli małżeństwem, Sydelle z czasem stawała się coraz bardziej jaskrawa – wciąż jaśniejsza szminka, pasemka jeszcze bardziej złote – podczas gdy ojciec blaknął, jak zdjęcie pozostawione na słońcu.

– Hej, tato! – zawołała. Ojciec odwrócił się w kierunku jej głosu i zaczął otwierać okno.

– Kochanie, zajmę się tym! – Sydelle krzyknęła w kierunku okna sypialni. Słowa niosły słodczy. Ton był lodowaty Michael Feller zatrzymał się z ręką na klamce, a Rose mogła sobie wyobrazić, jak jego twarz wykrzywia się, przybierając ów znajomy wyraz smutku i porażki.

W chwilę później światło zgasło, a ojciec zniknął.

– Cholera – mruknęła Rose, chociaż nie była zaskoczona. – Tato! – krzyknęła jeszcze raz, bezradnie. Sydelle potrząsnęła głową.

– Nie – powiedziała – Nie, nie, nie.

– Dzisiejszy odcinek oglądali państwo dzięki słowu „Nie” – skomentowała Maggie, a Rose zaśmiała się, po czym spojrzała ponownie na macochę. Pamiętała dzień, gdy Sydelle po raz pierwszy pojawiła się w ich mieszkaniu. Ojciec spotykał się z nią od dwóch miesięcy i na tę okazję specjalnie się wystroił. Rose widziała, jak naciągał rękawy sportowej marynarki i poprawiał krawat.

– Jest bardzo podekscytowana spotkaniem z wami – powiedział do Rose, która miała wtedy dwanaście lat, i do Maggie, która miała dziesięć. Rose pamiętała wyraźnie, że uznała wtedy Sydelle za najbardziej olśniewającą kobietę na świecie. Nosila złote bransolety, złote kolczyki i złote sandały, na włosach pasemka – popielaty blond plus miedź. Z wyskubanych brwi zostały cieniutkie złote łuki, nawet jej szminka miała lekko złotawy odcień. Rose była urzeczona. Dopiero nieco później dostrzegła inne, mniej zachwycające cechy Sydelle: jej usta wykazujące



naturalne tendencje do wykrzywiania się w nieciekawy grymas, oczy koloru błotnistej kałuży, nozdrza, które wyłaniały się jak bliźniacze tunele Lincolna w samym środku jej twarzy. Przy obiedzie Sydelle przesuwiała koszyk z pieczywem poza zasięg Rose.

– Niestety! – uśmiechała się sztucznie, co, jak domyślała się Rose, miało być porozumiewawczym spojrzeniem. – My, dziewczyny, musimy dbać o figurę!

Ten sam numer robiła z masłem. Gdy Rose popełniała błąd i sięgała po drugą porcję ziemniaków, Sydelle zaciskała usta.

– Żołądek potrzebuje dwudziestu minut, by przesłać sygnał o tym, że jest pełny, do mózgu – pouczała wszystkich. – Po prostu poczekaj chwilę i przekonaj się, czy naprawdę jesteś głodna. Ojciec i Maggie dostawali na deser lody. Rose dostawała talerzyk winogron. Sydelle nie jadła nic.

– Nie przepadam za słodyczami – mawiała.

Całe to przedstawienie powodowało, że Rose miała chęć wymiotować... Zwymiotować, a potem zakraść się z powrotem do kuchni i zjeść spóźnioną porcję lodów. I o ile dobrze pamiętała, dokładnie tak właśnie robiła. Teraz patrzyła na Sydelle błagalnie, zdesperowana, chcąc za wszelką cenę załatwić tę sprawę, zostawić Maggie i wrócić czym prędzej do Jima... o ile jeszcze tam jest.

– Przykro mi – powiedziała Sydelle tonem wskazującym, że cokolwiek czuła, na pewno nie było jej przykro. – Jeśli piła, nie może tu zostać.

– Ja nie piłam. Pozwól mi porozmawiać z ojcem.

Sydelle ponownie potrząsnęła głową.

– Nie jesteś odpowiedzialna za Maggie – wyrecytowała fragment

przemowy, której nauczyła się na pamięć z jednej z tych książek z serii „Trudna Miłość”. Albo, co bardziej prawdopodobne, z tandetnej broszurki „Trudna Miłość”. Książki nie były miłością Sydelle.

– Pozwól mi z nim porozmawiać – powiedziała jeszcze raz Rose, zdając sobie sprawę, że to bezcelowe roszczenie. Sydelle stanęła tak, by zablokować wejście, jak gdyby Rose czy Maggie miały zamiar przemknąć niezauważone obok niej. Maggie, zresztą, też nie starała się pomóc.

– Hej, Sydelle – zapiała Maggie, spychając siostrę na bok. – Świetnie wyglądasz.

Przypatrzyła się dokładniej jej twarzy.

– Zrobiłaś coś nowego, tak? Podbródek? Implanty policzków? Kolejna dawka botoksu?

– Maggie – wyszeptała Rose, łapiąc siostrę za ramiona i telepatycznie błagając ją, by się zamknęła. Czego Maggie nie zrobiła.

– Niezły sposób na wydanie naszego spadku! – zawyła.

W końcu Sydelle popatrzyła wprost na nie zamiast w przestrzeń pomiędzy nimi. Rose praktycznie słyszała jej myśli, a mianowicie, że jej córka, wychwalana Marcia, nigdy nie zachowałaby się w ten sposób. Marcia – a raczej Moja Marcia, jak zwykle ją nazywała – w czasie, gdy Sydelle i ich ojciec się pobrali, miała osiemnaście lat i była na pierwszym roku w Syracuse. Moja Marcia, przypomnienie której nigdy nie męczyło Sydelle, nosiła idealny rozmiar 36. Moja Marcia była członkiem stowarzyszenia najlepszych studentów National Honor Society, a także komitetu powitalnego na zjeździe absolwentów. Moja Marcia należała do najlepszego żeńskiego stowarzyszenia studenckiego w Syracuse, skończyła studia z wyróżnieniem, przez trzy lata pracowała jako asystentka jednego z najlepszych dekoratorów wnętrz w Nowym Jorku, zanim wyszła za mąż za

miliardera od spółek internetowych, z wdziękiem poświęcając się macierzyństwu w pałacu z siedmioma sypialniami w Short Hills.

– Obydwie powinnyście już iść – powiedziała Sydelle i zamknęła drzwi, zostawiając Maggie i Rose na pastwę panującego na zewnątrz chłodu. Maggie spojrzała na okno sypialni, mając być może nadzieję, że ojciec rzuci przez nie swój portfel. Nic takiego jednak nie nastąpiło i w końcu odwróciła się i skierowała w stronę podjazdu, przystając tylko na chwilę, by wyrwać jeden z krzewów Sydelle i rzucić go na próg, gdzie wylądował rozpryskując wokół grudki ziemi. Rose obserwowała ją, gdy zdejmowała przywłaszczony sobie buty na wysokich obcasach, po czym cisnęła nimi na trawnik w kierunku siostry.

– Proszę – powiedziała.

Dłonie Rose zwinęły się w pięści. Powinna być w swoim mieszkaniu, w łóżku z Jimem. Zamiast tego tkwiła tutaj, w środku nocy, na zmarzniętym trawniku w New Jersey, próbując pomóc swojej siostrze, która nawet nie chciała, żeby jej pomagać. Maggie przeszła bosą przez trawnik i zaczęła kuśtykać skrajem drogi.

– A ty gdzie się wybierasz? – zawołała Rose.

– Gdzieś. Gdziekolwiek – odparła Maggie – Nie martw się o mnie. Dam sobie radę.

Doszła prawie do rogu, zanim Rose ją dogoniła.

– Chodźmy – powiedziała szorstka – Możesz zostać u mnie

Gdy te słowa wychodziły z ust Rose, jej wewnętrzne systemy zabezpieczające wydawały alarmujące wycia i piski. Zaprosić Maggie to jakby gościć huragan, o czym przekonała się na własnej skórze pięć lat temu, gdy Maggie wprowadziła się do niej na koszmarne trzy tygodnie. Maggie w domu oznacza pieniądze znikające wraz z najlepszą szminką i ulubioną parą

kolczyków oraz najdroższymi butami. Samochodu nie ma przez całe dni, a gdy się pojawia, bak jest pusty, za to popielniczki przepełnione. Klucze od domu ulatniają się, a ubrania w tanecznym rytmie schodzą ze swoich wieszaków, by nigdy nie zjawić się z powrotem. Maggie w domu znaczy: bałagan i zamieszanie, dramatyczne sceny, łzy, kłótnie i zranione uczucia. Oznacza koniec jakiegokolwiek spokoju i ciszy, na które w swojej naiwności Rose wciąż miała nadzieję. Całkiem możliwe, zdrząła na myśl o tym, że oznacza to koniec Jima.

– Chodź – powiedziała ponownie Rose.

Maggie pokręciła głową tam i z powrotem, jak obrażone dziecko. Rose westchnęła.

– To będzie tylko na jedną noc – namawiała. Ale gdy dotknęła ramienia Maggie, ta odwróciła się szybko i powiedziała:

– Nie, nie będzie.

– Co?

– Kolejna eksmisja, rozumiesz?

– Co się stało? – zapytała Rose, powstrzymując się od dodania „tym razem”.

– Wszystko się poplątało – wymamrotała Maggie.

Poplątało się. To był swoisty skrót, którego Maggie używała, gdy czuła się bezradna, zagubiona i zdezorientowana; kiedy po raz kolejny los ją zaskakiwał; gdy jej trudności w uczeniu paraliżowały ją, uniemożliwiając normalne funkcjonowanie i praktycznie robiąc z niej kalekę. Potykała się o liczby: ułamki, kierunki świata, zbilansowanie przychodów i wydatków wykraczały poza jej możliwości rozumowania. Każ jej podwoić ilość składników przepisu – nic z tego. Powiedz, żeby znalazła drogę z punktu A do B, a Maggie pojawi się w punkcie K, gdzie niezawodnie zlokalizuje bar i

gdzie zdąży przylepić się do niej kilku facetów do czasu, gdy Rose zjawi się na miejscu, by ją wyratować.

– Już dobrze – powiedziała uspokajająco Rose. – Jutro rano coś wymyślimy.

Maggie objęła się ramionami i stała tak, dygocząc z zimna, skóra i kości. Naprawdę, powinna być aktorką, pomyślała Rose. Szkoda, że taki talent dramatyczny nie jest wykorzystywany w lepszych celach niż wyciąganie od rodziny gotówki, butów czy tymczasowego lokum.

– Poradzę sobie – Maggie pociągnęła nosem. – Po prostu zostanę tu, dopóki nie zrobi się jasno i wtedy..

Na jej rękach i ramionach wyraźnie rysowała się gęsia skórka.

– Znajdę sobie coś.

– Chodź – Rose ponowiła zaproszenie.

– Nie chcesz mnie – Maggie powtórzyła smutno. – Nikt nie chce.

– Po prostu wsiadaj – starsza siostra odwróciła się i poszła w kierunku podjazdu, i nie była w najmniejszym stopniu zaskoczona, gdy w chwilę potem Maggie zrobiła to samo. Są takie sytuacje w życiu, które zawsze można przewidzieć, a Maggie potrzebująca pomocy, Maggie potrzebująca pieniędzy, po prostu Maggie zwyczajnie potrzebująca była jedną z nich.

Przez całe dwadzieścia minut jazdy do Filadelfii Maggie nie odezwała się ani słowem. W tym czasie Rose zastanawiała się, czy da się coś zrobić, by Maggie nie zauważyła nieubranego współnika leżącego w jej łóżku.

– Śpisz na kanapie – powiedziała cicho, gdy znalazły się w mieszkaniu, pośpiesznie podnosząc garnitur Jima z podłogi. Maggie niczego nie przeoczyła.

– Ho ho ho – skomentowała, przeciągając każde słowo. – Co my tu

mamy?

Jej dłoń błyskawicznie znalazła się pomiędzy ubraniami, które trzymała Rose i wyłoniła się zaledwie kilka sekund później, triumfalnie ściskając portfel Jima. Rose chciała jej go wyrwać, ale Maggie szarpnęła rękę do tyłu. Zaczyna się, pomyślała Rose.

– Oddaj to – wycedziła szeptem.

Maggie zgrabnym ruchem otworzyła portfel.

– James R. Danvers – wyrecytowała głośno. – Society Hill Towers, Filadelfia, Pensylwania. Bardzo ładnie!

– Ciiii! – wyszeptała Rose, rzucając alarmujące spojrzenie w stronę ściany, za którą James R. Danvers przypuszczalnie pogrążony był we śnie.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt cztery – przeczytała Maggie stentorowym głosem. Rose praktycznie słyszała pracujące w głowie siostry trybiki, gdy Maggie próbowała obliczyć niewiadomą.

– Ma trzydzieści pięć lat? – zapytała w końcu. Rose wyrwała jej portfel z ręki.

– Idź spać – syknęła.

Maggie wybrała jedną z koszulek udrapowanych na bieżni i ściągnęła sukienkę przez głowę.

– Nie mów tego – ostrzegła.

– Jesteś za chuda – wyrzuciła z siebie Rose, zaszokowana widokiem wystającego obojczyka Maggie i pojedynczymi wybrzuszeniami jej żeber. Całość wyglądała jeszcze żałośniej w połączeniu z dorodnym, robionym na zamówienie biustem.

– Za to Ab Master, który ci kupiłam, zamiast ćwiczyć twój brzuch, leży gdzieś w kącie – odcięła się Maggie, naciągając koszulkę i układając się na kanapie.

Rose otworzyła usta, jednak szybko zamknęła je z powrotem. Niech zaśnie, powiedziała do siebie.

– Ale twój kochaś wygląda całkiem milutko – powiedziała Maggie i ziewnęła. – Czy mogłabyś przynieść mi szklankę wody i dwa alkaprimy?

Rose zazgrzytała zębami, ale przyniosła tabletki i wodę. Patrzyła, jak Maggie je połyka, popija duszkiem i zamyka oczy bez chociażby najkrótszego „dzięki”. W jej sypialni tymczasem Jim wciąż leżał na boku i pochrapywał cicho. Oparła lekko dłoń na jego ramieniu.

– Jim? – powiedziała szeptem. Ani drgnął. Rose marzyła, żeby wczłgać się z powrotem do łóżka i naciągnąć na siebie koc, a całą resztą zająć się jutro. Spojrzała znów na drzwi, potem na Jima i uświadomiła sobie, że nie potrafi. Nie umie spać z nagim mężczyzną i swoją siostrą w pokoju obok. Jej obowiązkiem było, od zawsze i niezmiennie, dawanie Maggie przykładu. Sypianie z kimś w rodzaju szefa nie byłoby odpowiednie. A co, gdyby znów miał ochotę na seks? Maggie podsłuchiwałaby albo, co gorsze, weszłaby tu i gapiła się. I śmiała.

Rose ściągnęła więc dodatkowy koc z łóżka, chwyciła poduszkę z podłogi, na palcach poszła z powrotem do salonu i ułożyła się w fotelu myśląc sobie, że w annałach historii romantycznych to prawdopodobnie najgorszy z możliwych sposobów zakończenia nocy takich jak ta. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w oddech Maggie, jak przez te wszystkie lata, kiedy spały razem w jednym pokoju. Potem odwróciła się, próbując znaleźć jakąś wygodną pozycję. Czemu przynajmniej nie wzięła dla siebie kanapy? Po co w ogóle zapraszała Maggie?

Właśnie wtedy Maggie się odezwała.

– Pamiętasz Misie– Pysię?

Rose zamknęła oczy w ciemności.

– Tak – westchnęła. – Pamiętam.

Misia– Pysia przyszła do nich wiosną, gdy Rose miała osiem, a Maggie sześć lat. Ich matka, Caroline, obudziła je wcześniej pewnego czwartkowego ranka.

– Sza, nic nie mówcie! – szeptała, szybko ubierając je w najlepsze odświętne sukienki, a potem każąc im nałożyć swetry i płaszcze.

– Mam dla was specjalną niespodziankę!

Zawołały „Do widzenia!” do ojca, ociągającego się jeszcze nad kawą i problemami gospodarki światowej omawianymi w porannej gazecie, szybko przemknęły koło kuchni, w której cały blat zavalony był pudełkami po czekoladzie, a zlewozmywak pełen brudnych naczyń, i wgramoliły się do samochodu. Zamiast skrócić do szkoły jak zwykle rano, Caroline trzymała kierownicę prosto i pojechała dalej.

– Mamo, przejechałaś zakręt! – zawołała Rose.

– Dziś dzień bez szkoły, kochanie – ich matka zaintonowała przez ramię. – To szczególny dzień!

– Hurra! – zawołała Maggie, której dostało się ulubione miejsce z przodu.

– Dlaczego? – zapytała Rose, która cieszyła się na ten dzień w szkole, bo to był dzień biblioteczny i mogła wypożyczyć więcej książek.

– Ponieważ wydarzyło się coś bardzo ważnego – powiedziała ich mama. Rose pamiętała dokładnie, jak matka wyglądała tego dnia, jak błyszczały jej brązowe oczy, i ten turkusowy szal z szyfonu, który owinęła wokół szyi. Caroline zaczęła mówić bardzo szybko, słowa potykały się jedno o drugie, patrzyła przez ramię na Rose, żeby zakomunikować jej wielką nowinę.



– Chodzi o cukierki – wyjaśniła. – Właściwie o krówki. Chociaż inne niż krówki. Lepsze niż krówki. Po prostu boskie. Czy kiedyś w ogóle je jadłyście?

Rose i Maggie pokręciły głowami.

– Czytałam w „Newsweeku” o kobiecie, która piekła serniki – Caroline mówiła trochę bez ładu i składu, zbyt szybko biorąc zakręt i zbyt gwałtownie hamując na światłach. – I wszyscy jej przyjaciele i znajomi zachwycali się nimi, i najpierw jeden supermarket w pobliżu jej domu zaczął je sprzedawać, a potem znalazła dystrybutora i teraz jej serniki sprzedają się w jedenastu stanach. Jedenastu!

Chór klaksonów odezwał się za nimi.

– Mamo – ponagliła Rose – zielone.

– Dobrze, dobrze – wymamrotała Caroline, naciskając pedał gazu. – No, więc ostatniej nocy myślałam o tym; co prawda, nie umiem piec serników, ale umiem robić krówki. Moja mama robi najlepsze krówki na całym świecie, z orzechami włoskimi, więc zadzwoniłam do niej, w ogóle się nie kładłam, i robiłam kolejne partie krówek, dwa razy musiałam wychodzić do sklepu, i oto proszę! Szarpnęła kierownicą w bok, wjeżdżając na stację benzynową. Rose zauważyła, że paznokcie Caroline były połamane i pobrudzone czymś, co przypominało brązową sadzę, jak gdyby kopała w ziemi.

– Proszę! Spróbujcie! – Sięgnęła do torebki i ich oczom ukazały się dwa kwadraciki opakowane w pergamin.

– Krówki R i M – przeczytały napis, według Rose wykonany kredką do oczu.

– Oczywiście musiałam improwizować, opakowanie trzeba zmienić, ale skosztujcie i powiedzcie, czy nie są to najlepsze krówki, jakie jadłyście

w życiu!

Rose i Maggie rozpakowały krówki.

– Pyszne – powiedziała Maggie z pełną buzią.

– Yhm... pycha – potwierdziła Rose, z trudnością przelękając grudkę cukierka, która ugrzęzła jej w gardle.

– R i M to oczywiście Rose i Maggie! – wyjaśniła ich matka, ponownie ruszając.

– Dlaczego nie M i R? – zapytała Maggie.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Rose.

– Do Lorda i Taylora – odpowiedziała wesoło mama. – Myślałam, oczywiście, o supermarketach, ale doszłam do wniosku, że to nie zwykły artykuł spożywczy, ale raczej coś dla smakosza, powinien być sprzedawany w sklepach ze słodyczami i delikatesami.

– Czy tata o tym wie? – zapytała Rose.

– Zrobimy mu niespodziankę – roześmiała się Caroline. – Zdejmijcie swetry i sprawdźcie, czy macie czyste buzie. Dziewczynki, czeka nas spotkanie w interesach!

Rose odwróciła się na bok, przypominając sobie resztę tego dnia: uprzejmy uśmiech dyrektora, gdy jej matka odwróciła swoją torebkę do góry dnem nad ladą ze sztuczną biżuterią i wysypała około dwóch tuzinów kwadracików opakowanych w pergamin z napisem „R & M” (i dwa kwadraciki z lustrzanym napisem „M & R”, który Maggie zdążyła zmienić w samochodzie). Jak zabrała je potem na górę, do działu dziecięcego i kupiła im gustowne muffki z królika. Jak zjadły lunch w restauracji u Lorda i Taylora, kanapki z serem, śmietaną i oliwkami, z odkrojonymi skórkami, małe ogórki kiszzone, niewiele większe od małego palca Rose, biszkopt z truskawkami i bitą śmietaną. Jak pięknie wyglądała ich matka – jej płonące

różowym blaskiem policzki, roziskrzzone oczy, jej ręce trzepoczące jak skrzydła ptaka – ignorująca własny posiłek, gdy roztaczała przed nimi swoje koncepcje handlowe, plany marketingowe, przekonując, że R & M staną się tak popularne, jak Keebler czy Nabisco.

– Na początek to nic wielkiego, dziewczynki, ale od czegoś trzeba zacząć – mówiła.

Maggie pokiwała głową i powtórzyła Caroline, jak dobre są jej krówki, po czym poprosiła o jeszcze jedną kanapkę i ciasto, a Rose siedziała, starając się wmusić w siebie kilka kęsów lunchu i zastanawiając się, czy jest jedyną osobą, która zauważyła podniesione brwi dyrektora i jego zbyt uprzejmy uśmiech, gdy cukierki kaskadą spadały na kontuar. Po lunchu przeszły przez pasaż.

– Każda dostanie dzisiaj jeden prezent – powiedziała mama. – Co tylko chcecie, cokolwiek!

Rose poprosiła o książkę z Nancy Drew. Maggie chciała szczeniaka. Mama nie wahała się.

– Oczywiście, szczeniak – powiedziała, podnosząc głos. Rose zauważyła, że inni klienci przyglądali się im – dwóm dziewczynkom w odświętnych sukienkach i kobiecie w spódnicy w czerwone maki, z turkusowym szalem, wysokiej i pięknej, niosącej sześć toreb z zakupami i mówiącej zbyt entuzjastycznie.

– Powinniśmy byli kupić szczeniaka już dawno temu!

– Tata jest uczulony – zauważyła Rose. Jej matka albo nie usłyszała, albo nie chciała słyszeć. Chwyła córki za ręce i pociągnęła je do sklepu zoologicznego, gdzie Maggie wybrała małą, jasnobrązową cocker-spanielkę i nazwała ją Misią–Pysią.

– Mama była zwariowana, ale zabawna, prawda? – zapytała Maggie

tym swoim głosem jakby wydobywającym się z podmorskich głębin.

– Taa – zamyśliła się Rose, przypominając sobie, jak wróciły do domu obładowane zakupami, z kartonowym pudłem i Misią– Pysią w środku, do ojca, który siedział na kanapie, wciąż jeszcze w swoim biurowym garniturze i krawacie, i czekał.

– Dziewczynki, idźcie do siebie – powiedział, biorąc Caroline za rękę i prowadząc do kuchni. Rose i Maggie, niosąc Misię– Pysię wciąż jeszcze w kartonie, cicho weszły schodami na górę, ale nawet przez zamknięte drzwi pokoju słyszały podniesiony głos matki, przechodzący stopniowo w pisk. Michael, to był dobry pomysł, całkowicie uzasadniony pomysł na zrobienie interesu, nie ma powodu, dla którego miałyby się nie udać, i po prostu zrobiłam dziewczynkom przyjemność, kupując kilka rzeczy, jestem ich matką, mogę robić, na co mam ochotę, raz na jakiś czas mogę pozwolić im nie pójść do szkoły, to bez znaczenia, spędziłyśmy naprawdę przyjemny dzień. Michael, szczególny dzień, dzień, którego nigdy nie zapomnę, przepraszam, że zapomniałam powiadomić szkołę, ale nie powinieneś być się martwić, były ze mną, a JA JESTEM ICH MATKĄ JESTEM ICH MATKĄ JESTEM ICH MATKĄ...

– Och, nie – wyszeptała Maggie, gdy szczeniak zaczął skomleć. – Kłóć się? To nasza wina?

– Ciii – powiedziała Rose. Wzięła szczeniaka na rękę. Kciuk Maggie ukradkiem powędrował do buzi, gdy przytuliła się do siostry, i tak siedząc, w milczeniu słuchały krzyków swojej matki, teraz przerywanych odgłosem rzucanych i rozbijanych przedmiotów, oraz stłumionego głosu ojca, który wydawał się powtarzać jedno słowo: Proszę.

– Jak długo mieliśmy Misię– Pysię? – zapytała Maggie. Rose przekręciła się w fotelu i usiłowała przypomnieć sobie, ile to trwało.

– Chyba jeden dzień – powiedziała. Wspomnienia powróciły. Następnego dnia rano wstała wcześnie, żeby wyprowadzić psa. W korytarzu było ciemno; drzwi sypialni rodziców pozostały zamknięte. Ojciec siedział sam przy stole w kuchni.

– Mama odpoczywa – powiedział. – Czy mogłabyś zająć się psem? I zrobić śniadanie dla siebie i Maggie?

– Dobrze – zgodziła się Rose. Popatrzyła na ojca uważnie. – Czy mama... czy z mamą wszystko w porządku?

Ojciec westchnął i poprawił gazetę.

– Jest po prostu zmęczona, Rose. Odpoczywa. Postarajcie się zachowywać cicho i pozwólcie jej wypocząć. Zajmij się siostrą.

– Dobrze – obiecała Rose. Gdy wróciła tego dnia ze szkoły, psa już nie było. Drzwi sypialni rodziców wciąż były zamknięte. A ona dziś, dwadzieścia dwa lata później, wciąż dotrzymuje danej wtedy obietnicy, wciąż zajmuje się Maggie.

– To naprawdę były dobre krówki, prawda? – zapytała Maggie.

W ciemności jej głos brzmiał tak, jakby znów miała sześć lat – szczęśliwa i pełna nadziei, wesola, mała dziewczynka, która chciała wierzyć we wszystko, co mówiła mama.

– Były pyszne – przyznała Rose. – Dobranoc, Maggie – dodała tonem, który, miała nadzieję, nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że nie była zainteresowana dalszą rozmową.

Gdy Jim Danvers następnego dnia otworzył oczy, był w łóżku sam. Rozciągnął się, podrapał, wstał, owinał ręcznik wokół bioder i wyruszył poszukać Rose.

Drzwi łazienki były zamknięte od środka, słyszał za nimi szum płynącej wody. Zapukał delikatnie, słodko, kusząco, uwodzicielsko nawet,

wyobrażając sobie Rose pod prysznicem, jej zaróżowioną i rozgrzaną skórę, koraliki wody na jej nagich piersiach...

Drzwi otwarły się i pojawiła się w nich dziewczyna, która nie była Rose.

– Cześć – bąknął Jim, próbując powiedzieć naraz „cześć” i „kim jesteś?”

Nieznajoma była szczupła, z długimi, czerwono– rudymi włosami upiętymi na czubku głowy, delikatną twarzą w kształcie serca i pełnymi różowymi ustami. Miała pomalowane paznokcie u nóg, opalone nogi, które ciągnęły się do samego nieba i twarde brodawki (nie mógł nic poradzić na to, że zauważył) wyraźnie rysujące się pod lekko wytartym z przodu T–shirtem. Skrzywiła się, jeszcze nieco sennie.

– Czy to w ogóle było po angielsku? – zapytała. Miała duże, brązowe oczy, podmalowane ołówkiem i rozmazanym we śnie tuszem; surowe i czujne, kolor jak u Rose, a jednak zupełnie inne.

Jim ponowił próbę.

– Cześć – powiedział. – Czy, eee, Rose jest gdzieś w pobliżu?

Nieznajoma skierowała swój kciuk w kierunku kuchni.

– Tam – wskazała. Oparła się o ścianę. Jim uświadomił sobie, że ręcznik jest jedyną częścią garderoby, jaką ma na sobie. Dziewczyna stojąc jedną nogą na podłodze, drugą przełożyła do tyłu, opierając stopę płasko o ścianę i badała go wzrokiem, wolno wodząc oczami w górę i w dół.

– Mieszkasz razem z Rose? – zgadywał, nie mogąc sobie przypomnieć, czy Rose wspominała o współlokatorce.

Dziewczyna pokręciła głową, dokładnie w momencie, gdy Rose wyłoniła się z kuchni, całkowicie ubrana, buty i szminka na właściwych im miejscach, z dwoma filiżankami kawy w rękach.

– Och! – zatrzymała się tak gwałtownie, że kawa wylała się, parząc jej nadgarstki i plamiąc bluzkę. – O, zdążyliście się poznać?

Jim w milczeniu pokręcił głową. Dziewczyna nie odezwała się... po prostu dalej mu się przypatrywała, a na jej twarzy gościł teraz subtelny, tajemniczy uśmiezek.

– Maggie, to jest Jim – przedstawiła ich sobie Rose. – Jim, to jest Maggie Feller. Moja siostra.

– Cześć – powiedział Jim i kiwnął głową, mocno trzymając ręcznik.

Maggie lekko skinęła. Stali tak przez moment we trójkę, Jim czując się trochę głupio w swoim ręczniku, Rose z kawą kapiącą z rękawów i Maggie krążąca wzrokiem tam i z powrotem pomiędzy nimi.

– Maggie przyszła wczoraj w nocy – poinformowała Rose. – Była na imprezie ze swoją dawną klasą i...

– Nie sądzę, aby szczegóły były tu konieczne – przerwała jej Maggie.

– Wystarczy, że poczeka na kolejny odcinek Prawdziwej Historii Hollywoodu, jak wszyscy pozostali.

– Przepraszam.

Maggie pociągnęła nosem, odwróciła się na pięcie i oddaliła w stronę pokoju. Rose westchnęła.

– Przepraszam – powtórzyła, tym razem w stronę Jima. – W jej przypadku zawsze mamy do czynienia z przedstawieniem.

Jim kiwnął głową.

– Hej – powiedział cicho. – Chcę wiedzieć wszystko. Daj mi tylko minutę... – dodał robiąc głową ruch w kierunku łazienki.

– Och! – zawstydzila się Rose. – Och, przepraszam.

– Nie przejmuj się – powiedział szeptem, po czym poczuła jego zarost na swoim policzku i szyi. Zadrzała, ale na szczęście tym razem kawa, która

pozostała jeszcze w filiżankach, się nie rozlała.

Gdy pół godziny później Rose i Jim wychodzili, Maggie była z powrotem na kanapie. Jedna goła stopa i gładka naga łydka wystawały spod koca. Rose była pewna, że Maggie nie spała. Była przekonana, że wszystko to – opalona krągłość jej nogi, szkarłatne paznokcie – było rozmyślnie zaplanowanym, wyreżyserowanym pokazem. Ponagliła Jima do drzwi, myśląc jednocześnie, że właśnie tego życzyła sobie jej siostra – zagrać zalotną piękność o poranku w najbardziej klasycznym, hollywoodzkim stylu. Nieco rozmazana, olśniewająca, doskonała; powolny trzepot rzęs, zadowolony uśmiech. Tak więc Maggie była tą rozmazaną, seksowną i zachwycającą, podczas gdy ona, Rose, krzątała się wokół jak Betty Crocker, proponując ludziom kawę.

– Pracujesz dziś? – zapytał Jim. Skinęła głową.

– Praca w weekendy – zamyślił się na chwilę. – Zapomniałem już, co znaczy być zwykłym prawnikiem. Przy drzwiach pocałował ją na do widzenia – szybkie, rzeczowe muśnięcie – i zajrzał do portfela po kwit parkingowy – Ooo! – zdziwił się, marszcząc brwi. – Przysięgłbym, że miałem tu stówę...

„Maggie – pomyślała Rose, sięgając do portmonetki po dwadzieścia dolarów. – Maggie, Maggie, Maggie. A ja muszę płacić. Zawsze to samo”.



## 2

Poranek. Ella Hirsch leżała sama w środku swojego łóżka, starając się ocenić różnorakie nękające ją bóle, dolegliwości, strzykania i strapienia. Zaczęła od dokuczającej lewej kostki, przechodząc następnie do rwania w prawym boku, zatrzymała się na chwilę przy jelitach, które wydawały się jednocześnie puste i związane w supeł, powoli przeszła dalej w górę, poprzez piersi, które kurczyły się z każdym rokiem, do oczu (udana operacja katarakty w zeszłym miesiącu), by skończyć na włosach, niemodnie długich i zafarbowanych na ciepły, kasztanowy kolor – ta odrobina próżności, na jaką sobie pozwalała.

„Całkiem niezłe”, pomyślała, wyciągając najpierw lewą, później prawą nogę z łóżka, delikatnie opierając stopy na chłodnej, wykafelkowanej podłodze. Jej mąż, Ira, zawsze sprzeciwiał się kafelkom.

– Za twarde! – mawiał. – I za zimne!

Tak więc, mieli w domu wykładziny dywanowe. W kolorze beżowym.

Wkrótce po tym, jak jej pan i władca zmarł, Ella złapała za telefon, a dwa tygodnie później nie było już dywanu, za to ona miała swoje płytki – kremowobiały marmur, którego gładź tak lubiła czuć pod stopami.

Położyła ręce na udach, przechyliła się do tyłu, potem do przodu, raz, i jeszcze raz i z trudnością, lekko pojękując, wstała ze swojego łoża królewskich rozmiarów – jej drugi nabytek po śmierci Iry Był poniedziałek po Święcie Dziękczynienia i Golden Acres, „idealne miejsce dla aktywnych seniorów na emeryturze”, było wyjątkowo spokojne, ponieważ większość owych aktywnych seniorów spędzała święta z dziećmi i wnukami. Ella też świętowała na swój własny, skromny sposób. Zjadła kanapkę z indykiem. Wygładziła kołdrę i pomyślała o dniu, który miała przed sobą: śniadanie,

wiersz, który musi dokończyć, osiedlowy meleks do przystanku, autobus do schroniska dla zwierząt, gdzie ma dziś dyżur jako wolontariuszka. Potem do domu na lunch i drzemkę, i może poczyta godzinę lub dwie – była w połowie nagrywania zbioru nowel Margaret Atwood na kasetę dla niewidzących. Kolację jadła wcześniej. Czwarta to w tych stronach nieco późna godzina na kolację – słyszała, jak ktoś żartuje, i było to śmieszne, bo prawdziwe.

Potem Noc Filmowa w klubie. Kolejny nic nie znaczący dzień wypełniony, w miarę możliwości, po brzegi.

Zrobiła błąd przeprowadzając się tutaj. Floryda to był pomysł Iry.

– Zaczniemy od nowa – powiedział, rozkładając wachlarz broszur na stole kuchennym. Światło odbijało się od jego postępującej łysiny, złotego zegarka i obrączki. Ledwie spojrzała na błyszczące zdjęcia przedstawiające piaszczyste plaże, morską pianę i palmy, białe budynki z ruchomymi schodami i podjazdami dla wózków inwalidzkich, kabiny prysznicowe wyposażone we wszelkiego rodzaju uchwyty z nierdzewnej stali. Uważała, że Golden Acres, czy każde inne z tuzina podobnych osiedli – ośrodków dla emerytów, będzie dobrą kryjówką. Żadnych starych znajomych i sąsiadów spotykanych na poczcie czy w sklepie spożywczym, w geście współczucia i pocieszenia kładących rękę na jej przedramieniu i pytających: „Jak się trzymacie z Irą? Ile to już minęło?”. Pakując swój dom w Michigan czuła prawie szczęście, prawie nadzieję. Nie wiedziała, nigdy by nie zgadła i przenigdy nie domyśliła się, że w społeczności emerytów takiej jak Golden Acres, rację bytu stanowiły dzieci. „Tego nie mówili w broszurach – myślała gorzko – nie mówili, że w każdym salonie, który odwiedzę, każde wolne miejsce wypełnione zostanie wcześniej czy później zdjęciami dzieci, wnuków i prawnuków. Że każda rozmowa ostatecznie zawsze skieruje się w

stronę tego najcenniejszego towaru. Mojej córce bardzo podobał się ten film. Mój syn kupił dokładnie taki sam samochód. Moja wnuczka idzie do college'u. Mój wnuk powiedział, że ten senator to oszust".

Ella trzymała się z daleka od innych kobiet. Była permanentnie zajęta. Schronisko dla zwierząt, szpital, dostarczanie posiłków do domów, pomoc w bibliotece, metkowanie artykułów w sklepie prowadzonym przez organizacje dobroczynne, własna rubryka w tygodniku Golden Acres.

Tego ranka usiadła przy stole w kuchni, z filiżanką gorącej herbaty w zasięgu ręki. Słońce odbijało się w błyszczących kafelkach, gdy wyciągała notes i ołówek. Miała zamiar skończyć wiersz, który zaczęła w zeszłym tygodniu. Nie, żeby była jakąś mistrzynią poezji, ale Lewis Feldman, wydawca „Golden Acres Gazette”, przyszedł do niej zdesperowany po tym, jak etatowa poetka złamała biodro, więc się zgodziła. Termin mijał w środę, a wtorek postanowiła zarezerwować na ewentualne poprawki.

„TYLKO DLATEGO, ŻE JESTEM STARA”, tak brzmiał tytuł, który wymyśliła.

„TYLKO DLATEGO, ŻE JESTEM STARA”, zaczynał się wiersz, „I szybkość ruchów już nie ta sama, że włosy posiwiały już i potrzebuję więcej snu...”

Dotąd doszła. Wypiła łyk herbaty, zamyślając się. Tylko dlatego, że była stara... no, właśnie, co?

„NIE JESTEM NIEWIDZIALNA” – napisała dużymi, drukowanymi literami. Potem skreśliła. To nie była prawda. Czowała, że gdy skończyła sześćdziesiąt lat, została w jakiś sposób wymazana i przez ostatnich osiemnaście była właśnie niewidzialna. Prawdziwi ludzie – młodzi ludzie – patrzyli na nią, jak gdyby jej tam tak naprawdę nie było. Ale trudno będzie znaleźć dobry rym do „niewidzialna”. Zdecydowała się jednak wrócić do

„niewidzialna” i pod spodem napisała, Wciąż coś znaczę”. Tu powinno być łatwiej... ale teraz z czym to się rymuje? „Znaczę... znaczenie – jedzenie”. „Znaczę – wyglądam inaczej”. „Znaczę – utylam i wyglądam inaczej”. To jest to! Dobrze. Coś, z czym tutejsi mieszkańcy się zidentyfikują. Szczególnie, pomyślała z uśmiechem, jej prawie– przyjaciółka, Dora, z którą razem pracowały w sklepie. Dora nosiła wszystkie ubrania z serii wyszczuplająco– ściągających i zawsze na deser zamawiała bitą śmietanę.

– Przez siedemdziesiąt lat uważałam na to, co jem – mawiała, nakładając na łyżeczkę kolejną porcję ciepłej szarlotki lub sernika. – Mojego Mortiego już nie ma, więc czym mam się przejmować?

„Wciąż coś znaczę. Nawet jeśli utylam i wyglądam inaczej, ciągle tu jestem” – napisała. – „I z mego zacisza słyszę wszystkie wokół odgłosy życia...”

Co było prawdą – zamyśliła się. Z tym że odgłosy życia w Golden Acres to, jeśli miała być całkowicie szczerą, warkot samochodów, od czasu do czasu ryk syreny pogotowia, kłótnie o to, że ktoś zostawił ubrania we wspólnej suszarce na końcu korytarza czy wrzucił plastikowe butelki do pojemnika z napisem „szkło”. Niekoniecznie ulubione tematy poetów.

„Łagodny plusk oceanu w dali” – napisała zamiast tego. „Perlisy dziecięcy śmiech. Melodię słonecznych uśmiechów wśród drzew”.

Tak. To brzmiało nieźle. Część o oceanie mogła się nawet zdarzyć – Golden Acres było od niego oddalone tylko o półtora kilometra. Meleks tam dojeżdżał. No, i „melodia słonecznych uśmiechów...”. Lewisowi się spodoba. W swoim życiu przed osiedleniem się w Golden Acres prowadził sieć sklepów z artykułami żelaznymi w Utica w stanie Nowy Jork. O wiele bardziej przypasowała mu działalność wydawnicza, „gazeciarstwo” – jak sam to nazywa. Ilekroć go widziała, zawsze miał wetknięty za ucho

specjalny, czerwony ołówek, jak gdyby w każdej chwili mógł zostać wezwany, by machnąć jakiś nagłówek lub zredagować tekst.

Ella zamknęła notes i napiła się herbaty. Ósma trzydzieści, a już robiło się gorąco. Wstała z krzesła, myśląc tylko o swoim zapełnionym po brzegi zajęciami dnia i całym tygodniu, które miała przed sobą. Tyle że idąc usłyszała coś, o czym przed chwilą pisała w swoim wierszu – dziecięcy śmiech. Chłopcy – łatwo było rozpoznać. Słyszała ich krzyki, człapanie sandałów, gdy biegali tam i z powrotem po korytarzu pod jej drzwiami, goniąc za uciekającymi teraz w popłochu niewielkimi kameleonami, które zwykle wylegają się na słońcu, najczęściej na parapecie. „Wnuki Mavis Gold”, pomyślała. Mavis wspominała, że spodziewa się wizyty.

– Mam jednego! Mam go! – zawołał któryś z chłopców podnieconym głosem. Ella zamknęła oczy. Powinna teraz wyjść i powiedzieć im, że kameleony miały o wiele więcej powodów, by bać się ich chłopięcych, niezgrabnych, spoconych dłoni i palców niż oni kameleonów. Powinna iść i powiedzieć, żeby zachowywali się ciszej, zanim pan Boehr z 6– B zacznie krzyczeć, informując wszystkich o swojej bezsenności.

Zamiast tego odwróciła twarz od okna, nim pozwoliła sobie odsłonić żaluzje i spojrzeć na chłopców. Dzieci... to bolało, chociaż minęło ponad pięćdziesiąt lat, odkąd jej córka była dzieckiem, i ponad dwadzieścia, odkąd ostatnio widziała swoje wnuczki. Zacisnęła usta tak, że na twarzy widoczna została tylko cienka linia, i zdecydowanym krokiem przeszła do łazienki. Dziś nie będzie myśleć o córce, której już nie ma, ani o wnuczkach, których nigdy nie pozna, o życiu, które jej zabrano, wyrwano, wycięto tak dokładnie i całkowicie jak guz. Nie został nawet najmniejszy namacalny ślad jego istnienia, nawet blizna, na którą mogłaby patrzeć i która by je przypominała.

### 3

"Więcej i więcej" – Rose zaczynała podejrzewać, że jej szef stracił rozum. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że większość ludzi postrzega swojego szefa jako kogoś nie do końca normalnego. Wszyscy jej przyjaciele – na przykład Amy – mieli swoją porcję zarzutów: wygórowane wymagania, brak zrozumienia, klepanie po tyłku na zakrapianych alkoholem firmowych piknikach. Ale teraz, wchodząc do sali konferencyjnej na pogadankę, która dzięki Donowi Dommelowi stała się piątkowo–popołudniowym rytuałem, Rose po raz kolejny musiała wziąć pod uwagę realną możliwość, że jednego ze współników – założycieli jej firmy nie można po prostu określić mianem oryginała czy ekscentryka, ani żadnym innym z tych uprzejmie brzmiących rzeczowników zarezerwowanych dla ludzi na stanowiskach. On, słowo honoru, faktycznie był najprawdziwszym świrem.

– Ludzie! – grzmiał bohater tej godziny waląc pięścią w wykonany w PowerPointcie wykres zaksięgowanych godzin pracy. – STAĆ nas na WIĘCEJ niż TO! TO, co tu widzę – kontynuował – wygląda DOBRZE, ale nie BARDZO DOBRZE. A z naszym potencjałem nawet BARDZO DOBRZE to jeszcze wciąż ZA MAŁO! Musimy ODBIĆ SIĘ od przeciętności i zdążyć TAK OTTO do ABSOLUTNEJ doskonałości!

– Że co? – wymamrotał kolega po prawej stronie. Miał kręcone, rude włosy, a jego skóra, biała jak chude mleko, bez krzty opalenizny była w tym miejscu zaszczytną odznaką. Stanowiła nieomylny znak, że wyrobił swoje minimum godzin i w związku z tym niewiele z tego miał. Simon Jakiśtam – pomyślała Rose. Wzruszyła ramionami zamiast odpowiedzi i bardziej wbiła się w krzesło. Ile firm prawniczych ma w ogóle pogadanki tego typu? –

pomyślała. Ilu prawników otrzymało w zeszłym roku premię świąteczną w postaci wykonanej na zamówienie deskorolki z napisem „PRAWO DOMMELA” zamiast, zwyczajowo, gotówki? Ilu dyrektorów wygłaszało cotygodniowe przemowy, używając prawie wyłącznie sportowych przenośni, po których włączana była płyta, o wiele za głośno, z kolejnym wykonaniem zawsze tego samego utworu, a mianowicie *I believe I can fly*? W ogóle ile firm prawniczych miało swoją pieśń przewodnią?

Niewiele, pomyślała cierpko Rose.

– Ten OTTO to facet czy rzecz? – nie ustępował Simon Jakiśtam.

Rose ponownie wzruszyła ramionami, mając tylko nadzieję, że tym razem wzrok Dommela Ekstremalnego nie spocznie na niej, jak tydzień temu. Rose wiedziała, że Don Dommel zawsze był typem sportowca. Lata siedemdziesiąte upłynęły mu pod znakiem joggingu, w osiemdziesiątych był w szczytowej formie, wziął nawet udział w kilku triathlonach, zanim z zapalem rzucił się w nowy, wspaniały świat sportów ekstremalnych, pociągając za sobą swoją firmę. W pewnym momencie, po ukończeniu pięćdziesiątki, Don Dommel doszedł do wniosku, że ćwiczenia konwencjonalne, niezależnie jak forsowne, po prostu nie wystarczają. Donowi Dommelowi nie wystarczała sprawdzona dobra kondycja, chciał być szacowny i zarazem na czasie, radykalny i jednocześnie wyluzowany. Don Dommel chciał być pięćdziesięcioletnim prawnikiem na deskorolce. Don Dommel ewidentnie nie dostrzegał sprzeczności między powyższymi. Zamówił dwie specjalne deskorolki i znalazł sobie trenera w osobie wprawionego w bojach młodzieńca, który praktycznie mieszkał w Love Park (formalnie chłopak pracował w kancelarii na dole, ale nikt nigdy nie zdołał zobaczyć tam więcej niż końcówki jego dredów). Wybudował specjalne drewniane rynny w podziemnym parkingu firmowym i spędzał

tam na swojej desce każdą przerwę na lunch, nawet gdy złamał nadgarstek i potłukł sobie kość ogonową tak, że zaczął utykać w bardzo specyficzny sposób, jakby nieudolnie próbował udawać transwestytę. Jednak fakt, że sam postanowił zostać wielkomięskim wojownikiem, nie wystarczał. Jego wizja obejmowała również firmę w całej rozciągłości. W któryś z kolejnych piątków Rose znalazła wśród swojej biurowej poczty kamizelkę z własnym nazwiskiem wydrukowanym na plecach tuż nad słowami „I can fly!”.

– Błagam – powiedziała do sekretarki. – Z ledwością chodzę, nim nie wypiję porannej kawy. Nie była to jednak kwestia wyboru. Okólnik w postaci e-maila powiadał, że wszyscy pracownicy powinni nosić ów strój w każdy piątek. Tydzień później, gdy już z niechęcią narzuciła kamizelkę na ramiona, podstawiła swój kubek do automatu z kawą. Okazało się, że płynie z niego, podobnie jak z wszystkich innych automatów w firmie, tylko Gatorade, które, jak ostatnio sprawdziła, było wyłącznie i całkowicie bezkofeinowe. Co z kolei oznaczało, że w jej przypadku na niewiele się zda. Tak więc siedziała teraz z nieszczęśliwą miną mniej więcej w połowie trzeciego rzędu, w swojej kamizelce oznajmiającej, że potrafi latać, popijając gorący napój wzmacniający i żałując, że to nie kawa.

– To staje się śmieszne – wymamrotała do siebie, gdy Dommel skończył z aktualnym tematem dnia („Skuteczne przesłuchania”, przypomniawszy sobie) na rzecz prezentacji urywków kasety wideo z Tonym Hawkiem – mistrzem deskorolki.

– Psst – powiedział Simon kątem ust, podczas gdy Dommel właśnie darł się na kulących się aplikantów (WY! CZY WIERZYCIE, ŻE MOŻECIE SIĘ WZBIĆ PONAD ZIEMIĘ I POSZYBOWAĆ?)

Rose spojrzała na niego.

– Psst? Powiedziałeś „psst”? Jesteśmy w powieści detektywistycznej?



Simon uniósł przesadnie brwi, udając, że sprawdza, czy nikt ich nie podgląda i otworzył papierową torbę. Nos Rose drgnął podrażniony zapachem kawy. Poczula, że leci jej ślinka.

– Masz ochotę? – zapytał szeptem.

Zawahała się, rozejrzała wokół, wzięła pod uwagę fakt, że *savoir-vivre* opowiada się przeciwko picciu kawy z czyjegóż kubka, a potem uznała, że jeśli nie dostarczy swojemu organizmowi porcji kofeiny, przez resztę dnia będzie tylko roztrzęsim, beużytecznym strzępem człowieka. Kiwnęła głową i szybko przełknęła.

– Dzięki – wyszeptała. Simon skinął i właśnie w tym momencie sięgnął go rozgrzany do białości wzrok Dona Dommela.

– TY! – ryknął Dommel – JAKIE JEST TWOJE MARZENIE?

– Mieć metr dziewięćdziesiąt pięć – bez chwili wahania odpowiedział Simon. Z tyłu sali dobiegł lekki śmiech. – I grać w drużynie Skersów – śmiech narastał. Don Dommel stał na scenie i wyglądał na nieco zdezorientowanego, jak gdyby widownia lojalnych pracowników zamieniła się w stado osłów – Może nie w ataku. Byłbym szczęśliwy grając w obronie – ciągnął. – Ale jeśli to okaże się niemożliwe... – Zrobił przerwę i spojrzał na Dona Dommela. – W zupełności zadowolili mnie bycie dobrym prawnikiem.

Rose zachichotała. Don Dommel otworzył usta, potem je zamknął, a potem, utykając po swojemu, przeszedł przez scenę.

– I TO! – ogłosił ostatecznie – TO JEST WŁAŚCIWE PODEJŚCIE, dokładnie O TO mi chodzi. A teraz, niech KAŻDY Z WAS, CO DO JEDNEGO wróci do SIEBIE i ZASTANOWI SIĘ nad sobą. Potrzebujemy ZWYCIĘZCÓW! Czy jesteś ZWYCIĘZCĄ? – podsumował.

Rose zdjęła kamizelkę i wepchnęła ją do torebki, zanim Dommel

skończył przemówienie.

– Proszę – Simon podał jej kubek z kawą. – Mam więcej w biurze, jeśli ci smakuje.

– O, dzięki – powiedziała, biorąc kawę do ręki, a wzrokiem wciąż przeczesując wychodzących w poszukiwaniu Jima. Dogoniła go przy recepcji.

– Co to, na Boga, było? – zapytała.

– Porozmawiajmy o tym w moim biurze, zapraszam – powiedział na użytek wszystkich, którzy mogli go słyszeć, z szelmowskim uśmiechem przeznaczonym tylko dla niej. Zamknął drzwi i wziął ją w ramiona.

– Ymm... Czyżbym wyczuwał małą czarną? – zapytał, całując ją.

– Nie sypnij mnie – Rose oddała pocałunek.

– Nigdy – uniósł ją i posadził na biurku (O Boże, pomyślała Rose, niech tylko nie zrobi sobie krzywdy! ).

– Twoje tajemnice – zamruczał, całując jej szyję – są ze mną – teraz jego usta ślizgały się w dół jej dekoltu, a ręce zajęte były odpinaniem guzików – bezpieczne.

## 4

W poniedziałkowy rano około jedenastej Maggie Feller otworzyła oczy, rozciągając się i prostując ręce nad głową. Rose nie było. Maggie poszła do łazienki, gdzie wypła około jednego litra wody, po czym zaczęła drobiazgową inspekcję swojego tymczasowego siedliska, zaglądając do szafki z lekarstwami, która była tak dobrze zaopatrzona, jakby jej siostra spodziewała się, że jakaś okropna klęska spadnie w najbliższym czasie na Filadelfię, a ona jedyna zostanie wezwana do uratowania całej populacji miasta. Były tam buteleczki ze środkami przeciwbólowymi i na nadkwasotę, gigantyczne opakowanie PeptoBismolu przeciw zgadze i bieguncce, komplet bandaży wystarczający dla całej rodziny i apteczka zatwierdzona przez Czerwony Krzyż. Był przeciwskurczowy Midol i przeciwbólony Advil oraz Nupril, NyQuil zwalczający objawy przeziębienia w nocy i DayQuil zwalczający te same objawy w dzień, syrop na kaszel, tabletki na przeziębienie i tampony.

„Oto kobieta, która potrafi właściwie spożytkować kupony rabatowe w CVS”, pomyślała Maggie, przebierając między bandażami i multiwitaminami, wapnem i nitką dentystyczną, alkoholem do nacierania i wodą utlenioną oraz butelką środka przeciw trądzikowi wydawanego tylko na receptę i czterema nierozpakowanymi szczoteczkami do zębów. Gdzie kredka do oczu? Gdzie róż i korektor, którego jej siostra tak potrzebowała? Maggie nie mogła znaleźć żadnego kosmetyku oprócz zużytej do połowy szminki. Było za to całe pudło kremu do demakijażu – Pond’s cold cream. „Co ta Rose sobie wyobraża? Że ktoś wśliznie się do jej mieszkania w środku nocy, zwiąże ją, nałoży na twarz makijaż i wyjdzie?” Nie było też nawet jednej prezerwatywy czy tubki z kremem plemnikobójczym, chociaż

znalazło się całe, nieotwarte opakowanie Monistatu – tak więc gdyby jej żyjąca w celibacie siostra złapała przez przypadek infekcję, na przykład gdzieś w toalecie, była w pełni przygotowana na tę okoliczność. „Prawdopodobnie była promocja”, prychnęła Maggie, częstując się Midolem.

W łazience brakowało również wagi. Co nie było żadną niespodzianką, biorąc pod uwagę doświadczenia Rose z wagą łazienkową. Gdy były nastolatkami, Sydelle powiesiła na ścianie ich łazienki laminowaną tabelę. Co sobotę rano Rose stawała na wadze, z zamkniętymi oczami i obojętnym wyrazem twarzy, a Sydelle zapisywała odczyt, by następnie usiąść na sedesie i wypytywać Rose, co jadła w minionym tygodniu. Jeszcze dziś Maggie słyszy zbyt słodki głos macochy „Jadłaś sałatkę? Dobrze, z jakim sosem? Bez tłuszczu? Jesteś pewna? Rose, robię to tylko, żeby ci pomóc. Leży mi na sercu twoje dobro”.

„Jasne”, pomyślała Maggie. Tak jakby Sydelle kiedykolwiek była zainteresowana kimkolwiek innym prócz siebie samej i swojej własnej córki. W sypialni Maggie założyła spodnie od dresu swojej siostry i przeszła do kolejnego etapu inwentaryzacji, zbierając, jak to nazywała, Informacje.

– Jesteś bardzo bystrą dziewczynką – zwykła mawiać pani Fried jeszcze w szkole podstawowej. Pani Fried, kobieta z siwymi, kręconymi włosami i imponującym biustem, w okularach na łańcuszku ozdobionym paciorkami i w robionych na drutach kamizelkach, od drugiej do szóstej klasy uczyła Maggie przedmiotu eufemistycznie nazywanego „doksztalcanie (a potocznie znanego jako „lekcje specjalne”). Była bardzo miłą osobą w typie dobrej babci i została sprzymierzeńcem Maggie, szczególnie w czasie pierwszych miesięcy w nowej szkole, zaraz po przeprowadzce.

– Jesteś bystra po części dlatego, że zawsze potrafisz znaleźć nietuzinkowy sposób rozwiązania problemu. Tak więc jeśli nie wiesz, co znaczy jakieś słowo, co robisz?

– Zgaduję? – zgadywała Maggie.

Pani Fried uśmiechnęła się.

– Ja nazwałabym to inaczej – domyślasz się z kontekstu. Chodzi o to, by znaleźć takie rozwiązanie, które zadziała w twoim przypadku. – Maggie pokiwała głową. Pochlebiali jej to i czuła zadowolenie, a nie były to uczucia, które normalnie towarzyszyły jej w trakcie lekcji.

– Wyobraź sobie na przykład, że jedziesz na koncert na Stadion Weteranów, ale jest korek. Wrócisz do domu? Podarujesz sobie koncert?

– Nie – powiedziała pani Fried, zanim Maggie miała szansę zapytać, kto miał grać na tym hipotetycznym koncercie, żeby zorientować się, ile wysiłku warte było całe przedsięwzięcie. – Po prostu znajdziesz inną drogę. I jesteś wystarczająco bystra, by sobie z tym poradzić.

Oprócz wychwytywania znaczenia słów z kontekstu, strategię pani Fried nauczyły Maggie dodawać liczby, jeśli nie umiała ich pomnożyć, dojść do znaczenia danego akapitu poprzez zakreślenie podmiotu i wyszukanie czasowników. Od zakończenia szkoły Maggie wymyśliła kilka własnych strategii, jak na przykład Informacje. Informacje polegały na zdobyciu na temat różnych osób tego typu wiadomości, których te osoby albo nie chciały ujawniać, albo nie spodziewały się, że ktoś może je znać. Informacje zawsze były przydatne i zazwyczaj łatwe do zdobycia. Przez całe lata Maggie ukradkiem dokładnie wczytywała się w rozliczenia kart kredytowych i pamiętniki, studiowała wyciągi bankowe i stare zdjęcia. W szkole średniej zlokalizowała zaczytany egzemplarz Forever pod materacem Rose. Rose przekazywała jej swoje kieszonkowe przez prawie cały rok

szkolny, zanim doszła do wniosku, że było jej wszystko jedno, czy Maggie opowie ojcu o zaznaczonych oślimi uszami stronach ze scenami erotycznymi, czy nie.

Maggie zaczęła teraz myszkować po biurku Rose. Znalazła rachunek za gaz, prąd, telefon i kablówkę wzorowo spięte spinaczem, a także zaadresowane i ostemplowane koperty zwrotne. Był paragon z Tower Records informujący, że Rose zakupiła (i, co gorsze, zapłaciła pełną cenę) egzemplarz największych przebojów George'a Michaela. Maggie włożyła druczek do kieszeni, pewna, że się do czegoś przyda, choć jeszcze nie wiedziała, do czego Paragon od Saksa za parę butów Trzysta dwanaście dolarów. Bardzo ładnie. Plan zajęć z fitness klubu sprzed sześciu miesięcy. Jak zwykle. Maggie zaniknęła szufladę i przeszła do przygnębiającego, jak się spodziewała, terytorium szafy Rose. Przeglądała to, co wisiało na wieszakach, potrząsając głową. Kolorystycznie ubrania Rose przechodziły od czerni do brązu i z powrotem, plus jeden szary sweter dodany ot tak, żeby było weselej. Bure. Bure Bure. Nudne kostiumy równo obok siebie, fatalne bluzki i sweterki oraz pół tuzina spódnic zaprojektowanych, by skończyć się dokładnie na wysokości połowy łydki Rose, jak gdyby wybrała je specjalnie w celu nadania swoim nogom możliwie najgrubszego wyglądu. Maggie oferowała jej pomoc w tym względzie. Ale Rose nie chciała pomocy. Rose uważała, że jej życie jest w porządku. Rose uważała, że to wszyscy inni mają problemy. Był taki czas, gdy były małe, kiedy ludzie brali je za bliźniaczki – obydwie z takimi samymi mysimi ogonkami, identycznymi brązowymi oczami i wyzywająco wysuniętymi do przodu podbródkami. No cóż, te czasy się skończyły. Rose była być może o cztery czy pięć centymetrów wyższa i przynajmniej dwadzieścia kilogramów cięższa, jeśli nie więcej – i Maggie zauważyła minimalne zwiotczałą skórę pod brodą

siostry, początki budzącego postrach drugiego podbródka. Miała w swojej szafie koszule od Lane Bryant, których Maggie bała się nawet dotknąć, choć wiedziała na pewno, że tusza nie jest zakaźna. A Rose po prostu nic to nie obchodziło. Jej włosy, sięgające do ramion, zazwyczaj były niedbale ułożone w kok albo kucyk, albo, jeszcze gorzej, spięte jedną z tych plastikowych klamer, których wszyscy inni ludzie na święcie w cichym porozumieniu postanowili więcej nie używać jakieś pięć lat temu. Maggie nie miała pojęcia, skąd Rose je bierze – może z tych sklepów, gdzie wszystko można kupić za dolara – ale w jakiś tajemniczy sposób jej siostra miała zawsze spory ich zapas, choć Maggie uważała za punkt honoru umieszczenie kilku z nich w koszu, ilekroć ją odwiedzała.

Maggie zrobiła głęboki wdech, odsuwając na bok ostatnią marynarkę i przechodząc do części najbardziej interesującej, którą celowo zostawiła sobie na deser. Buty Buty Rose. Jak zwykle, ten widok ją oczarował. Jednocześnie zrobiło jej się niedobrze, mniej więcej jak dziecku, gdy naje się słodczy w Halloween. Rose, ta gruba, leniwa, niemodna Rose, która nie zwracała sobie głowy ani peelingiem, ani nawilżaniem skóry, ani nawet malowaniem paznokci, jakimś sposobem potrafiła zakupić dziesiątki par absolutnie idealnych, najdoskonalszych butów na świecie. Były płaskie i na szpilkach, buty zapinane na pasek, zamszowe mokasyny tak niesamowicie miękkie, że chciało się do nich przytulić, para sandałów od Chanel, które właściwie były tylko cienką skórzaną podeszwą z odrobiną złotego sznureczka i wstążki. Były też wysokie, błyszczące botki od Gucciego, para cynamonowych, sięgających kostki butów od Stephana Keliana, czerwone damskie kowbojki z ręcznie wyszywanymi papryczkami jalapeno wijącymi się po bokach i para sznurowanych, zielono– malinowych, miękkich, zamszowych butów Hush Puppies; były tu niskie Sigerson Morrison y i

klapki Manolo Blahnik, zamszowe od Steve'a Maddenai i, ciągle jeszcze w opakowaniu, od Saksa, Prady na obcasach w kształcie kieliszka, białe, z biało- żółtymi stokrotkami naszytymi na czubkach. Maggie wstrzymała oddech i przymierzyła. Jak zwykle – tak było ze wszystkimi butami Rose – pasowały jej idealnie.

„To niesprawiedliwe – myślała, maszerując do kuchni w Pradach. – Dokąd właściwie Rose mogłaby pójść w takich butach? Gdzie tu sens? ” Skrzywiła się i otworzyła szafkę. Płatki pełnoziarniste pszenne. Płatki z otrębami. Złote rodzyнки z brązowym ryżem. Jezu Chryste, pomyślała, czy to narodowy tydzień zdrowego jelita grubego? A gdzie Fritos, Cheetos czy Doritos – dosłownie ani grama z całej tak istotnej grupy pożywienia z końcówką „- itos” w nazwie. Pogrzebała w zamrażarce, za wegetariańskimi burgerami i w stu procentach naturalnymi półlitrowymi sorbetami z całych owoców ustawionymi grzecznie w rzędzie trafiła na żyłę złota w postaci New York Superfudge Chunk firmy Ben i Jerry, wciąż w brązowym, papierowym opakowaniu.

„Lody. Rose zawsze jadła lody, gdy było jej źle i chciała poprawić sobie nastrój”, przypomniała sobie Maggie, chwytając za łyżkę i wracając na kanapę, gdzie na stoliku leżała otwarta gazeta wraz z czerwonym długopisem obok. Maggie podniosła ją. Ogłoszenia – duża siostra Rose roztropnie o to zadbała – gotowe do przejrzenia przez Maggie. Oczywiście.

No tak, ładne kwiatki. Było to jedno z wyrażenń pani Fried. Gdy coś poszło w klasie niedobrze – rozlana farba, zgubiona książka – pani Fried składała ręce na piersiach i potrzasała głową, aż jej łańcuszek od okularów zaczynał lekko pobrzękiwać, i mówiła:

– No tak, ładne kwiatki.

Ale nawet pani Fried nie była w stanie tego przewidzieć, stwierdziła



Maggie, jedną ręką sięgając po lody, a drugą zakreślając ogłoszenia. Nawet pani Fried nie mogłaby sobie wyobrazić, że upadek Maggie nastąpi tak szybko. Tak szybko, że Maggie wciąż czuła, jakby gdzieś pomiędzy czternastym a szesnastym rokiem życia stanęła nad wysokim urwistym brzegiem, a potem zrobiła o jeden krok za dużo i od tego momentu ciągle spadała. „Szkola podstawowa i dwie pierwsze klasy gimnazjum były OK”, pomyślała, nabierając kolejną łyżkę lodów i szybko wkładając kolejną porcję chłodnej kremowej masy do ust (nie zauważając, że niechcący pozwoliła spaść jednemu pokrytemu czekoladą orzechowi dokładnie na nowy but). W trakcie wakacji musiała trzy razy w tygodniu chodzić na „dokszałcanie”, ale nawet to nie miało większego znaczenia, bo wciąż była najładniejszą i najzabawniejszą dziewczyną w klasie, do tego najlepiej ubraną, miała zawsze najładniejszy kostium na Halloween, który sama robiła, i najciekawsze pomysły na spędzanie wakacji. Po śmierci matki i przeprowadzce do New Jersey, gdy ojciec popołudniami pracował, Sydelle była na kolejnym zebraniu jakiegoś komitetu społecznego, natomiast Rose, rzecz jasna, zajęta kółkiem szachowym lub przygotowaniem do szkolnej debaty, ona miała wolną chatę i dostęp do otwartego barku. Była lubiana. To Rose uchodziła za ofermę, kujona i ofiarę. Rose, która czaiła się wszędzie w tych swoich grubych okularach zakrywających połowę twarzy i z łupieżem widocznym na ramionach, i to z Rose dziewczyny się wyśmiewały.

Gdy zamknęła oczy, jeszcze dziś była w stanie odtworzyć ze szczegółami pewne wakacyjne popołudnie. Chodziła do czwartej klasy, Rose do szóstej. Tego dnia miały z Marissą Nussbaum i Kim Pratt grać w klasy, gdy Rose spacerowym krokiem weszła właśnie w sam środek gry w dwa ognie, zupełnie tego nieświadoma, z nosem w książce.

– Hej, zwijaj się! – zawołał jeden ze starszych chłopców,

szóstoklasista, a Rose podniosła głowę i spojrzała na niego, nie wiedząc, co się dzieje. „Idź, Rose”, myślała Maggie tak intensywnie, jak tylko mogła, a Kim i Marissa zachichotały. Rose szła dalej, nie przyspieszając, gdy inny z większych chłopców podniósł piłkę i rzucił nią w dziewczynkę z całej siły. Mierzył w tułów, ale niezbyt celnie, i trafił w tył głowy. Okulary Rose sfrunęły na trawnik. Książki wypadły jej z rąk, gdy zatoczyła się do przodu, nogi zaplątały się i upadła na twarz. Serce Maggie przestało bić. Stała jak wryta, podobnie jak grupka szóstoklasistów, którzy spoglądali po sobie nerwowo, jak gdyby próbowali rozstrzygnąć, czy to było jeszcze śmieszne, czy też koleżance coś się stało i będą mieć kłopoty. I wtedy jeden z nich – najprawdopodobniej Sean Perigini, najwyższy w szóstej klasie – zaczął się śmiać. I po chwili już wszyscy się śmiali, wszyscy szóstoklasiści, a potem wszyscy, którzy przyglądali się całemu zajściu, bo Rose, oczywiście, zaczęła płakać, wycierając nos zakrwawioną dłonią i szukając po omacku okularów. A Maggie wciąż tam stała. Jedna jej część wiedziała, że nie powinna im na to pozwalać, podczas gdy inna część myślała okrutnie: „Może wreszcie to do niej dotrze. Jaką jest ofiarą. Ma za swoje. Sama jest sobie winna”. Poza tym Maggie nie była od naprawiania. To działka Rose. Więc stała przez, jak jej się wydawało, nieskończenie długi czas, aż Rose znalazła okulary. Jedno szkło było pęknięte – zauważyła Maggie, gdy Rose zerwała się na równe nogi, zbierając książki i... o, nie! Spodnie jej siostry puściły na tylnym szwie i Maggie oraz wszyscy inni mogli zobaczyć jej majtki, majtki z Pszczółką Mają. W tym momencie wytykanie palcami i śmiech osiągnęły swój histeryczny zenit. „O, nie – pomyślała Maggie, której zrobiło się niedobrze – dlaczego Rose musiała je włożyć akurat dziś?”

– Zapłacisz mi za to! – krzyczała Rose na Seana Perigini, trzymając

potłuczone okulary i nie zdając sobie sprawy, jak wyglądają jej spodnie. Śmiech wzmógł się. Rose przebiegła wzrokiem cały plac, zaczynając od boiska, poprzez huśtawki i drabinki z małymi dziećmi, dalej większe dzieciaki, piąto- i szóstoklasistów, piszczących i poklepujących się nawzajem, niemogących powstrzymać śmiechu, aż w końcu napotkała wzrok Maggie, stojącej między Marissą a Kim na małym skrawku trawnika obok klombu z kwiatami, który był, za niepisaną zgodą wszystkich, zarezerwowany dla najpopularniejszych dziewcząt. Rose zmarszczyła brwi, a Maggie wyczytała w jej oczach nienawiść i ból. Widziała je tak wyraźnie, jakby Rose podeszła do niej i wykrzyczała jej to prosto w twarz.

„Powinnam coś zrobić”, wyszeptał ponownie jej wewnętrzny głos. Ale Maggie dalej stała, słuchając, jak inne dzieci się śmieją, czując, że w pewnym sensie to jest część umowy Ciemna strona umowy, na podstawie której to właśnie ona z nich dwóch jest tą śliczną i lubianą.

„Mnie to nie grozi”, myślała Maggie z wściekłością, podczas gdy jej siostra wytarła twarz, pozbierała książki i, ignorując drwiny, śmiech i skandowanie „Ma- ja! Ma- ju! ”, które kilka dziewcząt z piątej klasy zdążyło podchwycić, powlokła się z powrotem do budynku szkoły Maggie nigdy nie popełniłaby tego błędu i nie weszła w środek dwóch ogni, i zdecydowanie nigdy nie założyłaby bielizny z bohaterką kreskówek. Była bezpieczna, myślała, gdy Rose przez podwójne szklane drzwi weszła do szkoły, kierując się niewątpliwie do gabinetu dyrektora.

– Myślisz, że nic jej się nie stało? – zapytała Kim. A Maggie potrząsnęła pogardliwie głową i powiedziała:

– Myślę, że jest adoptowana.

Kim i Marissa zachichotały, i Maggie też się zaśmiała, chociaż czuła, jak gdzieś w piersi chrzęścił jej żwir. A potem, tak szybko jak piłka w grze

w dwa ognie przecina powietrze, by dosięgnąć jej niczego niespodziewającej się głowy, wszystko się zmieniło. Dokładnie kiedy? Miała czternaście lat, gdzieś pomiędzy gimnazjum, gdy jeszcze szczęśliwie nad swoim życiem panowała, a ogólniakiem, kiedy wszystko się rozleciało. Zaczęło się od standardowego testu przeprowadzanego na początku roku.

– Nie ma się czym martwić – powiedział gimnazjalny odpowiednik pani Fried swoim sztucznie pogodnym tonem. Nowa nauczycielka od „doksztalcania” była brzydka, na twarzy nosiła twardą skorupę makijażu i miała brodawkę tuż koło nosa. Poinformowała Maggie, że może pisać, jak długo chce.

– Poradzisz sobie! Wszystko będzie dobrze!

Ale Maggie wpatrywała się w puste chmurki, które należało wypełnić żółtym ołówkiem numer dwa, czując, jak jej serce zamiera i wiedząc, że wcale nie będzie dobrze. „Jesteś bystrą dziewczynką”, powtarzała jej pani Fried. Ale pani Fried tu nie było, została w szkole podstawowej. Gimnazjum to co innego. A ten test – „Tylko dla naszej wiadomości! Wyniki są poufne!” – jakby podstawił jej nogę i wszystko zniszczył. Nie powinna była znać wyników, ale nauczycielka zostawiła jej test na biurku i Maggie zerknęła, najpierw starając się odczytać litery do góry nogami, a potem chwytając go, odwracając właściwą stroną i czytając całą opinię. Słowa uderzały ją jak młot. „Dysleksja” – stwierdzał komentarz. „Trudności w uczeniu”. Równie dobrze mogliby napisać: „Już nie żyjesz” – pomyślała Maggie, bo takie było ich właściwe znaczenie.

– Maggie, proszę cię, nie wpadajmy w histerię – powiedziała wieczorem Sydelle, po telefonicznej rozmowie z nauczycielką o „poufnych” wynikach testu. – Załatwimy ci korepetycje!

– Nie potrzebuję – burknęła Maggie z wściekłością, czując, jak łyzy

pałą jej gardło. Rose, siedząca w rogu śnieżnobiałego salonu Sydelle, odezwała się, spoglądając znad książki:

– Wiesz, to mogłoby ci pomóc.

– Zaniknij się – wypaliła Maggie, a potem te zakazane słowa wyleciały z jej ust. – Nie jestem głupia, Rose, więc po prostu się zamknij!

– Maggie – zabrał głos ojciec – nikt nie mówi, że jesteś głupia...

– Test mówi, że jestem głupia – odparła Maggie. – I wiecie co? Mam to gdzieś. I czemu musieli jej powiedzieć? – zażądała wyjaśnień, wskazując palcem na Sydelle. – Albo jej? – kontynuowała Maggie, wskazując na Rose. – To nie ich sprawa!

– Chcemy ci tylko pomóc – powiedział Michael Feller, na co Maggie zaczęła krzyczeć, że nie potrzebuje pomocy, nie obchodzi jej ten dumy test, bo jest bystra, tak jak mówiła pani Fried. Nie, nie potrzebuje żadnych korepetycji; nie, nie chce iść do szkoły prywatnej, ma przyjaciół, nie tak jak obecne tu osoby, które mogłaby wymienić, ma przyjaciół, nie jest głupia niezależnie od tego, co mówi test, a nawet jeśli jest, to woli być głupia niż brzydka jak ta czterooka w kącie, nawet jeśli jest głupia, to nic wielkiego, da sobie świetnie radę. Ale nie dawała. W szkole średniej jej koleżanki chodziły na zajęcia o rozszerzonym profilu dla najzdolniejszych, podczas gdy ją wysyłano na lekcje wyrównawcze, bez przyjaznej pani Fried, która zapewniłaby ją, że nie jest kretynką ani debilką i że jej mózg po prostu pracuje trochę inaczej, i że wymyśla swoje sposoby na to, jak zdać do następnej klasy Utknęła w miejscu z obojętnymi nauczycielami – starszymi i wypalonymi zawodowo, którzy chcieli, żeby ich zostawić w spokoju, jak pani Cavetti, która nosiła przekrzywione peruki i używała za dużo perfum, lub pani Learey, która zadawała im czytanekę do zrobienia na lekcji, a sama zajmowała się wypełnianiem albumu nieskończoną ilością zdjęć swoich

wnuków. Maggie szybko zorientowała się, że najgorsi nauczyciele dostawali za karę – za bycie złym nauczycielem – najgorszych uczniów. Najgorsi uczniowie dostawali najgorszych nauczycieli jako karę za bycie biednym lub – głupim. Co w tym osobliwym mieście często interpretowane było jako jedno i to samo. Tak więc, stwierdziła Maggie, jeśli ma być czyjaś kara, będzie się adekwatnie do tych oczekiwań zachowywać. Przestała przynosić do szkoły książki, w zamian taszcząc na lekcje zestaw do makijażu rozmiarów średniej wielkości skrzynki na narzędzia. Podczas wykładu usuwała zmywaczem lakier, w czasie kartkówki nakładała inny odcień zaraz po zakreśleniu wszystkich takich samych odpowiedzi – na przykład A na jednym teście, B na drugim. Testy wyboru to wszystko, na co było stać jej nauczycieli.

– Maggie, podejź do tablicy, proszę – nudziła jedna z takich głównianych nauczycielek. Maggie potrząsała głową, nie podnosząc oczu znad swojego lusterka.

– Przepraszam, niestety, nie mogę! – wołała, poruszając palcami. – Suszę paznokcie!

Powinna wszystko oblewać, powinna powtarzać każdą klasę. Ale nauczyciele przepuszczali ją – prawdopodobnie nie mieli zamiaru oglądać jej drugi rok. A koleżanki oddalały się od niej coraz bardziej i bardziej z każdym rokiem szkolnym. Ostatecznie przepaść była zbyt duża. One grały w hokeja na trawie, należały do samorządu szkolnego, chodziły na kursy przygotowawcze do egzaminu końcowego, jeździły oglądać różne college e, a ona zostawała daleko w tyle. W drugiej klasie liceum Maggie zdecydowała, że jeśli dziewczyny mają ją zamiar ignorować, to chłopcy na pewno tego nie zrobią. Zaczęła upinać włosy w wysoki kok i eksponować dekolt, w czym pomogły jej koronkowe biustonosze z fiszbinami wystające

spod bluzek. Pierwszego dnia szkoły przysłała w dżinsach zapiętych nisko pod pępkiem, które ledwie zakrywały krawędź jej bioder, w wysokich, czarnych, skórzanych butach na obcasach i obcisłej koronkowej bluzce bez ramiączek, kupionej w sklepie z używaną odzieżą, pod wojskową kurtką, którą zwędziła ojcu. Szminka, lakier do paznokci, cień do powiek w ilości wystarczającej do pomalowania niewielkiej ściany, mnóstwo bransoletek z czarnej gumy, i duże, zwisające z włosów kokardki. Wzorowała się na Madonnie, która była jej idolką, a której wideoklipy właśnie zaczęli puszczać na MTV Maggie pożerała każdy najmniejszy strzęp informacji o niej – każdy wywiad w gazecie, każdą wzmiankę – i zdumiewały ją i zachwycały podobieństwa między nimi. Obydwu umarły matki. Obydwie były piękne, obydwie utalentowane tanecznie, od dziecka brały lekcje stepowania i jazz dance'u. Obydwie umiały sobie nieźle radzić w życiu i miały tyle seksapilu, że mogły nim obdzielić bez uszczerbku dla siebie jeszcze kilka osób. Chłopcy ciągnęli więc do niej jak pszczoły do miodu, tłoczyli się przy niej, kupowali papierosy, zapraszali na imprezy, gdzie nie było rodziców, dbali, by jej szklanka była pełna, trzymali za rękę, prowadzili do pustej sypialni lub na tylne siedzenie samochodu, gdy zrobiło się późno. Maggie zabrało to trochę czasu, ale w końcu zauważyła, że nie dzwonili do niej, nie zapraszali na dyskotekę ani nawet nie mówili „cześć” na korytarzu. Płakała z tego powodu – późno w nocy, gdy Rose już spała i nikt jej nie słyszał. Aż wreszcie postanowiła nie rozpaczać. Żaden z nich nie był wart jej łez.

I wszyscy będą żałować za dziesięć lat, gdy ona będzie sławna, a oni nadal nikim, zdani na własne mizerne siły w tym zasranym mieście, otyli, obrzydliwi i nikomu nieznani, totalne zera.

To była szkoła średnia. Funkcjonowała gdzieś na obrzeżach głównego

nurtu życia towarzyskiego jak pies, który dostał kopniaka, ale wciąż nie może zapomnieć czasów, gdy był głaskany i chwalony. Co weekend imprezy, jeśli tylko jacyś rodzice wyjechali. Piwo i wino, jointy albo prochy, aż do kompletnego odurzenia. W końcu doszła do wniosku, że było łatwiej, gdy ona także wypijała trochę za dużo, wszystko było lekko niewyraźne, rozmyte na krawędziach i mogła zobaczyć w ich oczach, co tylko chciała.

A Rose... no, cóż, Rose nie przeszła metamorfozy w stylu Kopciuszka, nie zrzuciła okularów, nie zmieniła fryzury i na balu maturalnym nie zakochał się w niej król futbolu. Niemniej jednak nastąpiły pewne, choć nie tak spektakularne, zmiany. Po pierwsze uporała się z łupieżem, dzięki nie do końca subtelnym aluzjom Maggie, polegającym na zostawianiu pod prysznicem ogromnych butelek Head and Shoulders. Ciągłe nosiła okulary, ubierała się jak ostatnia łachudra, ale gdzieś po drodze znalazła przyjaciółkę – Amy, która była, według Maggie, równie dziwaczna jak Rose – i wydawała się nie martwić faktem, że piękne koleżanki wciąż się z niej śmieją, ignorują ją, i jeszcze od czasu do czasu zwracają się do niej per Pszczółka Maja. Rose należała też do najlepszych uczniów, miała same szóstki z góry na dół. Maggie zlekceważyłaby wszystkie te sprawy jako jeszcze jeden znak towarzyskiej beznadziejności swojej siostry, gdyby te właśnie osiągnięcia nie zaczęły nabierać znaczenia.

– Princeton – powtarzała Sydelle raz za razem, gdy Rose była w ostatniej klasie i nadeszła odpowiedź z uniwersytetu o przyjęciu jej w poczet studentów. – No, no, Rose, to naprawdę nie lada sukces! Ugotowała nawet na obiad ulubione danie Rose – smażonego kurczaka z babeczkami i miodem – i nie odezwała się słowem, gdy ta sięgała po dokładki.

– Maggie, musisz być dumna z siostry! – powiedziała. Maggie po prostu wywróciła oczami w niemym „jasne, jasne”. Jak gdyby Princeton to



nie wiadomo co. Jak gdyby Rose była jedyną osobą, której się udało mimo śmierci matki. Maggie też zmarła matka, a dostała za to jakieś dodatkowe punkty? Nie. Dostawała tylko pytania. Od sąsiadów. Od nauczycieli. Od każdego, kto znał jej siostrę. „Czy pójdziesz w ślady siostry, Maggie?” „Niestety, z pewnością nie”, pomyślała Maggie, obrysowując czerwonym kółkiem ofertę pracy dla kelnerki w „popularnej, dobrze prosperującej restauracji w centrum miasta”. Jej atutem było ciało, Rose zaś miała głowę nie od parady, a teraz wyglądało na to, że to drugie może okazać się ważniejsze.

Tak więc Rose ukończyła Princeton, podczas gdy Maggie bez entuzjazmu spędziła kilka semestrów w miejscowym college u przygotowującym do studiów. Rose poszła do szkoły prawniczej, a Maggie kelnerowała w pizzerii, była opiekunką do dzieci i gosposią, rzuciła szkołę dla barmanek, gdy instruktor próbował wepchać jej język w ucho po zajęciach na temat martini. Rose była zwyczajna, gruba, ubrana całkowicie bez gustu i aż do dziś Maggie nigdy nie słyszała, żeby miała chłopaka, oprócz jakichś dziesięciu minut w szkole prawniczej. A jednak to ona miała wspaniałe mieszkanie (to znaczy, mogłoby być wspaniałe, gdyby Maggie je urządziła), pieniądze i przyjaciół, to na nią ludzie patrzyli z szacunkiem. A ten facet, Jim Jakmutam, był miłutki na swój nieco głupkowaty sposób i, Maggie mogła się założyć, miał też pełny portfel. To niesprawiedliwe, pomyślała Maggie, idąc z powrotem do kuchni. To nie w porządku, że ich mama umarła. I to, że wyczerpała cały swój przydział dobrych dni, a teraz żyła w cieniu swojej siostry, skazana, by oglądać, jak Rose dostaje wszystko, czego chce, a ona nic. Zgniotła puste pudełko po lodach, wzięła gazetę i była gotowa wrzucić obydwie te przedmioty do kosza, gdy coś w gazecie zatrzymało jej wzrok. Magiczne słowo: Casting. Wyrzuciła kartonik

i całą uwagę poświęciła ogłoszeniu. „MTV ogłasza casting na prezenterów” – przeczytała. Podniecenie rosło w niej jak nadmuchiwany balon, wraz z paniką – co, jeśli jest już za późno? Przelatywała tekst tak szybko, jak umiała. 1 grudnia. W Nowym Jorku. Może tam być!

Powie Rose, że ma rozmowę kwalifikacyjną, co technicznie rzecz biorąc, było prawdą, i Rose pożyczy jej pieniądze na autobus i ubranie. Potrzebuje czegoś do ubrania. Będzie musiała kupić coś nowego, od razu wiedziała. Nic, co miała w szafie, nie było odpowiednie. Maggie starannie złożyła gazetę i pospieszyła do szafy Rose zobaczyć, które buty będą pasowały na wyprawę do, Wielkiego Jabłka”.

## 5

Lewis Feldman wprowadził panią Sobel do swojego biura – pomieszczenia wielkości sporej szafy z napisem Golden Acres Gazette na szklanych drzwiach.

– Dziękuję pani za przyście – mówiąc to, wyciągnął z za ucha czerwony ołówek redaktorski i położył go na biurku. Pani Sobel przysiadła na krześle, skrzyżowała stopy i złożyła ręce na kolanach. Była drobną kobietą z niebieskimi oczami, w niebieskim swetrze i

niebieskimi żyłami pulsującymi na jej rękach. Uśmiechnął się do niej, miał nadzieję, uspokajająco. Ona odpowiedziała mu niepewnym skinieniem.

– Pozwoli pani, że zacznę od tego, jak bardzo jestem pani wdzięczny za pomoc – powiedział. – Mielśmy tu naprawdę sytuację krytyczną. – Co było prawdą – odkąd poprzedni degustator, Smakosz nad Smakoszami, miał atak serca i wylądował twarzą w omlecie z szynką, papryką i cebulą, Lewis nie był w stanie zrobić kroku naprzód, przetwarzając wciąż od nowa stare felietony, a czytelnicy zaczęli się niecierpliwić, nie mówiąc o jego własnym zmęczeniu czytaniem po raz kolejny o Rascal House.

– To była naprawdę bardzo dobra pierwsza próba.

Rozłożył na biurku makietę, by mogła zobaczyć, jak jej felieton wygląda na stronie. „Kuchnia włoska – palce lizać” – głosił nagłówek, a poniżej widniał rysunek przedstawiający puszczonego oko ptaszka, trzymającego w dziobie sympatycznego robaczka z kreskówek.

– Mam tylko kilka sugestii – powiedział Lewis, a pani Sobel ponownie nieco drżąc skinęła głową. Wziął się w garść – prowadzenie sklepów z artykułami żelaznymi to była pestka w porównaniu z tym, że co dwa tygodnie miał spotkania z piszącymi w jego gazecie emerytkami, a

każda z nich posiadała niezmiernie delikatne i kruche ego, z którym należało się odpowiednio obejść – i zaczął czytać:

– Włoska restauracja „Mangiamo” mieści się w centrum handlowym na Powerline Road, niedaleko miejsca, gdzie wcześniej był Marshall, i naprzeciwko sklepu z mrożonym jogurtem. Wydaje się, że dość łatwo tam dojechać, ale mój mąż, Irving, miał spory problem ze skrętem w lewo.

Pani Sobel skinęła ponownie, tym razem nieco pewniej. Lewis czytał dalej.

– Restauracja wyłożona jest czerwonymi dywanami, a stoły pokryte białymi obrusami, na których stoją niewielkie świeczki. Klimatyzator ustawiony jest na dość niską temperaturę, więc wszystkim, którzy wybierają się do „Mangiamo”, zdecydowanie radzę zabranie swetra. Zupę minestrone przyrządzają tam zupełnie inaczej niż sama zwykłam to robić, z czerwoną fasolką, której ani Irving, ani ja nie lubimy. Sałatka cesarska była dobra, ale z dodatkiem anchois, jeśli więc ktoś jest uczulony na ryby, powinien raczej zamówić specjalność zakładu. – Teraz pani Sobel, pochyłona lekko do przodu, potakiwała głową, z przejęciem powtarzając szeptem każde słowo.

– Jako danie główne Irving wziął kurczaka w parmezanie, chociaż to mu szkodzi. Ja zamówiłam spaghetti i zrazy, bo pomyślałam, że ostatecznie i tak Irving je zje. I rzeczywiście, kurczak był dla Irvinga za twardy, więc zjadł moje zrazy, które były mięciutkie. – Lewis popatrzył na panią Sobel, która, nadal pochyłona w jego stronę, czekała z błyszczącymi oczyma.

– Widzi pani, chodzi o to – zastanawiał się, czy Ben Bradlee w swoim „Washington Post” albo William Shawn w „New Yorkerze” mieli kiedykolwiek tego typu problemy – że staramy się być obiektywni.

– Obiektywni – powtórzyła pani Sobel.

– Staramy się w fotograficznym skrócie przekazywać, jak to jest

wybrać się na przykład do Mangiamo.

Skinęła ponownie, tym razem konsternacja zastąpiła wcześniejsze przejęcie.

– Więc gdy pisze pani o skręcie w lewo i ile sprawiło to trudności, lub o tym, że mają inny przepis na zupę niż pani... – „Ostrożnie”, powiedział do siebie Lewis, podnosząc ołówek i wsuwając go bezpiecznie z powrotem za ucho. – To bardzo ciekawe rzeczy i ładnie napisane, ale niekoniecznie przydadzą się innym, którzy będą czytać pani artykuł po to, by zdecydować, czy się tam wybrać, czy nie.

Pani Sobel wyprostowała się na swoim krześle, drżąc jak napięta struna, tym razem z oburzenia.

– Ale tak właśnie było! – zaprotestowała.

– Oczywiście, że tak – uspokoił ją Lewis. – Zastanawiam się tylko, czy osobiste uwagi powinny znaleźć się w tego typu felietonie. Na przykład sprawa klimatyzacji i rada, żeby wziąć sweter. To akurat bardzo ważny szczegół. Ale ta część o zupie... Nie każdy czytelnik musi wiedzieć, jak ma się zupa w restauracji do zupy, którą pani robi. – Uśmiechnął się z nadzieją, że to zadziała. Sądził, że powinno. Jego żona, Sharla, droga jego pamięci, zmarła dwa lata temu, zawsze powtarzała, że dzięki temu uśmiechowi wszystko uchodzi mu płazem. Wiedział, że nie jest przystojny. Miał lustro i mimo pogarszającego się wzroku widział, że bardziej przypomina Waltera Matthaua niż Paula Newmana. Nawet uszy pokryte miał zmarszczkami. Jednak uśmiech wciąż działał.

– Jestem pewien, że żadna zupa nie dorówna tej, którą pani przyrządza.

Pani Sobel prychnęła. Ale wyglądała już na zdecydowanie mniej obrażoną.

– Może weźmie pani to jeszcze raz do domu, przyjrzy się dokładnie i pisząc spróbuje odpowiedzieć sobie na pytanie, czy ta informacja pomoże – zastanowił się przez chwilę, a potem biorąc pierwsze nazwisko, które przyszło mu do głowy, dokończył – państwu Rabinowitzom podjąć decyzję, czy mogą wybrać się tam na kolację.

– Och, Rabinowitzowie nigdy by tam nie poszli – powiedziała pani Sobel. – Jest za tania.

Po czym, podczas gdy Lewis wciąż siedział za biurkiem kompletnie zaskoczony, wzięła swoją torebkę i sweter oraz felieton i wymaszerowała wyniośle, mijając w drzwiach Ellę Hirsch, która właśnie wchodziła.

Ella – Lewis zauważył z ulgą – nie trzęsła się i nie potakiwała. W najmniejszym stopniu nie była ani tak wiekowa, ani tak krucha jak pani Sobel. Miała czyste, brązowe oczy, czerwonawe włosy i nigdy nie widział jej w spodniach z poliestru, które preferowała zdecydowana większość mieszkanki Golden Acres.

– Jak się miewasz? – zapytała.

Lewis pokręcił głową.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien – odparł.

– Nie brzmi to zbyt dobrze.

Wręczyła mu swój starannie napisany na maszynie wiersz. Pisała zdecydowanie najlepiej ze wszystkich w Golden Acres Gazette. Czy wpadłaby mu w oko również gdyby tak nie było? Prawdopodobnie tak – zdecydował. Tyle że ona nie była zainteresowana. Wcześniej, gdy zapraszał ją na kawę, żeby porozmawiać o pomysłach na artykuł, wydawała się zadowolona z zaproszenia, i na równie zadowoloną wyglądała także, gdy filiżanki były już puste i mogła się wreszcie pożegnać.

– Dzięki – uśmiechnął się, układając papiery w swojej skrzynce z

poczta. – Jakie masz plany na weekend? – zapytał, starając się, by zabrzmiało to swobodnie.

– Jutro pracuję w jadłodajni, a potem mam do nagrania dwie książki dla niewidzących – powiedziała. Odpowiedź była uprzejma, jednak wciąż odmowna. Może czytała tę książkę, którą kobiety pożyczały sobie nawzajem kilka lat temu; tę, która uczyła, jak odgrywać trudną do zdobycia, w związku z czym osiemdziesięciosześcioletnia pani Asher rzuciła słuchawkę w środku rozmowy, po stwierdzeniu, że jest ona osobą inną niż wszyscy i – jako taka – sama będzie decydować o tym, kiedy zakończyć rozmowę z mężczyzną.

– No cóż, dzięki za wiersz. Ty jedna jesteś terminowa. Jak zwykle.

– Ella uśmiechnęła się i lekko podeszła do drzwi. „Może chodzi o mój wygląd? ”, myślał posepnie. Sharla kupiła mu kalendarz z buldogami z okazji jednej z kolejnych rocznic, które świętowali razem na Florydzie, a on oskarżył ją, że próbuje mu w ten sposób coś powiedzieć. Dała mu głośnego całusa w policzek i skomentowała, że chociaż jego kariera jako modela została już według wszelkich znaków na niebie i ziemi pogrzebana, ona i tak go kocha. Lewis potrząsnął głową, mając nadzieję wyzwolić się ze wspomnień, i wziął do ręki wiersz. „Tylko dlatego, że jestem stara” – przeczytał i uśmiechnął się, widząc wielkie drukowane litery „NIE JESTEM NIEWIDZIALNA”, po czym stwierdził, że Ella Hirsch zdecydowanie zasługuje na jeszcze jedną próbę.

## 6

Rose Feller oparła się o stół i pochyliła do przodu.

– Warunki jak zwykle, panie mecenasie? – zapytała.

Prawnik strony przeciwnej – człowiek z twarzą przypominającą serwatkę, ubrany w niezbyt szczęśliwie dobrany, zielonkawo– szary garnitur – skinął, mimo że Rose była w stanie się założyć, iż nie miał pojęcia, co właściwie znaczą „warunki jak zwykle”, podobnie jak ona sama. Ale każde przesłuchanie, na którym była, prowadzący je prawnik zaczynał tymi właśnie słowami, więc ona również to zrobiła.

– Dobrze, jeśli wszyscy są gotowi, to zaczniemy – powiedziała z pewnością bardziej udawaną niż odczuwaną, jakby sama przeprowadziła setki takich przesłuchań, a nie tylko dwa.

– Nazywam się Rose Feller, jestem prawnikiem w firmie Lewis, Dommel i Fenick. Dzisiaj reprezentuję firmę Veeder Trucking Company i Stanleya Willeta, rewidenta księgowego w Veeder, który jest tu obecny i siedzi po mojej lewej stronie. Bierzemy udział w przesłuchaniu Wayne'a LeGrosa – zrobiła pauzę i spojrzała przez stół na świadka, mając nadzieję na potwierdzenie właściwej wymowy nazwiska. Wayne LeGros nawet na nią nie spojrzał. – Wayne'a LeGrosa – kontynuowała, uznając, że jeśli wymawiałaby je nieprawidłowo, zainteresowany zareagowałby – prezesa Majestic Construction. Panie LeGros, czy mógłby pan na początek podać swoje imię, nazwisko i adres?

Wayne LeGros, niski, koło pięćdziesiątki, szpakowate włosy obcięte najprawdopodobniej maszynką ustawioną na szóstkę, z ciężkim, pamiątkowym, szkolnym sygnetem na jednym z grubych palców, głośno przełknął ślinę.



– Wayne LeGros – powiedział wyraźnie. – Mieszkam w Filadelfii przy Tasker Street, numer 513.

– Dziękuję – uprzejmie skinęła głową Rose. W istocie czuła dla niego coś w rodzaju współczucia. Nigdy nie była przesłuchiwana, oprócz epizodów studenckich, gdy odgrywali z kolegami różne procesy, ale była przekonana, że nie jest to nic przyjemnego.

– Czy może nam pan powiedzieć, jakie piastuje pan stanowisko?

– Prezes. W Majestic – odparł rozmowny pan LeGros.

– Dziękuję – powtórzyła Rose. – Jestem przekonana, że adwokat wyjaśnił panu, iż znaleźliśmy się tu dziś po to, by ustalić pewne fakty. Mój klient utrzymuje, że wasza firma zalega z płatnością... – spojrzała szybko w notatki – ośmiu tysięcy dolarów. Za wynajem sprzętu.

– Wywrotek – podpowiedział pan LeGros.

– Zgadza się. Proszę powiedzieć, ile wywrotek zostało wypożyczonych?

LeGros zamknął oczy.

– Trzy

Rose przesunęła dokument po stole.

– Oto kopia umowy wynajmu, którą podpisał pan z firmą Veeder. Została już oznaczona przez protokolanta sądowego jako dowód rzeczowy numer 15A, przedstawiony przez stronę pozywającą – protokolantka potwierdziła skinieniem głowy – Czy mógłby pan przeczytać zaznaczone przeze mnie fragmenty?

Przesłuchiwany wziął głęboki oddech i spojrzał na kartkę, mrużąc oczy.

– Umowa mówi, że Majestic zgadza się zapłacić Veederowi dwa tysiące dolarów na tydzień za wynajem trzech wywrotek.

– Czy to pana podpis?

LeGros przez chwilę przyglądał się fotokopii.

– Tak – powiedział w końcu. – Mój.

W jego głos wkradła się teraz nutka rozdrażnienia, ściągnął swój sygnet z palca i zaczął nim obracać na stole konferencyjnym.

– Dziękuję – ciągnęła Rose. – Czy prace w Ryland zostały zakończone?

– W szkole? Tak.

– Czy Majestic otrzymał należność za wykonane usługi?

LeGros skinął. Jego adwokat spojrzał na niego unosząc brwi.

– Tak – LeGros zwerbalizował swoją odpowiedź.

Rose przesunęła po stole jeszcze jeden dokument.

– Oto dowód rzeczowy 16A: kopia waszej faktury wystawionej szkole w Ryland, na której odnotowano „zapłacono”. Czy kwota została uiszczona?

– Tak.

– Tak więc pańskiej firmie wypłacono pełną należność zgodnie z wystawioną fakturą?

Kolejne skinięcie. Kolejne krzywe spojrzenie adwokata. Kolejne „tak”. Przez następne pół godziny Rose drobiazgowo przeprowadziła LeGrosa przez stertę opieczętowanych faktur i wezwań do zapłaty z agencji inkasującej należności. Nic z trzymających w napięciu powieści Grishama, pomyślała, mozolnie brnąć do przodu, ale jeśli będzie miała szczęście, to już powinno załatwić sprawę.

– Tak więc prace w szkole dobiegły końca i zapłaciliście swoim podwykonawcom? – podsumowała Rose.

– Tak.

– Ale nie Veederowi.

– Dostali swoje – wymamrotał niewyraźnie. – Dostali pieniądze za inne rzeczy.

– Słucham? – zapytała uprzejmie Rose.

– Inne rzeczy – powtórzył LeGros. Pochylił głowę. Zakręcił sygnetem.

– Pieniądze, które byli winni innym firmom. Pieniądze należne mojej dyspozytorce – powiedział, dokładnie oddzielając poszczególne sylaby – Proszę zapytać ich o moją dyspozytorcę.

– Oczywiście, zrobimy to – obiecała Rose. – Na razie jednak jest to pańskie przesłuchanie. Pana kolej, żeby opowiedzieć nam swoją wersję tej sprawy.

LeGros znowu pochylił wzrok, na sygnet, na rękę.

– Czy mógłby pan podać nazwisko dyspozytorki? – Rose ponagliła go delikatnie.

– Lori Kimmel – wymamrotał.

– Gdzie mieszka?

Wciąż patrzył w dół z ponurą miną.

– Tam gdzie ja. Róg Piątej i Tasker.

Rose poczuła, że skacze jej ciśnienie.

– Jest pana...

– Moją przyjaciółką – uzupełnił LeGros z miną, która zdawała się mówić: Masz coś przeciwko temu? – Niech pani jego zapyta – dodał, wskazując palcem na Stanleya Willeta. – Jego – powtórzył. – Wie, o co chodzi.

Adwokat LeGrosa złapał go uspokajająco za rękę, ale to nie powstrzymało mężczyzny

– Niech pani zapyta o jej nadgodziny! Nigdy nie zostały zapłacone!  
Jak odeszła z firmy, to powiedział, że wypłaci jej za urlop i zwolnienia lekarskie, ale nigdy tego nie zrobił!

– Czy możemy prosić o przerwę? – odezwał się adwokat LeGrosa.  
Rose skinęła. Protokółantka uniosła brwi.

– Oczywiście – zgodziła się Rose. – Piętnaście minut.

Odprowadziła Willeta do swojego biura, podczas gdy LeGros i jego adwokat zaczęli naradzać się w holu.

– O co chodzi?

Willet wzruszył ramionami.

– Nazwisko brzmi znajomo. Mógłbym zadzwonić do kilku osób...

Rose wskazała głową w stronę telefonu.

– Wyjście przez dziewięć – poinstruowała. – Za minutę wrócę.

Pobiegła do łazienki. Zawsze denerwowała się w trakcie przesłuchań, a gdy była zdenerwowana, to chciało jej się sikać, a...

– Pani Feller? – adwokat LeGrosa. – Można na chwilkę?

Wciągnął ją do sali konferencyjnej.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Proponujemy ugode.

– Co się stało?

Adwokat potrząsnął głową.

– Sama może pani sobie dopowiedzieć. Jego dziewczyna pracowała dla pani klienta. Według mnie, odeszła bez wypowiedzenia i uznała, że jest jej winien za urlop i L4. Veeder wykręcił się od zapłaty, a mój klient, jak sądzę, postanowił tą drogą odebrać ów rzekomy dług.

– Nie wiedział pan o tym?

Prawnik wzruszył ramionami.

- Dostałem tę sprawę dopiero dwa tygodnie temu.
- A więc pana klient... – Rose zaczęła sugestywnie.
- Zapłaci. Całą sumę.
- Plus odsetki. To ciągnie się już trzy lata.

Adwokat LeGrosa skrzywił się.

- Odsetki za rok – zaproponował. – Czek wypiszemy od razu.
- Muszę poinformować o tym mojego klienta. Poradzę mu, żeby się zgodził.

Serce biło jej w zawrotnym tempie, krew pulsowała w żyłach.

Zwycięstwo! Czowała, że ma ochotę tańczyć. Zamiast tego wróciła do Stana Willeta, który studiował jej dyplomy na ścianie.

- Chcą iść na ugodę – zaczęła.
- Dobrze – odpowiedział sucho, nie odwracając głowy.

Rose przełknęła rozczarowanie. Jasne, przecież nie mógł być taki podekscytowany jak ona. Dla niego osiem tysięcy to jakieś marne drobne. Ale mimo wszystko! Nie mogła się doczekać, kiedy powie o tym Jimowi! Przebiegła wzrokiem warunki ugody.

- Wypiszą czek na miejscu, co oznacza, że nie będzie pan musiał czekać na pieniądze. Osobiście radziłabym się zgodzić.

– W porządku – przytaknął, z oczami utkwionymi wciąż w łacińskich napisach na dyplomach widniejących w ramkach za szkłem. – Proszę wszystko dokończyć i przesłać do mojego biura. – W końcu odwrócił się w jej stronę. – Niezły zbiór ma tu pani na ścianie. – Na jego twarzy pojawił się leciutki uśmiech. – Zagrzebała ich pani w papierach, zgadza się?

- Zgadza się.

Rose poczuła lekkie rozczarowanie. Przecież była świetna. No, może nie w jakiś szczególnie efektowny sposób, ale kompetentna. W pełni

kompetentna. Do cholery, wytropiła każdą najmniejszą notatkę, każdy jeden rachunek, najmniejszy pojedynczy skrawek papieru, który dowodził, że jej klient ma rację. Odprowadziła Stana Willeta do windy, szybko wróciła do biura i wykręciła wewnętrzny numer Jima.

– Poszli na ugodę – zaszczębiotała uszczęśliwiona. – Osiem tysięcy plus roczne odsetki.

– Dobra robota – odrzekł zadowolonym głosem. Zadowolonym, ale dalekim. Słyszała w tle kliknięcia jego myszki. – Czy mogłabyś przesłać mi krótką notatkę?

Rose czuła się, jakby wylał jej na głowę wiadro lodowatej wody.

– Jasne – odparła. – Zrobię to po południu.

Głos Jima złagodniał.

– Moje gratulacje. Jestem pewien, że byłaś wspaniała.

– Zasypałam ich papierami – wyjaśniła Rose. Słyszała oddech Jima i jakieś głosy w tle.

– Co to dokładnie było?

– Nic.

Odłożyła słuchawkę bez pożegnania. W tej samej chwili na ekranie monitora pojawiła się wiadomość. Od Jima. Kliknęła myszką.

„Przepraszam, ale nie mogłem rozmawiać” – przeczytała. Serce znowu zaczęło bić mocniej, gdy czytała dalej. „Mogę wpaść wieczorem?” Wystukała odpowiedź. „TAK!” A potem oparła się wygodnie, promieniejąc z zadowolenia i myśląc sobie, że w końcu wszystko w jej świecie zaczęło się układać. Odnosiła sukcesy w pracy. Był piątek, a ona nie będzie wieczorem sama. Miała mężczyznę, który ją kocha. Wprawdzie miała też siostrzyczkę biwakującą na jej kanapie, ale to nie będzie trwało wiecznie, pomyślała, i zaczęła pisać notatkę dla Jima.

Euforia trwała do czwartej po południu; szczęście, które czuła, ulotniło się o szóstej; a do czasu, gdy wskazówki zegara stanęły na dziewiątej, a Jima wciąż nie było, nastrój Rose oscylował coraz bardziej w stronę rozpaczy. Poszła do łazienki, gdzie jej zawsze pomocna siostrzyczka zostawiła artykuł z „Allure” przyklejony do lustra. „Brwi w tym sezonie!” – przeczytała nagłówek. A na umywalce znalazła pincetę.

– OK – powiedziała do siebie Rose. – Zrozumiałam.

W ten sposób przynajmniej, kiedy przyjdzie Jim, ona będzie czekała z perfekcyjnie wyskubanymi brwiami. Rose przyjrzała się sobie uważnie w lustrze i uznała, że jej życie byłoby łatwiejsze, gdyby po prostu urodziła się jako inna dziewczyna. Może nie tyle inna, ale jako lepsza, ładniejsza, miłsza, wytworniejsza i nieco szczuplejsza wersja osoby, którą już była. Rzecz w tym, że nie miała bladego pojęcia, jak stać się choć w minimalnym stopniu kimś innym niż była. I nie dlatego, że nie próbowała.

Gdy miała trzynaście lat, razem z Maggie przeprowadziły się do domu Sydelle.

– To po prostu logiczne – mówiła słodko Sydelle. – U mnie jest mnóstwo miejsca.

Dom – nowoczesne straszdyło z czterema sypialniami na górze, pomalowane na jaskrawobiały kolor – wyglądał nie na miejscu pomiędzy innymi domami w stylu kolonialnym, które stanowiły zdecydowaną większość w tej okolicy. Był mniej więcej jak statek kosmiczny, który awaryjnie wylądował w ślepych zaułku. Dom Sydelle – a Rose nigdy nie myślała o nim inaczej – miał ogromne okna i dziwaczne kąty oraz niespotykane kształty pokoi (jadalnia była prawie prostokątem, a sypialnia niezupełnie kwadratem). Pomieszczenia wypełniały szklane stoły, meble z serii „szkło i aluminium” z ostrymi krawędziami, a także lustra – włącznie z

całą lustrzaną ścianą w kuchni, która dawała świadectwo każdemu zbłąkanemu dotknięciu palcem, każdemu głębszemu oddechowi.

I każdemu kęsowi czy też uszczknięciu, na które ktokolwiek sobie tam pozwolił. Dodatkowo wagi cyfrowe w każdej łazience, włącznie z toaletą na dole, i całe mnóstwo magnesów na lodówce przytrzymujących różne dietetyczne hasła. Rose najlepiej pamiętała rysunek krowy z zadowoleniem przeżuwiającej trawę, pod którym widniał napis: „Cholera jasna! Znowu jesz? ”. Każda błyszcząca, odbijająca powierzchnia, każdy magnes i każda waga wydawały się spiskować z Sydelle przeciwko Rose, wysyłając wiadomość, że jest niedoskonała, niekobieca, nie dość ładna i o wiele za gruba. W tygodniu, w którym się wprowadziły, Rose poprosiła ojca o pieniądze

– Na co konkretnie są ci potrzebne? – zapytał, patrząc na nią zaniepokojony. Rose nigdy nie prosiła o pieniądze, wystarczało jej 5 dolarów tygodniowego kieszonkowego. To Maggie regularnie upominała się o lalki Barbie, nowe pudełko na lunch, zapachowe markery, błyszczące naklejki i plakat Ricka Springfieldda na ścianę.

– Rzeczy do szkoły – usprawiedliwiła się Rose.

Dał jej dziesięć dolarów. Poszła do kiosku i kupiła mały notesik z fioletową okładką. Przez resztę roku szkolnego zapisywała w nim, co dokładnie robią kobiety. To był jej tajny projekt. Sydelle – wiedziała to z pewnością – byłaby uszczęśliwiona, gdyby mogła jej powiedzieć, co kobiety robią i czego nie robią, co mówią, co noszą i, najważniejsze, co jedzą, ale Rose chciała sama do tego dojść. Patrząc wstecz, stwierdziła, że musiała uważać, nie wiadomo na jakiej podstawie, że w jakiś magiczny sposób posiadzie te istotne informacje, zanim stanie się dorosła... A fakt, że tak się nie stało i że Sydelle dawała sobie prawo wygłaszania uwag o tym,



jak dbać o skórę i liczyć kalorie, było oskarżeniem wniesionym przeciwko jej zmarłej matce. Co, oczywiście, sprawiało, że Rose tym bardziej chciała sama rozwiązać tę zagadkę. „Paznokcie zaokrąglone, nie proste!” – pisała... albo „żadnych głupich żartów!” Przekonała ojca, żeby wykupił całoroczną prenumeratę „Seventeen” i „Young Miss”, i zaoszczędziła z kieszonkowego na trzeci magazyn reklamowany na okładce dwóch poprzednich, noszący tytuł „Popular!” Czytała ich strony tak gorliwie, jak badacz Talmudu święte teksty. Przyglądała się swoim nauczycielkom, siostrze, nawet starszym paniom z siateczkami na włosach siedzącym w kawiarni i starała się wymyślić, jak dziewczyna i kobieta powinna wyglądać i jak się powinna zachowywać. To było jak zadanie z matematyki, mówiła sobie, i jeśli tylko je rozwiąże, jeśli rozwiąże równanie i znajdzie tę właściwą kombinację butów, strojów, fryzury, odpowiedniej osobowości (i jeśli, oczywiście, dojdzie do tego, jak wypracować tę właściwą osobowość), ludzie zaczną ją lubić. Będzie popularna, jak Maggie. Oczywiście, całe to przedsięwzięcie skończyło się katastrofą, pomyślała, ścierając swój oddech z lustra i pochylając się bliżej z pincetą. Całe to planowanie i notowanie nie zdały się na nic. „Jak być lubianą” okazało się dla niej kodem nie do złamania. Niezależnie od ilości zapisanych stron, od tego, ile razy wyobrażała sobie siebie z Missy Fox i Gail Wylie w szkolnym bufecie, z torebką wiszącą na oparciu krzesła, dietetyczną colą i talerzem marchewek na stole przed sobą, i tak nigdy się nie udawało. W szkole średniej odpuściła sobie kwestię ubrań i makijażu, włosów i paznokci. Przestała czytać porady i artykuły w czasopiśmie, które dyktowały wszystko, od wskazówek, jak rozmawiać z chłopakiem do obowiązującego aktualnie kąta łuku brwiowego. Porzuciła nadzieję, że kiedykolwiek będzie lubiana i śliczna, a to, co jej pozostało z całego zainteresowania modą, skierowała na buty Butów, rozumowała, nie

da się nosić niewłaściwie. Nie mają zmiennych niewiadomych, brak tu kołnierzyków, które należy kłaść lub stawiać, brak mankietów, które trzeba podwijać lub wręcz przeciwnie; to nie biżuteria, która albo da oczekiwany efekt, albo zniweczy wszelkie wcześniejsze starania (w przypadku Rose zazwyczaj to drugie). Buty to buty i tylko buty, i nawet jeśli nosiła je do niewłaściwych rzeczy, ich samych nie mogła nosić niewłaściwie. Jej stopy będą zawsze wyglądały dobrze. Będzie elegancka i modna od kostek w dół, nawet jeśli od kostek w górę pozostanie ofiarą. Było więc zupełnie zrozumiałe, że w wieku lat trzydziestu nie miała o modzie pojęcia. Wyjątek stanowiła znajomość względnych zalet i wad nubuku i zamszu, przemawiających na korzyść tego pierwszego, oraz orientacja w zakresie obowiązującego aktualnie kształtu obcasa. Rose westchnęła i przyjrzała się sobie. Beznadzieja.

– Cholera – powiedziała i podniosła pincetę. Dzwonek do drzwi.

– Chwileczkę! – zaśpiewała Maggie.

– O, nie – wyjąkała Rose. Szybko wyszła z łazienki, odsuwając na bok siostrę, która momentalnie odwdzięczyła jej się tym samym.

– Jezu, o co ci chodzi?! – zawołała Maggie, pocierając ramię.

– Po prostu posuń się! – krzyknęła Rose sięgając po swój portfel, wyciągając zwitek banknotów i wpychając je Maggie – Wyjdź gdzieś! Idź do kina!

– Jest prawie dziesiąta – zauważyła Maggie.

– Znajdź jakiś nocny seans! – zripostowała Rose i otworzyła drzwi.

Za nimi stał Jim. Wokół niego unosił się lekki zapach wody kolońskiej i nieco mocniejszy zapach szkockiej; w rękach trzymał tuzin czerwonych róż.

– Witam, drogie panie – powiedział.

– Ooo, piękne! – Maggie sięgnęła po kwiaty – Rose, czy mogłabyś je włożyć do wazonu? – dodała, oddając bukiet siostrze. – Wezmę twój płaszcz – zwróciła się do Jima.

„Jezu! ” Rose zgrzytnęła zębami i poszła do kuchni. Gdy wróciła do salonu, Maggie i Jim siedzieli koło siebie na kanapie. Maggie nie wykazywała oznak osoby mającej zamiar wyjść... i, zauważyła Rose, pieniądze, które jej dała, w niewyjaśniony sposób zniknęły.

– A więc, Jim! – Maggie pochyliła się w jego stronę, prezentując swój pełny dekolt. – Co u ciebie?

– Maggie – Rose rozpaczliwie starała się utrzymać równowagę na oparciu kanapy, które było jedynym wolnym miejscem siedzącym – czy nie wybierałaś się gdzieś przed chwilą?

Siostra posłała jej złośliwy uśmiech.

– Ależ nie, Rose – powiedziała. – Zostaję na noc.

W poniedziałek rano Maggie Feller wyskoczyła z autobusu, zarzuciła plecak na ramię i, zręcznie lawirując, przebiła się przez nowojorski dworzec Port Authority. Była dziewiąta trzydzieści, casting zaczął się o dziewiątej. Dotarłaby wcześniej, ale nie mogła wybrać pomiędzy butami zapinanymi na pasek od Stuarta Weitzmana (z wąską, długą spódnicą i kabaretkami) a karmelowymi skórzanymi butami Nine West (z džinsami). Skręciła na rogu Czterdziestej Drugiej ulicy i serce jej zamarło. Przynajmniej z tysiąc ludzi kłębiło się przez studium MTV zajmując każdy skrawek chodnika, jak również niewielki trawnik na środku Broadwayu. Maggie zatrzymała dziewczynę w kowbojskim kapeluszu.

– Czekasz na casting?

Dziewczyna zrobiła kwaśną minę.

– Czekałam. Ale wzięli pierwsze trzy tysiące i powiedzieli, że reszta może iść do domu.

Maggie czuła, jak grunt usuwa jej się spod nóg. Tak nie może być. Absolutnie, to niemożliwe! Zaczęła przedzierać się przez tłum tak szybko, jak pozwalały na to jej wysokie obcasy. Zauważyła w końcu kobietę z krótkofalówką w żółtej kurtce z logo MTV na plecach. Uwierz w siebie.

„Potrafisz” – powiedziała Maggie do siebie i dotknęła jej ramienia.

– Przyszłam na casting – oświadczyła.

Kobieta pokręciła głową.

– Przykro mi, kochanie – nawet nie podniosła głowy znad kartki na podkładce. – Dziś już nie przyjmujemy.

Maggie sięgnęła do plecaka, chwyciła ukradzioną butelkę Midolu i pomachała nią kobiecie przed oczami.

– Jestem chora... – oznajmiła.

Kobieta podniosła głowę i zmarszczyła czoło. Maggie zakryła ręką etykietę, jednak nie dość szybko.

– Midol?

– Mam silne skurcze, które bardzo mnie osłabiają. I jestem pewna, że wiecie coś o ustawie dotyczącej niepełnosprawnych?

Teraz kobieta wpatrywała się w nią z ciekawością.

– Nie możecie mnie dyskryminować tylko z powodu słabej macicy – brnęła dalej Maggie.

– Mówisz poważnie? – mruknęła kobieta. Ale Maggie zauważyła, że kobieta jest raczej rozbawiona niż zirytowana.

– Po prostu daj mi szansę – poprosiła błagalnie. – Przyjechałam aż z Filadelfii!

– Niektórzy przyjechali aż z Idaho.

Maggie wywróciła oczami.

– Idaho! Mają tam w ogóle kablówkę? Słuchaj! – kontynuowała. – Poczytałam bardzo intensywne przygotowania przed przyjściem tutaj.

Kobieta uniosła brwi.

– Czy zainteresowałby cię fakt, że w bardzo intymnej części ciała mam wydepilowane woskiem logo MTV?

Przez jedną, krótką chwilę Maggie pomyślała, że kobieta ma zamiar poprosić ją o demonstrację. Zamiast tego jednak zaśmiała się, nabazgrała coś na swojej kartce i skinęła do Maggie.

– Jestem Robin. Chodź za mną – powiedziała.

Gdy tylko się odwróciła, Maggie podskoczyła, stuknęła w powietrzu obcasami i wydała krótki okrzyk radości. Udało się! Udało się jej przejść część drogi, pomyślała, spiesząc za Robin. Teraz pozostaje kwestia

oczarowania jurorów i będzie w domu.

\* \* \*

Korytarze wewnątrz były jeszcze bardziej zatłoczone niż chodnik. Zobaczyła chłopców z mnóstwem warkoczyków na głowie, w bandanach i zwisających do podłogi dzinsach, rapujących do siebie cicho, zachwycające dziewczyny w minispódniczkach i krótkich bluzeczkach przeglądające się w trzymany w rękach lusterkach. Maggie szybko się zorientowała, że większość z nich nie skończyła 25 lat i odjęła sobie pięć na formularzu, który Robin dała jej do wypełnienia.

– Skąd jesteś? – zapytała dziewczyna przed nią, wysoka, chuda, zrobiona na Ginger Spice.

– Z Filadelfii – Maggie uznała, że uprzejmość nie może jej zaszkodzić.

– Jestem Maggie.

– Kristy. Denerwujesz się? – zapytała dziewczyna.

Maggie podpisała się zamasyście.

– Niespecjalnie. Nawet nie wiem, co trzeba zrobić.

– Mówić do kamery, przez trzydzieści sekund – wytłumaczyła Kristy i westchnęła. – Wolałabym, żeby kazali coś zaśpiewać, zatańczyć albo zagrać. Odkąd skończyłam cztery lata, chodzę na lekcje tańca. Stepuję i tańczę jazz dance, umiem śpiewać, nauczyłam się na pamięć monologu...

Maggie przełknęła ślinę. Ona też brała lekcje tańca – przez dwanaście lat – ale nie aktorstwa, a jedyna rzecz, której nauczyła się z tej okazji na pamięć, to adres Rose, w razie gdyby MTV chciało pogratulować jej wygranej i przysłać kwiaty. Kristy przeczesła palcami włosy.

– Nie wiem – wymamrotała podnosząc je do góry, a następnie

pozwalając opaść z powrotem na ramiona. – Do góry czy na dół?

Maggie przyjrzała się Kristy.

– Może zepniemy *je* z tyłu w kok? Czekaj – zaczęła szukać w plecaku szczotki do włosów, lakieru, wsuwek i gumek. Kolejka powoli przesuwiała się. Do czasu, gdy Maggie znalazła się na jej początku, upłynęły trzy godziny, w ciągu których zdążyła uczesać Kristy i zmienić jej makijaż, nałożyć złoty cień do powiek z brokatem osiemnastoletniej Karze i pożyczyć buty Rose Latishii, która wchodziła za nią.

– Następna! – zawołał wyglądający na znudzonego kamerzystę w czapce z daszkiem.

Wzięła głęboki oddech, w ogóle nie czując zdenerwowania ani niczego poza najwyższą pewnością siebie i płomienną radością, i przeszła w kierunku niewielkiej, wyłożonej niebieską wykładziną kabiny znajdującej się w kręgu płonącego światła. Za kamerzystą Robin wyciągnęła w górę dwa kciuki.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

Maggie uśmiechnęła się.

– Maggie May Feller – powiedziała czystym, niskim głosem.

Boże, widziała się na monitorze wiszącym u góry! Szybko zerknęła tam ukradkiem – i oto ona! W telewizji! Wygląda bosko!

– Maggie May? – zdziwiła się Robin.

– Mama wzięła to imię z piosenki. Bardzo ją lubiła. Moim zdaniem, zawsze wiedziała, że moim przeznaczeniem jest kariera muzyczna.

Robin przeglądała formularz Maggie.

– Napisałaś tu, że byłaś kelnerką.

– To prawda – Maggie oblizała usta. – I uważam, że to doświadczenie wspaniale przygotowało mnie do pracy z gwiazdami rocka.

– Co masz na myśli? – zapytała Robin.

– No, cóż, jeśli potrafisz opanować spontanicznie wybuchającą bitwę na gofry, poradzisz sobie ze wszystkim – kokietowała dalej Maggie. – Gdy jesteś kelnerką, spotykasz wszystkie możliwe typy ludzi. Dziewczyny na diecie z najprzeróżniejszymi, najdziwniejszymi rodzajami alergii – zaczęła mówić pełnym wyższości sopranem. – „Czy są w tym orzeszki arachidowe?” Co jest zupełnie w porządku pod warunkiem, że nie zadają tego pytania przy każdym daniu. Nie wyłączając mrożonej herbaty. Pojawiają się wybredni wegetarianie, weganie, ludzie na diecie Zone, na diecie makrobiotycznej, diabetycy, diabetycy na diecie makrobiotycznej i Zone z wysokim ciśnieniem, którzy nie mogą jeść soli... – Maggie była w swoim żywiole, nie widziała światła, rywalek, nawet Robin i faceta w baseballówce. Była tylko ona i kamera, dokładnie tak, jak było jej to zawsze przeznaczone. – I jeśli kiedykolwiek musiałaś wylać facetowi na spodnie mrożoną kawę, bo usiłował włożyć ci napiwek za dekolt, no, cóż, na pewno nie przestraszysz się Kida Rocka.

– Jaką lubisz muzykę? – Robin zadała kolejne pytanie.

– Każdą – Maggie odrzuciła głowę do tyłu. – Moim idolem jest Madonna. Z wyjątkiem całej tej sprawy z jogą. Po prostu nie mogę się w to wstrzelić. Oczywiście, jestem też wokalistką, śpiewam w zespole Włochata Mycha.

Kamerzysta zaczął się śmiać.

– Być może słyszeliście już nasz utwór, który na pewno stanie się przebojem *Poliz mnie, gdzie kolor mam różowy*'.

– Czy mogłabyś zaśpiewać kawałek? – poprosił facet od kamery Maggie promieniała. W końcu na to przecież czekała. Wyciągnęła z torby szczotkę do włosów i udawała, że to mikrofon, potrząsając



włosami i zawodząc.

– „Poliż mnie, gdzie kolor mam różowy! Nalej sobie drinka z lodem! Nie chcę słuchać, jak ci źle, czy ja jestem pierdolonym psychologiem?” – Maggie zastanowiła się przelotnie czy słowo „pierdolony” nadaje się do MTV ale gdy się zorientowała, że nie, było za późno.

– Czy chcesz nam jeszcze coś o sobie powiedzieć, Maggie? – zapytała Robin.

– Tylko tyle, że jestem przygotowana na swoje pięć minut największej oglądalności, a jeśli Carson Daly będzie znowu wolny, macie mój numer – kończąc swój wywód, Maggie posłała w stronę kamery całusa, a potem kpiąco pokazała język, błyskając kolczykiem, który znajdował się na jego końcu.

– Super! – wyszeptala Kristy. Latisha zaklaskała, a Kara podniosła kciuki, podczas gdy Robin wyszła szybko z kabiny, podeszła do niej i poklepała ją po ramieniu. Uśmiechnęła się szeroko i pociągnęła za sobą korytarzem, gdzie czekała grupka około dwunastu innych ludzi.

– Gratulacje! Przeszłaś do kolejnego etapu.

– Gdzie jesteś? – irytowała się Rose.

– W Nowym Jorku! – Maggie krzyczała do telefonu. – W MTV jest casting na prezenterów i zgadnij, kto przeszedł pierwszy etap?!

Po drugiej stronie nastąpiła cisza.

– Powiedziałaś mi, że idziesz na spotkanie w sprawie pracy – wydusiła w końcu Rose.

Twarz Maggie poczerwieniała.

– A co to jest według ciebie?

– Szukanie wiatru w polu, pogoń za cieniem, mrzonka!

– Boże, nie możesz po prostu cieszyć się razem ze mną? –

Dziewczyna obok niej, wysoka amazonka w obcisłym skórzanym kombinezonie zrobiła niezadowoloną minę. Maggie odwdzieczyła jej się tym samym i przeszła do rogu poczekalni.

– Będę się cieszyć, jak dostaniesz pracę.  
– Mam zamiar dostać pracę!  
– O, wiesz na pewno, że MTV cię zatrudni? I ile płacą?  
– Dużo – powiedziała Maggie obrażonym tonem. W rzeczywistości nie była pewna, ile płacili... Ale na pewno sporo. Przecież to telewizja, no, nie? – Więcej niż ty jesteś w stanie wyciągnąć. Wiesz, co myślę? Że jesteś zazdrosna.

Rose westchnęła.

– Nie jestem zazdrosna. Po prostu chcę, żebyś skończyła z tym wariactwem, z całą tą sławą i znalazła normalną pracę, zamiast marnować pieniądze na podróże do Nowego Jorku.

– I żebym była taka jak ty – wypaliła Maggie. – Nie, dziękuję.

Wrzuciła telefon do torby i wściekła wpatrywała się w podłogę.

Pieprzona Rose! Jak mogła pomyśleć, że jej siostra się ucieszy, albo że zrobi na niej wrażenie to, w jaki sposób dostała się na casting, i że oczarowała wszystkich? No cóż, pomyślała, sięgając do torebki po szminke, już ona pokaże swojej Wielgachnej Siostrze. Wygra, dostanie pracę i następnym razem, gdy Rose ją zobaczy, będzie w telewizji, prawdziwsza niż w rzeczywistości i jeszcze piękniejsza.

– Maggie Feller?

Maggie wzięła głęboki oddech, ostatni raz musnęła usta szminką i poszła usidlić swoje marzenie. Tym razem wprowadzili ją do większego pomieszczenia, gdzie trzy oślepiająco jasne reflektory umiejscowione na rusztowaniach z nierdzewnej stali świeciły wprost na nią. Robin

uśmiechnęła się do Maggie znad swoich kartek i wskazała na telewizor.

– Czy czytałaś kiedyś z telepromptera? To wyświetlacz tekstu.

Maggie pokręciła głową.

– W porządku, to łatwe, pokażę ci– Robin przeszła na miejsce oznaczone literą X, wykonaną z taśmy maskującej, i stanęła przodem do ekranu. – A już za chwilę! – przeczytała głośno i entuzjastycznie. – Przed nami świeży, jeszcze gorący, nowy wideoklip Spice Girls! I nie dotykajcie tego pilota, bo w ciągu godziny zobaczycie Britney Spears!

Maggie stała, wpatrując się w telewizor. Słowa spływały z góry na dół, potem wróciły z powrotem zwijając się tak szybko, że natychmiast zrobiło jej się niedobrze. Umiała czytać. Umiała czytać całkiem nieźle. Po prostu nie tak szybko jak inni ludzie. I nie wtedy, gdy słowa poruszały się jak te tutaj! Zdała sobie sprawę, że Robin jej się przygląda.

– OK?

– Jasne! – powiedziała Maggie. Nogi się pod nią uginały, gdy przechodziła na nalepiony X. – A już za chwilę... – szeptała do siebie. Odrzuciła włosy, oblizła usta. Światła świeciły wprost na nią, bezlitośnie jak ogień. Czuła kropelki potu na czole.

– Możesz zaczynać, jeśli jesteś gotowa – pospieszał kamerzysta.

– A już za chwilę – zaczęła Maggie z pewnością siebie, której nie czuła. Słowa zaczęły płynąć w dół ekranu. – Przed nami... – Wpatrywała się w ekran. Słowa jeszcze trochę się poruszyły. – Jeszcze gorący, nawy wideoklip Spice Girls! I... – O, cholera. – Nowy – wyszeptała. –

Nowy! – powiedziała głośno. I po raz kolejny, jak chyba z milion razy wcześniej, zirytowała się, że niektóre słowa pisze się inaczej, niż się je wymawia. Kamerzysta śmiał się, ale nie był to przyjemny śmiech. Z uwagą patrzyła w ekran, modląc się z całego serca: „Proszę, po prostu pozwól mi to

dobrze przeczytać ”. B. Coś z B i Y Co? – Boy z I Men? – zgadywała. – Tak, Motown Philly wraca ponownie! I...

Kamerzysta patrzył na nią z ciekawością. Podobnie jak Robin.

– Dobrze się czujesz? – zapytała. – Widzisz ekran wyraźnie? Chcesz spróbować jeszcze raz?

– Już za chwilę! – próbowała dalej Maggie, tym razem zdecydowanie zbyt głośno. „Boże, proszę Cię – błagała z całych sił. – Nigdy już o nic Cię nie poproszę, tylko pozwól mi to zrobić dobrze”. Patrzyła na ekran, starając się zrobić to najlepiej jak umiała, ale „b” zamieniały się w „d”, a „w” odwracało do góry nogami.

– Mamy dla was jeszcze mnóstwo wspaniałej muzyki, zaraz po przerwie na reklamy... – teraz słowa rozplynęły się w niezrozumiałe hieroglify, a Robin i kamerzysta patrzyli na nią z wyrazem twarzy, który łatwo było odczytać. Litość.

– A już za chwilę mamy dla was to samo gówna co wczoraj! – Maggie wykrzywiła twarz, gdy odwracała się na swoich obcasach – niech będzie obcasach Rose – i jak pijana przeszła w kierunku drzwi, powstrzymując łzy. Biegła przez poczekalnię, prawie przewracając Panią Amazonkę, i przepchnęła się na korytarz, ale zdążyła jeszcze usłyszeć po raz ostatni głos Robin:

– Następny! – i: – Pospieszmy się, kochani, sporo was tu jeszcze zostało.

Lewis Feldman stał na półpiętrze z bukietem tulipanów w jednej ręce i pudełkiem czekoladek w drugiej oraz uczuciem trwogi ciężkiej jak zimowy płaszcz na jego ramionach. „Czy to kiedykolwiek stanie się łatwiejsze? ”, zastanawiał się, biorąc głęboki oddech i spoglądając w górę na drzwi Elli Hirsch.

Najgorsze, co może powiedzieć, to „Nie” – przypomniał sobie. Przełożył tulipany do lewej, a czekoladki do prawej ręki, po czym popatrzył w dół na swoje spodnie, które, mimo całego wysiłku włożonego w nie w pralni, były wygniecione i miały podejrzaną plamę pod jedną z kieszeni, jak gdyby eksplodowało w niej wieczne pióro. Co, pomyślał Lewis posepnie, było wielce prawdopodobne. Jej „nie” nie zabiłoby go – przypomniał sobie. Jeżeli nie zabił go łagodny atak serca, który miał trzy lata temu, zapewne odmowa Elli też nie zdoła tego dokonać. No, i nie jedna Ella była na świecie, w morzu pływa jeszcze sporo ryb, niektóre z nich same wyskoczyłyby z wody wprost do jego łodzi, jeszcze zanim pomyślałby o zarzuceniu wędki. Ale nie interesowała go Lois Ziff, która wpadła do niego dwa tygodnie po pogrzebie Sharli z sufletem i jednym więcej niż zwykle rozpiętym guzikiem, prezentując premiowe siedem centymetrów pokrytego zmarszczkami dekoltu. Nie interesowała go też Bonnie Begelman, która w zeszłym miesiącu wsunęła do jego mieszkania kopertę. W środku były dwa bilety do kina i karteczka głosząca, że będzie szczęśliwa, jeśli dołączy do niej, „gdy będzie gotowy”. Przez te wszystkie dni po śmierci Sharli, w czasie tych tygodni, gdy dzielnie znosił codzienne wizyty, jak to nazywał w myślach, Brygady Zapiekankowej – dziesiątek kobiet z pojemnikami Tupperware w ręku i troską rysującą się na twarzy, sądził, że nigdy nie

będzie gotowy, choć ona dała mu swoje błogosławieństwo.

– Znajdź sobie kogoś – powiedziała. Była ostatni raz w szpitalu i obydwójce już wiedzieli, choć nigdy o tym nie rozmawiali. Trzymał ją za rękę, tę bez wenflonu i pochylił się, by odsunąć z czoła przeredzone kosmyki włosów

– Sharla, nie mówmy o tym – poprosił. Potrząsnęła głową i popatrzyła na niego uważnie, w jej oczach pojawił się znajomy

błysk – błysk, który był rzadkością od tego dnia, gdy wrócił do domu i zobaczył ją siedzącą cicho na sofie. Spojrzał na nią i wiedział, nawet zanim jeszcze podniosła głowę, zanim powiedziała:

– Wrócił. Rak wrócił.

– Nie chcę, żebyś był sam – ciągnęła wtedy, w szpitalu. – Nie chcę, żebyś stał się jednym z tych nieprzyjemnych wdowców. Będziesz jadł za dużo sodu.

– Czy to twoje największe zmartwienie? – droczył się z nią. – Moje spożycie sodu?

– Ci mężczyźni stają się nie do zniesienia – jej powieki mimowolnie opadały. Podtrzymał słomkę w jej ustach, żeby mogła pić. – Zadufane w sobie marudy. Nie chcę, żebyś był taki sam – jej głos słabł. – Chcę, żebyś sobie kogoś znalazł.

– Masz na myśli kogoś szczególnego? – zapytał. – Zauważyłaś kogoś odpowiedniego?

Nie odpowiedziała. Pomyślał, że zasnęła – oczy miała zamknięte, a szczupła klatka piersiowa podnosiła się i opadała powoli pod świeżymi bandażami – ale dodała coś jeszcze.

– Chcę, żebyś był szczęśliwy – powiedziała, robiąc przerwę na oddech po każdym słowie. Pochylił głowę, bojąc się, że jeśli spojrzy na nią,

swoją żonę, kobietę, którą kochał i z którą przeżył czterdzieści trzy lata, rozplacze się i nie będzie w stanie tego powstrzymać. Siedział więc przy jej łóżku i trzymał za rękę, szepcząc do ucha, jak bardzo ją kocha. Kiedy umarła, myślał, że nigdy nie będzie chciał nawet spojrzeć na inną kobietę, a sąsiadki ze swoimi sufletami i dekoltami zupełnie na niego nie działały. Nikt, aż do teraz.

Nie chodziło o to, że Ella przypominała mu Sharłę – przynajmniej nie fizycznie. Sharla zawsze była drobna, a z wiekiem stawała się jeszcze drobniejsza. Miała okrągłe niebieskie oczy i blond włosy spięte w kok, zbyt duży nos i zbyt duży tyłek, z powodu czego często rozpaczała; uwielbiała koralowe szminki i sztuczną biżuterię: naszyjniki z malowanych szklanych koralików, wiszące kolczyki, które migotały i mieniły się przy każdym jej ruchu. Przypominała mu niewielkiego, egzotycznego ptaszka z opalizującym upierzeniem i słodkim sopranem. Ella była inna. Wyższa, o szlachetnych rysach – ostry nos, mocna szczęka – i miała długie, kasztanowe pukle, które oplatały jej głowę, mimo że wszystkie inne panie w Golden Acres nosiły włosy krótko obcięte. Ella przypominała mu trochę Katharine Hepburn – żydowską Katharine Hepburn, no, może nie aż tak królewską i przerażającą, Hepburn pogrążoną w jakiejś tajemniczej melancholii.

– Hepburn – wymamrotał. Pokręcił głową, dziwiąc się własnej głupocie i zaczął wspinać się po schodach. Żałował, że jego koszula jest pognieciona. I szkoda, że nie wziął kapelusza.

– Dzień dobry!

Lewis był tak zaskoczony, że aż podskoczył lekko, po czym spojrzał na kobietę, której twarzy nie potrafił rozpoznać.

– Mavis Gold – pomogła mu. – I gdzie to się wybieramy, tak

odświętnie ubrani?

– Och... po prostu...

Mavis Gold klasnęła w ręce, w związku z czym jej opalone ramiona zatrzęśły się uroczyście.

– Ella – szepnęła. „A szept ten prawdopodobnie mogli usłyszeć kierowcy na Causeway”, pomyślał Lewis. Z uznaniem musnęła lekko koniuszkiem palca jeden z tulipanów. – Piękne. Jest pan takim dżentelmenem. – Uśmiechnęła się do niego promiennie, pocałowała w policzek i kciukiem starła szminkę, która na nim została. – Powodzenia!

Skinął do niej, wziął głęboki oddech, jeszcze raz przełożył prezenty i nacisnął dzwonek. Nasłuchiwał odgłosów radia lub telewizora, ale usłyszał tylko ciche stapanie. Otworzyła drzwi i spojrzała na niego zdziwiona.

– Lewis?

Skinął na potwierdzenie, nagle nie mogąc wykrztusić słowa. Ubrana była w niebieskie dzinsy, sięgające tylko do połowy łydki i w luźną, białą koszulę. Jej białe stopy miały piękny kształt, były długie i jasne, z perłowym lakierem na paznokciach. Gdy na nie patrzył, miał ochotę ją pocałować.

Zamiast tego przełknął ślinę.

– Witaj – powiedział. No! To był jakiś początek.

Między jej brwiami pojawiła się bruzda.

– Czy wiesz był za długi?

– Nie, nie, wiesz jest w porządku. Przyszedłem, bo... no, więc... zastanawiałem się, czy... – „Dalej, stary dziadzie!” – powiedział do siebie. Był na wojnie, pochował żonę, na jego oczach syn został republikaninem i przykleił sobie nalepkę z Rushem Limbaughem na tylnej szybie swojego minivana. Przeżył gorsze rzeczy niż to. – Czy zjadłabyś ze mną kolację?

Widział, że zamierza potrząsnąć głową, jeszcze zanim to nastąpiło.



- Nie... nie sędę.
- Dlaczego nie? – wyszło to trochę głośniej niż chciał.

Ella westchnęła. Lewis wykorzystał chwilową ciszę.

- Mogę wejść? – zapytał.

Niechętnie uchyliła drzwi i wprowadziła go do środka. Jej mieszkanie nie było zagracone, jak wiele z maleńkich pokoików w Golden Acres, w których mieszkańcy próbowali zgromadzić dobytek całego życia na powierzchni, której nikt nie projektował z taką myślą. Podłogi włożone były płytkami, ściany kremowe, biała sofa, która, jak wynikało z doświadczeń Lewisa, lepiej sprawdzała się w teorii niż w praktyce, szczególnie jeśli miało się wnuki uwielbiające sok winogronowy.

Usiadł na jednym końcu kanapy, Ella na drugim. Wyglądała na podenerwowaną, gdy wsuwała swoje bosc stopy pod siebie.

- Lewis – zaczęła.

Wstał.

- Proszę cię, nie wychodź. Pozwól mi wytłumaczyć!

- Wcale nie wychodzę, idę po wazon – odparł.

– Poczekaj – powiedziała, wydając się zaniepokojona myślą, że zamierza myszkować w jej rzeczach. – Ja to zrobię.

Poszła szybko do kuchni i wyjęła z szafki wazon. Lewis napełnił go wodą, włożył tulipany, wrócił do pokoju i postawił wazon na stoliku.

– Proszę! Teraz, jeśli odmówisz, będziesz musiała codziennie patrzeć na te tulipany i czuć się winna.

Przez moment wyglądała, jakby miała zamiar się uśmiechnąć... a potem to znikło, niczym wytwór jego wyobraźni.

- Chodzi o to... – zaczęła.

- Poczekaj – otworzył pudełko czekoladek. – Ty pierwsza.

Odsunęła pudełko ręką.

– Naprawdę, nie mogę...

Nałożył okulary i rozłożył wkładkę z bombonierki informującą o składzie czekoladek.

– Serduszka z ciemnej czekolady mają w środku likier wiśniowy – poinformował Elle. – A te okrągłe to nugat.

– Lewis – zaczęła stanowczo. – Jesteś wspaniałym człowiekiem i...

– Ale – przerwał jej. – Słyszę, że zbliża się ale.

Znow wstał, poszedł do kuchni, wstawił wodę.

– Gdzie trzymasz serwis na specjalne okazje? – zawołał.

– Och... – westchnęła i pospieszyła za nim.

– Nie denerwuj się – powiedział. – Po prostu robię nam herbatę.

Ella spojrzała na niego, potem na czajnik.

– Dobrze – dała za wygraną i wyciągnęła z szafki dwa kubki reklamujące bibliotekę hrabstwa Broward. Lewis włożył torebki do kubków, znalazł cukiernicę (wypełnioną paczuszkami słodzika) i postawił wszystko na stole obok półlitrowego mleka całkowicie pozbawionego laktozy.

– Zawsze tak dobrze sobie radzisz? – zapytała.

– Nie zawsze tak było – przyznał szczerze. Zajrzał do lodówki, znalazł cytrynę z tyłu pojemnika na warzywa i pokroił ją, cały czas mówiąc.

– Ale potem moja żona zachorowała i wiedziała... no, cóż. Wiedziała. Więc dawała mi lekcje.

– Tęsknisz za nią?

– Codziennie. Tęsknię za nią każdego dnia – zaniósł jej kubek na stół.  
– A ty?

– No, wiesz, nie znałam twojej żony, więc trudno mi powiedzieć, że za nią tęsknię...

– Dobry żart! – pochwalił ją, usiadł obok niej i przyglądał się temu, co było na stole. – Wydaje mi się, że jeszcze czegoś tu brakuje. – Po tym stwierdzeniu znowu otworzył lodówkę Elli. – Mogę?

Skinęła głową, sprawiając wrażenie nieco oszołomionej. Przeszukiwał lodówkę, aż natrafił na znajomy kształt, który natychmiast rozpoznał jako mrożone ciasto biszkoptowe Sary Lee. Ulubione ciasto Sharli. Nieraz zdarzyło mu się znaleźć ją w środku nocy przed telewizorem, pałaszującą rozmrożony kawał tego biszkopta. Takie noce sygnalizowały zazwyczaj koniec kolejnej diety winogronowo– tuńczykowej, stosowanej dwa razy w roku. Wracała potem do łóżka z uśmiechem winowajcy, a jej usta smakowały masłem. Pocałuj mnie – szeptała, ściągając przez głowę nocną koszulę. – Spalmy trochę tych okropnych, szkodliwych kalorii.

Wręczył Elli ciasto.

– Może być?

Skinęła i włożyła je do mikrofalówki. Lewis sączył herbatę i obserwował jej ruchy. Biodra wyglądają na prawdziwe, pomyślał, i zaśmiał się sam z siebie, że zauważył coś takiego. Adam, jeden z jego wnuków, powiedział mu podczas ostatniej wizyty, że wystarczy mu jedno spojrzenie, by rozpoznać, czy kobieta ma sztuczny biust czy nie i Lewis uznał, że posiada taki sam talent w dziedzinie stawów biodrowych.

– Skąd ten uśmiech, o czym myślisz?

Lekko wzruszył ramionami.

– O wnuku.

Jej twarz zmarszczyła się jak papierowa torebka. Szybko ją wygładziła, tak szybko, że właściwie nie był pewny, czy widział to, co widział, czyli rozpacz. Miał ochotę wziąć jej rękę, trzymać ją w swojej i

poprosić, żeby mu wszystko opowiedziała, żeby opowiedziała mu, jakie bolesne przeżycia kryły się za tym wyrazem twarzy. Właściwie nawet zaczął wyciągać rękę w stronę stołu, gdy zauważył, że Ella wpatruje się w coś, jak gdyby zobaczyła karalucha, który właśnie wypełził z biszkoptu.

– O co chodzi?

– Ty to przypaliłeś? – zapytała Ella.

Wskazała na mankiety jego koszuli. Lewis spojrział we wskazanym kierunku. Na jednym brakowało guzika, a drugi był fatalnie postrzępiony i lekko przybrązowiony

– Przypuszczalnie tak. Nie jestem mistrzem żelazka.

– Och! Mogłabym... – umilkła nagle i poprawiła włosy, trochę zdenerwowana. Lewis zauważył swoją szansę, nadmuchiwany ponton podskakujący wśród fal i uchwycił się go z całych sił.

– Dać mi kilka lekcji? – zapytał skromnie." Wybacz mi, Sharlo ", pomyślał, wyobrażając sobie, że będzie musiał schować wszystkie instrukcje, które mu zostawiła, wszystkie pudełka i butelki opatrzone etykietami „kolorowe” i „białe”.

– Hmm – Ella zawahała się.

Odezwał się brzęczyk mikrofalówki. Lewis przyniósł ciasto. Podał Elli kawałek, później ukroił jeden dla siebie.

– Zdaję sobie sprawę, że się narzucam – powiedział – i jaka jesteś zajęta. Ale odkąd umarła moja żona, nie bardzo wiem, co z sobą począć. W zeszłym tygodniu zacząłem się zastanawiać, czy nie lepiej kupować po prostu nowe rzeczy co miesiąc czy jakoś tak...

– Och, nie rób tego! – żywiłowo zareagowała Ella. – Pomogę ci.

Widział, że ta zgoda trochę ją kosztowała, że w jej głowie toczyła się bitwa, poczucie obowiązku i współczucie walczyły z ogromną potrzebą

bycia samą.

– Muszę spojrzeć do terminarza.

Terminarz nie miał chyba równych sobie na całym świecie, okazał się księgą grubości dziesięciu centymetrów, w którym zapisana została każda minuta zaplanowanego czasu, na wpół nieczytelnym labiryntem gryzmołów i strzałek oraz numerów telefonicznych i samoprzylepnych karteczek z notatkami.

– Zobaczmy – Ella studiowała dokładnie każdą stronę. – W środę jestem w szpitalu...

– Coś się stało?

– Zajmuję się niemowlętami – wyjaśniła. – W czwartek jadłodajnia, potem hospicjum. W piątek rozwożę posiłki do domów...

– Sobota? – zapytał Lewis. – Nie chcę cię straszyć, ale prawie kończy mi się bielizna.

Gdzieś z tylnej części jej gardła dobiegł dźwięk, który brzmiał prawie jak śmiech.

– Sobota – zgodziła się.

– Świetnie – ucieszył się. – Piąta? Jak skończymy, zabieram cię na kolację.

Był już za drzwiami, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, a gdy schodził po schodach pogwizdując cicho, wcale nie zaskoczył go widok Mavis Gold, która twierdziła, że idzie właśnie do pralni, chociaż ewidentnie nie miała przy sobie niczego, co nadawałoby się do prania.

– Jak poszło? – zapytała półgłosem. Wyciągnął do góry dwa kciuki i uśmiechnął się, gdy klasnęła w ręce. Potem pospieszył do domu wylać trochę atramentu na spodnie i oderwać kilka guzików swojej ulubionej koszuli.

## 9

– OK! – zawołała Rose ze swojego krzesła przed komputerem. – Nazwisko, mamy. Adres możesz podać mój – jej palce fruwały nad klawiaturą. – Cel?

– Dostać pracę – Maggie leżała wygodnie rozciągnięta na kanapie, z twarzą pokrytą centymetrową warstwą, jak poinformowała swoją siostrę, glinki redukującej widoczne pory.

– A może napiszemy „praca w handlu”? – zapytała Rose.

– Wszystko jedno – Maggie włączyła telewizor.

Była sobota rano, pięć dni po upokarzającym przesłuchaniu, i w MTV przedstawiano nową prezenterkę, która wygrała konkurs – śliczną, pełną życia brunetkę z kolczykiem na łuku brwiowym.

– A już za chwilę zobaczymy premierę ostatniego wideoklipu Spice Girls! – głądziła dziewczyna. Maggie szybko nacisnęła inny guzik pilota.

– Słuchaj – zniecierpliwiła się Rose. – Staram ci się pomóc. Czy mogłabyś się przez chwilę skupić?

Maggie prychnęła lekko, dając upust swemu niezadowoleniu i zniecierpliwieniu, po czym wyłączyła telewizor.

– Przebieg pracy zawodowej – podsunęła Rose.

– Hm?

– No, wiesz, gdzie pracowałaś wcześniej. Maggie, nigdy nie pisałaś CV?

– Jasne, że pisałam – odpyskowała Maggie. – Bez przerwy Tak jak ty chodzisz na siłownię.

– Gdzie pracowałaś? – powtórzyła Rose.

Maggie z tęsknotą patrzyła na papierosy w swojej torebce, ale

wiedziała, że zapalenie jednego skończy się albo wykładem Rose na temat raka płuc, albo pogadanką z serii mój– dom– moje– zasady

– OK – powiedziała i zamknęła oczy. – T. J. Maxx – zaczęła. – Przez sześć tygodni. Od października do zaraz przed Świętem Dziękczynienia.

Westchnęła. Rzeczywiście lubiła tę pracę. I była w niej dobra. Gdy pracowała przy przymierzalniach, nie ograniczała się do wręczenia klientce plastikowej karty i wskazania garderoby Brała ubrania, prowadziła do środka, otwierała kabinę, wieszała porządnie każdą rzecz tak, jak robili to w wielkich domach towarowych i modnych butikach w centrum. A gdy klientki wychodziły, żeby wykonać przed trójdzielnym lustrem wszystkie konieczne figury i piruety, ściągając pasek lub wysuwając koszulę ze spodni, Maggie już tam była, oferując swoje uwagi i sugestie, komentując szczerze (ale ostrożnie), gdy nie wyglądały w czymś najlepiej, biegnąc z powrotem do wieszaków w poszukiwaniu odpowiedniejszego rozmiaru czy koloru, lub czegoś zupełnie innego, czegoś, w czym nawet sobie siebie nie wyobrażały, ale co Maggie wyraźnie na nich widziała.

– Jest pani skarbem! – powiedziała jedna z klientek, wysoka, szczupła kobieta z kruczoczarnymi włosami, której byłoby dobrze we wszystkim, ale wyglądała szczególnie korzystnie w kombinacji wybranej przez Maggie – miała czarna plus idealna skórzana torebka i czarne czółenka bez pięty, a do tego pasek ze złotych, metalowych ogniw, który wyciągnęła z kosza z przecenionymi artykułami. – Powiem kierownikowi, jak bardzo mi pani pomogła!

– Co się stało?

Maggie nie otwierała oczu.

– Odeszłam – wymamrotała.

Faktycznie stało się to, co zwykle działo się z jej pracami – wszystko szło dobrze, dopóki coś nie stanęło jej na drodze. Zawsze było coś takiego. W tym przypadku kasa. Zeskanowała kupon upoważniający do dziesięcioprocentowego rabatu, ale nie przeszedł przez kasę.

– Nie może pani przeliczyć sama? – zażądała klientka. Maggie rzuciła jej gniewne spojrzenie i przyjrzała się sumie na rachunku. Sto czterdzieści dwa dolary. Więc 10 procent to będzie... Zagryzła wargę.

– Czternaście dolarów! – wyreczyła ją kobieta. – No, więc?

W tym momencie Maggie powoli wyprostowała się, zadzwoniła na pager kierowniczkii i ze słodkim uśmiechem zwróciła się do kolejnej klientki w kolejce.

– Dzień dobry.

– Hej! – zareagowała ta od dziesięciu procent. – Nie skończyła mnie pani obsługiwać!

Maggie ją zignorowała, a następna klientka zaczęła wyklądać na taśmę swoje swetry i dzinsy, więc Maggie otworzyła już kolejną, plastikową torbę. Wiedziała, co się wydarzy. Kobieta nazwie ją głupią. A tego absolutnie nie miała zamiaru znosić. Właściwie to nawet nie chciała tam pracować. Jej talent marnował się w kasie zamiast kwitnąć w przymierzalni, gdzie rzeczywiście mogła pomóc ludziom, a nie skanować kupony jak jakiś robot.

Kierowniczka przybiegła dość szybko, pobrząkując kluczami do kasy zawieszonymi na szyi.

– O co chodzi?

Kobieta od kuponu wskazała palcem na Maggie.

– Nie umiała wbić mojego kuponu.

– Dobrze, dziesięć procent – powiedziała kierowniczka. – Czternaście dolarów!



– Przepraszam – wymamrotała Maggie wpatrując się w podłogę, a klientka przewróciła oczami. Pod koniec zmiany, gdy kierowniczka zaczęła mówić coś o tym, że jest przecież kalkulator i że zawsze może poprosić o pomoc, Maggie po prostu zdjęła swój poliestrowy fartuch, upuściła na podłogę identyfikator i wyszła.

– W porządku – odezwała się Rose. – Ale jeśli cię zapytają, powiedz, że szukałaś czegoś ambitniejszego.

– OK – Maggie popatrzyła na sufit, jak gdyby historia jej kariery zawodowej była tam wymalowana niczym sklepowo– barowa wersja Kaplicy Sykstyńskiej. – Przed T. J. Maxxem pracowałam w Gapie, a przedtem w Pomodoro Pizza, a jeszcze przedtem w Starbucks, a potem w Limited – nie, czekaj, nie tak. Najpierw byłam w Urban Outfitters, a wcześniej w Limited, i w...

Rose stukała po klawiaturze jak szalona.

– Banana Republic – ciągnęła Maggie. – Macys accessories, Macy's fragrance, Cinnabon, Chik– fil– A, Baskin– Robbins...

– A co z tą restauracją? Niebanalnym Zakątkiem?

Maggie skrzywiła się. Szło jej tam całkiem dobrze, aż niedzielny kierownik zmiany wziął się na nią. „MargarET, solniczki są nienapełnione. MargarET, musisz pomóc w kuchni”. Ciągle mu powtarzała, że nie nazywa się Margaret – po prostu Maggie – ale on ignorował ją przez cały miesiąc, aż wreszcie wymyśliła, jak się zemścić. Pewnej majowej nocy ona i jej ówczesny chłopak wdrapali się na dach i odkręcili litery NIEB z nazwy restauracji. Co oznaczało, że następnego dnia dziesiątki kobiet z bukietami przy sukienkach pojawiły się, by zjeść uroczyste późne śniadanie z okazji Dnia Matki w Analnym Zakątku.

– Zrezygnowałam – powiedziała Maggie.

„Zanim zdążyli mnie zwolnić”, pomyślała.

– W porządku – powiedziała Rose, wpatrując się w ekran. – Trzeba to będzie jakoś poukładać.

– Jak chcesz – Maggie głośno tupiąc przeszła do łazienki, gdzie zmyła glinę z twarzy. Tak więc przebieg jej pracy zawodowej nie przedstawia się imponująco, myślała wściekle. Co nie oznacza, że nie pracuje ciężko! Nie oznacza, że się nie stara!

Siostra dobijała się do drzwi.

– Maggie, skończyłaś? Muszę wziąć prysznic!

Maggie wytarła twarz i poszła z powrotem do salonu, włączyła ponownie telewizor, po czym usiadła przed monitorem komputera. Podczas gdy Rose brała prysznic, Maggie zapisała swoje CV na dysku, otworzyła nowy plik i zaczęła pisać list do Rose. Przede wszystkim ćwiczyć systematycznie (aerobik i hantle) – napisała. Zaczynij też regularnie bywać u kosmetyczki. Możesz skorzystać z programu dla puszystych Jenny Craig (mają teraz specjalną ofertę!) – wyszczerzyła zęby, a potem dodała pomocny odsyłacz z artykułem o Camie Wilson i jej operacji wyszczuplającej. Włożyła sobie papierosa w usta i lekkim krokiem opuściła mieszkanie, zostawiając list na krześle Rose, a artykuł („Gwiazda zrzuca połowę wagi”) na ekranie monitora, tak by była to pierwsza rzecz, którą Rose zobaczy po przyjściu z pracy.

– Zamknij drzwi na klucz! – zawołała za nią z sypialni Rose.

Maggie zignorowała ją. Jak jest taka mądra, niech sama zamknie swoje drzwi, pomyślała i skierowała się w stronę holu.

– Prawnik? – Facet z brodą przyjrzał się Rose. – Hej, co to jest: sześciu prawników na dnie oceanu?

Rose lekko wzruszyła ramionami i skierowała tęskne spojrzenie w

stronę drzwi wejściowych domu Amy, mając nadzieję, że wkrótce zobaczy w nich Jima.

– Dobry początek! – ryknął facet z brodą.

Rose zrobiła wielkie oczy.

– Nie rozumiem – powiedziała.

Gapił się na nią, niepewny, czy żartuje.

– Nie rozumiem. To znaczy, dlaczego prawnicy znajdują się na dnie oceanu? Nurkują czy coś w tym rodzaju?

Teraz facet poczuł się wyraźnie nieswojo. Rose zmarszczyła czoło.

– Zaraz... czy są na dnie oceanu, bo utonęli?

– No, tak – westchnął brodaty, odrywając paznokciem etykietkę ze swojej butelki piwa.

– W porządku – artykułowała powoli Rose. – Mamy więc sześciu martwych, utopionych prawników na dnie oceanu... – przerwała i spojrzała wyczekująco na faceta.

– To był po prostu kawał – wyjaśnił strapiony

– Ale nie rozumiem, co w nim śmiesznego?

Facet cofnął się dwa kroki.

– Czekaj! – zawołała Rose. – Czekaj! Musisz mi to wyjaśnić!

– Będę... ehm... – facet próbował zrobić dyplomatyczny unik.

Przemknął w stronę baru. Amy rzuciła jej krzywe spojrzenie z miejsca, w którym stała, i pokręciła głową. Nieładnie, powiedziała bezgłośnie, grożąc jej palcem wskazującym. Rose wzruszyła ramionami.

Zazwyczaj nie była taka, ale spóźnienie Jima w połączeniu z trzytygodniową już obecnością Maggie w jej mieszkaniu wprawiły ją w paskudny nastrój.

Rose patrzyła na swoją najlepszą przyjaciółkę myśląc, że przynajmniej

jedna z nich zmieniła się od żalonych czasów gimnazjum.

W trzeciej klasie Amy miała metr osiemdziesiąt wzrostu ważąc około 50 kilogramów, więc chłopcy w klasie wołali na nią Ichabod Crane – w skrócie Ick. Ale Amy dobrze czuła się w swojej tyczkowatej skórze. Teraz obnosiła się ze swoimi guzowatymi nadgarstkami jak najcenniejszymi bransoletami, a drobne kości twarzy i bioder traktowała jak niezwykle dzieła sztuki. W college'u miała dredy, potem jednak obcięła włosy i zafarbowała na ciemną czerwień. Lubiła czarne obcisłe bluzki i długie czarne džinsy. Wyglądała bajecznie. Egzotycznie, tajemniczo i seksownie, nawet gdy otwierała buzię i prezentowała swój silny, niereformowalny akcent z Jersey. Amy miała zawsze przynajmniej pół tuzina chłopaków, eks– chłopaków, i potencjalnych chłopaków ustawiających się w kolejce po przywilej postawienia jej pizzy i posłuchania, jak rozprawia o aktualnej sytuacji muzyki hip– hop w Ameryce. Dodatkowo Amy była inżynierem chemii – zawód, który zazwyczaj prowokował przynajmniej kilka pytań podyktowanych ciekawością nieznanym, spotykanych na przyjęciach – podczas gdy Rose była prawnikiem, co zazwyczaj wywoływało jedną z dwóch możliwych reakcji: pierwsza, której przykładem jest brodac z kawałem o prawnikach, i druga, która, Rose była tego pewna, wkrótce zostanie bardzo dobrze zilustrowana przez wysokiego, bladego mężczyznę w okularach, który zaparkował na kanapie obok niej, zakłócając jej prywatność miseczką serowych chrupek.

– Amy mówi, że jesteś prawnikiem – zaczął. – Wiesz, mam taką jedną sprawę.

„Jasne, że masz”, pomyślała Rose z przyklepionym do twarzy uśmiechem. Spojrzała na zegarek. Prawie jedenasta. Gdzie jest Jim?

– Chodzi o drzewo – powiedział. – Rośnie na mojej działce,

rozumiesz? Ale liście spadają w większości na teren sąsiada...

„Tak, tak, tak – pomyślała. – I obydwaj jesteście zbyt leniwi, żeby wziąć grabie i je sprzątnąć. Albo on ściał drzewo bez twojej zgody. I zamiast po prostu o tym porozmawiać jak normalni ludzie, albo, Boże wybacz, faktycznie zatrudnić adwokata, chcesz to zwalić na mnie”.

– Przepraszam – wymamrotała, przerywając jego opowieść i uciekła, przepychając się wśród gości, aż znalazła Amy, która stała w kuchni oparta o lodówkę, z kieliszkiem wina w dłoni i lekko odchyloną głową. Śmiała się z czegoś, co mówił stojący przed nią mężczyzna.

– Hej, Dan – powiedziała Amy przeciągle – to moja przyjaciółka Rose.

Dan był wysoki, ciemny i fantastyczny.

– Miło cię poznać – przywitał się. Rose obdarzyła go bladym uśmiechem, przyciskając mocno torebkę – a w niej swój telefon komórkowy – do biodra. Musiała porozmawiać z Jimem. Był jedyną osobą, która mogła ją uspokoić, wywołać na jej twarzy prawdziwy uśmiech i przekonać ją, że życie nie jest bez sensu i że świat nie jest pełen idiotów opowiadających głupie dowcipy oraz awanturników z drzewami na swoich posesjach. Gdzie on był? Uwolniła się od Dana i sięgnęła do torebki, ale Amy była już przy niej.

– Nawet o tym nie myśl – powiedziała stanowczo. – Nie ścigaj go. To niekobiece. Pamiętasz? Mężczyźni lubią polować, nie chcą być zwierzyną.

Amy wyjęła telefon z dłoni Rose i zamieniła go na drewnianą łyżkę.

– Pierożki – kusząco wskazała piec i garnek z parującą wodą.

– Co właściwie masz przeciwko Jimowi? – zapytała Rose.

Amy przez chwilę gapiła się w sufit, potem zrównała swój wzrok ze

wzrokiem Rose.

– Nie chodzi o niego, ale o ciebie. Martwię się o ciebie.

– Dlaczego?

– Martwię się, że zaangażowałaś się w to bardziej niż on. Nie chcę, żeby cię zranił.

Rose otworzyła usta, potem zamknęła je szybko. Jak mogła przekonać Amy, że Jim jest tak samo zaangażowany, skoro nawet nie przyszedł? I było jeszcze coś, co pulsowało w zakamarku jej głowy, a dotyczyło tej nocy, gdy pojawił się tak późno, z naręczem kwiatów i czuć go było szkocką, różami i, leciutko, czymś jeszcze. „Perfumy? ”, pomyślała, a potem powstrzymała tę myśl i zbudowała wokół niej mur, ścianę składającą się ze słowa „nie”.

– I czy on nie jest twoim szefem?

– Niezupełnie. – Jim nie był jej szefem bardziej niż którykolwiek inny wspólnik w firmie. Co oznaczało, że przynajmniej w części był jej szefem. Rose przełknęła ślinę, odsunęła tę myśl do przeznaczonej jej kryjówki daleko z tyłu głowy i zaczęła gotować na parze partię pierożków z krewetkami.

Gdy tylko Amy odwróciła się tyłem, ponownie złapała torebkę, szybko przeszła przez korytarz pomiędzy zdobiacymi go afrykańskimi maskami, dała nura do łazienki na dole i wykręciła numer biura Jima. Brak odpowiedzi. Wykręciła swój własny numer. Może źle ją zrozumiał i zatrzymał się u niej w domu, zamiast iść prosto do Amy.

– Halo?

Niech to! Maggie.

– Cześć! Dzwonił może Jim?

– Nie– e – wydukała Maggie.

– Dobra, gdyby zadzwonił, powiedz mu... powiedz mu, że spotkamy

się później.

– Raczej mnie nie będzie. Wychodzę.

– O! – Rose przyszło na myśl przynajmniej z dziesięć rzeczy, o które chciała zapytać: Gdzie wychodzisz? Z kim? Skąd masz pieniądze?

Ugryzła się jednak w język. Wypytywanie Maggie tylko by ją rozwścieczyło, a wysyłanie rozzłoszczonej Maggie do miasta to trochę jakby wręczyć dwuletniemu dziecku naładowany pistolet.

– Zamknij drzwi na klucz.

– Jasne.

– I proszę cię, zdejmij moje buty – dodała Rose.

Chwila ciszy.

– Nie mam na sobie twoich butów...

„Jasne, bo właśnie je zdjęłaś”, pomyślała Rose.

– Baw się dobrze – odpowiedziała zamiast tego. Maggie obiecała, że będzie się dobrze bawić. Rose spryskała policzki i nadgarstki zimną wodą i przyjrzała się w lustrze swojej twarzy. Rozmazany tusz. Szminka wyparowała. A ona utknęła na przyjęciu, gotując pierożki, sama. Gdzie on był?

Rose otworzyła drzwi i próbowała wyminąć Amy, która stała w nich ze swoimi długimi, kościstymi ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

– Dzwoniłaś do niego? – zażądała odpowiedzi.

– Do kogo?

Amy roześmiała się.

– Kłamiesz tak samo nieudolnie jak wtedy, gdy kochałaś się w Halu Lindquiscie. – Wzięła serwetkę i starła rozmazany tusz spod oczu Rose.

– Nie kochałam się w Halu Lindquiscie!

– Jasne, że nie. Po prostu dzień w dzień skrzętnie notowałam w swoim

zeszycie do matmy, w co był ubrany, ponieważ chciałaś, żeby przyszłe pokolenia wiedziały, co Hal Lindquist nosił w 1984.

Rose uśmiechnęła się do siebie.

– No, więc który z tych facetów jest twój?

Amy skrzywiła się.

– Nie pytaj. To miał być Trevor.

Rose próbowała sobie przypomnieć, co Amy mówiła o Trevorze.

– Jest tu?

– Tak się złożyło, że nie... Wyobraź sobie, jesteśmy na kolacji... – ciągnęła Amy.

– Gdzie?

– W Tangerine. Bardzo przyjemnie. Siedzimy tam sobie, światła przygaszone, delikatne migotanie świec i udało mi się nie poplamić kuskusem, a on opowiada mi, dlaczego zerwał ze swoją poprzednią dziewczyną. Najwyraźniej chodziło o jego nowe zainteresowania.

– Czyli co?

– Gówno – powiedziała Amy z najzupełniej poważną miną.

– Cooo?

– Słyszałaś. Seks i defekacja.

Rose wstrzymała oddech.

– Żartujesz?

– To najprawdziwsza, gówniana prawda – westchnęła Amy ze śmiertelną powagą. – Tak więc, siedzę tam całkowicie przerażona. Nie muszę ci chyba mówić, że nie mogłam nic przelknąć, no i resztę wieczoru musiałam uważać, żeby nie puścić bąka, bo pomyślałby, że flirtuję...

Rose zaczęła się śmiać.

– Chodź – powiedziała Amy, wkładając serwetkę do kieszeni i



podając jej piwo. – Jesteśmy na imprezie.

Rose wróciła do kuchni, podgrzała sos z karczochów, uzupełniła krakersy w koszyku i przeprowadziła rozmowę z jeszcze jednym z niedoszłych Amy, choć pod koniec nie pamiętała słowa z tego, co którykolwiek z nich powiedział. Tęskniła za Jimem – który, na podstawie dostępnych dowodów, wcale nie tęsknił za nią.

TTLR

Jim Danvers otworzył oczy i pomyślał to samo, co myślał każdego ranka: dziś będę lepszy. „I nie wódź mnie na pokuszenie” – wyrecytował, pociągając brzytwą po policzku i patrząc surowo na swoje odbicie w lustrze. „Odejdź, Szatanie” – powiedział, wciągając slipy. Problem w tym, że Szatan nie odchodził. Pokusy czaiły się na każdym rogu. O, jest jedna, oparta o ścianę, czeka na autobus. Jim nacisnął na hamulec swojego Lexusa i zawiesił wzrok na blondynce w opiętych dżinsach, zastanawiając się, jak wygląda jej ciało pod tym obszernym, zimowym płaszczem, jak ruszałaby się w łóżku, jak by pachniała, jakie wydawałaby dźwięki i co trzeba by zrobić, żeby się dowiedzieć.

„Skończ – przywołał się do porządku – po prostu skończ”. I naciśnięciem guzika powołał do życia radio. Na przednim siedzeniu zagościł Howard Stern, mówiący oblesnym nieco tonem człowieka doświadczonego i znającego się na rzeczy

- Czy one są prawdziwe, skarbie? – zapytał poranną gwiazdkę.
- Są z prawdziwego silikonu – zachichotała w odpowiedzi.

Jim przełknął ślinę i zmienił stację na muzykę klasyczną. To było naprawdę niesprawiedliwe. Od czasu pierwszej polucji trzeciej nocy na obozie harcerskim w wieku lat dwunastu, obwieszczającej nadejście okresu dojrzewania, marzył o kobietach intensywnie i zapalczywie, abstrakcyjną tęsknotą umierającego z głodu faceta, który utknął na bezludnej wyspie ze starymi egzemplarzami „Bon Appetit”. Blondynki, brunetki, rude, gibkie o małych piersiach i niskie, pełne wigoru, zaokrąglone; czarne, Latynoski, Azjatki, białe, młode, stare i te gdzieś pośrodku, i nawet, Boże ratuj, dziewczyna z aparatem ortopedycznym na nogach, którą widział w telewizji

w akcji dobroczynnej Jerry ego Lewisa – w swoim świecie fantazji pracodawca Jim Danvers był zwolennikiem równouprawnienia. I nigdy nie mógł ich mieć. Nie – w wieku lat dwunastu, gdy był mały i pękaty, z wieczną zadyszka. I nie – w wieku lat czternastu, gdy wciąż był mały, już nie pękaty, a wręcz tłusty, z twarzą podziurawioną, jak zarzekał się dr Guberman, najgorszym przypadkiem trądziku torbielkowatego, z jakim miał do czynienia. W wieku lat szesnastu wystrzelił 15 centymetrów w górę, ale co się stało, już się nie odstało, i przezwisko Wieloryb Fudgie nieszczęśliwie ciągnęło się za nim aż do college u. To, co nastąpiło potem, to klasyczny przykład zaklętego kręgu – był nieszczęśliwy z powodu swojej wagi. Jadł, żeby poradzić sobie z cierpieniem, karmiąc ból pizzą i piwem, co tylko go powiększało i jeszcze dalej odpychało kobiety. Stracił dziewictwo pod koniec szkoły średniej z prostytutką, która zlustrowała go dokładnie z góry aż na dół, w skupieniu żując gumę, po czym uparła się, że ona będzie na górze.

– Nie żebym cię krytykowała, kotku – stwierdziła – ale wydaje mi się, że ciąży tu na mnie pewna odpowiedzialność.

W szkole prawniczej mogło być lepiej, pomyślał, słuchając kojących dźwięków Bacha. Był jeszcze wyższy i po żenujących dziesięciu minutach z prostytutką zaczął biegać, wykorzystując ścieżkę, która podążał Rocky w czasie swoich treningów na ulicach Filadelfii (choć był przekonany, że nawet biegnąc po raz pierwszy, Rocky był w stanie pokonać dystans dużo dłuższy niż trzy przecznice bez zatrzymywania się dla złapania oddechu). Waga spadła. Trądzik znikł, pozostawiając za sobą tylko niewyraźną siateczkę interesujących blizn. No, i Jim doprowadził do porządku swoje zęby. Pozostała jednak chorobliwa nieśmiałość, paraliżujący brak poczucia

własnej wartości. Przez całą trzecią dekadę swojego życia, w czasie, gdy powoli i pewnie piał się w górę u Lewisa, Dommela i Fenicka, jeśli tylko usłyszał śmiech kobiet, przyjmował, że śmieją się z niego lub w związku z nim.

A potem, nie wiedział dokładnie jak, wszystko się zmieniło. Pamiętał ten wieczór, gdy został współnikiem, jak razem z trójką wcześniej awansowanych kolegów poszli do irlandzkiego pubu na Walnut Street.

– To Noc Niani – powiedział jeden z nich, rzucając mu porozumiewawcze spojrzenie. Jim nie wiedział, co miał na myśli, ale wkrótce wszystko stało się jasne. Knajpa pełna była młodych Irlandek, niebieskookich Szwedek i Finek z francuskimi warkoczami. Pół tuzina melodyjnych akcentów rozbrzmiewało wokół baru wykonanego z mosiądzu i mahoni. Jimowi odebrało mowę i zdolność poruszania się. Stał jak słup soli w kącie, wypijając na przemian szampana, porter, jasne piwo. Stał jeszcze długo po tym, jak koledzy poszli do domu, wgapiając się bezradnie w chichoczące dziewczyny, które zaczęły narzekać na swoje zarobki. W drodze do męskiej toalety wpadł na jedną z nich – rudowłosą, piegowatą, o niebieskich, błyszczących oczach.

– Hej, spokojnie! – wybuchnęła śmiechem, gdy jękając się chciał ją przeprosić. Usłyszał, że miała na imię Maeve. Odprowadziła go z powrotem do stolika.

– Wspólnik – zagruchała, a jej koleżanki patrzyły aprobująco.

– Gratulacje!

Po czym wylądował w jej łóżku, spędzając sześć radosnych godzin na smakowaniu jej piegów i wypełnianiu dłoni szeleszczącym ogniem jej włosów.

A potem został dziwką. Żadne inne słowo nie oddaje sedna sprawy.

Żaden z niego Don Juan czy Romeo; nie był też ogierem ani kogutem. Był dziwką, urzeczywistniając każdą ze swoich fantazji sfrustrowanego nastolatka w mieście, które nagle wydawało się pełne przyjacielskich, dwudziestoparoletnich dziewcząt, równie spragnionych niezobowiązujących igraszek, jak on sam. Wszedł w jakiś zaczarowany zakręt, za którym to, kim był (i ile zarabiał), przebijało wszystkie inne karty, i dawało mu wolną rękę. Albo lepiej teraz wyglądał. Albo dla kobiet słowa „jestem współnikiem” brzmiały dokładnie jak „zdejmij majtki”. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale w pewnym momencie, gdzie się nie obejrzał, były jakieś nianie, studentki, sekretarki, barmanki i opiekunki do dzieci oraz kelnerki, i wcale nie musiał ich szukać gdzieś po barach. Właśnie, nawet w biurze była ta asystentka, która z przyjemnością została by po godzinach, zamknęła za sobą na klucz drzwi jego gabinetu i zdjęła wszystko oprócz biustonosza w kolorze bzu i pewnej pary sandałów, których sznurowadła pięły się po jej łydkach, i...

„Przestań”, powiedział do siebie Jim. To niestosowne. Żenujące. To się musi skończyć. Miał trzydzieści pięć lat i był współnikiem. Przez ostatnie półtora roku obżerał się na bankiecie uciech cielesnych w stylu „jedz, ile możesz!” i to powinno wystarczyć. Pomyśl o zagrożeniach, upominał się. Choroby! Zawód miłosny! Wściekli ojcowie i narzeczeni! Trzej koledzy, którzy zostali współnikami w tym samym czasie, co on, byli już żonaci, dwóm urodziło się dziecko i chociaż nic nie zostało głośno powiedziane, stało się jasne, że wybrali styl życia pochwalany przez zwierzchników firmy. Dom rodzinny, ognisko domowe z możliwością dyskretnego urozmaicenia na boku – oto droga, którą należało podążać, a nie te dzikie weekendy z dziewczynami, których nazwisk nie zawsze był w stanie dosłyszeć.

Początkowo w oczach kolegów widział podziw, ostatnio więcej niż

podziwu było rozbawienia. Wkrótce będą na niego spoglądać już tylko z rozbawieniem. A potem dołączy niesmak.

No, i była Rose. Gdy o niej myślał, czuł, że łagodnieje. Rose nie była najpiękniejszą dziewczyną, z jaką był, ani najbardziej seksowną. Ubierała się jak represjonowana bibliotekarka, a jej pomysł na seksowną bieliznę to bawełniane majtki dopasowane do bawełnianego biustonosza, a jednak w tym wszystkim było coś, co omijało gorące zwoje kabli poniżej jego pasa i dochodziło wprost do serca. Sposób, w jaki na niego patrzyła! Jakby był jednym z facetów z okładki czytanych przez nią romantycznych powieści, który ożył, zostawił swojego białego rumaka przy parkometrze i przedarł się przez gąszcz cierniowych zarośli, by ją uratować. Dziwił się, że cała firma nie domyśliła się jeszcze, co zdarzyło się między nimi pomimo zasad obowiązujących wspólników i pracowników. Z drugiej strony, może był po prostu ślepy. Może wszyscy już dawno wiedzą. I oto on, Jim Danvers, sto razy na dzień wodzony na pokuszenie, by złamać jej serce. Słodka Rose. Zasługiwała na coś lepszego, pomyślał Jim, wprowadzając Lexusa do firmowego garażu. Spróbuje być dla niej dobry, najlepiej jak potrafi. Zmienił już swoją sekretarkę na sześćdziesięcioletnią mamusię, która pachniała cytrynowymi kroplami na kaszel i trzymał się z dala od barów przez bezprecedensowy okres pełnych trzech tygodni. Była dla niego dobra, mówił do siebie, wchodząc do windy, która miała go zabrać do biura. Była bystra, mądra i dobra; w typie dziewczyny, z którą mógłby się zestarzeć i spędzić resztę życia. Przy Rose będzie uczciwy, złożył przysięgę, rzucając okiem na trio trajkoczących sekretarek, które weszły do windy przed nim. Potem ostatni raz wciągnął nosem mieszankę zapachów ich perfum i przełknął ślinę odwracając wzrok.

## 11

– Dlaczego znów musimy to robić? – zapytała Maggie, siadając z impetem na przednim siedzeniu pasażera. To samo pytanie zadawała, ilekroć udawały się na mecz futbolu rozgrywany przez filadelfijską drużynę Eagles na ich własnym boisku. Odbywało się to raz w roku od prawie dwudziestu lat, pomyślała Rose, i odpowiedź zawsze była taka sama.

– Ponieważ nasz ojciec jest bardzo ograniczonym człowiekiem – skwitowała i ruszyła w kierunku stadionu. – Nie zmarzniesz? Pamiętaj, że gramy z Tampą, a nie w Tampie!

Maggie ubrała się na mecz w czarny kombinezon, czarne buty na bardzo wysokich, masywnych obcasach i koturnie z przodu oraz krótką kurteczkę z kołnierzem ze sztucznego futra. Rose z kolei miała na sobie dżinsy, sweter, czapkę, szalik, rękawiczki i obszerną, pikowaną, żółtą kurtkę.

Maggie przyjrzała się kurtce Rose.

– Wyglądasz jak materac, na który ktoś nasikał.

– Dzięki za komplement. Lepiej zapnij pasy.

– OK – odpowiedziała Maggie, wyciągając piersiówkę z jednej z miniaturowych kieszeni swojej kurtki. Pociągnęła łyk i wysunęła butelkę w kierunku siostry – Morelowa brandy – wyjaśniła.

– Prowadzę – Rose zacisnęła usta w ciągłą linię.

– A ja piję – zachichotała Maggie. Śmiech siostry przypomniał Rose wszystkie te mecze, na których już były, a zaczęło się to wtedy, gdy ich ojciec w nie do końca właściwie pojętym akcie zaangażowania rodzicielskiego zakupił bilety po raz pierwszy Bodajże w roku 1981.

– Nienawidzimy futbolu – poinformowała go Maggie w absolutnym

przekonaniu, że jako dziesięciolatka ma rację we wszystkim. Twarz Michaela Fellerę poblądła.

– Nieprawda – zainterweniowała Rose i szybko uszczypnęła siostrę w ramię.

– Au! – jęknęła Maggie

– Naprawdę? – zapytał ich ojciec.

– No, wiesz, nie za bardzo lubimy oglądać to w telewizji – wyjaśniła starsza córka – ale bardzo chciałybyśmy zobaczyć prawdziwy mecz!

Jeszcze raz uszczypnęła siostrę dla pewności, że nie zaprzeczy. I tak się to zaczęło. Co roku, we trójkę – ostatecznie w czwórkę, odkąd na scenie pojawiła się Sydelle – chodzili oglądać chłopców z Filadelfia Eagles na ich własnym boisku. Maggie przygotowywała ubrania już kilka dni wcześniej, rękawiczki wykończone sztucznym futerkiem i czapki z puszystymi pomponami, a raz, o ile Rose dobrze pamiętała, miniaturową parę butów cheerleaderki. Rose robiła kanapki z masłem orzechowym i galaretką, wkładała je do pudełka na lunch, a do termosu wlewała gorącą czekoladę. W najchłodniejsze dni zabierali koce i w trójkę przytulali się do siebie, zlizując masło orzechowe ze zdrętwiałych palców, podczas gdy ojciec przeklinał przy każdym wypuszczeniu piłki i stracie punktu, potem patrzył na dziewczynki z poczuciem winy i mówił:

– Wybaczcie moją łacinę.

– Wybaczcie moją łacinę – wymamrotała pod nosem Rose. Maggie popatrzyła na nią z zaciekawieniem, potem pociągnęła jeszcze łyżeczek brandy i ześliznęła się trochę niżej w swoim fotelu.

Ojciec i Sydelle czekali przy kasie. Michael Feller miał na sobie dzinsy, bluzę Filadelfia Eagles i pikowaną kurtkę w srebrno– zielonych barwach drużyny. Sydelle miała na twarzy tradycyjnie lodowaty wyraz



niezadowolenia i sporo makijażu, poza tym długie aż do kostek futro z norek.

– Maggie! Rose! – zawołał ojciec i wręczył im bilety

– Witajcie – powiedziała Sydelle, całując powietrze jakieś siedem centymetrów obok ich policzków, po czym wyciągnęła szminkę i poprawiła usta. Rose szła na miejsca za macochą. Wsłuchując się w stukot obcasów Sydelle, który odbijał się echem od betonu, Rose zastanawiała się – nie po raz pierwszy, zresztą – jak to się stało, że ta kobieta poślubiła jej ojca. Sydelle Levine została rozwódką w wieku lat czterdziestu paru, gdy jej mąż, makler giełdowy, okazał się na tyle bezczelny, by zostawić ją dla swojej sekretarki. Banał, ale Sydelle przeżyła to upokorzenie, być może potem podniesiona na duchu obfitymi wypłatami alimentów, na które jej mąż zgodził się z ochotą (Rose wyobrażała sobie, że nawet milion dolarów musiało wydać mu się niską ceną za rozkosz lat spędzonych z dala od Sydelle). Michael Feller był o osiem lat młodszym dyrektorem średniego szczebla w średniej wielkości banku. Co zapewniało wygodne życie, ale nic więcej. No, i dokuczliwy bagaż – zmarła żona, dwie córki. Na czym więc polegała jego atrakcyjność? Rose spędziła całe godziny swoich nastoletnich lat, próbując rozwikłać tę zagadkę, po tym, jak Michael Feller i Sydelle Levine poznali się w holu budynku Fundacji Beth Shalom (Sydelle wchodziła, by udać się na akcję dobroczynną, gdzie cegiełka kosztowała minimum 500 dolarów, a Michael wychodził ze spotkania dla rodziców samotnie wychowujących dzieci).

– Seks – stwierdziła Maggie, rechocząc. Fakt, ojciec, patrząc obiektywnie, był przystojny. Ale Rose nie była pewna. Sądziła, że dla Sydelle Michael Feller nie był tylko przystojnym facetem czy dobrą partią, ale prawdziwą miłością, jej drugą szansą. Rose zawsze wierzyła, że Sydelle

naprawdę go kocha – przynajmniej na początku. A mogła się założyć, że ojciec nie szukał niczego więcej niż towarzysza życiowej drogi – i, oczywiście, zastępczej matki dla Maggie i Rose; sukces z Moją Marcją dobrze wróżył w tym względzie. Michael Feller spotkał już miłość swojego życia i pochował ją w Connecticut. I z każdym mijającym tygodniem Sydelle stawała się coraz bardziej świadoma tego faktu, coraz bardziej rozczarowana – i coraz bardziej niedobra dla córek Michaela Fellera. „To smutne”, myślała Rose siadając, naciągając czapkę na uszy i owijając szalik szczelnie wokół szyi. Smutne, a w dodatku niewiele da się tu zmienić. Sydelle i ojciec wdepnęli w to na dłużej.

– Chcesz trochę?

Rose, wystraszona, podskoczyła lekko na krześle i odwróciła głowę w stronę siostry, która zarzuciła nogi na oparcie siedzenia przed nią i machała swoją piersiówką z morelową brandy.

– Nie, dzięki – Rose odwróciła się do ojca.

– Jak się miewasz? – zapytała.

– No, wiesz... Jestem zajęty pracą. Mój fundusz Vanguard Pięćset miał okropny kwartał. I... SZYBCIEJ, TY DRANIU!!!

Rose pochyliła się przez siostrę, żeby porozmawiać z Sydelle.

– Co słychać? – zapytała, wykonując swoje coroczne postanowienie bycia miłą dla macochy w dniu meczu.

Sydelle poprawiła swoje norki.

– Moja Marcia zmienia wystrój wnętrza.

– Cudownie – Rose starała się, by w jej głosie było słychać entuzjazm.

Sydelle skinęła.

– Jedziemy na wczasy odnowy biologicznej – ciągnęła. – W lutym –

mówiąc to, rzuciła znaczące spojrzenie na talię Rose. – Wiesz, gdy Moja Marcia wychodziła za mąż, kupiła sukienkę Very Wang rozmiar 36 i... musiała ją oddać do zwężenia” – Rose recytowała w głowie do siebie, podczas gdy Maggie wypowiedziała to samo, tyle że głośno.

Oczy Sydelle zwęziły się.

– Nie wiem, dlaczego czujesz się w obowiązku zawsze tak okropnie zachowywać.

Maggie udała, że nie słyszy i wyciągnęła rękę po lornetkę ojca, gdy cheerleaderki weszły na boisko.

– Gruba, gruba, stara, gruba – komentowała, przyglądając się po kolei każdej z nich. – Nietrafiony kolor. Uuu! Sfuszerowane cyce, stara, tłusta, stara...

Michael Feller przywołał ręką sprzedawcę piwa. Sydelle złapała jego dłoń i położyła z powrotem na kolanach.

– Ornish! – zasyczała.

– Słucham?

– Ornish – powtórzyła Sydelle. – Jesteśmy na diecie Deana Ornisha. Dieta roślinna. – Jeszcze raz popatrzyła z ukosa, tym razem na uda Rose. – Mogłabyś spróbować.

„Jestem w piekle – pomyślała Rose ponuro. – Piekło to mecz filadelfijskich Eagles, na którym kibice umierają z zimna, drużyna zawsze przegrywa, a moja rodzina jest nienormalna”.

Ojciec poklepał ją po ramieniu i wyjął portfel.

– Przyniesiesz nam trochę czekolady?

Maggie przechyliła się.

– Czy ja też dostanę trochę pieniędzy?

Potem przyjrzała się portfelowi.

- Kto to?
- Och... – ojciec sprawiał wrażenie zawstydzonego – to po prostu artykuł, który wyciąłem. Chciałem dać go Rose...
- Tato – odezwała się Rose. – To Lou Dobbs z CNN.
- Zgadza się – odrzekł ojciec.
- Nosisz w portfelu zdjęcie Lou Dobbsa?
- Nie jego zdjęcie. Artykuł. O programie emerytalnym. Jest bardzo dobry.
- Masz tam nasze zdjęcia? – chciała wiedzieć Maggie, wrywając mu portfel z ręki. – Czy tylko jakiegoś tam Lou?

Przejrzała fotografie. Rose też zerknęła. Były zdjęcia szkolne jej i Maggie, odpowiednio z szóstej i czwartej klasy Zdjęcie Michaela i Caroline w dniu ich ślubu – niepozowane, na którym Caroline próbowała zdmuchnąć sobie welon z czoła, a Michael wpatrywał się w nią. Nie było, zanotowała Rose, zdjęcia Michaela i Sydelle. Zastanawiała się, czy Sydelle też to zauważyła. Sądząc po lodowatej minie i sposobie, w jaki jej małe oczka wpatrywały się nieruchomo przed siebie, Rose domyśliła się, że odpowiedź brzmi twierdząco.

– Lećcie, Orły, do ataku! – facet z tyłu wrzeszczał jej do ucha, a w finale beknął. Rose zerwała się na równe nogi i poszła do rozbrzmiewającej echem hali, w której hulał wiatr. Zakupiła tam kubek wodnistej czekolady i hot doga w wygniecionej białej bułce, którego pożarła w czterech gigantycznych kęsach. Potem oparła się o poręcz i oczyściła szalik z resztek dodatków do hot doga, jakie na nim zostały, licząc minuty dzielące ją od spotkania z Jimem o ósmej na – kolacji. „Chwila”, przypomniała sobie. Kupiła jeszcze trzy kubki gorącej czekolady i ostrożnie zaniosiła je rodzinie.

## 12

– Pani Lefkowitz? – Ella stuknęła mocno w aluminiowe drzwi, opierając tacę z lunchem o biodro. – Dzień dobry!

– Idź do diabła! – dobiegł ją ze środka bełkotliwy głos. Ella westchnęła i dobijała się dalej.

– Lunch! – zawołała najwesелей jak umiała.

– Spieprzaj! – krzyknęła pani Lefkowitz. Pani Lefkowitz miała wylew, a okres jej rekonwalescencji niefortunnie nałożył się na tydzień, gdy w Golden Acres mieli nie kodowane HBO. HBO nadawało program Margaret Cho i od tego czasu pani Lefkowitz nazywała Ellę „Mistrzynią Dup”, śmiejąc się na całe gardło za każdym razem, gdy to wymówiła.

– Mam zupę! – Ella nie poddawała się.

Chwila ciszy z drugiej strony drzwi.

– Krem z pieczarek? – zapytała pani Lefkowitz z nadzieją w głosie.

– Z groszku.

Jeszcze jedna chwila ciszy, potem drzwi się uchylily i oto stanęła w nich pani Lefkowitz – metr czterdzieści siedem, zmierzwiłone siwe włosy sterczące w różnych kierunkach; miała na sobie różową bluzę i dopasowane do niej spodnie od dresu oraz zrobione na drutach różowo– białe kaptcie. W coś takiego ubiera się niemowlaka, pomyślała Ella i starała się nie uśmiechnąć na ten widok, podczas gdy ostatnia klientka, której miała dostarczyć posiłek tego dnia, piorunowała ją wściekłym wzrokiem.

– Groszek jest do dupy – powiedziała pani Lefkowitz. Lewy kącik jej ust opadał lekko, a lewe ramię trzymała mocno przy boku, zgięte pod dziwnym kątem. Popatrzyła na Ellę z nadzieją. – Może pani mogłaby zrobić mi krem z pieczarek?

– A ma pani jakiś?

– Pewnie, pewnie, że mam – pani Lefkowitz powłócząc nogami skierowała się w stronę kuchni. Jej drobna sylwetka topiła się w całej tej różowej przedzy. Ella podążyła za nią, kładąc na stole w kuchni tacę z lunchem. – Przepraszam, że nakrzyczałam, ale myślałam, że to ktoś inny. „Kto? ”, chciała zapytać Ella. Jeśli się nie myliła, była jedyną osobą, która widywała panią Lefkowitz, poza lekarzami i pielęgniarką, która przychodziła do staruszki trzy razy w tygodniu.

– Mój syn – dodała pani Lefkowitz. Odwróciła się do Elli z puszką zupy Campbella w prawej ręce.

– Mówi pani do syna, żeby sp... przął? – Ella nie potrafiła zmusić się do powtórzenia słów pani Lefkowitz.

– Dzisiejsza młodzież – pani Lefkowitz wyglądała na zadowoloną z siebie.

– To miłe, że przyjeżdża – Ella wrzuciła zastygłą, szarawą masę do rondla.

– Powiedziałaś mu, żeby nie przyjeżdżał. A on mi mówi: „Mamo, byłaś bliska śmierci”. Więc ja na to: „Mam osiemdziesiąt siedem lat. Gdzie mam być według ciebie? U progu niezapomnianej, wakacyjnej przygody z Club Medem?”

– Uważam, że to naprawdę miło, że panią odwiedza.

– Bzdura! Po prostu chce się powygrzewać na słońcu. Pasuje mu to! – jej opadający kącik drgnął. – Kto zgadnie, gdzie jest teraz? Na plaży! Gapi się pewnie na dziewczyny w bikini i pije piwo. Ha! Nie mógł się doczekać, żeby się stąd wyrwać.

– Plaża brzmi zachęcająco – powiedziała Ella, mieszając zupę.

Pani Lefkowitz odsunęła krzesło, ostrożnie się w nim usadowiła i

czekała, aż Ella przysunie je do krawędzi stołu.

– Pewnie tak...

Ella postawiła przed nią miskę zupy. Pani Lefkowitz zanurzyła w niej łyżkę i podniosła do ust. Nadgarstek zadrżał i połowa zupy wylądowała na różowej bluzie.

– Cholera – powiedziała słabym, drżącym głosem osoby pokonanej.

– Macie plany na kolację? – zapytała Ella, wręczając pani Lefkowitz serwetkę i wlewając zupę do kubka na kawę.

– Zaproponowałam, że coś przygotuję. Indyka. Lubi indyka.

– Mogłabym pomóc. Możemy przygotować półmisek różnych kanapek. Łatwiej je jeść. – Ella wstała, rozglądając się za czymś do pisania, żeby zrobić listę. – Kupimy trochę faszerowanego mostka cielęcego, trochę indyka, peklowaną wołowinę, surówkę z białej kapusty, sałatkę ziemniaczaną, jeśli lubi...

Pani Lefkowitz uśmiechnęła się połową twarzy.

– Kiedyś kupowałam ją z kminkiem i po kolacji zawsze znajdowałam kopczyk ziarenek na skraju talerza. Nigdy nie narzekał... po prostu wybierał je i zostawiał.

– Moja córka robiła to samo z rodzinami. Wybierała je ze wszystkiego – powiedziała Ella. Pani Lefkowitz spojrzała na nią uważnie.

Ella zamilkła. Pani Lefkowitz włożyła łyżkę zupy do ust i zdawała się nie zauważać milczenia Elli.

– Więc idziemy na zakupy? – spytała.

– Idziemy! – Ella odwróciła się tyłem do pani Lefkowitz, wkładając naczynia do zmywarki. Lewis miał po nią przyjechać wieczorem. Wybierali się do kina. Ile czasu zostało, zanim zaczniesz pytać? „Masz dzieci? A wnuki? Gdzie są? Co się stało? Nie widzisz się z nimi? Hm, dlaczego?”

– Idziemy! – powtórzyła.

## 13

– Witaj w domu! – powiedziała Maggie.

Rose ostrożnie weszła do mieszkania. Miała okropny dzień. Spędziła w pracy trzynaście godzin, a drzwi do gabinetu Jima zamknięte były dla wszystkich, nie miała więc teraz ochoty na idiotyczne zagrania Maggie. W małym salonie mieszkania Rose wszystkie światła były zapalone. Odniosła wrażenie, że coś przypała się w kuchni, podczas gdy Maggie, ubrana w pomięte, czerwone spodenki od pizamy i czerwony T-shirt ze srebrnym napisem SEKSOWNY KOCIAK, przysiadła na kanapie przełączając kanały. Miska przypalonego w mikrofalówce popcornu stała na samym środku stołu tuż obok miski rozmrożonej kukurydzy, dwóch łydzy selera i słoika masła orzechowego. W pojęciu Maggie uchodziło to za prawidłowo skomponowany posiłek.

– Jak poszukiwania pracy? – zapytała Rose, wieszając płaszcz i idąc do sypialni, gdzie znalazła swoje łóżko zarzucone, jak jej się wydawało, całą zawartością jej własnej szafy. – A to co? Co się stało?

Maggie klapnęła na sam szczyt tej sterty

– Postanowiłam zrobić porządek z twoimi ubraniami.

Rose wpatrywała się w plątaninę bluzek, zakietów i spodni, będących teraz w identycznym nieładzie jak ubrania Maggie w salonie.

– Dlaczego to robisz? Nie dotykaj moich rzeczy!

– Rose, próbuję ci pomóc – Maggie zareagowała tak, jakby spotkał ją afront. – Myślę, że przynajmniej tyle mogę zrobić, żeby ci się jakoś odwdzięczyć.



Wpatrywała się w podłogę.

– Nie bądź zła, przepraszam – dodała. – Chciałam po prostu pomóc.

Rose zawahała się. To stanowiło część geniuszu Maggie: dokładnie w momencie, gdy była gotowa ją zabić, wyrzucić na ulicę, zażądać, by zwróciła pieniądze, ubrania i buty, ona mówi coś, co wbija się w serce jak haczyk na ryby.

– W porządku – wymamrotała. – Jak skończysz, odłóż wszystko na miejsce.

– Powinnaś przeglądać garderobę co sześć miesięcy – powiedziała Maggie. – Czytałam o tym w „Vogue’u”. A ty ewidentnie zostajesz w tyle. Znalazłam w szafie dekatyzowane džinsy – dodała wzdrygając się. – Ale nie martw się. Wyrzuciłam je.

– Powinnaś je oddać biednym.

– Tylko dlatego, że ktoś jest biedny – oświadczyła Maggie – nie oznacza, że musi być niemodny – Podała siostrze miskę z kukurydzą.

– Skubniesz?

Rose chwyciła łyżkę i poczęstowała się.

– Skąd możesz wiedzieć, co noszę, a czego nie?

Maggie wzruszyła ramionami.

– Hmm, czasem jest to oczywiste. Na przykład, te spodnie od Ann Taylor, czterdzieści dwa?

Rose wiedziała, o które chodzi. Kupiła je na wyprzedaży i wbiła się w nie raz cztery lata temu po tygodniu na czarnej kawie i Slim Faście. Od tego czasu wisiały w szafie jak niemy wyrzut, przypominając jej o tym, co było możliwe, jeśli tylko się postara, zaciśnie pasa i przestanie jeść frytki i pizzę, i... no, cóż, większość tego, co lubiła.

– Możesz je sobie wziąć.

– Są o wiele za duże. Ale mogłabym je przeszyć – powiedziała Maggie i całą uwagę skupiła na telewizorze.

– Kiedy zamierzasz to posprzątać? – Rose wyobraziła sobie, jak próbuje zasnąć na szczycie tego wszystkiego, co jeszcze niedawno wisiało w jej szafie.

– Ciii! – Maggie podniosła palec wskazując na telewizor, gdzie kawałek pomalowanego na czerwono metalu na kółkach groził niebieskawemu obiektowi, ze środka którego wystawało obrotowe ostrze.

– Co to jest?

– Telewizor – cynicznie odpowiedziała Maggie, rozprostowując przed sobą nogę i oceniając z różnych stron wygląd własnej łydki. – No, wiesz, takie pudło, w którym ukazują się kolorowe obrazki i opowiadają cudowne historie!

Rose przyszło do głowy, żeby wyciągnąć portfel. A to jest czek, mogłaby powiedzieć, trzymając obiekt w ten sposób, żeby siostra mu się dobrze przyjrzała. Reprezentuje pieniądze, które zarabia się pracując. Maggie wzięła łyk z otwartej butelki szampana, która stała obok niej. Rose chciała zapytać, skąd ten szampan, ale potem uzmysłowiła sobie, że była to butelka, którą osobiście dostała, przechodząc kiedyś obok jakiegoś baru, i która od tamtego czasu leżała sobie cichutko w spokojnym zakątku jej lodówki.

– Jak szampan?

Maggie pociągnęła jeszcze raz.

– Pyszny – odpowiedziała. – A teraz uważaj! Patrz i ucz się. W tym programie, BattleBots, występują faceci, którzy budują roboty...

– Ciekawe hobby – Rose zawsze, kiedy tylko nadarzyła się okazja, starała się zachęcać siostrę do zainteresowania się odpowiednimi

mężczyznami.

Maggie lekceważąco machnęła ręką.

– To maniacy... Budują te roboty, roboty walczą ze sobą i zwycięzca dostaje... coś tam. Nie pamiętam, co. Patrz, patrz, o, to mój faworyt – powiedziała, wskazując na coś, co wyglądało jak miniaturowa śmieciarka ze szpikulcem przyspawanym w samym środku. – To Philiminator – dodała.

– Cooo?

– Facet, który go zbudował, ma na imię Phil, więc to jest Philiminator.

Kamera pokazała chudego, bladego faceta w czapce baseballowej z napisem „Philiminator”.

– Był niepokonany przez całe trzy rundy – wyjaśniła Maggie, gdy drugi robot wtoczył się na scenę. Był błyszczący, zielony i wyglądał jak podrasowany miniodkurzacz bezprzewodowy na kółkach.

– Grendel – ogłosił prowadzący.

– OK – powiedziała Maggie. – Ty kibicujesz Grendelowi.

– Po co? – zapytała Rose, ale tymczasem rozpoczęła się walka.

Dwa roboty zaczęły atak, goniąc się po betonowym podłożu jak dwa małe, oszalałe psy.

– Dalej, Philiminator! – wrzasnęła Maggie, z werwą potrząsając butelką szampana. Spojrzała na siostrę.

– Hej, Grendel – beznamiętnie dopingowała Rose. Robot Maggie podjechał blisko. Szpikuliec, który miał w środku, wysuwał się bardziej i bardziej, po czym zjechał w dół jak gilotyna, przebijając Grendela przez środek, a Maggie klaskała i okrzykami dawała wyraz swojemu poparciu.

Roboty ponownie stanęły twarzą w twarz na swoich kółkach.

– Philiminator, pokaż, co potrafisz. ZAŁATW GO! – darła się Maggie.

Rose wybuchnęła śmiechem, gdy koło ze szpikulcem przymocowane do Grendela zaczęło się kręcić.

– Uuu, przygotuj się... nadchodzę!

Teraz Grendel atakował przeciwnika. Philiminator podniósł swój szpikulec i wbił go w Grendela.

– Brawo! – wiwatowała Maggie.

Obydwa roboty spięły się ze sobą, połączone szpikulcem. Grendel wykręcał się to w tę, to w tamtą, usiłując się uwolnić.

– Dalej... dalej... – mamrotała Rose. Koło Grendela zaterkotało, sypiąc iskrami z podłogi. Philiminator podniósł swój szpikulec, gotowy zadać ostatni, śmiertelny cios i wtedy Grendel umknął.

– GRENDEL, ATAKUJ! – wrzeszczała Rose i zerwała się z kanapy.

– Tak, dobrze!

Maggie zrobiła nadąsaną minę, gdy Grendel szarżował na przeciwnika, wcisnął się przodem pod dużo wyższego Philiminatora i przewrócił go.

– Neeeeee!!! – zawyla Maggie, gdy robot Rose przejechał po jej faworycie najpierw raz, a potem drugi, aż z całego Philiminatora została tylko kupa złomu, pogięte i połamane szczątki.

– O tak! Właśnie tak! – powiedziała Rose, pompując pięścią w powietrzu.

– O to chodzi! – krzyczała, mniej więcej tak, jak ci faceci w rzędzie za nimi na meczu po szczególnie ważnych przyłożeniach.

Potem odwróciła się do siostry pewna, że zobaczy pełen wyższości uśmieszek Maggie, niezbyt przekonująco dający do zrozumienia, jak żalona jest cała ta ekscytacja Rose. Ale Maggie nie uśmiechała się z wyższością. Maggie z zaróżowionymi policzkami uśmiechała się do niej promiennie, gotowa przybić piątkę i śmiejąc się, podała Rose butelkę szampana. Rose

zawahała się, po czym wypięła trochę.

– Masz ochotę na pizzę? Możemy zamówić – zaproponowała Rose

Wyobraziła sobie resztę wieczoru: pizza, one w piżamach, świeży popcorn, obydwie na kanapie pod kocem, z telewizorem do towarzystwa.

A jednak pojawił się ten uśmieszek... ale tylko na krótki moment. A jej głos był prawie życzliwy.

– Teraz wreszcie czujesz, że żyjesz, co? Powinnaś więcej wychodzić.

– Wychodzę wystarczająco dużo. To ty powinnaś więcej czasu spędzać w domu.

– Ależ robię to bez przerwy – odpowiedziała Maggie, wstając z wdziękiem z kanapy Cicho przeszła do sypialni, wracając po kilku minutach w opiętych, spranych dżinsach – niskich biodrówkach i w czerwonej bluzce na jednym ramiączku oraz w czerwonych, skórzanych butach kowbojskich Rose z wyszywanymi papryczkami.

Były to te same czerwone skórzane buty z ręcznie wyszywanymi papryczkami, które Rose kupiła w czasie weekendu spędzonego w Nowym Meksyku, dokąd pojechała na seminarium na temat prawa ubezpieczeniowego.

– Chyba nie masz nic przeciwko? – Maggie sięgała po torebkę i klucze. – Znalazłam je w twojej szafie. Wyglądały na opuszczone i samotne.

– Nie ma sprawy – skapitulowała Rose. Patrząc na siostrę zastanawiała się, jakie to uczucie znaleźć się w jej skórze, być taką śliczną, szczupłą i zgrabną; jak to jest, gdy mężczyźni patrzą na ciebie z bezwarunkową aprobatą i nieskrywanym pożądaniem? – Baw się dobrze.

– Zawsze to robię – odpowiedziała Maggie i wyszła niedbale lekkim krokiem, zostawiając Rose z popcornem, zwietrzałym szampanem i stertą

pogniecionych ubrań porozrzucanych na łóżku. Ta pilotem wyłączyła telewizor, by przywrócić mieszkaniu naturalną ciszę, i zaczęła sprzątać.

TTLR

– W czym mogę pomóc? – zapytała Ella. Tego popołudnia pracowała w sklepie z przecenionymi i używanymi towarami, gdzie spędziła kilka miłych, w większości niczym niezmaconych godzin, segregując worki z ubraniami i przyklepiając metki na meble i naczynia. Młoda kobieta w pomarańczowych legginsach i poplamionej koszulce zmierzała wzdłuż przejścia między półkami udekorowanymi gałązkami sztucznej sosny i srebrną lametą, co stanowiło początek przygotowań do zbliżających się świąt.

– Szukam pościeli – powiedziała, nerwowo przygryzając wargę. Ella dostrzegła ledwie widoczną pozostałość po siniaku w górnej części jej policzka. – Jest jakaś?

– To pani szczęśliwy dzień – odparła Ella życzliwie. – Tak się składa, że właśnie odebraliśmy dostawę od Bullocka. Oczywiście, towar trochę wybrakowany, ale jeśli chodzi o mnie, jest zupełnie w porządku, tyle że kolory może nieco... a zresztą, sama pani zobaczy

Ruszyła zwawo w stronę regałów w swoich czarnych spodniach i białej bluzce, do której przypięty miała identyfikator.

– O, tutaj! – wskazała miejsce, gdzie leżała pościel: kilkadziesiąt paczek, różnych rozmiarów, na pojedyncze łóżka i małżeńskie, duże i małe. Turkusowe albo jaskrawo różowe, nieużywane. – Są po pięć dolarów, ile pani potrzebuje?

– Ee... na dwa łóżka, dziewięćdziesiąt na dwa metry – Kobieta wybrała dwie zafoliowane paczki, obracając je w rękach. – Czy za poszewki na poduszki płaci się osobno?

– Ależ nie! Pięć dolarów za cały komplet.

Kobieta odetchnęła z ulgą, po czym podeszła do kasy. Wyciągnęła z kieszeni banknot pięciodolarowy i trzy pogniecione jednodolarowe. Gdy zaczęła szukać drobnych, układając monety starannie jedną obok drugiej na ladzie, Ella wsunęła pościel do torby.

– W porządku – powiedziała.

Kobieta podniosła głowę.

– Na pewno?

– Na pewno – powtórzyła Ella. – Proszę uważać na siebie i wrócić do nas... Ciągłe dostajemy coś nowego.

Kobieta uśmiechnęła się – uprzejmie, pomyślała Ella – i wyszła. Jeszcze przez chwilę Ella słyszała odgłos jej klapków na chodniku. Patrzyła na jej plecy i żałowała, że nie znalazła sposobu, by razem z prześcieradłami wsunąć do torby kilka ręczników. Westchnęła i poczuła, jak ogarnia ją frustracja. To samo było z Caroline – Ella zawsze chciała zrobić więcej, załatwiać wszystko za córkę; ścigała ją telefonami, karteczkami, listami, pieniędzmi, kusila obietnicami wakacji i wycieczek, powtarzając w kółko to samo; Pozwól sobie pomóc. Ale Caroline nie chciała, żeby jej pomagać, bo przyjęcie pomocy oznaczałoby przyznanie, że nie potrafi zrobić tego sama.

I proszę, jak się to wszystko skończyło.

Drzwi otworzyły się ponownie i wszedł Lewis z plikiem gazet pod pachą.

– Jeszcze gorące, prosto z drukami! – powiedział wesoło. Ella próbowała się uśmiechnąć. Spojrzała na swój wiersz. „NIE JESTEM NIEWIDZIALNA”, przeczytała. „Nie niewidzialna – pomyślała smutno – tylko skazana przez los”.

Lewis przyjrzał się uważnie jej twarzy

– Wciąż masz ochotę na lunch? – zapytał. A gdy skinęła głową i



zamknęła kase, podał jej ramię. Wyszła na zewnątrz, gdzie otoczyło ją parne, nagrzane słońcem powietrze, cały czas żałując, że nie załatwiła wszystkiego inaczej. Mogła zacząć rozmowę, zapytać tę kobietę, czy czegoś nie potrzebuje, a potem wymyślić sposób na to, jak jej pomóc. Poza tym, myślała, wolałaby, żeby Lewis nigdy nie dowiedział się, kim jest naprawdę. Ona na razie nie wspominała o dzieciach, a on nie pytał... Ale któregoś dnia zrobi to, i co wtedy? Co mu odpowie? Co może mu powiedzieć oprócz tego, że była kiedyś matką, potem przestała nią być, i że to wszystko jej wina? On będzie się jej przyglądał, nic z tego nie rozumiejąc, a ona nie będzie w stanie mu tego wyjaśnić, chociaż taka właśnie była prawda, gorzka pigułka, której nie potrafiła przełknąć, rzeka, której nie umiała przekroczyć. Jej wina. I niezależnie od tego, jak bardzo chciała odkupić swoje grzechy, niezależnie od wszystkich podejmowanych przez nią prób, wszystkich tych dobrych uczynków, które starała się spełniać, będzie nosić ją w sobie do końca życia.

## 15

– Jest ktoś do ciebie – powiedziała sekretarka Rose.

Rose spojrzała znad komputera i zobaczyła swoją siostrę, wyglądającą jak zwykle olśniewająco w czarnych, skórzanych spodniach, krótkiej dzinsowej kurtce i czerwonych kowbojkach, wchodzącą do jej gabinetu jak gdyby nigdy nic.

– Dobre wieści! – Maggie wyraźnie promieniała.

„Błagam, niech to będzie praca” – modliła się Rose.

– A mianowicie?

– Byłam na rozmowie! W tej fantastycznej, nowej knajpie!

– Super! – Rose starała się dopasować swój poziom entuzjazmu do entuzjazmu Maggie. – Fantastycznie! Jak myślisz, kiedy dadzą odpowiedź?

– Nie wiem dokładnie – odpowiedziała Maggie, podnosząc i kładąc z powrotem na miejsce różne książki i foldery spoczywające na półkach Rose. – Może po świętach.

– Ale to chyba w czasie świąt mają największy ruch?

– Jezu, Rose, skąd mam wiedzieć?! – Maggie wzięła do ręki małą plastikową replikę Wojowniczej Księżniczki Xeny – jeden z urodzinowych prezentów od Amy – i postawiła ją do góry nogami. – Myślisz, że mogłabyś spróbować cieszyć się razem ze mną?

– No, pewnie – powiedziała Rose. – Jest jakiś postęp w sprawie powrotu moich ubrań do szafy?

Przez kilka ostatnich nocy sterta jej garderoby przeniosła się z łóżka na podłogę, ale wciąż nie udało jej się dotrzeć do szafy.

– Zaczęłam sprzątać. – Maggie zwała się ciężko na krzesło po przeciwnej stronie biurka. – Zrobię to, nie martw się! To w końcu nic

wielkiego.

- Jasne, dla ciebie nie.
- O co ci chodzi?

Rose wstała.

- Chodzi mi o to, że mieszkasz u mnie za darmo, nie masz pracy...
- Powiedziałam ci, że byłam na rozmowie!
- Uważam, że powinnaś bardziej się postarać.
- Staram się! – krzyknęła Maggie. – Co ty możesz o tym wiedzieć?
- Ciiiszej!

Maggie zatrzasnęła drzwi i ze złością spojrzała na siostrę.

– Wiem, że to nie może być aż tak trudne! – powiedziała Rose. – Gdzie się nie obejrzeć, pełno jest ogłoszeń „potrzebna pomoc”. Prawie na każdej knajpie czy sklepie...

– Nie chcę iść do kolejnego sklepu. Nie chcę być kelnerką.  
– Więc co chcesz robić? – domagała się Rose. – Siedzieć jak księżniczka i czekać, aż zadzwonią z MTV?

Maggie poczerwieniała, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

– Musisz być taka wredna?

Rose przygryzła wargę. Już to kiedyś przerabiały... A raczej Maggie przerabiała – z ojcem, ze swoimi chłopakami, którzy mieli jak najlepsze intencje, czasami z zaniepokojonym nauczycielem lub szefem. Jak w tańcu – różni partnerzy, te same kroki. Maggie potrafiła dokładnie ustalić moment, w którym Rose zacznie przeproszać.

I w ułamku sekundy, dokładnie w chwili, gdy Rose wzięła oddech, by wypowiedzieć słowo „Przepraszam”, Maggie znów się odezwała.

– Staram się – powiedziała, wycierając oczy. – Naprawdę, staram się jak mogę. To wcale nie jest dla mnie łatwe, Rose, wiesz? Nie każdemu jest

tak łatwo jak tobie.

– Wiem – Rose złagodniała. – Wiem, że próbujesz.

– Próbuję. Codziennie – ciągnęła Maggie. – Nie jestem darmo-  
zjadem. Nie siedzę beczynnie, użalając się nad sobą. Wychodzę i... szukam  
pracy... każdego... dnia. Wiem, że nigdy nie zostanę wziętym prawnikiem  
jak ty...

Rose wydała z siebie coś na kształt protestu. Maggie zaczęła płakać  
trochę głośniej.

– ... Ale to nie znaczy, że siedzę tylko i nic nie robię. Staram się,  
Rose, n– n– n– naprawdę się staram...

Rose przeszła przez pokój, chcąc ją przytulić. Maggie nie pozwoliła jej  
na to.

– OK – powiedziała starsza siostra. – OK, nie martw się tym.  
Znajdziesz pracę...

– Zawsze znajduję – Maggie płynnie przeobraziła się z płaczliwej  
Renée Zellweger w twardą i doświadczoną przez los Sally

Field. Starła łzy z twarzy, wydmuchała nos, wyprostowała się i spoj-  
rzała na siostrę.

– Przepraszam. Naprawdę, bardzo cię przepraszam – Rose zastanowiła  
się już w samym momencie wymawiania tych słów, za co właściwie  
przeprasza. Minął miesiąc i nie było żadnych oznak wskazujących na to, że  
Maggie ma zamiar się wyprowadzić. Jej ubrania, kosmetyki, pudełka od  
kompaktów i zapalniczki porozrzucane były po całym mieszkaniu, które  
wydawało się teraz dużo mniejsze. A poprzedniego wieczora Rose sparzyła  
sobie palec zanurzając go w rondlu, w którym, jak sądziła, znajduje się  
gorący karmel, podczas gdy był to воск do depilowania brwi.

– Słuchaj – zaczęła bezradnie – masz jakieś plany na dziś? Może

pójdziemy do kina...?

Maggie jeszcze raz wytarła oczy i przyjrzała się uważnie siostrze.

– Wiesz, co powinniśmy zrobić? Powinniśmy wybrać się gdzieś razem. Ale tak serio. Do klubu, czy czegoś takiego.

– No, nie wiem... – zawahała się Rose. – Zawsze trzeba czekać, zanim cię wpuszczą. Poza tym pełno tam dymu i hałasu...

– Daj spokój. Jeden jedyny raz. Wybiorę ci coś do ubrania...

– No, dobra – Rose zgodziła się niechętnie. – Wydaje mi się, że coś dzieje się dzisiaj w jednej z tych knajp na Delaware Avenue.

– Co, konkretnie?

Rose pogrzebała w swojej poczcie i znalazła zaproszenie.

– Przyjęcie z okazji nadchodzących świąt – przeczytała. – Zimny bufet, bilard. Może tam się wybierzemy?

– Na początek niech będzie! – zgodziła się Maggie. Otworzyła drzwi i wypadła z biura. – Chodźmy!

Gdy znalazły się w domu, ze stosu ubrań leżących przy łóżku Maggie wyciągnęła niebieski sweterek i czarną spódnicę.

– Idź wziąć prysznic – rozkazała siostrze – i nie zapomnij o balsamie nawilżającym!

Gdy Rose wyszła z kabiny, wielopoziomowa, rozkładana skrzynka z kosmetykami była otwarta, a cała ich seria stała w równym rzędzie obok umywalki. Dwa rodzaje podkładu, trzy różne korektory, przynajmniej sześć pudełek z cieniami i różami, pędzelki do oczu, do policzków, do ust... Rose usiadła na sedesie i patrzyła na to, czując, że kręci jej się w głowie.

– Skąd to wszystko bierzesz?

– Różnie, to stąd, to stamtąd – wymijająco odrzekła Maggie, ostrząc szary ołówek.

Rose jeszcze raz przyjrzała się skrzynce.

– I ile to wszystko kosztowało?

– Nie mam pojęcia – Maggie wykręcała się od odpowiedzi, nakładając pewnymi ruchami ręki krem na twarz Rose. – Ale niewątpliwie było warte swojej ceny. Przekonasz się!

Rose siedziała więc nieruchomo jak manekin przez piętnaście łaskotliwych minut, które Maggie poświęciła samym tylko powiekom.

Zaczęła się wiercić, gdy Maggie mieszała podkłady na wierzchu dłoni, nakładała je pędzlem na jej twarz, robiła dwa kroki w tył oceniając efekt i znów podchodziła, by nałożyć puder i róż, a była już do cna znudzona, gdy siostra wyjęła zalotkę i konturówkę. Musiała jednak przyznać, że efekt końcowy był... No, cóż, olśniewający.

– Czy to w ogóle jestem ja? – Wpatrywała się z zachwytem w lustro, studiując wyraźnie zaznaczone kości policzkowe oraz swoje oczy, zamglone i tajemnicze pod kremowozłotym cieniem nałożonym przez Maggie.

– Nieźle, co? Mogę ci robić makijaż codziennie – zaofiarowała się Maggie. – Ale przede wszystkim powinnaś na serio zacząć dbać o skórę. Musisz stosować peelingi – powiedziała takim samym tonem, jakim inna kobieta powiedziała kiedyś „Musisz natychmiast opuścić ten płonący budynek”. W jednej ręce Maggie trzymała czarną spódnicę i niebieski sweterek, w drugiej parę wysokich sandałów składających się z cieniutkich niebieskich paseczków. – Masz, przymierz. Rose wśliznęła się w spódnicę i krótki sweterek. Obydwie rzeczy były ciaśniejsze niż to, co zwykle nosiła, i razem...

– No, nie wiem – powiedziała, zmuszając się do patrzenia na swoje ciało zamiast na twarz. – Nie uważasz, że wyglądam trochę... – na końcu języka miała słowo „tanio”. Nogi wydawały się długie i szczupłe w

niebieskich sandałach. A dekolt – istny Wielki Kanion.

Maggie z uznaniem pokiwała głową.

– Wyglądasz świetnie – zapewniła i spryskała siostrę zawartością swojego cennego flakonu sygnowanego przez słynną Coco.

Dwadzieścia minut później Rose miała już upięte włosy i kolczyki na właściwym im miejscu. Wyszły z domu.

– Impreza jest do bani – stwierdziła Maggie, siorbiąc swoje czerwone martini.

Rose obciągnęła sweter obserwując obecnych. Niewiele widziała bez okularów, ale Maggie, rzecz jasna, nie pozwoliła jej ich założyć.

– Faceci z dala omijają dziewczyny w okularach! – poinformowała śpiewnym tonem, po czym spędziła pięć minut, zadręczając Rose pytaniami, dlaczego właściwie nie wykorzystywała jeszcze cudownych możliwości lasera w tym względzie, jak to zrobili prezenterzy wiadomości i supermodelki.

Były u Dave'a i Bustera, w wychwalanym przybytku dla dorosłych położonym na nie do końca malowniczym brzegu rzeki Delaware, gdzie miało miejsce odbywające się co pół roku spotkanie młodych prawników zatrudnionych w firmie Rose. Identyfikator Rose głosił „JESTEM Rose Feller”, w nawiasie dodała „Prawo cywilne”. Na oryginalnym identyfikatorze Maggie można było przeczytać „JESTEM amatorką dobrych drinków”, ale Rose kazała jej go zdjąć. Teraz głosił „JESTEM Monique”, na co Rose przewróciła oczami, uznała jednak, że sprawa nie warta była kłótni. W knajpie roiło się od młodych prawników, nawiązujących znajomości, sączących piwo i obserwujących Dona Dommela oraz jego protegowanego w dredach, którzy prezentowali swoje akrobacje na Rzeczywiście Pionowych Rynnach. Bufet znajdował się przy ścianie. Rose rozpoznała coś na kształt tacy z warzywami i sosami, a także półmisek z niewielkimi

kawałkami czegoś smażonego, ale Maggie ją stamtąd odciągnęła.

– Idź, pogadaj z ludźmi! – nakazała.

Teraz Maggie trąciła siostrę i wskazała na niewyraźny zarys człowieka stojącego przy stole z piłkarzykami.

– Kto to? – zażądała wyjaśnień.

Rose zmrużyła oczy, ale była w stanie dojrzeć tylko jasne włosy i szerokie ramiona.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała.

Maggie odrzuciła włosy do tyłu. Oczywiście, wyglądała niewiarygodnie. Miała na sobie różowe sandały i czarne skórzane spodnie, które (Rose wiedziała, bo znalazła w kuchni paragon) kosztowały dwieście dolarów. Dopasowała do nich małą, błyszczącą, srebrzystą bluzkę przewiazaną na szyi, za to zupełnie bez pleców. Tym razem postanowiła, że włosy będą proste – cały proces zajął jej sporą część godziny – a szczupłą rękę ozdobiła baterią srebrnych bransoletek.

Na ustach bladoróżowa szminka, sporo tuszu na rzęsach, oczy podkreślone srebrzystą kredką. Wyglądała jak przybysz z innego świata, albo może z telewizji.

– Mam zamiar z nim porozmawiać – ogłosiła. Przeczesała palcami włosy, które mieniły się jak idealnie prosta, kasztanowa tafla wody, wykrzywiła twarz do Rose, zapytała, czy nie ma szminki na zębach i wmaszerowała w tłum. Rose ostatni raz obciągnęła sweter. Bolały ją stopy, ale Maggie była nieustępliwa w sprawie butów.

– Jeśli chcesz być piękna, musisz pocierpieć – zaintonowała, cofając się dwa kroki i dokładnie lustrując ją wzrokiem, po czym zastanowiła się głośno, czy nie ma pary rajstop wyszczuplających, które mogłyby pomóc.

Rose obserwowała, jak Maggie przypuszcza atak na nieświadomego



podstępnie adwokata i jak rzuca na niego podwójny urok, odgarniając zgrabnym ruchem włosy i pobrzękując bransoletami. Potem Rose przemknęła do bufetu, z poczuciem winy obejrzała się raz jeszcze przez ramię i załadowała na talerzyk sos, krakersy, miniaturowe marchewki, kawałeczki sera oraz porcję smażonych co– kolwiek– to– było. Znalazła stolik w rogu, zrzuciła buty i zaczęła jeść.

Jeszcze jeden niewyraźny zarys ludzki – tym razem niski i blady, z rudymi, kręconymi włosami – podszedł do niej.

– Rose Feller? – zapytał.

Rose przełknęła i skinęła głową, próbując odczytać jego identyfikator.

– Simon Stein – przedstawił się. – Siedzieliśmy obok siebie na piątkowej pogadance.

– Aaa – Rose próbowała tak skinąć głową, by dać mu do zrozumienia, że pamięta.

– Dałem ci kawę – powiedział.

– Zgadza się – Rose przypomniała sobie wreszcie. – Uratowałeś mi życie. Dzięki!

Simon skromnie skinął głową.

– A więc wybieramy się razem w podróż – powiedział.

Rose patrzyła na niego nie rozumiejąc. Jedyna podróż, w jaką się wybierała, to wyjazd w poniedziałek do Chicago na uniwersytet. Tylko ona i Jim.

– Zastępuję Jima Danversa – wyjaśnił Simon. Rose poczuła, jak zamiera jej serce.

– Ooo... – wykrztusiła.

– Jest zajęty, więc zapytał, czy chcę pojechać.

– Ooo! – Rose znów wydała nieartykułowany dźwięk.

– No, więc, słuchaj. Mieszkaś w Center City? Przyjadę po ciebie w drodze na lotnisko.

– Ooo? – Rose zdziwiła się głośno po raz trzeci i dodała, żeby całość jakoś urozmaicić: – OK.

Simon pochylił się w jej stronę.

– Słuchaj, nie grasz przez przypadek w softball?

Rose pokręciła głową. Jej spotkanie z rzeczonym sportem miało miejsce na początku gimnazjum, kiedy to ani razu w ciągu sześciu tygodni nie udało jej się trafić w piłkę, za to piłka regularnie trafiała ją prosto w pierś. I ogólnie nie było to nic miękkiego czy delikatnego, jak mogłaby wskazywać nazwa.

– Mamy swoją drużynę, wiesz? Nazywa się Wniosek Odrzucony – ciągnął Simon, jak gdyby nie zauważył jej przeczącej odpowiedzi.

– Koedukacyjną, ale brakuje nam kobiet. Będziemy musieli zrezygnować, jeśli nie znajdziemy jeszcze kilku zawodniczek.

– Niestety – Rose pokręciła odmownie głową.

– To łatwa gra – namawiał Simon. Rose uznała, że prawdopodobnie zajmuje się prawem cywilnym. Niektórzy z tych adwokatów przejawiali tendencje do oślego uporu. – Dużo ruchu, świeże powietrze...

– Czy ja wyglądam, jakbym potrzebowała ruchu i świeżego powietrza? – zapytała, a potem spojrzała na siebie krytycznie. – Nie odpowiadaj!

Simon przekonywał dalej.

– To fajna zabawa. Poznasz mnóstwo ludzi.

Pokręciła głową.

– Naprawdę, uwierz, nie chcecie mnie. Jestem beznadziejna.

Podeszła do nich kobieta i włożyła dłoń pod ramię Simona.

– Kochanie, chodź, zagraj ze mną w poola! – zaszcebiotała. Rose skrzywiła się. Była to dziewczyna, którą prywatnie nazywała Dziewięćdziesiąty Piąty, bo w tym właśnie roku ukończyła Harvard, i ilekroć z nią rozmawiała, ta nie omieszkała wspomnieć o tym znaczącym fakcie.

– Rose, to jest Felice Russo – powiedział Simon.

– Poznałyśmy się – odrzekła Rose. Felice wyciągnęła rękę, by przygładzić włosy Simona, którym, zdaniem Rose, i tak nie pomogłaby żadna ilość przygładzania. Wtedy właśnie wróciła Maggie. Miała zaróżowione policzki i papierosa w dłoni.

– Impreza nadal jest do dupy – ogłosiła i rozejrzała się wokół. – Przedstaw mnie.

– Maggie, to Simon i Felice – Rose spełniła żądanie siostry. – Pracujemy razem.

– Ooo! – Maggie zaciągnęła się głęboko. – Super.

– Jaka piękna bransoleta – Felice wskazała jedną z bransoletek na rękę Maggie. – Czy to wyrób ludowy?

Maggie gapiła się na nią.

– Hm? Kupiłam ją na South Street.

– Och! Po prostu pamiętam taki mały sklepik w Bostonie, gdzie sprzedawali tego typu rzeczy, kupiłam tam kilka drobiazgów, gdy byłam w college'u.

„Zaczyna się...”, pomyślała Rose.

– Byłam raz w Bostonie – powiedziała Maggie. – U koleżanki na Uniwersytecie Northeastern.

„Trzy... dwa... jeden...”

– Naprawdę? – nawiązała Felice. – W którym roku? Bo byłam na

Harvardzie...

Rose uśmiechnęła się. I czy to tylko jej wyobraźnia, czy rzeczywiście zobaczyła uśmiech również na twarzy Simona?

– Usiądźmy – zaproponował i wszyscy czworo przenieśli się do niewielkiego stolika z patykowatymi nogami. Felice wciąż plotła o zimie w Cambridge. Maggie popijała swoje martini. Rose z tęsknotą myślała o następnej wycieczce do bufetu.

– A więc zastanowisz się nad softballem? – zapytał Simon.

– Aa, ehm... jasne – zbyła go.

– To naprawdę fajna rzecz...

– Prawda? – włączyła się Felice. – W college'u grałam w drużynie squasha. Oczywiście, tylko niektóre uczelnie mają takie drużyny, ale na szczęście Harvard je posiada.

A teraz to już na pewno nie wyobraźnia. Simon Stein jawnie przewrócił oczami.

– My też mamy swoje dobre chwile – wypalił.

– Tak? – zapytała Rose z czystej uprzejmości. – Gdzie?

Podczas gdy Simon wymieniał listę barów, które odwiedzili członkowie drużyny Wniosek Odrzucony, Maggie i Felice zaczęły rozmawiać o telewizji.

– Och, Simpsonowie. Uwielbiam Simpsonów! Widzieliście ten odcinek – zapytała Felice, pochylając się do przodu, jakby chciała podzielić się jakimś cennym sekretem – w którym matka Homera posługuje się fałszywym prawem jazdy?

– Nie widziałem – przyznał się Simon.

– Ja też nie – dodała Rose.

– Nie lubię kreskówek – stwierdziła Maggie.

Felice ich nie słuchała.

– Na prawie jazdy był adres, Bow Street numer czterdzieści dwa, a to jest rzeczywisty adres redakcji Harvard Lampoon!

Maggie wpatrywała się w Felice przez minutę, potem pochyliła się do siostry.

– Wiesz – powiedziała teatralnym szeptem – wydaje mi się, że Felice studiowała na Harvardzie.

Simon zaczął kaszleć i wypił duży łyk piwa.

– Przepraszamy na chwilę – wymamrotała Rose, częstując Maggie szybkim kopniakiem, a następnie ciągnąc ją w kierunku drzwi.

– To nie było ładne – zbesztła siostrę.

– Błagam cię – powiedziała Maggie. – A ona to sama radość.

– Niekoniecznie. Jest okropna.

– Okropna! – zaśmiała się Maggie. Pociągnęła Rose w kierunku tabliczki z oznaczeniem wyjścia. – Chodź, idziemy od tych okropności.

– Do domu? – zapytała Rose z nadzieją.

Maggie pokręciła głową.

– Znam o wiele ciekawsze miejsca.

\* \* \*

Później – dużo, dużo później – siostry siedziały naprzeciwko siebie przy stoliku w jednym z boksów naleśnikami, o nazwie International House of Pancakes. Najpierw były w klubie. Potem w następnym klubie, otwartym trochę dłużej. Potem w jeszcze następnym. A potem, chyba że Rose była w potwornym błędzie lub też doznawała wywołanych wódką halucynacji, były w knajpie karaoke. Potrząsnęła głową, mając nadzieję, że to ją trochę otrzeźwi, ale wspomnienie pozostało – stoi na scenie bez butów, publiczność skanduje jej imię, a ona zawodzi, w niezupełnie właściwej

tonacji, *Midnight Train to Georgia*, podczas gdy Maggie podryguje za nią jako jej osobisty chórek.

– *He's leaving...* – zaśpiewała Rose eksperymentalnie.

– *All aboard! All aboard! All aboard!* – podchwyciła natychmiast Maggie.

„O Boże – pomyślała Rose kurcząc się w swoim fotelu. – A więc to prawda! Koniec z wódką”, zapowiedziała surowo i przygryzła wargę, przypominając sobie, co było powodem, że w ogóle upiła się w ten sposób. Jim i odwołanie jego wyjazdu do Chicago, i pozostawienie jej Simonowi Steinowi.

„Myślę, że zaangażowałaś się dużo bardziej niż on” – mówiła Amy i, jak wskazywały wszystkie okoliczności, miała rację. Co zrobiła źle? Jak go odzyskać?

– Mogę przyjąć zamówienie? – zapytała znudzona kelnerka z ołówkiem w ręku gotowym do akcji.

Rose przebiegła palcami po menu, jakby było napisane alfabetem Braillea.

– Naleśniki – powiedziała ostatecznie.

– Które? – dociekała kelnerka.

– Dla mojej towarzyszki z maślanką. – Maggie wyreczyła siostrę, zabierając z jej rąk menu. – Dla mnie to samo. I poprosimy dwa duże soki pomarańczowe oraz dzbanek kawy

Kelnerka odeszła.

– Nie wiedziałam, że umiesz śpiewać! – powiedziała Maggie, a Rose dostała czkawki.

– Nie umiem. Jestem prawnikiem.

Maggie wrzuciła cztery paczki słodzika do filiżanki z kawą, którą

postawiła przed nią kelnerka.

– Sama powiedz, nie było przyjemnie?

– Przyjemnie – powtórzyła Rose. I znowu jej się odbiło. Kredka i tusz, które Maggie tak starannie nałożyła wieczorem, całkowicie się rozmazały. Wyglądała jak szop pracz. – Więc co zamierzasz zrobić?

– Z czym?

– Ze swoim życiem.

Maggie zmarszczyła brwi.

– Teraz sobie przypominam, dlaczego nigdy nie wychodzimy razem. Wypijesz pół butelki wina i decydujesz się występować z dziesięciopunktowym planem „Jak naprawić Maggie”.

– Po prostu chcę ci pomóc – Rose tym razem nie dała się zbić z tropu.  
– Musisz mieć cel.

Przyszła kelnerka, zostawiła naleśniki i dzbanuszek gorącego syropu klonowego.

– Chwileczkę – zatrzymała ją Rose. Popatrzyła na nią niewyraźnie, mrużąc oczy. – Są aktualnie jakieś przyjęcia do pracy?

– Wydaje mi się, że tak – odparła kelnerka. – Przyniosę formularz razem z rachunkiem.

– Nie sądzisz, że masz ciut za wysokie kwalifikacje? – zapytała Maggie. – No, wiesz, college, ukończone prawo... Naprawdę chcesz serwować naleśniki?

– Myślałam raczej o tobie.

– O, więc chcesz, żebym ja serwowała naleśniki?!

– Chcę, żebyś w ogóle coś robiła – Rose gestykulowała w pijacko majestatyczny sposób. – Chcę, żebyś płaciła za swoje telefony. I może nawet dawała mi jakieś pieniądze na zakupy.

– Ale ja nic nie jem! – Maggie zaprotestowała, choć niezupełnie miała rację. Jednak przecież nie jadła dużo! – tu bułka, tam trochę mleka z płatkami. Razem niewiele by się tego nazbierało. I żeby jeszcze Rose nie miała pieniędzy. Ale miała. Widziała jej wyciągi bankowe, które trzymała uporządkowane według dat w żółtej, papierowej teczce podpisanej. Wyciągi bankowe”. Mogła sobie wyobrazić Rose, jak chodzi po kuchni z żółtym notatnikiem prawnika, zapisując wszystko skrupulatnie. Jeden kurczak w sosie orientalnym! Pół kubka soku pomarańczowego! Dwie paczki popcornu! Trzy łyżeczki soli! Maggie czuła, jak zaczyna ją palić twarz.

– Oddam ci wszystkie pieniądze – wysyczała ze złością, wyrzucając z siebie każdą sylabę z osobna.

– Nie masz pieniędzy – skwitowała Rose.

– Więc je zdobędę – odparła atak Maggie.

– Kiedy? – zapytała Rose. – Kiedy może nastąpić to długo oczekiwane przez wszystkich wydarzenie?

– Byłam na rozmowie.

– I bardzo dobrze, ale to jeszcze nie praca.

– Odwal się. Wychodzę – Maggie rzuciła serwetką.

– Siadaj – powiedziała znużonym głosem Rose. – Zjedz śniadanie. Zaraz przyjdę.

Wstała od stolika, kierując się do toalety. Maggie usiadła, po-  
dziobała widelcem w naleśnikach, ale nic nie zjadła. Gdy kelnerka przysłała z formularzem, Maggie podwędziła pióro z torebki Rose oraz dwadzieścia dolarów z jej portmonetki i wypisała na blankiecie nazwisko siostry oraz resztę danych, zaznaczając haczykiem wszystkie możliwe rubryki pod tytułem „Godziny pracy” oraz dodając „Zrobię wszystko!” w miejscu przeznaczonym na uwagi. Potem oddała go kelnerce, na naleśniki siostry



wylała syrop jeżynowy wiedząc, że Rose nie lubi kolorowych syropów i wściekła wyszła z restauracji, głośno stukając obcasami.

Rose wróciła do stolika i zaskoczonym wzrokiem obrzuciła swoje zrujnowane śniadanie.

– Koleżanka wyszła – powiedziała kelnerka.

Rose pokręciła przecząco głową.

– Nie jest moją koleżanką, to moja siostra – wyjaśniła.

Zapłaciła rachunek, włożyła żakiet krzywiąc się z bólu – stopy miała całe w pęcherzach – i, utykając, również opuściła restaurację.

– Wystarczy – powiedziała Ella, przesuwając dłoń nad swoim kieliszkiem z winem. Była to ich pierwsza wspólna kolacja, pierwsza oficjalna randka, na którą w końcu, po tygodniach starań ze strony Lewisa, wyraziła zgodę. Zgodziła się również wypić z nim butelkę wina, co akurat było błędem Minęły lata – może nawet cała dekada – odkąd ostatni raz piła wino i, jak można się było spodziewać, uderzyło jej wprost do głowy

Lewis postawił butelkę z powrotem na stole i wytarł usta.

– Nie cierpię świąt – powiedział tak zwyczajnie, jakby komunikował jej, że nigdy nie lubił karczochów.

– Co takiego? – zdziwiła się.

– Święta – kontynuował. – Nie znoszę ich. Od lat.

– Dlaczego?

Napełnił swój kieliszek do połowy winem.

– Bo mój syn nie przyjeżdża – odparł szorstko. – Jestem więc taki sam, jak wszystkie tutejsze babska.

– W ogóle nie przyjeżdża? – Ella zapytała z wahaniem. – Czy jesteście... Czy...

– Spędza święta z teściami – mruknął Lewis, a ze sposobu, w jaki to mówił – niepewnie i z wahaniem – Ella wnioskowała, że był to bolesny temat. – Przyjadą w lutym, gdy dzieci mają ferie.

– To musi być miłe.

– Bardzo – przyznał Lewis. – Nieprzyzwoicie je rozpieszczęm. I nie mogę się już doczekać, ale święta bez nich to koszmar.

Wzruszył lekko ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to jeszcze nie koniec świata i są gorsze rzeczy, ale Ella wiedziała, że musi być mu ciężko

samemu.

– A ty? – zapytał Lewis, dokładnie tak, jak się spodziewała, ponieważ mimo że był naprawdę miły i mimo że tak dobrze się dogadywali, nie mogła w nieskończoność unikać tego pytania. – Opowiedz mi o swojej rodzinie.

Ella świadomie starała się rozluźnić, przypominając sobie, żeby nie spinać ramion i nie zaciskać dłoni w pięści. Wiedziała, że ta chwila prawdy nadejdzie. Nie mogło być inaczej.

– No, cóż... – zaczęła. – Mój mąż, Ira, był wykładowcą na uniwersytecie. Specjalizował się w historii ekonomii. Mieszkaliśmy w Michigan. Zmarł piętnaście lat temu. Wylew.

To była akceptowana w Acres skrócona wersja opowieści na temat zmarłego małżonka: imię, stanowisko, kiedy odszedł i dlaczego, w bardzo ogólnym ujęciu (mieszkanki Golden Acres nie wahały się, na przykład, wyszeptać „rak”, ale za żadne skarby świata nie uzupełniłyby swojej wypowiedzi słowem „prostaty”).

– Czy byliście dobrym małżeństwem? – zapytał Lewis. – Wiem, że to nie moja sprawa...

Umilkł i spojrzał na Elle wyczekująco.

– To było... – zaczęła, bawiąc się nożem do smarowania. – To było typowe małżeństwo w tamtych latach, jak sądzę. On pracował, a ja prowadziłam dom. Gotowałam, sprzątałam, organizowałam życie towarzyskie...

– Jaki był Ira? Co lubił robić?

Najśmieszniejsze było to, że Ella właściwie nie pamiętała. W jej głowie pojawiło się tylko słowo „wystarczająco. Ira był wystarczająco miły, wystarczająco mądry, miał wystarczająco dużo pieniędzy, wystarczająco dbał o nią i o Caroline. Był trochę skąpy (sam nazywał to oszczędnością) i

bardziej niż trochę próżny (Ella nie potrafiła powstrzymać grymasu drwiny, gdy przypominała sobie jego włosy zaczesane do góry, by zakryć łysinę, której już zakryć się nie dawało), ale na ogół... wystarczał.

– Był w porządku – powiedziała, zdając sobie sprawę, że było to, w najlepszym wypadku, wyrażenie zaledwie chłodnego poparcia. – Potrafił zapewnić nam godziwe życie – dodała, świadoma, jak staromodnie to brzmi. – I był dobrym ojcem – zakończyła, chociaż to nie była do końca prawda. Iredę, z jego ekonomicznymi książkami, rozsiewającego wokół zapach kredy, Caroline nieustająco zdumiewała – piękna, wrażliwa, dziwna, szalona Caroline, która uparła się, by pierwszego dnia przedszkola założyć swoją spódniczkę baletnicy, a w wieku lat ośmiu ogłosiła, że wszyscy mają się do niej zwracać nie inaczej, jak tylko Księżniczka Mapie Magnolia, bo jedynie wtedy zareaguje.

Ira zabierał ją na ryby i na mecze, i prawdopodobnie gdzieś w głębi duszy żałował, że ich jedyna córka nie jest synem, albo przynajmniej bardziej normalną dziewczynką.

– A więc masz dzieci? – zapytał Ira.

Ella wzięła głęboki oddech.

– Miałam córkę, Caroline. Caroline umarła.

W tym miejscu złamała schemat protokołu. Było imię i fakt śmierci, ale nic więcej: gdzie pracowała, kiedy zmarła i co ją zabiło.

Lewis położył delikatnie dłoń na jej ręce.

– Przykro mi – powiedział. – Nie mogę sobie nawet wyobrazić, przez co musiałaś przejść.

Ella nie odezwała się, bo nie było słów, którymi można było wyrazić, przez co przeszła. Bycie matką zmarłego dziecka było gorsze niż to, co

mówiły na ten temat wszystkie oklepane frazesy. To było coś najgorszego. Było takie okropne, że o jej śmierci mogła myśleć tylko wyrywkowo, jakby oglądała zdjęcia, i to nie za dużo na jeden raz. Była garść wspomnień, jedno boleśnieszce od drugiego. Pamiętała lśniącą, mahoniową trumnę, która w dotyku wydawała się chłodna i solidna. Widziała twarze córeczek Caroline w ich granatowych sukienkach, z ciemnobrązowymi włosami uczesanymi w identyczne końskie ogony, i jak starsza trzymała młodszą za rękę, gdy podchodziły do trumny, i że młodszą płakała, a starsza nie.

– Pożegnaj się z mamusią – powiedziała starsza swoim trochę chropowatym głosem, a młodszą tylko pokręciła głową i płakała. Pamiętała, jak stojąc tam czuła całkowitą pustkę, jak gdyby jakaś gigantyczna dłoń wybrała wszystko – jej wnętrzości i serce – i zostawiła ją wyglądającą na zewnątrz tak samo, a jednak zupełnie inną.

Pamiętała, jak Ira prowadził ją niczym inwalidkę albo niewidomą, trzymając rękę na jej łokciu, pomagając wsiąść do samochodu, wysiąść z samochodu, wejść po schodach domu pogrzebowego, na których minęli Maggie i Rose. „One nie mają matki”, pomyślała wtedy, i ta myśl uderzyła ją jak bomba wybuchająca w jej mózgu. Ona straciła córkę, co było straszną tragedią, ale te dziewczynki straciły matkę. A to było zdecydowanie gorsze.

– Powinniśmy się tam przeprowadzić – powiedziała do Iry tej nocy, gdy posadził ją na krześle w pokoju hotelowym. – Sprzedamy dom, wynajmiemy mieszkanie...

Stał przy łóżku, wycierając okulary końcem krawata i patrzył na nią ze współczuciem.

– Nie uważasz, że to jak... zamykanie stodoły, gdy koń dawno uciekł?

– Stodoły! – krzychała. – Koń! Co ty wygadujesz? Ira, nasza córka nie żyje! Nasze wnuczki nie mają matki! Musimy im pomóc! Musimy być z

nimi!

Patrzył na nią... a potem powiedział, jeden jedyny raz w ciągu trzydziestu lat ich małżeństwa wykazując zdolność przewidywania przyszłości:

- Może Michael wcale nas tam nie chce?
- Ella? – zaniepokoił się Lewis.

Przełknęła łzy, przypominając sobie, jak padało tego wieczora, gdy zadzwonił telefon, i jak wiele dni później, już w domu, rozmontowała cały aparat: odkręciła śruby słuchawki, odłączyła spiralny przewód łączący słuchawkę z telefonem, podważyła tarczę z numerami, wykręciła śruby obudowy aparatu, wyciągnęła kable i obwody elektryczne. Rozebrała na części pierwsze telefon, który przyniósł jej tę potworną wiadomość, a potem gapiała się na nie ciężko oddychając i myślała, zupełnie irracjonalnie: „Teraz nie możesz mi już nic zrobić, nie możesz mnie już zranić”. Mogła opowiedzieć Lewisowi, jaką poczuła wtedy ulgę, na około pięć minut, po czym znalazła się niespodziewanie w piwnicy, przy zakurzonej stole w warsztacie Iry, z młotkiem w dłoni, i zaczęła nim walić w każdą część rozmontowanego telefonu z osobna, roztrzaskując je na tysiące lśniących kawałeczków. Miała ochotę rozgnieść swoje ręce, ukarać się za to, że wierzyła, w co chciała wierzyć – że Caroline mówiła prawdę, że brała leki, że wszystko było w porządku.

Lewis obserwował ją.

- Dobrze się czujesz?

Odetchnęła głęboko.

- Dobrze – powiedziała słabo. – Zupełnie dobrze.

Lewis przyjrzał się jej uważnie, potem wstał i pomógł wstać Elli. Położył uspokajająco rękę na jej łokciu, kierując ją w stronę drzwi.

– Przejdźmy się – zaproponował.

## 17

Niedzielne popołudnie Maggie Feller spędziła w śnieżnobiałej fortecy Sydelle, zbierając Informacje. Obudził ją przeraźliwy dzwonek telefonu, spotęgowany przez kaca, którego odczuwała tego ranka bardzo wyraźnie.

– Rose, telefon – jęknęła, ale bez rezultatu. A Sydelle Straszliwa dzwoniła nieustępliwie, aż Maggie w końcu podniosła słuchawkę i zgodziła się przyjść, by zabrać rzeczy ze swojego pokoju.

– Potrzebujemy więcej miejsca – powiedziała Sydelle.

„Wykorzystaj swój nos – pomyślała Maggie – Tam dopiero jest mnóstwo miejsca”.

– A gdzie ja mam je wszystkie upchnąć? – zapytała w zamian.

Sydelle westchnęła. Maggie oczyma wyobraźni widziała swoją macochę – wąskie usta ściśnięte na szerokość krawędzi kartki papieru, rozszerzone nozdrza, kosmyki świeżo farbowanych popielatoblond włosów poruszające się sztywno wokół jej twarzy, gdy kręci głową.

– Możesz je przenieść do piwnicy, jak sądzę – ton Sydelle wskazywał, że było to ustępstwo na miarę pozwolenia krnąbrnej pasierbicy na zainstalowanie przed domem kolejki górskiej z Disneylandu.

– To naprawdę szlachetne z twojej strony – Maggie sarkastycznie skwitowała propozycję. – Przyjdę po południu.

– Po południu wybieramy się na warsztaty – oznajmiła Sydelle. – Gotowanie w diecie makrobiotycznej.

Maggie nie wykazała najmniejszych oznak zainteresowania tą informacją. Wzięła gorący prysznic, pozwoliła sobie zabrać kluczyki Rose

wraz z samochodem i pojechała do New Jersey Dom był pusty, jeśli nie liczyć psa– idioty, Chanela (Rose przezwała go Bzykacz), który jak zwykle był, jakby była włamywaczem, po czym próbował wybykać jej nogę. Maggie wypchnęła go na zewnątrz i spędziła półtorej godziny na transportowaniu kartonów do piwnicy, co pozostawiało jej całą godzinę na Informacje.

Zaczęła od biurka Sydelle, ale nie znalazła niczego interesującego – jakieś rachunki, sterty papieru listowego, cały arkusz niewielkich zdjęć Mojej Marci w sukni ślubnej, w ramce dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów zdjęcie synów– bliźniaków Mojej Marci, Jasona i Alexandra – więc przeszła do bardziej obiecującego terenu łowczego, a mianowicie wbudowanej w ścianę szafy pani i pana domu, która już wcześniej przyniosła jej jedną z cenniejszych zdobyczy – szkatułkę na biżuterię z rzeźbionego drewna. W pudełku nie było nic oprócz pary złotych kolczyków w kształcie kółek i bransoletki składającej się z wąskich złotych ogniw. Jej matki? Być może, pomyślała Maggie. Nie mogły należeć do Sydelle, bo wiedziała, gdzie ta trzymała swoje rzeczy Rozważyła kwestię przywłaszczenia sobie biżuterii, ale ostatecznie zdecydowała, że tego nie zrobi. Może jej ojciec czasami na nią spoglądał i zorientowałby się, że zniknęła. Oprócz tego Maggie nie podobała się wizja, w której jej ojciec bierze szkatułkę, by do niej zajrzeć, a ta okazuje się pusta. Zaczęła od pierwszej półki. Był tam plik starych PIT– ów obwiązanych gumką, który wzięła, przewertowała i odłożyła na miejsce. Trofea Mojej Marci – cheerleaderki, swetry Sydelle. Maggie stanęła na palcach, sięgając ręką ponad rzędami letnich koszul ojca i przejeżdżając koniuszkami palców po najwyższej półce, aż natrafiła na, jak jej się wydawało, pudełko po butach. Wyciągnęła je – było różowe, wyglądało na dość stare, miało pogniecione, miękkie rogi.



Starła z niego kurz, wyszła z szafy i usiadła na łóżku. Nie należało do Sydelle, bo Sydelle każde pudełko z butami opatrywała opisem znajdującego się w środku obuwia (w większości bardzo drogiego i boleśnie wąskiego w palcach). Poza tym Sydelle nosiła wąskie trzydzieści pięć, a pudełko, zgodnie z nalepką, zawierało niegdyś parę różowych baletek Capezio, dziewczęcy rozmiar trzydzieści dwa. Buciki małego dziecka. Maggie zajrzała do środka. Listy. Pełno listów, było ich przynajmniej dwadzieścia. Właściwie pocztówki w kolorowych kopertach, a pierwsza, którą wyciągnęła, była adresowana do niej, Panny Maggie Feller, na adres ich poprzedniego, trzypokojowego mieszkania, które zajmowali, zanim ojciec nie przeprowadził ich wszystkich do domu Sydelle. Na pieczęci widniała data 4 sierpnia 1980 roku, a więc została wysłana tuż przed jej ósmymi urodzinami (które, jeśli dobrze pamięta, były uroczystym wydarzeniem w pobliskiej kępielni, z pizzą i lodami na deser). Na naklejce w lewym, górnym rogu koperty był adres zwrotny Kartka pochodziła od osoby o nazwisku Ella Hirsch.

„Hirsch”, w myślach powtórzyła Maggie, czując, jak serce zaczyna jej mocniej bić na myśl o tej tajemniczej historii. Hirsch to było panieńskie nazwisko jej matki. Spróbowała otworzyć kopertę, po prawie dwudziestu latach klej już wysechł, nie było więc z tym żadnych problemów. Kartka urodzinowa, dziecięca, z różowym tortem w polewie i żółtymi świeczkami na obrazku oraz napisem „NAJLEPSZE ŻYCZENIA!”. Wewnątrz, poniżej wydrukowanych słów. WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI URODZIN! ” przeczytała: „Droga Maggie, mam nadzieję, że miewasz się dobrze. Bardzo za Tobą tęsknię i bardzo ucieszyłaby mnie jakaś wiadomość od Ciebie”. Pod spodem numer telefonu i podpis „Babcia”, a w nawiasie Ella Hirsch. Plus banknot dziesięciodolarowy, który Maggie włożyła do

kieszeni. „Ciekawe”, pomyślała, wstając i podchodząc do okna sypialni, by sprawdzić, czy nie nadjeżdża samochód Sydelle. Maggie wiedziała, że ma babcię; miała takie niewyraźne wspomnienie siebie siedzącej na kolanach u kogoś, kto pachnie kwiatowymi perfumami, i gładkiej skóry czyjegoś policzka na swoim, podczas gdy jej matka robi zdjęcie. Równie zamazane jest wspomnienie tej samej kobiety, babci, z dnia pogrzebu matki. Co stało się ze zdjęciem, nie było żadną tajemnicą – po przeprowadzce wszystkie publiczne dowody istnienia ich matki zniknęły. Ale co stało się z babcią? Pamiętała, jak lata temu, w dniu swoich pierwszych w New Jersey urodzin zapytała ojca:

– A gdzie jest babcia Ella? Czy coś mi przysłała?

Przez twarz ojca przemknął cień.

– Przykro mi – powiedział, albo przynajmniej tak jej się wydawało. –

Nie może przyjechać.

A gdy rok później zadała to samo pytanie, otrzymała już inną odpowiedź:

– Babcia jest w pewnym domu.

– Tak jak my – powiedziała Maggie, która nie rozumiała, o co im chodzi.

Ale Rose wiedziała.

– Nie w takim domu – tłumaczyła patrząc na ojca, który skinął przyzwalająco. – W domu dla starych ludzi.

I na tym się skończyło. A jednak, ze specjalnego domu czy niespecjalnego, babcia przysyłała te wszystkie kartki. Więc dlaczego Maggie i Rose nigdy ich nie dostały?

Zainteresowała się, czy kartki były takie same, czy nie? Wybrała z pudełka kolejną, z 1982 roku, zaadresowaną do Panny Rose Feller. Życzenia

z okazji święta Chanuka, kartka podpisana tak samo jak poprzednia – „Bardzo Cię Kocham i tęsknię za Tobą, mam nadzieję, że dobrze się miewasz, pozdrowienia, Babcia (Ella)”. I jeszcze jeden banknot, tym razem dwadzieścia dolarów, który dołączył do pierwszego w kieszeni Maggie.

„Babcia. Ella”, powiedziała do siebie. Co się stało? Mama umarła i był pogrzeb. Babcia była tam na pewno. Potem przeprowadzili się z Connecticut do New Jersey, w miesiąc po śmierci matki, i chociaż przeszukała swoją pamięć bardzo dokładnie, nie mogła przypomnieć sobie, by kiedykolwiek później spotkała babcię lub otrzymała od niej jakąś wiadomość. Miała wciąż zamknięte oczy, gdy usłyszała szmer mechanizmu otwierającego bramę garażu, a potem trzask drzwi samochodu. Kartka Rose dołączyła do dwóch banknotów, a Maggie zerwała się z łóżka.

– Maggie? – zawołała Sydelle, której obcasy stukały już po kuchennej podłodze.

– Prawie skończyłam – krzyknęła Maggie. Odłożyła pudełko na miejsce i zeszła na dół, gdzie jej ojciec i Sydelle wypakowywali siatki pełne różnorodnych kiełków i ziaren.

– Zostań na obiad – zaproponował ojciec, całując ją w policzek, gdy nakładała na ramiona płaszcz. – Będzie dziś... – urwał w połowie i przyjrzał się jednej z siatek.

– Quinoa – powiedziała Sydelle, starając się, z miernym rezultatem, wymówić słowo z latynoską werwą – kin-ła!

– Nie, dzięki – Maggie powoli zapinała guziki, obserwując, jak ojciec układa zakupy na półkach. Trudno uwierzyć, że kiedyś był przystojny. Ale widziała jego zdjęcia z młodości, zanim zakola na skroniach połączyły się w jedną dużą łysinę, kończącą się gdzieś na czubku głowy, a na zapadniętej twarzy rysowały się zmarszczki i rezygnacja. Czasami tylko, patrząc z tyłu

lub gdy poruszał się w pewien specyficzny sposób, w jego ramionach i kształcie twarzy widziała mężczyznę, który był kiedyś wystarczająco przystojny, by kochać kobietę tak piękną jak jej matka. Chciała zapytać ojca o pocztówki, ale nie przy Sydelle. Wiedziała, że Sydelle na pewno zmieniłaby temat z tajemniczej babci na – po pierwsze – co właściwie Maggie robiła w ich szafie.

– Tato... – zaczęła. Sydelle przemknęła obok niej w kierunku spiżarni, z naręczem puszek z tą samą ultramandłą, w stu procentach naturalną zupą bez soli i smaku, którą znalazła w kuchni Rose. – Zjadłbyś ze mną lunch któregoś dnia? Może w tym tygodniu?

– Oczywiście – powiedział ojciec dokładnie w tym samym momencie, gdy Sydelle zapytała:

– Jak tam poszukiwania pracy, Maggie?

– Bardzo dobrze! – odpowiedziała wesoło. „Suka”, pomyślała.

Sydelle ułożyła swoje pokryte koralową szminką usta w radosny, nieszczerzy uśmiech.

– Miło to słyszeć – odwróciła się tyłem i poszła z powrotem do spiżarni. – Wiesz, że chcemy dla ciebie jak najlepiej, Maggie, i bardzo się martwimy...

Maggie chwyciła torebkę.

– Muszę lecieć – pożegnała się. – Czekają ludzie i miejsca.

– Zadzwoń! – zawołał za nią ojciec.

Maggie pomachała mu krótko i niedbale, wsiadła do samochodu Rose, wyciągnęła z kieszeni kartkę i pieniądze i przyjrzała im się uważnie, chcąc się upewnić, że wciąż tam są, że ich sobie nie wymyśliła i że wynikało z nich to, co sądziła, że z nich wynikało. Babcia. Rose wiedziałyby, co z tym zrobić. Tylko że gdy wróciła do domu, Rose właśnie się pakowała.

– Idę do biura skończyć streszczenie. Wrócę późno, a jutro rano wyjeżdżam. Jadę na delegację – powiedziała tym swoim apodyktycznym, zarozumiałym tonem, biegając po całym mieszkaniu z kostiumami i laptopem. No, cóż, gdy Rose wróci, razem zastanowią się nad odkrytą przez Maggie Tajemnicą Zaginionej Babci.

TTLR

W poniedziałek rano Simon Stein stał na dole w holu domu Rose, w mokasynach do spodni, w koszulce polo Lewisa, Dommela i Fenicka z firmowym logo na piersi oraz w czapce baseballowej tegoż Lewisa, Dommela i Fenicka na głowie. Rose wyszła z windy szybkim krokiem i przeszła tuż obok niego.

- Hej! – zawołał, machając do niej.
- Och! – Rose zatrzymała się, przeczesując palcami mokre włosy
- Cześć.

Poranek zaczął się fatalnie. Gdy sięgnęła pod umywalkę, żeby wziąć tampon, pudełko okazało się puste, nie licząc celofanowych opakowań i pobrząkujących pozostałości aplikatora.

- Maggie! – krzyknęła. I Maggie, wyrwana ze snu, pogrzebała w swojej torebce, by w geście pocieszenia rzucić Rose jeden tampon Regular.
- Gdzie podziały się wszystkie moje Super? – zażądała wyjaśnień Rose. Maggie po prostu wzruszyła ramionami.

Będzie musiała kupić jakieś na lotnisku, zakładając, że uda jej się zostawić na chwilę Simona Steina i...

- ... na ten wyjazd – mówił Simon, włączając się w ruch na autostradzie.
- Co mówiłeś?
- Mówię, że naprawdę cieszę się na ten wyjazd – powtórzył. uprzejmie. – Ty nie?
- Chyba tak – Rose próbowała odwdzińczyć się uprzejmością.

Faktycznie nie cieszyła się w ogóle. Owszem, przez całe tygodnie marzyła o tym wyjeździe, ale z Jimem. Ona i on w mieście, gdzie nikt ich

nie zna, z dala od wszystkich pracowników firmy Lewis, Dommel i Fenick. Poszliby na romantyczną kolację... albo po prostu skorzystali z obsługi hotelowej. Zostaliby w pokoju. Poznali się od nowa. A teraz utknęła tu z Simonem Steinem, Cudownym Dzieckiem.

– Myślisz, że wybrali nas, bo stanowimy dobry przykład młodych prawników, czy też chcą się nas pozbyć? – zapytała.

– Ooo – Simon wjeżdżał właśnie na parking przy lotnisku. – Mnie wybrali, bo jestem dobrym przykładem, co do ciebie: raczej to drugie.

– Co takiego?

– Żartuję – powiedział z psotnym uśmiechem na twarzy.

Odrażające, pomyślała Rose. Dorośli mężczyźni nie powinni robić psotnych min.

Byli w sali odlotów dość wcześnie, do czasu wejścia na pokład zostało im całe czterdzieści pięć minut. „Super”, pomyślała Rose i położyła swój bagaż na krzesło.

– Słuchaj, pójdę tylko do kiosku – poczuła ulgę, gdy Simon tylko skinął głową i otworzył egzemplarz „ESPN: The Magazine”. To śmieszne, zdawała sobie z tego sprawę, ale nigdy nie należała do kobiet, które jakby nigdy nic wrzucały kartonik Tampaxów Super Plus do koszyka w supermarkecie, tuż obok sałaty i filetów z indyka, i stały bez zmrużenia oka w kolejce, gdy jakiś nastolatek skanował wzrokiem ich zakupy. Rose tak nie potrafiła. Jej tampony musiały być kupowane w samoobsługowej aptece CVS; czaiła się zazwyczaj między regałami, aż nie było kolejki, a w kasie siedziała kobieta. To nic wielkiego, wiedziała (i oczywiście Amy i Maggie również ją o tym zapewniały), ale z jakichś powodów, kupując je, zawsze czuła się zażenowana. Prawdopodobnie dlatego, że gdy miała pierwszy okres, ojciec był w takim szoku, że zostawił ją w łazience, krwawiącą na

poskładany w kilka warstw papier toaletowy, na całe trzy godziny, aż Sydelle wróciła z zajęć aerobiku z opakowaniem podpasek. Maggie – Rose pamiętała – czekała cierpliwie po drugiej stronie drzwi, starając się wyciągnąć z niej jak najwięcej szczegółów.

– Co się dzieje? – pytała.

– Stałam się kobietą – odpowiedziała Rose z brzegu wanny, na którym przycupnęła. – Hurra!

– Ooo... – zdziwiła się Maggie. – Gratulacje.

Rose pamiętała również, jak Maggie próbowała wsunąć przez drzwi czasopismo „People”, a dodatkowo upiekła ciasto z grubą warstwą polewy czekoladowej i napisem „Gratolacje Rose”. Co prawda, ojciec był zbyt zażenowany, żeby ugryźć choć kawałek, a Sydelle posyłała przy stole kąśliwe uwagi dotyczące tłuszczu i kalorii oraz ortografii, ale ogólnie było to miłe.

Już w locie wepchnęła swoją torbę na górna półkę, zapięła pasy i zapatrzyła się w okno, pogryzając orzeszki i starając się nie zwracać uwagi na swój żołądek grający dość głośnego marsza. Gdyby nie poświęciła aż tyle czasu na starania, by jej streszczenie było jak najbardziej Jim– ponujące, albo nie biegała w kółko pogrywając w Zgadnij– Co– Maggie– Zabrała– Tym– Razem, miałyby pewnie czas, żeby przygotować zapasy na drogę. Tymczasem Simon sięgnął pod siedzenie i wydobył stamtąd mały nylonowy pojemnik. Zamaszyście otworzył wieczko.

– Proszę – zachęcił współtowarzyszkę podróży.

Rose spojrzała w lewo i zobaczyła, że trzyma bułkę obsypaną ziarnami.

– Dziewięć ziaren – powiedział. – Z LeBus. Mam też jednaście ziaren.



– Na wypadek gdyby dziewięć nie wystarczyło? – zażartowała Rose. Patrzyła na niego z zaciekawieniem, potem wzięła bułeczkę, która wciąż była ciepła i, jak się okazało, przepyszna. W chwilę później poczuła na ramieniu jego rękę i zobaczyła, że częstuje ją kawałkiem sera.

– Co to ma być? – zapytała ostatecznie. – Mama spakowała ci lunch?

Simon pokręcił głową.

– Lunche mojej mamy w niczym nie przypominały tego. Nie jest skowronkiem. Tak więc co rano, hm, staczała się ze schodów...

– Staczała? – Rose zaczęła intuicyjnie przygotowywać się do okazania właściwego współczucia na wypadek, gdyby Simon zaserwował jakąś ponurą opowieść o matce alkoholizce.

– W normalnych warunkach nie jest osobą charakteryzującą się specjalną gracją ruchów, a już szczególnie nie wtedy, gdy jeszcze na wpół śpi. No, więc staczała się na dół, łapała wielki bochenek białego chleba i wędlinę z bieżącej promocji w najbliższym sklepie oraz dwuipółkilogramowe opakowanie margaryny.

Rose prawie mogła sobie wyobrazić jego matkę, jak w nie pierwszej świeżości koszuli nocnej stoi boso w kuchni, odrabiając swoją codzienną pańszczyznę.

– Ciskała więc na stół taką kromkę, potem smarowała margaryną, albo raczej próbowała smarować, ale margaryna była jeszcze zimna, więc nie bardzo się dało, dodatkowo chleb się rwał, więc dostawałaś kanapki z grudkami margaryny, a potem ciskała kilka plastrów wędliny – Simon zilustrował ruch ciskający – i na to kładła kolejną kromkę, po czym wrzucała kanapkę do woreczka, potem do torebki z szarego papieru razem z poobijanymi owocami i garścią orzeszków ziemnych w skorupkach. I to był

lunch. I to – zakończył, wyciągając czekoladowe ciastko z orzechami i częstując Rose jego połową – mnie tłumaczy.

– A mianowicie?

– Dorastas w domu, gdzie nikt nie dba o jedzenie, więc kończysz albo jako osoba, której też na tym nie zależy, albo trochę przesadzasz w tym względzie – poklepał się z uczuciem po brzuchu. – Zgadnij, którą z nich jestem? Jak wyglądały twoje lunche?

– To zależało.

– Od czego?

Rose przygryzła wargę. Dla niej szkolne lunche dzieliły się na trzy kategorie. Szczęśliwe, radosne śniadania jej matki były cudenkami – kanapki ze starannie odkrojonymi skórkami, obrane marchewki pokrojone na kawałeczki równej długości, umyte jabłko, papierowa serwetka złożona na dwie torebki, czasami z pięćdziesięcioma centami na lody w waflach oraz karteczką „Pomyśl o mnie, smacznego”. Były też śniadania depresyjne. Skórki zostawały na chlebie. Marchewki były nie obrane – raz mama włożyła jej do torby całą marchewkę, wraz z pierzastymi listkami natki. Zapominała wtedy o serwetkach, o pieniądzach na mleko, czasami zapominała o samej kanapce. Raz, Rose pamiętała to bardzo dobrze, Maggie złapała ją w szatni, zaniepokojona i skonsternowana.

– Patrz – powiedziała i pokazała swoją torbę na śniadanie, w której znajdowała się tylko, nie wiadomo dlaczego, książeczka czekowa mamy. Rose zajrzała do swojego śniadania i zamiast niego jej oczom ukazała się pognieciona skórzana rękawiczka.

– Na ogół jadłyśmy coś ciepłego – odparła Simonowi. Co było prawdą. Po dwóch latach dobrych i złych lunchów przygotowywanych przez matkę nastąpiło dziesięć lat lunchów należących do trzeciej kategorii –

pizza i zagadkowe mięso różnego asortymentu w bufecie lub, alternatywnie, oferty Sydelle – Zdrowa Kuchnia plus sałatka, które Rose przeważnie odrzucała.

Simon westchnął.

– Zabiłbym w tedy za ciepły lunch. Tak czy owak – jego twarz się rozpogodziła – myślisz, że w Chicago będzie zabawnie?

– Pamiętasz, jaki byłeś na pierwszym roku studiów?

Simon zastanowił się.

– Nie do zniesienia – przyznał.

– Właśnie. Ja też. Z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy przyjąć, iż większość tych dzieciaków będzie tak samo koszmarna.

– Aha – zgodził się Simon. Sięgnął teraz do swojej teczki i wyciągnął kilka czasopism. – Chcesz coś do czytania?

Rose zastanawiała się nad pismem dla smakoszy „Cook’s Illustrated”, ale ostatecznie wybrała coś o tytule „The Green Bag”.

– Co to?

– Humorystyczne czasopismo dla prawników.

– Ciekawostka – stwierdziła Rose, po czym odwróciła się do okna i zamknęła oczy z nadzieją, że Simon zostawi ją w spokoju. Poczowała ulgę, gdy tak się właśnie stało.

Pierwsza kandydatka zrobiła wielkie oczy, powtarzając ostatnie pytanie Simona.

– Mój cel??? – była w czarnym kostiumie, nieprzyzwoicie młoda, i miała cudownie świeżą twarz. Patrzyła na Rose i Simona w sposób, który miał zapewne wyrażać asertywność, ale zamiast tego sprawiała wrażenie krótkowzrocznej. – Chcę za pięć lat siedzieć po drugiej stronie tego biurka.

„Tylko po reformie praw kobiet”, pomyślała Rose. Przez ostatnie

dziesięć minut miała wrażenie, że kupiony na lotnisku tampon nie spełniał swojego zadania.

– Proszę nam powiedzieć, dlaczego interesuje panią firma Lewis, Dommel i Fenick – pytał dalej Simon.

– Gdyż – zaczęła pewnie – jestem pod wrażeniem zaangażowania waszej firmy w działalność *pro publico bono*...

Simon rzucił spojrzenie na Rose, zrobił haczyk na kartce, gdzie zapisywali punktację.

– ... i mam wiele szacunku dla współników ze względu na ich zrozumienie, jak ważna jest równowaga między czasem poświęcanym pracy i rodzinie...

Simon postawił kolejny haczyk.

– I sędzę, że w Bostonie wspaniale by się pracowało – zakończyła młoda kobieta.

Rose i Simon spojrzeli na siebie, w połowie ruchu ręki Simona, by postawić haczyk. „Boston”?

Kandydatka przyglądała im się niepewnie.

– Można robić tam tyle ciekawych rzeczy! Wszędzie wokół historia!

– To prawda – powiedział Simon. – Ale tak się składa, że nasza firma mieści się w Filadelfii.

Dziewczyna wciągnęła powietrze.

– Ooo – wyjąkała.

– W Filadelfii też można robić wiele ciekawych rzeczy – zakończyła Rose, myśląc sobie, że będąc studentką prawa, tak właśnie by zrobiła: umówiła się na tyle spotkań, że wszystkie te firmy zlałyby się w jedną, wielką, prorodzinną, niewyraźną plamę, oddaną działalności *pro publico bono*.

– Proszę opowiedzieć nam o sobie – Rose zwróciła się do rudo-

włosego młodzieńca siedzącego naprzeciwko niej.

Westchnął.

– No, więc – zaczął – w zeszłym roku się ożeniłem.

– To wspaniale – uprzejmie zagaił Simon.

– Taak – powiedział młody człowiek gorzko – Tylko że wczoraj w nocy oznajmiła, że zostawia mnie dla naszego profesora od prawa karnego

– O, Boże... – wymamrotała Rose.

– „Jest moim promotorem”, tak mi wyjaśniła. OK, niczego nie podejrzewałem. Podejrzewalibyście coś w takiej sytuacji? – zapytał Simona i Rose, obrzucając ich gniewnym spojrzeniem.

– Eehm... – burknął Simon. – Nie jestem żonaty.

Student prawa skurczył się w swoim garniturze.

– No, cóż, macie mój życiorys – powiedział. – Jeśli będziecie zainteresowani, wiecie gdzie mnie znaleźć.

– Taak – wyszeptał Simon, gdy facet wyszedł i wszedł następny kandydat. – Znajdziemy go w krzakach pod domem profesora, z noktowizorem i słoikiem po majonezie, by mógł do niego sikać.

– Moje zainteresowanie prawem zaczęło się od obrzydzenia – zaczęła wąskousta brunetka. – Czy pamiętają państwo sprawę gorących McNuggets?

– Nie – powiedziała Rose.

– Niezupełnie – powiedział Simon.

Studentka prawa pokręciła głową i popatrzyła na nich pogardliwie.

– Klientka zamawia McNuggets w McDrive'ie. Dostaje je prosto z patelni. Są gorące. Kobieta gryzie, parzy się w usta, pozywa do sądu McDonald'sa za to, że nie poinformowano jej o tym, iż kurczaki były niebezpiecznie gorące, i wygrywa setki tysięcy dolarów. Obrzydliwe –

rzuciła im gniewne spojrzenie, żeby lepiej zobrazować obrzydzenie.

– Tego typu nagrody są powodem raka pieniactwa, choroby, która zatruwa Amerykę.

– A wie pani, że mój wujek to miał? – powiedział Simon ze smutkiem. – Raka pieniactwa. Niestety, niewiele da się na to poradzić.

Dziewczyna rzuciła im wściekłe spojrzenie.

– Ja nie żartuję! – ciągnęła. – Niepoważne procesy sądowe i zwykłe awanturnictwo stanowią ogromny problem w środowisku prawniczym.

Simon potakiwał z uwagą, a Rose powstrzymywała się od ziewania, gdy dziewczyna przez piętnaście minut podawała celnie wybrane przykłady, sprawy, decyzje i przepisy, aż wstała zniecka, poprawiając spódnicę.

– Życzę miłego dnia – powiedziała i wymaszerowała z pokoju.

Rose i Simon patrzyli na siebie przez chwilę, po czym wybuchnęli śmiechem.

– O, mamó – Rose zakrztusiła się z radości.

– Wydaje mi się, że mamy zwycięzcę! – skwitował Simon. – Gorąca McNugget. Tak będziemy ja nazywać. Zgoda?

– No, nie wiem – powiedziała Rose. – A co z tym, który splunął w czasie rozmowy? Albo Panna Boston?

– Powstrzymałem się, żeby jej nie powiedzieć, że nie spodobałoby jej się w Bostonie, bo nie przypomina specjalnie miasta uniwersyteckiego, ale nie wyglądała na kogoś, kto lubi Spinal Tap. Teraz się zorientowałem, że zaniedbaliśmy nasze obowiązki nie pytając ich, co sądzą o sportach ekstremalnych. – Pokręcił głową w udawanej rozpacz.

– Chyba nie mamy po co wracać do Filadelfii.

– Facet z eks- żoną wyglądał, jakby miał w garażu deskę snowboardową.

– Taa – żartował dalej Simon. – Tuż obok kuszy. A co myślisz o tej blondynce?

Rose przygryzła wargę. „Ta blondynka” była u niej na przedostatnim miejscu. Mierne oceny i żadnego doświadczenia, którym mogłaby się pochwalić, ale wyglądała cudownie.

– Wydaje mi się, że spodobałaby się niektórym współnikom – powiedział sucho Simon. Rose skrzywiła się. Miał na myśli Jima?

– Tak czy inaczej – rzekł Simon, zbierając papiery do nieodłącznej teczeki Lewis, Dommel i Fenick – masz jakieś plany na kolację?

– Liczę na obsługę hotelową – powiedziała Rose wstając.

Simon wydawał się przerażony.

– Och, nie, nie, musimy gdzieś pójść! W Chicago są wspaniałe restauracje!

Rose spojrzała na niego – miała nadzieję – uprzejmię.

– Naprawdę jestem zmęczona. – To było akurat prawdą. Jak również to, że miała potworne skurcze. Chciała być już w pokoju dla Jima, który, zamiast swojej obecności, zaproponował nagrodę pocieszenia w postaci rozmowy telefonicznej. Czy seks przez telefon był trudny, zastanawiała się? Czy potrafiła to zrobić, nie brzmiąc jak jedna z tych plugawych nocnych reklam na kablówce, ale żeby też nie wypaść tak, jakby czytała stenogramy przesłuchań w sprawie Clinton/Lewinsky?

– Twoja strata – Simon dał za wygraną. Podniósł rękę w geście pozdrowienia, wepchnął teczkę do siatki Lewis, Dommel i Fenick (dorośli mężczyźni, pomyślała Rose, nie powinni nosić siatek) i zniknął dyskretnie, a Rose pospiesznie udała się do hotelu, telefonu i Jima.

Maggie założyła się sama ze sobą, że uda jej się dostać pracę, zanim Rose wróci z Chicago. Jeśli będzie miała pracę, dedukowała, Rose będzie zadowolona i bardziej skłonna zająć się Sprawą Zaginionej Babci. Dała sobie spokój z dorywczym kelnerowaniem i wyruszyła w miasto z plikiem życiorysów. W ciągu jednego dnia załapała się do pretensjonalnego przybytku tuż za rogiem o nazwie Wytworna Łapa, gdzie zajmowano się opieką i pielęgnacją psów – w zasadzie był to gabinet fryzjerski dla czworonogów. Obok niego znajdowały się także dwa francuskie bistra, jeden z tych modnych barów, do których idzie się wypalić dobre cygaro, butik z konfekcją damską oraz sklep z kosmetykami.

– Lubisz psy? – zapytała Bea, kierowniczka ubrana w ogrodniczki i paląca Marlboro bez filtra, trzymająca właśnie suszarkę nad głową chińskiego shih tzu.

– Uwielbiam – odpowiedziała Maggie.

– I widać, że pielęgnacja też nie jest ci obca. – Bea zlustrowała jej zadbane włosy, twarz, opięte džinsy i jeszcze bardziej opięty sweter. – Poradzisz sobie. Psa trzeba wykapać, przyciąć mu pazury, przystrzyc wąsy, wmasować odżywkę i wysuszyć. Osiem dolarów na godzinę – dodała, podnosząc shih tzu za ogon i obrożę, i wkładając do plastikowego koszyka dla psów.

– Jasne – potwierdziła Maggie.

Bea wręczyła jej fartuch, butelkę szamponu Johnson's baby i ruchem głowy wskazała małego, obskurnie wyglądającego pudła.

– Wiesz coś o gruczołach okołoodbytowych?

– Słucham? – Maggie spojrzała na nią z nadzieją, że się przesłyszała.



Bea uśmiechnęła się.

– Gruczoły okołoodbytowe – powtórzyła. – Pokażę ci.

Maggie przyglądała się z odrazą, jak Bea podnosi psu ogon.

– Widzisz? – wskazała krytyczny obszar. – Naciskasz.

Zademonstrowała. Smród był odrażający. Maggie zbierało się na wymioty. Nawet pudel sprawiał wrażenie, że jest mu wstyd.

– Muszę to robić z każdym psem? – zapytała.

– Tylko jeśli jest to konieczne – odpowiedziała Bea. Jakby to miało być jakieś pocieszenie.

– A skąd będę wiedzieć, kiedy to konieczne? – nalegała Maggie.

Bea roześmiała się.

– Musisz sprawdzić czy są obrzmiałe – odparła.

Maggie wzdrygnęła się, ale przełknęła ślinę i ostrożnie podeszła do swojego pierwszego klienta, który, wydawało się, miał tyleż samo wątpliwości co do zamierzanego przedsięwzięcia, co ona sama.

W ciągu następnych ośmiu godzin Maggie umyła szesnaście psów, w związku z czym miała na swetrze szesnaście różnych rodzajów sierści.

– Dobra robota – Bea z uznaniem pokiwała głową, zawiązując jednocześnie chustkę w biało– różowe prążki wokół obroży owczarka collie.

– Następnym razem ubierz inne buty, na płaskim obcasie albo tenisówki. Masz coś takiego?

Maggie wprawdzie nie miała, ale Rose na pewno. Pokuśtykała na ulicę, wpychając spierzchnięte dłonie do kieszeni, zadowolona, że ma dziś przynajmniej mieszkanie dla siebie. Planowała miskę popcornu i drinka, nie będzie narzekań siostry, że muzyka jest za głośno i że używa zbyt dużo perfum, ani uprzykrzonych pytań, dokąd się wybiera i kiedy wróci.

Maggie spojrzała na miejsce, gdzie zwykle stał samochód Rose...

Miejsce okupowane obecnie jedynie przez pokrytą lodem kałużę i kilka zwiędłych liści.

No, dobra, może to jednak nie to miejsce, pomyślała Maggie starając się uspokoić, chociaż czuła, jak serce zaczyna jej walić w piersi. Pine Street. Z całą pewnością to była Pine Street. Przeszła nią aż do znaku stopu przy jednej z francuskich kafejek, potem na rogu przeszła na drugą stronę i poszła z powrotem obok baru cygarowego oraz sklepu kosmetycznego, o tej porze już zamkniętych, idąc od lampy do lampy, przechodząc od blasku żarówki do całkowitego mroku. Nic, ani śladu samochodu Rose.

Podreptała aż do rogu i jeszcze raz z powrotem, pod lampami udekorowanymi bożonarodzeniowymi wieńcami ze złotej lamety, czując, jak mroźne, grudniowe powietrze dobiera się do jej szyi. Zostawiła samochód na Pine Street, była pewna... chyba że... a jeśli się pomyliła? To wystarczy Rose, uświadomiła sobie Maggie, wyobrażając sobie siostrę, gdy po powrocie z Chicago dowiaduje się, że jej samochód zniknął. Wyrzuci ją za drzwi, odsyłając do Sydelle, zanim Maggie zdąży cokolwiek wyjaśnić. I czy nie tak właśnie wyglądało w większości jej życie? Krok naprzód, dwa w tył. Dostać się na przesłuchania w MTV i potknąć się na teleprompterze. Dostać pracę i zaraz potem zanotować kradzież samochodu. Włożyć stopę między drzwi i za chwilę poczuć, jak przytrząskują ci palce. „Kurwa”, pomyślała kręcąc się w kółko. Kurwa, kurwa, kurwa.

– Też cię dopadli? – Mężczyzna w skórzanej kurtce szedł w jej kierunku. Palcem wskazał znak, którego wcześniej nie zauważyła. – Czyszczenie ulicy – powiedział i pokręcił głową. – Kiedyś dawali tylko mandaty, ale nikogo to nie ruszało, więc od zeszłego tygodnia odholowują samochody

Cholera.

– Dokąd je zabierają?

– Na parking policyjny – wzruszył ramionami. – Podwiózłbym cię, ale...

I spojrzał na miejsce, gdzie prawdopodobnie jeszcze niedawno stał jego samochód, takim żalosnym wzrokiem, że nie mogła się nie roześmiać.

– Chodź ze mną – zachęcił. Spojrzała na niego, chcąc mu się bliżej przyjrzeć, ale było ciemno i miał na głowie kaptur. – Mam zamiar wychylić małe piwko, zanim przyjedzie kolega i zawiezie nas na parking. Masz książeczkę czekową?

– Ehm... – Maggie zawahała się. – Przyjmują karty?

Facet wzruszył ramionami.

– Wkrótce się dowiemy – odpowiedział.

Miał na imię Grant, a jego kolega Tim. Małe piwko okazało się więcej niż trzema dużymi, uzupełnionymi kawą po irlandzku, którą Maggie sączyła powoli, kołysząc miarowo ramionami w takt muzyki i próbując nie patrzeć na zegarek. Jednocześnie cały czas wykonywała wszystkie konieczne ruchy Noga na nogę, oblizać usta, pobawić się kosmykiem włosów, okręcając go wokół palca. Robić wrażenie fascynującej, jednak nieco tajemniczej. Popatrzeć spod rzęs, jakby facet był najbardziej interesującym, jakiegokolwiek spotkała i jakby mówił najbardziej niezwykle rzeczy, jakie kiedykolwiek słyszała. Wydać usta jak modelki w reklamach rajstop i seksownych biustonoszy Pobawić się mieszadłem. Wpatrywać się w nich, żeby po chwili spuścić nieśmiało oczy. Mogła to robić nawet we śnie. A faceci, oczywiście, nie mieli zielonego pojęcia o tym, że było to działanie z premedytacją. Nigdy niczego nie podejrzewali.

– Hej, Monique, masz ochotę na małą imprezkę, jak już przywieziemy

samochody?

Maggie nawykowo skinęła głową, lekko wzruszając ramionami, i ponownie założyła nogę na nogę. Grant położył jej rękę na kolanie, przesuając ją w stronę uda.

– Jesteś taka delikatna – powiedział. Na chwilę pochyliła się w jego stronę, po czym powoli odsunęła się. Do przodu i w tył.

– Najpierw samochody. Potem zobaczymy – powiedziała, wiedząc dobrze, że jak tylko odbierze samochód, pójdzie prosto do domu. Była zmęczona, chciała po prostu odstawić auto na miejsce, wziąć prysznic i zapaść się w wygodną miękkość łóżka siostry.

Było już po dziesiątej, gdy w końcu wstali i nałożyli kurtki. Grant wyciągnął ramię w jej kierunku. Maggie westchnęła cicho z ulgą i uśmiechnęła się uroczo, pozwalając mu pomóc sobie zejść z barowego stołka i później wejść do ciężarówki Tima. Jechali autostradą, z której zjechali, potem znów autostradą, gdzieś w południowej Filadelfii, myślała Maggie. Wydawało jej się, że widzi rzekę Delaware migoczącą w ciemnościach. Ostatecznie Tim skręcił w długą, wijącą się drogę bez świateł. Maggie poczuła w piersi nieprzyjemne, zimne ukłucie, gdy mężczyźni śmiali się, podając sobie butelkę nad jej głową. To się może źle skończyć, pomyślała. Gdzie właściwie była? Kim byli ci faceci? Jak mogła być taka głupia?

Próbowała wymyślić jakiś plan, gdy Tim ostro szarpnął kierownicą skręcając w prawo. Ciężarówka przesuwała się teraz w podskokach obok pełnego samochodów parkingu otoczonego jasnym ogrodzeniem, robiącym o tej porze upiorne wrażenie.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział. Maggie próbowała coś zobaczyć. Mnóstwo samochodów, w dziesiątkach rzędów, jeden za drugim,

wypalone szczątki i lśniąca najnowsza modele, i tam, zupełnie z przodu, mała srebrna honda Rose. Oraz, daleko z tyłu, niewyraźne zarysy psów strażników – „owczarki niemieckie”, pomyślała Maggie – poruszających się wolno wzdłuż ogrodzenia.

Tim otworzył drzwi, miażdżąc w zębach coś, co brzmiało jak połowa opakowania miętowych dropsów.

– Biuro jest z tej strony – wskazał budę z pustaków, w oknie której widać było światło. – Idziecie?

Maggie spojrzała ponownie. Brama była otwarta. Mogła po prostu podejść do samochodu, wsiąść i odjechać. Ześliznęła się z siedzenia ciężarówki na ziemię.

– Idę po samochód – zapowiedziała.

– Przecież po to cię tu przywieźliśmy – przypomniał Tim.

Maggie przygryzła wargę. Jej prawo jazdy było nieważne od pół roku i miała zamiar to załatwić, ale ciągle zapominała. No, i oczywiście samochód był zarejestrowany na Rose, a nie na nią. Istniała szansa, że nawet jeśli przyjmą jej kartę kredytową, mogą nie pozwolić jej wziąć auta. Musi wymyślić coś innego.

Stawiając stopy na ziemi zachwiała się. Było tak zimno, że bolały ją policzki, tak zimno, że zamarzało jej wnętrze nosa, a każdy centymetr jej ciała pokrywała gęsia skórka. A potem zaczęła iść, jakby szła po rozżarzone węgiel. Nie za wolno i nie za szybko.

– Hej! – zawołał Grant. – Hej!

Bardziej czuła niż widziała, że idzie za nią i dokładnie wiedziała, o co mu chodzi, jak gdyby nagle przed jej oczami ktoś rozwinął kinowy ekran. Najpierw odwieźliby samochody, potem poszli z powrotem do baru, gdzie jeden drink zamieniłby się w trzy, cztery i pięć. Potem powiedzieliby jej, że

nie może prowadzić, więc może poszłaby do nich, chwilę posiedziała, wypła kawę. Mieszkanie cuchnęłoby brudnym praniem, a kuchnia byłaby pełna kartonów po pizzy i nieumytych naczyń w zlewie. Zapytaliby, czy ma ochotę na film. Film okazałby się pornoem pełnym rozebranych dziewczyn, na pewno mieliby jakąś butelkę, a jeden z nich popatrzyłby na nią tępym, szklistym wzrokiem. „Hej, kotku – powiedziałaby szczerząc się tępo i klejąco – Wygodnie ci, kochanie? Chodź tu do mnie”.

Wtedy zaczęła biec.

– Hej! – krzyknął jeszcze raz Grant, faktycznie wkurzony Słyszała za sobą jego sapanie, gdy jej stopy wybijały na zamrożonej ziemi zgrabny tatuaż. Pamiętała taką historyjkę o Atalancie Atalanta, która nie chciała wyjść za mąż i której bogowie pozwolili wziąć udział w wyścigu o złote jabłka Atalanta biegła szybciej od wszystkich mężczyzn i wygrałaby wyścig, gdyby nie oszustwa Ale jej, Maggie, nie oszukają.

A– ta– lan– ta, A– ta– lan– ta, odgłos jej stóp odbijał się echem po parkingu, a oddech wydobywał z ust w postaci srebrzystych obłoczków.

Już prawie dobiegła do samochodu, prawie tam była, była tak blisko, że gdyby wyciągnęła rękę, opuszki jej palców dotknęłyby klamki drzwi od strony kierowcy, gdy Grant złapał ją w pól i podniósł.

– Dokąd się wybierasz – wydyszał jej w ucho; oddech miał kwaśny i wilgotny. – Dokąd się wybierasz w takim pośpiechu?

Jedna ręka ślizgała się w górę jej swetra.

– Hej! – krzyknęła, wymachując nogami, podczas gdy on trzymał ją w pewnej odległości od siebie i śmiał się, słysząc dobiegające z dala wycie psów. Tim biegł w ich kierunku. – Daj spokój, stary, puść ją – powiedział.

– Puszczaj! – wrzasnęła Maggie.

– Jeszcze nie – powiedział Grant, z ręką na jej biuście. – Nie masz

ochoty zabawić się trochę z nami, zanim pojedziesz?

„O, Boże – myślała Maggie – o, nie”. Pamiętała taką noc sprzed lat, dawno temu w szkole średniej. Impreza w czyimś dużym ogrodzie, wypła trochę piwa, potem jakaś trawka, ktoś dał jej kieliszek klejącego brązowego trunku, po czym wszystko stało się niewyraźne i zamazane. Wylądowała na trawniku z chłopakiem, leżeli za jakimś drzewem, on miał rozpięte spodnie, a ona sweter zadarty pod brodę, spojrzała w górę i zobaczyła jeszcze dwóch. Stali tam i patrzyli na nich, z puszkami piwa w rękach. Stali, czekając na swoją kolejkę. W tym właśnie momencie Maggie poczuła, jak zdradliwe mogły być jej atuty, jak łatwo to, co było jej siłą, mogło odwrócić się przeciwko niej, podobnie jak nóż w zlewozmywaku, śliski od mydła, i jak szybko i głęboko to ostrze mogło ją zranić. Słaniając się wstała, dość przekonująco chichocząc.

– Niedobrze mi – wykrztusiła i pobiegła do domu z ręką przyciśniętą do ust. Ukryła się w łazience i została tam do czwartej rano, gdy wszyscy już padli lub poszli do domu.

Ale co ma zrobić teraz, gdy nie ma łazienki, w której można by się schronić, ani imprezy, gdzie można się wtopić w tłum, ani nikogo wokół, kto by ją uratował?

Maggie kopnęła z całej siły i poczuła, że jej obcas trafia w miękki mięsień uda Granta. Z sykiem wciągnął powietrze, a ona uwolniła się z jego uścisku.

– Co, do kurwy?! – krzyknęła, gdy Grant patrzył na nią wściekle, stanowiąc dość ponury widok, a Tim wpatrywał się w ziemię. – Co, do KURWY?!?! – powtórzyła.

– Podpuszczalska – powiedział Grant.

– Dupek! – Maggie nie pozostała dłużna. Ręce trzęsły jej się tak, że

zanim zdołała otworzyć drzwi, kluczyki dwa razy spadły na ziemię.

– Trzeba zapłacić – Tim szedł w jej kierunku powoli, z szeroko rozłożonymi rękami i dłońmi skierowanymi do góry. – Spisali numery... Przyślą ci mandat i każą zapłacić wszystkie możliwe kary...

– Odpieprz się – warknęła Maggie. – Trzymaj się ode mnie z daleka. Moja siostra jest prawnikiem. Pozwie was za napaść.

– Słuchaj – powiedział Tim. – Przepraszam cię. Po prostu za dużo wypił...

– Odpieprz się – powtórzyła Maggie. Przekreśliła kluczyk w stacyjce, włączyła długie światła. Grant zasłonił oczy rękami. Maggie zwiększyła obroty silnika i przez moment pomyślała, jak by to było po prostu wdepnąć gaz i rozpląszczyć go jak wiewiórkę. Zamiast tego jednak wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić ręce na kierownicy, i wyjechała przez bramę.



Gdyby Maggie była zwyczajną współlokatorką, kroplą, która przelewa dzban, mógłby być po prostu niezapłacony rachunek telefoniczny. Ale Maggie nie była zwyczajną współlokatorką, przypomniała sobie Rose. Maggie była jej siostrą. Jednak kiedy po dwóch dniach wróciła do domu z Chicago (lot opóźniony, zginął jej bagaż, lotnisko było przegrzane i pełne bożonarodzeniowych podróżnych) i znalazła na blacie rachunek telefoniczny, była zdumiona sumą trzystu dolarów, na które opiewał. Znaczący wzrost ponad jej normę wynoszącą średnio dolarów czterdzieści. Winowajca: rozmowa za dwieście dwadzieścia siedem dolarów z Nowym Meksykiem.

Przyrzekła sobie, że nie zacznie od razu, gdy tylko Maggie przekroczy próg mieszkania. Pozwoli się jej rozebrać, zdjąć buty, a potem spokojnie wspomni, że przyszedł rachunek za telefon i czy Maggie poznała kogoś w Albuquerque. Tyle że gdy poszła do sypialni schować rzeczy, zobaczyła, że cała jej garderoba wciąż leży na podłodze, a teraz dodatkowo pościel rzucona została na sam szczyt tego Wzgórza Mody. Co oznaczało, że Maggie spała w jej łóżku. I nosiła jej buty, pomyślała Rose. I jadła jej płatki, jeśli jadła płatki.

Rose usiadła na kanapie, gotując się ze złości aż do północy, gdy Maggie weszła spacerowym krokiem, wnosząc zapach barowej podłogi, z czymś wiercącym się w jej torebce.

– Jesteś! – powiedziała Maggie.

– Owszem – odparła surowo Rose. – Podobnie jak rachunek telefoniczny – dodała, gdy Maggie zrzuciła buty z nóg, posyłając je w kąt pokoju i położyła torebkę na kanapie.

– Przyniosłam ci coś! – Maggie była rozpalona i miała rozszerzone źrenice, dodatkowo czuć było od niej whisky. – Właściwie dwie rzeczy – powiedziała, trzymając dwa palce w górze i odpinając zamaszystymi ruchami płaszcz. – Misia– Pysia Dwa! – ogłosiła, gdy mały piesek w kształcie racucha skoczył na podłogę. Miał brązowe, wilgotne oczy i brązową skórzaną obrozę oraz mordkę, która wyglądała, jakby dostał od kogoś patelnię.

Rose patrzyła niepewnie.

– Maggie... co to jest?

– Misia– Pysia Dwa – powtórzyła Maggie, kierując się w stronę kuchni. – Mój prezent dla ciebie.

– Nie mogę tu trzymać psów! – krzyknęła Rose. W międzyczasie piesek zrobił szybką rundkę po mieszkaniu i stał teraz przed jej stolikiem, przypominając matronę niezadowoloną z oferowanego jej pokoju hotelowego.

– Będziesz go musiała zabrać z powrotem!

– Dobra, dobra – Maggie spokojnie wróciła do pokoju. – I tak jest tu tylko z wizytą.

– Skąd?

– Z mojej nowej pracy. Zajmuję się teraz psami w Wytwornej Łapie – spojrzała szyderczo na siostrę. – Jestem zatrudniona. Pracuję od dwóch dni. Zadowolona?

– Musimy porozmawiać o tym rachunku – powiedziała Rose, zapominając o swoim planie pozostania spokojną i rozsądną. – Czy dzwoniłaś do Nowego Meksyku?

Maggie pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się.

Rose wyciągnęła rachunek w stronę siostry. Maggie popatrzyła na niego.

– O, no tak.

– Co: no tak?

– Dzwoniłam, żeby postawili mi tarota. Ale Boże, to było jakieś pół godziny! Nie sądziłam, że będzie tyle kosztować.

– Tarota – powtórzyła Rose.

– To było przed castingiem – wymamrotała Maggie. – Musiałam wiedzieć, czy to dobry dzień na szukanie nowej pracy.

– Nie do wiary – Rose zwróciła te słowa w stronę sufitu.

– Rose, czy musimy rozmawiać o tym teraz? – zapytała Maggie. – Naprawdę jestem zmęczona. Miałam ciężką noc.

– Wyobrażam sobie – ironizowała Rose. – Po całych dwóch dniach pracy musisz po prostu padać z nóg.

– Mów sobie, co chcesz – obruszyła się Maggie. – Przecież zapłacę ci za ten telefon.

Piesek jeszcze raz na nią spojrzał, potem wydał z siebie lekceważące prychnięcie. Następnie wdrapał się na kanapę, gdzie zaczął łapą skrobać i drapać poduszkę.

– Przestań! – krzyknęła Rose. Pies zignorował ją, szturchając i drapiąc poduszkę, aż ułożyła się tak, jak chciał, następnie zwinął się w kłębek na niej i w tej samej chwili zasnął.

– Maggie! – zawołała Rose. Żadnej odpowiedzi. Drzwi łazienki pozostały zamknięte, słyszała odkręcony prysznic i chrapanie psa. – A druga niespodzianka? – zapytała. Brak odpowiedzi. Stała pod drzwiami własnej łazienki z rachunkiem zaciśniętym z dłoni, potem odwróciła się z niesmakiem. Jutro rano, obiecała sobie.

Ale następny ranek zaczął się, co zresztą od pewnego czasu było stałym punktem programu, od telefonu inkasenta.

– Halo, czy mogę prosić panią Maggie Feller? – zazwyczaj tak zaczynało. – Dzień dobry, mówi Lisa ze sklepu Lord and Taylor. – Albo Karen z Macy's lub Elaine z Victoria's Secret. Dziś to był Bill z Gapa. Wieczorem odsłuchiwała dziesiątki wiadomości: Strawbridge, Bloomingdale's, Citibank, American Express.

– Maggie! – zawołała Rose. Siostra leżała zwinięta na sofie, a pies na poduszce na podłodze – poduszce teraz, jak zauważyła Rose, ozdobionej śliną.

– Telefon!

Maggie nie zmieniła pozycji ani nawet nie otworzyła oczu – po prostu wyciągnęła rękę w kierunku telefonu. Rose wcisnęła jej słuchawkę w dłoń i poszła do łazienki, zamykając drzwi przy akompaniamencie poirytowanego głosu Maggie, przechodzącego w coraz wyższe tony, mówiącego: – Tak! – oraz – Nie! – i – Już wysłałam czek!

Gdy wyszła spod prysznic, Maggie wciąż jeszcze rozmawiała, a pies gryzł, Rose była prawie pewna, jej czerwone kowbojskie buty.

– Jezu! – syknęła i trzasnęła drzwiami możliwie najgłośniej.

– Ojej – powiedziała wtedy i wyciągnęła rękę, myśląc... myśląc co? że pobiera to biedne, brudne stworzenie i pobiegnie do weterynarza? Pies popatrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem odskoczył dalej, ze straszną, żalną, zranioną godnością.

Maggie tak właśnie wyglądała, pomyślała Rose. Również cierpi, ale nie można tego powiedzieć głośno ani zaproponować pomocy. Nie można powiedzieć niczego, co wskazywałoby, że wie się, że Maggie czuje się zraniona lub załamana, albo że są rzeczy, z którymi ona sobie nie radzi,

których nie potrafi sama załatwić.

Rose wycofała się cicho z łazienki, zamykając za sobą drzwi. „Maggie”, myślała, czując w sercu znajomą mieszankę litości i złości. Wróciła do windy, przeszła przez hol na zewnątrz, gdzie wciąż panował niepodzielnie rześki, słoneczny poranek, i złapała na rogu taksówkę. Samochód, pomyślała. Rachunek. Inkasent. Pies. Ubrania na podłodze, kosmetyki, gdzie się nie obejrzysz. Koperty z nadrukiem „Wezwanie do zapłaty” tłoczące się w skrzynce na listy. Rose zamknęła oczy. To musi się skończyć! Ale jak?

TTLR

Ella miała w butach piasek. Zdjęła je ostrożnie i wytarła stopy o podłogę samochodu, starając się pozbyć wszystkich ziarenek.

Lewis popatrzył na nią, zatrzymując się na światłach.

– Jak tam? W porządku? – zapytał.

– Tak – Ella uśmiechnęła się na dowód, że mówi prawdę. Byli na późnej kolacji (późnej, bo „aż” po siódmej), a potem poszli na koncert – i to nie do lokalu w Golden Acres, tylko do najprawdziwszego klubu w Miami. Noc była parna, a powietrze pachniało słodyczą, gdy Lewis wolno prowadził swój wielki samochód w drodze powrotnej. Teraz, gdy przejeżdżał przez bramę Golden Acres, Ella zastanawiała się, co będzie dalej. Gdyby była młodsza, prawdopodobnie policzyłaby randki (razem z dzisiejszą wychodziło sześć), ustaliłaby, jak długo się spotykają i doszła do wniosku, że najprawdopodobniej Lewis CZEGOŚ od niej chce. Sześćdziesiąt lat temu zbierałaby siły na półgodzinne mocowanie i szarpaninę do czasu, gdy godzina policyjna przerwałaby całą zabawę. Ale teraz, w jej wieku? Po tym wszystkim, co przeszła? Była przekonana, że jej serce umarło już dawno temu i nie jest zdolne do odczuwania czegokolwiek, jak uschnięty badył, który już nie zakwitnie. Tak przynajmniej uważała przez te wszystkie lata od śmierci Caroline. Ale teraz...

Lewis zatrzymał się na parkingu przed swoim domem.

– Może wejdiesz na górę? Napijesz się kawy?

– I nie zasnę przez całą noc – zachichotała jak jakaś frywolna uczennica. Wjechali windą w zupełnej ciszy. Ella pomyślała, że być może niewłaściwie ocenia sytuację. Może Lewis chce tylko poczęstować ją herbatą, a potem poddać torturom oglądania zdjęć swoich wnuków. Albo, co

bardziej prawdopodobne, szukał po prostu przyjaznej duszy, kogoś, kto wysłucha cierpliwie opowieści o jego zmarłej żonie. Seks nie wchodził w grę. Najprawdopodobniej był na lekach, jak wszyscy jej rówieśnicy, których znała. A jeśli zażywał viagrę? Ella przygryzła wargę. Chyba zwariowała. Miała siedemdziesiąt lat. Komu spieszyłoby się, żeby zaciągnąć ją do łóżka, całą zwiotczalą i pomarszczoną, z tymi starczymi odbarwieniami na całym ciele?

Lewis przyglądał się jej z zaciekawieniem, gdy otwierał drzwi.

– Wyglądasz, jakbyś była o miliony kilometrów stąd – powiedział.

– Och, ja tylko... – zaczęła, wchodząc za nim do mieszkania, niepewna tego, co właściwie chciała powiedzieć.

Było większe niż jej, od razu to zauważyła, ponadto okna wychodziły na ocean, podczas gdy ona ze swoich widziała tylko parking i autostradę.

– Usiądź – poprosił. Ella usadowiła się na kanapie i zadrżała.

Sama nie wiedziała, czemu: ze strachu czy z podniecenia?

Lewis nie zapalił światła.

Wrócił z kuchni i usiadł obok niej, wciskając jej w ręce kubek gorącej herbaty. Potem znów wstał, podniósł żaluzje i jej oczom ukazała się tafla oceanu lśniąca w świetle księżyca. Widziała, jak fale uderzają o jasny piasek plaży. Okna były bardzo duże, przez co czuła, jakby woda była bardzo blisko, to było jak...

– Jakbyśmy byli na statku! – zawołała z wrażenia.

Chociaż minęły lata, odkąd ostatni raz płynęła statkiem, rozpoznała to samo uczucie. Czuła nieomal lekkie kołysanie fal, zabierających ją w morze, daleko od tego wszystkiego, co znała, daleko od niej samej. I kiedy Lewis wziął ją za rękę, wydało jej się to zupełnie naturalne, jak parę innych rzeczy, które pamiętała. Tak naturalne jak uderzenia wody, którą fale niosą na

piaszczysty brzeg, a później zabierają z powrotem do morza.

## 22

– Musi się wynieść z mojego mieszkania – powiedziała Rose do Amy.

Siedziały w rogu ulubionej knajpki Amy popijając mrożoną herbatę i czekając na lunch. Rose pojechała do pracy taksówką i większą część przedpołudnia spędziła na rozmowie telefonicznej z Zarządem Parkingów w Filadelfii, próbując się dowiedzieć, co stało się z jej samochodem i ile będzie ją kosztował ostatni wyczyn Maggie. Potem spojrzała na zegarek i jęknęła, bo zdała sobie sprawę, że nic jeszcze nie zrobiła. Zadzwoiła do domu. Maggie nie odebrała. Rose zostawiła lakoniczną wiadomość – „Maggie, oddzwoń do mnie natychmiast”. Do pierwszej nie było odzewu i Rose umówiła się z Amy na sałatkę oraz ustalenie strategii.

– Pamiętasz, jak mieszkała wtedy u mnie przez trzy tygodnie? Pamiętasz, jakie to było dla mnie piekło? Pamiętasz, jak przyrzekałam, że nigdy więcej?

Amy spojrzała na przyjaciółkę ze współczuciem.

– Pamiętam...

Rose skrzywiła się. Ona też pamiętała, jak pewnego razu Amy przysłała do niej na film i następnego dnia odkryła, że z jej torebki zniknęły dwie szminki i czterdzieści dolarów.

– Słuchaj – odezwała się Amy pocieszająco – jesteś dobrą siostrą. I byłaś bardzo cierpliwa. Znalazła chociaż pracę?

– Mówi, że tak.



– Mówi – powtórzyła Amy. – A daje ci jakieś pieniądze na czynsz? Na jedzenie? Na cokolwiek?

Rose pokręciła przecząco głową. Wysoka, czarnoskóra, śliczna kelnerka spokojnym krokiem podeszła do nich z pełnymi talerzami, położyła je na stole i, kołysząc biodrami, oddaliła się, zapomniawszy napelnić wodą szklankę Rose.

– Czemu wciąż tu przychodzimy? – zapytała Rose, biorąc do ręki widelec. – Obsługa jest okropna.

– Wolę wzbogacać swoich, a nie obcych. – odparła Amy.

– Amy – łagodnie zaprotestowała Rose – wcale nie należysz do tej społeczności.

Zjadła kilka kęsów swojej sałatki, a potem odsunęła talerz.

– Co mam zrobić z Maggie?

– Wyrzucić ją na bruk – wymamrotała Amy z buzią pełną szpinaku. – Musi się wynieść.

– Ale co ona ze sobą zrobi?

– To nie twój problem. Słuchaj, wiem, że to brzmi okrutnie, ale Maggie nie umrze z głodu na ulicy. A ty nie jesteś za nią odpowiedzialna. Jesteś jej siostrą, nie matką.

Rose przygryzła wargę. Amy westchnęła.

– Przepraszam – powiedziała. – Przykro mi, że Maggie się nie udało. Przykro mi, że Sydelle jest koszmarna. Naprawdę, bardzo ci współczuję z powodu twojej mamy. Ale, Rose, to, co próbujesz robić... i tak nic nie da. Nie możesz stale jej matkować.

– Wiem – odparła Rose markotnym tonem. – Po prostu nie wiem, co robić. To znaczy, wiem, co powinnam zrobić, nie wiem tylko, jak.

– Powtórz tylko za mną: „Maggie, musisz się wyprowadzić” –

powiedziała Amy. – Poważnie. Pójdzie do ojca i Sydelle, a jeśli to nie przekona jej, że musi się poukładać i znaleźć jakiś własny kąt, gdy tylko nazbiera trochę pieniędzy, ty nic więcej nie poradzisz. Możesz jej dać trochę kasy – i zauważ, że mówię „dać”, a nie „pożyczyć”. Pomogę ci, jeśli chcesz.

– Dzięki – Rose wstała od stolika. – Czas na mnie.

– A zresztą, ty sama, tak jak Maggie, musisz zająć się sobą i swoim życiem.

Rose skinęła żałośnie głową.

– Zadzwoń, jak będziesz czegoś potrzebowała. Daj znać, co się dzieje.

Rose obiecała, że to zrobi i poszła wprost do biura. Sprawdziła wiadomości. Nic od Maggie, ale było coś od Sydelle. „Rose, zadzwoń do nas. Jak najszybciej.”

Może to tam właśnie poszła Maggie. Rose wzięła głęboki oddech i wybrała numer.

– Mówi Rose – przedstawiła się.

– Musisz zrobić coś ze swoją siostrą! Czy wiesz, że inkasenci dzwonią do nas o ósmej rano? – Sydelle przeszła od razu do oznajmienia jej o ostatnim, bezczelnym nadużyciu Maggie.

– Do mnie, niestety, także – westchnęła Rose.

– Mogłabyś coś z tym zrobić! – zażądała Sydelle. – Jesteś prawnikiem, powiedz im, że nie mogą dzwonić do nas. Kochanie, twój ojciec źle to znosi...

Rose chciała powiedzieć, że ona też źle to znosi – że nikt, prócz samej Maggie, nigdy dobrze nie znosił jej poczynań – ale zostawiła to dla siebie i obiecała, że zrobi co się da. Odłożyła słuchawkę i wykręciła jeszcze raz swój numer. Bez odpowiedzi. Teraz zaczęła naprawdę się martwić. Może

Maggie była w pracy Jasne, pomyślała kwaśno. I może jurorzy już wkrótce wpadną, aby założyć jej koronę Miss Ameryki. Rose zalogowała się na swoim komputerze i sprawdziła pocztę. Było tu tylko pytanie jednego ze współników, oszczędne w słowach, kiedy upora się ze swoją sprawą, oraz cała seria informacji od Simona Steina zatytułowana „Przedsezonowe spotkania softballowe”, które Rose wymazała bez czytania.

Wstała i zaczęła krążyć po pomieszczeniu. Musi porozmawiać z Jimem, postanowiła. Musi spotkać się z nim zaraz. Musi się z nim zobaczyć – czy on tego chce, czy nie. Spojrzała w dół i skonstatowała, że ma na nogach dwa zupełnie różne, czarne mokasyny – naturalna konsekwencja bałaganiarstwa jej siostry „Maggie!” – pomyślała z wściekłością, po czym, prawie biegnąc korytarzem, jak bomba przemknęła obok sekretarki Jima („Hej! Ma rozmowę, Rose”) i wpadła do jego gabinetu.

– Rose? Co się dzieje? – zapytał, odkładając słuchawkę i zamykając za nią drzwi.

Rose wpatrywała się w swoje buty, każdy z innej pary. Dzieje się to, że jej mieszkanie jest w opłakanym stanie, jej życie się rozpada, jest winna Zarządowi Parkingów dwieście dolarów, w jej domu nielegalnie mieszka obcy pies i, ewidentnie, nie potrafi się już nawet normalnie ubrać. Chciała go poprosić, żeby ją przytulił, pogłaskał po twarzy i powiedział, że dopiero zaczynają i może był to dość trudny start ze względu na wszechobecność Maggie, ale już wkrótce znów będą razem.

– Hej – zamiast tego Jim mruknął lakonicznie i poprowadził ją do skórzanego fotela stojącego przed jego biurkiem; tego nachylonego pod odpowiednim kątem fotela Eamesa, przeznaczonego głównie dla klientów, którzy zapadali się w nim i w ten sposób Jim zawsze był wyższy niż oni, choćby nie wiem co.

Rose nie usiadła, za to wzięła głęboki oddech. Streszczaj się, nakazała sobie.

– Tęsknię za tobą – powiedziała głośno.

Spojrzał na nią smutnym wzrokiem.

– Przepraszam cię, Rose, ale ostatnio mam tu urwanie głowy

Rose czuła się, jakby tkwiła w wagoniku kolejki górskiej spadającej właśnie w dół po stromym stoku – podstawa świata umykała jej spod nóg w zawrotnym tempie. Czy on nie dostrzega jej cierpienia? Przytulił ją, ale trzymał na dystans.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytał cicho. – Co mogę zrobić?

– Przyjdź wieczorem – przycisnęła usta do jego szyi, zdając sobie jasno sprawę, że robi coś, czego kobieta nigdy, pod żadnym pozorem, robić nie powinna, a mianowicie żebrze. – Muszę z tobą porozmawiać. Proszę cię!

– To może być dość późno – odparł. – Dziesiąta albo coś koło tego.

– Może być późno, poczekam.

Poczekam całą wieczność, pomyślała i wyszła z biura. Sekretarka obrzuciła ją złym spojrzeniem.

– Nie możesz tak po prostu sobie wchodzić – burknęła. – Musisz zostać zaanonsowana.

– Przepraszam – powiedziała Rose, czując, że cały dzień nie robi nic innego. – Naprawdę, bardzo przepraszam.

Telefon Rose odezwał się jeszcze raz. Maggie zignorowała go. Zostawiła ręcznik na podłodze w salonie i weszła pod prysznic. Był to jej trzeci prysznic tego dnia. Maggie wzięła ich sporo od czasu pamiętnego i bardzo osobistego spotkania z dynamicznym duetem Grant & Tim, spędzając dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści minut na szorowaniu się naturalną gąbką i myciu włosów tak energicznie, aż skrzypiały. I wciąż czuła się brudna. Brudna i wściekła. Całe tygodnie na kanapie Rose i czym mogła się pochwalić? Ani pieniędzy. Ani faceta. Ani nawet zdjęcia portretowego, które musi mieć dla agenta. Bez niego nie ma mowy o angażu. Nic, nic, nic, wielkie nic. Jedynie jakieś dupki obłapujące ją na parkingach, jakby była nikim. Jakby rzeczywiście nie istniała.

Słyszała natarczywy głos siostry nagrany na sekretarkę.

– Maggie, jesteś tam? Odbierz, jeśli tam jesteś. Naprawdę muszę z tobą porozmawiać. Maggie...

Owinęła się ręcznikiem, usunęła dłonią parę z lustra i, nie zwracając uwagi na głos Rose, przyjrzała się sobie. Broń Numer Jeden to, jak zawsze, jej ciało. Było lepsze niż pistolet, ostrzejsze niż nóż. Znajdzie tych dwóch. Zapoluje na nich, poczeka, w końcu gdzieś na pewno się na nich natknie, w barze lub w autobusie. Gdzieś. Podejdzie, głowa wysoko, wyprostowana, uśmiechnięta. Uśmiech będzie najtrudniejszy, ale była pewna, że sobie poradzi. W końcu jest aktorką. Gwiazdą. Uśmiechnie się, położy dłoń między łopatkami Tima i zapyta, jak się miewa. Napije się drinka, zostawiając na krawędzi szklanki szminkowe półpocałunki, dotknie kolaniem jego kolana. Pochyli się i wyszepta, że świetnie się wtedy bawiła, że przeprasza, że uciekła i czy mogliby spróbować jeszcze raz? Mają dziś czas?

Wezmą ją do siebie. A wtedy wyciągnie Broń Numer Dwa. Może nóż. Pistolet, jeśli uda jej się jakiś zdobyć. Coś, co spowoduje stałe uszkodzenie ciała, coś, co pokaże im, że nie jest dziewczyną, którą można ot tak sobie przelecieć.

Znów telefon.

– Maggie, wiem, że tam jesteś. Czy mogłabyś odebrać? Proszę cię. Właśnie dowiedziałam się, że podobno samochód został zabrany z parkingu policyjnego i trzeba zapłacić kolejną grzywnę...

Maggie zignorowała telefon i uruchomiła wieżę. Odezwał się Axel Rose zawodzący *Welcome to the Jungle*: – *Do you know where you are?* – skrzeczał. Maggie nałożyła na nogi najnowszy nabytek Rose, parę wysokich do kolan botków z czarnej skóry, które otuliły jej łydki. Dwieście sześćdziesiąt dolarów, a jej siostra mogła je kupić bez zastanowienia, bo Rose zawsze wszystko się udawało. No, pewnie. Rose nie potknęłaby się przecież o głupi teleprompter, nigdy nie zaparkowałaby po niewłaściwej stronie ulicy, żaden cham nie obmacywałby jej na parkingach i Rose zdecydowanie nigdy nie musiałaby wziąć pracy, która polegała na ściskaniu psich tyłków, tylko po to, by związać koniec z końcem. Rose miała wszystko, a Maggie nic. Zupełnie nic, poza tą małą psiną, którą ktoś porzucił w Wytwornej Łapie, a którą Maggie uratowała i wzięła do domu. Naga, z wyjątkiem butów, Maggie przemierzała mieszkanie tam i z powrotem, z sypialni do salonu, do kuchni i w drugą stronę, wsłuchując się w skrzypiący odgłos obcasów na twardej drewnianej podłodze, wciągając w nozdrza zapach skóry, mydła i swojego potu i czując wzbierający gniew.

Widziała nóż. Widziała siebie w lustrze, gdy maszerowała przez łazienkę, zaróżowiona, wilgotna i śliczna – sprytne przebranie, kwiat o kremowych płatkach na długonogiej łydydze. Nikomu, kto na nią patrzy,

nawet przez myśl by nie przeszło, kim jest naprawdę.

Tym razem odezwał się dzwonek u drzwi. Pies zaskomlał.

– Nie denerwuj się – powiedziała Maggie i naciągnęła na siebie T-shirt. Przez chwilę pomyślała o majtkach, ale ostatecznie uznała, że nie ma sensu zawracać sobie głowy. Była ósma – to jeszcze nie czas Rose i jej arcyciekawych wykładów. Prawdopodobnie to ten idiota sąsiad chce, żeby ściszyła muzykę. Wyłączyła światło i otworzyła drzwi. Oczy jej płonęły i była gotowa dać komuś niezłą nauczkę. Za drzwiami stał kochaś Rose.

– Rose? – zapytał, starając się dojrzeć ją w ciemności.

Maggie roześmiała się – krótki chichot na początek, ale śmiech wzbierał jej w gardle jak trucizna, którą miała zwymiotować. Nie, nie była Rose. Nigdy nią nie będzie. Brakowało jej różnorodnych zdolności Rose i jej łatwych sukcesów. Nigdy nie będzie udzielać rad, poszturchiwać, mobilizować, zachęcać, utyskiwać, rugać, ustalać zasad ani obdarowywać nikogo swoim tandetnym współczuciem przeplatany zniecierpliwieniem. Rose, też coś! Odrzuciła głowę i pozwoliła, by śmiech wydostał się z gardła.

– Bynajmniej – powiedziała w końcu.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, skupiając uwagę na butach, widocznej części jej uda i piersiach.

– Czy Rose jest w domu?

Maggie potrząsnęła przecząco głową i posłała mu leniwy, zalotny uśmiech. W jej głowie rodził się plan. Zemsta, pomyślała, czując krew tętniącą w skroniach. Zemsta.

– Wejdiesz i poczekaasz? – zapytała. Jim patrzył na nią, jego oczy ślizgały się po jej ciele i Maggie praktycznie słyszała jego myśli. Była Rose, tyle że w poprawionej, wzmocnionej, udoskonalonej komputerowo wersji; Rose, ale tysiąc razy lepsza.

Pokręcił głową. Maggie bezczelnie oparła się o framugę drzwi.

– Niech zgadnę – powiedziała głębokim głosem, w którym słycać było drwinę. – Masz dość mielonego i przyszła ci ochota na stek z polędwicy?

Ponownie pokręcił głową, wciąż gapiąc się na nią.

– A może – kontynuowała Maggie – chcesz nas obie? O to ci chodzi? Siostrzana kanapka?

Patrzył na nią starając się przybrać oburzony wyraz twarzy, ale w jego oczach pojawiło się przez chwilę coś, co upewniło ją, jak bardzo spodobał mu się ten pomysł.

– No, cóż, będziesz musiał poczekać – prowokowała dalej Maggie. – Na razie jestem tylko sama jedna.

Pochyliła się, złapała brzeg T- shirtu i zdjęła go przez głowę, wyginając ciało tak, że jej piersi prawie go dotknęły. Jęknął. Zrobiła niewielki krok w przód, zmniejszając odległość między nimi. Jego ręce znalazły się na jej piersiach, a ona ssała jego szyję gorącymi, namiętymi ustami.

– Nie – wyszeptał, chociaż jego ramiona właśnie oplatały ją mocnym uściskiem.

– Przestań – jęknęła Maggie i owinęła jedną nogę wokół jego pośladków, przywierając do niego całym ciałem.

– Przestań?

Teraz podniosła drugą nogę tak, że zawisła opleciona na nim jak wąż, a on jęknął znowu, podnosząc ją i wnosząc do środka.

– Przestań powtarzać: nie...

Gdy znalazła się wreszcie w holu swojego wieżowca, dochodziła dziewiąta, a w windzie panował tłok. Rose wbiła się w ostatni skrawek



wolnej przestrzeni i próbowała nie przejmować się duszącym zapachem perfum kobiety stojącej obok.

– Przysięgam, że albo zwariowałam, albo ktoś trzyma w budynku psa – kobieta wygłosiła w przestrzeń.

Rose przyglądała się swoim stopom.

– Nie wiem, jak można do tego stopnia nie liczyć się z innymi – ciągnęła kobieta. – Niektórzy mieszkańcy cierpią na okropne alergie.

Rose rozpaczliwie spojrzała na wyświetlacz. Trzecie piętro. Zostało jeszcze trzynaście.

– Ludzie są niemożliwi – mówiła dalej kobieta. – Po prostu nic ich nie obchodzi! Znają zasady, ale uważają, że są przeznaczone dla innych, ich samych natomiast nie dotyczą. Bo przecież oni są inni, szczególnie i wyjątkowi.

W końcu przesiąknięta perfumami dama wysiadła z windy, a Rose dotarła na swoje piętro. Idąc korytarzem, miała nadzieję, że Maggie będzie w domu, więc zaczęła powtarzać swoją przemowę. „Maggie, musimy porozmawiać. Pies musi stąd zniknąć. Koniec z telefonami. Musisz oddać mi moje mieszkanie. Musisz oddać mi moje buty. Musisz oddać mi moje życie”.

Przekręciła klucz, otworzyła drzwi, weszła i znalazła się w całkowitej ciemności. Słyszała głosy, chichot i skowyt psiaka.

– Maggie? – zawołała. Na sofie leżał porzucony krawat. O, świetnie, pomyślała ponuro. Teraz sprowadza jakichś fagasów do mojego domu. I robi z nimi nie wiadomo co w moim łóżku.

– Maggie! – krzyknęła i weszła do sypialni. Na łóżku leżała jej siostra, zupełnie naga, jeśli nie liczyć jej własnych nowych butów od Via Spiga, a na niej nagi... Jim Danvers.

– O, nie... – wyjąkała Rose. Stała, patrząc i starając się zrozumieć to, co widziała. – Nie... – powtórzyła.

Maggie wykręciła się spod Jima i przeciągnęła leniwie, pozwalając swojej siostrze dokładnie przyjrzeć się jej szczupłym plecóm, idealnym, zgrabnym pośladkom i długim, szczupłym nogóm wyłaniającym się z czarnych, skórzanych botków. Potem szybkim ruchem podniosła z podłogi koszulkę Jima, włożyła ją przez głowę i dumnie wymaszerowała do przedpokoju, jakby była na wybiegu, a wokół siedziała publiczność, tysiące ludzi, z fleszami i notatnikami, czekając tylko na nią. Jim rzucił Rose rozpaczliwie zawstydzone spojrzenie i podciągnął koc.

Rose zakryła usta dłonią, odwróciła się i wybiegła do łazienki, gdzie zwymiotowała do umywalki. Odkręciła wodę i poczekała, aż pozostałości jej lunchu znikną w odpływie. Potem obmyła twarz, zaczesała włosy do tyłu trzęsącymi się rękami i wróciła do sypialni. Jim miał na sobie bokserki i walczył z resztą garderoby. Rose zauważyła błysk jego aparatu dentystycznego na nocnym stoliku.

– Wynoś się – wydusiła.

– Rose – wyciągnął do niej rękę.

– Wynoś się i zabieraj ją ze sobą. Nie chcę żadnego z was już nigdy więcej widzieć!

– Rose – powtórzył jej imię błagalnym tonem.

– Wynoś się! Wynoś się, i to już!!!

Słyszała swój głos, przechodzący w pisk. Szukała czegoś, żeby w niego rzucić – lampy, świece, książki. Jej dłoń owinęła się wokół buteleczki z sandałowym olejkiem do masażu. Otwarty. Bez nakrętki. Niewątpliwie dopiero co używany, kupiony na kartę kredytową Maggie, kolejny rachunek, którego siostrzyczka nigdy nie zapłaci. Rzuciła jak

najmocniej, pragnąc, żeby to było szkło, żeby pękło i skaleczyło go. Jednak butelka zupełnie nieszkodliwie odbiła się od jego ramienia i potoczyła po podłodze, a krople olejku skapywały teraz na wykładzinę pod łóżkiem.

– Przepraszam – wymamrotał Jim, nie patrząc jej w oczy

– PRZE– PRA– SZAAM – ironicznie skandowała Rose. – Och, a więc przepraszasz? I to załatwia sprawę, tak? – Patrzyła na niego, cała roztrzęsiona. – Jak mogłeś? Jak mogłeś zrobić mi coś takiego? Przebiegła przez salon, gdzie Maggie, siedząc na kanapie, przełączała pilotem kanały, i poszła do kuchni. Wyjęła worek na śmieci i zaczęła wypełniać go wszystkim, co należało do któregoś z nich. Złapała zapalniczkę Maggie i papierosy z nocnego stolika. Wrzuciła je do środka. Podniosła teczkę Jima i z całych sił cisnęła nią o ścianę, a do jej ucha dotarł satysfakcjonujący dźwięk pękających lub łamiących się wewnątrz przedmiotów. Poszła do łazienki i pozbierała pończochy i biustonosze Maggie, skrawki czarnej i kremowej sztucznej satyny wiszące w rzędzie na szynie od prysznicza i wepchnęła je również do worka na śmieci. W sypialni Jim nakładał spodnie. Rose nie zwracała na niego uwagi, łapiąc poradnik

*Pięćdziesiąt wspaniałych podań o pracę* należący do Maggie. Jej lakier do paznokci, zmywacz do lakieru, tubki i słoiczki, pudełka różu, podkłady, tusz do rzęs, piankę do włosów, jej miniaturowe bluzki, obcisłe dzinsy i masywne martensy na grubych podszwach.

– Wynocha, wynocha, wynocha – mamrotała pod nosem, ciągnąc za sobą worek.

– Mówisz do siebie, Rożi Zożi? – ironizowała Maggie. Słowa były lodowate, ale jej głos drżał. – Nie powinnaś tego robić. Wyglądasz jak wariatka.

Rose podniosła tenisówkę i rzuciła nią w głowę siostry. Maggie zrobiła

unik. But odbił się od ściany.

– Wynoście się z mojego domu. Nie jesteście tu mile widziani.

Maggie gwizdnęła szyderczo.

– Niemile widziani? Ależ to okropne!

Przeszła do łazienki. Rose, ciężko oddychając i pocąc się, pociągnęła worek do sypialni. Jim już się ubrał, ale wciąż miał gołe stopy.

– Przypuszczam, że przeprosiny niewiele tu pomogą. – Zbolały wyraz jego twarzy ustąpił czystemu zażenowaniu.

– Zostaw je dla kogoś, komu na nich zależy – warknęła Rose.

– I tak chcę to zrobić – odchrząknął. – Przepraszam cię, Rose. Zasługujesz na coś lepszego.

– Dupek – powiedziała drewnianym głosem, który ją samą zaskoczył i przestraszył, i przypomniał jej kogoś, kogo знаła bardzo, bardzo dawno temu. Wydało się jej, że to wszystko dzieje się gdzieś daleko i komuś innemu. – Z moją siostrą – dodała. – Z moją własną siostrą...

– Przepraszam – powtórzył jeszcze raz Jim. Maggie, która stała teraz w przedpokoju z rękami na biodrach, ubrana w obcisłe dzinsy i bluzkę na ramiączkach, nie odezwała się słowem.

– I wiesz, co jest najbardziej żałosne w tej całej historii? Mogłam cię kochać. A Maggie nie zapamięta nawet, jak masz na imię – powiedziała do Jima. Czują, jak słowa, te zabronione słowa, słowa, których nigdy przedtem nie wymówiła, podchodzą jej go gardła. Pomyślała, że może powinna je powstrzymać, ale zaraz potem pomyślała: „Dlaczego? Czy oni próbowali się powstrzymać?” – Wiesz, Maggie jest prześliczna, ale niezbyt bystra – odwróciła się, zaczesując włosy za uszy. – Gdybym się zakładała, Jim, zaryzykowałabym twierdzenie, że nawet teraz nie potrafiłaby przeliterować twojego imienia. Trzy litery – wyrzuciła w górę trzy palce. – I nic z tego.

Chcesz ją zapytać? Hmm? Hej, Maggie, masz ochotę spróbować?

Słyszała, jak za jej plecami Maggie z trudem łapie oddech.

– Jesteś ostatnim dupkiem – ciągnęła, odwracając się z powrotem do Jima i przygważdżając go wzrokiem. – A ty – zwróciła się do siostry. Twarz Maggie była blada jak ściana, a jej oczy wielkie jak dwa spodki. – Zawsze wiedziałam, że nie masz mózgu. Teraz wiem, że nie masz też serca.

– Gruba świnia – wymamrotała Maggie.

Rose roześmiała się. Upuściła worek na podłogę i roześmiała się. Odchyliła się do tyłu na piętach i śmiała się, aż z kącików oczu trysnęły łzy.

– Ona jest nienormalna – powiedziała głośno Maggie.

– Gruba... Świnia... – wykrztusiła Rose. – Mój Boże! Ty – wskazała na Jima – jesteś zdrajcą, a ty.. – patrząc na Maggie szukała odpowiedniego słowa – jesteś moją siostrą – zakończyła. – Moją siostrą. I najgorsza rzecz, jaką potrafisz o mnie powiedzieć, to „gruba świnia”?

Podniosła worek, zakręciła nim w powietrzu, zrobiła na górze węzeł i pchnęła go mocno w kierunku drzwi.

– Wynoście się – wycedziła. – Nie chcę was więcej widzieć, nigdy!

Większą część nocy Rose spędziła na czworakach, szorując i starając się usunąć każdy, najmniejszy ślad obecności Maggie i Jima w jej mieszkaniu. Zerwała z łóżka prześcieradła i poszewki i zaniosiła je do pralni, gdzie potraktowane zostały podwójną porcją żelu do prania. Gorącą wodą z dodatkiem Domestosa wyszorowała posadzkę w kuchni i w łazience. Wytarła drewniane podłogi w przedpokoju, salonie i w sypialni. Wanę wyszorowała lizolem, kafelki pod prysznicem antybakteryjnym środkiem przeciwko stęchliźnie. Suczka przez chwilę ją obserwowała, chodząc za nią z pokoju do pokoju, jakby Rose była sprzątaczką, a ona nieufną matroną, potem ziewnęła i postanowiła dokończyć na sofie swoją drzemkę.

O czwartej nad ranem mózg Rose wciąż wił się i kręcił niespokojnie, a jedyną rzeczą, którą widziała wyraźnie, gdy zamknęła oczy, była jej siostra, w jej – Rose – własnych butach, kołysząca swym ciałem miarowo w górę i w dół nad Jimem, który leżał w łóżku z błogim wyrazem twarzy i szklistym wzrokiem. Nałożyła czystą koszulę nocną, weszła do łóżka i dość gwałtownym ruchem naciągnęła kołdrę pod samą brodę. Potem zamknęła oczy, ciężko oddychając. Pomyślała, że udało jej się zmęczyć, więc może uda jej się również zasnąć. Jednak gdy tylko zamknęła oczy, od razu otoczyły ją wspomnienia, o których wiedziała, że ukrywały się w jej podświadomości, czekając na odpowiedni moment. Wspomnienie najgorszej nocy w jej życiu, w którym główną rolę grała Maggie.

Lekcje kończyły się wcześniej, nauczyciele mieli jakieś szkolenie, więc tego majowego dnia już koło południa były wolne. Rose zabrała książki ze swojej szafki i spotkała się z Maggie przed klasą pierwszaków, sprawdzając, czy siostra ma swój plecak. Miała. Miała również w ręce znajomo wyglądającą różową kartkę papieru.

– Znowu? – Rose wyciągnęła rękę po wiadomość od wychowawczynie Maggie. Czytała ją, idąc za Maggie w kierunku ścieżki za szkołą, która prowadziła do domu.

– Maggie, nie możesz gryźć ludzi – powiedziała Rose.

– To ona zaczęła! – zawołała jej siostra obrażonym tonem.

– To bez znaczenia – upomniała ją Rose. – Pamiętasz, co powiedziała mama? Musisz nauczyć się używać słów.

Maggie gwałtownie wyrwała do przodu. Rose dogoniła siostrę dysząc nieznacznie pod ciężarem swojego plecaka.

– Była krew? – zapytała.

Maggie pokiwała twierdząco głową.

– Mogłam jej go odgryźć – pochwaliła się – gdyby pani Budrick nie zobaczyła.

– Po co odgryzać komuś nos?

Maggie jeszcze bardziej zacisnęła usta.

– Zdenerwowała mnie.

Rose pokręciła głową.

– Maggie, Maggie, Maggie... – naśladowała swoją matkę. – I co masz zamiar z tym zrobić?

Maggie przewróciła oczami i spojrzała na siostrę.

– Dostanę karę?

– Nie wiem...

Maggie zmarszczyła brwi.

– Dziś jest przyjęcie u Megan Sullivan i mamy zostać na noc. – Rose wzruszyła ramionami. Wiedziała wszystko o tym przyjęciu. Różowa walizka Barbie należąca do Maggie czekała spakowana od kilku dni.

– Wypożyczyłaś jakieś książki z biblioteki? – zapytała Rose, a Maggie pokiwała głową i wyciągnęła z plecaka *Dobranoc, Mamo*.

– To książka dla małych dzieci – zauważyła Rose.

Maggie spojrzała na siostrę ze złością. To prawda, i co z tego?

– Dobranoc kwiatom na parapecie, dobranoc ludziom na całym świecie – wyrecytowała szeptem i resztę ścieżki pokonała w podskokach.

Ścieżka kończyła się za domem McIlheneyów. Rose i Maggie okrążyły basen i taras, przeszły koło domu sąsiadów, a potem przez ulicę do swojego, który był bliźniaczo podobny do posesji McIlheneyów – bliźniaczo podobny do wszystkich domów na całej ulicy. Wszystkie były jednopiętrowe, zbudowane z czerwonej cegły, miały trzy sypialnie u góry i czarne okiennice. Przed nimi rozciągały się kwadratowe, zielone trawniki.

Wyglądały jak domki z dziecięcych kolorowanek.

– Poczekaj! – krzyknęła Rose, gdy Maggie, ciągle w podskokach, przedostała się przez ulicę i pobiegła zwirowym podjazdem do frontowych drzwi domu. – Nie wolno ci samej przechodzić przez ulicę! Masz mnie trzymać za rękę!

Maggie nie zwracała na nią uwagi, spiesząc się i udając, że nie słyszy.

– Mamo! – zawołała, kładąc klucz na blacie i starając się wyczuć zapach czekającego ich lunchu. – Hej, mamo! Jesteśmy!

Maggie weszła do środka i zdjęła plecak. W domu było cicho i wiedziała, jeszcze zanim Maggie jej powiedziała, że mamy nie ma.

– Nie ma samochodu! – oznajmiła Maggie bez tchu. – A na lodówce pod magnesowym jabłkiem nie ma żadnej kartki.

– Może zapomniała, że dziś wcześniej kończymy – niepewnie odrzekła Rose. Pamiętała, że rano wślizgnęła się do ciemnej sypialni specjalnie po to, żeby o tym przypomnieć. „Mamo? Hej, mamo?” Mama skinęła głową, gdy Rose poinformowała, że będą wcześniej, ale nie otworzyła oczu. „Bądź grzeczną dziewczynką, Rose – powiedziała. – Zaopiekuj się siostrą”. To samo mówiła właściwie co rano – jeśli mówiła cokolwiek.

– Nie martw się – pocieszyła siostrę. – Na pewno wróci przed trzecią.

Maggie wyglądała na zaniepokojoną. Rose wzięła ją za rękę.

– Chodź – powiedziała. – Zrobię ci lunch.

Zrobiła jajecznicę – wyszła doskonale – mimo że nie powinna, bo nie wolno im było włączać kuchenki

– Nie martw się – powiedziała do Maggie. – Możesz sprawdzić, czy na pewno wyłączyłam gaz.



Było w pół do drugiej. Maggie chciała wyjść do mieszkającej obok Natalie i pobawić się w jej domu, ale Rose uważała, że lepiej będzie, jak zostaną i obie poczekają na mamę. Siedziały więc przed telewizorem, oglądając przez pół godziny kreskówki *Heckle i Jeckle* (wybór Maggie), a potem edukacyjną *Ulicę Sezamkową* (wybór Rose).

O trzeciej mamy wciąż nie było.

– Prawdopodobnie po prostu zapomniała – stwierdziła Rose, choć teraz sama zaczynała się martwić. Poprzedniego dnia słyszała, jak mama rozmawia przez telefon.

– Tak! – krzyczała do słuchawki. – Tak!

Rose od razu podeszła do zamkniętych drzwi sypialni i przyłożyła ucho. Już od miesiący nie słyszała od matki niczego oprócz sennego mamrotania niezupełnie na temat. A teraz krzyczała, każde słowo było wyraźne i ostre jak krawędź stłuczonego kawałka szkła.

– Tak! Biorę! Lekarstwa! Na miłość boską, odpuść sobie! Daj mi żyć! Czuję się dobrze. Dobrze!

Rose przymknęła oczy. Jej mama nie czuła się dobrze. Ona to wiedziała i wiedział ojciec, i ten ktoś, na kogo mama krzyczała do telefonu, na pewno też to wiedział.

– Wszystko jest OK – powiedziała jeszcze raz do siostry. – Czy mogłabyś znaleźć ten czerwony notes mamy? Z telefonami? Musimy zadzwonić do taty.

– Dlaczego?

– Po prostu znajdź go, dobrze?

Maggie przybiegła z notesem. Rose znalazła numer biura ojca i ostrożnie wybrała kolejne cyfry.

– Czy mogłabym prosić pana Fellera? – zapytała tonem przynajmniej

o jedną oktawę wyższym niż jej normalny, nieco chropowaty głos. – Mówi jego córka, Rose Feller.

Czekała z nieruchomą twarzą i słuchawką przy uchu, a młodsza siostra stała obok.

– O, rozumiem. Dobrze. Nie. Proszę mu powtórzyć, że dzwoniłam. Dziękuję. Dobrze. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę.

– Co? – Maggie domagała się wyjaśnień. – Co?

– Wyszedł – powiedziała Rose. – Ta pani nie wie, kiedy przyjdzie

– Ale wróci na obiad do domu? Prawda? – pytała Maggie, a jej głos stawał się coraz wyższy i wyższy, aż przeszedł w pisk. Jej twarz była bardzo blada, a oczy wydawały się ogromne, jak gdyby perspektywa zaginięcia obojga rodziców była dla niej zupełnie nie do zniesienia. – Prawda?

– Oczywiście – przytaknęła Rose, a potem zrobiła coś, co dało Maggie do zrozumienia, że rzeczywiście istniał powód do strachu – włożyła jej w dłoń pilot i wyszła z pokoju.

Maggie poszła za nią.

– Idź stąd – fuknęła Rose. – Muszę pomyśleć.

– Ja też umiem myśleć – powiedziała Maggie. – Mogę ci pomóc.

Rose zdjęła okulary i wypolerowała je końcem swojej koszuli.

– Może powinniśmy sprawdzić, czy niczego nie brakuje.

– Na przykład walizki?

Rose skinęła głową.

– Na przykład.

Poszły szybko na górę, otwierając drzwi pokoju rodziców i zaglądając do środka. Rose przygotowała się na zwykłe pobojuwisko – poplątane prześcieradła, poduszki na podłodze, kolekcje do połowy opróżnionych

szklanek i nadgryzionych tostów na stoliku nocnym. Ale łóżko było porządnie zaścielone. Wszystkie szuflady komody zamknięte. Na stoliku obok łóżka Rose znalazła kolczyki, bransoletkę, zegarek i gładki, okrągły pasek złota. Zadrżała, potem wsunęła obrączkę do kieszeni, zanim Maggie mogła ją zobaczyć i zacząć pytać, dlaczego mama wysprzątała pokój i zdjęła ślubną obrączkę.

– Walizka jest tutaj – Maggie wyskoczyła z szafy.

– Dobrze – mówiąc to Rose poczuła, że usta odmawiają jej posłuszeństwa. Jak tylko uda jej się zająć czymś siostrę, będzie musiała jeszcze raz spróbować zadzwonić do ojca i powiedzieć mu o tym,co znalazła.

– Chodź – poprowadziła Maggie z powrotem na dół.

Maggie wałkowała wałkiem do ciasta paczkę chipsów Rose spojrzała w górę na zegar po raz trzeci w ciągu niecałej minuty. Była szósta. Starła się udawać, że wszystko jest w porządku, chociaż nic nie było. Nie mogła dodzwonić się do ojca, a mama wciąż nie wracała. Nawet jeśli zapomniała, że lekcje kończyły się dziś wcześniej, powinna przyjść do domu do wpół do czwartej.

„Myśl!”, nakazywała sobie Rose, gdy jej siostra miażdżyła chipsy, najpierw na kawałki, a potem w proch. Właściwie doszła już do wniosku, że mama znów WYJECHAŁA. Ona i Maggie miały nie wiedzieć, co to dokładnie oznacza, gdzie mama wyjeżdża i dlaczego. Ale Rose wiedziała. Rok wcześniej, w lecie, gdy mama wróciła z takiego WYJAZDU, Maggie przyniosła jej pogniecioną broszurkę.

– Co tu jest napisane? – zapytała.

Rose przeczytała z uwagą.

– Instytut życia – powiedziała przyglądając się rysunkowi. – Znaj-

dowały się na nim twarze kobiety, mężczyzny i dziecka w złożonych dłoniach.

- Co to znaczy?
- Nie wiem. Skąd to masz?
- Z walizki mamy.

Rose nawet nie zapytała, czego Maggie szukała w tej walizce – już w wieku lat sześciu była nieuleczalnym szperaczem. Jakiś czas później Rose wracała samochodem z państwem Schoen z wycieczki do hebrajskiej szkoły, przejeżdżali obok kompleksu budynków, przed którym zauważyła tablicę. Z takim samym obrazkiem jak w broszurce – te same twarze, te same dłonie.

– Co to jest? – zapytała, bo przejechali tak szybko, że nie była w stanie niczego odczytać.

Steven Schoen zarżał.

– Wariatkowo – powiedział, a jego matka odwróciła się tak gwałtownie, że jej włosy uderzyły Rose w policzki i powiało zapachem Aqua Net. – Steven! – upomniała go, po czym zwróciła się do Rose odezwała miękkiem i lekko słodkim głosem. – To miejsce nazywa się Instytut życia – wyjaśniła. – To specjalny szpital dla ludzi, którzy mają kłopoty ze swoimi uczuciami i potrzebują pomocy.

A więc to tak. Tu WYJEŹDŹAŁA mama. Rose nie była specjalnie zaskoczona, bo nietrudno było się zorientować, że ich matka potrzebowała pomocy. Ale gdzie była teraz? Czy znowu tam pojechała? Rose ponownie spojrzała na zegar. Pięć po szóstej. Jeszcze raz zadzwoniła do ojca, ale telefon dzwonił i dzwonił i dzwonił. Odłożyła słuchawkę i poszła do pokoju, gdzie Maggie siedziała teraz na kanapie, patrząc przez okno. Usiadła obok niej.

- Czy to moja wina? – wyszeptała Maggie.

– Co?

– Czy to moja wina, że mamy nie ma? Zdenerwowała się, bo mam kłopoty w szkole?

– Nie, nie – zapewniła Rose. – To nie twoja wina. Mama nie wyjechała.

Po prostu coś jej się poplątało czy coś w tym rodzaju, a może miała jakiś problem z samochodem. Jest mnóstwo różnych rzeczy, które mogły się zdarzyć! Ale gdy uspokajała Maggie, wsunęła rękę do kieszeni i poczuła w dłoni chłodną, złotą obrączkę.

– Nie martw się – dodała bez przekonania.

– Boję się – powiedziała Maggie szeptem.

– Wiem. Ja też.

Siedziały na kanapie obok siebie i czekały, a słońce powoli zachodziło.

Michael Feller wjechał na podjazd zaraz po siódmej. Rose i Maggie pobiegły do drzwi.

– Tato, tato! – zawołała Maggie, chwytając ojca za nogi. – Mamy nie ma! Nie ma jej! Nie wróciła!

Michael spojrział na starszą córkę.

– Rose? Co się dzieje?

– Przyszliśmy dziś wcześniej... Dzień szkolenia dla nauczycieli, w zeszłym tygodniu przyniosłam zawiadomienie...

– Nie zostawiła kartki? – zapytał ojciec, idąc do kuchni tak szybko, że Maggie i Rose musiały biec, by za nim nadążyć.

– Nie – powiedziała Rose.

– Gdzie jest mama? – zapytała Maggie. – Wiesz?

Ojciec pokręcił głową i chwycił czerwony notes z adresami i numerami telefonów.

– Nie martwcie się. Jestem przekonany, że nie ma powodu. Północ. Rose zrobiła Maggie makaron zapiekany z tuńczykiem, chciała, żeby ojciec też trochę zjadł, ale on ze swojego miejsca przy telefonie machnął tylko ręką, żeby dała mu spokój. Siedział przygarbiony, wykręcając jeden numer za drugim. O dziesiątej zauważył, że jeszcze nie śpią, kazał im się przebrać i iść spać, zapominając o myciu buzi czy zębów.

– Do łóżek! – powiedział. Przez ostatnie dwie godziny leżały obok siebie, Rose z oczami szeroko otwartymi w panującej ciemności opowiadała Maggie bajki o Kopciuszku, Czerwonym Kapturku, potem o księżniczce, która miała zaczarowane pantofelki, które tańczyły i tańczyły bez końca.

Dzwonek do drzwi. Rose i Maggie usiadły wyprostowane dokładnie w tej samej chwili.

– Powinniśmy zejść – powiedziała Maggie.

– Może to ona – dodała Rose.

Trzymały się za ręce, zbiegając bosą po schodach. Ojciec był już przy drzwiach, a Rose, jeszcze zanim cokolwiek zostało powiedziane, wiedziała, że działo się coś bardzo złego, coś stało się mamie

i już nic nigdy nie będzie tak samo.

W drzwiach stał wysoki mężczyzna, mężczyzna w zielonym mundurze i brązowym kapeluszu z szerokim rondem.

– Pan Feller? – zapytał. – Czy to dom Caroline Feller?

Ojciec z trudem przełknął ślinę i skinął głową. Z kapelusza wysokiego mężczyzny kapały na podłogę krople deszczu.

– Obawiam się, że przynoszę złe wieści – powiedział.

– Czy znalazł pan naszą mamę? – zapytała Maggie swoim głosem małej dziewczynki, z trudem łapiąc powietrze.

Policjant patrzył na nich smutno. Jego skórzany pas zaskrzypiał, gdy

wyciągnął rękę, by położyć ją na ramieniu ich ojca. Krople deszczu spadały teraz na gołe stopy Maggie i Rose. Spojrzał w dół na nie, potem znów na ojca.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać w cztery oczy, proszę pana – powiedział w końcu. I Michael Feller, przygarbiony i załamany, poprowadził go do pokoju.

A potem...

Potem był ojciec z twarzą jak gład. Był „wypadek samochodowy”, pakowanie całego domu w Connecticut. Zostawili szkołę, dom, przyjaciół, znajomą ulicę. Ojciec spakował rzeczy matki w kartony i oddał na cele dobroczynne do Goodwill. Potem Rose, Maggie i ich ojciec wsiedli do wynajętej ciężarówki i odjechali do New Jersey.

– Zacząć od nowa – powiedział ojciec. Jakby coś takiego było w ogóle możliwe. Jakby przeszłość można było zostawić za sobą jak papierek po batoniku czy parę butów, z których się wyrosło.

W swoim łóżku w Filadelfii Rose usiadła w ciemności, wiedząc, że nie zaśnie tej nocy. Pamiętała pogrzeb. Pamiętała granatową sukienkę, zakupioną na pierwszy dzień szkoły dziewięć miesięcy wcześniej, i że już była za krótka, że gumki bufiastych rękawów zostawiały na jej rękach czerwone kręgi. Pamiętała twarz ojca nad grobem, jego odległy, nieobecny wzrok, i starszą kobietę o kasztanowych włosach, która siedziała w jednej z tylnych ławek w domu pogrzebowym, płacząc cicho i kryjąc twarz w chusteczce. Babcia. Gdzie zniknęła? Rose nie miała pojęcia. Po pogrzebie rzadko rozmawiali o babci czy matce. Żyli z dala od policjanta w kapeluszu pełnym deszczu, od podjazdu, na którym zaparkował swój radiowóz, z niebieskimi światłami do dziś błyskającymi niemo w ciemności, i od tej drogi, która przywiodła go do ich domu. Śliskiej, wilgotnej drogi z jej

zdradzieckimi zakrętami; czarnej wstęgi, wijącej się jak język kłamcy. Odjechali daleko od tej drogi, domu i cmentarza, gdzie pochowana była ich mama pod kobiercem surowo wyglądającej darni i pod nagrobkiem z wyłobionym jej imieniem, datą urodzenia i śmierci oraz słowami: „żona i kochająca matka”. I gdzie Rose ani razu nie pojechała od tamtego czasu.

TTLR



TTLR

***CZEŚĆ DRUGA***  
***Dalsza edukacja***

Plan, pomyślała Maggie Feller, potrzebny mi plan.

Siedziała na ławce dworca przy Trzynastej Ulicy, w wielkim pomieszczeniu przypominającym jaskinię, zaśmieconym starymi gazetami i opakowaniami po hamburgerach i frytkach. Śmierdziało tłuszczem, potem i zimowymi płaszczami. Była prawie północ. Kobiety wyglądające na ofiary przemocy ciągnęły swoje dzieci za ręce. Bezdumni spali rozwaleni na pociętych nożami, drewnianych ławkach. Mogłabym być jedną z nich, uzmysłowiła sobie Maggie, czując jak ogarnia ją panika.

„Myśl! ”, rozkazała sobie. Miała worek na śmieci wypełniony swoimi rzeczami, portmonetkę, plecak i dwieście dolarów – dwa szeleszczące banknoty studolarowe, które Jim dał jej, zanim się rozstali.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytał, nawet dość życzliwie, a ona wyciągnęła rękę nie patrząc mu w oczy.

– Chcę dwieście dolarów – odparła bez zająknięcia. – To bieżąca stawka.

Wyłuskał pieniądze z portfela bez słowa protestu.

– Przepraszam...

.. Ale za co? I kogo przeproszał? Przecież nie ją. Tego Maggie była pewna. Teraz potrzebowała jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby pomieszkać... A potem – w końcu – kolejnej posady. Rose nie wchodziła w grę. Podobnie jak ojciec. Wzdrygnęła się, widząc oczyma wyobraźni siebie ciągnącą swoje rzeczy po trawie, wycie idiotycznego psa, udawane współczucie i nieudolnie skrywaną odrazę na twarzy Sydelle oraz jej oczy mówiące: „Dokładnie tak, jak się spodziewałam, nawet jeśli jej usta mówiłyby coś zupełnie innego”. Sydelle zaczęłyby wypytywać o szczegóły, co się stało z Rose, co z jej –

Maggie – pracą. Sydelle wierciłaby jej dziurę w brzuchu setkami pytań, a ojciec siedziałby, nie pytając z kolei o nic, patrząc tylko tym swoim łagodnym, przegranym wzrokiem.

Co jej pozostawało? Jakoś nie widziała siebie w schronisku dla bezdomnych. Odrażały ją wszystkie te kobiety, jedno przegrane życie obok drugiego. Ona taka nie jest. Nie przegrała. Nie w ten sposób. Była gwiazdą, gdyby tylko ktoś chciał ją dostrzec.

„Nie jesteś gwiazdą”, szeptał głos w jej głowie, brzmiał jak głos Rose, tylko dużo chłodniej: „Nie jesteś gwiazdą, jesteś dziwką, głupią dziwką. Nie radzisz sobie nawet z kasą fiskalną! Nie radzisz sobie z książeczką czekową! Wyeksmitowana! Praktycznie bezdomna! I spałaś z moim facetem!”

„Myśl!”, pomyślała Maggie wściekle, próbując zagłuszyć ten głos. Co miała? Swoje ciało. No, właśnie. Jim nie miał oporów przed wręczeniem jej dwustu dolarów. Z pewnością znajdą się faceci, którzy chętnie zapłacą, jeśli się z nimi prześpi, i tacy, którzy będą chcieli, zobaczyć, jak tańczy nago. Przynajmniej była to branża rozrywkowa, występ na scenie. Wiele wschodzących gwiazd robiło przed nią ten rozpaczliwy krok, traktując to jako rozwiązanie tymczasowe w drodze do prawdziwej kariery.

„OK”, pomyślała Maggie, zacieśniając uchwyt na worku, gdy mężczyzna śpiący dwie ławki za nią jęknął przez sen. Striptiz. OK. To nie koniec świata. Ale to nie rozwiązywało kwestii mieszkania. W końcu był styczeń. Sam środek zimy. Planowała złapać pociąg do Trenton, potem następny do Nowego Jorku. Tyle że będzie tam na drugą rano. I co dalej? Dokąd pójdzie? Wstała, mocno trzymając plecak w jednej ręce, a worek na śmieci w drugiej, i zaczęła studiować rozkład jazdy oraz nazwy miast, do których jeździły pociągi: Rahway. Westfield. Matawan. Matuchen. Red Bank. Little Silver. To brzmiało całkiem przyjemnie, ale może wcale takie

nie było? Newark. Za duże. Elizabeth. Obiekt żartów w całym Jersey. Brick. Brrr. Princeton. Kilka razy odwiedziła w Princeton Rose, miała wtedy kolejno szesnaście i siedemnaście lat. Widziała je, gdy zamknęła oczy – bluszczem, z gargulcami wieńczącymi rynny. Pamiętała pokoje z kominkami w akademikach i drewniane ławy pod oknami, które były jednocześnie schowkami; kryły w sobie dodatkowe koce i zimowe płaszcze. Pamiętała też okna składające się z wielu małych szybek w ołowianych ramkach. Wielkie, amfiteatralne sale wykładowe i przyjęcie w piwnicy, z beczką piwa w rogu, a także ogromną bibliotekę – trzy piętra w górę i trzy w dół, a każde długości boiska. Zapach palonego drewna i opadłych liści; pożyczony czerwony szalik otulający szczelnie jej szyję, gdy szła jedną z wyłożonych szarym kamieniem ścieżek na tę właśnie imprezę, wiedząc, że nigdy w życiu nie uda jej się trafić samej z powrotem, bo było tam tyle różnych chodników, a wszystkie budynki wyglądały dokładnie tak samo.

– Łatwo się tu zgubić – powiedziała Rose, żeby Maggie poczuła się różniej. – Przytrafiało mi się to przez cały pierwszy rok. Może więc teraz też uda jej się tam zgubić. Może pojechać do Trenton, potem do Princeton, zostać tam kilka dni, żeby mieć czas na dokładniejsze przeanalizowanie sytuacji. Zawsze wszyscy jej mówią, że wygląda bardzo młodo, ma plecak, który jest uniwersalnym znakiem rozpoznawczym studentów.

– Princeton – powiedziała głośno i poszła do kasy, gdzie zapłaciła siedem dolarów za bilet w jedną stronę. Zawsze chciała wrócić do college'u, pomyślała, idąc na peron. I co z tego, że nie był to normalny sposób? Od kiedy to ona, Maggie Feller, jest normalną dziewczyną?

O drugiej nad ranem Maggie szła przez opustoszały campus Uniwersytetu w Princeton. Z powodu ciężkiego plecaka czuła skurcze w ramionach, a ręce zdrętwiały jej od taszczenia ze sobą worka pełnego ubrań.

Niemniej jednak starała się iść zwawo, razem z grupką studentów, do której się dołączyła, z podniesioną głową i wyprostowanymi plecami, jakby wiedziała dokładnie, dokąd się udaje. Wsiadła z pociągu na stacji Princeton Junction i znalazła się pośrodku ogromnego parkingu, oświetlonego zimnym światłem halogenowych żarówek. W chwili paniki odwróciła się, słysząc kroki. I faktycznie byli tam studenci – albo przynajmniej ludzie wyglądający jak studenci, szli przez peron w dół do tunelu. Razem z nimi przeszła pod torami, a potem do góry na drugą stronę, gdzie czekał inny, dużo mniejszy pociąg. Kupiła bilet i dwie minuty później znalazła się na terenie kampusu. Idąc stromym chodnikiem pod górę, Maggie dokonała szybkiej, acz wnikliwej analizy swoich towarzyszy podróży – dzieciaków wracających z ferii świątecznych, jak się domyśliła z tego, co mówili i z ilości bagażu, jaki mieli ze sobą. Było jasne, że dbanie o wygląd nie było priorytetem studentek, podczas gdy kreacje Abercrombiego i Fitcha – owszem. Na ustach miały nałożony co najwyżej błyszczący, a wystrojone były w jedną z możliwych kombinacji wytartych dzinsów i swetra lub bluzy, do tego płaszcz koloru piaskowego, z dodatkiem wełnianych czapek, szalików, rękawiczek i zimowych butów.

„No, tak, to tłumaczy Rose”, pomyślała i zaczęła w myślach przeglądać swoją garderobę. Bluzka bez pleców – nie. Skórzane spodnie, też raczej nie. Kaszmirowy bliźniak? Jasne, gdyby tylko taki miała, pomyślała i otrząsnęła się z zimna, gdy lodowaty wiatr owiał jej gołą szyję. Potrzebowała szalika. Jak również papierosa, chociaż nie zauważyła, by któraś z dziewcząt paliła. Może było za zimno albo raczej po prostu nie uznawały papierosów. Prawdopodobnie dziewczyny w reklamach Abercrombiego i Fitcha nie paliły. Maggie westchnęła i zbliżyła się do grupki trajkoczących studentek, mając nadzieję na zdobycie więcej

informacji.

– No, nie wiem – mówiła jedna z nich chichocząc, gdy mijaly właśnie tablicę ogłoszeń, na której można było znaleźć informacje o wszystkim, zaczynając od filmów i koncertów, a kończąc na ofertach sprzedaży używanych gitar. – Myślę, że mu się podobam i dałam mu nawet mój numer, ale jak dotąd nic.

"Więc mu się nie podobasz, kretynko – pomyślała Maggie. – Jeśli im się podobasz, dzwonią. Jasne jak słońce. I to mają być te tęgie głowy?"

– Może ty powinnaś do niego zadzwonić – zasugerowała jedna z koleżanek. „No, pewnie”, pomyślała Maggie, która nic zadzwoniła do mężczyzny, odkąd skończyła z głupimi kawałami przez telefon w wieku lat trzynastu. „I może powinnaś jeszcze pomachać chorągiewką przed jego pokojem na wypadek, gdyby nie zrozumiał, o co chodzi”. Towarzystwo zatrzymało się przed trzypiętrowym, kamiennym budynkiem z ciężkimi, drewnianymi drzwiami. Jedna z dziewcząt zdjęła rękawiczki i wbiła kod. Drzwi się otwarły i Maggie weszła za nimi do środka. Była w jakimś holu. Stało tam około sześciu kanap pokrytych niezniszczalnym, przemysłowym materiałem obiciowym w kolorze niebieskim, kilka porysowanych stolików, na których leżały porozrzucane gazety i czasopisma oraz telewizor, w którym pokazywali Życie jest piękne – co nie było prawdą, przynajmniej jeśli chodzi o Maggie. Dalej były schody, prowadzące najprawdopodobniej do pokoi... I, sądząc po dobiegających odgłosach, odbywała się tam niejedna impreza. Maggie postawiła swoje bagaże, a w palcach poczuła mrowienie, gdy krew zaczęła do nich z powrotem napływać. „Jestem w środku”, pomyślała. Uczucie triumfu mieszało się z niepokojem, jak uda jej się zrobić następny ruch.

Gromadka dziewcząt pognęła po schodach, wdzięcznie jak stadko

słoni w swoich ciężkich buciorach. Maggie poszła za nimi do łazienki (– I niby co mam mu powiedzieć? – pytała płacząco dziewczyna, do której On nie zadzwonił). Poczekała, aż wyjdą, spryskała twarz ciepłą wodą i zmyła resztkę makijażu, jaka została jej na twarzy. Związała włosy w kucyk w stylu Rose (fryzura preferowana w Princeton, wnosząc z tego, co dotychczas widziała), potem dezodorant, perfumy (ostrożnie) i wypłukała usta wodą. Żeby wykonać następny etap planu, Maggie powinna wyglądać jak najlepiej, biorąc pod uwagę, przez co przeszła.

Po czym zeszła z powrotem. W holu przeprowadziła rozpoznanie. Jeśli zostawi wór na śmieci za kanapą – czy ktoś go ukradnie? Nie. Wszyscy tu mieli wszelkie ubrania, jakich mogli tylko zapragnąć – ustaliła Maggie, sadowiąc się w fotelu w rogu. Objęła rękami kolana i czekała.

Nie zajęło jej to dużo czasu. Grupka chłopców – czterech, może pięciu, w bluzach i sportowych spodniach, głośno rozmawiając i ciągnąc za sobą zapach piwa – popychając się i poszturchując przeszła obok strażnika przy wejściu, a potem obok Maggie. Skierowali się na schody. Maggie podeszła do nich.

– Hej, hej! – odezwał się jeden z nich, mrużąc oczy i wpatrując się w nią z takim trudem, jakby znajdowała się na drugim końcu teleskopu.

– Dokąd się wybierasz?

Maggie uśmiechnęła się.

– Na imprezę – odpowiedziała, jakby to było oczywiste. A on wyszczerzył się do niej, z zaczerwienionymi, podpuchniętymi oczami i jedną ręką na ścianie dla utrzymania równowagi, mówiąc, że to musi być jego szczęśliwy dzień.

Impreza... Oczywiście, że była impreza, ponieważ mimo faktu, że to Ivy League, ciągle jednak był to po prostu college, co oznaczało, że zawsze

można było liczyć na jakąś imprezkę. Ta, na którą trafiła Maggie, odbywała się na ostatnim piętrze, w czymś w rodzaju małego mieszkania. Był tam salon z kanapą i wieżą stereo, dwie sypialnie z piętrowymi łózkami w każdej, a pomiędzy nimi wanna pełna lodu z niezbędną baryłką w środku.

– Przynieść ci coś do picia? – zaoferował jeden z facetów poznanych na schodach; może ten, który mówił o szczęśliwym dniu, a może któryś z jego kolegów. W przyciemnionym świetle, przy całym tym hałasie i tłoczących się ludziach, nie była pewna, ale skinęła głową, pochylając się do niego i pozwalając, by jej usta musnęły leciutko jego ucho, gdy szepnęła:

– Dzięki.

Do czasu, gdy doznał wreszcie z powrotem, wylewając po drodze połowę piwa na podłogę, przysiadła w rogu kanapy, zakładając swoje długie nogi jedna na drugą.

– Jak masz na imię? – zapytał. Był niski, miał raczej drobne kości i loki w kolorze blond (które bardziej pasowałyby jednej z tych sześcioletnich królowych piękności niż facetowi w college'u), okalające czujną, lisią twarz. Była przygotowana na to pytanie.

– M – odparła. W pociągu postanowiła, że nie będzie dłużej Maggie. Jako Maggie nie zdobyła bogactwa ani sławy. Od teraz będzie po prostu M.

Blondas zmrużył oczy.

– Em jak ciocia Em?

Maggie zmarszczyła czoło. Czy ona miała ciocię Em? A on?

– Po prostu M – powiedziała.

– Nie ma sprawy – wzruszył ramionami. – Nie widziałem cię tu wcześniej. Co studiujesz?

– Wybiegi i podstępny.

Pokiwał głową, jakby zrozumiał. No, cóż, pomyślała Maggie, może



rzeczywiście mają tu taki kierunek. Będzie musiała to sprawdzić.

– Ja jestem na politologii – poinformował, po czym fantastycznie mu się odbiło. – Sorry

– OK – powiedziała Maggie, jak gdyby gazy jelitowe były jedną z najbardziej fascynujących i czarujących rzeczy na ziemi. – Jak ty masz na imię?

– Josh.

– Josh – powtórzyła Maggie, jakby to również było fascynujące.

– Chcesz zatańczyć? – zapytał Josh. Maggie wypila mały łyżeczek piwa i wręczyła mu kufel, który uprzejmie opróżnił. Stali twarzą w twarz i tańczyli... Lub raczej Josh wykonywał ruchy drgające do tyłu i w przód – można było odnieść wrażenie, że poddany został elektrowstrząsom o niezbyt wysokim napięciu, podczas gdy Maggie powoli kręciła biodrami.

– No, no... – powiedział z uznaniem. Objął ją rękami w talii i przycisnął do wybruszenia w spodniach. – Wspaniale tańczysz.

Mało brakowało, żeby się roześmiała. Dwanaście lat lekcji tańca, balet, jazz dance i step, i coś takiego uchodziło za wspaniałą taniec. Dupek. Jednak zamiast wyrażenia irytacji, odchyliła głowę do góry w jego stronę, celując ustami i swoim ciepłym oddechem jeszcze raz w jego ucho, ale tym razem pozwalając ustom lekko musnąć jego szyję.

– Czy moglibyśmy pójść w jakieś spokojniejsze miejsce? – minęło około minuty, zanim przekaz do niego dotarł, ale zaraz potem oczy mu się zaświeciły.

– Jasne! – wyszczerzył się lubieżnie. – Mam jedynekę.

„Bingo!”, pomyślała Maggie.

– Może jeszcze jedno piwo? – zapytała swoim głosem małej dziewczynki. Przyniósł dwa i skończył na wypiciu swojego oraz większej

części jej piwa, a potem ponownie objął ją w talii, zarzucił sobie na ramię jej plecak i poprowadził do schodów oraz do rozkoszy, która, jak sądził, czekała w jego jednoosobowym pokoju w akademiku o nazwie Blair. „Blair”, powtarzała sobie Maggie, idąc obok zataczającego się Josha. Będzie musiała zrobić listę – przyswoić nazwy miejsc, imiona ludzi. Musi być ostrożna. Musi być sprytna. Nawet bardziej bystra niż Rose. Przetrwanie w miejscu takim jak to, w przypadku, gdy jesteś tu na swoim miejscu, to jedna rzecz, ale przetrwanie tutaj w momencie, gdy ma cię tu nie być, to będzie nie lada wyzwanie, warte całego jej sprytu, wszystkich jej umiejętności, pełnego zasobu jej inteligencji, którą, jak zapewniała lata temu pani Fried, posiada niezależnie od tego, co stwierdzał test.

Josh otworzył przed nią drzwi jak cesarz odkrywający przybyszowi cedrowe ściany i złote podłogi swojego pałacu, i Maggie zdała sobie sprawę, że teraz właśnie może się pośliznąć. Będzie musiała przygotować się na ewentualność przespania się z tym facetem. „Dwóch w jedną noc”, pomyślała ponuro. Nie o taki wynik jej chodziło.

Pokój okazał się małym prostokątem, zaśmieconym książkami, butami i kupkami nieposkładanego prania. Wokół unosił się zapach przepoconych skarpetek i starej pizzy.

– Witaj w moich skromnych progach – powiedział Josh, rzucając jej szybkie, sprawdzające spojrzenie, po czym rzucił się na łóżko, zrzucając na podłogę książkę z chemii, butelkę wody, pięciokilogramową sztangę i skamieniałą, jak sądziła Maggie, na wpół niedojedzoną bagietkę. Rozłożył ramiona, a na jego twarzy zobaczyła zimny, znaczący uśmiezek małego chłopca, który dostaje każdą zabawkę, na jaką ma ochotę, po czym niszczy ją z czystej złośliwości.

– Chodź do tatusia!

Maggie, co prawda, posłała mu zalotny uśmiech, ale utrzymała swoją pozycję na podłodze przy nogach łóżka. Leniwo przesuwiała koniuszkiem palca wzdłuż szyi.

- Masz coś do picia? – spytała.
- Zobacz tam – Josh wskazał biurko.

Maggie znalazła brązową butelkę. Likier brzoskwiniowy. Pociągnęła łyk, starając się nie skrzywić, gdy poczuła w ustach przesłodzone brzoskwinie, a następnie przechyliła głowę w stronę Josha, posyłając mu znaczące spojrzenie. Był przy niej w tej samej chwili; jego chłodne i z lekka odrażające wargi znalazły się na jej ustach. Wpychała mu język w usta w rytm *Girls Just Want to Have Fun* Cyndi Lauper, którą nuciła sobie w głowie, gdy kleista ciecz przepływała z ust do ust.

*When the working day is done* – słyszała, jak Cyndi zawodzi w jej głowie, a Josh gapił się na nią z pijackim uwielbieniem, chyba wierząc, że umarł i poszedł do nieba albo przynajmniej do odpowiednio oznaczonej sekcji swojej własnej, wewnętrznej wideoteki.

Po chwili położyła swoją drobną dłoń na samym środku jego klatki piersiowej i lekko go popchnęła. Opadł na łóżko jak kloc. Pociągnęła jeszcze łyczek i dosiadła go, ocierając się o niego krocem i uśmiechając przez cały czas. Odwagi, pomyślała. Oparła się bardziej na pośladkach, odchyliła do tyłu i ściągnęła przez głowę bluzkę. Na widok jej piersi oczy Josha rozszerzyły się w półmroku. Próbowwała postawić się na jego miejscu, wyobrażając sobie, co widzi. W niewyraźnym świetle ulicznych lamp, które wpadało do pokoju, gibka, półnaga dziewczyna z kaskadą włosów na ramionach, biała skóra, szczupła talia i twarde, brązowe brodawki wycelowane w niego. Wyciągnął ręce. Teraz, pomyślała i przechyliła butelkę tak, że płyn oblał jej piersi, znacząc lepki szlak w kierunku jej

dżinsów.

– O, Boże! – jęknął Josh. – Ale jesteś sexy!

Sapał i dyszał, stękał jakieś słowa, których nie była w stanie rozpoznać, lizał jej skórę i likier brzoskwiniowy, jednocześnie szarpiąc się bezskutecznie z zapięciem jej spodni. Liczyła, że będzie zbyt pijany, by poradzić sobie z guzikami i wyglądało na to, że miała rację.

– Poczekaj – szepnęła, schodząc z niego i kładąc się obok. – Pozwól mi się tym zająć.

– Jesteś niewiarygodna – westchnął, leżąc nieruchomo z zamkniętymi oczami. Maggie pochyliła się i pocałowała go w szyję. Oddychał głęboko. Ułożyła szlaczek z maleńkich pocałunków ciągnący się od płatka jego ucha do obojczyka, z każdym pocałunkiem lekko zwalniając tempo. Znowu westchnął, sięgając ręką do swoich bokserów. Maggie zaczęła sunąć językiem do jego piersi. Powoli, powtarzała sobie, odmierzając każdy pocałunek i muśnięcie językiem według uderzeń własnego serca. Powoli... Każdy kolejny pocałunek był lżejszy od poprzedniego. Na każdy trzeba było poczekać trochę dłużej. Pilnowała się, wstrzymywała powietrze w piersiach, cała napięta, aż usłyszała jego zwolniony, regularny oddech i pierwsze chrapnięcie. Podniosła lekko głowę i spojrzała na jego twarz, żeby się upewnić. Oczy miał zamknięte, bańka śliny pomiędzy ustami powiększała się i zmniejszała w rytmie pracy płuc. Josh spał. Spał albo zemdlał. Nie była pewna, ale nie miało to większego znaczenia. Jak dotąd, działała zgodnie z planem. Włożyła rękę do jednej z jego kieszeni i wyciągnęła plastikową kartę. Legitymacja studencka. Cudownie. Potem ostrożnie wysliznęła się z łóżka, zlokalizowała swoją bluzkę bez rękawów i włożyła ją, podczas gdy Josh wciąż chrapał. Na podłodze znalazła ręcznik – zalatywał czymś kwaśnym i był dość sztywny w dotyku, ale nie było sensu szukać w tym

miejscu wypranych rzeczy, pomyślała, łapiąc plastikowy pojemnik z mydłem i szamponem. Na biurku leżał portfel. Spojrzała na niego, zastanawiając się, potem go otworzyła. Zawierał jakieś sześć kart kredytowych i przyzwoity zwitek gotówki. Potem to przejrzy, zdecydowała i włożyła go do kieszeni, po czym spojrzała na szafę. Ośmieli się? Przeszła wolno na palcach, a potem jeszcze wolniej otwierała jej drzwi. Josh miał nie jedną, ale dwie skórzane kurtki, wszelkie rodzaje koszul, swetry, spodnie, adidas i inne buty, dżinsy i golfy, wiatrówki, płaszcze, a nawet smoking w worku z pralni. Maggie wzięła dwa swetry, a potem spojrzała w róg szafy Premia! Śpiwór. Poskładany i włożony porządnie do worka, i elektryczna lampka turystyczna tuż obok. Nie będzie za nimi tęsknił, a jeśli nawet, była pewna, że ktokolwiek kupił mu te wszystkie rzeczy, na pewno ochoczo przyśle czek na więcej.

Josh jęknął niewyraźnie i przekręcił się, zarzucając jedną rękę na poduszkę, gdzie wcześniej była głowa Maggie. Miała uczucie, że serce przestaje jej bić. Zmusiła się, żeby policzyć do stu, zanim znów się poruszyła, zbierając łupy, upychając śpiwór i lampkę w swoim plecaku. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Była czwarta nad ranem. Wciąż słychać było ryczące stereo oraz pijackie okrzyki i piana ludzi wracających z imprezy.

Łazienka znajdowała się na końcu korytarza i żeby wejść, trzeba było wstukać kod, ale na szczęście drzwi okazały się otwarte. To znaczy, leżała w nich na brzuchu nieprzytomna studentka, która poddała się widać w trakcie wychodzenia i tak już została. Maggie przekroczyła jej nogi, rozebrała się, powiesiła ubranie porządnie na jednym z haczyków, na końcu wieszając ręcznik.

Weszła pod prysznic, z którego lała się ciepła woda i zamknęła oczy.

W porządku, pomyślała. W porządku. Teraz musi pomyśleć o jedzeniu i jakimś miejscu, gdzie będzie mogła przeprowadzić zaplanowane przegrupowanie i analizę sytuacji. Po głowie chodziła jej biblioteka. Myślała o tym, że w każdym college u, w którym była, strażnicy nigdy specjalnie nie przyglądali się legitymacjom. Jeśli nie rzucałeś się jakoś szczególnie w oczy, machali po prostu ręką. Więc najpierw weźmie swoje rzeczy z za kanapy w pierwszym akademiku, a potem z pomocą legitymacji Josha wkradnie się do stołówki i coś zje, a potem...

Maggie spojrzała w dół i zobaczyła na mydelniczce białą, plastikową klamrę do włosów.. Była to taka sama okropna klamra, jakiej Rose używała, żeby włosy nie spadały jej na twarz. „Rose”, pomyślała i nagle ogarnęła ją potężna fala żalu, tak że oddech uwiązł jej w gardle. „Rose – powiedziała do siebie – przepraszam cię”. I w tej chwili, naga i samotna, Maggie poczuła się tak nędznie i żałośnie, jak już wielokrotnie w swoim życiu.

„Może tak właśnie czują się ludzie, gdy wariują”, pomyślała Rose, po czym przewracając się na drugi bok, powróciła w objęcia snu. We śnie zgubiła się w jakiejś jaskini, a jaskinia zmniejszała się i zmniejszała, sufit coraz bardziej się obniżał, aż w pewnym momencie mogła dotknąć stalaktytów – albo może raczej stalagmitów, zawsze jej się myliły – których wilgoć czuła na twarzy.

Obudziła się. Suczka, którą Maggie zostawiła, przysiadła na poduszce obok niej i lizała jej policzki.

– Yyyy – wyartykułowała sennie Rose, chowając twarz w poduszce i odwracając się od niej. Przez chwilę nic nie pamiętała. A potem wszystko wróciło, z całą siłą – Jim i Maggie. W łóżku. Razem.

– O, Boże... – jęknęła. Suczka położyła łapę na jej czole, jak gdyby mierzyła jej temperaturę, a potem zaskamląła pytająco.

– Odejdź – Rose skrzywiła się. Suczka obróciła się trzy razy wokół własnej osi na poduszce, zwinęła w kłębek koloru grahama i zaczęła chrapać. Rose zamknęła oczy i poszła w ślad za psem.

Gdy znów się obudziła, było po jedenastej. Ledwie trzymała się na nogach i prawie pośliznęła się na ciepłej kałuży przed łazienką. Wpatrywała się w swoją moką stopę, potem w psa, wciąż leżącego na jej łóżku.

– Ty to zrobiłaś? – zapytała. Suczka po prostu na nią patrzyła.

Rose westchnęła, potem odszukała Domestos i rolkę papierowych ręczników, i uprzątnęła całe zamieszanie. Raczej nie mogła winić suczki... Przecież nikt jej od wczoraj nie wyprowadzał. Ciężkim krokiem przeszła do kuchni, nastawiła kawę, przygotowała sobie porcję płatków z otrębami i zaczęła mieszać w nich łyżką, tam i z powrotem. Zdała sobie sprawę, że nie

ma ochoty na płatki z otrębami. Na nic nie ma ochoty. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, że jeszcze kiedyś będzie głodna. Popatrzyła na telefon. Jaki to dzień? Sobota. Co dawało jej weekend, żeby zebrać się do kupy. A może powinna zadzwonić od razu, zostawić wiadomość, że nie będzie jej cały tydzień. Ale komu? Gdyby Maggie tu była, wiedziałaby, co powiedzieć. Była królową niewinnych kłamstw, półprawd i wykorzystywania wszelkich możliwych dni wolnych bez najmniejszych skrupułów. Maggie.

– O, Boże! – jęknęła znowu Rose. Maggie wróciła do domu ojca albo czai się w krzakach lub na ławce przed jej domem, pewna, że rankiem Rose zmieni zdanie. No, cóż, marne szanse, pomyślała wściekle Rose, rezygnując ze śniadania i stawiając miseczkę obok zlewozmywaka. Pies ewidentnie nie podzielał jej wisielczego nastroju ani braku apetytu. Zmaterializował się przy jej stopach i wpatrywał w miseczkę z płatkami żądnym wzrokiem. Rose zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, czym Maggie go karmiła. Nie zauważyła nigdzie karmy dla psów. Nie żeby zauważała jakiegokolwiek inne rzeczy. Oprócz Jima. A raczej jego braku. Ostrożnie postawiła miseczkę z płatkami na podłodze. Suczka ją powąchała, zniżyła nos, spróbowała mleka, potem prychnęła lekceważąco i podnosząc łeb spojrzała na Rose.

– Niedobre? – zapytała Rose. Zaczęła przeszukiwać szafki. Zupa grochowa. Prawdopodobnie nie. Czarna fasola, raczej nie. Tuńczyk! Albo to dla kotów? Postanowiła spróbować, mieszając tuńczyka z majonezem i stawiając miskę przed pieskiem wraz z miską wody obok. Suczka pożarła wszystko, wydając lekkie pomruki zadowolenia i ciągnąc miskę nosem po kuchni w swoich staraniach, by usunąć każdą najmniejszą cząstkę majonezu i kawałek ryby.

– OK – ucieszyła się Rose. Wybiła właśnie godzina pierwsza po



południu. Jej mieszkanie było bez skazy dzięki całonocnemu sprzątanu. Poszła spokojnie do łazienki i przyglądała się sobie w lustrze przez długą chwilę. Była zwykłą dziewczyną, miała zwyczajne włosy i normalne, brązowe oczy. Miała policzki, usta i brwi bez żadnych szczególnych skaz.

– Co jest ze mną nie tak? – zapytała swojego odbicia.

Suczka przysiadła w drzwiach łazienki, obserwując ją. Rose umyła zęby oraz twarz i poszła pościelić łóżko, cały czas mając wrażenie, że jej nogi zrobiono z ołowiu. Wyjść? Zostać? Iść z powrotem do łóżka?

Suczka drapała w drzwi wejściowe.

– Hej, przestań!

Rozejrzała się wokół, zastanawiając się, czy Maggie zostawiła smycz. Po namyśle wydobyla z szafy szal, który był chybionym zakupem dokonanym pewnego popołudnia, kiedy to wydało jej się, że może zostać jedną z tych osób zakładających szale – jedną z tych kobiet, które z wdziękiem noszą różnorakie dodatki – zamiast pogodzić się ze świadomością bycia kobietą, której szale nieuchronnie kończyły zatrzaśnięte w drzwiach samochodu lub też w zupie takiej czy innej.

Uklękła i przywiązała szal do obroży Pies wyglądał na niezbyt szczęśliwego i czuł się nabrany, jakby wiedział, że to poliester, a nie prawdziwy jedwab.

– Stokrotnie przepraszam – powiedziała sarkastycznie Rose, szukając kluczy, okularów słonecznych i rękawiczek oraz dwudziestu dolarów, które wetknęła do kieszeni z zamiarem nabycia karmy dla psa. Następnie poszła do windy chowając szczeniaka pod płaszczem, przemknęła obok portiera i wyszła z budynku. O ile dobrze pamiętała, niedaleko jej domu, zaraz na rogu, był kawałek trawnika. Pies może tam załatwić swoje sprawy, a potem przejdzie z nim na drugą stronę, przywiąże go do parkometru przed sklepem

(wielokrotnie widziała, jak robią to właściciele psów), kupi karmę i pączka, postanowiła. Pączka z dżemem. Albo raczej dwa pączki z dżemem i kawę ze śmietanką i trzema porcjami cukru. Utyje... Ale jakie to miało znaczenie? Kto będzie ją teraz oglądał rozebraną? Kogo to obchodzi? Mogła przytyć, mogła zapuścić włosy, aż da się z nich zrobić warkocz francuski, mogła nosić teraz każdą jedną parę postrzępionych, spłowiałych majtek z elastyczną gumką, jakie były w jej posiadaniu. Nic nie miało już znaczenia. Pies rzucił Rose wdzięczne spojrzenie, jak tylko wyszli na zewnątrz, przebiegł truchtem do krawężnika, przysiadł i sikał, jak się wydawało Rose, całe wieki.

– Wybacz, że musiałaś tak długo czekać – powiedziała Rose. Pies prychnął. Rose nie była pewna, co ma o tym sądzić. Pies ten z pewnością sporo prychnął. Może to po prostu kwestia... rasy. Może to jakaś prychająca psia rasa. Nie miała pojęcia. Po Misi–Pysi, ich jednodniowym psie, ani ona, ani Maggie nie miały nic, poza złotą rybką. Zbyt dużo dodatkowej odpowiedzialności jak na ojca, dla którego dwie dziewczynki stanowiły ciężar wystarczający w zupełności. A potem, gdy wyprowadziły się z Maggie od Sydelle, ta zakupiła swojego arystokratycznego psa, psa z rodowodem i dokumentami na poparcie tego faktu.

– Jestem uczulony – powiedział wtedy ojciec.

– Nie wygłupiaj się – odparła Sydelle. I na tym stanęło. Chanel, idiotyczny golden retriever został. Ojciec cierpiał.

– Och, jaki śliczny mały mopsik! – zaszczebiotała ciemnowłosa kobieta i przyklękła, żeby pies mógł powąchać jej rękę. Mops, powiedziała do siebie Rose. A więc pies był mopssem. To już coś.

– Chodź! – Rose owinęła szalikiem dłoń, a piesek – zgodnie z życzeniem – szedł spokojnie tuż przy jej lewej nodze, aż do sklepu

samoobsługowego.

– Zostań – przykazała i przywiązała szalik do parkometru. Pies – mops – spojrzał na nią, jak zaproszony gość czekający na pierwsze danie.

– Zaraz wrócę – wytłumaczyła się Rose. Weszła do środka i spędziła dziesięć minut na studiowaniu zdumiewającej ilości opakowań z karmą dla psów, decydując się ostatecznie na worek z jedzeniem dla dorosłych, ale niewielkich osobników. Dokupiła plastikową miskę na jedzenie, dwa pączki z dżemem, kawę, kilogramowe opakowanie lodów i paczkę chipsów serowych, którą zdjęła z wystawy, obiecując, że będą najbardziej Serstrawagancką rzeczą, jaką kiedykolwiek jadła. Kasjer uniósł brwi spoglądając na owoce tej wyprawy. Rose często tu bywała, ale zazwyczaj kupowała gazety, czarną kawę i od czasu do czasu opakowanie Slim–Fastu.

– Jestem na wakacjach – wyjaśniła, zastanawiając się, dlaczego w ogóle czuła potrzebę wyjaśniania czegokolwiek facetowi w kasie w sklepie Wawa. Uśmiechnął się do niej i razem z paragonem wsunął do jej torby gumę do żucia.

– Udanego urlopu – powiedział. Rose odwzajemniła jego uśmiech, choć niezbyt przekonująco i wyszła przed sklep, gdzie czekał na nią pies, wciąż uwiązany przy parkometrze.

– Jak się nazywasz? – zastanawiała się głośno.

Pies po prostu patrzył.

– Ja jestem Rose. Jestem prawnikiem. Suczka maszerowała obok niej. Było coś w ustawieniu jej głowy, w tym, jak strzygła uszami, co wskazywało, że rzeczywiście słucha.

– Mam trzydzieści lat. Z wyróżnieniem ukończyłam Princeton, a potem szkołę prawniczą na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, gdzie byłam redaktorem „Przeglądu Prawniczego” i...

Czemu właściwie opowiada psu swój życiorys? To głupie. Pies nie ma zamiaru jej zatrudnić. Podobnie zresztą jak nikt inny. Wieści o niej i Jimie rozejdą się. Prawdopodobnie to już się stało, zdała sobie sprawę, spoglądając posepnie przed siebie. Wszyscy pewnie gadali o tym, jak jeszcze była w firmie, tyle że zbyt tępa i naćpana miłością, żeby się zorientować.

– Miałam romans – powiedziała Rose, gdy razem z suczką zatrzymały się na czerwonym świetle. Nastolatka z kolczykiem w wardze stojąca obok przyglądała jej się z zaciekawieniem, potem przyspieszyła. – Był taki facet – zrobiła pauzę. – Zawsze jakiś jest. W sumie był moim szefem, a okazał się... – z trudnością przełknęła ślinę. – Zły. Bardzo, bardzo zły.

Pies wydał z siebie krótkie szczeknięcie – rozpaczy? Potwierdzenia? Rose nie była pewna. Miała ochotę zadzwonić do Amy, ale sądziła, że nie da rady powiedzieć swojej najlepszej przyjaciółce, że ta miała rację, że Jim był dokładnie takim draniem, za jakiego go uważała... I że Maggie, jej siostra, przed którą otworzyła drzwi swojego domu, której próbowała pomóc, była jeszcze gorsza. Światło zmieniło się na zielone. Pies znowu zaszczekał i lekko pociągnął szal.

– To skończone – dodała Rose, żeby coś powiedzieć, jakoś zakończyć swoją opowieść, nawet jeśli mówiła tylko do psa, a pies nie słuchał. – Skończone – powtórzyła i przeszła na drugą stronę. Pies spojrzał na nią, potem znowu spuścił głowę. – No, więc, dziewczyna, która się tobą zajmowała, to była Maggie. Moja siostra – ciągnęła, idąc w stronę domu. – Będziemy cię musieli nakarmić, kupić ci smycz i dowiedzieć się, skąd jesteś. Trzeba cię oddać...

Zatrzymała się na rogu i jeszcze raz przyjrzała uważnie zwierzęciu: był

mały, koloru kawy, w zasadzie nieszkodliwy – uznała. Pies popatrzył na nią zadzierając łebek, po czym prychnął energicznie i, jak sądziła, lekceważąco.

– OK – powiedziała – nie musisz być wdzięczna.

Przeszła na drugą stronę i weszła do domu.

TTLR

Kto kiedykolwiek powiedział prawdę o małżeństwie? Z pewnością nie Ella. Ona i jej koleżanki mówiły o swoich mężach jak o dzieciach lub zwierzakach, traktując ich ogólnie jako dziwaczny gatunek, odpowiedzialny za nieciekawe zapachy i dziwne odgłosy oraz bałagan, który trzeba było posprzątać. Sprowadzały swoich mężów do haseł i okrągłych zdań. Rozmawiały o nich skrótami, kodem wywróconych oczu i zaimków „On... Jego... On nawet nie jada warzyw, więc jak mam wytłumaczyć dzieciom, żeby je jadły?... Bardzo chciałabym pojechać w ten rejs, ale oczywiście będę musiała jego zapytać...”

Ella też miała na podorędziu kilka anegdotek, historyjek, w których Ira wydawał się tak prosty, jak postać z bajki dla dzieci namalowana grubą kreską. Panie przy kolejnej partyjce brydza w jej domu zaśmiewały się z opowieści, jak to on nie pojedzie na wycieczkę dalej niż dwadzieścia mil bez słoika po majonezie na wypadek, gdyby nie odpowiadały mu toalety na stacji benzynowej, albo z osiemdziesięciu dolarów, które wydał na zestaw do robienia jogurtu. Nie lodów czy piwa, komentowała, a one śmiały się tak, że musiały wycierać łzy ciekące po policzkach, nie do czegoś, na co faktycznie miałyby ochotę, ale jogurtu. Ira, król jogurtowy.

To były historyjki, które opowiadała, ale nigdy nie mówiła prawdy o swoim małżeństwie. Nigdy nie opowiadała koleżankom, jak żyło się z kimś, kto w pewnym momencie stał się współlokatorem raczej niż mężem. Jakby został przypisany, by dzielić z nią pokój na czas podróży. Nigdy nie mówiła o jego przykrej dla niej uprzejmości; o sposobie, w jaki dziękował jej, gdy naląła mu kawy lub jak podawał jej ramię, gdy gdzieś wychodzili, na wesela czy przyjęcia bożonarodzeniowe u niego w pracy; jak trzymał ją pod ramię i

prowadził z samochodu na chodnik, jakby była ze szkła. Jakby była nieznajomą. I z pewnością nie wspominała, jak bez słowa zaczęli sypiać osobno, gdy Caroline poszła do szkoły, i jak Ira przeniósł się do pokoju dla gości w tydzień po wyjeździe Caroline do college'u. O takich rzeczach nigdy się nie mówiło i Ella nie miała nawet bladego pojęcia o tym, jak można zacząć taką rozmowę.

Głośne walenie do drzwi przstraszyło ją i wytrąciło z zadumy. Dobijała się pani Lefkowitz.

– Mistrzyni Dup? Jesteś tam?

Ella pospieszyła otworzyć, mając nadzieję, że nikt z sąsiadów nie usłyszał. Powłócząc nogami, pani Lefkowitz weszła do kuchni i sięgnęła do swojej ogromnej, szydełkowanej, różowej torby, by po chwili postawić na stole szklany słój.

– Korniszony – oznajmiła. Ella powstrzymała się od śmiechu i natychmiast przełożyła zawartość słoika na półmisek, podczas gdy staruszka weszła w salonie. – Jeszcze go nie ma?

– Jeszcze nie – zawołała Ella, zaglądając do piekarnika. Nigdy nie udało jej się rozgryźć specjalności kuchni na Florydzie, o ile takie istniały. W tych nielicznych przypadkach, gdy musiała gotować dla kogoś oprócz siebie, polegała na tych samych sprawdzonych przepisach, z których korzystała przez lata trwania swojego małżeństwa. Dziś poda mostek, placki ziemniaczane oraz przysmak z marchewki i suszonych śliwek, do tego zakupioną w piekarni chałkę i korniszony pani Lefkowitz oraz dwa rodzaje ciasta i placek z owocami. Za dużo jedzenia, pomyślała, za dużo jak na nich troje, i za ciężkie na te upalne tutejsze noce, ale gdy biegła do sklepu po zakupy i potem krzątała się po swojej za małej kuchni, czynności te odwracały jej uwagę od faktu, jak bardzo była zdenerwowana.

– Chciałbym poznać twoich znajomych – powiedział Lewis. A jak miała mu wyjaśnić, że tak naprawdę nie posiada tu żadnych znajomych? Pomyślałby, że zwariowała albo coś z nią jest nie tak. A pani Lefkowitz była jeszcze bardziej uparta.

– Gentleman! – chichotała, gdy Ella popełniła ten błąd i pozwoliła Lewisowi pomóc sobie w pracy przy rozwożeniu posiłków. Chodziła za Ellą po kuchni, stukając po podłodze swoją laską. – Jest przystojny? Ma przyzwoity dochód? Wdowiec czy rozwiedziony? Tupecik? Rozrusznik? Jeździ samochodem? Jeździ też w nocy?

– Wystarczy! – wykrzyknęła Ella śmiejąc się i podnosząc ręce w uniwersalnym geście kapitulacji.

– No, więc ustalone – powiedziała pani Lefkowitz, prezentując swój asymetryczny uśmiech, który rozciągał się tylko do jednego jej ucha.

– Co jest ustalone? – zapytała Ella.

– Zapraszasz mnie na obiad. Takie wyjście dobrze mi zrobi. Przynajmniej tak twierdzi mój lekarz – beztróska objaśniła i wzięła ze stolika pilota z wyświetlaczem dotykowym. – Powiedzmy o piątej?

To było trzy dni temu. Ella spojrzała na zegarek. Pięć po piątej.

– Spóźnia się! – doniosła usłużnie pani Lefkowitz z kanapy w salonie. Wtedy usłyszały pukanie.

– Dzień dobry paniom! – przywitał się Lewis. Miał ze sobą bukiet tulipanów, butelkę wina i coś w kwadratowym, kartonowym pudełku, które trzymał pod pachą. – Pachnie tutaj wspaniale!

– Zrobiłam za dużo – powiedziała Ella słabym głosem.

– Więc zostanie ci na jutro – odparł i wyciągnął rękę do pani Lefkowitz, która, jak zauważyła Ella, poprawiła usta nakładając świeżą warstwę szminki w kolorze geranium.



– Witam, witam – zagruchała, lustrując go dokładnie, gdy po– magał jej wstać.

– Pani Lefkowitz, na pewno się nie mylę – zwrócił się do niej Lewis. W kuchni Ella wstrzymała oddech w nadziei, że w końcu dowie się, jak pani Lefkowitz ma na imię. Ale zamiast tego pani Lefkowitz zachichotała kokieteryjnie i pozwoliła Lewisowi poprowadzić się do stołu.

Po obiedzie, deserze i kawie, którymi uraczyli się w salonie, pani Lefkowitz westchnęła z zadowoleniem, po czym lekko jej się odbiło.

– Czas na mnie – oznajmiła i wykuśtykała, znikając w mroku nocy Lewis i Ella wymienili uśmiechy.

– Przyniosłem ci coś – powiedział Lewis.

– Och, nie powinienes był – spieszyła się Ella, gdy Lewis sięgnął po swoje kartonowe pudełko. Czuła, jak serce jej się kurczy i zamienia w lodową kulę, gdy ujrzała, co przyniósł. Album.

– Wtedy, wieczorem, opowiadałem ci o mojej rodzinie, więc pomyślałem, że może chciałabyś zobaczyć kilka zdjęć – mówiąc do niej, sadowił się wygodnie na kanapie, jakby nie było to wcale niezwykle ani też przerażające. Jakby była to najprostsza rzecz na świecie – otworzyć album i popatrzeć przeszłości prosto w oczy. Miała wrażenie, że twarz jej zastygła, ale zmusiła się do uśmiechu i usiadła obok niego.

Lewis otworzył album. Najpierw były zdjęcia jego rodziców, stojących sztywno w dawno niemodnych ubraniach, a także Lewisa i jego braci. I była Sharla, w czymś pomarańczowym, jasnoróżowym albo turkusowym (a od czasu do czasu wszystkich trzech razem), oraz ich syn. Były zdjęcia domu Lewisa i Sharli w Utica, rancza z donicami róż przy drzwiach frontowych.

– To zakończenie szkoły średniej Josha, albo może college'u?... Tu jesteśmy nad Wielkim Kanionem, prawdopodobnie rozpoznałaś go bez

mojej pomocy... A to kolacja z okazji mojego przejścia na emeryturę. Przyjęcia weselne, z okazji bar micwy, zdjęcia na plaży i w górach; zdjęcia dzieci.

Ella zniosła je wszystkie, uśmiechając się i potakując, i mówiąc wszystkie właściwe rzeczy, aż w końcu, Bogu dzięki, Lewis zamknął album.

– A ty?

– Co ja?

– Pokażesz mi twoje zdjęcia?

Pokręciła głową.

– Nie mam zbyt wielu – powiedziała mu. I to była prawda. Kiedy z Iram sprzedali dom w Michigan i przeprowadzili się tutaj, bardzo dużo rzeczy oddali na przechowanie – meble i zimowe płaszcze, kartony rzeczy, kartony książek. I wszystkie swoje zdjęcia. Za bardzo bolały. Ale może...

– Poczekaj! – podeszła do szafy w sypialni i sięgnęła za pudła z ubraniami i dodatkowymi ręcznikami, szukając starej torebki, w której znajdowała się czysta, biała koperta, a w niej kilka zdjęć. Wróciła na kanapę i pokazała Lewisowi pierwsze z góry – ona i Ira stoją w mgiełce drobnych kropel wodospadu Niagara w czasie swojej podróży poślubnej.

Lewis uważnie studiował zdjęcie, przyglądając mu się pod różnymi kątami w świetle lampki stojącej na stoliku obok kanapy.

– Wyglądasz na zmartwioną – odezwał się w końcu.

– Może byłam – westchnęła Ella przeglądając zdjęcia. O, jest Ira pozujący przed tablicą „Sprzedane” postawioną przed ich domem w Michigan, Ira za kierownicą ich pierwszego samochodu. I wreszcie, na samym końcu, zdjęcie ich obojga z Caroline.

– Proszę – podała Lewisowi zdjęcie. Sąsiad zrobił je tego dnia, gdy przyjechała z Caroline ze szpitala. Ella stała w tle, ze swoją małą walizką, a

Ira przy drzwiach, z Caroline, mającą wtedy trzy dni, opakowaną w różowy kocyk, spoglądającą podejrzliwie z wysokości jego ramion. – Moja córka – powiedziała, przygotowując się na to, co miało teraz nastąpić. – Caroline.

– Była ślicznym bobasem – ocenił.

– Miała czarne włosy. Głowę pełną czarnych włosów – wspominała Ella. – I płakała, jak się wydawało, non stop przez rok.

Przeszła do ostatnich dwóch zdjęć. Caroline i jej ojciec, pozujący w łódce, w takich samych czapkach i kamizelkach wędkarskich. I na końcu Caroline w dniu ślubu, z Ellą stojącą nad nią i układającą jej welon.

– Piękna dziewczyna – stwierdził Lewis. Ella nic nie odpowiedziała. Nastąpiła cisza. – Nie chciałem mówić o Sharli przez całe miesiące – Lewis odważył się przerwać milczenie. – Więc zrozumieć, jeśli nie chcesz o tym rozmawiać. Ale czasami dobrze jest po prostu pogadać. Powspominać dobre czasy.

Czy z Caroline były jakieś dobre czasy? Wydawało się, że wszystko, co pamięta, sprowadza się do smutku, cierpienia i niekończących się nocy pełnych niepokoju, gdy czekała z szeroko otwartymi oczami, nasłuchując w ciemnościach skrzypnięcia drzwi (lub okna, gdy Caroline miała szlaban). Pamięta, jak siedzi w salonie na małej kanapie obitej złotym aksamitem, czując się jak w małej trumnie, zbyt wąskiej, żeby się położyć, i czeka, aż Caroline wróci do domu.

– Tak... – zaczęła Ella. – Była taka piękna... Wysoka, miała brązowe oczy, cudowną skórę i była... taka żywa. Zabawna. – Szalona – wyszeptano coś w jej głowie. – Chora psychicznie – powiedziała zamiast tego. – Psychoza maniako–depresyjna. Dwubiegunowa, tak to nazywają. Dowiedzieliśmy się, gdy chodziła do liceum. Zdarzały się różne... incydenty. – Ella zamknęła oczy, przypominając sobie, jak Caroline

zabarykadowała się w pokoju na trzy dni, odmawiając jedzenia i wrzeszcząc przez drzwi, że ma we włosach mrówki i czuje je, gdy śpi.

Lewis wydał bliżej niesprecyzowany odgłos wyrażający współczucie.

Ella mówiła dalej, słowa wypływały jedno przez drugie, jakby zbyt długo do tej pory je powstrzymywała.

– Chodziliśmy do lekarzy. Do wszystkich możliwych lekarzy. A oni dawali jej leki, które w pewnym sensie pomagały, ale otumaniały ją. Trudno jej było myśleć, tak mówiła. – Ella pamiętała, jak wyglądała Caroline zażywając lit, jej napuchnięta twarz była prawie jak piłka, w dodatku cała blada, a ręce przypominały ogromne rękawice, jak u postaci z kreskówek, no, i ziewała przez cały dzień. – Czasami je brała, a potem przestawała, choć mówiła, że bierze, a potem... – Ella odetchnęła głęboko, cała drżąc. – Wyszła za męża i wszystko wydawało się dobrze układać. Miała dwie córki. I umarła w wieku dwudziestu dziewięciu lat.

– Co się stało? – zapytał delikatnie Lewis.

– Wypadek samochodowy – odpowiedziała Ella. Co było prawdą. W każdym razie, w pewnym sensie. Caroline była w samochodzie. Samochód się rozbił. Ona zginęła. Ale to, co wydarzyło się wcześniej, też było prawdą, a mianowicie, że Ella nie wkroczyła w odpowiednim momencie, choć powinna była. Uległa nieustannym błaganiom córki, żeby zostawić ją w spokoju i pozwolić żyć własnym życiem. Zrobiła to z uczuciem rezygnacji i smutku, i jeszcze wielkiej ulgi, i wstydziła się tego tak, że nie potrafiła o tym mówić – ani Irze, ani nikomu innemu. Dzwoniła do Caroline co tydzień, ale odwiedzała ich tylko dwa razy w roku, przyjeżdżając na weekend. Zamiast przyjmowania faktów, stworzyła sobie fikcję – Córkę u boku Męża. Znajomym pokazywała zdjęcia, jakby rozgrywała zwycięską partię pokera – „Caroline i jej mąż”, „Caroline i Rose”, „Caroline i

Maggie”. Przyjaciółki och- ały i uch- ały, a Ella przez cały czas przeczuwała prawdę – zdjęcia były piękne, ale rzeczywistość Caroline była czymś zupełnie innym. To były poszarpane skały czające się pod łagodnymi grzbietami fal, przezroczysty lód na chodniku.

– Wypadek – powtórzyła, jak gdyby Lewis kwestionował to, co powiedziała, ponieważ „wypadek samochodowy” był prawdą w zupełności wystarczającą i nieważne, że potem przyszedł list. Znalazła go w skrzynce dzień po pogrzebie, wysłany z Hartford w dniu śmierci Caroline, składał się z dwóch linijek, napisany na kartce w szerokie linie wyrwanej ze szkolnego zeszytu. Litery były chwiejne, skreślone słabą ręką. „Już dłużej nie mogę. Zaopiekuj się moimi dziewczynkami”.

– A wnuczki? – głos Lewisa cały czas był bardzo łagodny.

Ella zakryła twarz rękami.

– Nie znam ich...

Ręka Lewisa zataczała ciepłe kręgi na jej plecach.

– Nie musimy o tym rozmawiać – powiedział uspokajająco. Ale on nie wiedział, a ona nie potrafiła mu wyjaśnić. Jak mógłby kiedykolwiek zrozumieć pragnienie śmierci, które nosiła w sobie Caroline i jak z czasem, z każdym rokiem unikanie jej problemów, umywanie rąk stawało się coraz łatwiejsze. Caroline powiedziała: „Zostawcie mnie w spokoju”, więc zostawiła ją w spokoju, a Michael Feller powiedział: „Będzie lepiej, jak zostaniemy sami” – i Ella pozwoliła mu się odepchnąć, tłamsząc smutek zmieszany z tym skrywanym, wstydliwym uczuciem ulgi. A teraz nigdy nie pozna swoich własnych wnuczek. I sama sobie na to zasłużyła.

Rose obudziła się w poniedziałek, potem we wtorek, w środę, jak również w czwartek z myślą, że to właśnie będzie ten dzień – dzień, gdy weźmie prysznic, umyje zęby, wyniesie suczkę ukradkiem przez frontowe drzwi na spacer, wróci do domu, przywdzieje swój kostium i rajstopy, wyciągnie teczkę z szafy w przedpokoju, po czym pójdzie do pracy, jak cała reszta świata.

Każdego ranka budziła się pełna energii i dobrych chęci. Pod prysznicem powtarzała sobie, że chiński symbol kryzysu jest jednocześnie symbolem nowych możliwości. Wyprowadzała suczkę do Rittenhouse Square, a potem spoglądała na południe, gdzie na tle nieba wznosił się wieżowiec, w którym firma Dommel, Lewis i Fenick miała swoją siedzibę. Był jak pięćdziesięciodwupiętrowy wyrzut i jej serce w tym właśnie momencie zamierało. Tak naprawdę nie tylko serce, ale dosłownie wszystko – wszystkie jej wewnętrzne organy co do jednego, nerki, wątroba i cała reszta, którą miała w środku, wszystko kuliło się i wzdrygało, myśląc: „Nie” i „Nie mogę” oraz „Nie dziś”. Tak więc, wracała do domu i dzwoniła do Lisy, swojej sekretarki i wyjaśniała, że wciąż jest chora.

– Myślę, że to grypa – chrypiała w poniedziałek.

– OK – powiedziała Lisa. Lisa, która nigdy nie marnowała na Rose więcej słów niż to było absolutnie konieczne. Jednak w końcu tygodnia Lisa nie brzmiała już tak tolerancyjnie i zdecydowała się obdarzyć Rose pełnym zdaniem.

– Ale będziesz w poniedziałek, prawda?

– Jasne – Rose starała się zabrzmieć rzeczowo, kompetentnie i pewnie. – Oczywiście – potwierdziła. – Na pewno.

Po czym opadła na kanapę i zaczęła oglądać *Historię jednego ślubu*. W czasie tego wolnego tygodnia zdążyła się uzależnić od tego programu. Trwał pół godziny i był dopracowany jak najlepszy sonet lub dowód twierdzenia geometrycznego. Część pierwsza: *Poznaj Młodą Parę* (wczoraj panną młodą była Fern, ekspedientka 206 w aptece, a panem młodym Dave, dwadzieścia lat starszy kierowca tira z imponującą brodą). Część druga: Jak się poznali („Wszedłem po Ranigast! – huknął

Dave – I oto ona, za ladą. Najpiękniejsza dziewczyna na świecie”). Część trzecia: Plany weselne (Fern i Dave chcą urządzać ceremonię w Radissonie. Potem obiad i tańce, z synami Dave'a z dwóch poprzednich małżeństw w roli drużbów). Ostatnia część: Wielki Dzień (Fern szła wzdłuż nawy: zjawisko w kolorze złamanej bieli. Dave płakał. Rose także).

I tak przez cztery dni z rzędu. Jadła pączki i płakała przy każdej parze młodej, każdej sukience, każdej matce, każdej teściowej, każdym pocałunku i pierwszym tańcu; przy przysadzistych pracownikach opieki społecznej z Alabamy, nauczycielkach z New Jersey, dziewczynach z obsługi technicznej z San Jose z prawdziwymi, widocznymi wąsami, kobietach z nieciekawą skórą, nieciekawą trwałą i nieciekawą gramatyką. „Każdy inny człowiek na świecie umie to zrobić – pomyślała, gdy suczka ulokowała się na jej kolanach i zaczęła zlizywać jej łyzy. – Każdy – oprócz mnie.

W sobotę rano zaczął dzwonić telefon. Rose zignorowała go, założyła psu smycz, którą w końcu zakupiła i szybko wyszła z mieszkania, nie zauważając, że zapomniała zdjąć kapcie, swoje puszyste kapcie z króliczkami. Wielkie rzeczy. Bezdomny facet popatrzył na nią z uznaniem.

– Dobrze wyglądasz, kotku! – zawołał. „No cóż, to nawet pokrzepiające”, pomyślała Rose. – Przy kości, ale całkiem nieźle! „OK”, poprawiła się, może niezbyt pokrzepiające. Przez dwadzieścia minut

pozwoliła psu obwąchiwać żywopłoty, hydranty, podstawy parko– metrów i zady innych psów, a gdy wróciła, telefon wciąż dzwonił, jak gdyby w ogóle nie przestał. Dzwonił, a ona stała jak ołowiana figurka pod prysznicem, pozwalając wodzie z szumem spadać na głowę i próbując wykrzesać trochę energii na umycie włosów. W końcu o piątej zniecierpliwionym ruchem ręki przystawiła słuchawkę do ucha.

– Co? – warknęła.

– Co się, do cholery, z tobą dzieje? – Amy zażądała wyjaśnień. – Zostawiłam ci czternaście wiadomości w pracy, wysłałam sześć maili, wieczorem byłam pod twoimi drzwiami... – umilkła.

Rose jak przez mgłę pamiętała stukanie do drzwi, z którym poradziła sobie nakładając na głowę poduszkę i pozostawiając ją tak, aż pukanie ustało.

– Twoja sekretarka mówi, że jesteś chora, a moja koleżanka Karen widziała cię wałęsającą się koło Rittenhouse Square w piżamie i w kapciach.

– Nie wałęsałam się. I nie byłam w piżamie – powiedziała wyniośle, odkładając sprawę kapci na później. – To dres.

– OK, w porządku! Więc co się dzieje? Jesteś chora?

Rose z tęsknotą spojrzała na telewizor, a potem zmusiła się do odwrócenia głowy.

– Muszę z tobą porozmawiać – wyznała w końcu.

– Spotkajmy się w La Cigale za piętnaście minut – Amy zareagowała błyskawicznie. – Albo lepiej za pół godziny. Musisz znaleźć jakieś normalne ubranie. Nie sądzę, że cię wpuszczą w twojej piżamce.

– To nie była piżama! – powtórzyła z irytacją Rose, ale Amy zdążyła już odłożyć słuchawkę. Więc zrobiła to samo i wyruszyła na poszukiwanie butów.



– No, dobrze... – zaczęła Amy, która zamówiła już kawę i parę babeczek wielkich jak rękawice baseballowe. – Co on zrobił?

– Hmm?

– Jim – Amy zniecierpliwiła się. – Wiem, że to wszystko wina tego sukinsyna. Powiedz mi, co zrobił, to wymyślimy, jak mu odpłacić.

Rose uśmiechnęła się leciutko. Przez lata spotykania się z nieodpowiednimi facetami Amy doprowadziła do perfekcji swoją filozofię nieudanych związków i wiedziała przynajmniej, jak się zachować, gdy się kończą. Etap pierwszy, miesiąc żałoby (dwa tygodnie, jeśli nie było seksu). Etap drugi: jeśli cię zostawił lub zdradzał, możesz sobie pozwolić na jeden skandaliczny akt zemsty (jej ostatni chłopak, zagorzały weganin, musiał być w szoku, gdy okazało się, że został zapisany do Klubu Miłośników Podrobów, obchodzącego właśnie Tydzień Smażonej Wątróbki). Etap trzeci: dojść do siebie. Żadnych żalów, rozczulania się nad sobą, późnych przejażdżek pod jego domem czy telefonów po kilku drinkach. Trzeba ruszać w przyszłość po nową przygodę.

– No, więc?

– Zdradził mnie.

– Wiedziałam. – Amy zmrużyła oczy, machnąwszy przy tym pogardliwie ręką. – No, więc, jak mu się odwdzięczymy? Upokorzenie w pracy? Anonimowy list do firmy? Coś obrzydliwego w jego samochodzie?

– Na przykład, co?

– Pasta z anchois! Kilka naciśnieć tubki do schowka i jego Lexus już nigdy nie będzie taki sam.

– Nie chodzi tylko o niego.

– A mianowicie?

– To była Maggie – westchnęła Rose.

Amy wypadł z ust kawałek babeczki.

– Cooo?

– Maggie – powtórzyła. – Przyłapałam ich. – Tyle razy powtarzała te słowa w swojej głowie oraz do psa, że kiedy ostatecznie wypowiedziała je głośno do drugiej osoby, czuła jakby recytowała wiersz, którego nauczyła się przed laty. – Jak weszłam do mieszkania, byli w łóżku. I Maggie miała na sobie moje nowe botki.

– Via Spiga? – w głosie Amy słychać było jeszcze większe przerażenie niż przed minutą. – Rose, tak mi przykro, to świństwo...

„Ale nie zaskoczenie”, pomyślała Rose.

– O, Boże! – Amy miała zboląły wyraz twarzy – Ta mała suka! Rose pokiwała głową. – Jak ona mogła?

Rose wzruszyła ramionami.

– Po tym, jak ją przygarnęłaś, pewnie dawałaś pieniądze, próbowałaś pomóc... – Amy wywróciła oczy do sufitu. – Co zrobimy? – Nie chcę jej więcej widzieć. – Taa... Wyobrażam sobie, że miłe spędzenie Święta Dziękczynienia w gronie rodzinnym może być w tej sytuacji nieco utrudnione. Gdzie jest teraz Panna Gorące Majteczki?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała przygnębiona Rose. – Pewnie z ojcem i Sydelle.

– W takim razie już cierpi. A jak z tobą?

– O, ja cierpię okropnie – westchnęła Rose i pogrzebała w swojej babeczce.

– Co ja mogłabym zrobić dla ciebie?

Rose wzruszyła ramionami.

– Myślę, że trzeba po prostu dać sobie trochę czasu.

– Plus terapia zakupowa – oznajmiła Amy, biorąc Rose za rękę, żeby ta wstała. – Centrum handlowe wzywa. Poczujesz się lepiej, zobaczysz. Chodź!

Całe popołudnie Rose i Amy wędrowały po centrum handlowym King of Prussia. W końcu Rose udało się wypełnić trzy torby rzeczami, których nie potrzebowała. Wrzucała do koszyka wszystko, co wpadło jej w oczy i dawało choć promyk nadziei na naprawę życia – ulepszenie jej samej. Zakupiła więc peelingi i kremy nawilżające. Zakupiła świece aromatyzowane lawendą oraz sztuczną kość z aromatem wołowiny, a także elegancką torebkę wyszywaną koralikami za dwieście dolarów. Nabyła szminki, błyszczyki do ust i konturówki, trzy pary butów i czerwoną kaszmirową spódnicę do kostek, choć nie potrafiła wyobrazić sobie, że w niej kiedykolwiek wyjdzie. Na koniec poszła do księgarń.

– Pomóż sobie sama? – zaśmiała się Amy, cytując tytuły – Lepszy seks dzięki jodze? Dziesięć przebiegłych kroków, jak usidlić Pana Wspaniałego?

Rose również parsknęła śmiechem i zlokalizowała półkę z beletrystyką. Po dziesięciu minutach zgromadziła stertę książek w miękkich, błyszczących okładkach, traktujących o kobietach, które znalazły miłość, straciły ją, a potem odnalazły ponownie.

– Pamiętaj, ciągle mam tę pastę z anchois, gdybyś zmieniła zdanie – powiedziała Amy już na parkingu. – A jeśli chcesz, by osoba bezstronna przemówiła panie Maggie May do rozumu...

– Nie jesteś bezstronna – przerwała jej Rose.

– No, dobra, nie jestem – zgodziła się Amy – Ale gram bezstronną w telewizji. – Spojrzała na zegarek. – Chcesz, żebym poszła z tobą do domu? A może ty pójdziesz ze mną? Idę do mamy na kolację...

Rose pokiwała odmownie.

– Dam sobie radę – powiedziała, myśląc, że jakoś przeżyje bez wieczoru w domu matki Amy, która tradycyjnie poda makaron, a potem przez kilka godzin folgować będzie swojej pasji – prezentowaniu im kolekcji lalek i biżuterii, kupowanych w systemie telezakupy za pośrednictwem kanału QVC.

– Zadzwoń do mnie w takim razie. Poważnie! – Rose obiecała zadzwonić.

W domu wykonała pierwszy krok w stronę normalnego życia i dała psu kość, a potem zmusiła się do odsłuchania wszystkich czterdziestu trzech wiadomości nagranych na sekretarce. Szesnaście od Amy, dwanaście z pracy, trzy od ojca, kilka od telemarketerów, sześć od inkasentów i jedna zadziwiająca wiadomość od kierownika International House of Pancakes z zaproszeniem na rozmowę kwalifikacyjną w wygodnym dla niej terminie. Zostawiła ojcu wiadomość, że żyje i miewa się dobrze, resztę wymazała i zasnęła na pełne osiemnaście godzin. W niedzielę rano – postanowiła nieodwołalnie, że będzie to ostatni dzień rozczulania się nad sobą – zadzwoniła do Amy, że wciąż żyje, nawet jeśli nie miewa się zbyt dobrze. Założyła czerwoną, kaszmirową spódnicę, umalowała usta, włożyła do kieszeni jedną ze świeżo zakupionych książek, nałożyła psu smycz i wyszła usiąść na swojej ulubionej ławce w parku. Nadszedł czas decyzji.

– Za – szeptała do siebie. – Jestem prawnikiem, i to jest niezła praca. Przeciw – powiedziała, podczas gdy pies stał przy jej nodze, sapiąc. – Robi mi się niedobrze na samą myśl, że miałabym tam pójść. – Otworzyła książkę, wyciągnęła z kieszeni pióro i zaczęła pisać tuż obok zapierających dech w piersiach wypowiedzi ozdabiających pierwsze kilka stron wszystkich książek, które nabyła („Dowcip, wartka akcja, erotyzm i seks – prawdziwa

rozrywka! '). „Za” – napisała na wewnętrznej stronie okładki – „jeśli pójde do pracy, będę miała pieniądze. Przeciw... ” Suczka przy jej nodze szczerknęła krótko. Rose spojrzała w jej stronę i zobaczyła drugiego psa. Dziwne, nakrapiane, drżące stworzenie rozmiarów kota wskoczyło na ławkę i siedziało teraz obok niej, przyglądając się jej uważnie nieustraszonymi, czarnymi oczami.

– Cześć – powiedziała i pozwoliła psu obwąchać rękawiczkę. – Kim jesteś? – przyjrzała się uważnie znaczkowi na obroży. Cóż to za imię Nifkin?! Prawdopodobnie nie angielskie. – Idź do domu – popędziła cętkowanego psa, któremu przy każdym oddechu drgały wąsy. – Idź do pana.

Pies po prostu patrzył na Rose, pozostając w bezruchu. Rose postanowiła nie zwracać na niego uwagi. „Przeciw” – kontynuowała. Zamknęła oczy i poczuła, jak ogarnia ją fala mdłości, gdy wyobraziła sobie, jak idzie do windy, wychodzi na swoim piętrze mijając miejsca, w których była tak zakochana w Jimie i wyobrażała sobie, że on też ją kocha.

– Przeciw – powtórzyła i otworzyła oczy. Nifkin wciąż jeszcze siedział obok niej, ale teraz dołączyła do niego mała dziewczynka w czerwonym płaszczyku, która stała przed nią. Miała czerwone rękawiczki i czerwone gumowe buty oraz włosy koloru syropu klonowego spięte w cieniutki koński ogon w kształcie marchewki. „Jezu – pomyślała Rose – co jest? Czy ja jestem jakąś pieprzoną Królową Śnieżką?”

– Pies! – oznajmiła dziewczynka i pomachała pięścią w rękawiczkę z jednym palcem.

– Zgadza się – powiedziała Rose, a mops prychnął lekko podniekcytowany. Dziewczynka pochyliła się i pogłaskała mopsa po głowie. Mops cały się wiercił z zadowolenia. Tymczasem drżący mały Nifkin

zeskoczył z ławki i usiadł obok dziewczynki, oboje więc patrzyli na Rose z zadartymi głowami.

– Jestem Joy – przedstawiła się dziewczynka.

– Witaj – Rose odrzekła głośno i pogodnie. – To jest... – O, mammo! Wciąż nie miała pojęcia, jak wabi się ten pies. – To jest suczka, którą wyprowadzam!

Dziewczynka skinęła, jakby wszystko to było jak najbardziej zrozumiałe, pociągnęła smycz Nifkina i podreptała na spacer po parku. Tymczasem podeszła do nich kobieta o białych włosach i w okularach słonecznych.

– Petunia? – zawołała. – Czy to jest Petunia?

„Petunia”, pomyślała Rose. Mops odwrócił głowę w jej stronę. Rose pomyślała, że dostrzega w jej spłaszczonych rysach cień zakłopotania.

– Witaj, Petunio – kobieta pozdrowiła psa, a Petunia prychnęła isticie po królewsku. – A więc Shirley wróciła już z Europy?

– Ehm... – odkaszlnęła zakłopotana Rose. Nie liczyła się z tego typu spotkaniem. – Sądziłam, że oddała ją do hotelu dla psów aż do przyszłego miesiąca – ciągnęła kobieta.

Rose dostrzegła tę deskę ratunku i uchwyciła się jej z całej siły.

– Zgadza się – odparła nieco nerwowo. – Mamy nową usługę... Spacer. No, wie pani, trochę świeżego powietrza, wycieczka po znajomej okolicy, spotkanie ze znajomymi...

– Wspaniały pomysł! – przyklasnęła kobieta, podczas gdy podeszły do nich dwa inne psy: wielki, czekoladowy, z szerokim wężowatym ogonem i brykający czarny pudel z wywieszonym, czerwonym jęzorem. – Więc pracuje pani w schronisku?

– Zasadniczo pracuję... na zlecenie – brnęła dalej Rose. Przypomniła

sobie bajkę o królownie, na którą rzucono klątwę: ilekroć otworzyła usta, wyskakiwały jej z buzi żaby i ropuchy. Rose uznała, że została dotknięta podobnym nieszczęściem. Gdy otwierała usta, wydostawały się z nich nie pokryte brodawkami płazy, ale równie obrzydliwe kłamstwa. – Wyprowadzam psy oddane do hotelu, ale pracuję również dla klientów indywidualnych, na telefon...

– Ma pani wizytówkę? – zapytał starszy facet na końcu smyczy pudła. Rose udała, że szuka po kieszeniach i nie znajduje rzeczonych wizytówek.

– Przepraszam. Musiałam zostawić w domu...

Facet wyciągnął z kieszeni długopis i kartkę i Rose nagryzmoliła swój domowy numer telefonu, a potem dodała Rose Feller, "Wyprowadzanie psów pod spodem". A po chwili stała w samym środku płataniny smyczy i sierści różnej maści, oraz gromady gadatliwych właścicieli psów, co do jednego, jak się wydawało, szukających odpowiedzialnego opiekuna dla swoich ulubieńców.

Tak, poinformowała Rose, pilnuje też kotów. Nie, nie prowadzi tresury, ale będzie uszczęśliwiona możliwością zaprowadzenia psów na taki kurs.

– Opiekunka psów! – zawołała kobieta w powyciąganym, zielonym swetrze. Jej pies zawieszony był tak nisko nad ziemią jak Petunia ale, na oko, dwa razy większy, w dodatku miał pomarszczoną mordę, a z potężnego pyska kapą mu ślina. – Weekend przed Dniem Pamięci? – spytała.

– Będę na miejscu – zgodziła się Rose. Petunia i pomarszczony pies obwąchali się w bardzo poważny i uroczysty sposób, jakby należeli do tego samego klubu i wymieniali potajemny uścisk dłoni.

– Ma pani pozwolenie? – dociekała kobieta w rytmie szybkiego

staccato, jak były instruktor musztry w stopniu sierżanta. – Pozwolenie? Licencję? Ubezpieczenie?

– Yhm... – wyjąkała Rose. Widownia wstrzymała oddech. – Kończę załatwiać formalności. W przyszłym tygodniu będzie po wszystkim – oznajmiła notując w pamięci, że musi się dowiedzieć, co zrobić, żeby zostać zarejestrowanym i ubezpieczonym wyprowadzaczem psów.

– A stawki?

„Stawki”, pomyślała.

– Yhm... dziesięć dolarów za spacer, dwadzieścia pięć za cały dzień opieki. – Ich miny pozwoliły jej się domyślić, że znaleźli prawdziwą okazję. – To moja specjalna oferta dla nowych klientów – uzupełniła przezornie. – Ale, oczywiście, jeśli wolicie zostawić psy w hotelu, mogę odbierać je stamtąd i codziennie zabierać na spacer do parku. Coś w rodzaju dwóch pieczeni na jednym ogniu. Wystarczy zadzwonić!

– Kto to jest Shirley? – zapytała mopsa, który nie odpowiedział. – Naprawdę masz na imię Petunia? – drażyła bezcelowo. Suczka dalej nie zwracała na nią uwagi, idąc posłusznie w stronę Wytwornej Łapy. Gdy wchodziły, zabrzączał dzwoneczek nad drzwiami i kobieta za biurkiem poderwała się na równe nogi.

– Petunia! – krzyknęła, gasząc papierosa. Petunia szczeękła i zaczęła merdać nie tylko ogonem, ale prawie całą swoją tylną połową. – Och, dzięki Bogu! Myślałam, że tu zwariujemy!

– Dzień dobry – przywitała się Rose, gdy kobieta wybiegła zza lady i przyklękła na podłodze głaszcząc Petunię od łba do ogona. – Gdzie ją pani znalazła?! – kobieta ominęła powitalne konwenanse. – Boże, prawie odchodziliśmy od zmysłów! Właścicielki nie będzie jeszcze przez trzy tygodnie, ale nie chcieliśmy do niej dzwonić... To znaczy, może sobie pani



wyobrazić? Zostawia pani psa i leci do Europy, a tu telefon, że pies zginął?

– kobieta wyprostowała się, poprawiając džinsowe ogrodniczki i przyglądając się Rose zza swoich mocno pokreconych, siwych loków. – Gdzie ją pani znalazła?

– W parku – Rose zdecydowała już, że wykorzysta cały swój miesięczny limit kłamstw – nie, roczny nawet – tego jednego dnia. – Nie wyglądała, jakby się zgubiła czy coś, ale ja ją znam... To znaczy, nie znam jej, ale widywałam ją w parku już wcześniej i pomyślałam sobie, że może również ją znacie...

– Dzięki Bogu – kobieta jeszcze raz odetchnęła głęboko, biorąc Petunię na rękę. – Naprawdę się martwiliśmy. Mopsy są bardzo delikatne... Łapia wszelkie możliwe przeziębienia, infekcje dróg oddechowych, wszystko, co się napatoczy... Nie wiem, kto się nią zajmował przez ostatnie kilka tygodni, ale wygląda to na dobrą robotę. – Spojrzała z powrotem na Rose. – Oczywiście, jest nagroda...

– Nie, nie – powiedziała Rose. – Cieszę się, że wróciła tam, gdzie jej miejsce...

– Nalegam – kobieta jak strzała znalazła się z powrotem za ladą i otworzyła kasę. – Jak się pani nazywa? Mieszka pani w pobliżu?

– Eee... – zakłopotana się Rose – Rzeczywiście, mieszkam w Dorchester, pracuję w firmie Lewis, Dommel i Fenick. Ale chodzi o coś innego. Otwieram swoją firmę. Wyprowadzanie psów.

– No, cóż, jest już kilka w okolicy – westchnęła kobieta, rzucając Petunii herbatnik, który ta złapała w locie i zaczęła głośno pałaszować.

– Wiem – powiedziała Rose. – Ale moja będzie inna. Myślę o wyprowadzaniu psów, które przebywają w hotelu. Żeby mogły zaczerpnąć świeżego powietrza i poruszać się trochę. Teraz kobieta wyglądała na

umiarkowanie zainteresowaną.

– Ile?

– Dziesięć dolarów za spacer... – widząc, jak czoło właścicielki zaczyna się marszczyć, Rose dodała: – Które podzielimy między sobą. Ze względu na fakt, że to nowa firma.

– Więc oni płacą dziesięć dolarów za spacer, a ja dostaję pięć?

– Zgadza się! Przez pierwszy miesiąc. Potem zobaczymy, jakie będą efekty. – Już zaczynała w głowie obliczenia: pięć dolarów za spacer, jakieś dziesięć psów na dzień w hotelu plus dodatkowe trzy lub cztery za dziesięć dolarów.. – Mogę po drodze załatwić coś dla właściciela – kontynuowała Rose, myśląc o tych wszystkich rzeczach, na które zawsze chciała znaleźć czas w swoim zabieganym życiu prawnika. Takich jak pralnia, zakupy, umówienie wizyty u dentysty czy lekarza, odebranie czegoś... – Jeśli chce mnie pani wypróbować, mogę wyprowadzać Petunię za darmo.

– Zrobimy tak – kobieta przystała na propozycję. – Dam pani szansę, jeśli mała przygoda Petunii zostanie między nami.

– Umowa stoi – uśmiechnęła się Rose, a kobieta wyszła z kasy, by podać jej rękę.

– Bea Maddox.

– Rose Feller.

Kobieta zmrużyła oczy.

– Jest pani krewną Maggie?

Rose czuła, że uśmiech zamiera jej na twarzy

– Maggie to moja siostra. Ale ja jestem inna – powiedziała. Czuła na sobie wzrok Bei. Wyprostowała plecy i ramiona starając się robić wrażenie odpowiedzialnej, kompetentnej i dojrzałej – w skrócie: wrażenie, że jest przeciwieństwem Maggie.

- Wie pani, że ona wciąż ma moje klucze? – poinformowała Bea.
- Nie wiem, gdzie Maggie teraz jest. Ale zapłacę pani za nie.

Kobieta popatrzyła na nią, potem wzruszyła ramionami.

- Myślę, że możemy spróbować. Chyba nie mam nic do stracenia. No, i znalazła pani Petunię.

Podala Rose wizytówkę i skierowała ją do punktu kserograficznego na rogu, żeby zrobiła kilka ogłoszeń ze swoim nazwiskiem i cennikiem za oferowane usługi. Rose poszła tam, potem zostawiła świeżo wydrukowaną ulotkę w Wytwornej Łapie i wróciła szybko do domu, gdzie zmieniła swoje nagranie na sekretarce: – Dzień dobry, mówi Rose Feller. Czworonogi i inne zwierzaki. Spacery i opieka. Proszę o pozostawienie nazwiska, numeru telefonu, imienia zwierzęcia oraz informacji o dniach, w których potrzebują państwo pomocy. Skontaktuję się natychmiast po odsłuchaniu wiadomości.

- Wakacje – powiedziała do siebie, przesłuchując nagranie jeszcze raz. Czuła się, jakby jej życie zamieniło się w film, z jakąś obcą osobą grającą jej rolę. – Wakacje – powtórzyła stanowczo. Nigdy nie brała więcej urlopu niż tydzień. Prosto z college'u poszła do szkoły prawniczej, praktycznie nie mając nawet czasu zrobić przepierki między jednym i drugim. Należy jej się.

Następny przystanek: firma. Od razu w poniedziałek rano usiadła na kanapie, wzięła głęboki oddech i wybrała numer – nie Lisy, ale samego Dona Dommela. Jego sekretarka od razu ją połączyła. Rose nie była pewna, czy to dobry znak, czy raczej bardzo zły. Była przygotowana na jego mentorski ton i nieodłączne rady, co powinna zrobić: „Pij wywar z pszenicy! Odrzuć piguły! Wsiądź na rower – BMX zdziała cuda!”

- Rose! – zareagował serdecznie Don. – Jak się pani czuje?
- Dużo lepiej, dziękuję – odpowiedziała. Siedziała na kanapie,

odsuwając na bok stertę psich czasopism „Dog Fancy” i „Dogs for Dummies” i uzmysławiając sobie, jak puste jest mieszkanie bez Petunii. – Zastanawiałam się... Mam obecnie trochę kłopotów osobistych...

– Może chciałaby pani wziąć urlop? – zapytał Don tak pospiesz– nie, że domyśliła się, iż musiał myśleć o tym od tego dnia, gdy Jim pojawił się w pracy, a ona nie. – Polityka firmy jest tutaj bardzo elastyczna... Urlop jest bezpłatny, oczywiście, ale przysługują wszystkie świadczenia, no, i będzie pani mogła podjąć pracę tam, gdzie pani przerwała. Gdy nadejdzie odpowiedni czas, oczywiście. Albo jeśli nie... – zamilkł. Nastąpiła bardzo wymowna, krótka chwila ciszy. „Odejdź – myślał Don Dommel tak intensywnie, że Rose praktycznie go słyszała. – Stanowisz problem, mamy tu skandal, jesteś łakomym kąskiem pikantnych plotek, jesteś jak plama z żółtka na naszym firmowym krawacie. Odejdź i nie wracaj”.

– Sześć miesięcy? – zapytała, uznając, że przez sześć miesięcy powinna się jakoś pozbierać i będzie już mogła podjąć pracę tam, gdzie ją przerwała.

– Bardzo dobrze – zgodził się Don. – I zdecydowanie proszę się nie wahać, jeśli konieczne będą referencje...

– Dziękuję – odparła Rose. Była zaskoczona tym, jak łatwo jej przyszło odpuścić, gdy już podjęła decyzję. Cała ta praca, jej cały świat, wręcz obsesja, przydzielona, jak przypuszczała, jakiemuś innemu, młodemu napaleńcowi. Było to w stu procentach niesprawiedliwe. Jim był tak samo winny jak ona. Wiedziała to. Ale Jim zostanie; zatrzyma swoje udziały, podwyżki, premie, swoje narożne biuro z widokiem na ratusz. Jej za to dostanie się bezpłatny urlop i referencje *pro forma*. Niech tam, pomyślała. W porządku. Przeżyje. Poradzi sobie. Jakoś.

– ... arza – powiedział Don, który, jak się okazało, jeszcze z nią nie

skończył.

– Słucham?

– To się zdarza – powtórzył Don i zrezygnował na chwilę z pompatycznego tonu piątkowych pogadanek, a w jego głosie usłyszała autentyczną życzliwość. – Nie każda firma okazuje się strzałem w dziesiątkę. – To bardzo prawdziwe... – Proszę się do nas odezwać.

Rose obiecała, że to zrobi, odłożyła słuchawkę, a potem usiadła i zastanowiła się. Koniec z prawem, pomyślała. – Przynajmniej na razie – powiedziała głośno i spostrzegła, że te słowa nie sprawiły jej nawet najmniejszego bólu. – Czworonogi – zaśmiała się, ponieważ dziwnie było myśleć o sobie w ten sposób – Rose Feller, czysta ambicja; Rose Feller, wieczny wojownik, porzuca szybki awans na rzecz sprzątanania psych odchodów. – Po prostu należą mi się wakacje – westchnęła usprawiedliwiająco. A potem nastawiła czajnik na herbatę, usiadła wygodnie na kanapie, zamknęła oczy i zaczęła zastanawiać się, co, u licha, właściwie zrobiła.

Maggie przypomniała sobie, jak podczas kolejnego powrotu do domu z okazji Święta Dziękczynienia podsłuchiwała Rose rozmawiającą przez telefon.

– Mieszkam w bibliotece – oświadczyła komuś melodramatycznie. No, Rose zdecydowanie powinna zobaczyć teraz swoją siostrzyczkę. Przez pierwszy tydzień w Princeton Maggie sypiała, gdzie popadło – udało jej się zdrzemnąć kilka godzin na kanapie w holu akademika albo na ławce w pralni, która znajdowała się w piwnicy. Cały czas jednak przeprowadzała rekonesans niższych poziomów biblioteki Firestone, rozglądając się za jakimś stałym zakwaterowaniem. Znalazła je na piętrze C, na trzecim, dolnym poziomie, w najdalszym zakamarku południowo– wschodniego skrzydła. Miejsce to nazwała Pokojem Rannych Książek. Były tam książki z powyrywanyymi stronami i niekompletnymi okładkami, z popękanyymi grzbietami i wyschniętym klejem, sterta starych egzemplarzy „National Geographic” w jednym rogu, stos książek napisanych śmiesznym pismem z wielkimi zakrętasami, jakich nigdy wcześniej nie widziała, oraz trzy podręczniki z chemii, w tabelach których zdawało się brakować kilku nie tak zupełnie dawno odkrytych pierwiastków. Po południu Maggie uważnie obserwowała drzwi. Jak mogła się zorientować, żadna książka nie opuszczała nigdy Pokoju Rannych Książek... A i nowych też nie przybywało. Co ciekawsze – i szczęśliwe dla Maggie – była tam nieużywana damska toaleta, która mogła pochwalić się nie tylko muszlą i umywalką, ale również kabiną z prysznicem. Marmurowe płytki pokrywał kurz, ale po odkręceniu kranu woda popłynęła wartkim strumieniem.

I tak oto dnia siódmego Maggie założyła bazę wypadową na kampusie Uniwersytetu w Princeton w pomieszczeniu bez okien, w którym

przechowywano zapomniane książki. Chowala się w toalecie dla niepełnosprawnych do czasu, gdy ostatni student został przegoniony z biblioteki, a drzwi za nim zamknięte na klucz. Wtedy przekradała się do swojego pokoju, rozkładała śpiwór pomiędzy dwoma wysokimi regałami starych, zakurzonych książek, włączała ukradzioną lampkę turystyczną i kładła się na śpiworze. Tak. Wygodnie i miękko. I bezpiecznie, drzwi zamknięte na klucz, a wszystkie jej rzeczy starannie schowane pod jedną z półek. Przypadkowi przechodnie nie zorientowaliby się, że ktoś jest w środku, chyba że wiedzieliby dokładnie, gdzie szukać i czego. Dokładnie taki efekt chciała osiągnąć. Była w Princeton, ale jakby jej tam nie było; obecna, lecz niewidzialna.

Sięgnęła do kieszeni dzinsów, które nosiła od przyjazdu. Zwitek banknotów, trzy różne legitymacje studenckie, które zdobyła podczas kilku dni intensywnego myszkowania po bibliotece, gdzie różne przedmioty wprost kleiły jej się do rąk i tym sposobem kilka rzeczy zmieniło właściciela. Były też karty kredytowe Josha i jedna karta Rose, klucz, który znalazła i zatrzymała, choć zapewne nigdy nie dowie się, które drzwi otwiera. I stara kartka urodzinowa. „Najlepsze życzenia urodzinowe”, przeczytała, a potem postawiła kartkę na półce tak, żeby ją widzieć ze swojego miejsca. Skrzyżowała ręce na piersiach i oddychała w ciemnościach. Było cicho, trzy poziomy pod ziemią, pod ciężarem tysięcy tomów; cicho, wyobrażała sobie, jak w grobie. Słyszała wyraźnie każde mlaśnięcie swojego języka, szelest śpiwora powodowany najdrobniejszym nawet ruchem.

A więc, pomyślała, przynajmniej będzie mogła zasnąć. Ale nie była jeszcze zmęczona. Poszukała w plecaku i znalazła tam książkę, którą zabrała z oparcia fotela, gdzie ktoś ją zostawił. *Ich oczy oglądały Boga*, głosił tytuł,

ale okładka nie wskazywała, że jest to książka religijna. Była tam czarna kobieta (w zasadzie na okładce była raczej fioletowawa, ale Maggie uznała, że była czarna w zamierzeniu), która leżała na boku pod zielonym drzewem, spoglądając na nie z zadowolonym i rozmarzonym wyrazem twarzy. Nie mogła się równać z „People”, ale lepsze to niż te wszystkie magazyny prawnicze u Rose, albo przestarzałe podręczniki medyczne na najbliższej jej śpiworowi półce. Maggie otworzyła książkę i zaczęła czytać.

TTLR



– Ella? – zapytał Lewis. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała i skinęła głową, żeby wypadło to bardziej przekonująco.

– Jesteś jakaś cicha...

– Czuję się dobrze – uśmiechnęła się do niego. Siedzieli razem na otoczonej siateczką przeciw komarom werandzie Elli, słuchając koncertu cykad i rechotu żab oraz Mavis Gold omawiającej wczorajszy odcinek *Wszyscy kochają Raymonda*.

– No, więc, powiedz mi – zaczął Lewis – czy jest coś, czego żałujesz?

– Dziwne pytanie! – zachnęła się Ella.

– To nie jest odpowiedź – odparł Lewis. Ella zastanowiła się. Od czego zacząć? Nie od tego, czego żałowała najbardziej, zdecydowała.

– Wiesz, czego żałuję? Nigdy nie pływałam w oceanie.

– Naprawdę? Nigdy?

– Nie, odkąd się tu przeprowadziłam. Odkąd byłam małą dziewczynką. Wybrałam się tam nawet jednego dnia, miałam ręcznik i czepek i tak dalej, ale to wydawało się po prostu... – Pół godziny usiłowała zaparkować, plaża była zatłoczona dziewczętami w szokująco skromnych bikini i chłopcami w kolorowych kąpielówkach. Z dziesięć różnych piosenek wydobywało się z dziesięciu różnych odbiorników radiowych, a powietrze pełne było nastoletnich głosów, słońce wydawało się za jasne, a ocean zbyt duży, odwróciła się więc i wsiadła z powrotem do samochodu, zanim zdążyła nawet postawić stopę na piasku.

– Jestem za stara...

Wstał, potrząsając głową.

– To nieprawda! Idziemy!

– Lewis! Teraz? Jest za późno!

– Plaża chyba nie jest zamykana po określonej godzinie?

Popatrzyła na niego. Przez głowę przelatywało jej milion powodów, żeby nie iść. Było późno, jutro rano miała spotkanie, było

w dodatku ciemno i kto wie, na kogo mogą się natknąć? Przejazdźki na plażę o północy były dobre dla nastolatków czy nowożeńców, a nie niedosłyszących emerytów z artretyzmem.

– Chodź – pociągnął ją za rękę. – Spodoba ci się.

– Nie sędzę – powiedziała. – Może innym razem.

A jednak wstała i wyszła, i razem na palcach przekradli się obok cichego mieszkania Mavis, jak konspiratorzy albo dzieciaki, gdy chcą komuś zrobić psikusa. Dotarcie na plażę zajęło im dziesięć minut. Lewis zaparkował tuż przy krawędzi piasku, otworzył jej drzwi i pomógł wysiąść.

– Zostaw buty – przykazał.

I oto ocean, który tysiąc razy oglądała przez szybę samochodu, przez wielkie okna w mieszkaniu Lewisa, na pocztówkach i błyszczących broszurkach, które dawno temu zwabiły ją do Golden Acres. Kołysał się tuż przed nią niespokojnie, fale rosły, pieniać się i przynosząc wodę na piach tak blisko, że łaskotała ją w gołe stopy.

– Och! – lekko podskoczyła. – Zimna!

Lewis pochylił się i podwinął nogawki swoich spodni, a potem to samo zrobił z jej spodniami. Wziął ją za rękę i poszli brodząc w wodzie najpierw po kostki, potem woda sięgnęła ich kolan. Ella stanęła nieruchomo czując przyplawy i odpływy fal, które rzeźbiły piasek. Słyszała ich szum i czuła zapach dymu z rybackiego ogniska płonącego gdzieś daleko na plaży.

Uwolniła swoją rękę z dłoni Lewisa.

– Ella?

Poszła dalej, dwa kroki, potem trzy, woda zakryła jej kolana, uda. Luźna bawełniana koszula, którą miała na sobie, unosiła się na wodzie w rytm nadchodzących fal. Woda była zaskakująco zimna, zimniejsza niż jeziora, które pamiętała z dzieciństwa, i dopóki organizm się nie przyzwyczał, dzwoniła zębami.

– Hej, uważaj! – zawołał Lewis.

– Będę! – krzyknęła w odpowiedzi. Nagle ogarnął ją strach. Czy w ogóle umiała jeszcze pływać? Czy to na pewno jedna z tych rzeczy, których się nie zapomina? Właściwie mogłaby poczekać do rana, żeby było jasno, albo przynajmniej wziąć ze sobą ręcznik...

Nie. "Wystarczy", pomyślała. Bała się przez dwadzieścia lat, a nawet dłużej, jeśli wziąć pod uwagę te wszystkie lata, gdy Caroline długo nie wracała, a ona nie wiedziała, gdzie jest – nie chciała się już więcej niepokoić. Nie tutaj. Nie teraz. Gdy była dziewczynką, a potem młodą kobietą, najbardziej lubiła właśnie pływanie. W wodzie czuła się niezwyciężona, wolna, czuła, że może zrobić wszystko, płynąć bez końca, dopłynąć do Chin.. "Wystarczy", pomyślała znów, a potem odepchnęła się stopami od dna i położyła na wodzie. Nadchodząca fala uderzyła ją w twarz. Odchrząknęła i wypluła słoną wodę, po czym zaczęła przecinać fale, wyciągając ręce przed siebie w ciemnej otchłani i bezładnie machając nogami, dopóki nie złapała rytmu. I w końcu stało się! Unosiła się na wodzie, znów płynęła.

– Hej! – nawoływał Lewis. Elli wydawało się, że gdy odwróci głowę, zobaczy swoją młodszą siostrę Emily, jak stoi na brzegu, sina i pokryta gęsią skórką, i krzyczy: – Ella! Jesteś za daleko! Ella! Wracaj!

Odwróciła się i prawie roześmiała, widząc Lewisa, który szedł za nią, z zaciśniętymi zębami, trzymając głowę wysoko (zapewne bojąc się zamoczyć aparat słuchowy). Położyła się na plecach, a falująca woda porywała jej włosy. Pozostała tak nieruchomo na wodzie, dopóki Lewis do niej nie doszedł, wtedy wyciągnęła rękę ocierając koniuszkami palców o jego dłoń i stanęła na piaszczystym dnie.

– Gdybym wiedział, że zamierzamy pływać – wysapał – wziąłbym kąpielówki.

– Sama nie wiedziałam! To był impuls!

– Na dziś wystarczy?

Oderwała stopy od dna i podkurczyła nogi przyciągnawszy je do piersi, pozwalając unosić się wodzie. Czuła się jak jajko w garnku kołysane przez wrzątek.

– Wystarczy – poddała się w końcu i wiosłując rękami wykonała na wodzie obrót, po czym przy boku Lewisa podpłynęła do brzegu.

Jakiś czas później, siedząc na stoliku plażowym, z którego korzystano w trakcie pikników, owinięta w lekko zatęchły koc, który Lewis wygrzebał gdzieś z zakamarków bagażnika, powiedziała:

– Pytałeś, czy czegoś żałuję.

– To było przed naszą kąpielą? – zapytał, jakby słona woda wymazała mu z pamięci pewne wydarzenia.

– Tak. Przed. Ale teraz chcę powiedzieć ci prawdę. – Głośno wciągnęła powietrze, przypominając sobie, jak świetnie czuła się w wodzie, otoczona i unoszona przez nią, taką odważną. Przypomniała sobie, jak będąc małą dziewczynką, wypływała daleko, dalej niż wszystkie inne dzieci, dalej niż dorośli, tak że Emily przysięgała później, że była tylko maleńką plamką na horyzoncie. – Żałuję, że nie poznam moich wnuczek.

– Nie poznasz... – powtórzył Lewis. – Dlaczego?

– Gdy Caroline umarła, ich ojciec je zabrał. Wyprowadził się do New Jersey i nie chciał, żebyśmy się kontaktowali. Był zły... Na mnie, na Irę, na wszystkich. Zły na Caroline, ale jej już nie było, więc na nią nie mógł się złościć, a na nas owszem. Na mnie przede wszystkim – owinęła się mocniej kocem. – Nie mam do niego żalu – spojrzała na swoje dłonie. – Częściowo czułam... – znów głęboki oddech.

– Ulgę. Caroline była bardzo trudna, a Michael taki rozzłoszczony. Czułam się bezpieczniej z daleka od nich. Więc wybrałam tę łatwiejszą drogę. Przestałam próbować. I straciłam je.

– Może powinnaś spróbować jeszcze raz... Może ucieszyłyby się, gdybyś się do nich odezwała? Ile mają lat?

Ella nie odpowiedziała, chociaż wiedziała dokładnie. Maggie w tym roku skończy dwadzieścia osiem, a Rose trzydzieści. Obydwie mogą być mężatkami z dziećmi, ze zmienionymi nazwiskami. Po cóż im jakaś stara kobieta, obca, pojawiająca się nieproszona, z sercem pełnym smutnych wspomnień i imieniem ich zmarłej matki na ustach.

– Może... – zgodziła się głośno, bo Lewis patrzył na nią, siedząc na plażowej ławce, z nogą na nodze i wciąż jeszcze mokrymi włosami. Pokiwał głową, uśmiechnął się i Ella wiedziała, że tej nocy nie będzie już musiała odpowiadać na żadne pytania.

Zakwaterowanie w Princeton to była bułka z masłem. Prawdziwy problem stanowiły pieniądze. Maggie zdawała sobie sprawę, że nie posiada uzdolnień matematycznych, ale dwieście dolarów minus te dwadzieścia, które wydała na jedzenie w supermarkecie na początku, gdy jeszcze nie udawało jej się wśliznąć do stołówki albo załapać na darmową pizzę czy też lody, plus skradzione karty kredytowe, których bała się użyć, nie wystarczą na nowe życie. Nie wystarczą nawet na bilet do Kalifornii, nie mówiąc o kaucji za mieszkanie czy o zdjęciach.

"Więcej pieniędzy, więcej pieniędzy", szeptała do siebie. Był to cytat z nowelki, którą przeczytała w kolejnej, porzuconej książce. Z nowelki o chłopcu, który jeżdżąc na swoim koniu na biegunach widział zwycięzców prawdziwych wyścigów; a im bardziej zapamiętał jechał, tym głośniejszy stawał się szept konia. Więcej pieniędzy, więcej pieniędzy.

Rozważała swoje możliwości siedząc w Centrum Studenckim (budynku, w którym koncentrowało się – najogólniej rzecz ujmując – życie studenckie) i sącząc herbatę za dziewięćdziesiąt centów. Potrzebowała pracy, za którą zapłacą jej gotówką i jedynym wyjściem wydawało się ogłoszenie, które wisiało w bibliotece na ścianie i które stamtąd zabrała. Odłożyła kubek i ostrożnie rozłożyła kartkę pożółkłego papieru. „Potrzebna pomoc domowa. Lekkie sprzątanie, kilka sprawunków, raz w tygodniu”. Oraz numer telefonu zaczynający się od 609.

Maggie wyciągnęła swoją komórkę – którą kupił jej ojciec i za którą rachunki przesyłane były wprost do jego biura – i wybrała numer. „Tak”, zabrzmiał głos starszej kobiety, ogłoszenie jest aktualne. Raz w tygodniu, lekka praca, ale jeśli Maggie jest zainteresowana, musi zorganizować

własny transport.

– Najlepiej dojechać autobusem – powiedziała kobieta. – Z Nassau Street.

– Czy zrobiłaby pani różnicę wypłata w gotówce? – zapytała Maggie.

– Po prostu nie mam tu konta. Mam je w domu...

– Nie ma problemu. Jeśli się dogadamy.

Tak więc, w czwartek rano Maggie wstała wcześniej, skradając się cicho jak mysz przez bibliotekę, zanim zapalono pierwsze światło i upewniając się, że jej rzeczy znajdują się poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku. Schowała się w toaletach na pierwszym piętrze i nasłuchiwała szczęku zamka otwieranych przez strażnika drzwi. Dziesięć minut później w bibliotece zaczął się normalny, roboczy dzień. Wtedy wyszła i udała się na Nassau Street.

– Dzień dobry! – zawołała kobieta na werandzie. Była niska i szczupła, siwe włosy spływały na jej ramiona. Miała na sobie sportową, męską koszulę, legginsy i okulary słoneczne, choć na dworze było pochmurno.

– Zapewne Maggie – powiedziała, przechylając głowę w jej stronę. Przytrzymując się jedną ręką poręczy, drugą wyciągnęła w kierunku Maggie. Niewidoma, zorientowała się Maggie i ostrożnie ujęła jej rękę. – Jestem Corinne. Wejdz proszę – staruszka poprowadziła gościa do wielkiego domu urządzonego w stylu wiktoriańskim, który wydawał się dokładnie wysprzątany i doskonale zorganizowany. W holu po prawej stała prosta, drewniana ławka, a nad nią wisiały półki, w każdej stała para butów. Płaszcz zimowy i przeciwdeszczowy wisiały na sąsiednich haczykach; parasol, czapka i rękawiczki leżały ułożone na półce tuż nad nimi. A obok pustego wieszaka na płaszcz stała biała laska.

– Myślę, że praca tu nie będzie dla ciebie zbyt męcząca – powiedziała Corinne, sącząc jak ptaszek swoją kawę z cytrynowego kubka. – Trzeba pozamiatać i zmyć podłogi – zaczęła, wyliczając zadania na palcach. – Chciałabym też, żebyś segregowała śmieci, szczególnie szkło i papier. Potem składanie prania, opróżnienie zmywarki i...

Maggie czekała.

– Tak? – zapytała w końcu.

– Kwiaty – dokończyła Corinne i wyzywająco uniosła podbródek. – Chciałabym, żebyś kupowała kwiaty.

– Dobrze.

– Pewnie się zastanawiasz, po co mi kwiaty...

Maggie, która akurat wcale się nad tym nie zastanawiała, nie odezwała się słowem.

– Bo przecież ich nie widzę – mówiła dalej Corinne. – Ale wiem, jak wyglądają. I czuję je.

– O! – wyartykułowała Maggie. A potem, jako że „O!” wydawało się niewystarczające, dodała: – To wspaniale!

– Twoja poprzedniczka powiedziała, że przyniosła kwiaty, ale nie były prawdziwe – Corinne wydeła wargi. – Plastikowe. Uznała, że to bez różnicy.

– Przyniosę prawdziwe – obiecała Maggie. Corinne pokiwała głową.

– Byłabym ci wdzięczna – odparła.

Wykonanie poleceń Corinne zajęło Maggie niecałe cztery godziny. Nie była doświadczoną gospożą, gdyż Sydelle nigdy nie wierzyła, że potrafią cokolwiek zrobić jak należy, więc jej dom, wypełniony szkłem i metalem, w nieskazitelnej czystości utrzymywała cała armia anonimowych pań do sprzątnięcia. Ale Maggie dobrze się spisała, wymiatając każdą, najmniejszą



drobinę kurzu z podłogi, potem składając pranie i wkładając naczynia i sztućce na swoje miejsca w szafkach i szufladach.

– Rodzice zostawili mi ten dom – powiedziała Corinne, gdy Maggie sprzątała. – W nim się wychowałam.

– Jest piękny – westchnęła Maggie i to była prawda. Ale był też smutny. Sześć sypialni, trzy łazienki, ogromne, centralnie umieszczone schody, a jedyny mieszkaniec to niewidoma kobieta, która śpi w pojedynczym, wąskim łóżku z jedną, płaską poduszką; która nigdy nie będzie w stanie docenić tutejszej przestrzeni ani tego widoku, gdy słońce wlewając się przez szerokie okna kładzie się na drewnianej podłodze.

– Możesz już iść do sklepu? – zapytała Corinne. Maggie skinęła, a potem przypomniała sobie, że to nie wystarczy, że przy Corinne musi nauczyć się wyrażać głośno swoje myśli.

– Wszystko gotowe.

Corinne, badając opuszkami palców swój portfel, wyjęła pojedynczy banknot.

– Czy to dwadzieścia dolarów?

Maggie spojrzała i powiedziała, że tak, to dwadzieścia dolarów.

– Tylko takie można dostać w automacie – powiedziała Corinne.

"Więc po co pytasz?" – pomyślała Maggie. A potem zorientowała się, że to prawdopodobnie był test. I, przynajmniej raz, udało się jej zdać przy pierwszym podejściu.

– Możesz iść do Davidsona, to kawałek w górę, na tej ulicy.

– Czy chciałaby pani kwiaty o mocnym zapachu? Jak bez czy coś takiego?

– Niekoniecznie – powiedziała Corinne. – Pozostawiam to tobie. Sama zdecyduj.

– Mam kupić coś jeszcze?

Corinne zastanowiła się chwilę.

– Tak. Możesz mi zrobić niespodziankę.

Maggie weszła do sklepu zastanawiając się, co mogłaby kupić. Na początek stokrotki. Miała szczęście, od razu z przodu znalazła całe ich bukietki w zielonej, plastikowej wanience. Chodziła wzdłuż regałów, rozważając po kolei i odrzucając możliwość zakupu śliwek, pół litra truskawek, wiązki zielonego szpinaku i dwóch litrów mleka w ciężkim, szklanym słoju. Co chciałaby Corinne? Coś pachnącego – to byłoby zbyt oczywiste, szczególnie po tym, jak szybko odrzuciła pomysł mocnego zapachu kwiatów. Maggie chciała sprawić jej coś... Szukała właściwego słowa i uśmiechnęła się zadowolona, gdy je znalazła – coś zmysłowego. Coś, co można było poczuć, na przykład ten sój z mlekiem, którego ciężar czuje się w dłoni, albo satynowe w dotyku płatki stokrotek. I nagle, jest! Dokładnie przed nią, jeszcze jeden szklany słoik, ale tym razem w kolorze złocistego bursztynu. Miód. „Miód z kwiatów pomarańczy. Produkt miejscowy” – informowała etykieta. I mimo że najmniejszy słoiczek kosztował \$ 6, 99, Maggie włożyła go do koszyka razem z bochenkiem chleba dwanaście ziaren o bardzo nierównej skórce. Nieco później, już z powrotem w wielkim, czystym domu, gdy Corinne usiadła naprzeciwko Maggie przy kuchennym stole, powoli jedząc kromkę chleba przybrązowaną w tosterze, z grubą warstwą miodu, i ogłaszając, że jest doskonała, Maggie wiedziała, że to nie był po prostu pusty komplement. Zdała już drugi test tego dnia, znajdując dokładnie to, o co chodziło.

– Martwię się o twoją siostrę – oznajmił Michael Feller, unikając niepotrzebnych wstępów. Rose westchnęła i popatrzyła na kawę w swojej filiżance, jak gdyby miała się tam zaraz pojawić twarz Maggie. Ciekawe, co poza tym?

– Minęło osiem tygodni – kontynuował ojciec, jakby Rose straciła w niewyjaśniony sposób poczucie czasu. Wyglądał blado i bezradnie, jak ugotowane na twardo i obrane ze skorupki jajko. Wysokie, szerokie czoło i smutne, małe oczy nad standardowym, szarym garniturem bankiera i przygaszonym rdzawoczerwonym krawatem. – Nie odzywa się do nas. Nie odzywa się do ciebie. – Na końcu ton jego głosu wzniósł się, zamieniając całą wypowiedź w pytanie.

– Nie, tato – potwierdziła Rose.

Ojciec westchnął – tym typowym westchnieniem Michaela Fellera – i pogrzebał w rozplywających się lodach.

– Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

„A raczej: jak myślisz, co powinienem zrobić? ”, pomyślała Rose.

– Sprawdziłeś wszystkich jej byłych? To zajęłoby ci chyba tydzień albo nawet dwa – powiedziała. Ojciec nie odezwał się, ale Rose słyszała wyrzut w tym, czego nie wymówił. – Dzwoniłeś na komórkę?

– Oczywiście! Poczta głosowa działa. Zostawiam wiadomości, ale nie oddzwania.

Rose wywróciła oczami. Ojciec udawał, że nie widzi.

– Naprawdę się martwię – ciągnął Michael. – To trwa już bardzo długo, zwykle Maggie odzywa się częściej. Zastanawiam się... – przerwał.

– Czy nie umarła? – podsunęła Rose. – Nie sadzę, że moglibyśmy

mieć tyle szczęścia.

– Rose!

– Przepraszam – powiedziała, co prawda, niezbyt szczerze. Miała to gdzieś, czy Maggie żyje. No... Rose wyjęła kilka serwetek z pojemnika. Właściwie to nie była prawda. Nie chciała, żeby jej wstrętne, młodsza siostra nie żyła, ale uważała, że najlepiej dla niej byłoby już nigdy jej nie zobaczyć i nie usłyszeć.

– A poza tym, Rose, martwię się też o ciebie...

– Nie ma o co – ucięła Rose i zaczęła składać jedną z serwetek w wachlarzyk. – U mnie wszystko w porządku.

Jego głos był pełen wątpliwości, gdy uniósł siwe brwi i powiedział:

– Jesteś pewna? Wszystko w porządku? Nie masz...

– Nie mam czego?

Ojciec umilkł. Rose czekała.

– Czy nie mam czego? – zapytała ponownie.

– Jakichś kłopotów? Nie chciałabyś... yhm, z kimś porozmawiać?

– Nie zwariowałam – powiedziała otwarcie. – Nie musisz się o martwić.

Ojciec podniósł ręce, był zmartwiony i wyglądał tak bezbronne.

– Rose, nie to miałem na myśli...

„Ależ oczywiście”, pomyślała Rose, dokładnie to miał na myśli. Ojciec nigdy o tym nie mówił, ale wiedziała, że to miał na myśli obserwując, jak jego córki – szczególnie Maggie – dojrzewają i stają się kobietami. „Tracisz rozum? Fiksujesz? Odzywają się te niewłaściwe łańcuchy DNA? Chodzi ci po głowie szybka przejażdżka i ostry, śliski zakręt?”

– Wszystko jest OK – dodała Rose. – Po prostu nie byłam specjalnie zadowolona w tej konkretnej firmie prawniczej, więc postanowiłam dać

sobie trochę czasu na zastanowienie się, co chcę robić dalej. Mnóstwo ludzi tak robi. To zupełnie normalne.

– Skoro jesteś pewna – odetchnął ojciec i ponownie skierował swoją uwagę na lody – ekstra przyjemność, którą sobie zafundował. Rose wiedziała, że od wczesnych lat pięćdziesiątych w domu Sydelle zabronione było wszystko, co zawierało więcej kalorii niż mleko z zawartością tłuszczu około zero procent i bezmleczne produkty Tofutti.

– O mnie nie musisz się martwić – zapewniła Rose. Z naciskiem na mnie, dając jasno do zrozumienia, o kogo powinien się martwić.

– Czy mogłabyś do niej zadzwonić? – poprosił Michael.

– I co mam jej powiedzieć?

– Ze mną nie będzie rozmawiać – stwierdził ze smutkiem. – Może porozmawia z tobą.

– Nie mam jej nic do powiedzenia.

– Rose. Proszę cię.

– OK – jęknęła Rose. Wieczorem nastawiła budzik na pierwszą nad ranem, a gdy zadzwonił, po omacku sięgnęła po słuchawkę. I wbiła numer komórki Maggie.

Jeden sygnał. Dwa. A potem głos jej siostry, głośny i wesoły.

– Halo?!

Jezu! Rose wydała dźwięk obrzydzenia. W tle słyszała imprezę – muzykę, inne głosy

– Halo! – trylowała Maggie. – Kto dzwoni?

Rose odłożyła słuchawkę. Jej siostra była jak jakaś pieprzona Wańka–Wstańka, pomyślała. Może się chwiać, wszystko spieprzyć, ukraść ci buty, pieniądze i chłopaka, ale absolutnie nigdy się nie przewróci.

Następnego dnia rano, po pierwszej rundzie psich spacerów,

zadzwoiła do ojca do biura.

– Żyje – poinformowała go.

– Dzięki Bogu! – odetchnął ojciec z absurdalną ulgą w głosie. – Gdzie jest? Co mówiła?

– Nie rozmawiałam z nią. Po prostu słyszałam jej głos. Córka marnotrawna jest żywa i ma się dobrze, doczekała kolejnego dnia, by poimprezować.

Ojciec przez chwilę nie odzywał się.

– Powinniśmy spróbować ją odnaleźć – zdecydował w końcu.

– Ależ, proszę bardzo, możesz zaczynać od zaraz – odparła Rose z przekąsem. – Przekaż jej moje pozdrowienia, jak już ją znajdziesz.

Odwiesiła słuchawkę. Pozwoli ojcu poszukać swojej krnąbrnej córeczki. Pozwoli, by tym razem ktoś inny troszczył się o Maggie Feller.

Wyszła z domu w świat, który odkryła dopiero wówczas, gdy wystąpiła z szeregow pracowników zatrudnionych na pełny etat i zaczęła spędzać dni przemierzając ulice miasta, często z bukietem smyczy w rękach. Miasto w ciągu dnia w niczym nie przypominało miasta duchów z jej wyobraźni. Byli tu zupełnie inni ludzie, tajemnicze miasto matek z dziećmi, pracowników nocnej lub popołudniowej zmiany, studentów i dostawców, emerytów i bezrobotnych przemierzających ulice i odwiedzających miejsca, o istnieniu których nie miała pojęcia mimo tych wszystkich lat w szkole prawniczej, a potem w firmach prawniczych. Dlaczego niezamężna prawniczka miałaby wiedzieć o Parku Trzech Niedźwiadków, małym placu zabaw położonym między Spruce i Pine Street? Czy kobieta, która codziennie rano podąża do pracy tą samą drogą, mogła wiedzieć, że przy Delancey w okolicy numeru 500 na każdym domu powiewała inna flaga? Dlaczego miałaby przypuszczać, że w sklepach o pierwszej po południu aż

roi się od ludzi w sportowych spodniach i swetrach zamiast od właścicieli garniturów i aktówek? Kto by pomyślał, że z łatwością mogła poświęcić całe godziny zajęciom, które normalnie załatwiała w ciągu dziesięciu minut wolnego czasu, niegdyś tak oszczędnie racjonowanego?

Jej dzień zaczynał się od psów. Miała swoje klucze do Wytwornej Łapy i każdego ranka, o godzinie, gdy normalnie kupowała swoją dużą kawę i kierowała się do biura, teraz otwierała drzwi przybytku dla psów, zakładając obrozę dwóm, trzem lub czterem czworonogom, napychając kieszenie herbatnikami i plastikowymi workami na psie odchody i kierując się w stronę Rittenhouse Square. Spędzała tam około czterdziestu pięciu minut, w parku otoczonym butikami i księgarniami, modnymi restauracjami i wieżowcami z drogimi mieszkaniami, pozwalając swoim podopiecznym obwąchiwać krzaki, żywopłoty i inne psy. Potem załatwiała różne sprawy. Zostawiała coś w aptece, zabierała z pralni, mknąc chodnikami i bocznymi ulicami z kieszeniami pełnymi kluczy, otwierając drzwi dekoratorom, projektantom ogrodów, deratyzatorom, osobistym kucharzom, a nawet kominiarzom.

Po południu kolejna rundka z psami. Szła z powrotem na Rittenhouse Square, na swoje codzienne spotkanie z małą dziewczynką, nakrapianym psem i kobietą, która była z nimi.

Przez te osiem tygodni nowej pracy uznała dziewczynkę – Joy, psa Nifkina i kobietę, która, jak sądziła, była mamą dziewczynki, za fascynujące towarzystwo. Przychodzili do parku pomiędzy czwartą a czwartą trzydzieści po południu każdego dnia. Rose spędzała godzinę, rzucając piłkę tenisową swoim popołudniowym podopiecznym i wyobrażając sobie jednocześnie życie kobiety, dziewczynki i psa. Widziała męża, przystojnego w klasycznie męski sposób. Dała im wielki dom z kominkami i jasnymi, tkanymi

dywanami, drewnianą komodę, w której znaleźć można każdą możliwą zabawkę dla małej. Wysyłała ich na rodzinne wycieczki nad wodę i w góry Pocono. Wyobrażała sobie, jak wysiadają z samolotu – ojciec ciągnie wielką walizę na kółkach, matka średnią, a dziewczynka proporcjonalnie małą torbę. Tata Miś, Mama Miś i Dziecko Miś oraz pies biegnący za nimi zwawym truchtem. W swojej wyobraźni dała im spokojne, szczęśliwe życie – dobrą pracę, pieniądze, wspólne obiady wieczorem w domu, po prostu ich troje, rodzice upominają dziewczynkę, by wypła mleko, dziewczynka ukradkiem obdarowuje warzywami psa o imieniu Nifkin.

Przeszła już od „dzień dobry” i towarzyszącego mu skinięcia głową poprzez „dzień dobry”, któremu towarzyszyło machanie ręką, do faktycznego „cześć”. Przy odpowiedniej ilości czasu, myślała Rose, sytuacja może nawet dojrzeć do rozmowy. Usiadła i przyglądała się, jak dziewczynka goni psa biegnąc w kierunku fontanny, a matka, która była wysoką kobietą o szerokich ramionach i ciężkich biodrach, rozmawia przez telefon.

– Nie, nie lubię pasztetowej – podsłuchiwała kobietę. – To Lucy lubi. Pamiętasz? Druga córka?

Wywróciła oczami do Rose i powiedziała bezgłośnie: Moja mama. Rose posłała jej coś, miała nadzieję, na kształt wyrozumiałego skinienia oraz pomachała ręką.

– Nie, myślę, że Joy też nie lubi pasztetowej, mamó! – zamilkła, słuchając, potem pokręciła przecząco głową.

– Nie, Peter również nie lubi pasztetowej. Faktycznie, wydaje mi się, że nikt tego nie lubi. Nie mam pojęcia, czemu to jeszcze w ogóle produkują.

– Rose roześmiała się. Kobieta uśmiechnęła się do niej, wciąż słuchając. –

Nifkin lubi pasztetową – dodała po namyśle. – Możemy dać ją Nifkinowi!

– jeszcze jedna pauza. – Hmmm... Nie wiem, co masz z tym zrobić. To



była jedna z możliwości. Posmaruj tym krakersy albo jakoś tak. Powiedz w swoim klubie miłośników książki, że to paszteciki. OK! Dobrze. Do zobaczenia. Tak. Cześć.

Rozłączyła się i włożyła telefon do kieszeni.

– Moja matka myśli, że jestem bezrobotna – zaczęła.

– O! – wybąkała Rose, przeklinając w duchu swoje zardzewiałe zdolności prowadzenia interesującej rozmowy

– Nie jestem – wyjaśniła kobieta. – Ale pracuję w domu. Co, przynajmniej dla niej, wydaje się oznaczać, że nie pracuję w ogóle, więc może dzwonić o każdej porze, żeby zapytać o pasztetową.

Rose roześmiała się.

– Jestem Rose Feller – przedstawiła się. Kobieta wyciągnęła rękę.

– Candace Shapiro. Cannie. – Mamo! – dziewczynka pojawiła się nagle, trzymając w dłoni smycz Nifkina. Cannie roześmiała się.

– Przepraszam – powiedziała. – Jestem Candace Shapiro, wkrótce Krushelevansky – zrobiła śmieszny minę. – Spróbuj upchnąć to na wizytówce.

– Więc jesteś mężatką? – zapytała Rose. Skrzywiła się, zamknęła usta i zastanawiała się, co się jej stało. Dwa miesiące z dala od biura, dwa miesiące z psami i dostawcami i zapomniała, jak się rozmawia z ludźmi.

Ale Cannie nie zachowywała się, jakby zauważyła coś dziwnego.

– Zaręczona – odparła. – Uroczystość odbędzie się w czerwcu.

Hmmm, pomyślała Rose. No cóż, jeśli gwiazdy filmowe mogły mieć dzieci, zanim wyszły za mąż, uznała, że zwykli filadelfijczycy mogli jednakowoż.

– Będzie duże wesele?

Cannie pokręciła głową.

– Nie. Małe. W naszym salonie. Rabin, rodzina, kilkoro przyjaciół, moja mama, jej życiowy partner, ich drużyna softballowa. Nifkin będzie trzymał obrączki, a Joy będzie drużną.

– O! – zdziwiła się Rose. – Eee... – nie brzmiało to jak żaden ze ślubów, które oglądała na srebrnym ekranie. – Jak... – zaczęła Rose, a potem zatrzymała się, niepewna, po czym zadała najbanalniejsze pytanie pod słońcem. – Jak poznałeś swojego przyszłego męża?

Cannie znów się roześmiała i odrzuciła włosy do tyłu na ramiona.

– Jeśli o to chodzi – powiedziała – to bardzo długa i zawiła historia. Zaczęło się od diety.

Rzucając ukradkowe spojrzenie na swoją rozmówczynię, Rose stwierdziła, że dieta nie dała chyba oczekiwanych efektów.

– Właściwie to spotkałam Petera, gdy byłam w ciąży z Joy, ale jeszcze nie wiedziałam, że jestem w ciąży. Prowadził taki program odchudzający i pomyślałam, że jak schudnę, to facet, z którym wcześniej się rozstałam, zechce mnie z powrotem. – Uśmiechnęła się do Rose porozumiewawczo. – Ale wiesz, jak to jest. Gonisz za niewłaściwym facetem aż do ostatniego tchu i wtedy okazuje się, że ten właściwy był cały czas na miejscu, czekając na ciebie. Niezbadane są ścieżki miłości. Czy też chodzi tu o ścieżki Pana? Nigdy nie mogę zapamiętać.

– Pana. Ścieżki Pana, tak myślę – usłużnie odpowiedziała Rose.

– Skoro tak mówisz... No, dobrze, a ty? Jesteś mężatką?

– Nie! – wykrzyknęła Rose. – To znaczy, nie – dodała bardziej zmodulowanym tonem. – Po prostu... No, więc, właśnie skończyłam pewną znajomość. Właściwie nie ja ją skończyłam. Moja siostra... A, zresztą! Długo by opowiadać. – Popatrzyła na swoje dłonie, potem na Petunię, zwiniętą przy jej stopach, potem na Joy, która rzucała Nifkinowi czerwoną

rękawiczkę, a on ją przynosił z powrotem, potem na sześć psów stojących pośrodku trójkątnego trawnika. – Próbuję chyba wymyślić, co dalej.

– Lubisz swoją aktualną pracę?

Rose znowu spojrzała na Petunię, na inne psy w parku, na szarawą piłkę do tenisa, którą trzymała w dłoni, na plastikowe torby z psimi kupami.

– Tak – odparła. I to była prawda. Lubiła wszystkie swoje psy – prychnąca pogardliwie Petunię; golden retrievera, który za każdym razem tak bardzo cieszył się na spotkanie z nią, że zaczynał kręcić się radośnie dokoła własnej osi, gdy tylko usłyszał klucz w zamku; poważne buldogi; marudne sznaucery; narkoleptycznego cocker–spaniela o imieniu Sport, któremu zdarza się czasami zasnąć na czerwonym świetle.

– Co jeszcze lubisz robić? – podpytywała ją Cannie.

Rose uśmiechnęła się żałośnie. Doskonale wiedziała, co mogło uszczęśliwić jej siostrę – skórzane spodnie rozmiar dwa, francuski krem za sześćdziesiąt dolarów, mężczyzna, który mówi jej, że jest piękna. Wiedziała, co daje zadowolenie ojcu – tendencja zwyżkowa na giełdzie, wypłata dywidendy, szeleszczący, świeżutki egzemplarz „The Wall Street Journal”, te nieliczne momenty, gdy Maggie miała pracę. I co lubiła Amy – płyty Jill Scott, spodnie od Sean Jean i film Strach przed czarnym kapeluszem. Wiedziała także, co kochała Sydelle Feller – Moją Marcie, znaną z upraw ekologicznych, zastrzyki botoksu oraz podawanie czternastoletniej Rose dietetycznej galaretki na deser, podczas gdy wszyscy inni jedli lody. Dawno, dawno temu wiedziała też, co sprawiało, że jej mama czuła się szczęśliwa – na przykład świeża pościel, jasnoczerwona szminka, spinki wybierane w sklepie ze sztuczną biżuterią, które razem z Maggie kupowały dla niej na urodziny Ale co lubi Rose, oprócz butów i Jima, i jedzenia, które jej szkodzi?

Cannie uśmiechnęła się do Rose raz jeszcze i wstała.

– Dowiesz się – powiedziała pogodnie. Zagwizdała na Nifkina i pies przybiegł, a w ślad za nim pojawiła się Joy, z zaróżowionymi policzkami i rozwianym włosiem, który wymknął się z kucyka. – Zobaczymy się jutro?

– Jasne – potwierdziła Rose. Schowała piłkę do kieszeni i zaczęła zbierać swoich podopiecznych, trzymając po chwili pięć smyczy w lewej dłoni oraz smycz buntowniczego charta w prawej. Odprowadzała psy po kolei do ich domów, aż została tylko Petunia. Mops biegł truchcikiem kilka kroków przed nią i wyglądał jak pulchniutki francuski rogalik z nogami. Z Petunią czuła się naprawdę szczęśliwa, autentycznie ją lubiła, nawet jeśli musiała z niej zrezygnować na rzecz jej właścicielki, zupełnie rzeczowej siedemdziesięciodwuletniej pani, która mieszkała w centrum i na szczęście zgodziła się, by Rose wyprowadzała psa codziennie. Co jeszcze? Nie ubrania, naprawdę. I nie pieniądze, bo jedyne, co robiła ze swoją niebotyczną, sześciocyfrową wypłatą, to uregulowanie czynszu, spłata kredytów studenckich i odłożenie do skarpety rozsądnej kwoty z myślą o emeryturze. Całej reszcie pozwalała zarabiać na odsetkach od lokat, ściśle wedle wyraźnych wskazówek Michaela Fellera.

No, więc, co?

– Hej! – zawołał posłaniec na rowerze Rose podniosła szybko Petunię i zdążyła uskoczyć na bok tuż przed tym, jak rower śmignął obok nich. Rowerzysta miał torbę przewieszoną przez ramię i krótkofalówkę na biodrze, wyjąca jednostajnie. Rose patrzyła, jak oddala się ulicą, przypominając sobie, że kiedyś – jeszcze gdy była dzieckiem – też miała rower. Niebieski Schwinn, z niebiesko-białym siodełkiem i białym, słomkowym koszykiem oraz różowo-białymi, plastikowymi frędzlami przy kierownicy. Za domem rodziców, jeszcze w Connecticut, była ścieżka

rowerowa, która wiodła do pola golfowego i boiska do piłki nożnej. Wiła się przez sad dzikich jabłoni i jesienią, gdy Rose tamtędy jechała, koła jej roweru rozgniaty leżące na ziemi dzikie jabłka, szepcząc coś do złocistoczerwonych liści. Czasami jeździła z nią mama, na swoim rowerze, który był dorosłą wersją jej własnego Schwinn z trzema przerzutkami, z siodełkiem dla dziecka nad tylnym kołem, siodełkiem, w którym niegdyś siadywały kolejno Rose i Maggie

Co się stało z jej rowerem? Próbowwała sobie przypomnieć. Po przeprowadzce do New Jersey mieszkali w wynajętym mieszkaniu, zaraz obok autostrady, co oznaczało parkingi i drogi bez chodników czy pobocza. Prawdopodobnie wyrosła z niego, a po przeprowadzce do Sydelle nigdy nie dostała nowego. Dostała za to prawo jazdy, trzy dni po skończeniu szesnastego roku życia, była podekscytowana perspektywą wolności do momentu, aż uświadomiła sobie, że w większości jej prowadzenie samochodu ograniczy się do odwożenia siostry na imprezy, odbierania jej z lekcji tańca i jeżdżenia na zakupy.

Odprowadziła Petunię do Shirley i zdecydowała, że w weekend kupi sobie rower – na początek używany, żeby się przekonać, czy jej się to w ogóle spodoba. Kupi rower i może koszyk, taki na kierownicę, w rozmiarze Petunii, i pojedzie... Gdzieś. Słyszała o ścieżkach rowerowych w Fairmount Park i dłuższej trasie biegnącej od muzeum sztuki aż do Valley Forge. „Kupię rower”, pomyślała, uśmiechając się teraz i idąc sprężystym krokiem. Kupi rower i mapę, spakuje chleb, ser, winogrona i ciastka czekoladowe, i puszkę wykwintnego psiego jedzenia dla Petunii. Poczła miłe podniecenie na myśl o czekającej ją przygodzie.

Pani Lefkowitz wyraźnie nie miała ochoty na swój cotygodniowy spacer.

– Tu też mogę pospacerować – powiedziała Elli, wskazując zamasztyłym ruchem łaski swój salon o wymiarach trzy metry na cztery osiemdziesiąt, w którym zdołała pomieścić jedną większą kanapę i dwie mniejsze, fotel z oparciami udekorowanymi koronką i ogromny telewizor z ekranem panoramicznym.

– Nie tak, jak powinniśmy – odpowiedziała cierpliwie Ella.

– Lecą właśnie *Opinie i poglądy*. – Na panoramicznym ekranie telewizora cztery kobiety przekrzykiwały się nawzajem. – Nie lubisz *Opinii i poglądów*?

– Na przykład na temat oceanu? Ale jak wyrobić sobie opinię o oceanie, nie wychodząc z domu? – pytała Ella z miną niewiniątka. – Zdecydowanie wyjdźmy się przejść. Zyskamy szerszą perspektywę. Przewietrzymy trochę swoje opinie i poglądy. Im też dobrze to robi.

– Właściwie to mam dla ciebie propozycję – pani Lefkowitz zagrała najwyraźniej swoją ostatnią kartą. – Wiesz, myślałam o tobie.

O twojej sytuacji.

– Później – Ella stanowczo ucięła ten wątek.

– Uuh, poddaję się – skapitulowała pani Lefkowitz. Nałożyła gigantyczne, kwadratowe okulary, posmarowała nos maścią cynkową i zawiązała sznurowadła swoich Nike'ów. – Chodź, sportsmenko wszech czasów, miejmy to już za sobą.

Poszły powoli w stronę kortów tenisowych. W zeszłym miesiącu ktoś w tym właśnie miejscu wrzucił przedni bieg zamiast wstecznego i wjechał

najpierw na ogrodzenie, potem na siatkę, a potem w tę nieszczęsną kobietę, Friedę Mandell, która bez entuzjazmu grała tego dnia w debla i skończyła rozplaszczona na masce cadillaca, z rakieta w dłoni. To, oświadczyła pani Lefkowitz, wkładając w to zdanie cały swój cięty dowcip, był oczywisty dowód, że sport i ćwiczenia – szczególnie tenis – mogą zabić, jeśli nie jest się ostrożnym.

Ale jej lekarz nalegał, by spacerowała, tak więc w każdy wtorek o dziesiątej Ella i jej podopieczna szły powoli do klubu, tam zjadały lunch, a potem osiedlowym meleksem zabierały się do domu. Gdzieś po drodze Ella zaczęła nawet lubić towarzystwo starszej pani.

Spacer pani Lefkowitz miał swój rytm. Najpierw stawiała laskę, następnie wzdychała, potem robiła krok prawą, sprawną nogą, po czym dociągała do niej lewą. Stuk, westchnięcie, krok, dociągnięcie. Naprawdę to działa uspokajająco, pomyślała Ella.

– No, więc, co słyhać? – zapytała pani Lefkowitz. – Ciagle się z nim spotykasz?

– Z Lewisem? – Pani Lefkowitz skinęła. – Jest w porządku. Przypomina mi mojego pierwszego męża.

Ella była zaintrygowana.

– Pierwszego męża? Było ich dwóch?

Stuk, westchnięcie, krok, dociągnięcie.

– Nie, nie. Po prostu mówię tak, bo brzmi bardziej światowo.

Ella stłumiła śmiech i podtrzymała lekko łokieć pani Lefkowitz, gdy ta pokonywała pęknięcie w chodniku.

– Czy Lewis ma przyzwoity dochód?

– Tak sędzę.

– Sędzisz? Sędzisz? – zgromiła ją pani Lefkowitz. – Nie sędź.

Dowiedz się! Możesz zostać z niczym! Jak ten Charles Kuralt!

Ella była zdezorientowana.

– To on został z niczym?

– No, nie. Nie, nie. On nie. Ale musisz pamiętać, że miał jeszcze tę drugą kobietę. I ona została z niczym.

– A jego samochód kempingowy?

– Jasne, śmieję się – powiedziała złowieszczo pani Lefkowitz. – Nie będzie ci do śmiechu, jak zostaniesz na garnuszku państwa.

– Nie zatrzymuj się – zgromiła ją Ella.

– A jego dzieci? – zapytała pani Lefkowitz. – Wiedzą o was?

– Tak myślę.

– Upewnij się – poradziła pani Lefkowitz. – Słyszałaś chyba o Florence Goodstein?

Ella pokręciła głową.

– No, więc – zaczęła pani Lefkowitz – ona i Abe Meltzer trzymali się razem. Chodzili do kina, na kolację i Flo wozila Abe'a do lekarza. Któregoś dnia zadzwoniły jego dzieci zapytać o ojca, jak się miewa, jak się czuje i tak dalej, a Flo w pewnym momencie w trakcie rozmowy, zupełnie bez żadnych podtekstów powiedziała, że jest zmęczona. No, więc gdy usłyszeli „zmęczona”, pomyśleli, że nie chce się nim już opiekować. I zaraz następnego dnia – mówiła pani Lefkowitz, dramatycznie przerywając w chwili, gdy historia osiągnęła swój finał – przylecieli tu, spakowali go i przenieśli do zakładu w Nowym Jorku.

– O, nie!

– Flo załamała się – kontynuowała pani Lefkowitz. – Cała akcja przebiegła tak błyskawicznie, jak odbicie zakładników w Entebbe.

– To przykre. Nie zatrzymuj się!



Pani Lefkowitz podniosła okulary słoneczne i spojrzała uważnie na Elle.

– Jesteś gotowa wysłuchać mojej propozycji?

– Jestem – zgodziła się Ella.

– O co chodzi?

– O twoje wnuczki – powiedziała pani Lefkowitz i zrobiła kolejny, czteroetapowy krok.

Gdzieś w środku Ella usłyszała swój jęk. Nie mogła uwierzyć, że powiedziała pani Lefkowitz o swoich wnuczkach. No, właśnie, rok temu nie uwierzyłaby, że będzie w stanie powiedzieć o nich komukolwiek. A teraz wyglądało na to, że nie umie utrzymać języka za zębami.

– Czy one mają Emil? – zapytała pani Lefkowitz.

– Emil? – powtórzyła mechanicznie Ella.

– Emil, Emil – zniecierpliwiła się staruszka. – W komputerze.

– A, e-mail!

– A co ja powiedziałam? – westchnęła.

– Nie wiem.

– No, więc mogłybyśmy się dowiedzieć. W Internecie. Możemy tam znaleźć o nich wszystko. – ciągnęła pani Lefkowitz.

Serce Elli zamarło.

– Masz komputer? – zapytała, nie śmiąc nawet mieć nadziei.

Pani Lefkowitz lekceważąco machnęła sprawną ręką.

– No, jasne, a kto dziś nie ma? Syn kupił mi na urodziny Maca. Pomarańczowego. Poczucie winy – wyjaśniła, najwidoczniej w odpowiedzi na niewyrażone głośno pytania Elli: „Jakiego koloru” i „Dlaczego?” – Nie przyjeżdża zbyt często, więc przysyła komputer i wysyła mi mailem zdjęcia wnuków. Jak chcesz, możemy wrócić i poszukać czegoś o twoich

wnuczkach.

Ella przygryzła wargę. Słyszała w sobie głos, który krzyczał: „Znajdź je! ”. I równie głośny, dużo bardziej znajomy, bardziej natarczywy głos, który mówił: „Pozwól im odejść”. Czuła niecierpliwe oczekiwanie i kruchą nadzieję przeplecioną czystym przerażeniem.

– Muszę się nad tym zastanowić – odparła w końcu.

– Nie zastanawiaj się – powiedziała pani Lefkowitz, prostując się do swoich pełnych 147 centymetrów i waląc w chodnik laską, która zaledwie o centymetr minęła stopę Elli. – Nie ma nad czym myśleć, trzeba działać.

– Co takiego?

– Tak mawiał mistrz Yoda do swoich uczniów – wypowiedziawszy to, starsza pani zaczęła mozolny proces odwracania się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Chodźmy! – przerwała zadumę Elli.

– Wychodząc frontowymi drzwiami, zanurzasz się jak duch we mgłę – powiedział chłopak w pogniecionej, białej lnianej koszuli w momencie, gdy Maggie wychodziła właśnie przez drzwi biblioteki Firestone około dziesiątej rano, a dzień wcale nie był mglisty.

Szedł teraz obok niej i Maggie spojrzała w jego stronę. Na ramionach miał plecak – zawieszony luźno, ale jakoś tak z charakterem. Długa, blada twarz, brązowe kędziory za uszami i strój – lniana koszula oraz wyprasowane lniane spodnie w kolorze owsianki – który stanowił znaczące odstępstwo od nieoficjalnie obowiązującego na kampusie mundurka, czyli dżinsów i T- shirtu.

– Nie ma mgły – zdziwiła się. – To chyba z piosenki?

– Nie inaczej – odpowiedział. Wskazał na egzemplarz *Mojej Antonii*, który Maggie niosła wetknięty pod pachą. – Kobiety w Literaturze?

Maggie wzruszyła ramionami, mogło to oznaczać z równym powodzeniem tak, jak i nie, uznając, że im mniej powie, tym lepiej. Od momentu przyjazdu do kampusu, oprócz tej pierwszej nocy na imprezie, nie mówiła prawie nic ponad „Dziękuję” i „Przepraszam”.

I to jej odpowiadało, myślała sobie. Do rozmów miała Corinne. Dużo czytała. Zaanektowała wygodne krzesło w słonecznej czytelni, a gdy uznawała, że ma ochotę zmienić otoczenie, szła do bufetu

I siadała przy swoim ulubionym stoliku. Skończyła *Zorę Neale Hurston* i *Wielkie nadzieje*, a teraz pracowała nad *Opowieścią o dwóch miastach*, drugi raz czytała *Moją Antonię* i starała się przebrnąć przez *Romea i Julię*, co było dużo trudniejsze, niż mogło się wydawać po projekcji filmu Baza Luhrmanna. Pogaduszki ze studentami mogły prowadzić tylko

do pytań, a pytania tylko do kłopotów.

– Odprowadzę cię – zaproponował chłopak.

– Poradzę sobie – Maggie odrzuciła ofertę, próbując jednocześnie zmienić kierunek.

– Nie ma sprawy – odpowiedział wesoło. – Wykład jest w McCoshu, o ile się nie mylę?

Maggie nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie spotykały się Kobiety w Literaturze, ani też gdzie konkretnie usytuowany był

budynek nazywany McCoshem, ale znów skinęła i zaczęła iść dalej. Chłopak bez trudu za nią nadązał. Długie nogi, zauważyła Maggie z niepokojem.

– Jestem Charles – przedstawił się.

– Przepraszam cię – odparła w końcu – ale nie jestem zainteresowana, OK?

Charles zatrzymał się i uśmiechnął do niej. Przypominał trochę Lorda Byrona z jednej z ukradzionych przez nią książek – długi grzbiet nosa, widoczne rozbawienie w linii ust. Żadnego sześciopaku, zero bicepsów, których można by się kurczowo chwycić. Nie jej typ.

– Nie posłuchasz nawet, co chcę ci powiedzieć? – zapytał.

– O, więc chcesz mi coś powiedzieć? – zdumiała się Maggie.

– Oczywiście! No, więc, to trochę niezręczne. Chodzi o to, że potrzebuję kobiety.

– Jak wy wszyscy – powiedziała Maggie zwalniając i wlokąc się tym razem noga za nogą, kombinując, że jeśli nie może uciec od niego, to może on będzie musiał się pospieszyć, żeby nie spóźnić się na swoje zajęcia.

– Nie, nie, nie o to mi chodzi – uśmiechnął się, po raz któryś dopasowując do niej swój krok. – Piszę sztuki i na zajęciach musimy

przedstawiać scenki, no, i potrzebuję kobiety, w typie pierwszej naiwnej – do mojej scenki.

Maggie spojrzała na niego.

– Chcesz, żebym zagrała? Zatrzymała się i patrzyła na niego. Zauważyła, że jest wysoki. I miał szare, miłe oczy.

Charles skinął.

– Właśnie. Mam nadzieję – ciągnął, gdy już szli dalej razem w kierunku McCosha – że uda mi się wiosną przedstawić jednoaktówkę w Teatrze Intime. – wymawiał to „ątiim” i przez chwilę Maggie nie była pewna, o co mu chodzi. Przechodziła obok tego budynku setki razy, ale sądziła, że czyta się tak, jak się pisze. I to ją przeraziło. Ile jeszcze razy się pomyliła, nawet jeśli pomyłki dotyczyły wyłącznie niedostępnego dla obcych terytorium jej własnej głowy? – Jak dobrze pójdzie, to będzie pierwszy krok. No, więc – zakończył – pomożesz bratu w potrzebie?

– Nie jesteś moim bratem – oburzyła się Maggie. – I w ogóle skąd wiesz, że umiem grać?

– Ale umiesz, mam rację? – zapytał Charles. – Wystarczy spojrzeć. Jesteś taka...

– Jaka?

– Dramatyczna – odparł bez zastanowienia. – Ale chyba się trochę pospieszyłem. Nawet nie wiem, jak masz na imię.

– Maggie – Maggie z wrażenia zapomniała chwilowo o swoim pragnieniu pozostania po prostu M.

– Charles Vilinch. I mam rację, powiedz? – dociekał. – Jesteś aktorką, zgadza się?

Maggie po prostu skinęła, mając nadzieję, że nie będzie domagał się szczegółów, ponieważ nie sądziła, by jej chórki w zespole Włochata Mycha

czy wystąpienie jej biodra w teledysku Willa Smitha zrobiły na nim duże wrażenie.

– Słuchaj, chciałabym ci pomóc, ale... Chyba raczej nie dam rady – powiedziała Maggie z nieudawanym żalem, bo myśl o zagranii w sztuce – nawet jeśli była to tylko jakaś nędzna studencka jednoaktówka – niesamowicie przypadła jej do gustu. Pomyślała, że to mógłby być jakiś start. Z Princeton nie było tak znowu daleko do Nowego Jorku. Może wiadomość o sztuce i jej gwiazdzie dotarłaby tam. Może jakiś agent czy dyrektor wsiadłby w pociąg i przyjechał się przekonać. Może...

– A może dasz sobie trochę czasu i przemyślisz to jeszcze? – Charles wyraźnie się nie poddawał. – Zadzwoń do ciebie wieczorem.

– Nie – Maggie próbowała myśleć najszybciej jak potrafiła. – Nie, eehm, mój telefon nie działa.

– To spotkajmy się na kawie.

– Nie mogę...

– W takim razie może bezkofeinowa herbata – zakończył Charles. – O dziewiątej w kawiarni. Na razie!

Po czym oddalił się wielkimi susami, zostawiając Maggie przy wejściu do sali wykładowej, gdzie potok studentów – właściwie w zdecydowanej większości studentek, z których kilka miało ze sobą taką samą *Moją Antonię* – wlewał się przez drzwi. Maggie przystanęła na chwilę i patrząc na przechodzące dziewczyny pomyślała: Czemu nie? Trudniej byłoby teraz zawracać pod prąd niż po prostu dać się ponieść z nurtem. Zdecydowała, że usiądzie z tyłu. Nikt nie zauważy. No, i była ciekawa, co profesor powie o książce. Może nawet się czegoś nauczy?

– Jak sobie radzisz? – zapytała pewnego ranka Amy, zwracając się do Rose. Siedziały w Moming Glory i jadły naleśniki z jagodami. Amy, w dopasowanych, czarnych spodniach i bluzce koloru nocnego nieba, wpadła tu w drodze na lotnisko, z którego udawała się w podróż służbową na głębokie południe do Georgii oraz w rejony Kentucky, gdzie miała zamiar wygłosić kilka wykładów na temat oczyszczalni ścieków („Które śmierdzą – informowała Rose – dokładnie tak, jak sobie wyobrażasz”). Rose, w swoich szerokich, wojskowych spodniach, które ostatnio stały się jej codziennym strojem, szła do antykwariatu zamienić dziesięć ostatnio przeczytanych romansów na kolejne dziesięć, a potem miała wyprowadzić na spacer psa imieniem Skip.

Rose zastanowiła się, przeżuając racucha.

– Dobrze – odpowiedziała powoli, podczas gdy chude, pałukowate palce Amy chwyciły kawałek bekonu z talerza.

– Nie brakuje ci pracy?

– Brakuje mi Maggie – wymamrotała Rose z ustami pełnymi ciasta. I to była prawda. Moming Glory było niedaleko ostatniego mieszkania Maggie; tego, z którego została wyrzucona, zanim wprowadziła się do Rose. Gdy Rose była w college'u, a potem w szkole prawniczej, Maggie przyjeżdżała do niej na weekendy, raz lub dwa razy w semestrze. A potem, gdy Rose zaczęła pracować, przyjeżdżała do południowej Filadelfii i szły z Maggie na późne śniadanie albo na drinka, albo zabierała siostrę na zakupy do centrum handlowego. Myśl o niezliczonych mieszkaniach Maggie obudziła miłe wspomnienia. Niezależnie od tego, gdzie mieszkała jej siostra, ściany niezmiennie przybierały kolor różowy, w którymś kącie pojawiał się

natychmiast prowizoryczny barek z nieodłącznym, zawsze gotowym, zakupionym w komisie shakerem do martini.

– Gdzie ona się podziewa? – zapytała Amy, wycierając nóż do smarowania w serwetkę i przeglądając się w nim w celu sprawdzenia, w jakim stanie jest jej szminka.

Rose pokręciła głową czując w gardle znajome uczucie gniewu, frustracji, wściekłości i współczucia.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy chcę wiedzieć.

– No, znając Maggie, pewnie pojawi się wcześniej czy później – prychnęła Amy. – Będzie potrzebowała pieniędzy albo samochodu, albo samochodu po brzegi wypełnionego pieniędzmi. Zadzwoń telefon i oto mamy ją z powrotem.

– Wiem – Rose westchnęła. Tęskniła za siostrą... Chociaż „tęsknić” to nie było najwłaściwsze słowo. To znaczy, tęskniła za towarzyszką, za kimś, z kim mogła zjeść śniadanie, zrobić pedikiur czy pójść na zakupy Odkryła, że brakuje jej nawet hałasu, który zawsze towarzyszył jej siostrze, sposobu, w jaki nastawiała termostat na 26 stopni, aż w mieszkaniu robiło się upalnie jak na wycieczce w tropikach, i tych niesamowitych opowieści – w ustach Maggie najnudniejsza nawet historia zamieniała się w arcyciekawą przygodę w trzech aktach. Przypomniła sobie, jak Maggie próbowała kiedyś spuścić w toalecie sporą ilość zużytych płatków higienicznych, a krnąbrna muszla odmawiała posłuszeństwa, więc Maggie krzyczała na nią: „Zabieraj mi stąd to wszystko i to zaraz, ty jędo!” Albo jak wpadła w szal przy stoisku z kosmetykami, bo nie mieli odżywki dla tego konkretnego odcienia włosów, który właśnie miała na głowie; i ten pstryczek palcami, odganiający ruch, którym dawała Rose do zrozumienia, że potrzebuje więcej miejsca na kanapie; piosenka, którą nuciła pod prysznicem. *It had to be me...*



Amy zastukała niecierpliwie nożem o krawędź talerza.

– Ziemia do Rose!

– Na stanowisku – Rose zamachała nieprzekonywająco ręką. Później, tego samego dnia, zatrzymała swój rower przy budce telefonicznej, wygrzebała z kieszeni garść drobnych i wykręciła jeszcze raz numer telefonu komórkowego siostry. Jeden sygnał, drugi.

– Halo? – zabrzmiał bezczelny i apodyktyczny głos Maggie. – Halo, halo?!

Rose odłożyła, zastanawiając się, czy Maggie zauważyła kierunkowy 215 i czy zastanawiała się teraz, czy to ona dzwoni, i czy ją to w ogóle obchodzi.

Jeżeli Maggie Feller nauczyła się czegokolwiek w ciągu czternastu lat obcowania z przedstawicielami płci przeciwnej, mogłaby ująć to następująco: faceci, o których wolałabyś nie pamiętać, zawsze wracają, żeby cię nękać. Może to być ktoś, kogo widzisz po raz pierwszy w życiu i wszystko, co musisz zrobić, by zacząć widywać go wszędzie, to spędzić z nim kilka minut sam na sam na tylnym siedzeniu samochodu, w sypialni albo w zamkniętej łazience. Odtąd będzie pojawiał się ni stąd, ni zowąd w stołówce, w akademiku, przy stoliku w knajpie, w której właśnie zaczęłaś pracę, oraz na imprezie w następny piątek, zawsze trzymając za rękę jakąś inną dziewczynę. To prawo Murphy'ego: facet, którego nie chcesz więcej widzieć, jest facetem, którego nigdy nie dasz rady uniknąć. I Josh, ten od pierwszej nocy w kampusie, nie stanowił, niestety, wyjątku.

Nie była pewna, czy jest w stanie ją rozpoznać. Był wtedy kompletnie zalany, było późno, ona wyszła prosto z pociągu, nie miała czasu na dopracowanie swojego uniwersyteckiego przebrania. Ale Josh pojawiał się wszędzie i wyglądał tak, jakby już za chwilę miał skojarzyć jej twarz z portfelem, śpiworem, lampką turystyczną i ubraniami, które pewnej nocy zginęły z jego pokoju.

Podnosiła wzrok znad książki w bibliotece i przemykał jej przed oczyma kawałek jego bluzy albo profil jego twarzy. Nappełniała kubek drugą porcją kawy, a on stał przy barze sałatkowym i przyglądał się jej. Właściwie raz nawet zaczął z nią rozmawiać. Było to w sobotę wieczorem, gdy zaciągnęła do pralni swoje pranie w poszewce od poduszki zakładając, całkowicie zresztą mylnie, że nikt nie będzie robił prania w sobotę wieczorem.

– Hej – zaczął zwyczajnie, przyglądając się biustonoszom i majtkom, które wkładała do pralki.

– Cześć – odpowiedziała, nie podnosząc głowy.

– Jak leci? – zapytał. Maggie wzruszyła lekko ramionami, wysypując proszek z małego pudełka, które zakupiła w automacie.

– Chcesz trochę płynu do płukania?

Podniósł płyn i uśmiechnął się. Ale jego oczy się nie śmiały. Jego oczy badały wnikliwie jej twarz, włosy, ciało, porównując to, co widzi, z tym, co pamięta z owej nocy w jego łóżku.

– Nie, dzięki. Wystarczy to, co mam – odparła i wepchnęła monety do otworu. Właśnie wtedy zadzwoniła jej komórka. Ojciec, pomyślała, dzwonił już wcześniej, ale nigdy nie odbierała. Teraz jednak chwyciła telefon jak tonący boję.

– Halo! – zawołała wesołym tonem, odwracając się tyłem do Josha i jego badawczych oczu.

Nikt się nie odzywał, słyhać było tylko oddech.

– Halo! – powtórzyła, idąc szybko po schodach i mijając grupę studentów podających sobie butelkę szampana i śpiewających jakąś bojową pieśń z boiska. – Halo? – bez odpowiedzi. A potem trzask odkładanej słuchawki i cisza. Wzruszyła ramionami, włożyła telefon do kieszeni i wyszła odetchnąć chłodnym, wiosennym powietrzem. Lamy rozmieszczone w równych odstępach oświetlały ścieżkę, wzdłuż której poustawiane były drewniane, rzeźbione ławki. Maggie wybrała jedną z nich, mniej oświetloną, i usiadła z boku. „Czas zniknąć”, pomyślała. Campus nie jest zbyt duży, a facet ciągle płącze się pod nogami. Wcześniej czy później przypomni sobie, kim jesteś i co zrobiłaś. Kwestia czasu. O ile już nie wie. Czas odłożyć karty, zamienić żetony na gotówkę, czas złapać kolejny

autobus.

Tylko że, to dziwne, nie chciała stąd odjeżdżać. Po prostu... Co? Maggie podciągnęła kolana pod brodę i patrzyła w górę na gałęzie drzew, obsypane teraz zielonymi pąkami, i na rozgwieżdżone, nocne niebo. Dobrze się bawiła. No, może niedokładnie bawiła, nie jak na imprezie, nie tak, jak wtedy, gdy wkładała super ciuch i świetnie wyglądając czuła na sobie zazdrosne spojrzenia. Ale podobało jej się tu, to było wyzwanie – którego nie udało jej się napotkać na żadnym z całej serii piastowanych przez nią stanowisk pracy z minimalnym wynagrodzeniem, na których czuła się jak w ślepym zaułku. Teraz była gwiazdą w swoim własnym filmie kryminalnym.

I nie chodziło tylko o to, żeby nikt nie zauważył. Tu właśnie były te najtęższe głowy z najlepszymi ocenami, finaliści olimpiad, sama śmietanka, prawdziwa elita. Jeśli Maggie mogła niepostrzeżenie poruszać się wśród nich, czy to nie dowodziło ostatecznie, że pani Fried miała rację? Jeśli potrafiła przetrwać Princeton, siedzieć w tylnym rzędzie na dziesięciu różnych zajęciach, w dodatku na każdym z nich rozumiejąc, o co chodzi, czy to również nie oznaczało, że jest bystra? Maggie starła rosę ze spodni i wstała. No, i był jeszcze Charles, jego sztuka, debiut reżyserski, jednoaktówka Becketta w Teatrze Intime. W której ona była gwiazdą. Spotykali się co kilka dni na próbach. Ćwiczyła swoją rolę w centrum studenckim albo w pustej sali budynku na Nassau Street, gdzie uczyli się studenci kierunków artystycznych.

– Mieszkam w Lockhart – powiedział jej, gdy ostatnio wracali z Nassau 185. – Długo siedzę wieczorami. Mam dwóch współlokatorów – dodał, zanim Maggie zdążyła unieść brwi. – Gwarantuję, że twoja cnota jest ze mną bezpieczna.

Hmmm, teraz było dość późno. Ciekawe, czy jeszcze nie śpi.

Zastanawiała się, oplatając się ramionami, czy będzie tak miły i pożyczycy jej jakąś bluzę. Przeszła szybkim krokiem przez campus. Lockhart, o ile dobrze pamiętała, był zaraz koło sklepu, a pokój Charlesa znajdował się na parterze i gdy Maggie zastukała w szybę, on sam odsłonił żaluzję i uśmiechnął się, po czym wpuścił ją do środka.

Pokój Charlesa nie przypominał nic, czego mogłaby się spodziewać. To było jak wycieczka do innego kraju. Każdy centymetr ściany, jak również sufitu, pokryty był tkaniną w indiańskie wzory oraz dziesiątkami lusterek w srebrnych ramkach. Podłogę zdobił orientalny dywanik, szkarłatno– złoto– niebieski, a zamiast zwyczajowego stolika na środku stał zniszczony kufer. Prawdziwa skrzynia ze skarbem, pomyślała Maggie. Charles i jego współlokatorzy ustawili biurka pod ścianą, a kufer otoczyli sporą ilością poduszek – spoczywały tam czerwone ze złotymi frędzlami, fioletowe z czerwonymi frędzlami, była też jasnozielona, wyszywana złotą nitką i ozdobiona koralikami.

– Siadaj – Charles wskazał jej poduszki. – Masz ochotę na coś do picia? W rogu stała mała lodówka, a na niej ekspres do parzenia cappuccino.

– No, no! – pokiwała Maggie z uznaniem. – Czyżbyś miał harem?

Charles roześmiał się i pokręcił głową.

– Niezupełnie. Po prostu lubimy pokręcić się po świecie. W zeszłym semestrze Jasper był w Afryce i mieliśmy tu coś w rodzaju safari, ale te głowy zwierząt na ścianach strasznie mnie wkurzały. Tak jest lepiej.

– Bardzo ładnie – oceniła Maggie, powoli obchodząc pokój. W kącie dojrzała niewielką, ale dość skomplikowaną wyglądającą wieżę stereo i kompakty ułożone według rodzaju muzyki – jazz, rock, bigbit, klasyczna – a reszta alfabetycznie. W innym kącie stał mały stolik zawalony przewodnikami: Tybet, Senegal, Machu Picchu. Wciągając głęboko

powietrze, poczuła zapach kadzidełka, wody kolońskiej i papierosów. Miniaturowa lodówka zawierała wodę w butelkach, cytryny, jabłka i dżem morelowy. Ani jednego piwa czy czegoś mocniejszego.

Gej, oceniła Maggie, zamykając drzwi lodówki. Gej, pomyślała, czując niejaką ulgę. Nie ma wątpliwości, gej. Podniosła zdjęcie w ramce z biurka Charlesa. Na zdjęciu obejmował śmiejącą się dziewczynę.

– Siostra? – zapytała.

– Była dziewczyna – powiedział.

„Ha!”, pomyślała Maggie.

– Nie jestem gejem – mruknął Charles. Potem roześmiał się przepraszająco. – Po prostu każdy, kto tu przychodzi, zwykle tak myśli. I potem muszę przez trzy miesiące zachowywać się tak heteroseksualnie, jak to tylko możliwe.

– Czyli drapać się co pięć minut zamiast co dziesięć? To w końcu nie taka trudna praca – odparła i klapnęła z powrotem na poduszki, przeglądając książkę o Meksyku. Wybielone domy na tle ostrego błękitu nieba, płaczące Madonny na wyłożonych płytkami dziedzińcach, białe grzywy fal na piasku. Czowała się rozczarowana. W całym swoim życiu miała do czynienia tylko z trzema rodzajami facetów – geje, starsi panowie i trzecia kategoria, sto razy liczniejsza niż pozostałe, to ci, którzy chcieli się z nią przespać. Jeśli Charles nie był gejem, a z całą pewnością nie był stary, prawdopodobnie chciał się z nią przespać. Co sprawiło, że zrobiło jej się smutno i poczuła się nawet trochę oszukana. Nigdy wcześniej nie spotkała faceta, który byłby po prostu kolegą, a z Charlesem spędziła na tyle dużo czasu, że wydawało jej się, iż zdążył polubić ją za jej inteligencję, dowcip i zaradność zamiast za tę jedną rzecz, za którą zazwyczaj lubili ją wszyscy inni.

– No to cieszę się, że sobie to wyjaśniliśmy. Cieszę się, że tu jesteś.

Mam dla ciebie wiersz.

– Dla mnie? Napisałeś go?

– Nie. Przerabialiśmy na zajęciach z historii poezji. Sięgnął po *Antologię Nortona* i zaczął czytać:

*Małgorzatko, czy cię smuci, że las liście złote zrzucił?*

*Liści, tak jak ludzkich spraw dna,*

*Umiesz dotknąć myślą – prawda?*

*Ach, z czasem serce młode Starsze się stanie, chłodniej Spojrzy, bez westchnień, bez trenu,*

*Na liście – las w rozproszeniu;*

*Lecz też zapłaczesz – wiedząc, czemu.*

*Mniejsza, jakim zwać je mianem, źródła żalu są te same.*

*Nie ma pojęć, słów, by oddać,*

*Co wie serce, co duch odgadł: że życie jest własną żalobą; że płacząc – płaczesz nad sobą.*

Zamknął książkę. Maggie wzięła głęboki oddech. Całe ręce pokryte miała gęsią skórką.

– Uuu... – westchnęła głęboko. – Mroczny. Ale ja nie jestem Małgorzatą.

– Nie?

– Nie – odpowiedziała. – Jestem po prostu Maggie. Właściwie Maggie May – Roześmiała się, lekko zażenowana. – Zawdzięczam to uznanemu poecie Rodowi Stewartowi. Moja mama lubiła tę piosenkę.

– Jaka jest twoja mama? – zapytał Charles.

Maggie spojrzała na niego, potem odwróciła wzrok. W tym zazwyczaj momencie Maggie wymyślała swoją własną wersję tragicznej opowieści o

śmierci matki i kładła ją facetowi na kolanach jak barwnie opakowaną paczuszkę. Czasem matka umierała na raka piersi, innym razem Maggie pozostawała przy wersji wypadku, ale zawsze dodawała sporą porcję szczegółów i dramatyzmu. Chemioterapia! Policjant w drzwiach! Pogrzeb i dwie dziewczynki płaczące nad trumną! Ale w tym przypadku jakoś nie miała na to ochoty Zapragnęła powiedzieć mu coś bliższego prawdy, co ją przeraziło, bo jeśli wyjawiałaby mu prawdę o tym, co jeszcze przysłoby jej do głowy mu opowiedzieć? – Nie ma zbyt wiele do opowiadania – zbyła go.

– O, wiem, że to nieprawda – nie poddawał się. Czuła na sobie jego wzrok. Wiedziała, że się zaczyna. „Chodź, usiądź bliżej”. Albo: „Masz ochotę się czegoś napić?”. A potem poczuje jego usta na szyi albo rękę na ramionach, sięgającą do jej piersi. Przerabiała to już tyle razy.

A jednak te typowe zwroty nie zostały wypowiedziane i nie poczuła jego ust. Zamiast tego Charles został po prostu tam, gdzie siedział.

– W porządku. Nie mów mi – uśmiechnął się. „Przyjacielski uśmiech”, pomyślała i poczuła ulgę. Potem spojrzała na antyczny, przynajmniej z wyglądu, zegar na biurku. Było po pierwszej.

– Powinam już iść. Muszę zabrać moje pranie.

– Odprowadzę cię.

– Nie, daj spokój. Poradzę sobie.

Ale on pokręcił głową i już sięgał po swój plecak.

– Nie powinnaś chodzić sama. To niebezpieczne.

Chciało jej się śmiać. Princeton było najbezpieczniejszym miejscem, w jakim kiedykolwiek się znalazła. Było tu bezpieczniej niż w brodziku dla dzieci, bezpieczniej niż w dziecięcym foteliku samochodowym. Jedyne wypadek, jakiego była świadkiem, to upuszczenie tacy w stołówce.



– Właściwie to jestem głodny. Przy okazji wyjścia z tobą mógłbym zahaczyć o jakiś barek. Byłaś kiedyś w P J.?

Maggie pokiwała przecząco. Charles przybrał wygląd osoby absolutnie przerażonej.

– To tradycja w Princeton. Mają tam fantastyczne naleśniki posypane czekoladą. Chodźmy! – powiedział, przytrzymując jej drzwi. – Ja stawiam.

TTLR

Rose Feller wiedziała, że w końcu ten dzień nadejdzie.

Po trzech miesiącach wyprowadzania psów, odbierania rzeczy z pralni, wycieczek do apteki i zakupów w sklepie spożywczym, a także wypadów do wideoteki, pomyślała, że to już trwa zbyt długo i nieuchronnie zbliża się ta chwila, gdy zobaczy znajome twarze z nie do końca cudownego okresu jej życia w firmie Lewis, Dommel i Fenick. I faktycznie – pewnego słonecznego, ciepłego, kwietniowego dnia Shirley, właścicielka Petunii, wręczyła jej kopertę z jakże dobrze znanym adresem, mówiąc jak gdyby nigdy nic:

– Czy mogłabyś zanieść to po drodze do kancelarii mojego adwokata?

Rose, czując znajomy ucisk w gardle, po prostu włożyła kopertę do torby przewieszanej przez ramię, wsiadła na rower i pedałując udała się w kierunku Arch Street, przy której znajdował się wysoki, lśniący teraz w słońcu wieżowiec, w którym kiedyś pracowała.

Może się tak zdarzyć, myślała sobie jadąc, że nawet nikt jej nie rozpozna. Swoje dni u Lewisa, Dommela i Fenicka spędzała w garniturach i na obcasach („oraz z miłością w sercu” – przypomniawszy głos w jej głowie). Dziś miała na sobie krótkie spodenki, białe skarpetki do kostek, na których widniały patelnie, sadzone jajka i filiżanki kawy (drobiazg pozostawiony przez Maggie), a także buty kolarskie ze specjalnie utwardzonymi podeszwami. Urosły jej włosy, sięgały poniżej linii ramion i zostały uczesane w dwa warkoczyki. Metodą prób i błędów Rose doszła do wniosku, że była to jedna z tych niewielu fryzur, które sprawdzały się pod kaskiem rowerowym. I choć nie zrzuciła ani kilograma od czasu swojego nieoczekiwanego opuszczenia świata prawa cywilnego, jej ciało zmieniło

się. Dni spędzone na rowerze i spacerach zrobiły swoje, na rękach i nogach pojawiły się mięśnie, a biurową bladość zastąpiła opalenizna. Miała zaróżowione policzki i lśniące włosy. Przynajmniej tyle. „Po prostu zrób to”, mówiła do siebie, wychodząc z windy i kierując się w stronę recepcji. Brązowa skóra jej łydek kontrastowała z białymi skarpetkami i sportowymi butami, których odgłos roznosił się po korytarzu." Wykonaj zadanie". To w końcu nic trudnego. Zostawi przesyłkę, weźmie potwierdzenie odbioru i...

– Rose?

Wstrzymała oddech, podświadomie mając nadzieję, że głos jest wytworem jej wyobraźni i tak naprawdę wcale nie dochodzi z pokoju po drugiej stronie holu. Odwróciła się i zobaczyła Simona Steina, obrońcę i propagatora prawniczej ligi softballowej. Rudy kolor jego włosów był jeszcze bardziej rudy w świetle sufitowych żarówek, a stonowany, czerwono– złoty krawat podkreślał delikatną wypukłość brzucha.

– Rose Feller?

„Hmmm – pomyślała, posyłając mu coś w rodzaju uśmiechu i krótki gest ręką – mogło być gorzej”. To mógł być Jim. No, tak, musi po prostu oddać kopertę i zmywać się stąd...

– Co u ciebie? – zapytał Simon, przechodząc przez hol i stając obok niej, lustrując ją przy tym uważnie, jakby zmutowała do jakiegoś nieznanego dotąd gatunku. „Może zresztą tak było”, pomyślała ponuro. Były Prawnik. Ilu z nich spotkał dotąd Simon?

– OK – powiedziała cicho i wręczyła kopertę recepcjonistce, która spoglądała na nią z nieskrywaną ciekawością, starając się dopasować jakoś opaloną dziewczynę w szortach do poważnej, młodej kobiety w kostiumie.

– Powiedziano nam, że jesteś na urlopie – Simon wyraźnie dążył do rozmowy.

– Jestem – odpowiedziała szorstko, zabierając potwierdzenie odbioru i kierując się w stronę drzwi. Simon poszedł za nią, choć siłą woli starała się go od tego odwieść.

– Hej! – zawołał za nią. – Jadłaś już lunch?

– Naprawdę muszę iść – rzuciła mu w chwili, gdy otworzyła się jedna z wind i wylał się z niej strumień prawników. Rose zerknęła w tę stronę, ukradkiem szukając twarzy Jima i zaczęła oddychać ponownie dopiero, gdy jej nie zobaczyła.

– Darmowy lunch – Simon Stein uśmiechnął się czarująco. – Daj się namówić, przecież i tak musisz coś zjeść. Pójdziemy do wykwintnej knajpki i będziemy udawać ważniaków.

Rose roześmiała się.

– Nie ze mną w tym stroju. Odpada.

– Nikt nic nie powie – powiedział Simon i wszedł do windy za Rose, jakby był jednym z psów, które codziennie wyprowadzała. – Nie ma się czym przejmować.

Dziesięć minut później siedzieli w restauracji Oyster House, mieszczącej się na Sansom Street, gdzie potwierdziły się jej obawy, gdyż była jedyną kobietą, która nie miała na sobie rajstop i butów na obcasach.

– Dwie mrożone herbaty – Simon Stein złożył zamówienie, rozluźniając krawat i podwijając rękawy marynarki, odsłaniając tym samym pokryte piegami ręce. – Lubisz zupę z małży? Masz coś przeciwko smażonym potrawom?

– Tak i nie, od czasu do czasu – odpowiedziała Rose, która zdążyła rozpleść warkoczyki i próbowała ułożyć jakoś włosy.

– Dwa razy zupa z małży New England i owoce morza z rusztu – zwrócił się do kelnerki, która skinęła głową z aprobatą, przyjmując

zamówienie.

– Zawsze zamawiasz dla nieznajomych? – zapytała Rose uznając, że jej włosy to stracona sprawa i próbując dla odmiany zakryć końcem nogawki strupy na prawym kolanie.

Simon, zadowolony z siebie, skinął twierdząco.

– Jeśli tylko mam okazję – powiedział. – Czy byłaś kiedyś zazdrosna o jedzenie?

– A mianowicie?

– Idziesz do restauracji i zamawiasz coś, a potem widzisz czyjeś danie, które wygląda przynajmniej dziesięć razy lepiej niż twoje.

Rose kiwnęła.

– No pewnie. Ciągle mi się to zdarza.

Simon triumfował. W zasadzie ze swoimi kręconymi włosami i tym zadowolonym uśmiechem przypominał trochę rudowłosego clowna w typie Ronalda McDonalda.

– Mnie nigdy – pochwalił się.

Rose przyglądała mu się przez chwilę z niedowierzaniem.

– Nigdy?

– No, prawie nigdy – dodał ugodowo. – Jestem ekspertem w tym względzie. Mistrz karty dań.

– Mistrz karty dań – powtórzyła Rose. – Powinieneś występować w telewizji. Przynajmniej na kablówce.

– Wiem, że to śmiesznie brzmi – ciągnął Simon – ale to prawda. Możesz zapytać każdego, z kim wybrałem się do knajpy Nigdy się nie mylę.

– OK – Rose podjęła wyzwanie. Przyszła jej do głowy restauracja, w jakiej była ostatnio; „ostatnio”, czyli około pół roku temu, gdy pewnego wieczora, dość późno, wybrali się z Jimem na kolację po pracy, tak żeby nie

spotkać żadnego z jego znajomych. – Londyn – przypomniała sobie w końcu.

– Miasto czy restauracja?

Rose oparła się pokusie wywrócenia oczu.

– Restauracja. Niedaleko muzeum sztuki.

– No, tak – bez zastanowienia odparł Simon. – Zamawiasz smażone kalmary i pieczoną kaczkę z imbirem, a na deser sernik w białej czekoladzie.

– Zdziwiająca – powiedziała Rose, tylko w połowie sarkastycznie. Simon wzruszył ramionami i wznosił swoje małe dłonie do nieba.

– Droga pani, to nie moja wina, że żywisz się tylko rybą z rusztu i ziemniakami.

– Skąd wiesz? – zapytała Rose, bo o ile dobrze pamiętała, zamówiła wtedy łososa z rusztu. – Zgadłem. Poza tym większość kobiet tak robi. A szkoda. Próbuj dalej.

– Późne śniadanie w Striped Bass – Rose wymieniła jedną z najdroższych restauracji w mieście. Ojciec zabrał je tam kiedyś z Maggie i to było wydarzenie. Rose zamówiła turbota. Maggie, o ile dobrze pamiętała, zamówiła trzy rury z colą i, na koniec, telefon kelnera podającego wino.

Simon Stein zamknął oczy.

– Czy mają w karcie jajka po benedyktyńsku i homara z wody?

– Nie wiem. Właściwie nigdy nie byłam tam ani na śniadaniu, ani na lunchu.

– Powinniśmy się wybrać – orzekł Simon. „My”, pomyślała Rose nie bez zdziwienia.

– Bo właśnie to podają – kontynuował. – Na początek ostrygi, jeśli lubisz ostrygi... Ale ty lubisz ostrygi, czy nie?

– Jasne – szybko odparła Rose, która nigdy nie jadła ostryg.

– A potem jajka po benedyktyńsku i homara z wody. Jest naprawdę niezły – uśmiechnął się. – Dalej?

– Penang – Rose rzuciła kolejną nazwę. To była nowa, modna, malajska knajpa, dopiero co otwarta w Chinatown. Tylko o niej czytała, ale Simon nie mógł tego wiedzieć.

– Pieczone skrzydełka z kurczaka, wołowina na ostro w sosie kokosowym, kleisty ryż i sajgonki ze świeżymi krewetkami.

– No, no – wyraziła zdumienie Rose akurat w momencie, gdy kelnerka postawiła przed nimi zupę. Zanurzyła łyżkę, spróbowała i przymknęła powieki, gdy jej usta wypełnił gęsty krem, w którym wyczuła delikatny, słony posmak oceanu, świeżych, słodkich małży i ziemniaków gotowanych na tyle długo, że rozpływały się na języku. – Moja tygodniowa porcja kalorii – zakomunikowała, gdy po pierwszym zachwycie doszła już do siebie.

– Nie liczą się, jeśli płaci kto inny – zażartował Simon podając jej krakersa. – Spróbuj tego.

Rose zjadła połowę zupy, zanim przyszło jej do głowy znowu się odezwać.

– Jest przepyszna – stwierdziła.

Simon skinął głową, jakby jej pochwała zupy była dokładnie tym, czego się spodziewał.

– Czy mogłabyś powiedzieć mi coś więcej o tym urlopie? – Rose z niejakim trudem przełknęła kawałek małża i ziemniaka.

– Hmm, no, więc... Eee...

Simon Stein przyglądał jej się nieco zdziwiony.

– Jesteś chora? – zapytał. – Tak głosila jedna z plotek.

– Jedna z plotek?

Simon kiwnął głową i odsunął na bok swój pusty talerz.

– Plotka numer jeden to tajemnicza choroba. Plotka numer dwa – zostałaś zwerbowana do Peppera i Hamiltona. Plotka numer trzy...

W tej właśnie chwili ponownie zjawiała się kelnerka z półmiskiem pełnym przybrązowionych na złoty kolor paseczków i filecików. Simon zajął się wyciskaniem cytryny na podane delikatesy oraz soleniem, w rozsądnych granicach, frytek.

– Jak brzmi plotka numer trzy? – ponagliła go Rose.

Simon Stein włożył do ust dwa smażone małże i spojrzał na nią prostodusznie swoimi szeroko otwartymi, niebieskimi oczami spod jasnorudych rzęs.

– Szhee asz omams...

– Co?

Simon przełknął.

– Że masz romans. Z jednym ze współników.

Rose otworzyła usta.

– Aaa... – Simon podniósł rękę.

– Nie musisz nic mówić. Nie powinienem był o tym w ogóle wspominać.

– Czy wszyscy tak myślą? – Rose starała się zabrzmieć tak, jakby wcale nie była w szoku.

Simon poczęstował się sosem tatarskim i pokręcił głową.

– Nie. Większość stawia albo na liszaj rumieniowaty, albo na problemy z krzyżem.

Rose zjadła kilka smażonych małży, starając się wyglądać non-szalancko i nie czuć się śmiesznie. Ale była śmieszna, jasne, że była. Olała pracę, facet olał ją, była ubrana jak wyrośnięta uczennica, a teraz inny facet,



którego praktycznie nie znała, solił jej frytki. A najgorsze było to, że wszyscy wiedzieli o niej i Jimie. A ona myślała, że to tajemnica. Jak mogła być tak głupia?

– Czy plotka wspominała o konkretnym współniku? – zapytała, starając się robić wrażenie, że cała sprawa jest dla niej bez znaczenia, maczając jednocześnie krewetkę w sosie tatarskim i mając mimo wszystko nadzieję, że przynajmniej część jej sekretu jest bezpieczna.

Simon Stein wzruszył ramionami.

– Nie słuchałem. To po prostu plotka. Wiesz, jak to prawnicy. Muszą znać odpowiedź na każde pytanie, więc gdy ktoś znika, żądają wyjaśnień.

– Ja nie zniknęłam. Jestem na urlopie. Jak ci wiadomo – podkreśliła Rose z uporem i zjadła kawałek plasterka, która była, w sumie, przepyszna. Przełknęła i odchrząknęła. – No, tak. Hmm... Co jeszcze słyhać w firmie? Co u ciebie?

Simon ponownie wzruszył ramionami.

– To samo. Dostałem ostatnio własną sprawę. Niestety, to tylko Głupi Bentley.

Rose zrobiła współczującą minę. Sprawa Głupiego Bentleya. Chodziło o klienta, który odziedziczył miliony swojego ojca i, najwidoczniej, zero jego inteligencji. Facet kupił używanego bentleya, by dwa kolejne lata po dokonaniu zakupu spędzić na próbach odzyskania pieniędzy od dealera. Twierdził, że od pierwszego razu, gdy wyjechał na drogę, z samochodu wydobywał się tłusty, czarny dym. Dealer przypuszczał – co zostało potwierdzone, nieszczęśliwie dla klienta, przez obecnie już jego byłą żonę – że dym jest wynikiem niezwolnienia przez klienta hamulca ręcznego w bentleyu podczas jazdy. Simon, opowiadając jej szczegóły, starał się robić wrażenie znudzonego cynika – zniesmaczonego faktem, że jego klientem

jest taki cymbał i że cały system pozwala podobnej sprawie dojść do punktu, do którego doszła – ale zarówno znużenie, jak i cynizm stanowiły tylko cieniutką, nietrwałą warstwę patyny, spod której wyraźnie przebijał jego rzeczywisty zapal do pracy. Oczywiście, nie była to jakaś wielka sprawa i faktycznie, klient to cymbał, no i, mówiły jego błyszczące oczy i gestykulujące dłonie, na pewno nie ustanowi precedensu, a jednak Rose widziała wyraźnie, jaką sprawiało mu to przyjemność – choćby ze sposobu, w jaki opisywał przesłuchania, ujawnienie dowodów, wezwanie mechanika półanalfabety o nazwisku Vitale. Rose westchnęła słuchając go i pomyślała, że chciałaby poczuć jeszcze coś podobnego do swojej pracy prawnika. Zastanawiała się, czy tak naprawdę czuła to kiedykolwiek.

– Na dziś o Bentleyu chyba wystarczy – oświadczył Simon, wrzucając przedostatnią smażoną krewetkę do ust, a ostatnią podsuwając Rose. – A tak w ogóle, świetnie wyglądasz. Wypoczęta, odprężona.

Rose powędrowała żalonym wzrokiem od nieco prze poczonego T-shirtu do łydek wytatuowanych smarem z rowerowego łańcucha.

– Jesteś zbyt uprzejmy.

– Miałabyś ochotę zjeść ze mną kolację w piątek?

Rose gapiła się na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Wiem, trochę to niespodziewane – skonsternował się Simon. – To chyba wynik tej pracy, no, wiesz, wystawianie rachunków za efektywnie przepracowane godziny. Po prostu chcesz wszystko, co masz do powiedzenia, wyrzucić z siebie jak najszybciej, bo zegar tyka.

– Czyżbyś nie miał dziewczyny? – zapytała ostrożnie Rose. – Która studiowała na Harvardzie?

– To skończone – odparł. – Nie wyszło.

– Dlaczego?

Simon zastanowił się chwilę.

– Brakowało jej trochę poczucia humoru, no, i cały ten Harvard... Hmm, myślę, że nie mogłem jakoś wyobrazić sobie przyszłości z kobietą, która swój okres nazywa Karmazynowym Przyływem.

Rose parsknęła. Kelnerka zabrała talerze i podała im kartę deserów. Simon tylko przez chwilę zatrzymał na niej wzrok.

– Szarlotka na ciepło – zdecydował. – Przyłączysz się?

Uśmiechnął się do niej i pomyślała, że pomimo raczej niskiego wzrostu i sylwetki przypominającej trochę jajko oraz faktu, że był równie niepodobny do Jima, jak sklep Armaniego do lumpeksu, był na swój sposób zabawny. I miły. W pewnym sensie interesujący. Nie dla niej, oczywiście, dodała szybko, ale...

W międzyczasie Simon patrzył na nią wyczekująco i nucił refren, jak jej się wydawało, piosenki pod tytułem Zakochani prawnicy

– Więc jak, jesteśmy umówieni na kolację?

– Czemu nie?

– Miałem nadzieję na nieco bardziej entuzjastyczną reakcję – odparł sucho.

Rose uśmiechnęła się do niego.

– W takim razie tak, jesteśmy umówieni.

– Wyraźnie widzę uśmiech! – ucieszył się Simon. A gdy kelnerka przyniosła szarlotkę, stwierdził: – To szczególna okazja, więc trzeba ją uczcić. Uzupełnijmy ją wobec tego lodami!

Ella usiadła przed komputerem pani Lefkowitz, wzięła głęboki oddech i spojrzała na pusty ekran.

– Nie sędzę, żebym umiała to zrobić – westchnęła.

– Co?! – zawołała z kuchni pani Lefkowitz. – Znowu się zawiesił?

Po prostu zresetuj komputer. Dasz sobie radę.

Ella pokręciła głową. Wcale nie uważała, że da sobie radę. Siedziała w pokoju, który był połączeniem czegoś w rodzaju gabinetu i niewielkiego stryszku– składziku na chwilowo mniej potrzebne rzeczy Mandarynkowy Mac został umieszczony na potężnym, orzechowym biurku z nogami w kształcie szponów. Nad biurkiem wisiała wypchana głowa łosia. Obok stała kanapa pokryta czerwonym aksamitem, poprzez który miejscami widać było, czym została wypchana. Był również wykonany z miedzi i bambusa stojak na parasole, w którym tymczasowo zakwaterowano laskę pani Lefkowitz.

– Nie sędzę, żeby mi się udało – powiedziała Ella raz jeszcze... Ale nikt jej nie usłyszał. Lewis i pani Lefkowitz w kuchni kroili babeczki oraz owoce, a w salonie słychać było ryczący telewizor.

Ella zacisnęła powieki, napisała „ROSE FELLER” i zanim zdążyła ją opuścić odwaga, wdusiła „enter”.

Gdy otworzyła ponownie oczy, pani Lefkowitz i Lewis stali za nią, a ekran wypełniony był słowami.

– No, no, wcale nieźle – odezwał się Lewis. – Popularne nazwisko – zauważyła pani Lefkowitz.

– Skąd mam wiedzieć, która to? – zapytała Ella.

– Spróbuj pierwszą – podpowiedział Lewis. Ella kliknęła na odsyłacz

i odkryła, że słowa „Rose” i „Feller” zaprowadziły ją do Feller Florals w Tucson w Arizonie. Westchnęła, wróciła na poprzednią stronę i kliknęła kolejny odsyłacz. Tym razem było to zezwolenie na zawarcie małżeństwa pani Rose Feller z Wellville w stanie Nowy Jork, urodzonej w 1957 roku. To nie jej Rose. Wróciła ponownie, kliknęła jeszcze raz i w końcu na ekranie pojawiła się twarz jej wnuczki, dwadzieścia dwa lata starszej niż w dniu, gdy widziała ją po raz ostatni.

– O! – wykrztusiła z trudem i zaczęła pochłaniać słowa na ekranie.

– Jest prawnikiem – powiedziała nieswoim głosem.

– Hmm, no cóż, mogło być gorzej – stwierdziła pani Lefkowitz i zachichotała. – Przynajmniej nie siedzi w więzieniu!

Ella wpatrywała się w ekran. To była Rose. Na pewno. Miała te same oczy, ten sam poważny wyraz twarzy, te same brwi tworzące prostą linię wzdłuż czoła, którą Ella tak dobrze pamiętała. Wstała i opadła na małą kanapę pani Lefkowitz. Lewis zajął jej miejsce i zaczął przeglądać tekst.

– Uniwersytet w Princeton... Prawo... Specjalizacja: prawo handlowe... Mieszka w Filadelfii...

– Była taka mądra – wymamrotała Ella.

– Możesz jej wysłać e-mail – podsunął Lewis.

Ella schowała twarz w dłoniach.

– Nie mogę. Jeszcze nie. Nie jestem gotowa. Co miałabym jej powiedzieć?

– Zaczęłabyś od „witaj” – pani Lefkowitz roześmiała się z własnego dowcipu.

– Gdzie jej siostra? – udało się zapytać Elli. – Gdzie Maggie? Lewis spojrzał na nią uspokajająco i poczuła się, jakby położył jej na ramieniu swoją ciepłą dłoń.

– Pracuję nad tym – oświadczył. – Jeszcze nic nie znalazłem. Ale znajdzie, wiedziała. Dziewczynki gdzieś tam były, żyły swoim życiem, którego nie potrafiła sobie wyobrazić. Były teraz dorosłe. Mogły podejmować własne decyzje, na przykład – czy wpuścić ją do swojego świata, czy nie. Mogła do nich napisać. Mogła zadzwonić. Ale co by im powiedziała?

Pani Lefkowitz klapnęła ciężko na kanapę obok niej.

– Zrób to! Zrób to, Ella. Co masz do stracenia?

Nic, pomyślała Ella. Wszystko. Pokręciła głową i zamknęła oczy.

– Nie dziś – powiedziała. – Jeszcze nie.

Ku swojemu zaskoczeniu Maggie Feller zauważyła, że w Princeton uczestniczy w pewnym dziwnym nieco procesie edukacji.

Zdecydowanie nigdy tego nie planowała – myślała, idąc przez campus z naręczem książek. Ale prawda była taka, że na pierwszych zajęciach połknęła haczyk. To samo było z Charlesem, z jego książkami pełnymi monologów, rozmowami na tematy, których żaden facet nigdy nie chciał z nią podejmować – charaktery, nastroje i motywacje, książki i życie, czym się różniły i jak były do siebie podobne. Nawet nagle wszechobecny Josh, jej niefortunna znajomość, ta jedyna łyżka dziegciu w beczce miodu, nie wydawał jej się rzeczywiście niebezpieczny, a jedynie nieco rozpraszający. Spodobało jej się bycie studentką, myślała z żalem. Powinna była włożyć w to trochę więcej wysiłku dziesięć lat temu.

Weźmy poezję. Dla Maggie przeczytanie nawet najprostszego zdania równało się mrówczej pracy detektywa. Najpierw musiała wybadać i odcyfrować każdą pojedynczą literę każdego jednego słowa. Gdy już rozpracowała je z osobna, trzeba było je połączyć, rzeczowniki, czasowniki i te jarmarczne świecidełka – przymiotniki, i czytać raz po razie, zanim udało się jej wydobyć z nich znaczenie, jak kawałeczek orzecha włoskiego zaklinowany w sękatej łupinie.

Wiedziała, że u większości ludzi działało to inaczej. Wiedziała, że Rose wystarczyło spojrzeć na akapit czy całą stronę i już wiedziała, o co chodzi, jakby wchłaniała tę wiedzę przez skórę, i w związku z czym była w stanie pożerać grube romanse, podczas gdy Maggie została przy czasopiśmie. Ale poezja, odkryła Maggie, wyrównywała szanse, ponieważ poezja nie była tak oczywista na powierzchni i każdy czytelnik, czy to

mądrała z Princeton, czy też wyrzutek z najzwyczajszego college'u, musiał przejść mozolny proces odkodowania poszczególnych słów, potem zdań, a potem zwrotek, rozbierając wiersz na części, a następnie poskładać go z powrotem, by wreszcie odkryć jego prawdziwe znaczenie.

Mijało właśnie trzy i pół miesiąca jej obozowania w kampusie.

Weszła na „swoje” zajęcia z poezji współczesnej i usadowiła się wygodnie w jednym z tylnych rzędów, uważając, by miejsca po jej lewej i prawej stronie pozostały wolne. Większość studentów tłoczyła się z przodu, bez tchu chłonąc każde słowo profesor Clapham i, praktycznie ryzykując zwichnięcie, wyrzucali ręce wysoko w powietrze, zgłaszając się do odpowiedzi, co oznaczało, że Maggie była bezpieczna na swoim miejscu w tyle. Usiadła, otworzyła notes i przepisała z tablicy dzisiejszy wiersz, wymawiając szeptem każde przepisywane słowo.

### ***Ta jedna sztuka***

*W sztuce tracenia łatwo dojść do wprawy, tak wiele rzeczy budzi w nas zaraz przecucie straty, że kiedy się je traci; nie ma sprawy Trać co dzień coś nowego. Przyjmij bez obawy. straconą szansę, upływ chwil, zgubione klucze w sztuce tracenia łatwo dojść do wprawy Trać uległej, trać szybciej, ćwicz; wejdzie ci w nawyk. utrata miejsc, nazw, schronień, dokąd chciałeś uciec lub chociażby się wybrać. Praktykuj te sprawy – Przepadł mi gdzieś zegarek po matce. Jaskrawy blask dawnych domów. Dzisiaj blady cień, ukłucie w sercu. W sztuce tracenia łatwo dojść do wprawy Straciłem dwa najdroższe miasta, ba, dzierżawy ogromniejsze: dwie rzeki, kontynent. Nie wrócę do nich już nigdy, ale trudno. Nie ma sprawy*

*Nawet gdy stracę ciebie (ten gest, głos chropawy, który kocham), nie będzie w tym kłamstwa. Tak, w sztuce, tracenia nie jest trudno dojść do wprawy;*



*tak, straty to nie takie znów straszne sprawy.*

– Zgubiłem zegarek matki – szeptała Maggie, gryzmołąc słowa wiersza. Sztuka tracenia. Mogłaby na ten temat napisać książkę. Rzeczy, które znajdowała w przeróżnych skrzyniach z „rzeczami znalezionymi”, ciągle nie mieściły jej się w głowie, a zarazem pozwalały jej całkiem nieźle się ubrać. Z podręcznikami, w bluzach, czapkach i rękawiczkach z J. Crew i Gapa wyglądała jak najprawdziwsza studentka uniwersytetu w Princeton. I zaczynała wierzyć w tę fikcję. Semestr powoli zbliżał się do końca i Maggie czuła, jakby była blisko zostania prawdziwą studentką. Tyle że nadchodziło lato. A co studenci robili w lecie? Wyjeżdżali do domu. Ona nie mogła tego zrobić. Jeszcze nie.

– W sztuce tracenia nie jest wcale trudno dojść do wprawy – napisała, gdy profesor Clapham, blondynka przed czterdziestką i z ogromnym brzuchem, dreptała jak kaczka w stronę tablicy.

– To vilanella – powiedziała, kładąc książki na katedrze i sadowiąc się ostrożnie na krześle, po czym włączyła swój laserowy wskaźnik. – Jeden z najtrudniejszych układów rymów. Jak sądzicie, dlaczego Elizabeth Bishop wybrała dla tego tematu właśnie vilanelłę? I dlaczego jest to dobry wybór?

Cisza. Profesor Clapham westchnęła.

– No, dobrze – odezwała się całkiem życzliwie. – Zacznijmy od podstaw. Kto mi powie, o czym jest ten wiersz?

Ręce wystrzeliły

– O stracie? – zaproponowała kształtna blondynka w pierwszym rzędzie.

„O, rany”, pomyślała Maggie.

– Oczywiście – powiedziała profesorka tonem, który był tylko minimalnie bardziej uprzejmy niż wewnętrzne „O, rany” Maggie. – Ale

stracie czego, konkretnie?

– Miłości – zaryzykował chłopak z gołymi, owłosionymi nogami wyeksponowanymi dzięki krótkim spodenkom i w bluzie z plamą po odplamiaczu wskazującej, że od bardzo niedawna zajmuje się praniem swojej garderoby

– Czyjej miłości? – zapytała profesor Clapham. Położyła ręce na biodrach i przeciągnęła się, jakby bolały ją plecy lub, być może to trafniejsze, jakby ignorancja studentów sprawiała jej ból. – I czy miłość została już utracona, czy też poetka traktuje tę stratę, w odróżnieniu od pozostałych, hipotetycznie? Czy mówi o tej stracie jako o możliwości? Czy raczej strata jest czymś bardziej prawdopodobnym?

Skonsternowany wzrok i opuszczone głowy.

– Bardziej prawdopodobnym – wymknęło się Maggie, która siedziała teraz cała czerwona i tak zawstydzona, jakby co najmniej puściła bąka. Ale profesorka posłała jej zachęcające spojrzenie.

– Dlaczego?

Ręce i nogi jej drżały.

– Ehm – wyartykułowała cichym i słabnącym głosem. A potem przypomniała sobie panią Fried, pochylającą się nad nią, i jej okulary zwisające na koralikowym łańcuszku, jak mówi szeptem: Po prostu spróbuj, Maggie. Nie szkodzi, jeśli się pomylisz. Po prostu spróbuj.

– No, więc – zaczęła – na początku wiersza mówi się o rzeczach prawdziwych, o których wszyscy zapominają i które gubią, jak klucze i imiona.

– A później, co się dzieje? – podpowiadała profesor Clapham.

Maggie wiedziała.

– Następuje przejście od rzeczy konkretnych, namacalnych do

bardziej nieuchwytnych – wypowiadała długie słowa, jakby całe życie nie robiła nic innego. – A potem styl staje się... – cholera! To słowo. Co to było za słowo? – Górnolotny – przypomniała sobie. – Na przykład gdy traci dom. W porządku, wielu ludzi się przeprowadza, ale chodzi o kontynent, ona traci cały kontynent...

– Który, zakładamy, w ogóle do niej nie należał – powiedziała sucho profesor Clapham. – A więc mamy następne przejście.

– Właśnie – zgodziła się Maggie. Mówiła teraz szybciej, słowa wypływały z jej ust jedno po drugim. – I sposób, w jakim o tym pisze, jakby nie miało to większego znaczenia...

– Mówisz teraz o tonie autorki – uzupełniła pani profesor. – Czy można go określić jako ironiczny? Obojętny?

Magie zastanowiła się nad tym, a dwie dziewczyny z przodu podniosły rękę. Profesorka zignorowała je.

– Myślę, że... – odpowiadała Maggie powoli, wpatrując się w słowa na kartce swojego zeszytu. – Myślę, że chce robić wrażenie obojętnej, jakby nie miało to dla niej znaczenia. Na przykład słowa, których używa. Nie ma sprawy Jakby mówiła: O co chodzi? Nie widzę tu żadnego problemu. A nawet ten powtarzający się wers, że sztukę tracenia nietrudno jest opanować. Jakby sama siebie wyśmiewała, nazywając całą rzecz sztuką.

Faktycznie, ton wiersza kojarzył się Maggie z Rose i sposobem, w jaki o sobie mówiła. Przypomniała sobie, jak oglądały kiedyś razem wybory Miss Ameryki i zapytała Rose, jaki ona ma talent, którym mogłaby się pochwalić, i jak Rose po chwili zastanowienia powiedziała refleksyjnie:

– Parkowanie równoległe.

– No, więc, próbuje to wszystko jakby obrócić w żart. Ale potem, pod koniec...

– Popatrzmy jeszcze raz na budowę wiersza – podsunęła profesorka i chociaż jej słowa przeznaczone były dla reszty grupy, wzrok utkwiony był w Maggie. – ABA. ABA. Zwrotki po trzy wersy, aż do ostatniej, na końcu mamy czterowiersz, i co się dzieje? – skinęła w kierunku Maggie.

– Cztery wersy zamiast trzech, ta zwrotka jest inna. Wygląda jakby autorka chciała patrzeć na to wszystko chłodno i bez emocji, ale jednocześnie ciągle myśli, co będzie, jeśli straci...

– Straci co? – drażyla profesor Clapham. – Albo kogo? Czy to wiersz o ukochanym? Jak sądzisz?

Maggie przygryzła wargę.

– Myślę, że nie – powiedziała. – Ale nie wiem, dlaczego. Wydaje mi się, że to wiersz o stracie...

„... Siostry – pomyślała. – Matki”.

– Może przyjaciela – dokończyła głośno.

– Bardzo dobrze – powiedziała profesor Clapham, a Maggie znów zrobiła się purpurowa, tym razem z zadowolenia raczej niż ze wstydu. – Bardzo dobrze – powtórzyła, a potem wróciła do tablicy, do grupy, do układu rymów i formalnych wymagań vilanelli. Do Maggie to wszystko nie docierało. Wciąż cała była w pasach. Ona, która nigdy się nie czerwieniła, nawet gdy w przebraniu goryla przez trzy dni pracowała jako śpiewający dostarczyciel telegramów, teraz zamieniła się w dojrzały, czerwony pomidor odmiany Jersey Tej nocy zwinęła się w kłębek na swoim śpiworze, myśląc o siostrze, zastanawiając się, czy Rose uwierzyłaby, że to właśnie Maggie, a nie żaden inny student, najlepiej zrozumiała ten wiersz. Zastanawiała się, kiedy będzie mogła opowiedzieć o tym Rose, i przewracała się z boku na bok, starając się odgadnąć, co będzie musiała zrobić, żeby jej siostra w ogóle zechciała się do niej odezwać; co musi zrobić, żeby jej wybaczyła.

Następny ranek zapowiadał jeszcze jeden słoneczny, wiosenny dzień. Maggie, jadąc autobusem do Corinne, poczuła żal. Trzeba zacząć od tego, po co w ogóle przyjechała do Princeton. Chodziło przecież o to, żeby wtopić się w tło, znaleźć się na uboczu głównego nurtu wydarzeń, jak napisy pod koniec programu, które przesuwają się po jednej stronie ekranu telewizora, podczas gdy po drugiej jego stronie lecą reklamy, zajmując uwagę widzów.

A ona? Zaczyna się na zajęciach wyrywać do odpowiedzi. Co właściwie sobie myślała? Ktoś przecież może ją zauważyć. Zapamiętać. Kogoś zainteresuje, gdzie mieszka, co studiuje, na którym jest roku i, w ogóle, co tu robi.

Gdy kręciła mopem kolejne zawijasy na już i tak lśniącej podłodze Corinne, przyszło jej do głowy, że być może o to właśnie chodziło. Chciała zostać odkryta, zmęczyło ją bycie niewidzialną. W końcu przecież coś robiła... No, może nic szczególnie istotnego, ale jednak wymagało to pewnej odwagi, sprytu i niejakich zdolności, i chciała zostać za to doceniona. Chciała opowiedzieć o swoich osiągnięciach Charlesowi albo Rose, albo jeszcze komuś innemu. O tym, jak nauczyła się być ostrożna i że w jej codziennych poczynaniach nie można było dopatrzeć się żadnego powtarzalnego wzoru, który mógłby ją zdradzić. Jak udało się jej znaleźć nie mniej, tylko sześć różnych miejsc, gdzie mogła wziąć prysznic (sala gimnastyczna, prysznic w podziemiach biblioteki i cztery akademiki, na których zepsute zamki zawsze mogła liczyć), jak odkryła jedną jedyną pralkę, do której niepotrzebne były monety, i automat, który zwyczajowo obdarowywał ją puszką coli, bo wiedziała dokładnie, gdzie i jak uderzyć. Miała ochotę pochwalić się, jak rozpracowała stołówkę – wystarczyło przyjść wcześniej rano, w dżinsach, bluzie i tenisówkach, czyli zwyczajowym stroju pracujących tam studentów. Każdy brał to za dobrą

monetę, więc po drodze na rzekome stanowisko pracy – wydawanie posiłków czy kasa – można było skubnąć to i owo. Chciała wyjaśnić, jak łatwo było wsunąć jedzenie do plecaka – kanapki z masłem orzechowym czy owoce zapakowane w serwetki. Chciała też komuś opowiedzieć o czwartkowych lunchach, gdzie za dwa dolary mogła nałożyć sobie kopiasty talerz ryżu i smażonych warzyw oraz kurczaka w curry z mleczkiem kokosowym – najlepsze jedzenie pod słońcem, myślała czasami. I o cynamonowej herbacie, która w cudowny sposób łagodziła pozostałe w ustach uczucie gorąca, a którą wypijała filiżanka za filiżanką, słodząc je kolejnymi łyżeczkami miodu. I o tym, że nikt nigdy o nic nie pytał, bo większość amatorów lunchu stanowili zagraniczni magistranci, którzy niekoniecznie świetnie radzili sobie z angielskim, tak więc zazwyczaj dostawał jej się nieśmiały uśmiech, skiniecie głową i reszta z pięciodolarowego banknotu.

Spryskując Windexem szklane szyby szafek Corinne wyobrażała sobie, jak przedstawia Charlesa Rose i widziała siostrę kiwającą z uznaniem głową.

– U mnie wszystko w porządku – mówiła do Rose w swojej wyobraźni. – Niepotrzebnie się martwiłaś, całkiem nieźle sobie radzę. Wyobrażała sobie, co powie potem, jak bardzo jest jej przykro, że chce ją przeprosić... i, potem, kto wie? Może Rose potrafiłaby wymyślić, jak Maggie mogłaby oficjalnie zaliczyć ten kurs, na który uczęszczała. Może Maggie mogłaby pewnego dnia skończyć studia, gdyby się przyłożyła, bo nauczyła się już, że jeśli tylko poświęciła odpowiednią ilość czasu, to nawet najgrubsza książka nie była taka straszna. I grałaby we wszystkich sztukach Charlesa, i dawała siostrze bilety na premiery, wybierając jej coś odpowiedniego do ubrania, bo – Bóg jej świadkiem – jeśli zostawić Rose

samej sobie w tym względzie, pojawiłaby się z pewnością w czymś całkowicie pozbawionym gustu, na ten przykład, w swetrze z wypchanymi ramionami, w którym wygląda jak niedźwiadek, i...

– Dzień dobry! – przywitała się Corinne. Maggie podskoczyła i prawie spadła ze składanego taboretu.

– O, dzień dobry. – Maggie odwzajemniła pozdrowienie. – Jestem tu na górze. Nie słyszałam, jak weszłaś.

– Przychodzę na małych, kocich łapkach. Jak mgła.

– Carl Sandburg – skojarzyła Maggie.

– Świetnie! – przyklasnęła Corinne. Przebiegła opuszkami palców po blacie w kuchni, a potem usiadła na krześle przy stole, który Maggie zdążyła wcześniej wypolerować na błysk.

– Jak szkoła?

– Bardzo dobrze – powiedziała Maggie. Zeskoczyła z taboretu, złożyła go i powiesiła na haczyku w szafie. I rzeczywiście było dobrze. Przeszkadzał jedynie fakt, że nie czuła się tutaj na swoim miejscu. No, i sprawa Rose, to, co jej zrobiła, a także przecucie, że nic, czego nauczyła się w college u, nie pomoże jej wymyślić, jak to wszystko naprawić.

W ciągu tygodnia, który upłynął od ostatniego spaceru z panią Lefkowitz, Ella dowiedziała się bardzo wiele o swojej wnuczce Rose i prawie niczego o Maggie.

– Ta pierwsza, Rose – powiedziała pani Lefkowitz. – Jest wszędzie! Rzeczywiście, w cyberprzestrzeni aż roiło się od wzmianek dotyczących Rose, poczynając od spisu najlepszych uczniów szkoły średniej do artykułu w „Daily Princetonian” o ostatniej rekrutacji w kampusie. Dowiedziała się, gdzie Rose chodziła do szkoły, w jakiej dziedzinie prawa się specjalizowała, dzięki jednej z wyszukiwarek uzyskała nawet jej numer telefonu.

– Dobrze sobie radzi – stwierdziła pani Lefkowitz, gdy wolnym jak zwykle krokiem mijały korty.

– Wychodzi na to, że jest na bliżej niesprecyzowanym urlopie – zwróciła uwagę Ella, przypominając sobie poważną twarz wnuczki na ekranie komputera. – To nie brzmi zbyt dobrze.

– E, tam – zachnęła się pani Lefkowitz. – Po prostu zafundowała sobie wakacje.

Natomiast namierzenie Maggie okazało się dużo trudniejsze. Pani Lefkowitz, Ella i Lewis próbowali każdej możliwej kombinacji: MAGGIE FELLER i MAGGIE MAY FELLER, a nawet MARGARET FELLER, chociaż tak się nie nazywała, i nie znaleźli ani jednego odsyłacza, najmniejszej wzmianki, nawet numeru telefonu.

– Jakby nie istniała – Ella zmarszczyła czoło. – A może... – umilkła, nie chcąc wypowiadać głośno tej porażającej myśli. Pani Lefkowitz pokręciła głową.

– Gdyby nie żyła, znaleźlibyśmy klepsydrę.



– Jesteś pewna?

– A myślisz, że skąd wiem, co słyszać u znajomych? – zapytała pani Lefkowitz sięgając do swojej saszetki przy pasku i wyciągając pomarańczową komórkę. – Masz! Zadzwoń do tej starszej. Od razu, zanim się rozmyślisz.

Ella potrząsnęła głową, mając przed oczami twarz wnuczki.

– Nie wiem – powiedziała. – Chcę, ale... Muszę się jeszcze zastanowić. Chcę to zrobić dobrze.

– Zastanowić, zastanowić – marudziła pani Lefkowitz. – Za długo się zastanawiasz. Po prostu zrób to! Wiesz, niektórzy nie planują żyć wiecznie.

Tej nocy Ella nie zasnęła, leżała sama na miękkiej kołdrze, a do jej uszu dochodziło kumkanie żab i odgłos klaksonów. W końcu rozjaśniła się i wstał nowy dzień. Wychodząc z łóżka zmusiła się do powiedzenia tego głośno:

– Dzisiaj! – oznajmiła swojemu pustemu mieszkaniu. – Dzisiaj do niej zadzwonię.

Tego ranka w szpitalu położyła śpiące niemowlę z powrotem do łóżeczka i szybko zeszła na dół do holu, gdzie w rzędzie wisiały aparaty telefoniczne, dokładnie naprzeciwko sali operacyjnej. Zajęła stanowisko przy aparacie najbardziej oddalonym od drzwi i zaczęła szukać po kieszeniach swojej karty Wystukała numer karty, potem numer firmy Rose. „Poczta głosowa”, pomyślała – ona, która nie modliła się od dnia, gdy jej córka zaginęła po raz ostatni, nagle stała się najlepszym przyjacielem Boga. „Panie, proszę, niech to będzie poczta głosowa...”

I była... Ale nie takie słowa spodziewała się usłyszeć. – Wybrany numer jest aktualnie nieczynny – poinformował bezosobowy, komputerowo przetworzony głos. – Aby połączyć się z centralą firmy Lewis, Dommel i

Fenick, proszę wybrać zero. Ella wcisnęła zero i po minucie odezwała się recepcjonistka.

– Firma Lewis, Dommel i Fenick wita państwa w ten wspaniały dzień!

– Przepraszam? – zdumiała się Ella.

– Mamy tak mówić zamiast „dzień dobry” – wyjaśniła recepcjonistka ściszym głosem. – W czym mogę pomóc?

– Próbuję skontaktować się z Rose Feller.

– Przełączę panią – śpiewnie odpowiedziała recepcjonistka. Serce podskoczyło jej do gardła... Ale po drugiej stronie nie usłyszała głosu Rose, a jedynie znużoną kobietę, która przedstawiła się jako Lisa, była asystentka Rose.

– Jest na urlopie – poinformowała Lisa.

– Wiem – odrzekła Ella – ale pomyślałam, że może zostawię wiadomość. Jestem jej babcią – powiedziała. W momencie, gdy wymawiała te słowa, poczuła strach i jednocześnie dumę.

– Przykro mi – odparła Lisa. – Nie odbiera wiadomości. Nie było jej już kilka miesięcy.

– Ooo! – zdziwiła się Ella. – Spróbuję zadzwonić do domu, mam jej numer.

– Proszę bardzo – łaskawie zgodziła się Lisa.

– Dziękuję. – Ella odwiesiła słuchawkę i osunęła się na krzesło w holu, czując tym razem euforię i przerażenie. Zrobiła pierwszy krok, co przypomniało jej ten oklepany frazes, który Ira, akurat on, zawsze powtarzał. Nawet najdłuższa podróż zaczyna się od pierwszego kroku. Fakt, zazwyczaj mówił to, zaczynając produkcję kolejnej partii jogurtu, ale jednak. To była prawda, a ona nie stchórzyła, pomyślała sięgając znowu po słuchawkę. Nie mogła doczekać się, aż opowie o wszystkim Lewisowi.

Wskoczyła do wody. Zrobiła to.

## 40

Jedno musiała przyznać Simonowi Steinowi: był wytrwały i uparty. W dzień po ich wspólnym lunchu do jej mieszkania przyniesiono tuzin czerwonych róż z dołączonym bilecikiem: „Do zobaczenia wkrótce. PS: Zjedz tylko lekki lunch”. Rose wywróciła oczami mając nadzieję, że Simon nie obiecuje sobie zbyt wiele, i wpakowała róże do nieodpowiedniego wazonu, a następnie postawiła je w kuchni, gdzie cała reszta wokół wydała się nagle nędzna i nieromantyczna w porównaniu z nimi. Był całkiem fajnym facetem, owszem, ale nie w jej typie. „Poza tym – pomyślała później wsiadając na rower i jadąc Pine Street, by zacząć poranne spacerowanie – skończyłam z miłością”. I potrzeba jej będzie dużo więcej niż faceta, który kreuje się na chodzący przewodnik po restauracjach, żeby zmieniła zdanie.

– Mam dość romansów, robię sobie przerwę – zwróciła się do Petunii, gdy spacerowym krokiem przemierzały słoneczne alejki. Rose musiała przyznać, że chociaż lubiła wszystkich swoich podopiecznych, miała słabość do zmarszczonego i jakby wiecznie zagniewanego mopsa. Petunia przykucnęła, siknęła krótko, prychnęła kilka razy i zaczęła swoje poszukiwania ulicznego sushi – skórek pizzy, kałużowego piwa, porzuconych kości z kurczaka.

– Myślę, że dobrze jest od czasu do czasu zrobić sobie przerwę – powiedziała Rose. – I ja właśnie to robię.

Tego wieczoru Rose starannie ogoliła nogi, wytarła się ręcznikiem i zaczęła przeglądać rozłożone na łóżku kreacje. I, oczywiście, żadna z nich do niczego się nie nadawała. Czerwona spódnica, która świetnie

prezentowała się w sklepie, teraz wokół bioder układała się w dziwnie wyglądające wałki. Letnia sukienka na ramiączkach była niemożliwie i beznadziejnie pognieciona, w dżinsowej spódnicy brakowało guzika, a w czarnej, długiej spódnicy Rose wyglądała, jakby wróciła prosto z biura albo, alternatywnie, jakby była w żałobie, lub też jakby była w żałobie i wróciła prosto z biura. Boże, gdzie była Maggie teraz, gdy jej potrzebowała?

– Cholera! – zaklęła Rose Pociła się, mimo dopiero co nałożonego dezodorantu, i na dodatek była już pięć minut spóźniona. – Cholera jasna!

Włożyła czerwoną spódnicę, naciągnęła przez głowę biały T-shirt i sięgnęła do szafy po swoje czarne buty z wężowej skóry bez pięty, uznając, że nawet jeśli strój był prawie całkowitą katastrofą, to buty będą, jak zawsze, bez zarzutu.

Szukała ręką wzdłuż półki. Botki, botki, mokasyny, obcasy, różowe, czarne, para sportowych butów od Tevy zakupiona nierozważnie w tym tygodniu, gdy myślała, że może zostać jedną z tych dziewcząt z reklam L. L. Bean, o świeżych twarzach i zaróżowionych policzkach, które maszerowały górskim szlakiem w Appalachach podczas przerwy wiosennej... Gdzie, do cholery, podziały się buty, których szuka?

– Maggie – jęknęła, z rękami wciąż pomiędzy płataniną pasków i sprzączek. – Maggie, jeśli wzięłaś moje buty, to przysięgam na Boga...

I wtedy, zanim zdecydowała, co zamierza zrobić siostrze, jeśli jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy, jej palce natrafiły na upragnione buty. Złapała je, wyciągnęła z szafy, włożyła na gołe stopy, chwyciła torebkę i wyszła z mieszkania. Wcisnęła guzik windy, potem przestępując z nogi na nogę sprawdziła, czy wzięła klucze, starając się jednocześnie unikać spojrzenia w lustro na swoje odbicie, które, była tego pewna, nie spodobałoby się jej. Były Prawnik, pomyślała z żalem, patrząc na swoje nogi, co prawda świeżo

ogolone, ale mimo to i tak okropne.

Simon Stein czekał na zewnątrz, w niebieskiej koszuli, sportowych spodniach i brązowych mokasynach – strój obowiązujący u Lewisa, Dommela i Fenicka w dni, gdy niewymagana była drużynowa kamizelka. Niestety, od ostatniego razu nie urósł o dwadzieścia centymetrów, nie stał się też przystojniejszy ani szerszy w ramionach.

Ale bardzo uprzejmie uchylił dla niej drzwi taksówki.

– Witaj – powiedział i popatrzył na nią z uznaniem. – Bardzo ładna sukienka.

– To spódnica – odparła Rose nieco zmieszana. – Dokąd jedziemy?

– Niespodzianka – Simon uśmiechnął się i posłał jej pewne siebie skinienie. Prawnicze, wyćwiczone, energiczne skinienie w rodzaju Wszystko–Pod–Kontrolą, nie ma się o co martwić. Skinienie, które kiedyś sama dopracowała do perfekcji. – Nie bój się, nie mam zamiaru cię uprowadzić ani nic podobnego.

– Nic podobnego – powtórzyła Rose, wciąż zaskoczona widokiem swojego skinienia w wykonaniu Simona Steina. Taksówka zatrzymała się w podejrzenie wyglądającej okolicy przy South Street. Po jednej stronie ulicy ogrodzenie z siatki powstrzymywało napór rosnącej tam trawy i chwastów, po drugiej stał dom z pozabijanymi oknami, który wyglądał na wypalony, a na rogu widoczny był niewielki sklep z betonową elewacją pomalowaną na zielono. Nad drzwiami wisiał neon głoszący Przystań Palantów.

– A więc to stąd pochodzą wszyscy moi byli! – zaśmiała się Rose.

Simon Stein, za co należy mu się uznanie, wydał z siebie parsknięcie w stylu Petunii i otworzył przed Rose drzwi. W jego niebieskich oczach spostrzegła błysk rozbawienia, a może był po prostu podekscytowany czekającą ich kolacją, pomyślała. Zauważyła, że pod pachą trzymał szarą,

papierową torbę. Rozejrzała się niepewnie wokół, zatrzymując wzrok na grupce mężczyzn opartych o zabity deskami budynek, podających sobie butelkę, oraz na rozbitym szkle na chodniku.

– Spokojnie – powiedział Simon przytrzymując jej łokieć i prowadząc w stronę sklepu. A potem dalej, do pomalowanych, drewnianych drzwi stojących na środku chodnika, otoczonych tylko plataniną zapuszczonej zieleni. Położył dłoń na klamce i zapytał: – Lubisz kuchnię jamajską?

– A mam jakiś wybór? – Rose spoglądała nerwowo przez ramię na stojących mężczyzn i odjeżdżającą taksówkę. Gdyby nie kwadratowe, błyszczące drobkami miki szare płytki, które tworzyły ścieżkę wśród chwastów miejskiego życia – pustych butelek, przegniłych gazet i czegoś, co bardzo przypominało zużytą prezerwatywę – Rose pomyślałaby, że szli w kierunku kolejnej niezabudowanej działki. Trawa sięgała do kolan, najwidoczniej nikt o nią nie dbał, a w dali słychać było dźwięk jakby stalowych bębnow.

Potem skręcili za róg i oczom Rose ukazała się piętrowa konstrukcja: coś na kształt wielopoziomowego tarasu, który ukryty był za niewielkim sklepem, otoczony pomarańczowym namiotem i udekorowany maleńkimi, białymi światełkami przypominającymi gwiazdy. Wokół tarasu powieszono zapalone pochodnie, a na jednym z poziomów grał trzyosobowy zespół. Czula zapach chilli i goździków oraz dymu unoszącego się z polan położonych pod rusztem. Niebo, nawet tu, w tym beznadziejnym miejscu na South Street, było pełne gwiazd.

Simon poprowadził Rose do drewnianego stolika i podsunął jej krzesło.

– Wspaniale, prawda? – był wyraźnie z siebie zadowolony – Nigdy

byś nie zgadła, że jest tu schowana.

– Jak to znalazłeś? – zapytała cicho. Wciąż patrzyła na gwiazdy.

– Instykt – odpowiedział Simon. – No, i pisali o tym w gazecie.

Wyciągnął ze swojej papierowej torby sześciopak, po czym zasypał ją gradem pytań. Czy lubi ostre potrawy? Czy jest uczulona na orzechy albo skorupiaki? Czy światopogląd lub preferencje podniebienia nie pozwalają jej na jedzenie kozłiny? Czowała się, jakby opowiadała lekarzowi historię choroby, tylko i wyłącznie pod kątem jedzenia. Uśmiechnęła się mówiąc, że tak, lubi pikantne jedzenie, nie, nie jest uczulona i sądzi, że może spróbować kozłiny.

– Dobrze – powiedział Simon, zamykając menu. Rose poczuła ulgę, zupełnie jakby przeszła pomyślnie jakiś test. Co było śmieszne, pomyślała. Kim był Simon Stein, żeby poddawać ją testom, i jakie to miało znaczenie, czy je zda, czy nie?

Po kozłinie w curry i krewetkach na ostro, po pasztecikach z wołowiny i ryżu z kokosem ze skrzydełkami z kurczaka a la palant oraz bezprecedensowych trzech piwach i dodatkowym łyku czwartego Simon zadał Rose pytanie.

– Powiedz mi, co lubisz? – Rose odbiło się.

– Osobę – zapytała, udając zawstydzenie – czy rzecz?

Była pewna, że powie „osobę”, a ona odpowie „ciebie” i w tym momencie, jak sobie wymyśliła, on uzna, że może ją pocałować. Zastanawiała się nad scenariuszem z pocałunkiem gdzieś od skończenia trzeciego piwa i zdecydowała, że całowanie się z Simonem na zakończenie wieczoru jest w pełni do przyjęcia. Były gorsze rzeczy, myślała, niż siedzenie pod rozgwieżdżonym niebem w sobotnią, wiosenną noc i bycie całowaną przez mężczyznę, nawet jeśli on był dobre osiem centymetrów

niższy od niej i miał obsesję na punkcie jedzenia oraz firmowej drużyny softballowej. Był miły. Naprawdę ujmujący Więc OK, pocałuje go.

Ale Simon ją zaskoczył.

– Rzecz – wybrał. – Rzecz, którą lubisz.

Rose przebiegła w myślach swoje możliwości. Twój uśmiech? To miejsce? Piwo? Zamiast tego jednak zanurkowała ręką w torebce i wyciągnęła breloczek do kluczy, który kupiła w sklepie za dolara na Chestnut Street po tym, jak zaczęło jej przybywać kluczy klientów.

– Lubię to – powiedziała i pokazała mu, że na końcu łańcuszka była maleńka latarenka, wielkości korka w butelce wina. Podejmowała próbę za próbą, jako że po piwie jej palce stały się jakby grubsze i nie tak zręczne, w końcu jednak zapaliła ją i zaświeciła mu w twarz. – Kosztowało dolara.

– Okazja! – wykrzyknął Simon Stein. Rose zmarszczyła czoło. Śmiał się z niej? Wypiła kolejny łyk piwa i ruchem głowy odrzuciła włosy w tył.

– Czasami – kontynuowała – mam ochotę wsiąść na rower i pojechać przed siebie.

– Sama?

Rose pokiwała głową. To też mogła sobie wyobrazić. Kupuje dwie sakwy rowerowe do zawieszenia na tylnym kole i jedną z tych niewielkich przyczeppek, jakie długodystansowcy zazwyczaj ciągną za rowerem, jednoosobowy namiot, śpiwór. Umieszcza Petunię w przyczepie i... rusza w drogę. Jedzie rano, zatrzymuje się na lunch w jakiejś miłej knajpce, pedałuje potem jeszcze przez kilka godzin, rozbija namiot nad jeziorem, uzupełnia swój dziennik (gdy sobie to wyobrażała, zawsze prowadziła dziennik, choć w rzeczywistości tego nie robiła), czyta jakąś romantyczną powieść i zasypia pod gwiazdami.

Przypominało to jej fantazje z czasów, gdy umarła matka. Wyobrażała



sobie wtedy, że ma jeden z tych samochodów kempingowych, wygodny, szeroki, z wszystkimi udogodnieniami. Musiała gdzieś widzieć zdjęcie, a może nawet była kiedyś w takim domu na kółkach. Pamiętała, że sprawiały wrażenie małych, samowystarczalnych światów, z łózkami, które rozwijały się ze ścian, niewielkimi dwupalnikowymi piecami, kabinami prysznicowymi, w których z ledwością można się było zmieścić i telewizorami ukrytymi w sufitach. Jej marzeniem było wsiąść do czegoś takiego z ojcem i Maggie i odjechać. Wyjechaliby z New Jersey i pojechali w jakieś cieplejsze miejsce, gdzie nie byłoby mokrej drogi, szarego nagrobka i policjanta w drzwiach. Phoenix w Arizonie, San Diego w Kalifornii; Albuquerque w Nowym Meksyku. Gdzieś, gdzie jest słonecznie, gdzie zawsze jest lato i gdzie pachnie pomarańczami.

Leżała wtedy w nocy w swoim łóżku, mamrocząc nazwy tych miejsc i wyobrażała sobie ich troje w środku, Maggie upakowaną ciasno na dolnym łóżku, siebie – na tyle odważną, by spać na górze, oraz ojca za kierownicą, jego przystojną i szczęśliwą twarz w świetle deski rozdzielczej. Miały z powrotem swojego psa, Misię– Pysię, a ojciec nie był już uczulony. Misią– Pysią spała na poduszce na przednim siedzeniu, a ojciec już nie płakał. Jechali i jechali, aż byli bardzo daleko, aż przekroczyli granicę pamięci o mamie i dzieciach, które torturowały ją na placu zabaw, i nauczycielach, którzy kręcili głowami nad Maggie. Potem znajdowali jakieś miejsce nad oceanem. Codziennie pływali, gotowali jedzenie na ognisku i zasypiali spokojnie w swoim ciepłym i przytulnym, przenośnym domu.

– Dziękuję – mówił ojciec. – To był naprawdę dobry pomysł, Rose. Uratowałeś nas.

Rose odczuwała to wszystko bardzo realistycznie, na przykład słońce, dotyk własnej skóry, ciężar swoich kości. Uratowała ich troje, myślała, i w

końcu zasypiała, śniąc o piętrowych łóżkach i kręcących się kołach, a także o oceanie, którego nigdy nie widziała.

– Nie czułabyś się samotnie?

– Samotnie? – Rose powtórzyła mechanicznie. Przez chwilę nie była pewna, o czym mówi Simon. Wciąż jeszcze tkwiła w swojej fantazji o domu na kółkach, która przez lata została ubarwiona i rozwinięta, mimo że zdawała sobie sprawę, iż to marzenie nigdy się nie spełni. Raz natknęła się w miejscowej gazetce na ogłoszenie o używanym samochodzie kempingowym i z wahaniem pokazała je ojcu, który spojrzał na nią zdumiony, co najmniej jakby zaczęła mówić po marsjańsku.

– Nie brakowałoby ci ludzi? – zapytał Simon.

Rose od razu pokręciła głową.

– Nie potrzebuję...

Wzięła głęboki oddech, zanim wypowiedziała resztę. Nagle poczuła, że robi jej się gorąco. Nieznośnie gorąco. Poczowała się jakoś dziwnie. Muzyka była za głośna, twarz ją paliła, a ostre potrawy, które zjadła, uformowały się jej w żołądku w nieznośny węzeł. Wypiła łyk wody i zaczęła ponownie.

– Jestem bardzo niezależna. Lubię być sama.

– Co się stało? Dobrze się czujesz? Chcesz trochę piwa imbirowego? Robią je na miejscu, pomaga na rozstrój żołądka...

Rose zbyła go machnięciem ręki i schowała twarz w dłoniach. Przed oczami ciągle miała samochód, ten z marzeń, i ich troje. Pod daszkiem wysuwającym ze ściany, z hot dogami przy ognisku, w śpiworach; bezpiecznych w ich doskonałym, małym, przytulnym domku jak gąsienice w kokonie. Tak bardzo chciała, żeby to była prawda. Tymczasem straciła ojca na rzecz Sydelle i na rzecz świata wyników meczów i dalekopisów

giełdowych; jedyne tematy, na które mógł się swobodnie wypowiadać, to ilość wykonanych przez obie strony rzutów wolnych oraz stabilność rynku obligacji; jedyne uczucia, na które sobie pozwalał, to podekscytowanie po zwycięstwie własnej drużyny i rozczarowanie, gdy jego inwestycje okazały się nietrafione. A Maggie...

– Au! – jęknęła, świadoma, że prawdopodobnie przestraszy Simona Steina, ale nic nie mogła na to poradzić. Maggie. Myślała, że uda jej się uratować Maggie. I proszę, jak to się skończyło. Nie wiedziała nawet, gdzie jej siostra, jej własna siostra, mieszka.

– Au – westchnęła raz jeszcze boleśnie, choć już łagodniej i zaraz poczuła, jak Simon Stein otacza ją ramieniem.

– Co się dzieje? Zatrzymał się? Jak się czujesz? – był tak zatroskany, że Rose zaczęła się śmiać. – Możesz napić się wody? – sięgnął do kieszeni. – Mam Peppid, Alka-Seltzer...

Spojrzała na niego przenikliwie.

– Często ci się to zdarza na randkach?

Simon Stein wydał usta.

– Nie powiedziałbym, że zdarza się to często – odpowiedział w końcu. – Może od czasu do czasu – przyjrzał się jej uważnie. – Wszystko w porządku?

– Jeśli chodzi o ewentualne zatrucie, wszystko w porządku.

– No, więc, co jest? – zapytał

– Po prostu... pomyślałam o kimś.

– O kim?

W tej sytuacji Rose wyrzuciła z siebie pierwsze imię, które przyszło jej na myśl:

– O Petunii. To pies, którego wyprowadzam.

I wtedy Simon Stein, niegasnące dla niego za to uznanie, nie roześmiał się ani nie parsknął, ani też nie spojrział na nią, jakby zwariowała. Po prostu wstał, złożył serwetkę, zostawił dziesięciodolarowy napiwek i powiedział:

– Więc chodźmy po nią.

– To idiotyczne – szepnęła Rose. – Ciii... – Możemy narobić sobie kłopotów.

– Dlaczego? Przecież masz wyprowadzać psa w soboty. Jest sobota.

– Jest piątek w nocy.

– Sobota – powiedział Simon spoglądając na zegarek.

– Północ minęła pięć minut temu.

Rose przewróciła oczami. Byli w windzie sami i jechali do mieszkania Petunii.

– Czy zawsze musisz mieć rację?

– Tak wolę – odparł hardo Simon, a Rose wydało się to histerycznie zabawne. Zaczęła się śmiać. Simon zakrył jej usta ręką.

– Ciii – powtórzył. Rose poszukała kluczy z latarką, znalazła ten oznaczony napisem „Petunia” i wręczyła go Simonowi.

– OK. A oto nasz plan. Ja otwieram drzwi. Ty wyłączasz alarm. Ja chwytam psa. Jak myślisz, gdzie ona będzie? – Rose zastanowiła się. Czowała się trochę otumaniona. Po tych wszystkich piwach do kolacji poszli do baru w celu dopracowania Operacji Petunia, w co wmieszała się jakaś wódka.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. – Jak przychodzę, jest zazwyczaj na kanapie, ale nie wiem, gdzie śpi, gdy wszyscy są w domu.

– Dobrze, zostaw to mnie! – zdecydował Simon. Tak właśnie miała zamiar postąpić. Co prawda, nie liczyła tego dokładnie, ale wydawało jej się, że wypłała więcej wódki niż Simon.

– Smycz? – zapytał, więc Rose sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła

dwie sznurówki Simona, które wyciągnęli z jego butów w barze. – Przekąska? – Rose wydobyła z torebki poplamioną tłuszczem serwetkę, w której znajdował się pasztecik z wołowiny. – Kartka? – Rose zaprezentowała kolejną serwetkę. Uznali, że czwarta wersja jest najbardziej przekonująca: „Droga Shirley, byłam w pobliżu i pomyślałam, że wezmę Petunię na poranny spacer”.

– Gotowa? – zapytał Simon, chwytając Rose za ramiona, patrząc jej głęboko w oczy i uśmiechając się do niej. – Gotowa? – zapytał jeszcze raz, a Rose jeszcze raz skinęła. Simon pochylił się i pocałował ją w usta. – Więc zrobmy to – powiedział, a Rose była tak zaskoczona intensywnością pocałunku, że stała w miejscu jak słup soli, podczas gdy Simon otwierał drzwi, a alarm zaczął wyc w samym środku nocy.

– Rose! – syknął Simon. Szybko weszła do mieszkania wciskając klawisze wyłączające alarm, gdy Petunia wparowała do salonu, szczekając jak oszalała. Potem wykonała manewr zatrzymania z poślizgiem i zaczęła merdać ogonem. Shirley biegła za psem ze słuchawką telefonu bezprzewodowego w ręce.

– O! – zatrzymała się w pół kroku, spoglądając w zaskoczeniu na ich dwoje. – Simon! Więc teraz wchodzisz już bez pukania?

Rose rozdziawiła gębę, wpatrując się to w Simona, to w Shirley, to w Petunię, która próbowała teraz dostać się na rękę Simona. A Simon uśmiechał się do niej.

– Rose... To moja babcia. Babciu, znasz Rose, prawda?

– Oczywiście, że znam Rose – odpowiedziała niecierpliwie Shirley. – Petunia, przestań!

Skarcona Petunia przestała skakać i usiadła na podłodze, tylko kikut jej ogonka wciąż zataczał oszalałe kółka, a różowy język pozostał na wierzchu.

Rose stała jak wryta, gapiąc się na to wszystko i starając się zrozumieć, o co chodzi, jednak oświecenie nie nadchodziło.

- Więc... Znasz Petunię? – zapytała ostatecznie. Simon skinął głową.
- Znam ją, odkąd była taka – nadał swoim dłoniom kształt filiżanki.
- A ty znasz Simona – skwitowała Shirley.
- Pracowaliśmy razem – wytłumaczyła Rose.
- Wspaniale – Shirley próbowała zakończyć W niefortunne spotkanie.
- Tak więc, skoro wszyscy wszystkich znają, czy mogę już wrócić do łóżka?

Simon podszedł do niej i pocałował ją w czoło.

- Dzięki, babciu – zwrócił się do niej ciepłym głosem. – Przepraszam za tę pobudkę.

Shirley skinęła i powiedziała coś, czego Rose nie dosłyszała, a potem zostawiła ich samych w holu. Petunia, wciąż siedząc na tylnych łapach i merdając ogonem, spojrzała na Simona, potem na Rose i znów na niego.

- Co ona powiedziała? – zapytała słabym głosem.

Simon posłał jej uśmiech.

- Wydaje mi się, że stwierdziła: „Dość długo to trwało”.
- Co trwało?... Jak?...

Simon wyciągnął smycz Petunii z szuflady, gdzie Shirley ją trzymała i ponownie uśmiechnął się do Rose.

- Chodźmy na spacer! W jednej ręce trzymał smycz Petunii, w drugiej rękę Rose i tak poprowadził je do swojego mieszkania, gdzie Petunia zwinęła się w kłębek w nogach łóżka, a Rose i Simon leżeli razem na jego niebieskiej kołdrze, szepcząc do siebie, całując się i śmiejąc, chwilami tak głośno, że budzili Petunię, która prychała wtedy na nich. I tak aż do świtu.

Maggie wyszła spod prysznic, szybko się wytarła i nałożyła czyste ubranie. Rozczesała włosy, związała je w kucyk, ostatni raz spojrzała za siebie i zamknęła drzwi idąc szybko, żeby się nie rozmyślić. Chciała opowiedzieć Charlesowi swoją historię. Opowie mu, jakby opowiadała sztukę, którą ma zamiar napisać. Bardzo dawno temu pewna dziewczyna uciekła do college u. Zobaczy, co Charles powie, będzie pilnie obserwować jego twarz i jeśli reakcja będzie pozytywna, wyzna mu, że to wszystko prawda. Otworzyła drzwi i wpadła na kogoś. Josh. Pierwsza noc w Princeton. Stał w ciemnościach piorunując ją wzrokiem. W rękach trzymał jej plecak.

Zatoczyła się do tyłu na ścianę, oddech uwiązł jej w gardle. Josh nie był pijany ani zamroczony, nie robił wrażenia otepiałego i nie był w nastroju do flirtów. Wyglądał, jakby chciał ją zabić, ale być może da się przekonać, że zadanie jej bólu wystarczy. Ci faceci zawsze wracają, pomyślała i przesunęła się jeszcze centymetr do tyłu, zastanawiając się, czego chciał, i jak się tu dostał, bo biblioteka była przecież zamknięta. Musiał na nią czekać, co oznaczało, że byli sami w tym podziemiu...

„O Boże”, myślała Maggie, jeszcze bardziej się cofając, próbując wtopić się w ścianę. Będzie źle. Będzie naprawdę źle.

– No, więc, witaj – powiedział miękko i potarł kciukiem po jej tatuażu, tym z napisem „Mama”, tym, który, jak się domyśliła, w końcu sobie przypomniał.

– Mała M. Chyba jesteś mi coś winna?

– Oddam ci pieniądze – wyszeptała Maggie, gdy on napał na nią tak mocno, że nosem ocierał o jej nos. – To mój plecak, nawet ich nie

wydałam, oddam ci je zaraz...

Zadrzała, gdy ją złapał i musiała ostro walczyć, żeby nie zacząć krzyczeć. „Straszne”, pomyślała ponuro. Dokładnie jak w wierszu. Takie straszne. Rzucała się i wiła myśląc, że może w ten sposób uda jej się uciec, ale trzymał ją zbyt mocno i ściszone głosem mówił okropne rzeczy.

– Co ty tu właściwie robisz? Nie pasujesz tutaj! Nie powinno cię tu w ogóle być! No, więc, opowiadaj!

– Oddam ci twoje pieniądze. Po prostu mnie puść – prosiła Maggie, próbując się wykręcić, ale trzymał ją przypartą do muru, do lodowato zimnej, granitowej ściany biblioteki. Cały czas mówił – nie zwracając uwagi na to, czy ona ma coś do powiedzenia, rzucając jej słowa w twarz, podczas gdy ona starała się mu wyrwać. Nie przerywał, ale jego ton, początkowo napastliwy i oskarżycielski, zaczął oscylować w stronę obleśnej namowy.

– Może powinienem ci pozwolić jakoś mi to zrekompensować – powiedział, lustrując jej ciało w taki sposób, że poczuła się, jakby wlał jej kwas za koszulę.

– Nie pamiętam dokładnie, co się wtedy wydarzyło, ale nie wydaje mi się, żebyśmy zakończyli to, co zaczęliśmy. Jesteśmy sami, nikt nam nie przeszkodzi. To chyba dobra okazja.

Maggie jęknęła i nadal wykręcała się rozpaczliwie.

– Puść mnie – błagała.

– Niby dlaczego? – zaśmiał się. Jego bladą twarz pokrywał rumieniec, blond włosy opadały na czoło, a kropelki śliny spadały na jej twarz, gdy mówił:

– Masz kłopoty. Poważne kłopoty. Zajrzałem do twojego plecaka. Trzy legitymacje. Bardzo ładnie. Moje karty kredytowe, oczywiście, i



mnóstwo gotówki. Od kogo? Inni faceci? I mieszkasz tutaj, na dole? Masz pojęcie, co by się stało, gdybym zawiadomił ochronę? Albo gliny?

Maggie odwróciła twarz i zaczęła cicho płakać. Nie mogła się powstrzymać. Cała ta gadka, jego ręce na jej nadgarstkach, to wszystko przypominało jej tych facetów na parkingu... Była tak samo przerażona jak wtedy. Co za wstyd, jego słowa spadały na nią jak grad, parząc jej skórę. To takie niesprawiedliwe. Cóż takiego zrobiła? Co zabrała? Trochę jedzenia, którego i tak wszędzie było pełno. Kilka książek, których właściciele byli na tyle głupi, leniwi czy bogaci, żeby zostawiać je, gdzie popadnie. Jakieś ubrania z kosza z rzeczami znalezionymi, puste krzesło w sali wykładowej, gdzie profesor tak czy tak miałby ten wykład.

W końcu podniosła podbródek i otworzyła szeroko oczy.

– OK – powiedziała. – Wystarczy. – Zmusiła się do uśmiechu, potem z trudem rozpuściła włosy i przerzuciła je przez ramię do przodu. – Udało ci się, masz mnie – wymamrotała. – Masz mnie dokładnie tak, jak chcesz. – Przywołała każdy najmniejszy gram uroku i wdzięku, które posiadała, cały swój seksapil, który ukrywała skrzętnie przez cały semestr pod luźnymi bluzami, i posłała mu uśmiech tak jednoznacznie zachęcający, jak błyszczący karmel na gałce loda waniliowego. – Masz ochotę spenetrować nieznane terytorium? – zapytała, słysząc wyraźne drżenie w swoim głosie i modląc się, by Josh go nie zauważył, mając nadzieję, że sam widok jej ciała wystarczy, by rozproszyć jego uwagę.

Josh wytarł ręce o dzinsy Maggie tylko na to czekała. Złapała za pasek swojego plecaka i zamachnęła się nim trafiając Josha w bok twarzy. Zatoczył się do tyłu. Z całej siły kopnęła go w goleń. Z trudem złapał powietrze, zgiął się z bólu, a Maggie pognąła przed siebie.

Wystrzeliła schodami trzy piętra w górę, przeszła przez ciężkie,

szklane drzwi, słysząc za sobą włączające się sygnały alarmowe. Mknęła przez dziedziniec, wciąż trzymając w ręku pasek plecaka, który się urwał, gdy Josh ją złapał. W głowie miała pustkę, nogi niosły ją dalej i dalej, adrenalina szybko krążyła we krwi. Był piękny, wiosenny wieczór. Studenci w krótkich spodenkach i koszulkach trykotowych snuli się alejkami, rozsiadali pod płaczącymi wierzbami, wołali do siebie przez otwarte okna. Maggie czuła się, jakby była naga albo miała na plecach wielki napis, który głosił: „JESTEM INTRUZEM”. Biegła coraz szybciej, w boku czuła okropną kolkę, wybiegła z campusu na chodnik, potem na przystanek autobusowy na Nassau Street. „Błagam, Boże, błagam, Boże, błagam, Boże”, modliła się, gdy podjechał autobus. Wskoczyła do środka, wyciągając z kieszeni drobne i wrzuciła je do automatu, a potem usiadła trzymając swój plecak w ramionach. Serce wciąż waliło jak oszalałe.

„Do Corinne”, myślała. Pojedzie do Corinne i wymyśli coś, żeby ją wpuściła, mimo że jest środek nocy i nie powinna zjawiać się wcześniej niż jutro rano. Usiadła wygodnie i zamknęła mocno oczy, wyobrażając sobie, że znajduje się w skrzyni, kolejnej skrzyni, takiej jak wtedy, gdy przyjechała do Princeton, i musi znaleźć sposób, żeby się z niej wydostać, tak jak ostatnio. Potem wyciągnęła z kieszeni komórkę i ze ściśniętym gardłem wybrała numer Rose. Było późno, środek tygodnia, cisza nocna. Rose będzie w domu. Ona coś wymyśli. Ale Rose nie była – Dzień dobry, mówi Rose Feller, Czworonogi i inne zwierzaki. – co? – Spacery i opieka. Proszę o pozostawienie nazwiska, numeru telefonu, imienia zwierzęcia i informacji o dniach, w które potrzebują państwo pomocy. Skontaktuję się zaraz po odsłuchaniu wiadomości.

To pomyłka, stwierdziła. Na pewno. Jeszcze raz wybrała numer, ale usłyszała to samo, więc teraz po sygnale postanowiła coś powiedzieć.

– Rose – zachrypiała. – Mam... Mam co? Kłopoty – znowu? Potrzebuję twojej pomocy – znowu? – Maggie zamknęła oczy i rozłączyła się. Sama coś wymyśli.

– Maggie? – zapytała Corinne, stając w drzwiach nieco zaskoczona. – Która to godzina? I co tu robisz?

– Jest późno, wiem. Ja... To znaczy... – wzięła głęboki oddech. – Zastanawiałam się, czy mogłabym zostać tu na kilka dni. Zapłacę czynsz albo posprzątam w zamian...

Corinne przytrzymała drzwi biodrem.

– Co się stało?

Maggie przebiegła w myślach swoje możliwości. Czy mogła powiedzieć, że pokłóciła się ze współlokatorką? Czy mówiła Corinne, że ma współlokatorkę? Nie pamięta. A co, jeśli ten obrzydliwy typ ją śledził? Jeśli wiedział, że mieszka w bibliotece, mógł wiedzieć, gdzie pracuje.

– Maggie? – czoło Corinne zmarszczyło się. Nie miała na nosie swoich słonecznych okularów i Maggie widziała jej niebieskie oczy poruszające się tam i z powrotem jak u zagubionej ryby.

– Coś się wydarzyło – powiedziała.

– Myślę, że to już ustaliłyśmy – ponagliła Corinne wpuszczając Maggie do środka i idąc do kuchni, cały czas koniuszkami palców przesuwając po ścianie. Maggie usiadła przy stole, a Corinne napełniła czajnik, włączyła gaz, wyjęła dwa kubki i dwie torebki herbaty z szafki obok pieca. – Możesz mi powiedzieć, co?

Maggie spuściła głowę.

– Nie bardzo – wyszeptała.

– Czy chodzi o narkotyki? – zapytała ostro Corinne, a Maggie była tak zaskoczona, że zaczęła się śmiać.

– Nie. To nie narkotyki. Po prostu muszę się trochę przycząić. – Co, zdawała sobie sprawę, brzmiało jakby była czystej wody kryminalistką, ale tylko tyle udało jej się wymyślić w tak krótkim czasie. – Jestem po prostu trochę zdenerwowana – dodała nieprzekonująco. – A tu jest tak spokojnie

Najwidoczniej wypowiedziała magiczne zaklęcie. Corinne rozpromieniła się. Wsypała do herbaty cukier i postawiła kubki na stole.

– Egzaminują dają w kość, co? Sama pamiętam, jak się do nich uczyłam. W akademiku było tak głośno, a w bibliotece tłum! Nie martw się – powiedziała do Maggie. – Możesz zostać w jednym z pokoiów na piętrze. Są wysprzątane, prawda?

– Prawda – ucieszyła się Maggie. Wysprzątała je własnoręcznie. Sączyła herbatę i próbowała zmusić swoje serce do zwolnienia rytmu. Plan. Plan. Potrzebowała kolejnego planu. Zostanie tu przez kilka dni. Będzie musiała kupić jakieś nowe ubranie; w plecaku miała coś na zmianę i bieliznę, reszta została w bibliotece, a tam nie może wrócić. A potem co? Czy może pojechać do ojca, do Rose? Czy ją przyjmą? Czy tego właśnie chce?

Zamknęła oczy i zobaczyła siebie na zajęciach z poezji, jak opowiada o czym jest *Ta jedna sztuka*. Zobaczyła twarz Charlesa, jego włosy na czole, gdy mówi o Szekspirze i Strindbergu, i jak widział raz na scenie Johna Maikovicha. Nikt w Princeton nie wiedział, jaki z niej nieudacznik, jaka miernota, zakała rodziny, czarna owca. Nikt w Princeton nie wiedział, że była inna niż oni. Aż do teraz, do czasu spotkania tego chłopaka w bibliotece.

Mrugała z całej siły. Nie rozplacze się. Poradzi sobie. Przycząi się, pomyślała. Potem wyjedzie. Nie mogła tu zostać, bo ten facet wciąż był w kampusie, a potem, gdy studenci pojedą do domu, nie będzie mogła zostać,

bo nie będzie tłumy, w który mogłaby się wmieszać. Więc co?

– Maggie? – odezwała się Corinne. Maggie spojrzała na nią. – Czy masz rodzinę? Czy powinnam kogoś zawiadomić?

Maggie pociągnęła nosem i przygryzła wargę. Chciało jej się płakać, ale co tu pomoże płacz?

– Nie – odpowiedziała. Głos jej drżał. – Nie mam. Nie mam nikogo. Corinne przechyliła głowę. – Jesteś pewna? Maggie pomyślała o plecaku. Pieniądze. Trzymała je przewiązane gumką, schowane bezpiecznie w jednej z zapinanych na zamek kieszonek. Usłyszała głos Josha. „Zajrzałem do twojego plecaka”. Złapała go, szarpiąc klapę. Pieniądze zniknęły. Legitymacje i karty kredytowe również. Nie zostało nic prócz ubrań, książek i... Poczwała w palcach miękki papier urodzinowej kartki. Wyciągnęła ją i otworzyła, odczytując po raz setny życzenia, podpis i numer telefonu.

– Mam babcię – powiedziała drżącym głosem. – Babcię.

Corinne kiwnęła głową w geście mówiącym: a więc załatwione.

– Idź spać – powiedziała na głos. – Wybierz sobie pokój. Zadzwoń rano.

Tak więc rano Maggie stała na środku słonecznej kuchni Corinne, ze swoją komórką w ręku i wybierała numer, który jej babcia napisała na kartce urodzinowej prawie dwadzieścia lat temu. Telefon dzwonił i dzwonił. Maggie zaciskała kciuki obydwu dłoni. Proszę, myślała, niepewna, o co właściwie prosi oprócz tego, żeby ktoś odebrał.

I faktycznie ktoś to zrobił.

Rose Feller obudziła się w obcym jej łóżku o piątej rano, z biciem serca. „Maggie”, pomyślała. Śniła jej się Maggie.

– Maggie – powiedziała głośno, ale nawet gdy to mówiła, gdy płynęła jeszcze wśród snu w kierunku przebudzenia, nie była do końca pewna, czy

to Maggie. Widziała kobietę, która biegła przez las. To wszystko. Kobietę o przerażonych oczach, ustach rozciągniętych krzykiem, biegnącą pomiędzy zielonymi gałęziami wyciągającymi się w jej kierunku jak ramiona, które chciały schwytać ją i uwięzić.

– Maggie – powtórzyła. Petunia przyglądała się jej przez chwilę, potem uznała, że nie chodzi tu ani o nagły wypadek, ani o jedzenie i ponownie zamknęła oczy. Rose wysunęła nogi z łóżka. Simon położył rękę na jej biodrze.

– Ciii – szepnął, przyciągając ją z powrotem do siebie. Przyłgął do niej całym ciałem i pocałował w tył szyi. – Co się stało? – otarł się o nią i poczuła na swoim karku jego twarde włosy. – Miałaś zły sen?

– Śniła mi się moja mama – powiedziała Rose niskim głosem, głębszym niż jej własny, o wiele wolniej niż zwykle. Zaspany głos wydobywający się jakby z głębin oceanu. Ale czy to była prawda? Mama? Maggie? A może to była ona sama; biegła wśród drzew, potykając się o korzenie, upadając na kolana i kalecząc sobie przy tym dłonie, potem podnosiła się i biegła dalej. Ale przed kim uciekała?

I dokąd?

– Moja mama nie żyje, wiesz? Mówiłam ci o tym? Nie pamiętam. Umarła, gdy byłam mała.

– Poczekaj chwilę, zaraz wracam – Simon wstał z łóżka. Słyszała jego ciche kroki w kuchni, a po minucie był z powrotem, w tej swojej śmiesznej piżamie w paski, ze szklanką wody w rękę. Którą, wdzięczna mu, wypijała, a on tymczasem wrócił do łóżka i wyłączył światło. Potem przytulił się do niej, jedną rękę kładąc na jej czole, a drugą przy nasadzie głowy, jakby była czymś niezwykle delikatnym i kruchym.

– Przykro mi z powodu twojej mamy Chcesz o tym porozmawiać?

Rose pokręciła głową.

– Ze mną możesz rozmawiać o wszystkim – ciągnął dalej. – Zaopiekuję się tobą. Przysięgam.

Ale tej nocy Rose nic mu nie powiedziała. Zamknęła oczy, pozwoliła swojemu ciału oprzeć się o niego i zasnęła.

Ella siedziała przy stole, wpatrując się w swój notatnik i próbując skompletować listę bezpłatnych badań kontrolnych do następnego numeru „Golden Acres Gazette”, gdy zadzwonił telefon.

– Halo!

Cisza... Słysząc tylko oddech.

– Halo – powtórzyła. – Pani Lefkowitz? Coś się stało?

Odpowiedział jej głos młodej kobiety.

– Czy to Ella Hirsch?

„Telemarketer”, pomyślała Ella.

– Tak, słucham.

Głos zrobił przerwę.

– Czy miała pani córkę o imieniu Caroline?

Ella głośno wciągnęła powietrze.

– Tak, mam – odparła bez zastanowienia. – To znaczy, miałam.

– No, więc – powiedziała młoda kobieta. – Nie zna mnie pani. Nazywam się Maggie Feller.

– Maggie – zareagowała natychmiast Ella, czując znajomą mieszalinę nadziei, ulgi, euforii i przerażenia zalewającą ją w momencie, gdy wypowiadała to imię. – Maggie. Dzwoniłam. To znaczy, dzwoniłam do twojej siostry... Czy dostała moją wiadomość? Mówiła ci o tym?

– Nie – powiedziała Maggie i zamilkła. – Proszę posłuchać – znów zaczęła. – Nie zna mnie pani i nie ma pani żadnego powodu, żeby mi

pomagać, ale znalazłam się w bardzo trudnej sytuacji. Mam straszne kłopoty...

– Pomogę ci – Ella zapewniła błyskawicznie. A potem zacisnęła mocno powieki, mając nadzieję, że Maggie powie jej, jak to zrobić.

TTLR



TLLR

# *CZĘŚĆ TRZECIA*

*Noszę twe serce*

TLR

Rose Feller nigdy tak bardzo nie odczuwała braku matki, jak w okresie narzeczeństwa z Simonem Steinem. Na pierwszej randce byli w kwietniu. Do maja widywali się cztery do pięciu dni w tygodniu. Do lipca Simon praktycznie przeniósł się do Rose. A we wrześniu zabrał ją z powrotem do Przystani Palantów, zanurkował pod stół pod pozorem odzyskania upuszczonej serwetki i pojawił się ponownie, trzymając w ręku pudełeczko obszyte czarnym aksamitem.

– Za wcześnie na to – słabo zaprotestowała Rose, wciąż nie dowierzając, że dzieje się to naprawdę, a Simon spojrzał na nią poważnie i powiedział:

– Jestem całkowicie pewny.

Ślub zaplanowano na maj, a był już październik, co oznaczało – o czym nie omieszkały jej powiadomić ekspedientki tego popołudnia – że Rose była spóźniona z wyborem sukienki.

– Czy zdaje sobie pani sprawę, jak długo trwa sprowadzenie sukienki?  
– zapytała kobieta w pierwszym sklepie. Rose pomyślała o ripoście: Czy zdaje pani sobie sprawę, ile czasu zajęło mi znalezienie odpowiedniego faceta?, ale zdecydowała się trzymać gębę na kłódkę.

– To po prostu tortury – powiedziała, próbując wciągnąć rajstopy, w których poleciało oczko szerokości dwóch centymetrów w chwili, gdy włożyła w nie stopę.

– Mam zadzwonić do Amnesty International? – zapytała Amy.

Rose pokręciła głową i rzuciła swoje adidas w kąt brzoskwiniowej przymierzalni z koronkową zasłonką w sklepie z sukniami ślubnymi, gdzie w powietrzu unosił się zapach lawendowego potpourri oraz płynęły łagodne

dźwięki romantycznych piosenek o miłości. Była teraz wbita w gorsecik, który podnosił jej biust mniej więcej do poziomu podbródka i, jak później odkryje, pozostawiał na jej ciele okropne pręgi, a także pas wyszczuplający. Ekspedientka próbowała jej wmówić, że to tylko majtki modelujące figurę, ale Rose rozpoznała pas wyszczuplający, gdy tylko go zobaczyła, a absolutną pewność zyskała, kiedy po nałożeniu poczuła, że odcina jej dopływ powietrza. Ekspedientka była uparta.

– Sama sukienka nie wystarczy, dla uzyskania właściwego efektu konieczne są odpowiednie akcesoria – powiedziała, patrząc na Rose, a w myślach dopowiadając, że wszystkie inne panny młode już to zrozumiały

– Nie masz pojęcia, przez co przechodzę – jęknęła Rose. Ekspedientka zebrała sukienkę w rękach, podając ją Rose do przymiarki.

– Nurkujemy – wydała rozkaz. Rose podniosła ręce, zgięła się w pasie krzywiąc z bólu pod uciskiem dwuczęściowej zbroi, którą już miała na sobie, i trochę po omacku wsunęła głowę w otwór. Sukienka opadła do kostek, gdy Rose wkładała ręce w rękawy, a ekspedientka przystąpiła do próby zapięcia zamka na plecach.

– Przez co przechodzisz? – zapytała Amy.

Rose zamknęła oczy i wypowiedziała imię, które prześladowało ją przez ostatnie dwa miesiące trwania jej zaręczyn, należące do osoby, która – Rose była tego pewna – będzie ją nękać jeszcze bardziej w miarę zbliżania się daty ślubu.

– Sydelle...

– Au! – skrzywiła się Amy.

– „Au!” nie oddaje nawet w połowie powagi sytuacji – powiedziała Rose. – Moja zła macocha postanowiła zostać moją najlepszą przyjaciółką.

Co było prawdą. Gdy przyjechali z Simonem do New Jersey przekazać

Michaelowi Fellerowi i jego żonie dobrą nowinę, Michael objął swoją córkę i poklepał Simona po plecach, Sydelle natomiast siedziała porażona na kanapie.

– Cudownie – udało jej się w końcu wydobyć z gardła. Słowo precyzyjnie się jakimś cudem między jej wąskimi, nieskazitelnie pomalowanymi ustami, podczas gdy jej ogromne nozdrza rozszerzały się jakby chciały wciągnąć stolik, przy którym siedzieli. – Gratuluję wam obojgu!

A zaraz następnego dnia zadzwoniła do Rose, nalegając na spotkanie w celu uczczenia tego wydarzenia i zaproponowała swoją pomoc w przygotowaniach do wesela.

– Nie, żebym się przechwalała, kochanie, ale ludzie wciąż jeszcze wspominają wesele Mojej Marci – powiedziała. Rose pomyślała, że to zupełnie zrozumiałe, biorąc pod uwagę skłonność Sydelle do wspomniania tegoż wesela przy każdej okazji, ale Sydelle oferująca coś innego niż krytykę jej ubrania, włosów czy diety zaskoczyła ją do tego stopnia, że przystała na tę propozycję. Z nowym pierścieniem na palcu, z którym ciągle jeszcze trochę dziwnie się czuła, wyruszyła do Ritza–Carltona na herbatkę z Sydelle.

– Było koszmarne – skomentowała, a Amy pokiwała w geście wyrażającym zrozumienie i wygładziła rękawiczkę do łokcia, którą Rose właśnie przymierzała.

Rose tamtego dnia natychmiast zauważyła macochę. Sydelle siedziała sama przy stoliku, na którym stał imbryczek i dwie filiżanki z połączonym brzegiem. Jak zwykle wyglądała olśniewająco. Włosy wymodelowane, że ani drgną, skóra lśniąca i napięta jak plastikowa folia. Nieskazitelny makijaż, imponujące złote dodatki i brązowa skórzana kurtka, na którą Rose spojrzała pożądliwie, przechodząc koło sklepu Joan Shepp w drodze do

hotelu.

– Rose – zagruchała Sydelle – wyglądasz przepięknie. – Wzrok, jakim obrzuciła sportową spódnicę Rose i jej kucyk, sugerował coś odwrotnego. – No, więc – powiedziała po kilku minutach rozmowy o niczym – przejdźmy do szczegółów. Czy zastanawiałaś się nad oprawą kolorystyczną?

– Ehm – wydusiła Rose. I to w zupełności wystarczyło Sydelle Feller.

– Granat – zarządziła. – To najnowszy trend. Niesamowicie eleganckie. Bardzo na czasie. Wyobrażam sobie... – zamknęła oczy, dając Rose możliwość podziwiania trzech różnych odcieni brązu i beżu z ręcznie połączonych na jej powiekach. – ... druhnny w prostych, granatowych tunikach...

– Nie będzie druhnen. Tylko Amy. Będzie moją druhną honorową – powiedziała Rose. Sydelle uniosła jedną ze swoich perfekcyjnie wyskubanych brwi.

– A Maggie?

Rose wpatrywała się w różowy, lniany obrus. Kilka miesięcy wcześniej otrzymała od Maggie bardzo dziwną wiadomość, składającą się z jej imienia i słowa „mam”. Od tego czasu nic, choć Rose co kilka tygodni dzwoni na komórkę Maggie i odkłada po usłyszeniu „Halo” w wykonaniu siostry.

– Nie jestem pewna...

Sydelle westchnęła.

– Zastanówmy się nad stolikami. Wyobraź sobie granatowe obrusy z białymi serwetkami, trochę w stylu żeglarskim, bardzo czysto, ostro i świeżo, do tego koniecznie ostróżki i te wspaniałe gerbery... Albo, nie! Nie – Sydelle pokręciła głową, jak gdyby Rose wyraziła sprzeciw. – Różowe

róże. Wyobrażasz sobie? Tony różowych róż, wylewających się ze srebrnych mis! – uśmiechnęła się, zadowolona z siebie. – Róże dla Rose. Naturalnie!

– Brzmi wspaniale – powiedziała Rose. I rzeczywiście tak było, pomyślała. – Ale, eee... Jeśli chodzi o druhny...

– I oczywiście – kontynuowała Sydelle, jakby Rose w ogóle się nie odezwała – na pewno chciałabyś Moją Marcję. Rose przełknęła. Nie chciała Mojej Marci. Absolutnie.

– Wiem, że byłaby zaszczycona – powiedziała słodko Sydelle.

Rose przygryzła wargę.

– Yhm – zaczęła. – Ja naprawdę... Myślę, że... Co jest – upomniała sama siebie. – Tylko Amy, naprawdę. Tak to sobie wymyśliłam i chcę, żeby tak zostało.

Sydelle zacisnęła usta i rozszerzyła nozdrza.

– Może Marcja zgodziłaby się przeczytać wiersz – Rose desperacko szukała innego pomysłu, który mogłaby podrzucić macosze.

– Jak sobie życzysz, kochanie – lodowato syknęła Sydelle. – To oczywiście twój ślub.

Co Rose powtórzyła tej nocy Simonowi.

– To nasz ślub. Oczywiście – powiedziała i schowała głowę w dłoniach. – Po prostu mam takie okropne wrażenie, że skończę z Moją Marcją i jej pięcioma najlepszymi koleżankami w identycznych, granatowych, prostych sukienkach prowadzącymi mnie do ołtarza.

– Nie chcesz Mojej Marci? – zapytał niewinnie Simon. – Ale ona ma tyle klasy! Wiesz, słyszałem, że gdy wychodziła za mąż, kupiła sukienkę od Very Wang, rozmiar trzydzieści sześć, i musiała ją zwięzać.

– Też słyszałam tę plotkę – wymamrotała Rose.

Simon ujął jej dłonie.

– Kochana – powiedział – to nasz ślub. I sami go wymyślimy. Tyle druhen, ile tylko chcesz. Albo żadnej.

Tej samej nocy zrobili krótką listę rzeczy, które chcą (fantastyczne jedzenie, zespół z niezłym kopem) i których nie chcą („celebracji”, rzucania podwiązki, Mojej Marci).

– I żadnych tańców w stylu kaczuszek! – dodał Simon następnego ranka.

– Róże! – krzyknęła Rose w kierunku jego wychodzących pleców, przyodzianych w niebieską marynarkę. – Srebrne misy pełne różowych róż! Czyż to nie brzmi cudownie?

Simon krzyknął przez ramię słowo brzmiące dość niepokojąco, jak „alergia” i pospieszył do autobusu. Rose westchnęła, weszła z powrotem do środka i zadzwoniła do Sydelle. W czasie spotkania ostatecznie zgodziła się na granat, na białe nakrycia stołów, na wiersz, który wybierze dla Mojej Marci, i na spotkanie z florystą Sydelle w przyszłym tygodniu.

– Jakie kobiety wyrażają się „mój florysta”? – Rose zapytała Amy, gdy ta przeglądała zawartość pudełka ze stroikami, wybierając jeden z nich, ozdobiony perłami, i wkładając go sobie na głowę.

– Kobiety pretensjonalne – odpowiedziała przyjaciółka mocując na głowie Rose welon do ramion, połyskujący maleńkimi kryształkami.

– Ooo, śliczne! – znalazła jeszcze jeden i założyła na swoją.

– Chodź! – pociągnęła Rose do lustra.

Rose obejrzała siebie w siódmej i ostatniej z sukienek, które wybrała do przymiarki. Metry koronki wiły się wokół jej nóg. Góra sztywna od skrzących się i mieniących kryształków zdołała pomieścić około dwóch trzecich jej talii, zamek na plecach nie dał się zapiąć nawet do połowy.



Sztywne, wyszywane rękawy więziły jej ręce. Patrzyła żałośnie na swoje odbicie.

– O Boże... Wyglądam jak kukła na paradzie straszyleł.

Amy parsknęła śmiechem. Ekspedientka gapiła się na nie.

– Może buty by pomogły? – próbowała coś doradzić.

– Myślę, że pomogłaby zapalniczka – wymamrotała Amy.

– A ja myślę... – zaczęła Rose. Boże, potrzebowała matki. Matka potrafiłaby zapanować nad sytuacją, spojrzeć na sukienkę i krótkim, ale nieznoszącym sprzeciwu ruchem głowy wskazać jej właściwe miejsce na wieszaku. Matka powiedziałaby „Moja córka lubi proste rzeczy” albo, „Widzę ją w sukni o linii A” lub w odcinanej w pasie, albo w baskince, w którejś z tych oszałamiających sukienek. Nawet po kilku tygodniach wnikliwych studiów Rose nie była w stanie pojąć subtelnych różnic między nimi, nie wspominając o pojęciu, która z nich byłaby najodpowiedniejsza dla niej. Matka wyciągnęłaby ją z tego swędzącego tornada sukienki, z żelaznego gorsetu, z tych niezliczonych przyjęć, herbatek, koktajli i obiadów. Odnalezienie się wśród tego wszystkiego stanowiło dla Rose problem podobnej trudności, co wiosłowanie jedną ręką w górę wezbranej Amazonki. I matka na pewno wiedziałaby, jak dyplomatycznie dać do zrozumienia Sydelle Feller, żeby ta wzięła swoje dwa tuziny propozycji i dobrych rad i wetknęła je sobie w swój mały, sztywny tyłek.

– Jest okropna – wyrwało się jej w końcu.

– Przykro mi – powiedziała ekspedientka, której uczucia Rose ewidentnie zraniła.

– A może znalazłoby się coś mniej wymyślnego? – zasugerowała Amy. Ekspedientka zacisnęła usta i zniknęła na zapleczu. Rose usiadła i usłyszała odgłos uchodzącego spod sukienki powietrza, gdy jej fałdy

łagodnie opadając układały się wokół krzesła. Zabrzmiało to jak westchnienie.

– Ucieknijmy stąd na koniec świata!

– Wiesz, że zawsze cię kochałam, ale nie w ten sposób – odparła Amy. – I nie ma mowy, żebym pozwoliła ci uciec. Pozbawiłabyś mnie mojej pięknej kokardy na tyłku.

W dniu, w którym Rose powiedziała swojej przyjaciółce, że wychodzi za mąż – zanim Sydelle wydała dekret o granacie – Amy ruszyła na pielgrzymkę do najlepszego w Filadelfii sklepu z używaną odzieżą i wyszukała zwiewną, łososiową sukienkę z wieloma warstwami tiulu, olbrzymimi klamerkami z kryształu górskiego na ramieniu i kłamrą na tyłku wielką jak autobus, a także prezent zaręczynowy w postaci świecznika z kości słoniowej o grubości piętnastu centymetrów, wysadzanego plastikowymi perłami, na którym widniały słowa „Najlepszej przyjaciółce w dniu ślubu”, wijące się złotymi literkami po jego bokach.

– Nie mówisz poważnie – powiedziała Rose, a Amy wzruszyła ramionami i poinformowała, że dobrze rozumie swoją rolę drużny honorowej i że w tym szczególnym dniu panna młoda powinna być gwiazdą i że jeśli kupi tę sukienkę (a do tego buty przefarbowane na łososiowo), będzie faworytką corocznego, filadelfijskiego Balu Druhen, na którym odbywał się konkurs na najgorszą sukienkę.

– I wtedy – dodała – nikt nam się nie oprze, mnie i mojej kokardzie.

Objęła Rose.

– Nie martw się – powiedziała. – Znajdziemy ją. Przecież dopiero zaczęłyśmy! Gdyby to było łatwe, sądzisz, że drukowałiby tysiące czasopism o tym, jak znaleźć idealną sukienkę ślubną?

Rose westchnęła i wstała. Kątem oka widziała zbliżającą się

ekspedientkę z nareczem jedwabiu i satyny.

– Może ta nie będzie taka zła – wymamrotała.

– Nie – Amy zlustrowała bacznie sukienkę. – Nie, jest po prostu okropna.

– Proszę za mną – powiedziała szorstko ekspedientka, więc Rose ujęła swoją suknię w dłonie i poszła we wskazanym kierunku, wlokąc za sobą tren.

TTLRR

Ella Hirsch przez prawie całe lato znosiła cierpliwie całkowity brak woli porozumienia ze strony swojej wnuczki Maggie, zanim postanowiła, że nie zniesie takiego stanu rzeczy ani chwili dłużej.

Maggie przyleciała w maju, dzień po ich pierwszej, dość trudnej, przerywanej ciszą rozmowie, podczas której Ella ciągle prosiła o powtórzenie tego, co Maggie powiedziała przed chwilą, żeby się upewnić, że zrozumiała, co mówi do niej jej odnaleziona po latach wnuczka, że to Maggie, nie Rose, że jest w Princeton, ale właściwie nie do końca. Tak, powiedziała Maggie, ojciec i Rose mają się dobrze, ale nie może do nich zadzwonić. Nie, nic jej się nie stało, nie jest też chora, ale nie ma dokąd pójść. Aktualnie jest bezrobotna, ale nie boi się pracy i na pewno coś znajdzie. Ella nie będzie musiała jej utrzymywać. Były tysiące pytań, które chciała jej zadać, ale ograniczyła się do minimum, do „co?” i „gdzie?”, i „kiedy?” oraz do szczegółów technicznych dotyczących przetransportowania Maggie z parkingu przy supermarkecie w New Jersey na Florydę.

– Czy możesz dojechać do Newark? – zapytała, w tajemniczy sposób przypominając sobie nazwę głównego lotniska New Jersey. – Zadzwoń, gdy tam dotrzesz. Skontaktuję się z liniami lotniczymi, zobaczę, które mają bezpośredni lot i bilet będzie czekał przy wejściu.

Osiem godzin później Ella i Lewis dojeżdżali do lotniska Fort Lauderdale, gdzie czekała na nich ściskająca pasek plecaka, zmęczona, brudna i wystraszona Caroline.

Ella wciągnęła powietrze i zacisnęła powieki, a gdy je podniosła, zobaczyła, że myliła się. Dziewczyna nie była Caroline, w każdym razie

niezupełnie. Spozstrzegła to, gdy tylko otwarła oczy, ale i tak podobieństwo było uderzające. Brązowe tęczy, sposób, w jaki włosy spadały jej na czoło, policzki i ręce, i nawet, naprawdę, jej obojczyki były dokładnie takie jak u Caroline. Ale determinacja w spojrzeniu, zadziorny podbródek, sposób, w jaki szybko zmierzyła ich wzrokiem, opowiadały zupełnie inną historię i z pewnością przepowiadały inne zakończenie niż to, które wybrała Caroline. Ta dziewczyna, Ella widziała to wyraźnie, nie ulegnie pokusie śliskiej od deszczu drogi. Ta dziewczyna będzie mocno trzymać kierownicę.

Był ten początkowy, niezręczny moment – czy powinny się objąć? – ale Maggie znalazła rozwiązanie i po prostu zdjęła plecak z ramienia, trzymając go przed sobą jak dziecko na rękach, w czasie gdy Ella męczyła się z przedstawieniem wszystkich obecnych. Po drodze na parking Maggie nie była specjalnie rozmowna. Zaproponowali jej miejsce z przodu, Maggie odmówiła i siedziała wyprostowana na tylnym siedzeniu, gdy Lewis prowadził, a Ella bardzo starała się nie zadreć jej zbyt wieloma pytaniami. Ale przecież musiała wiedzieć, chociażby ze względu na swoje własne bezpieczeństwo.

– Jeśli powiesz, o jakiego rodzaju kłopoty chodzi, jestem pewna, że coś wymyślimy – zaczęła Ella.

Maggie westchnęła.

– Chodzi o to... – umilkła. Ella obserwowała w lusterku, jak Maggie szuka w myślach imienia swego przewinienia. – Mieszkałam z Rose, ale nie bardzo nam się układało, a potem byłam w kampusie przez kilka miesięcy...

– U przyjaciół? – zgadywał Lewis.

– W bibliotece – powiedziała Maggie. – Mieszkałam tam. Po prostu... – popatrzyła za okno. – Jak pasażer na gapę. Pasażer na gapę albo dziki lokator – dodała, a zabrzmiało to, jakby przeżyła jakąś niesamowitą

przygodę na pełnym morzu. – Ale ktoś mnie wyśledził i wpadłabym w niezłe tarapaty. Więc musiałam wyjechać.

– Chcesz wrócić do Filadelfii? – zapytała Ella. – Do Rose?

– Nie! – zaproponowała Maggie tak gwałtownie, że Ella aż podskoczyła, a Lewis niechętny nacisnął lekko klakson. – Nie – powtórzyła.

– Nie wiem, dokąd chcę jechać. Właściwie nie mam w Filadelfii mieszkania, bo mnie wyeksmitowali, i nie mogę pojechać do ojca, bo jego żona mnie nienawidzi, i nie mogę wrócić do Rose... – Maggie westchnęła żałośnie, objęła rękami kolana, całość okraszając lekkim drzeniem, żeby dodać trochę dramatyzmu. – Myślę, że mogłabym pojechać do Nowego Jorku. Znajdę pracę, zaoszczędzę trochę pieniędzy i pojedę do Nowego Jorku. Poszukam kogoś, z kim mogłabym zamieszkać, żeby podzielić czynsz... Coś w tym rodzaju – zakończyła.

– Możesz zostać u mnie, jak długo zechcesz – powiedziała Ella. Słowa wypłynęły jej z ust, zanim zdążyła je przemyśleć, zastanowić się, czy pomysł jest dobry, czy może raczej nie. Sądząc z wyrazu twarzy Lewisa, odpowiedź prawdopodobnie brzmi – niezbyt dobry. Maggie została wyeksmitowana. Następnie mieszkała z siostrą, co z jakiegoś powodu nie zagrało. Czuła się nieproszona w domu ojca. Była pasażerem na gapę, cokolwiek to znaczy, w szkole, w której nie figurowała na liście studentów, i mieszkała w bibliotece. Mając na uwadze powyższe, czy można nie spodziewać się kłopotów?

Gdy Lewis wyjeżdżał z lotniska w kierunku Golden Acres, Maggie westchnęła i podparła podbródek ręką spoglądając na palmy oraz inne samochody

– Floryda – odezwała się. – Nigdy tu nie byłam.

– A jak... – zaczęła Ella. – Czy możesz opowiedzieć nam coś o

siostrze?

Maggie milczała. Ella jednak nie ustępowała.

– Znalazłam ją w Internecie, w firmie prawniczej...

Maggie pokręciła głową, wciąż patrząc w okno, jakby w szybie widziała odbicie twarzy Rose.

– To chyba jej najgorsze zdjęcie, zauważyliście? Mówiłam jej, żeby zrobiła jeszcze jedno, ale ona tylko powtarzała: „To bez znaczenia, Maggie. Nie bądź taka powierzchowna”. A ja na to, że na to zdjęcie będzie patrzył cały świat, i to wcale nie powierzchowne, że chcesz wyglądać jak najlepiej w takiej sytuacji, ale oczywiście Rose nie słuchała. Nigdy mnie nie słucha – stwierdziła Maggie, a potem zamknęła usta, jakby przestraszyła się, że powiedziała za dużo. – Gdzie dokładnie jedziemy? Gdzie mieszkasz?

– Mieszkamy w Golden Acres. To...

– ... idealne miejsce dla aktywnych seniorów na emeryturze – wyrecytowali razem z Lewisem.

W lusterku oczy Maggie rozszerzył przestach.

– To jak dom spokojnej starości?

– Nie, nie – uspokoił Lewis. – Nie martw się. Po prostu miejsce dla starszych ludzi.

– Mieszkania własnościowe – dodała Ella. – Na miejscu są sklepy, klub, jeździ też meleks dla tych, którzy nie radzą sobie już za kierownicą...

– Brzmi nieźle – powiedziała Maggie, najwyraźniej mając na myśli coś dokładnie przeciwnego. – No, więc co robisz przez cały dzień?

– Jestem wolontariuszem – odparła Ella.

– Gdzie?

– O, wszędzie. W szpitalu, w schronisku dla zwierząt, w sklepie dobroczynnym, wożę posiłki do domów, pomagam też jednej pani, w

zeszłym roku miała wylew... Staram się nie siedzieć beczynie.

– Myślicie, że znajdę tu pracę?

– To zależy, jaką – powiedziała Ella.

– Robiłam wszystko – Maggie starała się ucześcić tej możliwości. –

Byłam kelnerką, psią fryzjerką, hostessą...

Hostessą? Ella zastanowiła się, cóż to takiego.

– Barmanką – kontynuowała Maggie. – Opiekowałam się dziećmi, pracowałam w łodziach, na stoisku z pączkami...

– Ho, ho! – zawołała Ella. Ale Maggie jeszcze nie skończyła.

– Przez jakiś czas śpiewałam w zespole – Maggie uznała, że lepiej nie wspominać nazwy na wypadek, gdyby babcia wiedziała, co to jest włochata mycha. – Telemarketing, spryskiwanie ludzi perfumami, T. J. Maxx, Gap, The Limited... – Maggie przerwała, po czym nastąpiło ogromne ziewnięcie.

– A w Princeton pomagałam jednej niewidomej kobiecie. Sprzątałam jej dom i robiłam zakupy.

– To... – Elli znów zabrakło słów.

– Powinno wystarczyć – zakończyła Maggie. Ziewnęła, poprawiła kucyk, zwinęła się w kłębek na tylnym siedzeniu i natychmiast zasnęła.

Na następnym czerwonym świetle Lewis spojrział na Elle.

– OK? – zapytał.

Ella wzruszyła lekko ramionami, potem uśmiechnęła się. Maggie jest tutaj i niezależnie, czego jeszcze się dowiedzą, to było coś.

Gdy Lewis zaparkował przed domem, Maggie ciągle jeszcze spała na tylnym siedzeniu, z brązowym kosmykiem przyklepionym do pokrytego potem policzka. Jej obgryzione paznokcie tak bardzo przypominały ręce Caroline, że Ella czuła, jak serce nierówno obija się jej o żebra. Maggie otworzyła wreszcie oczy, przeciągnęła się, złapała plecak i wysiadła z auta



mrugając nerwowo. Ella spojrzała za jej wzrokiem. Irene Siegel popychała przed sobą balkonik, a Albert Gantz powoli wyciągał z bagażnika zbiornik z tlenem.

– Życie jest własną żałobą – powiedziała Maggie niskim, zrezygnowanym głosem.

– Słucham? – zapytał Lewis.

– Nie, nie, nic takiego – zreflektowała się. Założyła plecak na ramię i weszła za Ellą do środka.

Maggie znalazła wkrótce pracę w sklepie z bajglami oddalonym od Golden Acres o niecały kilometr. Pracowała na rannej zmianie, więc wmykała się z domu o piątej i obsługiwała klientów w porze śniadania i lunchu. A co potem? Ella zadała to pytanie, gdyż Maggie rzadko zjawiała się z powrotem przed ósmą wieczorem. Wnuczka wzruszyła ramionami.

– Chodzę na plażę. Albo do kina. Albo do biblioteki.

Tydzień za tygodniem i dzień za dniem Ella proponowała Maggie wspólną kolację. Maggie nieodmiennie odmawiała.

– Już jadłam – mówiła, chociaż biorąc pod uwagę, jaka była chuda, Ella czasami zastanawiała się, czy ona w ogóle coś jada. Odmawiała, gdy Ella proponowała oglądanie telewizji, wyjście do kina, czy do klubu, by pograć w bingo. Jediną rzeczą, która wzbudziła ciekawość, była propozycja Elli, by zapisać Maggie do biblioteki. Poszły razem do małego, parterowego budynku, w którym się mieściła, Maggie wypełniła formularze wpisując adres Elli, po czym zniknęła między półkami, by pojawić się po godzinie z naręczem tomików poezji.

I to właściwie wszystko. Tak przeszedł maj. Potem czerwiec. Lipiec i sierpień. Wieczorem Maggie wracała do domu, kiwała głową na dobry wieczór i zniknęła. Pojawiała się na chwilę, by wziąć prysznic, potem

wślizgiwała się cichutko do tylnej sypialni, zamykając za sobą drzwi, niosąc swój ręcznik, szampon, szczoteczkę i pastę do zębów, jakby była jednonocnym gościem, chociaż Ella powiedziała jej już, że może zostawiać rzeczy, gdzie chce. W pokoju Maggie stał mały telewizor, ale Ella nie słyszała, by wnuczka kiedykolwiek go włączała. Był też telefon, ale Maggie nigdy do nikogo nie dzwoniła. Dużo czytała, to Ella wiedziała – co trzy, cztery dni zauważała nową książkę w plecaku wnuczki; grube powieści, biografie, poezja, te dziwne, fragmentaryczne wiersze bez rymów, które nigdy jakoś do niej nie przemawiały – ale wyglądało na to, że Maggie z nikim nie rozmawia i Ella zaczynała się martwić, że nigdy nie zacznie.

– Nie wiem, co robić – westchnęła. Była ósma rano, na termometrze prawie 30 stopni. Gdy tylko Maggie, jak co rano, przemknęła cichutko obok niej, a potem zniknęła za drzwiami, Ella poszła do Lewisa.

– Z pogodą? Po prostu poczekaj. To nie może trwać wiecznie.

– Z nią – sprecyzowała Ella. – Z Maggie. Ona się do mnie nie odzywa! Nawet na mnie nie patrzy. Skrada się po domu boso... Nigdy nie słyszę, gdy nadchodzi... Nie wraca aż do późna, a gdy wstaję, już jej nie ma... – przerwała, wzięła głęboki oddech i pokręciła głową.

– Hm, normalnie powiedziałbym, żeby dać jej czas...

– Lewis, minęło kilka miesięcy, a ja nawet nie wiem, co to za historia z jej siostrą albo z ojcem. Nie wiem, co lubi jeść! Masz wnuki...

– Ale chłopców – powiedział Lewis. – Wiesz co, myślę, że masz rację. Czas na bardziej drastyczne kroki. Trzeba wytoczyć ciężkie działa.

Na szczęście, pani Lefkowitz była w domu.

– Na początek kilka pytań – zarządziła, chodząc tam i z powrotem po swoim zagraconym saloniku w znajomym rytmie stuk, westchnięcie, krok, dociągnięcie. – Masz suszone śliwki w lodówce?

Ella patrzyła na nią nie rozumiejąc.

– Śliwki – powtórzyła pani Lefkowitz. – Mam – przytaknęła Ella.

Pani Lefkowitz pokiwała głową.

– A herbatkę przeczyszczającą masz gdzieś na wierzchu?

Ella potaknęła. A kto nie miał?

– Co prenumerujesz?

Zastanowiła się.

– „Prevention”, to co przysyła AARP.. \*

– Masz HBO albo MTV?

Ella pokręciła głową.

– Nie mam kablówki.

Pani Lefkowitz wywróciła oczami, po czym opadła na wyściełany fotel, na sam środek wyszywanej poduszki, która głosiła „Jestem księżniczką”.

– Młodzi ludzie mają inne zainteresowania, inne potrzeby. Mają swoją muzykę, programy telewizyjne, swoją własną...

– Kulturę? – podpowiedział Lewis.

Pani Lefkowitz skinęła.

– Nie ma tu nikogo w jej wieku. Jak by się wam podobało mieć dwadzieścia osiem lat i utknąć w Golden Acres?

– Nie miała wyboru – przypomniała jej Ella.

– Podobnie jak więźniowie – odrzekła pani Lefkowitz. – Co nie znaczy, że muszą lubić siedzenie w więzieniu.

– No, więc, co robić? – zapytała bezradnie Ella.

---

*\*Amerykańska organizacja skupiająca ludzi w wieku powyżej pięćdziesięciu lat. Jej misją jest, w najogólniejszym ujęciu, pomoc ludziom starszym wiekiem mającym na celu poprawę jakości ich życia.*

Pani Lefkowitz z trudem wstała z fotela.

– Mamy pieniądze? – zwróciła się do Elli.

Ella skinęła.

– W takim razie chodźmy – powiedziała. – Ty prowadzisz – dodała, wskazując głową w kierunku Lewisa. – Jedziemy na zakupy.

\* \* \*

Wywabienie Maggie z pokoju okazało się kosztowną operacją.

Po pierwsze czasopisma, prawie pięćdziesiąt dolarów, każde następne grubsze od poprzedniego i bardziej błyszczące oraz bardziej napakowane próbkami perfum i kartami subskrypcyjnymi.

– Skąd wiesz o tym wszystkim? – zapytała Ella, gdy pani Lefkowitz kładła właśnie ostatni numer „Movieline” na egzemplarz „Vanity Fair”.

Ta machnęła niedbale zdrową ręką.

– A co tu jest do wiedzenia? – zapytała.

Następny przystanek okazał się ogromnym sklepem RTV AGD.

– Płaski ekran, płaski ekran – recytowała pani Lefkowitz, mknąc pomiędzy regałami na specjalnym skuterze, którego używała w czasie tego rodzaju ekspedycji. Dwie godziny i kilka tysięcy dolarów później w samochodzie Lewisa znalazły się telewizor z płaskim kineskopem, DVD i kilkanaście filmów, włącznie z *Jak upolować mężczyznę, czyli seks w wielkim mieście*, którym, co pani Lefkowitz gwarantowała, zachwycąły się wszystkie młode kobiety.

– Czytałam o tym w „Time’ie” – przechwalała się, sadowiąc się wygodnie obok kierowcy – Skręć tu w lewo – nakazała Lewisowi. – Idziemy do supermarketu i po alkohol – dodała uśmiechając się do siebie

– Przecież wydajemy przyjęcie. – W sklepie monopolowym zagadnęła przyszczatego sprzedawcę w poliestrowym fartuchu.

- Czy wie pan, jak zrobić cosmopolitan? – zapytała ostro.
- Cointreau... – niepewnie polecił sprzedawca.

Pani Lefkowitz wskazała na Lewisa.

- Słuchaj i wyciągaj wnioski! – powiedziała do niego.

Później, uginając się pod ciężarem Cointreau i wódki, serowych chrupek i kukurydzianych chipsów, miniaturowych hot dogów i mrożonych sajgonek oraz dodatkowych dwóch buteleczek lakieru do paznokci (czerwonego i różowego), a także kartonowych pudeł pełnych elektronicznego sprzętu domowego, Ella, Lewis i pani Lefkowitz wpakowali się do windy, która zabrała ich do mieszkania Elli.

- Naprawdę myślisz, że to zadziała? – zapytała Ella, gdy Lewis tymczasem wkładał mrożonki do zamrażarki.

Pani Lefkowitz dosunęła krzesło do stołu i pokręciła głową.

- Żadnych gwarancji – wyciągnęła z torebki różową kartkę papieru, na której widniały srebrne litery oznajmiające: „Zapraszamy!”.

- A to skąd? – Ella przyglądała się kartce nad jej ramieniem.

– Z mojego komputera – odrzekła pani Lefkowitz, przechylając zaproszenie tak, żeby Ella mogła przeczytać, że Panna Maggie Feller została zaproszona na przyjęcie „Seks w wielkim mieście”, które odbędzie się w domu Elli, w piątek wieczorem. – Mogę robić wszystko. Zaproszenia, kalendarze, karty parkingowe...

- Co takiego? – zapytał Lewis, układając na półkach słone przekąski.

Nagle pani Lefkowitz bardzo zainteresowała się zawartością swojej torebki.

- Och, nic takiego. Nie ma o czym mówić.

Lewis obserwował ją.

- Wiecie, jeden z moich reporterów mówił mi, że ludzie drukują

falszywe karty parkingowe... Ma zamiar przeprowadzić śledztwo.

Pani Lefkowitz wyzywająco uniosła podbródek.

- Chyba mnie nie wydasz?
- Nie, jeśli tylko okażą się skuteczne – obiecał.

Pani Lefkowitz skinęła ugodowo, potem podała Elli zaproszenie.

- Wsuń to przez drzwi, jak jej nie będzie.
- Ale jeśli to przyjęcie... To kto przyjdzie?

Pani Lefkowitz spojrzała na nią.

- Jak to kto, twoi znajomi, oczywiście.

Ella spojrzała bezradnie na Lewisa. Pani Lefkowitz zmrużyła oczy.

- Masz chyba jakichś znajomych?
  - Ja... – zaczęła Ella. – Mam tylko współpracowników.
  - Współpracowników – pani Lefkowitz skierowała te słowa do sufitu.
- Hm, nie szkodzi. W takim razie będzie nas troje – wstała opierając się o stół. – Do zobaczenia w piątek! – powiedziała i głośno stąpając wyszła z mieszkania.

– Czuję się jak Baba Jaga z *Jasia i Małgosi* – powiedziała Ella, wsuwając blachę miniaturowych sajgonek do piekarnika. Był piątkowy wieczór, po dziewiątej, co oznaczało, że Maggie powinna pojawić się lada moment – jeśli w ogóle przyjdzie.

– Znalazłaś zaproszenie?! – zawołała Ella rano w kierunku zamykających się drzwi wejściowych. W odpowiedzi otrzymała niejasne, potwierdzające burknięcie oraz odgłos zamykanych drzwi.

– Dlaczego? – zapytał Lewis. Ella wskazała na wabiki: sterty czasopism, miski chipsów i sosów, półmiski jajek i skrzydełek z kurczaka na ostro, i jeszcze około sześciu innych dań, które zapewnią jej okropną zgagę, jeśli tylko zaryzykuje choćby najmniejszy kęs.

Pani Lefkowitz poprawiła jeden z rękawów.

– I jeszcze jedno – przypomniała. – Twoja tajna broń.

– Co? – zapytała Ella spoglądając na zegarek.

– Twoja córka – powiedziała pani Lefkowitz.

Ella patrzyła, nie rozumiejąc.

– Co?

– Twoja córka. Caroline, tak? – odpowiedziała Pani Lefkowitz. – To wszystko – zamasztyłym ruchem ręki wskazała salon, w którym Lewis majstrował przy DVD i z zadowoleniem podjadał bułeczki nadziewane szpinakiem – prawdopodobnie zadziała. Ale jeśli nie, zgadnij, co to: ty to masz, a Maggie tego chce?

– Pieniądze? – zgadywała Ella.

– No, dobra, to też – zgodziła się pani Lefkowitz. – Ale pieniądze może zdobyć w wielu innych miejscach. A w ilu miejscach może usłyszeć historię swojej matki?

„Historę swojej matki”, pomyślała Ella, żałując z całego serca, że nie jest to dłuższa i radośniejsza opowieść.

– Informacje – ciągnęła pani Lefkowitz. – Informacje to coś, co my posiadamy, a czego młodzi chcą. Informacje... – zastanowiła się. – I może jeszcze, jeśli chodzi o mnie, trochę oprogramowania z Microsoftu. Ale w twoim przypadku informacje powinny wystarczyć.

Po chwili usłyszeli chrzęst klucza w zamku.

– Uwaga, zaczynamy! – szepnęła pani Lefkowitz. Ella wstrzymała oddech. Maggie weszła do mieszkania, jakby miała klapki na oczach, w ogóle nie patrząc w lewo, w stronę tonącej w kuszących przekąskach kuchni, ani w prawo, gdzie znajdował się nowy telewizor, w którym jakaś kobieta mówiła właśnie o... Nie! Chyba się przesłyszała, pomyślała Ella,

gdy aktorka bredziła dalej.

– Nie mam najmniejszego zamiaru zgadzać się na seks analny!

Na co pani Lefkowitz roześmiała się do swojego drinka. W połowie przedpokoju Maggie zatrzymała się.

– Maggie?! – zawołała Ella. Prawie czuła, jak bardzo rozdartą była jej wnuczka – chcąc zostać i chcąc odejść. „Błagam, nie pozwól mi tego zepsuć”, modliła się Ella. Maggie odwróciła się. – Masz ochotę na... – Co? Co mogła zaproponować tej nieufnej dziewczynie z jej czujnym niepokojem w oczach, tak podobnych i tak różnych od oczu jej utraconej córki? Wyciągnęła rękę z drinkiem. – To cosmopolitan. Wódka i sok żurawinowy...

– Wiem jak się robi cosmopolitan – prychnęła Maggie pogardliwie.

Było to jedno z dłuższych zdań, jakie udało się Elli wydobyć z jej młodszej wnuczki. Maggie wzięła drinka i jednym haustem wypiała połowę.

– Niezły – powiedziała, odwróciła się na pięcie i wmaszerowała do salonu. Pani Lefkowitz podała jej miskę Fritos. Maggie opadła na kanapę, wypiała resztę drinka, wzięła egzemplarz „Entertainment Weekly”. – Widziałam ten odcinek – stwierdziła.

– O – wyartykułowała Ella. Z jednej strony była to zła wiadomość.

Z drugiej było to kolejne zdanie, które jej wnuczka wypowiedziała całkowicie dobrowolnie i z własnej inicjatywy. No, i jest tutaj, nieprawdaż?

To było coś, zgadza się?

– Ale lubię go, to jeden z lepszych – dodała Maggie. Rzuciła czasopismo na stolik i rozejrzała się wokół. Ella spojrzała rozpaczliwie na Lewisa, który wychodził szybko z kuchni, niosąc kolejną porcję napojów. Ponownie napełnił szklanekę Maggie. Maggie z kolei pełnym gracji ruchem wybrała z półmiska skrzydełko kurczaka i usiadła z powrotem na kanapie, z



oczami wlepionymi w ekran. Poziom zdenerwowania Elli stopniowo opadał. Nie była to wielka wiktoria, powiedziała do siebie po czterech kolejnych odcinkach, w których kobiety mówiły sobie rzeczy, które sześćdziesiąt lat temu nie przeszłyby nikomu przez gardło. Ale był to jakiś początek. Zerknęła na wnuczkę. Jej powieki opadły. Rzęsy spoczywały na policzkach jak nastroszone frędzelki. Na brodzie miała okruszki Cheetos. Usta lekko wydęte, jakby w swoim śnie czekała na pocałunek.

Po czterech cosmopolitanach, trzech skrzydełkach i garści Fritos Maggie powiedziała „Dobranoc” Elli oraz reszcie towarzystwa. Położyła się na cienkim materacu rozkładanej kanapy i zamknęła oczy myśląc sobie, że być może będzie musiała zmodyfikować nieco swój plan „Floryda”.

Początkowo postanowiła po prostu mieć oczy otwarte, czekać i nie wchodzić nikomu w drogę, aż zorientuje się, o co chodzi i co z tym zrobić. Maggie uznała, że to może zabrać trochę czasu. Jej wiedza o starych ludziach pochodziła z telewizji, w większości z reklam, i ograniczała się do świadomości, że mają wysoki poziom cukru we krwi, nadaktywny pęcherz i potrzebują przycisku alarmowego na wypadek upadku i niemożności wstania o własnych siłach. Maggie spokojnie skoncentrowała się na swojej babci, która zdecydowanie miała pieniądze. I która czuła się winna. Cokolwiek Ella Hirsch zrobiła lub czegokolwiek nie zrobiła, z pewnością czuła się w związku z tym gorzej niż źle. Co oznaczało, że jeśli Maggie uzbroi się w cierpliwość, będzie w stanie zamienić te okropne uczucia na gotówkę – gotówkę, którą doda do stosiku rosnącego sobie spokojnie w pudełku pod łóżkiem. Zarabiała, co prawda, minimalną stawkę, ale uznała, że z pomocą kilku wzruszających scen, kilku smutnych opowieści o tym, jak bardzo brakuje jej matki i z jaką radością przyjęłaby miłość babci, czy w ogóle drugiej kobiety, wyniesie się czym prędzej z tej poczekalni śmierci –

znanej również jako Golden Acres – z wystarczającą ilością gotówki, by kupić, cokolwiek przyjdzie jej do głowy.

Problem w tym, że wydostanie rzeczy od Elli było po prostu zbyt łatwe. Nie było w tym żadnego wyzwania, po tych wszystkich bojach stoczonych wcześniej. To było... Rozczarowanie, w pewnym sensie. Tak jakby przygotowywać się do przebicia pięścią pustaka, a skończyć waląc w gąbkę. Babcia była tak całkowicie żałosna, że Maggie, którą niewiele rzeczy ruszało, poczuła się troszeczkę nieswojo na myśl o oddzieleniu jej od jej pieniędzy. Ella zadowalała się resztkami z talerza towarzystwa Maggie, jej uwagi, każdego wypowiedzianego przez nią słowa, jakby umierała na pustyni z głodu, a Maggie była porcją pysznych lodów. Teraz znowu nowy telewizor, DVD, całe to jedzenie, nie wspominając już o ciągłych zaproszeniach na kolacje, do kina, na wycieczki do Miami czy na plażę. Ella tak bardzo się starała, że Maggie ścisnęło w żołądku. I chciała jedynie, żeby Maggie zadzwoniła do ojca i powiedziała mu, że u niej wszystko w porządku. Nie było mowy o czynszu, pieniądzach za gaz czy ubezpieczenie samochodu, ani za jedzenie, za nic. Więc gdzie mianowicie miałoby się jej spieszyć?

Mieć oczy otwarte i czekać, pomyślała, poprawiając poduszkę pod policzkiem. Może uda jej się pojechać z Ellą do Disney World. Pojeździć w filizankach. Wyśle do domu widokówkę: „Szkoda, że Was tu nie ma”.

– Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego to robimy? – wyszeptała Rose.

– Ponieważ jest taki zwyczaj, że gdy dwoje ludzi chce się pobrać, ich rodzice się spotykają – odpowiedział jej szeptem Simon. – I wszystko będzie w jak najlepszym porządku – dodał. – Moi rodzice cię kochają i jestem pewny, że polubią twojego ojca, a co do Sydelle... Cóż złego może się tutaj wydarzyć?

W kuchni matka Simona, Elizabeth, stała nachmurzona nad książką kucharską. Była niską, pulchną kobietą o srebrnoblond włosach i tak samo białej skórze, jak jej syn. Miała na sobie długą, kwiecistą spódnicę, białą bluzkę z falbankami i żółty fartuch, którego szerokie kieszenie akcentowały naszyte na nie ozdobne róże. Wyglądała jak żydowska, domowa wersja telewizyjnej kszesnicy w stylu Tammy Faye Bakker, ale bez rzęs. Jednak w jej przypadku wygląd był mylący. Uczyła filozofii w college'u Bryn Mawr w tej samej kwiecistej spódnicy i kaszmirowych swetrach, które nosiła w domu. Była słodka, zabawna, spokojna i tolerancyjna, ale gdziekolwiek Simon nabył swoje talenty kucharskie i degustatorskie, na pewno nie odziedziczył ich po niej.

– Szalotka – wymamrotała pod nosem. – Nie sądzę, żebym to miała. Właściwie – dodała, gdy Simon wszedł i pocałował ją w policzek. – Nie jestem pewna, czy wiem, co to jest.

– Coś w rodzaju krzyżówki cebuli i czosnku – poinformował ją Simon. – Czemu pytasz? Było w krzyżówce?

– Simon, ja gotuję – powiedziała stanowczo. – Potrafię to robić, wiesz? – wydawała się chyba nieco urażona. – Jestem bardzo dobrym kucharzem, gdy już gotuję. Po prostu nie robię tego często.

– I postanowiłaś zrobić to właśnie dziś?

– Przynajmniej tyle mogę zrobić, żeby powitać naszą, już wkrótce, rodzinę – powiedziała uśmiechając się promiennie do Rose, która również się uśmiechnęła i rozluźniła, opierając o szafkę. Tymczasem Simon węszył wokół podejrzliwie.

– Co robisz?

Przechyliła książkę tak, żeby mógł przeczytać.

– Pieczony kurczak z dzikim ryżem i nadzieniem mordowym – dostrzegł w przepisie Simon i widać było, że zrobiło to na nim wrażenie. – Nie zapomniałaś oczyścić kurczaków?

– Są ze sklepu ze zdrową żywnością – powiedziała. – jestem pewna, że są w porządku.

– Tak, ale czy wyjęłaś wnętrzności? Szyję, wątróbkę i tak dalej? Wkładają to do środka, zamknięte w plastikowym woreczku.

Teraz Rose też powąchała... I zauważyła, że w całej kuchni roznosi się zapach, który bardzo przypomina palący się plastik. Pani Stein wyglądała na zmartwioną.

– Faktycznie, wydawały się jakby ciasne, gdy je nadziewałam – pochyliła się, by otworzyć piekarnik.

– Nie ma się czym przejmować – uśmiechnął się niepewnie Simon, zręcznie wyciągając brytfannę z dymiącym, surowo wyglądającym kurczakiem.

– Ścierka się pali – zauważył ojciec Simona, spacerowym krokiem wchodząc do kuchni.

– Co? – zapytał Simon, którego uwaga skoncentrowana była teraz na kurczaku. Wysoki i chudy, z kępkami tych samych rudych włosów, jakie miał na głowie Simon, pan Stein spokojnie przełknął ser i krakersy, które

miał w buzi, i wskazał na ścierkę do naczyń, która rzeczywiście leżała na piecu cała w płomieniach.

– Ścierka – wyjaśnił. – Ogień. – podszedł do pieca, jednym zręcznym ruchem przełożył ścierkę do zlewozmywaka, gdzie ta zasyczała i zadymiała, a następnie uściśnął żonę. – Moja Calamity Jane – powiedział czule. Pacnęła go, nie przerywając studiowania książki kucharskiej.

– Chyba nie wyjadasz wszystkich krakersów?

– Ależ oczywiście, że nie – zaproponował pan Stein – teraz zająłem się orzeszkami. Odwrócił się do Rose, częstując ją krakersami. – Moja rada – powiedział, konspiracyjnie ścisząc głos – zjedz tego jak najwięcej.

– Dzięki – Rose uśmiechnęła się do niego.

Matka Simona przewróciła oczami i wytarła ręce.

– No więc, czy twoja, ehm... Czy Sydelle dobrze gotuje?

– Zazwyczaj stosuje taką czy inną dziwaczną dietę – odparła Rose. – Węglowodanową, niskotłuszczową, wysokobiałkową, wegetariańską...

– O – Elizabeth zmarszczyła czoło. – Myślisz, że kurczak się nada? Chyba powinnam była zapytać...

– Wszystko jest OK – zapewniła Rose, wiedząc, że jak tylko pojawi się Sydelle, jedzenie będzie ostatnią rzeczą, o którą należałoby się martwić. Steinowie, jak się okazało, mieszkali w ogromnej, znajdującej się w niejakim nieładzie posiadłości, rozmieszczonej na dwóch akrach nierównej, wyrosniętej trawy przy ulicy pełnej robiących równie duże wrażenie rezydencji. Pan Stein był konstruktorem, który wynalazł kilka części samolotowych. Dwa swoje wynalazki opatentował wiele lat temu, powiedział jej Simon, i stąd wzięła się całkiem niezła sumka. Teraz miał prawie siedemdziesiątkę, był jakby na emeryturze i sporo czasu spędzał w domu na poszukiwaniach swoich okularów, słuchawki telefonu bezprzewo-

dowego, pilota, a także kluczyków do samochodu. Czego przyczyną najprawdopodobniej był fakt, że pani Stein spędzała mnóstwo czasu w domu, przekładając rzeczy z jednej kupki na drugą. Oprócz tego sporo czasu poświęcała pracy w swoim zarośniętym warzywniaku, a także czytając specyficzny rodzaj romansideł, do których Rose zaglądała tylko potajemnie; książki, których tytuły zawsze składały się z trzech słów. Jej skrywana żądza leżała sobie spokojnie na kuchence mikrofalowej, a wcześniej, na sofie w salonie, Rose zauważyła *Płowy płomień miłości*. Simon powiedział jej, że w ogólniaku dał mamie fałszywy bon na nieistniejącą książkę zatytułowaną *Wilgotne majteczki miłości*.

– Wściekła się? – zapytała Rose.

Simon zastanowił się.

– Wydaje mi się, że była raczej rozczarowana, że książka nie istnieje.

Simon znów z niepokojem wciągnął powietrze.

– Mamo, orzechy!

– Mają się dobrze – Elizabeth spokojnie wytrząsała bułeczki z papierowej torby do wyłożonego serwetką koszyka, który wyglądał, jakby z jednej strony dostał niezłego kopa. – O, nie! – wymamrotała.

– Cały przekrzywiony.

To też było typowe. Rodzice Simona wykazywali tendencje do nieprzejmowania się *savoir-vivre*'em, jeśli chodziło o nakrycie stołu. Rose nie zdziwiło więc, że na stole położono robiony ręcznie, lniany obrus, a na nim nakrycia z różnych kompletów. Doliczyła się trzech talerzy ze specjalnej, porcelanowej zastawy ze złożonymi brzegami, i trzech używanych na co dzień, zakupionych hurtem w Ikei. Były cztery szklanki i dwa kubki, trzy kieliszki do wina, dwa do brandy i jedna szampanka, a także różne papierowe serwetki ułożone obok talerzy, na jednej można było

przeczytać: WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI ROCZNICY ŚLUBU”. Sydelle będzie wściekła, nie da jej to spokoju, uznała Rose i uśmiechnęła się, myśląc sobie, że to akurat bardzo jej odpowiada. Simon podszedł do niej niosąc dzbanek wody z lodem i dwie butelki wina.

– Moja rada dla ciebie – powiedział wręczając jej kieliszek – zacznij pić w dużych ilościach.

Samochód wjechał na podjazd. Rose dojrzała twarz ojca, znajome wysokie czoło i łysinę oraz Sydelle siedzącą obok niego, olśniewającą szminką i perłami. Złapała narzeczonego za rękę.

– Kocham cię – szepnęła.

Simon przyjrzał jej się z zaciekawieniem.

– Wiem.

Trzask drzwi samochodu. Rose nasłuchiwała odgłosów uprzejmych: „dobry wieczór”, „witamy” i obcasów Sydelle na drewnianej, porysowanej podłodze Steinów. Rodzina, pomyślała. Z trudem przełknęła ślinę, ścisnęła dłoń Simona pragnąc czegoś, czego nie potrafiła nazwać, pewnej lekkości i swobody, finezji, odpowiedniego żartu, większej pewności siebie, idealnej na tę okazję kreacji. Innymi słowy, Maggie. Chciała stać się nią na jeden wieczór albo przynajmniej mieć ją przy sobie, ją i jej rady, które bardzo by się tu przydały. To była jej rodzina, stara i nowa, i Maggie powinna tu być.

Simon wciąż spoglądał na nią z zainteresowaniem.

– Wszystko w porządku?

Rose naląła sobie pół kieliszka czerwonego wina i szybko wypijała.

– Tak – zapewniła i poszła za nim do kuchni. – W porządku.

– Rosenfarb! – krzyknęła Maggie do strażnika. Strażnik pokiwał powoli głową (nic dziwnego – Maggie szybko zorientowała się, że w Golden Acres wszyscy robili wszystko powoli), więc wdepnęła gaz, gdy brama wjazdowa chybotliwie uniosła się ku niebu. Przez te kilka miesięcy w Golden Acres Maggie przeprowadzała swój prywatny eksperyment, który miał ujawnić, czy wykrzyknięcie jakiegokolwiek nazwiska brzmiącego z żydowska wystarczy, by dostać się do środka. Jak dotąd, wypróbowała Rosen, Rosenstein, Rosenbaum, Rosenfeld, Rosenbluth i, raz późno w nocy Rosenpenis, składając w ten sposób swój hołd Fletchowi. Strażnicy (jeśli można tak nazwać antyki w starych mundurach z poliestru) nawet nie mrugnęli wiekowym okiem, machając przyzwalająco ręką.

Maggie prowadziła należącego do Lewisa lincolna, który rozmiarami przypominał szkolny autobus. Podjechała pod dom babci, zaparkowała na przeznaczonym dla niej miejscu i weszła po schodach, kierując się do swojego pokoju, pomieszczenia o gołych ścianach z beżową, rozkładaną kanapą, która mogłaby być siostrą kanapy z salonu Rose. Pokój był tak nieużywany i czysty, że Maggie zastanawiała się, czy Ella w ogóle z niego korzystała, czy ktokolwiek kiedykolwiek tu nocował.

Była trzecia po południu. Miała zamiar pójść na górę, wziąć kostium kąpielowy, który znalazła w szafie Elli, i iść na plażę, by zapęłnić trochę czas przed kolacją. Może zje z Ellą. Może zobaczą razem kolejny z filmów przyniesionych przez babcię i jej znajomych tydzień temu. Ale gdy otworzyła drzwi, zaskoczył ją widok babci przy stole w kuchni, siedzącej z założonymi rękami, jakby na coś czekała.

– Cześć – przywitała się Maggie. – Czy nie powinnaś być w



szpitalu? Albo w hospicjum? Albo w jakiejś innej, równie szacownej instytucji?

Ella pokręciła głową, na jej ustach pojawił się słaby uśmiech. W czarnych spodniach i białej bluzce, z włosami oplatającymi, jak co dzień, jej twarz, babcia sprawiała wrażenie małej i bezbarwnej. Szara myszka skulona w kącie.

– Musimy porozmawiać...

„O rany”, pomyślała Maggie. Zaczyna się. Słyszała już tę mowę albo którąś jej wersję, od współlokatorek, od swoich chłopaków – i, oczywiście, od Sydelle. Maggie, wykorzystujesz mnie. Maggie, musisz dać też coś z siebie. Maggie, twój ojciec nie może się o ciebie troszczyć przez całe życie.

Ale Ella planowała coś innego.

– Jestem ci winna wyjaśnienie. Już od jakiegoś czasu chciałam z tobą porozmawiać, ale... – umilkła. – Wiem, że pewnie zastanawiasz się, gdzie byłam przez te wszystkie lata...

„O”, pomyślała Maggie. A więc o to chodzi. Nie brak samodzielności Maggie, ale poczucie winy Elli.

– Wysyłałaś przecież kartki – powiedziała.

– Zgadza się – Ella przytaknęła. – I dzwoniłam. Nie wiedziałyście? – zadała to pytanie, choć znała odpowiedź. – Wasz ojciec był na nas zły. Na mnie i mojego męża. A po śmierci Iry już tylko na mnie. – Maggie wzięła krzesło i usiadła przy stole.

– Dlaczego?

– Uważał, że wyrządziłam mu straszną krzywdę. Uważał, że ja – no, mój mąż i ja – powinniśmy byli mu powiedzieć więcej o Caroline. O waszej matce.

– Wiem, jak miała na imię – zirytowała się Maggie. Poruszenie

sprawy jej matki – jej imię w ustach tej starej kobiety – zabolalo jak stara rana. Nie byla na to przygotowana. Nie chciala sluchac o matce; nie chciala o niej myslec; nie chciala znac prawdy, czy wersji prawdy swojej babki. Jej matka nie zyła, pierwsza strata w zyciu, i to byla prawda, jakiej zadna córka na swiecie nie powinna musiec stawiac czoła.

Ella mówila jednak dalej.

– Powinnam byla powiedziec twojemu ojcu, ze Caroline byla... – Ella zawahala sie. – Chora psychicznie...

– Klamiesz – warknela ostro Maggie – Nie byla wariatka, pamietam

– Ale nie byla tez zupełnie zdrowa, zgodzisz sie chyba ze mną? – zapytala Ella.

Maggie zamknela oczy, slyszac dalej tylko strzepy slow babci; stany maniakalne, depresja, leki i terapia wstrzasowa.

– Wiec jesli byla taka wariatka, dlaczego pozwoliliście jej wyjsc za maz? – domagala sie Maggie – Dlaczego pozwoliliście jej miec dzieci?

Ella westchnela.

– Nie potrafiliśmy jej powstrzymac. Byla dorosla kobieta. Sama podejmowala decyzje.

– Pewnie z radością sie jej pozbyliście – wymamrotala Maggie, wypowiadajac glosno jedna ze swoich własnych, największych obaw, bo bez trudu mogla sobie wyobrazic zadowolenie Sydelle i Rose, i ojca tez, gdyby mogli sie jej pozbyc, zepchnac na barki jakiegoś zakochanego, nic niepodjejrzejawajacego faceta, tak ze stalaby sie jego problemem, a oni mieliby ja z glowy.

Ella wygladala jakby doznala szoku.

– Oczywiście, ze nie! Nigdy nie cieszyłam sie, ze sie jej pozbyłam. A gdy ja stracilam... – przelknela glosno slinę. – To bylo najgorsze, co

mogłam sobie wyobrazić. Bo straciłam ją, straciłam ciebie i Rose. – Popatrzyła na swoje ręce, złożone na stole. – Straciłam wszystko – powiedziała. A potem podniosła wzrok i spojrzała na Maggie, w oczach miała łzy. – Ale teraz ty jesteś tutaj. I mam nadzieję...

Sięgnęła gdzieś w dół, obok stołu.

– Były w Michigan, oddane na przechowanie. Posłałam po nie. Pomyślałam, że może chciałabyś je zobaczyć.

Maggie zajrzała do pudła. Pełne starych albumów ze zdjęciami. Otworzyła ten z wierzchu i oto ukazała się ona – Caroline. Caroline jako nastolatka, w obcisłym, czarnym swetrze i ze sporą ilością czarnego tuszu na powiekach. Caroline w dniu ślubu, w dopasowanej koronkowej sukience z długim welonem. Caroline na plaży w niebieskim kostiumie kąpielowym mruży oczy w słońcu. Rose stoi przyklepiona do jej nogi, a małą Maggie trzyma na rękach. Maggie zaczęła przerzucać strony, szybciej i szybciej, obserwując, jak jej mama stawała się coraz starsza, patrząc, jak ona sama rośnie i wiedząc, że zdjęcia niedługo się skończą, że jej matka nigdy nie przekroczy trzydziestki, że w tym świecie ona i Rose na zawsze pozostaną małymi dziewczynkami. W sztuce tracenia łatwo dojść do wprawy. Babcia przyglądała się jej, z nadzieją w starych oczach. „Nie”, pomyślała Maggie. Tylko nie to. Nie mogła tego znieść. Nie chciała być niczyją nadzieją. Nie chciała nikomu zastępować zmarłej córki. Niczego nie chciała, mówiła sobie stanowczo, niczego, absolutnie niczego oprócz niewielkiej sumki i biletu na samolot, który zabrałby ją z tego miejsca. Nie chciała, żeby babcia stała się czymś więcej niż środkiem do tego celu, niech pozostanie tylko kolejną, smutną historią. Nie potrzebowała niczyjego współczucia i, jak diabli, sama nie miała zamiaru współczuć komukolwiek.

Zamknęła głośno album i wytarła dłonie o spodenki, jakby były

brudne.

– Idę na spacer – powiedziała, przechodząc obok krzesła Elli w kierunku łazienki, po drodze chwytając kostium starszej pani, który znalazła w szafie swojej sypialni, a także jej ręcznik i krem ochronny oraz czysty notes, po czym otworzyła drzwi.

– Maggie, poczekaj! – zawołała Ella. Maggie nawet nie zwolniła.

– Maggie, proszę! – Ale Maggie już nie było.

Szła przez Golden Acres, minęła Crestwood, Farmington i Lawndale, wszystkie te ulice o wymyślonych, z brytyjska brzmiących nazwach oraz stojące przy nich, bliźniaczo do siebie podobne budynki.

Niech płaci, mówiła do siebie szeptem.

Ludzie byli jej coś winni – ci, którzy wyśmiewali się z niej w szkole; każdy, kto nie traktował jej tak, jak na to zasługiwała; wszyscy, którzy zmówili się, żeby traktować ją jak powietrze, jakby była niewidzialna. Miała prawie trzydziestkę, na miłość boską, a wciąż żadnej roli na swoim koncie, a najbliżej Beverly Hills 90210 znalazła się, oglądając w telewizji powtórki serialu.

Niech płaci, powtarzała pod nosem. Doszła na basen, który był właściwie pusty, jeśli nie liczyć garstki staruszków wygrzewających się na słońcu. Czytali coś lub spokojnie grali w karty Maggie przebrała się w kostium w toalecie, potem przeciągnęła jeden z leżaków na miejsce, gdzie padało najwięcej promieni słonecznych, rozłożyła na nim ręcznik, siebie na ręczniku, wzięła notes i zaczęła się zastanawiać. Ile potrzebuje, żeby się stąd wydostać? Pięćset dolarów na kaucję, czynsz za pierwszy i ostatni miesiąc. To więcej niż zdążyła zaoszczędzić. Jęknęła, wyrwała stronę, zgmiotła ją w dłoni i położyła obok leżaka.

– Hej! – zawołał staruszek w rozpiętej koszuli, prezentujący dywanik

splątanych siwych włosów na klatce piersiowej. – Proszę nie śmieć!

Maggie spojrzała na niego wściekle, wsunęła pogniecioną kartkę pod swoje szorty i wróciła do pisania.

„Zdjęcia” – napisała. Ile będą ją kosztować?

– Przepraszam! – odezwał się dziwny głos. – Proszę pani!

Maggie podniosła wzrok. Tym razem była to starsza kobieta w ozdobnym, różowym czepku.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała idąc w stronę Maggie. Luźne ciało jej ud i ramion trzęsło się przy każdym ruchu – Ale skończy się niezłym poparzeniem, jeśli nie użyje pani kremu.

Maggie bez słowa pomachała jej tubką Bain de Soleil, co jednak zupełnie jej nie zniechęciło. I czy jej się wydawało, czy też cała reszta ferajny zaczęła zbliżać się w jej kierunku, przesuając swoje krzesła o kilka centymetrów za każdym razem, gdy przymknęła oczy, coś w rodzaju *Świtu Umarłych* w wykonaniu aktywnych seniorów na emeryturze.

– A rozumiem, rozumiem – ciągnęła kobieta. – Filtr piętnastka, to dobrze, bardzo dobrze, oczywiście trzydziestka byłaby lepsza, a nawet czterdzieści pięć, i koniecznie wodoodporny, naprawdę... – przerwała czekając na reakcję. Maggie nie zwracała na nią uwagi. Kobieta mówiła dalej. – Zauważyłam, że nie posmarowała pani pleców. Mogę pomóc – zaproponowała pochylając się nad Maggie.

Na myśl, że jakieś dziwne, stare, obwisłe stworzenie miałoby jej dotykać, Maggie wzdrygnęła się i kręcąc głową powiedziała:

– Dziękuję, ale to naprawdę nie jest konieczne.

– No, cóż, gdyby się pani zdecydowała – odparła pogodnie starsza pani, potrząsając swoimi udami i ramionami w drodze powrotnej – jestem tuż obok. Mam na imię Dora – dodała w odpowiedzi na pytanie, którego

Maggie nie zadała. – A pani?

Maggie westchnęła.

– Maggie – uznała, że z wymyślonym imieniem byłoby za dużo zachodu. „A więc znów jesteśmy Maggie”, pomyślała ponuro i wróciła do notatek, podkreślając słowo „zdjęcia”. Wyjaśni babci, co to takiego i czemu ich potrzebuje, że najbardziej na świecie chce być aktorką i że bez kochającej matki, która mogłaby pomóc jej spełnić te marzenia, musi teraz polegać tylko na sobie, na swojej głowie i szczęściu, tyle że teraz...

– Przepraszam!

„Na miłość boską”, pomyślała Maggie i mrużąc powieki z powodu słońca spojrzała na dwóch facetów w szortach. I w sandałach. Oraz w skarpetkach.

– Pomyśleliśmy, że pomoże nam pani rozstrzygnąć spór – zaczął lider tego dwuosobowego zespołu, wysoki, chudy, łysy mężczyzna, opalony na łososiowo.

– Jestem trochę zajęta – burknęła Maggie, wskazując na swój notatnik i mając nadzieję, że zostawią ją w spokoju.

– Daj dziewczynie spokój, Jack – odezwał się drugi mężczyzna – niski, o sylwetce kształtem zbliżonej nieco do beczki, z grzywką białych włosów, w okropnych spodenkach w czerwono– czarną kratę.

– To krótkie pytanie – facet, który prawdopodobnie był Jackiem, nie rezygnował. – Zastanawiałem się... To znaczy, po prostu rozmawialiśmy...

– Maggie patrzyła na nich zniecierpliwiona. – Wygląda pani znajomo – powiedział w końcu. – Czy jest pani aktorką?

Maggie odrzuciła włosy w tył i zaszczyciła dwóch staruchów swoim najbardziej olśniewającym uśmiechem.

– Grałam w wideoklipie. Z Willem Smithem.

Wysoki mężczyzna wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Naprawdę? Poznała go pani? – No, niezupełnie – powiedziała Maggie opierając się na łokciach. – Ale spotykałam go w czasie lunchu i w przerwach pomiędzy kolejnymi sekwencjami – mówiła, rzucając terminologią i potrząsając kasztanowymi lokami. I nagle pojawili się obok niej pozostali, do Jacka i jego kolegi dołączyli paplająca Dora i facet, który krzychał o śmieceniu. Maggie patrzyła na plamy wątrobowe, krem przeciwsłoneczny, zmarszczki i bokobrody oraz miękkie, delikatne, białe włosy i na szorty, od których wyraźnie dochodził ją zapach środka na mole.

– Aktorka. Mój Boże – westchnął Jack.

– No, no, no! – zawtórował mu facet w kształcie beczki.

– Czyja jesteś? – paplała podniecona Dora, która pojawiła się po raz drugi. – Och, dziadkowie muszą być z ciebie dumni!

– Mieszkasz w Hollywood?

– Masz agenta?

– A ten tatuaż – wychrypiał beczkowaty przyjaciel Jacka – bolało, jak go robili?

Dora spojrzała na niego ostro.

– Herman, kogo to obchodzi?

– Mnie – odpowiedział zadziornie Herman.

Jack niecierpliwie trącał krawędź leżaka Maggie, a potem wypowiedział słowa, które na Maggie podziałały jak magiczne zaklęcie:

– Proszę opowiedzieć nam o sobie. Chcemy wiedzieć wszystko.

Simon położył swoją teczkę na podłodze w mieszkaniu Rose i rozpostarł ramiona.

– Panna młoda elekt proszona natychmiast! – zawołał. Natknął się na to wyrażenie w jakiejś małomiasteczkowej gazecie, w drodze na przesłuchanie gdzieś w środkowej Pensylwanii, i od tego czasu zwracał się tak do Rose.

– Moment, już idę! – odrzyknęła Rose z kuchni, gdzie siedząc przy stole przeglądała foldery różnych firm cateringowych, które znalazła tego dnia w skrzynce na listy. Simon objął ją.

– Jak bardzo zależy ci na stekach jagnięcych? – wymamrotała do jego szyi. – Bo muszę ci powiedzieć, że są drogie.

– Pieniądze nie grają roli – zadeklarował, przybierając wielkopańską pozę. – Świętujemy naszą miłość, a to wymaga odpowiedniej pompy i oprawy. I steków jagnięcych.

Rose postawiła przed nim ozdobnie opakowane pudełko.

– Przyszło dzisiaj i nie mam pojęcia, co to może być.

– Prezent zaręczynowy! – powiedział Simon, zacierając ręce i przeczytał adres zwrotny – Od cioci Melissy i wujka Steve’a!

Otworzył pudełko i ich oczom ukazał się ów prezent. Po minucie Simon spojrzał na Rose i odchrząknął.

– Myślę, że to jest świecznik.

Rose wyjęła szklany przedmiot z jego papierowego gniazdka i podniosła go w górę do światła.

– Nie ma świeczki.

– Ale jest na nią miejsce – Simon wskazał na niewielkie wgłębienie z



jednej strony

– Wydaje mi się, że jest za płytkie na świeczkę – powątpiewała Rose.  
– I gdyby to był świecznik, to chyba przysłaliby go razem ze świecą? Tak, żebyśmy wiedzieli.

– To musi być świecznik – powtórzył Simon bez przekonania. – No, bo jeśli nie świecznik, to co?

Rose jeszcze przez chwilę przyglądała się szklanemu przedmiotowi.

- Myślałam, że może coś w rodzaju półmiska?
- Na bardzo małe porcje? – zapytał Simon.
- Nie, nie, na przykład na orzeszki, cukierki czy coś takiego.
- Wgłębienie jest za małe na orzeszki czy cukierki.
- Ciekawe, czy wystarczy na świecę?

Patrzyli na siebie przez minutę. Potem Simon wziął jedną z przygotowanych karteczek z podziękowaniem i zaczął pisać: „Droga Ciociu Melisso i Wujku Steve’ie. Dziękujemy za cudowny prezent. Będzie. ” Zatrzymał się i popatrzył na sufit, szukając natchnienia. – Cudownie?

– Przecież dopiero co napisałeś: cudowny – zauważyła Rose.  
– Wspaniale! – poprawił się Simon. – Będzie wspaniale prezentował się w naszym domu i dostarczy nam prawdziwej rozrywki na wiele lat, w czasie których wciąż od nowa próbować będziemy odgadywać jego przeznaczenie. Dziękujemy za pamięć, mając nadzieję na rychłe spotkanie. – Napisał poniżej ich imiona, zamknął pióro i promieniejąc odwrócił się do Rose. – Proszę!

- Nie napisałeś tego – zawahała się Rose.
- Nie – uspokoił ją Simon. – Nie napisałem. Ile zostało?

Rose spojrzała na listę.

- Pięćdziesiąt jeden.

- Chyba żartujesz?
- To twoja wina – stwierdziła Rose. – Uważam, że to twoja wina.
- Tylko dlatego, że moja rodzina przysyła nam prezenty...
- Po prostu dlatego, że moja rodzina nie jest tak śmiesznie wręcz olbrzymia...

Simon wstał, złapał Rose w talii i przykładając usta do jej szyi wypuścił powietrze, wydając przy tym dźwięk zaliczany do ordynarnych.

- Odwołaj to! – zażądał.
- Śmiesznie olbrzymia!
- Odwołaj to – wyszeptał jej do ucha – albo zmuszę cię do posłuszeństwa.

Rose odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Nie mam najmniejszego zamiaru – powiedziała zadyszczanym głosem
- pisać tych podziękowań!

Simon przyciągnął ją bliżej i pocałował, przeczesując jednocześnie ręką jej włosy.

- Podziękowania mogą poczekać – szepnął namiętnie.

Później, leżąc w łóżku pod kołdrą rozgrzana i naga, Rose przewróciła się na bok i w końcu poruszyła kwestię, o której myślała tego dnia od przyścia do domu.

- Jest coś jeszcze. Dzwonił ojciec. W sprawie Maggie.

Wyraz twarzy Simona nie zmienił się.

- Tak? – zapytał.

Rose zmieniła pozycję, ponownie kładąc się na plecach i patrząc w sufit.

- Przez telefon powiedział mi tylko, że wszystko w porządku. Chce się ze mną zobaczyć. Żeby powiedzieć mi resztę.

– To chyba dobrze?

Rose zamknęła oczy i pokręciła głową.

– Nie jestem pewna, czy chcę znać tę resztę. Cokolwiek to jest. Po prostu nie chcę... – umilkła. – Chodzi o to, że Maggie jest okropna.

– Co masz na myśli? – zapytał Simon.

– Jest... To znaczy... – Rose skrzywiła się. Jak miała wytłumaczyć człowiekowi, którego kocha, całą tę sprawę z siostrą. Siostrą, która kradła pieniądze, buty, a nawet faceta, a na koniec zniknęła na całe miesiące, nie dając znaku życia. – Po prostu uwierz mi na słowo. Maggie to nic dobrego. Ma trudności w uczeniu... – przerwała. Trudności w uczeniu to doprawdy czubek góry lodowej o imieniu Maggie. I czy to nie było dokładnie w stylu jej siostry pojawić się właśnie w momencie, gdy Rose się zaręczyła, gdy tylko zaistniała szansa, że to ona, dla odmiany, znajdzie się w centrum uwagi? – Maggie zepsuje nam cały ślub – skwitowała.

– Myślałem, że to Sydelle zepsuje nasz ślub – powiedział Simon.

Rose mimo woli uśmiechnęła się.

– Hmm, z Maggie będzie jeszcze gorzej. – „Boże”, pomyślała.

Wszystko toczyło się tak spokojnie, gdy Maggie pozostawała

Bóg wie gdzie. Żaden inkasent nie przerywał zbyt wcześnie ciszy nocnej, żaden jej były ani potencjalny chłopak nie zakłócał ich snu. Rzeczy znajdowały się dokładnie tam, gdzie Rose je zostawiła. Żaden z jej butów, żadne z ubrań ani gotówka nie zniknęły w tajemniczy sposób. Samochód stał tam, gdzie go zaparkowała.

– Powiem ci jedno – kontynuowała. – Na pewno nie będzie druhną. Powinna się cieszyć, jeśli w ogóle dostanie zaproszenie.

– W porządku.

– Nie jestem pewna, czy może liczyć na obiad – dodała.

– Więcej jedzenia dla mnie – odpowiedział spokojnie Simon.

Rose wpatrywała się w sufit jeszcze przez chwilę.

– Ciągłe wydaje mi się, że to był mały półmisek.

– Zakleiłem już kopertę, stało się. Nie myśl o tym.

– Yyy – skwitowała Rose. Zamknęła oczy i pomyślała, że chciałyby mieć normalną rodzinę, jak Simon. Bez matki, która umarła, i siostry, która zniknęła. Bez ojca, który przeważającą część swojej miłości rezerwuje dla porannych sprawozdań z rynków kapitałowych, i zdecydowanie bez Sydelle. Przez chwilę pozwalała swojemu policzkowi rozkoszować się chłodną bawełną poduszki, a potem wstała, poszła do salonu i podniosła jedno z podziękowań – arkusz kredowego, kremowego papieru, na którym znajdowały się ich imiona – Rose i Simon – po dwóch stronach gigantycznego S, od Stein, które to nazwisko nie będzie nazwiskiem Rose. Ale, mimo że wyraźnie powiedziała to Macosze Monstrum, Sydelle zdążyła już wcześniej zamówić blankiety z nadrukiem wskazującym coś wręcz przeciwnego. Tak więc zostało.

„Droga Maggie – pomyślała Rose. – Jak mogłaś mi zrobić to, co zrobiłaś? I kiedy wracasz do domu?”

Ella podeszła do ogrodzenia, za którym znajdował się basen i przycisnęła do niego twarz.

– Jest – powiedziała, w tym jednym słowie wyrażając cały smutek i rozczarowanie, które czuła. – Jest tam.

Lewis stanął obok niej, a pani Lefkowitz podjechała na swoim nowym skuterze. We trójkę stali przy ogrodzeniu, patrząc przez kwadratowe otwory siatki, z której było zrobione. Patrząc na Maggie.

Jej wnuczka leżała na leżaku od strony głębszej części basenu. Wyglądała olśniewająco w nowym, różowym bikini i srebrnym łańcuszku, cieniutkim jak włos, widocznym na jej brzuchu. Jej wysmarowana balsamem skóra lśniła. Włosy miała niedbale spięte w bukiet luźnych loków na czubku głowy, a oczy schowane za małymi, okrągłymi szklami okularów słonecznych. Wokół niej stały cztery osoby – starsza kobieta w wyblakłym, różowym, gumowym czepku i trzech mężczyzn w szortach. Gdy Ella przyglądała się im, jeden z mężczyzn pochylił się nad Maggie, jakby zadawał jej pytanie. Jej wnuczka oparła się na łokciu, sprawiając wrażenie zamyślonej. Gdy jej usta się poruszyły, widownia wybuchnęła śmiechem.

– O! – zdziwił się Lewis. – Wygląda na to, że zawarła kilka nowych znajomości.

Ella poczuła, jak serce skręca się jej z bólu, podczas gdy Maggie nadal zabawiała towarzystwo, bardziej rozluźniona i swobodna niż kiedykolwiek z Ellą. W basenie uczestniczki zajęły aerobiku w wodzie – Wodne Kociaki – energicznie rozchlapwały wodę w rytm nagranych na taśmę utworów *Runaround Sue*. Codziennie przez ostatni tydzień – od dnia, gdy Ella próbowała opowiedzieć Maggie o jej matce – scenariusz się powtarzał.

Maggie przychodziła z pracy, wpadała do swojego pokoju, zmieniała sklepowy mundur z napisem Bagel Bay na kostium kąpielowy i krótkie spodenki, po czym przychodziła tutaj.

– Idę popływać – mówiła. Ella nie była zapraszana. I widziała, dokąd to zmierzało. Maggie wyprowadzi się – do swojego własnego mieszkania, albo może do mieszkania któregoś z nowych znajomych, jakiejś miłej kobiety, która zaoferuje wszystkie korzyści związane z posiadaniem babci i żadnych niepotrzebnych komplikacji czy bolesnych opowieści. „Nie – myślała – to naprawdę niesprawiedliwe!” Czekala tak długo, było w niej tyle nadziei, a teraz miała patrzeć, jak Maggie jej się wymyka, tak po prostu?

– Co mam zrobić? – szepnęła.

Pani Lefkowitz cofnęła lekko skuter, po czym przyspieszyła, pędząc w kierunku wejścia na basen.

– Poczekaj! – zawołała Ella. – Gdzie jedziesz?

Pani Lefkowitz nie odwróciła się, nie zatrzymała i nie odpowiedziała. Ella bezradnie spojrzała na Lewisa.

– Pójdę... – zaczął.

– Lepiej się pospieszmy!

Czuła w gardle swoje bijące serce, gdy spieszyła za panią Lefkowitz, pędzącą przez bramę wprost do Maggie, ani przez chwilę nie zwalniając.

– Hej! – zawołał jeden ze starszych mężczyzn, gdy przemknęła obok niego uderzając o stół, na którym rozłożył karty. Nie zwracając na niego uwagi, podjechała do leżaka Maggie. Maggie przesunęła okulary niżej na nos i przyglądała się jej. Ciężko dysząc, Ella i Lewis gnali, w miarę możliwości, za nią. Elli przypomniało to włoskie westerny i scenę, która

musiała być w każdym z nich, gdy główny bohater stawał naprzeciw czarnego charakteru na odpowiednio opustoszałej ulicy lub na środku pustej zagrody. Całej scenie brakowało jedynie jakiegoś porwanego przez wiatr chwastu, który przeleciałby obok skutera pani Lefkowitz. Nawet Wodne Kociaki przerwały swoje chlupotania i stały w ciszy po płytkiej stronie basenu. Woda spływała z ich opalonych, pomarszczonych ramion, gdy w skupieniu czekały na dalszy przebieg wypadków.

Maggie patrzyła na panią Lefkowitz, a znajomi Maggie sondowali wzrokiem Ellę i Lewisa, natomiast Ella z uwagą studiowała popękany beton pod swoimi stopami, myśląc, że bardzo przydałby się jej kowbojski kapelusz, a jeszcze bardziej – scenariusz. Grała tu bohatera czy złoczyńcę? Czy miała wyratować damę z opresji, czy raczej przywiązać ją do szyn kolejowych i zostawić na pastwę losu?

Bohater, zdecydowała, gdy pani Lefkowitz podjechała skuterem jeszcze kilkanaście centymetrów bliżej, dotykając skraju leżaka. Przyszedł jej na myśl szczeniak popychający nosem zamknięte drzwi.

– Maggie, kochanie – zaczęła pani Lefkowitz – jest taka sprawa, w której może mogłabyś mi pomóc.

Maggie uniosła brwi, a jeden z mężczyzn rzucił pani Lefkowitz wściekłe spojrzenie.

– Dajcie jej spokój, jest zmęczona – powiedział, wojowniczo trzymając laskę w obydwu dłoniach. – Miała długi dzień. Właśnie zgodziła się opowiedzieć nam, jak prawie dostała pracę w MTV

Pani Lefkowitz ani drgnęła.

– Proszę bardzo. Opowiadaj!

Maggie spojrzała ponad nią i zwróciła się do Elli.

– O co chodzi?

Słowa, nieproszone, rosły jej w gardle i groziły niekontrolowanym wymknięciem się z ust. „Chodzi o to, żebyś mnie kochała. Żebyś mnie lubiła. Chcę, żebyś przestała uciekać”.

– Maggie... – udało się jej zacząć.

– Maggie jest zajęta – powiedział niski, zaokrąglony mężczyzna przypominający beczkę, stając przed leżakiem, jakby chciał bronić leżącej na nim dziewczyny.

– Jest pani babcią Maggie? – zapytała kobieta w różowym czepku.

– Och, musi być pani z niej dumna! Taka piękna dziewczyna, i taka utalentowana...

Maggie przygryzła wargę, a facet z laską wydał nieprzyjazny odgłos, gdy Lewis spokojnie wziął dwa krzesła i podsunął jedno z nich Elli.

– MTV? – zapytała pani Lefkowitz tonem wskazującym znajomość tematu i potakując głową, jakby sama wymyśliła tę stację. – Miałaś być zawodnikiem w jednym z teleturniejów?

– Prezenterką – wymamrotała Maggie.

– Jak ten Carson Daly – dodała pani Lefkowitz, krzyżując ręce na swojej nierównej talii i wystawiając twarz w kwadratowych okularach do słońca. – To dopiero przystojniak.

Obydwie grupy utworzyły nieco skrzepowane półkole wokół leżaka Maggie. Ella, Lewis i pani Lefkowitz siedzieli po jednej stronie, nowi znajomi Maggie po drugiej. Maggie spojrzała na jednych, potem na drugich, po czym prawie niezauważalnie wzruszyła ramionami, sięgnęła do swojego plecaka i wyciągnęła notes. Ella poczuła się troszeczkę lepiej. Nie był to jakiś konkretny postęp, to oczywiste, ale przynajmniej Maggie nie rzuciła się do ucieczki ani też nie wyprosiła ich.

– Jack, prawda? – Lewis zwrócił się do mężczyzny z laską.



Mężczyzna – Jack – wydał potwierdzający pomruk. Lewis podał mu rękę. Gadatliwa kobieta zaczęła wypytywać panią Lefkowitz o skuter. Dwaj pozostali mężczyźni wrócili do kart. Ella zamknęła oczy i oddychała spokojnie, z nadzieją.

Na swoim leżaku Maggie również przymknęła oczy, zastanawiając się, co zrobić i jak naprawić ten cały bałagan, chociaż jakaś jej część burzyła się, bo naprawianie to przecież nie jej sprawa. Ale z drugiej strony, nikt na Florydzie nie orientował się, co do niej należało, a co nie. Nikt nie wiedział, jak pogmatwała sobie życie. Nikt tu nie miał pojęcia o Rose, i że to ona zawsze troszczy się o wszystko, i tak samo nie mogli wiedzieć, że to właśnie Maggie zawsze potrzebuje ratunku, opieki i pomocy. Ma pracę, ma dach nad głową, ludzi, którym na niej zależy. Czas naprawić wyrządzone szkody, zaczynając od osób najbardziej pokrzywdzonych – zaczynając od Rose.

Zacisnęła mocno powieki czując strach. Wciąż jakiś głos w środku kusił ją, żeby zerwać się jak najszybciej, przejść przez bramę, wskoczyć do samochodu Lewisa i odjechać w jakieś miejsce, gdzie nikt jej nie zna, gdzie nikt nie wie, kim ona jest, co zrobiła i skąd pochodzi. Ale przecież uciekła już do Princeton, a potem tutaj. Nie chciała więcej uciekać.

W basenie Wodne Kociaki zaczynały końcową fazę ćwiczeń. Ella, na krześle obok niej, odchrząknęła.

- Musi ci być trudno tutaj, bez znajomych w twoim wieku.
- Czuję się dobrze – powiedziała Maggie.
- Nic jej nie jest – warknął Jack.

Maggie otworzyła oczy, potem notatnik., Witaj, Rose”, napisała. Ella spojrzała na tę stronę, potem szybko odwróciła wzrok. Dora, kobieta w różowym czepku, nie miała tego rodzaju skrupułów.

- Kto to jest Rose? – zapytała.

– Moja siostra – odparła Maggie.

– Masz siostrę? Jaka ona jest? – Jack odłożył karty, a Herman kolorowy magazyn. – Maggie ma siostrę!

– Jest prawnikiem w Filadelfii – powiedziała Ella, a potem umilkła i spojrzała na Maggie z prośbą o pomoc. Maggie zignorowała ją, zamykając notes. Wstała i przeszła pomiędzy seniorami na emeryturze do brzegu basenu, gdzie usiadła, zanurzając stopy w wodzie.

– Jest mężatką? – zapytała Dora.

– Jakie prawo? – dopytywał się Jack. – Czy przypadkiem nie zajmuje się testamentami?

– Przyjedzie tutaj? – domagał się Herman. – Czy jest podobna do ciebie? Ma jakieś tatuaże?

– Nie ma męża – odezwała się Maggie. – Ma chłopaka...

„Albo przynajmniej miała chłopaka, dopóki ja się nie pojawiłam i nie wzięłam się do roboty”. Nieszczęśliwym wzrokiem wpatrywała się w głębiny chlorowanej wody.

– Opowiedz jeszcze coś! – ponagliła ją Dora.

– Czy nosi kolczyki w nietypowych miejscach?

Maggie uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie wygląda tak jak ja. No, może trochę. Mamy taki sam kolor oczu i włosów, ale ja jestem drobniejsza. Nie ma tatuaży. Jest konserwatystką. Włosy nosi stale upięte.

– Jak ty! – stwierdziła Ella.

Maggie chciała zaprotestować, potem dotknęła swojego kucyka i zdała sobie sprawę, że to prawda. Wskoczyła do wody, odwróciła się na plecy i tak została, unosząc się na jej powierzchni.

– Rose potrafi być zabawna – powiedziała. Ella podeszła do basenu,

żeby lepiej słyszeć. Reszta basenowych znajomych poszła w jej ślady, przepychając się na najlepsze miejsca. – I wredna, momentami. Gdy byłyśmy małe, musiałyśmy spać w jednym pokoju. Miałyśmy dwa łóżka obok siebie, a między nimi było trochę miejsca. Rose leżała tam często czytając, a ja przeskakiwałam przez nią.

– Gdy wspominała, na jej twarzy pojawił się uśmiech. – Ona leżała, a ja skakałam tam i z powrotem, z jednego łóżka na drugie i wołałam: „Zwinny, brązowy lis przeskoczył leniwego psa!”

– Więc byłaś zwinnym, brązowym lisem – westchnęła Ella.

Maggie rzuciła jej karcące spojrzenie, które natychmiast powtórzyli Jack, Dora i Herman.

– Robiłam tak, aż kiedyś mnie uderzyła – powiedziała.

– Uderzyła cię? – zapytała Ella.

– Skakałam tam i z powrotem, i widziałam, że zaczyna się denerwować, ale nie przerywałam, a ona wyciągnęła do góry rękę i uderzyła mnie, a ja upadłam.

Maggie pokiwała głową i wyszła z basenu. Ella odniosła dziwne wrażenie, że wspomnienie tego faktu, iż została, w czasie wykonywania skoku, uderzona przez swoją siostrę, sprawiło Maggie przyjemność.

– Opowiedz jeszcze o Rose – poprosiła Dora, gdy Jack podawał Maggie ręcznik i tubkę Bain de Soleil.

– Nie zależy jej na wyglądzie. Ani na rzeczach – Maggie ponownie położyła się na leżaku, mając przed oczami Rose przyglądającą się sobie w lustrze spod przymrużonych powiek, albo jak nakłada tusz na klejące się rzęsy, po czym wychodzi z łazienki z czarnymi półksiężycami na policzkach.

– Och, chciałabym ją poznać – westchnęła Dora.

– Zaproś ją tutaj – powiedział Jack, przenosząc wzrok na Elle. – Jestem pewny, że babcia byłaby szczęśliwa, mając was obydwie u siebie.

Maggie wiedziała, że Jack ma rację. Ella bardzo chciała poznać Rose. Która babcia by nie chciała? Inteligentna wnuczka z tytułem uniwersyteckim, odnosząca sukcesy prawniczka. Ale Maggie nie była pewna, czy ona sama gotowa jest znów spotkać się z Rose, nawet jeśli Rose zechce jej wybaczyć. Nareszcie jej życie zaczęło się jakoś układać, pierwszy raz od tej okropnej nocy, gdy wyjechała z Filadelfii. Wreszcie, pierwszy raz w życiu, nie była w cieniu swojej siostry, nie była drugą, tą mniej zdolną, mniej udaną, która była tylko ładna, w czasach gdy uroda coraz mniej znaczyła. Corinne i Charles nie znali jej historii, nic nie wiedzieli o walkach, które toczyła, o lekcjach wyrównawczych, o wszystkich pracach, które porzuciła albo z których ją wylali, o dziewczynach, które były jej przyjaciółkami. Dora, Jack i Herman nie uważali, że jest głupia, nie uważali też, że jest dziwką. Lubili ją. Podziwiali. Słuchali tego, co mówi. A Rose przyjedzie i wszystko zepsuje.

– Sklep z bajglami? – zapyta tonem dającym do zrozumienia, że dla Maggie to już szczyt możliwości – sklep z bajglami, pokój gościnny w czyimś domu, pożyczony samochód, uprzejmość obcych ludzi.

Maggie ponownie otworzyła notes. „Cześć Rose”, napisała jeszcze raz i zatrzymała się. Nie wiedziała, jak to zrobić, co napisać dalej.

„Tu Maggie, na wypadek, gdybyś nie rozpoznała pisma”, napisała. „Jestem na Florydzie z naszą babcią. Nazywa się Ella Hirsch i została...” Hmmm. No, właśnie. I co dalej? Było takie słowo, prawie je miała na końcu języka i to uczucie spowodowało, że serce zabiło jej mocniej, jak na zajęciach w Princeton, gdy siedziała z tyłu znając odpowiedzi, które za chwilę miały wystrzelić na zewnątrz.

– Co się mówi, gdy ktoś chce z kimś być, ale nie jest, z powodu kłótni czy coś takiego? – zapytała.

– W jidysz? – zapytał Jack.

– A kto by pisał w jidysz? – Herman oderwał się na chwilę od lektury.

– Nie w jidysz – powiedziała Maggie. – Gdy jest rodzina, ale niektórzy są źli albo obrażeni o coś, więc się nie spotykają.

– Odtrącenie? – próbował zgadnąć Lewis. Jack spojrzał na niego wściekle. Maggie udała, że tego nie widzi.

– Dzięki!

– Cieszę się, że mogę być użyteczny w jesieni mego życia – żartował Lewis.

„Nazywa się Ella Hirsch i została przez nas odtrącona”, napisała i dalej wpatrywała się w kartkę. Zaczynają się schody... Ale przecież w Princeton nabrała praktyki, pracując ze słowami, wybierając najlepsze, tak jak dobry kucharz, gdy robi zakupy i wybiera tylko najpiękniejsze jabłka z koszyka oraz najokazalszego kurczaka z półki.

„Przepraszam za to, co stało się w zimie”, napisała, uznając, że to będzie najlepszy sposób ujęcia tematu – bez ogródek, otwarcie.

„Przepraszam, że tak cię zraniłam. Chcę...” Przerwała, zdając sobie sprawę, że wszyscy ją obserwują, jakby stanowiła jakiś rzadki, wodny gatunek zwierzęcia, dopiero niedawno złapany; zwierzątko w zoo, które właśnie opanowało nową, zabawną sztuczkę.

– Potrzebuję słowa, które oznacza, że chcesz się z kimś pogodzić.

– Pojednanie – powiedziała Ella cicho i przeliterowała, a Maggie zapisała dwa razy, tak dla pewności.

– No, dobrze – mówiła Rose, pakując się do swojego samochodu na siedzenie obok kierowcy. – Więc przyrzekasz, będąc świadomym konsekwencji krzywoprzysięstwa w rozumieniu prawa stanu Pensylwania, że na tym ślubie nie będzie absolutnie nikogo więcej z firmy Lewis, Dommel i Fenick?

To była ważna informacja. Mimo że opowiedziała mu o śmierci matki, o stosunkach z siostrą i o macosze, z którą trudno znaleźć nic porozumienia, nigdy nie doszli do sprawy pana Jima Danversa. I Rose nie miała najmniejszych wątpliwości, że nie należy robić tego w czasie uroczystości zaślubin dwojga znajomych Simona ze studiów, w dodatku na kilka miesięcy przed ich własnym ślubem.

– O ile mi wiadomo – powiedział Simon, poprawiając krawat i włączając silnik.

– O ile ci wiadomo – powtórzyła Rose. Opuściła lusterko w klapce osłony przeciwsłonecznej, sprawdzając makijaż i zaczęła rozmazywać widoczną pod prawym okiem smugę podkładu. – Więc muszę mieć oczy otwarte i wypatrywać deskorolek.

– Nie mówiłem ci? – zapytał Simon z miną niewiniątka. – Don Dommel spadł z deski, uderzył się w głowę i zobaczył Boga. Koniec z ekstremami. Nadszedł czas medytacji. Joga codziennie w porze lunchu. W całym biurze unosi się zapach kadzideł, a sekretarki odbierając telefon pozdrawiają klientów uroczym „Namaste”.

– Ha! – parsknęła Rose.

– Rose! To ślub, a nie zamach na twoje życie. Uspokój się.

Rose zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu szminki, myśląc

sobie, że łatwo mu mówić. To nie on musiał się tłumaczyć. Zaczynała rozumieć, skąd u Maggie ta postawa obronna. W wędrówce przez ten świat status prawnika, lekarza, studenta daje człowiekowi zbroję. Konieczność ciągłego wyjaśniania ludziom, kim jesteś – innymi słowy czego dokonałeś – może być trudna, jeśli nie należysz do jednej z tych przejrzystych kategorii. „Mam zamiar zostać aktorką, ale tymczasem pracuję jako kelnerka” albo „Byłam prawnikiem, ale przez ostatnie dziesięć miesięcy zajmuję się wyprowadzaniem psów”.

– Nie przejmuj się, Rose – uspokajał Simon. – Po prostu ciesz się tą chwilą razem z nimi, napij się szampana, zatańcz ze mną...

– Nic nie wspominałeś o tańczeniu – Rose przyglądała się posępnie swoim stopom, aktualnie wciśniętym w buty na wysokich obcasach, po raz pierwszy od czasu ucieczki z wielkiej firmy. Odwagi, powiedziała sobie. – Na pewno będzie przyjemnie.

Z trudnością przełknęła ślinę. Na pewno będzie okropnie. Nigdy nie czuła się dobrze przy takich okazjach, co było jednym z powodów, że w pewnym sensie z drzeniem serca myślała o własnym ślubie. Zbyt wiele wspomnień: uroczystości bar i bat micwa, popołudniowe spotkania w synagodze i bale w klubie, gdzie zawsze czuła się najwyższą i najbrzydszą dziewczyną na sali. Zajmowała zazwyczaj pozycję w kącie, blisko siekanej wątróbki i miniaturowych hot dogów w puszystym cieście, tłumacząc sobie logicznie, że jeśli nikt jej nie widzi, to nic dziwnego, że nikt nie poprosi jej do tańca. Spędzała tak całe godziny sama, jedząc i patrząc, jak Maggie wygrywa konkurs tańca w konkurencji limbo.

Dodaj osiemnaście lat, jednego narzeczonego, i oto ona, ta sama Rose, pomyślała przechodząc za Simonem przez drzwi kościoła udekorowane bukietami lilii i białymi, satynowymi wstążkami. Tyle że zamiast

wątróbki i tych hot dogów podadzą surowe warzywa i szampana, i nie będzie limbującej siostrzyczki, która mogłaby ją rozpraszać. Rose wzięła program.

– Panna młoda ma na imię Penelope?

– Właściwie mówimy na nią Lopey – odparł Simon.

– Lopey. Jasne.

– Przedstawię cię kilku osobom – i ani się obejrzała, a już poznała Jamesa, Aidana, Leslie i Heather. James i Aidan studiowali razem z Simonem. Leslie pracowała w reklamie, Heather była zaopatrzeniowcem w Macy's. Obydwie były drobnymi stworzonkami ubranymi w lniane tuniki (Heather miała kremową, a Leslie żółtą) i kaszmirowe szale luźno założone na ramiona. Rose rozejrzała się wokół i zaczęła w niej wzbierać rozpacz. Uzmysłowała sobie, że każda, z wyjątkiem niej – każda z obecnych tu kobiet – miała na sobie sukienkę o prostym kroju i szal oraz delikatne sandały. A oto ona, w niewłaściwej kreacji, w nie tym kolorze, w szpilkach, nie w sandałach, i te masywne korale zamiast pereł. A jej fryzura z pewnością stanowiła równie ciekawy widok, płątanina loków

wymykająca się spod kontroli szylkretowych grzebieni, którymi starannie spięła włosy godzinę temu.

Cholera! „Maggie wiedziałyby, w co powinnam się ubrać”, pomyślała ponuro. Gdzie podziewała się jej siostra teraz, gdy jej potrzebowała?

– Czym się zajmujesz? – zapytała Heather. Albo może to była Leslie.

Obydwie były blondynkami, jedna obcięta na pazia, a druga uczesana w elegancki kok; obydwie miały delikatną, przezroczystą skórę, będącą wynikiem starannej pielęgnacji, a także regularnej dawki powietrza zażywanego w przebieralniach domów handlowych Talbota. Rose bawiła się paciorkami swoich koralików, zastanawiając się, czy ktoś zauważyłby, gdyby je



zdjęła w czasie mszy.

– Jestem prawnikiem.

– O! – zaciekawiła się Leslie. Albo raczej Heather. – Więc pracujesz razem z Simonem?

– Ja... Właściwie... – Rose rzuciła Simonowi rozpaczliwe spojrzenie, ale on był zatopiony w rozmowie z kolegami. Wytarła mokre czoło, uświadamiając sobie, że prawdopodobnie właśnie usunęła cały podkład. – Pracowałam u Lewisa, Dommela i Fenicka, ale obecnie jestem na urlopie.

– O! – powtórzyła Leslie.

– To miło – dodała Heather. – I wychodzisz za męża, tak?

– Zgadza się – potwierdziła Rose zbyt głośno i złapała Simona pod ramię upewniając się, że pierścionek zaręczynowy był widoczny, na wypadek gdyby podejrzewały ją o kłamstwo.

– Przed ślubem wzięłam trzy miesiące wolnego, żeby wszystkiego dopilnować – powiedziała Heather. – Och, pamiętam te czasy. Wszystkie te spotkania... Karty dań, kwiaty..

– Ja pracowałam na pół etatu – włączyła się Leslie. – Oczywiście, byłam zajęta w Lidze Juniorów, ale w większości na tapecie było wesele, bez przerwy.

– Przepraszam na chwilę – wymamrotała Rose wiedząc, że w każdej chwili może wypłynąć temat sukienek i będzie zmuszona wyznać prawdę, a mianowicie, że nie zrobiła żadnych postępów od tej jedynej, zakończonej porażką wyprawy z Amy Nie masz sukienki, nie masz pracy, mówiłyby ich oczy, nie grasz w softball. Co z ciebie za narzeczoną?

Rose przeszła szybko w stronę nawy, potem przez przedsionek i wyszła na wybrukowaną ścieżkę, na której stał wysoki mężczyzna w garniturze, jak gdyby na nią czekał. Rose zatrzymała się i podnosząc głowę

zobaczyła jego śnieżnobiałą koszulę, czerwono– złoty wzór krawata, kwadratową szczękę, opaloną skórę i błyszczące oczy Jim Danvers

– Witaj, Rose – powiedział.

Wyglądał dokładnie tak samo. Ale czego się spodziewała? Że uschnie i umrze bez niej? Że wyłysieje albo złapie odmianę trądziku, która atakuje dorosłych, że z uszu zaczną wyrastać mu włosy?

Rose skinęła w jego kierunku, mając nadzieję, że nie zauważył, jak trzęsą się jej nogi i ręce, a nawet szyja dość niepewnie podtrzymuje głowę. Ale skoro już o tym mowa, zauważyła, że faktycznie z uszu wystają mu włoski. Niewiele, co prawda, i nie była to taka obrzydliwa szczecina, jaką widywała u innych mężczyzn, ale jednak... Były tam. Włosy w uszach. Niepodważalny dowód, że Jim Danvers nie jest doskonały. Z drugiej strony fakt, że przespał się z jej siostrą, mógł z pewnością również zostać zinterpretowany jako dowód braku doskonałości, mimo to jednak widok włosów w jego uszach był pocieszający i podniósł ją na duchu.

– Co cię tu sprowadza? – zapytał. Ton głosu wydawał się wyższy niż pamiętała. Czyżby Jim Danvers był zdenerwowany?

Rose odrzuciła włosy

– O, Lopey i ja znamy się dość długo. Razem jeździliśmy na koniach, a potem śpiewaliśmy a capella w college u. Byliśmy w tym samym stowarzyszeniu, chodziliśmy razem na podwójne randki.

Jim pokręcił głową.

– Lopey jest wegetarianką i sędzę, że jeżdżenie na koniach to w jej oczach niehumanitarny wyzysk zwierząt. Poza tym w college’u była zagorzałą lesbijką, więc te podwójne randki musiały być w stu procentach żeńskie.

– Aaa – wyjąkała Rose – wynika z tego, że musiałam mieć na myśli

pana młodego.

Jim zaśmiał się krótko i trochę nerwowo.

– Rose – zaczął. – Już od dawna chcę z tobą porozmawiać.

– Szczęściara ze mnie! – odparła pogardliwie.

– Myślałem o tobie...

– Dam ci więcej tematów do przemyśleń – powiedziała. – Chodź, poznasz mojego narzeczonego.

Jego oczy lekko się rozszerzyły.

– Przejdźmy się najpierw – zaproponował.

– Raczej nie.

– Daj spokój, chodź! Jest taki piękny dzień.

Pokręciła głową.

– Pięknie wyglądasz – wyszeptał.

Odwróciła się, obrzucając go wściekłym spojrzeniem.

– Słuchaj, Jim. Zabawiłeś się już ze mną, więc czemu sobie nie odpuścisz? Na pewno jest wiele kobiet, na których twoje talenty zrobią odpowiednie wrażenie.

Teraz wydawał się zrozpaczony.

– Rose, przepraszam cię. Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

– Spałeś z moją siostrą. Uraza nie jest pojęciem adekwatnym do okoliczności.

Wziął jej ramię i pociągnął w stronę drewnianej ławki, usiadł obok niej i spojrzał jej w oczy, bardzo poważnie.

– Już od dawna chciałem z tobą porozmawiać. Sposób, w jaki to się skończyło... To, co zrobiłem... – chwycił jej rękę. – Chciałem, żeby było inaczej – powiedział zdławionym głosem. – Byłem słaby. Byłem idiotą. Odrzuciłem to wszystko, co mogliśmy mieć, i czuję się ze sobą okropnie

przez te wszystkie miesiące...

– Błagam – powiedziała. – Ja czuję się ze sobą okropnie, praktycznie odkąd pamiętam. Nie licz na współczucie.

– Chcę ci to wynagrodzić. Chcę to naprawić.

– Daruj sobie. To skończone. Wiele się zmieniło i tamten etap mam już za sobą. Teraz jestem zaręczona...

– Gratulacje – powiedział ze smutkiem.

– Och, daj spokój! Chyba mi nie powiesz, że kiedykolwiek w ogóle pomyślałeś, że ty i ja... Że moglibyśmy...

Zamrugał. I czy to łzy widziała w jego oczach? Zdumiewające, pomyślała Rose, która czuła się teraz, jakby obserwowała jakiś okaz pod mikroskopem. Ciekawe, czy potrafi się rozplakać na zawołanie?

Wziął znowu jej ręce. Rose była pewna, że dokładnie potrafi przewidzieć każdy jego kolejny ruch i każde słowo.

– Rose, przepraszam cię – zaczął, a ona skinęła, bo tak właśnie wyobrażała sobie wstęp. – To, co zrobiłem, jest niewybaczalne – powiedział – i jeżeli jest jakikolwiek sposób, żeby to naprawić...

Pokręciła głową i wstała.

– Nie ma – ucięła. – Jest ci przykro, że tak się stało. Mnie też. Nie tylko dlatego, że okazałeś się tym, kim się okazałeś, ale... – nagle poczuła się, jakby miała w gardle wilgotną skarpetkę i próbowała ją połknąć. – Bo zniszczyłeś... – Moje życie? Zastanowiła się. Nie, to nieprawda. Jej życie było w porządku, albo raczej będzie, jeśli tylko praca wróci na właściwe tory, no, i była teraz z Simonem, Simonem, który był naprawdę dobry, i który wzbudzał tyle dobrych uczuć w jej własnym sercu, który ją rozśmieszał. Ten krótki, spektakularnie nieudany romans z Jimem wydawał się teraz niczym więcej niż odległym, złym snem. Nie zniszczył jej, ale

zniszczył coś innego, prawdopodobnie bezpowrotnie. – Z powodu Maggie – powiedziała ostatecznie.

Pociągnął ją z powrotem na ławkę i zaczął mówić o przyszłości, jak okropnie się czuł, gdy odeszła z firmy i że to było zupełnie niepotrzebne – był draniem, ale przynajmniej dyskretnym, i nic by jej nie groziło w pracy – i jak to się u niej wszystko potoczyło? Czy potrzebuje pomocy? Bo jeśli tak, to mógłby jej pomóc, to najmniej, co mógłby zrobić w świetle zaszłych wydarzeń, ale...

– Przestań! Proszę cię! – syknęła Rose. Słyszała dźwięki kwartetu smyczkowego dochodzące przez ogród oraz skrzypnięcie zamykanych drzwi kościoła. – Musimy wracać.

– Przepraszam.

– Przyjmuję twoje przeprosiny – odparła oficjalnie Rose. A potem, ponieważ miał taką smutną minę – i ponieważ, pomimo złej macochy, nieobecności siostry i braku posady prawnika czuła się taka szczęśliwa – pochyliła się i pocałowała go lekko w policzek.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy.

– Och, Rose – jęknął i otoczył ją ramionami.

I nagle pojawił się Simon, w jego szeroko otwartych oczach widoczne było całkowite zaskoczenie.

– Zaczyna się – powiedział cicho. – Powinniśmy już iść.

Rose spojrzała na niego. Jego blada twarz była jeszcze bledsza niż zwykle.

– Simon – wyszeptała. O Boże!

– Chodź – powtórzył Simon spokojnym, beznamiętnym tonem i poprowadził ją do kościoła, gdzie dziewczynki z koszykami zaczęły już

swoją wędrówkę wzdłuż nawy, rozsypując wokół różane płatki o delikatnym, brzoskwińowym odcieniu.

Simon siedział bez słowa przez całą mszę. Nie odezwał się podczas obiadu. Gdy zespół zaczął grać, ruszył prosto w kierunku baru i stał tam pijąc piwo, aż Rose przekonała go w końcu, że powinni porozmawiać, i że powinni to zrobić w cztery oczy. Otworzył jej drzwi samochodu – gest, który zawsze był niezwykle miły, teraz wydawał się pełen ironii, nawet okrutny.

– No, tak – zaczął. – Interesujące popołudnie.

Patrzył przed siebie, a na jego bladych policzkach pojawiły się czerwone plamy

– Simon, przykro mi, że to widziałeś – powiedziała Rose.

– Przykro, że się zdarzyło, czy że to widziałem? – zapytał Simon.

– Pozwól mi wyjaśnić. Miałam zamiar ci o tym powiedzieć...

– Pocałowałaś go – powiedział Simon.

– To był pocałunek na pożegnanie...

– Pożegnanie? Co było między wami?

Rose westchnęła.

– Spotykaliśmy się.

– Wspólnik i pracownik? Cóż za śmiała decyzja!

Rose zacisnęła powieki.

– Wiem. To było głupie. Duży błąd z obydwu stron.

– Więc kiedy zaczęły się te wspólne powiązania?

– Powiązania? – powtórzyła Rose. – Simon, to nie była fuzja firm!

– Firm nie, zdecydowanie. Czemu nie wyszło?

– Niewierność...

– Twoja czy jego? – wypalił Simon.

– Jego! Oczywiście, że jego! Przestań Simon, chyba znasz mnie na tyle. – Rose spojrzała na niego. Zignorował ją. – A może nie?

Simon nie odpowiedział. Rose popatrzyła za okno na zarysy drzew, budynków i na inne samochody „Ile par w ilu samochodach klóciło się w tej chwili?” – zastanawiała się. I ilu z tych kobiet szło lepiej niż jej?

– Posłuchaj, najważniejsze jest to, że cała sprawa jest skończona – powiedziała, gdy parkował samochód przed domem. – Naprawdę, całkowicie, zdecydowanie i absolutnie skończona, przepraszam cię za to, co widziałeś, ale to nic nie znaczy. Uwierz mi, Jim Danvers jest ostatnią osobą, na której mi zależy I dokładnie to mu mówiłam, gdy przyszedłeś.

Długie westchnienie.

– Wierzę ci – powiedział – ale chcę wiedzieć, co się stała Chcę to zrozumieć.

– Dlaczego? Ja nie pytam o twoje byłe dziewczyny.

– To co innego.

– Dlaczego?

Rose poszła za nim do sypialni, zdejmując w końcu upiorne korale.

– Bo cokolwiek było między wami, dotknęło cię do tego stopnia, że nigdy więcej nie chciałaś oglądać wnętrza biura.

– Nie każdego biura. Chodzi konkretnie o to jedno jedyne biuro.

– Nie zmieniaj tematu. Ta historia wydarzyła się. A ja nic o niej nie wiem.

– Każdy ma jakąś historię! Ty przyjaźnisz się kimś o imieniu Lopey i też wcześniej o tym nie wspomniałeś...

– Ale ja nie wiem o tobie nic!

– Co chcesz wiedzieć? – zapytała go. – Dlaczego to takie ważne?

– Bo chcę wiedzieć, kim jesteś!

– Simon, ja nie jestem jakąś wielką tajemnicą. Po prostu... – szukała jakiegoś neutralnego słowa. – Związałam się z tym facetem. Nie wyszło. Koniec. To wszystko!

– Jak to się skończyło? – zapytał Simon jeszcze raz.

– Zrobił coś – zaczęła Rose. – Coś z kimś...

Z trudem przełknęła ślinę.

– Jak będziesz gotowa mi opowiedzieć – powiedział Simon chłodno i spokojnie – chętnie posłucham.

Poszedł do łazienki. Słyszała trzask drzwi i szmer prysznic. Wróciła do salonu, po drodze zabierając spod drzwi stertę poczty, którą wcześniej przekroczyli przy wejściu do mieszkania. Rachunek, rachunek, oferta karty kredytowej, aktualna karta z jej nazwiskiem, jej nazwisko napisane znajomą ręką, duże pochylone litery.

Rose opadła na kanapę. Ręce jej drżały, gdy otwierała kopertę i rozkładała pojedynczą kartkę papieru wyrwaną z notesu, która znajdowała się w środku.

„Cześć Rose”, przeczytała. Słowa skakały jej przed oczami. Babcia. Przepraszam. Floryda. Ella. Pojednanie.

– O mój Boże! – zrobiła głęboki wdech. Zmusiła się do ponownego przeczytania całego listu, potem poszła szybko do sypialni.

Simon stał przed łóżkiem z ręcznikiem owiniętym na biodrach i poważnym wyrazem twarzy. Bez słowa wręczyła mu list.

– Moja... Babcia – powiedziała. Dziwnie się czuła wypowiadając to słowo. – Od Maggie. Mieszka u mojej babci.

Teraz Simon jeszcze bardziej się zdenerwował.

– Masz babcię? Widzisz, o co mi chodzi, Rose? Nawet nie wie-



działem, że masz babcię!

– Ja też nie! – wykrzyknęła Rose. – To znaczy, jasne, że wiedziałam, że istniała, ale nic więcej.

Poczuła się jakby nagle ktoś zanurzył ją w zimnej wodzie, wszystko było dziwne i działo się w zwolnionym tempie.

– Muszę... – zaczęła. – Powinnam do nich zadzwonić.

Osunęła się na łóżko czując, że kręci się jej w głowie. Babcia.

Matka jej matki. Która, ewidentnie, nie mieszkała w żadnym domu pogodnej starości, jak zawsze wierzyła Rose, chyba że pozwalali w takich miejscach zatrzymywać się również dwudziestoosmioletnim włóczęgom.

– Powinnam do nich zadzwonić. Powinnam...

Simon patrzył na nią.

– Naprawdę nie wiedziałaś, że masz babcię?

– To znaczy, wiedziałam, że mojej mamy nie przyniósł bocian. Ale myślałam, że była... Nie wiem. Stara, albo chora. W jakimś domu. Ojciec powiedział, że jest w domu.

Rose patrzyła na list i czuła, jak ściska ją w żołądku. Ojciec ją okłamał. Dlaczego okłamał ją w takiej ważnej sprawie?

– Gdzie jest telefon? – zapytała, zrywając się na równe nogi.

– Zaraz, poczekaj. Do kogo chcesz dzwonić? Co im powiesz?

Odłożyła słuchawkę i wzięła do ręki kluczyki.

– Muszę iść.

– Iść dokąd?

Nie zwracała na niego uwagi, kierując się do drzwi i spiesząc do windy. Serce dudniło jej w piersi, gdy biegła ulicą do samochodu.

Dwadzieścia minut później Rose znalazła się w miejscu, gdzie niecały rok temu stała wraz z siostrą – u progu domu Sydelle, czekając na

zezwoleń wstępu. Oparła się o dzwonek. Pies zawył. W końcu zabłysło światło.

– Rose? – Sydelle stała w drzwiach wejściowych mrużąc oczy – Co tu robisz?

Twarz macochy wyglądała dziwnie w mocnym świetle lampy Rose przyjrzała się jej uważnie, zanim stwierdziła, że chodzi o to, co zwykle – kolejny lifting skóry wokół oczu. Podała macosze list Maggie.

– Ty mi powiedz – zażądała.

– Nie mam okularów – Sydelle odparła atak, poprawiając swój obsyty koronką szlafrok i wydymając wargi w kierunku pustego miejsca przy ścieżce, z którego w listopadzie zeszłego roku Maggie wyrwała krzaczek.

– Więc pozwól, że przybliżę ci tę sprawę – ciągnęła Rose. – To list od Maggie. Zamieszkała z moją babcią. Moją babcią, z którą podobno nie można się było w ogóle porozumieć.

– Ooo – wykrztusiła Sydelle. – O! Yhm...

Rose przyglądała się jej. Jeśli kiedykolwiek macosze brakowało słów, ona z pewnością tego nie pamiętała. Ale oto proszę, skonsternowana Sydelle wiała się cała pod warstwą kremu i świeżo założonymi szwami.

– Wpuść mnie – rozkazała Rose.

– Oczywiście! – powiedziała Sydelle nieswoim, przejętym głosem i odsunęła się na bok.

Rose przemaszerowała obok niej, weszła do środka i stanęła przy schodach.

– Tato! – zawołała.

Poczuła rękę Sydelle na swoim ramieniu. Strząsnęła ją szarpnięciem.

– To twój pomysł, prawda? – syknęła z wściekłością. – „Och,

Michael, nie potrzebują babci. Przecież mają mnie! ”

Sydelle cofnęła się, jakby dostała w twarz.

– To nie tak – zaczęła drżącym głosem. – Nigdy nie uważałam, że mogę zastąpić wam... Zastąpić to wszystko, co straciliście.

– Nie? Więc jak to się stało? – domagała się odpowiedzi Rose.

Czuła, że każda komórka jej ciała wypełniona jest do granic możliwości wściekłością, grożąc wybuchem.

– Oświeć mnie!

Michael Feller, w spodniach od dresu i białej koszulce, szybko schodził po schodach przecierając chusteczką okulary. Pozostałości rzadkich włosów jak mgiełka unosiły się nad jego łysiną.

– Rose? Co się dzieje?

– Dzieje się to, że mam babcię, która nie jest w żadnym specjalnym domu, Maggie z nią teraz mieszka i najwyraźniej nikt nie uznał za stosowne wspomnieć mi o żadnym aspekcie tej sprawy – wyrzuciła z siebie Rose.

– Rose... – Sydelle wyciągnęła rękę.

Rose odwróciła się do niej.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła. Sydelle wzdrygnęła się.

– Wystarczy! – powiedział Michael.

– Nie – odparła Rose. Trzęsły jej się ręce, a twarz paliła. – Nie, nie wystarczy. Jeszcze nawet nie zaczęłam. Jak mogłaś?! – wrzeszczała, a Sydelle kulila się w kącie swojego świeżo wytapetowanego holu. – Wiem, że nigdy za nami nie przepadałaś. Ale ukrywanie babci? Nawet jak na ciebie, Sydelle, to już przesada.

– To nie Sydelle – powiedział Michael Feller, kładąc rękę na ramieniu Rose. – To nie był pomysł Sydelle. To ja.

Rose gapiła się na niego.

– Bzdura – wyjąkała. – Nie zrobiłbyś... – patrzyła na ojca, prosto w jego słabe, szare oczy i wysokie, blade czoło, na smutną, poczciwą twarz zagubionego psa. – Nie zrobiłbyś...

– Chodź, usiądźmy – zaproponował Michael Feller.

Sydelle spojrzała na Rose.

– To nie ja – powiedziała bezbarwnym, nijakim głosem. – I jest mi naprawdę przykro...

Umilkła. Rose spojrzała na nią. Macocha nigdy nie wyglądała mniej okropnie i nigdy nie była bardziej żałosna. Jej twarz wydawała się mała i bezbronna, pomimo stałego tatuażu wokół ust i napiętej skóry. Rose patrzyła na nią starając się sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej słyszała to słowo, czy Sydelle kiedykolwiek zdarzyło się być przykro. Stwierdziła, że jeśli miało to miejsce, ona tego zdarzenia nie pamiętała.

– Nie wiesz... – Sydelle głośno wciągnęła powietrze. – Nie masz pojęcia, co znaczyło życie w tym domu. Jak to jest, gdy przez całe lata nigdy nie jesteś dla nikogo wystarczająco dobra, nigdy na pierwszym miejscu. Gdy nikt tak naprawdę cię nie chce. Bez szans na zrobienie właściwego kroku.

– O rany, jak mi przykro – powiedziała Rose przemądrzałym tonem, który zwykle zarezerwowany był dla Maggie.

Sydelle podniosła wzrok i rzuciła jej wściekle spojrzenie.

– Cokolwiek robiłam, to zawsze było nie tak – zamrugała świeżo naciągniętymi powiekami. – Nigdy nie miałam najmniejszej szansy u ciebie ani u Maggie. Żadne z was mi tej szansy nie dało.

– Sydelle... – łagodnie odezwał się Michael.

– Proszę! – odparła Sydelle. – Powiedz jej. Powiedz jej prawdę. Najwyższy czas!

Rose patrzyła na macochę, po raz pierwszy widząc, jak bardzo

bezbronna była pod swoim makijażem, botoksem, poradami dotyczącymi diet i całą tą protekcjonalną pozą. Patrzyła i widziała kobietę po sześćdziesiątce, której chude i żylaste ciało nie było specjalnie zachęcające, której twarz wyglądała jak okrutna karykatura z ostrymi, wyrytymi rysami. Widziała wyraźnie smutek, z którym Sydelle żyła dzień po dniu – mąż wciąż zakochany w dawno zmarłej, pierwszej żonie, eks-mąż, który ją zostawił, i dorosła córka, która odeszła z domu.

– Rose – zwrócił się do niej ojciec. Rose poszła za nim do salonu Sydelle. Skóra na kanapach zastąpiona została zamszem, wciąż jednak były oślepiająco białe. Usiadła na jednym końcu, jej ojciec na drugim.

– Przepraszam cię za Sydelle – zaczął i spojrzał w kierunku holu. Czekał na nią, pomyślała Rose. Żeby przyszła i odwaliała brudną robotę.

– Przechodzi teraz naprawdę ciężki okres – ciągnął. – Marcia daje jej nieźle popalić.

Rose wzruszyła ramionami, nie odczuwając specjalnie współczucia ani dla Sydelle, ani dla Mojej Marci, która nie poświęcała zbyt wiele czasu swoim przyrodnim siostram i nie okazywała im również szczególnego zainteresowania. Z wyjątkiem upewnienia się, żeby nie dotykały jej rzeczy, gdy wyjeżdżała do college u.

– Zmieniła wiarę. Żydzi dla Jezusa.

– Nie mówisz poważnie?

– Dokładnie tak samo zareagowaliśmy na początku, uznaliśmy, że żartuje.

– O, Boże – Rose wyobraziła sobie, że Sydelle, która na framudze każdych drzwi w domu miała mezuzę, włącznie z drzwiami łazienkowymi, i która marszczyła czoło przy każdej choince w centrum handlowym, musiała cierpieć katusze. – Więc jest chrześcijanką?

Ojciec potrząsnął głową.

– Gdy ostatnio u niej byliśmy, na drzwiach wisiał wielki wieniec.

– Ho, ho, ho! – powiedziała ponuro Rose.

– Rose! – upomniał ją ojciec. Podniosła głowę, w jej oczach czaił się gniew.

– No, więc, przechodząc do spraw w tej chwili istotniejszych.

Babcia...

Michael Feller z trudnością przełknął ślinę.

– Ella? Dzwoniła do ciebie?

– Maggie do mnie pisała. Mówi, że mieszka u tej... U Elli. Więc o co chodzi?

Ojciec nie odpowiedział.

– Tato?

– Jest mi wstyd – wyszeptał w końcu Michael. – Powinienem był wam o tym powiedzieć, o Elli, dawno temu.

Objął rękami kolana, kołysząc się w przód i w tył, najwyraźniej pragnąc, by któryś roczny raport albo przynajmniej egzemplarz "Wail Street Journal" przeprowadził go przez to wszystko.

– To matka twojej mamy – zaczął. – Ella Hirsch. Przeniosła się na Florydę wiele lat temu. Po... – przerwa. – Po śmierci mamy.

– Powiedziałeś, że jest w domu – podsunęła Rose.

Ręce Michaela Fellera zwinęły się w pięści, które położył na udach.

– Bo była! Tylko nie w takim, jaki prawdopodobnie miałaś na myśli.

Rose przyglądała mu się uważnie.

– A mianowicie?

– Była w domu. W swoim domu – przełknął głośno. – Z Iżą, jak sądzę.

– Okłamałeś nas – bezbarwnym tonem powiedziała Rose.

– To było niedopowiedzenie – odparł ojciec. Wydawało się oczywiste, że wymyślił to sformułowanie dużo wcześniej, i na pewno przez lata zdążył je wyćwiczyć do perfekcji. Wziął głęboki oddech. – Gdy mama... – głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Umarła – pomogła mu Rose.

– Umarła – powtórzył Michael. – Gdy umarła, byłem zły. Czułem...

Przerwał, wpatrując się w szklano–metalowy stolik Sydelle.

– Zły na jej rodziców? Na Elle?

– Próbowali mi powiedzieć o Caroline, ale nie chciałem słuchać. Byłem taki zakochany... – Rose skrzywiła się, słysząc tyle bólu w jego głosie.

– Byłem w niej taki zakochany. I taki zły na nich. Gdy ją poznałem, była na licie. Stabilna. Ale nienawidziła leków i tego, jak na nią działały. Próbowalem nakłaniać ją, żeby je brała, podobnie jak Ella, więc przez chwilę było dobrze, a potem... – odetchnął zdejmując okulary, jakby nie mógł znieść ich ciężaru na twarzy. – Ona cię kochała. Kochała nas wszystkich. Ale nie potrafiła... – głos uwiązł mu w gardle. – Zresztą, to było bez znaczenia. Nie zmieniło tego, co do niej czułem.

– Jaka ona była? – zapytała Rose.

Ojciec był zaskoczony.

– Nie pamiętasz?

– Nie urządziłeś w domu poświęconego jej sanktuarium ani nic w tym rodzaju – Rose zatoczyła ramionami łuk, wskazując nieskazitelny salon Sydelle – białe ściany, biały dywan, półki na książki, które nigdy nie widziały książek, a jedynie szklane przedmioty, i zdjęcie ślubne Mojej Marci w ramce formatu dwadzieścia na dwadzieścia osiem centymetrów. –

Nie było jej zdjęć. Nigdy o niej nie mówiłeś.

– To bolało – tłumaczył się Michael. – Wspomnienia bolały Widok jej twarzy. Sądziłem, że dla ciebie i Maggie to również będzie bolesne.

– Nie wiem. Wolałabym... – spojrzała na swoje stopy spoczywające na tkanym dywanie. – Wolałabym, żeby nie była taką tajemnicą.

Michael siedział w milczeniu. Potem znów zaczął:

– Pamiętam, jak pierwszy raz ją zobaczyłem. Szła przez campus Uniwersytetu Michigan, pchając rower, śmiała się i nagle jakby w mojej głowie rozdzwonił się wielki dzwon. Była piękniejsza niż wszystko, co dotąd widziałem. We włosy wplecioną miała różową wstążkę...

Ojciec umilkł.

Rose pamiętała migawki, strzępy, urywki opowieści, słodki, melodyjny głos, gładką skórę jej policzka na swoim. Słodkich snów, słodka dziewczynko. Śpij dobrze, kochanie. I wszyscy kłamali. Jedni mówiąc to, co mówili, inni milcząc i ukrywając prawdę. Ella okłamała jej ojca co do Caroline – albo raczej powiedziała mu prawdę, ale on nie chciał jej słuchać. A ojciec okłamał córki w sprawie Elli – a raczej powiedział im niewielką część prawdy, całą resztę pozostawiając niedopowiedzianą.

Wstała z zaciśniętymi pięściami. Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa, a gdzie jest prawda? Chora psychicznie matka umarła. Ojciec związał się z podłą jędzą i przekazał jej pod opiekę swoje córki. Babcia zniknęła jak Alicja w norze królika, a Maggie wyparowała w pogoni za nią. Rose natomiast nie miała o niczym pojęcia. Najmniejszego.

– Po prostu się jej pozbyłeś. Przez wszystkie te lata nie pamiętam żadnego zdjęcia, żadnej rzeczy...

– To było dla mnie za trudne, za bardzo bolało – wyznał zwyczajnie Michael. – Wystarczy, że musiałem patrzeć na wasze twarze.



– O rany, dzięki.

– Och, nie, nie to miałem na myśli... – wziął Rose za rękę, w wyniku czego doznała szoku i praktycznie odebrało jej mowę. Od tego fatalnego dnia, gdy miała dwanaście lat i wyszła z łazienki informując go szeptem, że zaczął jej się okres, nie pamiętała, by ojciec kiedykolwiek jej dotykał, z wyjątkiem okazjonalnego cmoknięcia w policzek.

– Po prostu tak bardzo ją przypominałyście. Wszystko, co robiłyście, to jakbym musiał przypominać ją sobie wciąż od nowa...

– A potem ożeniłeś się z tamtą – Rose wskazała głową w kierunku holu, gdzie przypuszczalnie wciąż jeszcze znajdowała się macocha.

Ojciec westchnął.

– Sydelle chciała dobrze.

Rose roześmiała się albo raczej wydała z siebie coś w rodzaju krótkiego szczeknięcia.

– Jasne. Jest cudowna. Po prostu nienawidziła mnie i Maggie.

– Była zazdrosna – powiedział Michael.

Rose osłupiała.

– Zazdrosna, o co? Zazdrosna o mnie? Chyba nie mówisz poważnie. Przecież Moja Marcia przewyższa mnie w każdym calu. Ale nawet jeśli była zazdrosna, traktowała nas okropnie. A ty jej na to pozwalałeś!

Ojciec zachnął się.

– Rose...

– Rose, co?

– Chcę ci coś dać. Wiem, że jest za późno, ale...

Poszedł szybko na górę i wrócił, trzymając w rękach pudełko po butach.

– Są od niej. Od twojej babci – wyjaśnił. – Mieszka na Florydzie –

dodał. – Próbowala się ze mną skontaktować, z tobą i z Maggie przez całe lata. Ale nie pozwoliłem jej na to – sięgnął do pudełka i wyciągnął pogniecioną i wyblakłą kopertę z napisem: „Panna Rose Feller”. – To była ostatnia kartka, jaką przysłała.

Rose kciukiem podważyła wierzch koperty. Otworzyła się bez kłopotu, przez piętnaście lat klej zdążył wyschnąć. W kopercie była pocztówka z bukietem różowo– fioletowych kwiatów obsypanych złotym brokatem, który mienił się teraz niewyraźnie na opuszkach palców Rose. „WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI SZESNASTYCH URODZIN” – głosiły srebrne litery nad bukietem. A w środku... Rose otworzyła kartę. Dwudziestodolarowy banknot i zdjęcie sfrunęły jej na kolana. „DLA MOJEJ WNUCZKI” – przeczytała pochylone litery, W TYM SZCZEGÓLNYM DNIU ŻYCZĘ CI WIELE MIŁOŚCI I SZCZĘŚCIA”. Poniżej podpis. I adres. I numer telefonu. Oraz P S., po którym przeczytała: „Rose, bardzo bym się ucieszyła, gdybyś się do mnie odezwała. Proszę, zadzwoń, kiedy tylko chcesz!!!”. Te trzy wykrzykniki, pomyślała Rose, po prostu złamały jej serce. Spojrzała na zdjęcie. Dziewczynka – okrągła, poważna twarz, brązowe oczy, z grzywką i dwoma schludnymi warkoczykami związanymi czerwoną wstążką – siedziała na kolanach starszej pani. Kobieta śmiała się. Dziewczynka nie. Na odwrocie przeczytała: Rose i Babcia, 1975. Ten sam niebieski atrament, to samo pochyłe pismo. Siedemdziesiąty piąty. Miała sześć lat.

Wstała.

– Muszę iść.

– Rose! – zawołał ojciec bezradnie do jej pleców. Nie odwróciła się i wyszła z domu. Potem usiadła za kierownicą swojego samochodu, wciąż trzymając w ręku pocztówkę, i zamknęła oczy przypominając sobie głos

matki, jej rozchylone w uśmiechu, umalowane różową szminką usta i opaloną rękę wyciągniętą do przodu z za aparatu fotograficznego. Uśmiechnij się, kochanie! Skąd ta ponura minka? Hej, Rosie Posy, uśmiech dla mamy. No, słoneczko, śliczności nasze, uśmiechnij się.

TTLR

– Jeszcze kawałek – poprosiła Maggie.

– Nie mogę – upierał się Lewis i rzucił Elli przez stół pełne godności spojrzenie. – To byłoby pogwałcenie zasad etyki zawodowej dziennikarza.

– Och, daj spokój! – apelowała Ella. – Tylko kilka zdań. Proszę...

– To byłoby niewybaczalne – powiedział i ze smutkiem pokręcił głową. – Ella, jestem zaskoczony, naprawdę chcesz, żebym zrobił coś takiego.

– To mój zgubny wpływ – dumnie stwierdziła Maggie. – Powiedz przynajmniej, co zamówił Irving.

Lewis, w geście udawanej rezygnacji, machnął w powietrzu ręką.

– No, dobrze – zaczął. – Zobowiązuję was do zachowania tajemnicy – odchrząknął. – „Irving i ja nie przepadamy za kuchnią francuską”, tak zaczynał się ostatni felieton pani Sobel, „jest dla nas zbyt kaloryczna. Zauważyliśmy również, że w większości francuskich restauracji jest zbyt głośno i zbyt ciemno, co ma uchodzić za romantyczne, a w rzeczywistości utrudnia odczytanie menu, nie mówiąc już o tym, żeby dostrzec, co dostaje się na talerzu. ”

– Biedna pani Sobel – wymamrotała Ella.

Lewis pokręcił na to głową i czytał dalej:

– " Większość kucharzy nie wie, jak przyrządza się omlet, który powinien być lekki i puszysty, natomiast konsystencja sera – półpłynna. Z przykrością informuję, że Bistro Bleu nie stanowi tu wyjątku. Mój omlet był za twardy i miał konsystencję gumy, a ziemniaki z kolei podano zbyt chłodne, w dodatku przyprawione rozmarynem, którego Irving nie toleruje”.

– Znów Irving – powiedziała Ella.

– Coś nie tak z Irvingiem? – zapytała Maggie.

– Irving jest uczulony. Na wszystko – wyjaśnił Lewis. – Nie miałem pojęcia, że te rzeczy w ogóle uczulają. Biała mąka, skorupiaki, wszelkie ziarna i orzechy... Połowę swojego felietonu pani Sobel poświęca opisom, ile czasu zajęło jej znalezienie czegoś odpowiedniego dla Irvinga, a potem jedna czwarta artykułu relacjonuje, jak to, co Irving ostatecznie zjadł, zaszkodziło mu...

– Irving Sobel? – zapytała pani Lefkowitz, powłócząc nogą w kierunku stołu. – Zaprosiłam go raz przy jakiejś okazji i nie wziął ani kęsa!

Maggie wywróciła oczami. Pani Lefkowitz, tego dnia zaproszona do nich na kolację, nie była w dobrym nastroju. Miała na sobie różową bluzę. Wyjaśniła, że jeśli wyleje na nią barszcz, kolory nie będą się gryzły. Miała też jasnobrązowe spodnie z poliestru. Nie wyjaśniła, dlaczego je założyła, ale Maggie uznała, że jeśli wyleje na nie cokolwiek, to może im tylko pomóc.

Pani Lefkowitz usiadła postępując cicho, wzięła jeden z koszernych korniszonów i zaczęła rozprawiać na temat pobliskiego centrum handlowego.

– Chuligani! – powiedziała z buzią pełną ogórka. Maggie wzięła ze stołu książki z kursu Makijaż Teatralny, na który zapisała się w pobliskim college u, i zaczęła rozkładać talerze i sztućce.

– Myślałam, że po prostu sklep nazywa się Houlihan's...

– O nie, nie, to prawdziwi chuligani – zaprotestowała pani Lefkowitz.

– Hultaje! Oszuści! Nastolatki! Gdzie się nie obejrzysz, wszędzie ich tam pełno! Wszędzie! A te wszystkie miniaturowe ubranka z falbaniastymi rękawami! Minispódniczki! Bluzki, przez które wszystko widać! Spodnie – ciągnęła, spoglądając ze złością na Maggie – ze skóry! Kto to widział?

– Właściwie... – zaczęła Maggie. Ella powstrzymała uśmiech. Z całą pewnością wiedziała, że w posiadaniu Maggie znajdowała się para skórzanych spodni oraz takoważ mini.

– Z jakiej to okazji takie zakupy? – zapytała Ella.

Pani Lefkowitz lekceważąco machnęła ręką nad swoim talerzem barszczu.

– Mój syn. Pamiętacie? Firma ubezpieczeniowa? Pan Ekscytujący? No więc, dzwoni do mnie i mówi: „Mamo, żenię się”. Ja na to: "W twoim wieku? Potrzebujesz żony jak ja butów do stepowania”. Na to on, że już zdecydował i że to wspaniała dziewczyna. Tłumaczę mu, że w wieku pięćdziesięciu trzech lat nie czas na dziewczyny, a on mi na to, że mam się nie martwić, bo ona ma trzydzieści sześć lat, ale jest bardzo dojrzała....

Ze złością spojrzała na Ellę i Maggie, jakby to one ponosiły odpowiedzialność za to, że jej syn zakochał się w bardzo dojrzałej, trzydziestosześcioletniej kobiecie.

– Oto, czego doczekałam na stare lata – zakończyła i poczęstowała się kromką żytniego chleba. – I tym sposobem muszę w czymś wystąpić. I, oczywiście, nic nie mogę znaleźć.

– Czego dokładnie pani szuka? – zapytała Maggie.

Pani Lefkowitz uniosła szare brwi.

– Księżniczka przemówiła!

– Ja mówię, a nie przemawiam! – krzyknęła obrażona Maggie. –

I tak się właśnie składa, że jestem ekspertem, jeśli chodzi o zakupy.

– Hmm, co byś mi w takim razie zaproponowała na trzecie wesele mojego syna?

Maggie przyjrzała się uważnie pani Lefkowitz – czapa zmierzwionych, szpakowatych włosów, jasnoniebieskie oczy, ciekawskie

spojrzenie, różowa szminka na ustach, również na opadającym po wylewie kąciku. Właściwie nie była gruba, ale nie była również specjalnie kształtna. Talia bez wcięcia, zwisający biust.

– Hmm – zastanowiła się głośno, rozważając różne możliwości.

– Czuję się jak projekt naukowy.

– Ciii – skarciła Ella, która widziała już u Maggie ten wyraz twarzy, gdy zwinięta na kanapie, późno w nocy ślęczała nad kolejnymi tomami poezji w kręgu światła rzucanego przez lampkę z abażurem. Była tak skupiona, jakby próbowała sama siebie zahipnotyzować.

– Co najbardziej pani lubi? – zapytała nagle Maggie.

– Lody z gorącą polewą karmelową – odpowiedziała bez zastanowienia pani Lefkowitz. – Ale nie wolno mi ich jeść. Tylko z mrożonym jogurtem – dodała marszcząc twarz, żeby zademonstrować, co myśli o mrożonym jogurcie – i z tą beztłuszczową polewą, której nie wolno im nawet nazwać karmelem, bo to nie karmel. Wyrób karmelopodobny – powiedziała i pokręciła głową, w pełni gotowa wygłosić mowę na temat porażki, jaką ponieśli producenci podróbki polewy karmelowej. Ale Maggie przerwała jej.

– Co najbardziej lubi pani nosić.

– Nosić? – pani Lefkowitz spojrzała w dół na swoje ubranie, jakby zdziwiona, że w ogóle ma coś na sobie. – Yhm, chyba lubię wygodne rzeczy.

– W czym czuła się pani najlepiej w życiu? – zapytała Maggie związując włosy w koński ogon. Ella przycupnęła na skraju krzesła w jadalni, ciekawa, co będzie dalej.

Pani Lefkowitz otworzyła buzię. Maggie podniosła rękę.

– Niech się pani zastanowi – przykazała. – Niech pani pomyśli o

wszystkich rzeczach, które miała pani kiedykolwiek na sobie i powie mi, w czym czuła się pani najlepiej.

Pani Lefkowitz zamknęła oczy

– W moim kostiumie wyjazdowym – powiedziała.

– To znaczy?

– Kostium wyjazdowy – powtórzyła, jakby Maggie nie dosłyszała.

– Który wkładasz, gdy po ślubie żegnasz się z gośćmi i wyjeżdżasz w podróż poślubną – wyjaśniła Ella.

– Właśnie, dokładnie tak – przytaknęła pani Lefkowitz. – Był w biało–czarną kratę, a spódniczka bardzo dopasowana tutaj – przeciągnęła wymownie rękami po biodrach. – Do tego czarne szpilki... – zamknęła oczy przywołując wspomnienia.

– Jak wyglądał zakiet? – ponagliła ją Maggie.

– Chyba był krótki – odparła pani Lefkowitz rozmarzonym głosem. – Z guzikami z gagatu. Naprawdę piękny. Ciekawe, co się z nim stało.

– A gdyby... – Maggie się zawahała. – A gdybyśmy poszły na zakupy razem?

Pani Lefkowitz zrobiła skrzywioną minę.

– Houlihan's? Chyba nie zniosę tego po raz drugi.

Maggie też nie była pewna, czy potrafiłaby to znieść. Chodzenie po sklepach w żółtym tempie pani Lefkowitz...

– A może zrobimy tak – zaproponowała dyplomatycznie. – Poda mi pani swój rozmiar...

– Oho, zaczynają się osobiste pytania!

– ... da mi pani swoją kartę kredytową...

Ella widziała, jak pani Lefkowitz przygotowuje się, żeby pokręcić przecząco głową. Wstrzymała oddech i czekała.



– ... a ja znajdę pani coś odpowiedniego. Nawet kilka propozycji, dam pani wybór. Urządzimy sobie mały pokaz mody, pani je przymierzy, wybierze najlepszą kreację, a resztę odniosę do sklepu.

Pani Lefkowitz spoglądała teraz na Maggie z zaciekawieniem.

– Zakupy na zamówienie?

– Dokładnie – potwierdziła Maggie obchodząc ją dookoła. – Ile chce pani wydać?

Pani Lefkowitz westchnęła.

– Może dwieście dolarów?

Maggie skrzywiła się lekko.

– Spróbuję – odrzekła.

Maggie spędziła dwa pełne dni na poszukiwaniach odpowiedniej kreacji dla pani Lefkowitz. Co dobrze jej zrobiło, pomyślała. Oderwało ją od siedzenia przy telefonie i zastanawiania się, czy Rose dostała jej list i czy zadzwoni.

Pani Lefkowitz stanowiła wyzwanie – co do tego Maggie nie miała wątpliwości. Nie było mowy o wciśnięciu jej w dopasowany kostium, jaki opisała, ale Maggie mogła spróbować, myślała sobie, znaleźć coś, w czym pani Lefkowitz poczułaby się podobnie. Jakby znów miała go na sobie. Kostium może zostać i spódniczka też może być krótsza – z tego, co widziała w sklepach, pani Lefkowitz miała całkiem niezłe nogi, ale krótki zakiet odpada. Coś dłuższego, może do bioder, ale z obszyciem, co doda jej szyku; coś, co da podobny efekt jak guziki z gagatu. Gdzieś już widziała coś podobnego Macy's? Saks? W końcu uzmysłowiła sobie, że nie był to żaden z tych sklepów, ale szafa Rose. Rose miała zakiet dokładnie taki, jakiego Maggie szukała.

Znów poczuła znajomą kulkę w gardle, przełknęła głośno i kontynuowała swoje polowanie, odwiedzając domy handlowe, sklepy zużywaną odzieżą, dyskonty, pchli targ, a także dział kostiumów miejscowego college'u, gdzie obiecała kierownicze, że pomoże w charakteryzacji przy zbliżającym się przedstawieniu *Hedda Gabler*. Ostatecznie zdobyła trzy kreacje. Pierwszą znalazła na wyprzedaży w Nordstrom – spódnica do kolan, dopasowana, ale nie obcisła, z blad różowego lnu, wyszywana dość obficie nitką w odcieniu głębokiego różu i czerwieni. Do kompletu prosta bluzka bez rękawów i wyszywany, rozpinany sweter. Pani Lefkowitz z powątpiewaniem dotknęła materiału.

– W ogóle nie przypomina mojego kostiumu – powiedziała. – I spódnica do swetra? No, nie wiem. Myślałam raczej o sukience.

– Nie chodzi o wygląd – odparła Maggie. – Chodzi o wrażenie.

– Wrażenie?

– To, jak się pani czuła, mając na sobie tamten kostium – wyjaśniła. – Nie może go pani dziś włożyć, zgadza się?

Pani Lefkowitz skinęła.

– Szukamy więc czegoś, co da podobne... – szukała słów – ... odczucie, podobne samopoczucie.

Wręczyła pani Lefkowitz ubrania, wciąż na wieszakach, oraz różowy kapelusz z szerokim rondem, który zdobyła w college'u.

– Niech pani przymierzy – nakazała i odprowadziła panią Lefkowitz do sypialni, gdzie ustawiła duże lustro.

– Czuję się śmiesznie! – zawołała pani Lefkowitz, gdy Ella i Lewis zajęli miejsca na kanapie czekając na pokaz mody.

– Proszę się pokazać! – krzyknęła do niej Maggie.

– Czy naprawdę muszę włożyć kapelusz? – otrzymała odpowiedź.

– Wychodź wreszcie! – zniecierpliwiła się Ella.

Powoli pani Lefkowitz wyłoniła się z sypialni. Spódnica była za długa. Maggie zauważyła to od razu. Podobnie jak rękawy swetra, w ogóle nie widać było jej rąk. Bluzka pod spodem cała pomarszczona.

– Te ubrania robią chyba dla olbrzymów – zaczęła narzekać pani Lefkowitz, potrząsając w stronę Maggie pięścią schowaną w rękawie. – Popatrz na to!

Maggie zrobiła krok do tyłu, oceniając całość. Potem podeszła do pani Lefkowitz i zrolowała spódnicę w talii tak, by sięgała tuż ponad kolana. Podwinęła rękawy, ściągnęła bluzkę i włożyła ją do spódnicy. Kapelusz

znalazł się na głowie.

- Proszę – powiedziała i odwróciła panią Lefkowitz w stronę lustra.
- No, i jak?

Pani Lefkowitz rozwarła usta z zamiarem wyrażenia sprzeciwu, chcąc powiedzieć, że wygląda okropnie i że to w ogóle nie był dobry pomysł. Potem jednak prędko je zamknęła.

- O! – zdumiała się.
- Rozumie pani? – zapytała Maggie.

Pani Lefkowitz skinęła powoli.

- Kolor – stwierdziła.
- Właśnie! – ucieszyła się Maggie, a Ella nigdy nie widziała jej bardziej podekscytowanej, ożywionej i szczęśliwej. – Nie leży idealnie, ale ten kolor, pomyślałam, że pasuje do pani oczu, no i wiem, że lubi pani różowy.

– Nieźle, wcale nieźle – powiedziała pani Lefkowitz i nie zabrzmiało to ani opryskliwie, ani zrzędlawie. Pani Lefkowitz była zachwycona swoim odbiciem w lustrze, patrzyła na swoje błyszczące niebieskie oczy na tle bladego różu. Maggie zastanawiała się, co staruszka widziała? Może siebie – jako młodą kobietę, właśnie poślubioną, stojącą na schodach synagogi i trzymającą za rękę świeżo upieczonego męża.

– No, więc to jest kreacja numer jeden – Maggie delikatnie odciągnęła panią Lefkowitz od lustra.

– Biorę ją! – zawołała pani Lefkowitz.

– O, nie! – roześmiała się Maggie. – Musi pani zobaczyć, co jeszcze przygotowałam.

– Ale ja chcę to! – upierała się pani Lefkowitz, kurczowo przyciskając kapelusz do głowy – Nie chcę niczego przymierzać, chcę to! –

spojrzała na swoje gołe stopy. – Jakie buty pasowałyby najlepiej? Pomożesz mi znaleźć buty? I może coś na szyję? – dotknęła rękami swoich obojczyków. – Mój pierwszy mąż dał mi kiedyś sznur pereł...

– Następna kreacja – Maggie apodyktycznie wepchnęła panią Lefkowitz z powrotem do sypialni.

Kreacja Numer Dwa składała się z długiej, wąskiej sukienki bez rękawów wykonanej z czarnego, seksownego syntetyku, w miarę ciężkiego, tak że dawał się elegancko udrapować. Znalazła ją na wyprzedazy w Marshallu i połączyła z czarno– srebrnym szalem z czarnymi frędzelkami na końcach.

– U la la! – zawołała pani Lefkowitz wkładając sukienkę przez głowę i wolnym krokiem wchodząc do salonu, potrząsając przy tym nieco dwuznacznie i bardzo sugestywnie końcami szala. – Wyzywająca! Czuję się ekstrawagancko!

– Seksy! – krzyknęła Ella.

– Bardzo ładnie – powiedziała Maggie, przyglądając się jej dokładnie. Sukienka opadała prosto, sugerując raczej zarys talii i bioder zamiast przylegać do nich ściśle. Dzięki temu pani Lefkowitz zyskała niezłą figurę. Obcasy wydawały się koniecznością, żeby wydłużyć sylwetkę, ale Maggie nie była przekonana, czy osiemdziesięciosiedmioletnia kobieta na szpilkach to dobry pomysł. Może coś w rodzaju baetek na płaskim obcasie, pomyślała.

– Co dalej? – zapytała Ella, klaskając w dłonie.

Kreacja Numer Trzy była faworytką Maggie, zapewne dlatego, że najtrudniej było ją znaleźć. Żakiet wypatrzyła na nieźle zakamuflowanym gdzieś z tyłu wieszaku w sklepie z używaną odzieżą w aż nazbyt modnej dzielnicy South Beach.

– Szyty ręcznie – zapewniła ją ekspedientka. Co, jak sądziła Maggie, miało uzasadnić cenę stu sześćdziesięciu dolarów widniejącą na metce. Na pierwszy rzut oka wyglądał na normalny, czarny żakiet do bioder – nic specjalnego. Ale rękawy ozdobione zostały zawijasami czarnego haftu, a kieszenie – również wyszywane – ułożone były pod ciekawym kątem, który miał za zadanie stworzyć iluzję talii tam, gdzie jej w rzeczywistości nie było. Najlepsze jednak było to, że żakiet miał fioletową podszewkę, więc Maggie dodała do niego długą, fioletową spódnicę i czarną bluzkę.

– Proszę – powiedziała prezentując trzy części razem na wieszaku, by pani Lefkowitz zobaczyła, o co jej chodzi.

Ale pani Lefkowitz ledwie spojrzała, wyrywając wieszak z rąk Maggie i spiesząc do sypialni... I czy to tylko wyobraźnia Elli, czy też nuciła coś pod nosem?

Wychodząc z sypialni praktycznie podskakiwała – o ile osoba po wylewie może w ogóle podskakiwać.

– Udało ci się! – wykrzyknęła i pocałowała Maggie ostrożnie w policzek, podczas gdy Ella rozpromieniona siedziała na swojej kanapie. Maggie przyjrzała się jej. Spódnica nie była doskonała – nie układała się najlepiej i odcień czerni był inny niż żakietu – a bluzka była po prostu w porządku i nic ponadto – za to żakiet był naprawdę piękny. Pani Lefkowitz wydawała się w nim wyższa, dodawał też krągłości jej figurze i...

– Wyglądam świetnie – powiedziała pani Lefkowitz, studiując swoje odbicie w lustrze i wydając się nie zauważać opadającego kącika ust, a także faktu, że jej lewa ręka wciąż zgięta była pod dziwnym kątem. Przyglądała się sobie chwilę, a potem złapała kapelusz z Kreacji Numer Jeden i włożyła sobie na głowę.

– O nie, nie, nie – zawołała Maggie, śmiejąc się.

– Ale on mi pasuje! – zatroskała się starsza pani. – Mogę go zatrzymać?

– Jest ze szkoły – powiedziała Maggie.

– O, ze szkoły – powtórzyła pani Lefkowitz i zrobiła taką smutną minę, że Ella roześmiała się.

– No, więc która? – zapytała Maggie. A pani Lefkowitz, wciąż jeszcze w wyszywanym żakiecie, spojrzała na nią, jakby ta oszalała. – Wszystkie trzy, oczywiście – odparła. – Różową założę do kościoła, czarną sukienkę na przyjęcie, a to – powiedziała spoglądając do lustra – włożę na następną wizytę u doktora Parese.

Ella ponownie wybuchnęła śmiechem.

– Co takiego? Jak to?

– Bo – wyjaśniła pani Lefkowitz – to po prostu fantastyczny facet!

– Nie jest żonaty? – zapytała Maggie.

– Och, ma mleko pod wąsem – pani Lefkowitz zamachała ręką i zatrzymała ją w połowie ruchu, żeby podziwiać haft na rękawie. – Dziękuję ci, Maggie. Wspaniale się spisałaś.

Potem poszła przebrać się do sypialni. Maggie zaczęła wieszać ubrania z powrotem na wieszaki.

Ella przyglądała się jej przez chwilę.

– Mam pomysł – powiedziała. – Uważam, że to właśnie powinnaś robić. Pomagać innym ludziom właściwie się ubrać.

Maggie znieruchomiała w trakcie wieszania różowego swetra.

– Co masz na myśli?

– Po prostu, jest tu sporo starszych pań, dla których wycieczka do sklepu to spory wysiłek, a jeszcze trudniej znaleźć im coś odpowiedniego, nawet gdy już się tam dostaną. A każdy ma jakieś okazje. Śluby, ukończenie

szkoły, rocznice...

– To była po prostu przyjacielska przysługa. Ogólnie jestem trochę zajęta, szkoła, sklep i...

– Założę się, że ludzie by zapłacili – podpuszczała ją Ella.

Maggie ponownie znieruchomiała, tym razem nad bluzką.

– Naprawdę?

– Oczywiście! Nie chcesz chyba pracować za darmo?

– Jak sądzisz, ile mogłoby to kosztować?

Ella położyła palec na górnej wardze i spojrzała na sufit.

– Może procent od ceny? – zaproponowała.

Maggie zmarszczyła brwi.

– Nie najlepiej radzę sobie z procentami...

– Albo stała stawka – powiedziała Ella. – Tak byłoby nawet lepiej, bo jeśli wysokość rachunku zależałaby od ceny, wszystkie dusigrosze posądzałyby cię, że chcesz im wcisnąć najdroższe rzeczy. Ile zajęło ci znalezienie tego wszystkiego?

Maggie przygryzła wargę, zastanawiając się.

– Około dziesięciu godzin.

– Więc stawka mogłaby wynosić piętnaście dolarów za godzinę.

– Naprawdę? To dużo więcej niż zarabiam w sklepie z bajglami...

– To trochę trudniejsze niż krojenie pieczywa i robienie tostów, nie uważasz? – zapytała Ella.

– I wierz mi, kobiety tutaj mogą sporo zapłacić – dodała pani Lefkowitz, na powrót w swojej różowej bluzie, sama zaróżowiona i zadowolona. – Z całym tym narzekaniem na swoje dochody, za taką kreację, jak ta, ochoczo zapłacą.

Teraz Ella zobaczyła, jak oczy jej wnuczki rozświetlają się. Maggie



promieniała.

– Naprawdę mogłabym to robić? – zapytała. – Myślicie, że udałoby się? Musiałabym dać ogłoszenie... Przydałby się samochód...

– Spokojnie – powiedziała Ella. – Nie musisz od razu skakać na głęboką wodę. Najpierw zanurz jedną stopę i zobacz, jak ci się to podoba.

– Ale ja to już wiem! – wykrzyknęła Maggie. – Uwielbiam zakupy, uwielbiam doradzać innym, jak mają się ubrać... Po prostu nie mogę uwierzyć... Naprawdę myślicie, że ktoś by mi za to zapłacił?

Pani Lefkowitz uśmiechnęła się, otworzyła swoją przepastną torbę, wyciągnęła książeczkę czekową i swoją drżącą ręką powoli wypisała Maggie Feller czek na sumę stu pięćdziesięciu dolarów.

– Ja myślę, że tak – powiedziała.

Patrząc z perspektywy czasu, te mimozы to był błąd, myślała Rose.

Chciała to powiedzieć Amy, ale słowa: „nie powinniśmy zamawiać tych mimoz” wydostały się z jej ust jako przesiąknięty szampanem bełkot.

– Nie powinszmy zamawiacz tych mimosz – wysepleniła. Amy, która ewidentnie doskonale ją zrozumiała, przytaknęła energicznie i przywołała barmana.

– Jeszcze dwie mimozы – powiedziała.

– W tej minucie – odparł barman. Czemu znowu wszystko wyszło nie tak? Kiedy to się zaczęło? – zastanawiała się Rose. Prawdopodobnie tego dnia, gdy dostała zaproszenie na przyjęcie, które Sydelle Feller zdecydowała się wydać z okazji jej ślubu.

Sydelle podjęła decyzję jeszcze kilka tygodni przed listem Maggie i rewelacjami na temat babci. Zaproszenie wydrukowane zostało na kredowym, kremowym papierze o złoconych brzegach i wykaligrafowane tak ozdobnie, że odczytanie jego treści graniczyło z cudem.

– Kto zaprasza? – zapytała Amy. – Lord i Lady Dupekson?

– Nawet nie chce mi się iść – powiedziała Rose. – Chcę pojechać na Florydę i poznać w końcu moją babcie.

– Dzwoniłaś?

– Jeszcze nie. Ciągle myślę nad tym, co powiedzieć.

– Hmm, jak już babcia podniesie słuchawkę, powiesz: „dzień dobry” – poradziła Amy – A jeśli odbierze Maggie, powiesz jej, że jeśli jeszcze kiedykolwiek spróbuje przespać się z twoim chłopakiem, to wykopiesz jej tyłek rozmiar zero stąd do Elizabeth w New Jersey. Tylko postaraj się nie pomylić osób.

– Najpierw przyjęcie, potem babcia – postanowiła Rose. I wyznaczonego dnia zebrała całą swoją odwagę, ogoliła nogi i o wyznaczonej godzinie stawiała się w wyznaczonej restauracji, gdzie zobaczyła dokładnie jedną swoją przyjaciółkę i trzy tuziny przyjaciół Sydelle czekających, by wznieść toast za przyszłą pannę młodą.

– Rose – zaczęła Sydelle, przybierając wielkopańską pozę i wstając, by ją przywitać. Wszelkie oznaki słabości, które swego czasu dostrzegła na twarzy macochy, zniknęły bez śladu, schowane dokładnie pod kolejnymi warstwami makijażu, znajomym, pogardliwym spojrzeniem i nieskazitelnym krojem jej kreacji.

– Chodź, przywitaj się z moimi przyjaciółmi – powiedziała Sydelle, truchtem przebiegając z Rose wśród swoich kumpelek, z których wszystkie, tak Rose się wydawało, miały identyczne pasemka na identycznie równo podciętych włosach i świeżo zrobione powieki.

„Chodzą do tego samego chirurga i tego samego fryzjera”, pomyślała Rose, gdy Sydelle przedstawiała jej wszystkich.

– No, i Moja Marcia – ogłosiła Sydelle, prowadząc ją w stronę przyrodniej siostry, która siedziała z kwaśną miną, długimi, kręconymi włosami i gigantycznym krzyżem ze złota i brylantów na piersiach.

Marcia pomachała słabo do Rose i wróciła do wypytywania kelnerki, czy w naleśnikach jest rafinowany cukier, podczas gdy jej czteroletni synowie, Jason i Alexander, trenowali pod stołem zapasy.

– Co u ciebie? – zapytała uprzejmie Rose.

– Jestem błogosławiona – odpowiedziała Moja Marcia. Na twarzy Sydelle pojawił się grymas. Rose przełknęła łyk mimozy, przyjęła nową porcję i czym prędzej poszła do Amy.

– Ratuj mnie – szepnęła, gdy Sydelle w tym czasie terkotała w oddali

(„Zaprosiłabym więcej znajomych Rose – podsłuchała macochę – ale wygląda na to, że ich nie ma! ”).

Amy wręczyła jej drinka.

– Uśmiechnij się – poradziła szeptem. Rose wyszczerzyła zęby Sydelle przycisnęła wiercących się wnuków do swojej nierzucającej się w oczy piersi, wstała i ogłosiła:

– Dla tych z nas, którzy znają Rose, dzisiejszy dzień jest wyjątkowy!

Po czym, ku przerażeniu Rose, zjawiono się dwóch kelnerów z telewizorem na specjalnym stoliku na kółkach.

– Co się dzieje? – szepnęła do Amy, która wzruszyła ramionami. Sydelle posłała jej promienny uśmiech i wycelowała pilotem w ekran.

I oto oczom wszystkich ukazała Rose w klasie szóstej, z tłustymi włosami i aparatem na zębach, rzucająca do kamery gniewne spojrzenie. W sali rozległ się nieco skrepowany, śmiech gości. Rose zamknęła oczy.

– Mieliśmy pewne wątpliwości – kontynuowała Sydelle, uśmiechając się promiennie – obserwując ją w szkole i college'u, z włosami w oczach i nosem w książkach.

Znowu pilot i na ekranie pojawia się Rose na pierwszych wakacjach w college u, w zbyt ciasnych džinsach, pod którymi wyraźnie rysowały się niepotrzebnie nabyte, nadprogramowe kilogramy.

– Oczywiście, były romanse... – tym razem wszyscy mieli okazję zobaczyć Rose przed balem maturalnym, w źle dobranej różowej tunice, z dawno zapomnianym młodszym kolegą o lepkiem uśmiechu, który trzyma rękę na jej talii. – Ale z niezrozumiałych dla nas powodów nigdy jakoś się nie układało.

I znów ruch pilotem. Rose na przyjęciu z okazji czyjegoś baru micwy objadająca się eklerem. Rose z hamburgerem, z którego sok spływał jej po

ręce. Rose z profilu, potem w latach osiemdziesiątych w bluzce z poduszkami na ramionach – wyglądała mniej więcej jak zawodowy obrońca amerykańskiej drużyny futbolowej, Rose w Halloween, w przebraniu Vulcana z serialu *Star Trek*, palce rozpostarte w geście pozdrowienia pana Spocka.

– O Boże – wyszeptała Rose. – Moje zdjęcia „przed”.

– Co? – szepnęła z kolei Amy.

Rose poczuła, że wzbiera jej w piersi histeryczny śmiech.

– Myślę, że Sydelle przez lata kolekcjonowała zdjęcia „przed”, tak więc gdybym kiedykolwiek wytrzymała na jakiejś diecie i rzeczywiście schudła, będzie miała sporo zdjęć porównawczych.

– Nie mogę uwierzyć, że ona to robi! – powiedziała Amy, gdy Sydelle wyświetlała kolejne zdjęcia. Rose przysadzista, Rose nadaśana, Rose ze szczególnie spektakularnym pryszczem na czubku nosa.

– Mamo, co się stało tej pani? – zapytał Jason lub Alexander, a Marcia uciszyła go.

– Teraz mnie zabij – Rose błagała swoją najlepszą przyjaciółkę.

– A może po prostu ogłuszę cię tylko na kilka godzin? – proponowała Amy szeptem w odpowiedzi.

– Wnieśmy więc kieliszki i wypijmy za cud miłości! – zakończyła Sydelle.

Jeszcze trochę śmiechu skrępowanych gości i niezbyt entuzjastyczny aplauz. Rose wpatrywała się w stertę prezentów, mając nadzieję, że jednym z nich okaże się zestaw noży, na który zapisał się Simon, i będzie mogła popełnić samobójstwo w toalecie dla pań.

– Rose? – zawołała Sydelle z nieodłącznym uśmiechem na twarzy.

Rose wstała i zajęła pozycję przy stercie prezentów, gdzie spędziła

następną godzinę, starając się robić wrażenie podekscytowanej widokiem misek do sałaty i mikserów, porcelany i kieliszków, najnowszej na rynku, zaawansowanej technologicznie wagi kuchennej od Sydelle z dołączoną karteczką: „Mamy nadzieję, że okaże się przydatna”, przy czym słowo przydatna zostało podkreślone podwójną linią.

– Tupperware! – powiedziała Rose tonem wskazującym, że całe życie czekała, aby ktoś ofiarował jej piętnaście plastikowych, zamykanych pojemników. – Cudownie!

– Jakie praktyczne! – dodała Sydelle i z uśmiechem wręczyła Rose kolejne pudło.

– Wirówka do sałaty! – zawołała Rose uśmiechając się tak, że bolała ją cała twarz. „Nie przeżyję tego”, pomyślała.

– Wirówka do sałaty – powtórzyła Amy, zapisując prezent i ofiarodawcę, i przyczepiając kolejną kokardkę do papierowego kapelusza, co do którego Rose zdecydowała już, że go nie założy.

– Czyż to nie cudowne! – roztkliwiała się Sydelle nad kolejną pięknie opakowaną paczką. Rose z trudnością przełknęła ślinę i zaczęła ją rozpakowywać. Po pół godzinie zgromadziła trzy formy do ciasta, deskę do krojenia, pięć nakryć stołowych, dwa kryształowe wazony oraz wyjaśniła sześciu różnym kobietom przy sześciu różnych okazjach, że ona i Simon nie planują dzieci w najbliższej przyszłości.

W końcu rozpakowała ostatni prezent, ostatnia kokardka została przyczepiona do kapelusza, a całość umieszczona na czubku głowy Rose.

Amy dała nura do łazienki, a gdy wróciła, wyglądała jakby w jednej z kabin zobaczyła ducha.

– Co jest? – zapytała Rose, ściągając z głowy kapelusz.

Amy chwyciła za rękaw Rose i dwie kolejne mimozy, i pociągnęła

przyjaciółkę do kąta.

– Ta kobieta – powiedziała – karmi piersią.

– Która kobieta?

– Marcia!

Rose spojrzała na Marcję, która właśnie wróciła z łazienki z Jasonem i Alexandrem idącymi w ślad za nią.

– Nabierasz mnie? Oni mają po cztery lata.

– Wiem, co widziałam – zaperzyła się Amy.

– Co, wyciskała mleko do płatków kukurydzianych?

– Po pierwsze, nie sądzę, żeby ci chłopcy znaleźli się nawet w pobliżu jakichkolwiek płatków – odparła Amy. – Jezus by tego nie pochwalił. A po drugie, wiem, jak wygląda karmienie piersią. Pierś. Dziecko. Buzia.

Rose wypła kolejny łyk soku pomarańczowego z szampanem.

– Przynajmniej może być pewna, że mleko jest naturalne i bez konserwantów.

W tym momencie pojawiła się Sydelle Feller.

– Dziękuję za przyjęcie – Rose próbowała zagadać szybko macochę.

Sydelle objęła ją, nachylając się do jej ucha.

– Mogłabyś raz, dla odmiany, okazać wdzięczność – syknęła.

Rose cofnęła się.

– Słucham? – powiedziała zdziwiona.

– Mam nadzieję, że będziesz miała dokładnie takie wesele, na jakie zasługujesz – wycedziła Sydelle, odwracając się na pięcie i idąc w stronę drzwi. Rose zatoczyła się i opadła na krzesło, czując się całkowicie pokonana i troszkę przestraszona.

– O, mój Boże – wyszeptała. – Musiała usłyszeć, jak rozmawiamy o Marci w roli baru mlecznego.

– O, nie! – westchnęła Amy. – Tak mi przykro, przepraszam, Rose.

Rose zakryła oczy rękami.

– Hmm, zdecydowanie moje ostatnie wydanie *Nowego żydowskiego wesela* nie wspomina, że będę musiała słuchać tego typu rzeczy na przyjęciu przedślubnym.

– Nie przejmuj się nią – powiedziała Amy, podnosząc wagę kuchenną. – Hej! – zawołała wesoło. – Wiesz, że mój kciuk waży sto dwadzieścia gramów?

Po wszystkim wylądowały w taksówce razem z prezentami Rose, zostawiły je w salonie i poszły do sąsiedniego baru, gdzie utopiły swój ból w świeżo przygotowanych mimozach i pospekulowały trochę na temat tego, jak długo Sydelle zbierała te wszystkie okropne zdjęcia swojej pasierbicy i czy ma podobną serię slajdów na wypadek zamążpójścia Maggie. Rose wróciła do pustego mieszkania. Simon wyszedł, zostawiając kartkę, z której wynikało, że wyprowadza Petunię i robi zakupy na kolację. Stała pośrodku kuchni i zamknęła oczy.

– Tęsknię za mamą – szepnęła. To była prawda, w jakimś trudnym do określenia sensie. Nie chodzi o to, że tęskni za swoją mamą, ale za matką w ogóle, jakąkolwiek matką. Z matką u boku fiasko dzisiejszego przyjęcia nie wydawałoby się nawet w połowie takie okropne. Mama przytuliłaby Rose i wysłała Sydelle do tych cuchnących siarką otchłani, które ją wydały na świat. Mama dotknęłaby swoją czarodziejską różdżką czubka jej głowy i nieciekawa sukienka zamieniłaby się w doskonałą kreację ślubną. Mama wiedziałaby, jak sobie z tym wszystkim poradzić.

– Tęsknię za mamą – powiedziała jeszcze raz. Ale wymawiając głośno te słowa, uświadomiła sobie, że bardziej tęskni za Maggie. Nawet jeśli ta nie miała czarodziejskiej różdżki ani sukni ślubnej, to umiała ją



przynajmniej rozśmieszyć. Rose uśmiechnęła się leciutko, wyobrażając sobie, jak siostra wznosi mimozowy toast albo prosi Moją Marcie o odrobinę mleka do kawy. Maggie wiedziałaby, co zrobić. I Maggie, Boże miej ją w opiece, była wszystkim, co miała Rose.

– Muszę stąd wyjechać – szepnęła. Wyciągnęła z szafy walizkę i wypełniła ją rzeczami, które, jak sądziła, mogą się przydać na Florydzie – wrzuciła szorty i sandały, kostium kąpielowy, czapkę z daszkiem, pożyczony od matki Simona egzemplarz Chastity's Voyage.

Dziesięć minut spędzone w Internecie zaowocowało biletem do Fort Lauderdale za dwieście dolarów. Potem podniosła słuchawkę i wystukała numer z listu Maggie – numer, który, choć nie zdawała sobie z tego wcześniej sprawy, znała na pamięć. Gdy siostra odebrała telefon, zapomniała o proponowanej przez Amy przemowie i powiedziała po prostu:

– Maggie? To ja...

– OK! – dyrygowała Maggie. – Zająć stanowiska!

Pani Lefkowitz stała po lewej stronie wyjścia. Lewis w środku. Ella obok niego. Maggie jeździła tam i z powrotem na skuterze pani Lefkowitz, przyglądając się im badawczo.

– Tablice! – zawołała. Cała trójka podniosła przygotowane wcześniej tablice z napisami. Tablica pani Lefkowitz głosiła: „Witamy” i była w kolorze różowym. Lewis trzymał napis: „na Florydzie”, a na tablicy Elli, której wykonanie Maggie nadzorowała osobiście, można było przeczytać: „Rose”. Sama Maggie miała plakat z kompozycją plastyczną przedstawiającą róże, które powycinała z ogrodniczych czasopism pani Lefkowitz.

– Lot pięćset dwadzieścia z Filadelfii – zaanonsował głośnik. Maggie wdepnęła hamulec tak mocno, że prawie spadła ze skutera.

– Wiecie co? – powiedziała. – Myślę, że będzie lepiej, jeśli poczekać przy bagażach.

– Co? – zdumiała się Ella.

– Co ona mówi? – oburzyła się pani Lefkowitz.

Maggie wykręcała swoją tablicę w rękach i mówiła teraz bardzo szybko.

– Po prostu... Zanim wyjechałam... Rose i ja pokłóciłyśmy się. I może będzie lepiej, jeśli najpierw ja z nią porozmawiam. Sama.

– OK – zgodziła się Ella, prowadząc Lewisa i panią Lefkowitz w stronę taśmy, na której pojawiły się torby i walizki pasażerów Maggie wzięła głęboki oddech, wyprostowała ramiona i podniosła tablicę, przyglądając się uważnie pasażerom wychodzącym z samolotu.

Starsza kobieta... Starsza kobieta... Mama i berbeć, wszyscy powoli pojawiali się w przejściu... Gdzie jest Rose? Maggie położyła plakat obok siebie i wytarła ręce o spodenki. Gdy wstała, Rose właśnie przechodziła przez drzwi. Wyglądała, jakby była teraz wyższa i opalona, włosy miała rozpuszczone i dłuższe niż wtedy, gdy ostatnio się widziały, pukle spadały jej na ramiona. Dwie wykonane z emalii spinki utrzymywały je z dala od twarzy. Miała na sobie różową koszulkę z długim rękawem i krótkie spodenki w kolorze khaki, i Maggie widziała pracujące mięśnie jej nóg, gdy szła przez salę przylotów.

– Hej! – przywitała się Rose. – Ładny plakat. – wpatrywała się w coś nad głową Maggie. – Więc gdzie jest ta tajemnicza babcia?

Maggie poczuła ukłucie. Rose nie chciała wiedzieć, jak ona się miewa? Nie obchodziło jej to?

– Przy bagażach. Daj, wezmę twój plecak – powiedziała. – To wszystko, co przywiozłaś? Naprawdę dobrze wyglądasz. Ćwiczysz?

– Jeżdżę na rowerze – odparła Rose. Szła tak szybko, że Maggie musiała przejść w lekki trucht, żeby za nią nadążyć.

– Hej, zwolnij trochę!

– Chcę zobaczyć babcię – Rose nawet nie spojrzała na siostrę.

– Ona się nigdzie nie wybiera – powiedziała Maggie. Zerknęła w dół, żeby sprawdzić buty Rose i dostrzegła coś błyszczącego na lewej ręce siostry – kwadratowy brylant w platynie. – O, mój Boże! Czy to pierścionek zaręczynowy?

– Tak – potwierdziła siostra, z wzrokiem nadal utkwionym przed sobą.

Maggie czuła, jak zamiera jej serce. Tak wiele się zdarzyło, odkąd wyjechała, a ona nic o tym nie wie!

– Czy to...

– To nie on – ucięła Rose Doszły do taśmy z bagażami. Ella, Lewis i pani Lefkowitz niepewnie patrzyli na Maggie. Lewis podniósł tablicę.

– Jest! – zawołała Ella i podeszła szybko do wnuczki, Lewis i pani Lefkowitz tuż za nią.

Rose zrobiła krok naprzód i skinęła, uważnie przyglądając się twarzy Elli.

– Dzień dobry – powiedziała.

– To trwało tak długo. Zbyt długo – wzruszyła się Ella. Podeszła bliżej i Rose niezdarnie pozwoliła się jej objąć, stojąc sztywno w tym uścisku. – Witaj, kochanie. Tak się cieszę, że jesteś tutaj!

Rose skinęła.

– Dziękuję. To wszystko jest trochę dziwne...

Ella przyjrzała się wnuczce uważnie. Tymczasem Maggie zajęła na powrót swoją pozycję na skuterze pani Lefkowitz i zataczała na nim małe kółka. Wyglądała jak najmniejszy na świecie członek bractwa Shriners podczas ich parady w miniaturowych pojazdach i zasypywała siostrę tysiącem pytań i komentarzy.

– Za kogo wychodzisz? – pytała. – Gdzie kupiłeś te spinki? Podobają mi się twoje włosy!

Podjechała wprost pod stopy Rose i spojrzała na jej tenisówki.

– Hej! – oburzyła się. – Czy to nie moje?

Rose spojrzała w dół i uśmiechnęła się lekko.

– Zostawiłeś je u mnie. Nie sądziłam, że mogą ci się przydać. No, i nie wiedziałabym nawet, dokąd je wysłać. Poza tym pasują mi jak ulał.

– Chodź! – Maggie zsiadła ze skutera i poprowadziła siostrę do wyjścia. – I powiedz mi, co nowego. Kto jest tym szczęśliwcem?

– Nazywa się Simon Stein – poinformowała Rose. Podeszła do Elli, zostawiając w tyle Maggie, Lewisa i panią Lefkowitz, którzy próbowali podsłuchać strzępy ich rozmowy. Rose wyglądała zupełnie inaczej! Nie była blada ani nadęta, nie sprawiała wrażenia, jakby ktoś wsadził jej w tyłek pluskwę, a ona szukała teraz najbliższej łazienki, żeby ją wyciągnąć. Miała na sobie rzeczy, które Maggie sama mogłaby kupić, i szła szybkim, ale swobodnym krokiem. Nie była szczuplejsza, ale jej mięśnie były silniejsze i twardsze, jakby cała jej masa została przemieszona i inaczej rozłożona. Wydawała się całkowicie rozluźniona i na miejscu w swojej własnej skórze, chyba po raz pierwszy w życiu, i Maggie zastanawiała się, co było tego powodem. Simon Stein? Brzmiało znajomo. Maggie przeczesła swoją pamięć i w końcu zobaczyła zdjęcie zrobione tego wieczoru u Dave'a i Bustera. Facet w garniturze z nastroszoną czupryną, który próbował zainteresować jej siostrę firmową drużyną softballową.

– Hej, Rose! – zawołała, doganiając je. Głowy Elli i Rose nachylały się do siebie, rozmawiały cicho. Maggie poczuła gwałtowne ukłucie zazdrości. Przełknęła z trudem żal. – Więc ten facet, za którego wychodzisz! Pracuje w twojej firmie, tak?

– W mojej byłej firmie – powiedziała Rose.

– Co? Zmieniłaś pracę?

– Zmieniłam dużo więcej – Rose odparła enigmatycznie, a potem odwróciła się i poszła przed siebie, z Ellą u boku. Maggie patrzyła na nie, czując smutek i frustrację... I mając świadomość, że przecież na nic więcej nie zasługuje. Po tym, co zrobiła Rose, czy naprawdę sądziła, że siostra przybiegnie do niej na pierwsze skinienie, gotowa przebaczyć i zapomnieć? Westchnęła, podniosła plecak Rose i ruszyła za nimi.

Rose Feller czuła się jak astronauta – przynajmniej tak to sobie wyobrażała – który po przymusowym lądowaniu znalazł się na dziwnej, nowej i niezbadanej planecie. „Planeta Babcia”, pomyślała, przecierając czoło. Musiało być ponad trzydzieści stopni. Jak ktokolwiek jest w stanie to znieść?

Westchnęła, poprawiła daszek, który pożyczyła jej Ella, i poszła za Maggie w kierunku drzwi.

– Nie zapomnijcie kremu! – zawołała Ella za nimi.

– Spokojnie, wszystko pod kontrolą! – odkrzyknęła Maggie i sięgnęła do kieszeni, prezentując Rose tubkę, która się tam znajdowała. „To dziwne”, pomyślała Rose idąc rozgrzanym chodnikiem, biegnącym wzdłuż idealnie wypielegnowanych (choć niezbyt dużych) trawników Golden Acres. Ale przez te miesiące, gdy się nie widziały, jej siostrzyczce udało się w jakiś sposób zamienić w rozsądną kopię odpowiedzialnej, młodej kobiety I, co było jeszcze bardziej zadziwiające, udało jej się zaprzyjaźnić z ludźmi w starszym wieku. Rose nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Jej kontakty z osobami w wieku powyżej sześćdziesięciu pięciu lat ograniczały się do oglądanych sporadycznie powtórek Golden Girls, a odnaleziona właśnie babcia sprawiała, że Rose czuła się nieswojo. Sposób, w jaki patrzyła czy pociągała nosem, i ten wyraz twarzy, jakby za chwilę miała się rozplakać, chyba że właśnie zasypywała Rose gradem pytań. Jak wygląda jej mieszkanie? Jak poznali się z Simonem? Co najbardziej lubi jeść? Lubi koty, psy, jedno i drugie czy też ani tego, ani tamtego? Które filmy ostatnio jej się podobały? Jakie książki czyta? To było jak randka w ciemno, ale bez perspektywy romansu, myślała Rose. Było podniecające i jednocześnie wyczerpujące.

W ich kierunku na zbyt dużym rowerze z trzema kołami pedałowiała filigranowa starsza pani.

– Maggie! – zawołała radośnie.

– Dzień dobry, pani Norton – ukłoniła się jej siostra. – Jak tam biodro?

– Całkiem nieźle, dziękuję – odpowiedziała starsza kobieta.

Rose zamruwała oślepiona słońcem i próbowała zrozumieć to, co słyszała i widziała, ale jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło jej do głowy, to to, że jej siostra została poddana praniu mózgu albo ukradziono jej zwłoki i teraz jej ciało służy innej osobie. I jak udało jej się przetrwać w tym miejscu, bez stałego dopływu mężczyzn, którzy nie chodzili o lasce i nie mieli prawników? Kto z nią flirtował, kto kupował jej drinki i dawał pieniądze na manikiur, i stale potwierdzał jej opinię o własnej wartości i urodzie? Rose pokręciła głową z niedowierzaniem, skinęła pani Norton i jej biodru, po czym podążyła w ślad za siostrą w kierunku basenu. Planowała, że okaże Maggie swoją wściekłość, ale teraz czuła się po prostu zdezorientowana, jakby dziewczyna, którą była gotowa zabić, w ogóle już nie istniała.

– OK, więc wytłumacz mi to jeszcze raz – powiedziała.

– To moi znajomi z basenu, jeśli tak można powiedzieć – wyjaśniła Maggie. – Z Dorą jest najprościej, bo jest jedyną kobietą i zasadniczo nie przestaje gadać.

– Dora... – powtórzyła Rose.

– Była jedną z moich pierwszych klientek – kontynuowała Maggie.

– Klientek? – zdziwiła się Rose. – Co robisz? Masaże?

– Nie, nie – zaprzeczyła nerwowo Maggie. – Zakupy na zamówienie.

Pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła jedną z wizytówek, które pani Lefkowitz wysmażyła na swoim komputerze. „Maggie Feller, To Co Lubisz,

zakupy na zamówienie” – głosiła krótka notka.

– To moje hasło reklamowe – pochwaliła się Maggie. – Zawsze pytam klientkę, w co najbardziej lubi czy lubiła się ubierać, a potem gdy idę do sklepu, staram się kupić coś takiego, co da jej podobne odczucie jak ta ulubiona rzecz. Na przykład jeśli najbardziej lubiłaś chodzić w swojej niebieskiej, lnianej sukience na ramiączkach, niekoniecznie kupuję ci niebieską, lnianą sukienkę na ramiączkach, ale staram się znaleźć coś, w czym poczujesz się tak, jak w tej sukience.

– Dobre – powiedziała Rose. I musiała przyznać, że naprawdę brzmiało to nieźle. Jeśli było coś, w czym Maggie zawsze była dobra, to właśnie właściwy dobór ubrań. – No, więc kto jeszcze będzie?

– No, właśnie, Jack, który, jak mi się wydaje, podkochuje się w Dorze, bo ciągle ją obraża. To ten, który był księgowym i pomoże mi z firmą. Potem Herman – ciągnęła Maggie. – Nie mówi zbyt dużo, ale jest miły.. I ma obsesję na punkcie tatuaży.

– Ma jakieś? – zapytała Rose.

– Nie sędzę. Choć nie sprawdzałam dokładnie. Ale oni wszystko o tobie wiedzą.

Rose zastanowiła się, co to konkretnie znaczyło. Co Maggie mogła o niej opowiedzieć?

– Co na przykład?

– No, wiesz, gdzie mieszkasz, co robisz. Powiedziałabym im, że się zaręczyłaś – dodała – ale dla mnie to też była nowina. Kiedy ślub?

– W maju.

– Jak przebiegają przygotowania? Wszystko pod kontrolą?

Rose poczuła, że sztywnieje.

– W porządku – odparła szorstko. Maggie sprawiała wrażenie



urazonej, ale zamiast wpaść w szal, nabzdyczyć się albo nadaśać i odmaszerować, tylko lekko wzruszyła ramionami.

– No, cóż, jeśli będziesz potrzebować pomocy profesjonalistki – powiedziała – wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Wezmę to pod uwagę – zapewniła ją Rose. A potem pojawili się oni – Jack, który bacznie im się przyglądał mrużąc oczy, Dora, która była niska, okrągła i wyrzucała z siebie rekordową ilość słów na minutę, wymachując przy tym gorączkowo rękami, oraz Herman, który uważnie studiował nagie ramiona i nogi Rose, niewątpliwie poszukując interesujących go modyfikacji. Maggie pomachała na przywitanie, idąc w ich kierunku. Rose z niedowierzaniem pokręciła głową i rozłożyła ręcznik na jednym z metalowych, trzeszczących leżaków.

„Spokojnie”, upomniała się surowo, układając usta w uśmiech i stąpając po gorącym betonie wyszła naprzeciw nowym przyjaciołom Maggie.

– Będzie wam tu wygodnie we dwie? – zapytała Ella. Rozkładana kanapa, która w zupełności wystarczała Maggie, teraz, gdy miała pomieścić dwie młode kobiety, wydała się nagle zbyt mała.

– Oczywiście – powiedziała Rose, rozkładając czyste prześcieradło.

Czuła się oszołomiona i półprzytomna (oraz lekko poparzona) po tym pierwszym dniu spędzonym na Florydzie. Razem z Maggie zabawiły na basenie, potem zjadły wczesną kolację z Lewisem, który był bardzo miły, i z Ellą, która wciąż wpatrywała się w Rose, tak że ta czuła się trochę nieswojo. Po kolacji w czwórkę oglądali telewizję, a teraz siostry znalazły się w maleńkim pokoju gościnnym. Rose zauważyła, że Maggie przejęła tutaj rządy, podobnie jak wtedy, gdy najechała jej mieszkanie, zamieniając sypialnię i werandę w biuro– buduar. Stolik do gry w karty pełny był

szkiców i notesów oraz poradników, jak założyć i prowadzić małą firmę. Znalazł tu też swoje miejsce zakupiony okazjnie manekin, na którym Maggie udrapowała próbki różnych materiałów – kawałek satyny koloru kości słoniowej ozdobionej frędzlami czy śliwkowy szyfon. Były też jakże znajomo wyglądające sterty ubrań i kosmetyków, wraz z nieznajomo wyglądającymi stosami książek. Rose podniosła jedną z nich. Podróże, W S. Merwin. Pamięta to z college'u, pomyślała, wertując kartki z oślimi uszami, z których wiele ozdobionych zostało niedbałymi gryzmołami siostry.

– Czytasz poezję? – zapytała.

Maggie dumnie pokiwała głową.

– Bardzo to lubię – powiedziała. Wzięła jedną z książek. – To wiersz Rilki.

– Rilkego – poprawiła ją Rose.

Maggie machnęła ręką.

– Niech będzie – odchrząknęła. – *Do snu* – przeczytała i zaczęła recytować:

*Chciałbym tak kogoś utulać i przy kimś siedzieć, gdzieś hen...*

*Chciałbym cię pieścić i lulać, z tobą iść ze snu i w sen.*

*Chciałbym jedynym być w tym domu, wiedzącym: mroźny był czas.*

*I podsłuchiwać chciałbym po kryjomu i ciebie i świat i las. – Zegary wołają się z wieży i widać czas aż do dna.*

*Na dole jeszcze obcy pan bieży i straszy obcego psa.*

*A za tym cisza rośnie. Ogromnie na twoim składam oczy śnie; trzymają cię słodko i puszcza niepomnie, gdy w czarnej głębi coś tam drgnie.*

Kiwnęła głową zadowolona, gdy Rose patrzyła na nią z otwartymi ustami.

– Jak?... Gdzie?... – nie mogła wyjść ze zdumienia. Ukradli jej ciało,

pomyślała ponownie. W niewyjaśniony sposób chciwa, obsesyjna, szukająca sławy i wykradająca buty dusza Maggie została wyssana i zastąpiona Rilkiem.

– Najbardziej lubię ten fragment o psie – powiedziała Maggie. – Przypomina mi Misie– Pysię.

– A mnie Petunię – westchnęła Rose. – Tego małego mopsa, którego u mnie zostawiłaś.

– A właśnie – zainteresowała się Maggie. – Co u niej?

– Wszystko dobrze – odpowiedziała szorstko Rose, przypominając sobie, jak Maggie zostawiła ją z psem i całym tym bałaganem, oraz z niezatartym obrazem siebie cudzołożącej z Jimem Danversem.

Umyła zęby i twarz i położyła się, przywierając do rozkładanego materaca, tyłem do siostry.

– Tylko mnie nie kop – ostrzegła Maggie. – W ogóle nie życzę sobie żadnego kontaktu fizycznego.

– Nie ma sprawy. Dobranoc.

– Dobranoc.

Cisza, a w tle kumkanie żab. Rose zamknęła oczy.

– A więc! – odezwała się wesoło Maggie. – Wychodzisz za Simona Steina!

Rose jęknęła. Zdążyła zapomnieć, że Maggie zawsze tak właśnie postępowała. Mówiła, że idzie spać, wskakiwała do łóżka, wyłączała światło, ziewała, rozciągała się, mówiła „dobranoc”, robiąc przekonujące wrażenie, że ma zamiar zasnąć, a w chwili, gdy właśnie miałaś zapaść w sen, zaczynała rozmowę.

– Czy nie omówiliśmy tego przy kolacji?

Maggie nie zareagowała.

– Pamiętam go z tej imprezy – ciągnęła. – Był milutki! Niski, ale milutki. Opowiedz mi, jakie będzie wesele.

– Małe – oszczędnie odparła Rose, która uznała, że im krótsze odpowiedzi, tym lepiej na tym wyjdzie. – Sydelle pomaga.

– O nie! Katastrofa zapewniona. Pamiętasz wesele Mojej Marci?

– Mgliście – przyznała Rose. – Byłam tylko w synagodze.

Sydelle jak zwykle pomyślała wtedy o wszystkim i ustaliła datę ślubu Mojej Marci na tydzień egzaminów końcowych w szkole prawniczej. Rose została więc do przysięgi, a potem wymknęła się do domu, żeby się pouczyć.

– Och! Mój Boże... – wyszeptała Maggie. – Nadawałoby się dla kanału Foxa. *Najgorsze śluby Ameryki.*

– Widziałam zdjęcia. Wyglądało pięknie. – Rose zaczęła jednak podejrzewać, że z weselem Mojej Marci wiązała się jakaś tajemnica, coś, o czym Sydelle i ojciec nie chcieli rozmawiać.

– Zauważyłaś – zapytała Maggie – że na żadnym ze zdjęć nie widać stóp?

Rose nie mogła sobie przypomnieć.

– Powiem ci, dlaczego. Przyjęcie odbywało się w ogrodzie tego modnego, ekskluzywnego klubu za miastem, pamiętasz?

– Siver Glen.

– Silver Glen, Silver Lake, coś z Silver – zniecierpliwiła się Maggie. I było faktycznie pięknie – ogród, trawa, wszystko – z wyjątkiem automatycznych zraszaczy, które się zacięły, a nie mieli tam podłogi ani żadnego podestu, więc pod stopami mieliśmy około piętnastu centymetrów błota. Stoły zaczęły się zapadać, a na dodatek było okropnie zimno...

– Żartujesz! – oburzyła się Rose.

– Skąd! – powiedziała radośnie Maggie. – Moja Marcia wyplakiwała oczy w łazience – Maggie zmieniła ton i zaczęła kwilić: – „Mój jedyny, szczególny, wyjątkowy dzień! Wszystko na nic... Wszystko zmarnowane”...

– O, Boże! – wyjąkała Rose, która zaczynała czuć mdłości oraz, do pewnego stopnia, współczucie dla Mojej Marci.

– To nie wszystko! – kontynuowała Maggie. – Sydelle zapomniała załatwić pozwolenie na parking, więc wszyscy musieli co jakiś czas biegać, żeby przestawić samochód. Potem nagle zraszacze znowu się włączyły, w środku ich pierwszego tańca, i wszyscy się rozpierzchli. I – zakończyła – zapomnieli o miejscu dla mnie, więc siedziałam z zespołem. Dostaliśmy gotowy lunch w pudełku zamiast bażantów w pomarańczach.

Rose zdecydowała, że brak miejsca przy stole dla Maggie prawdopodobnie nie był przypadkiem, ale postanowiła nie mówić tego głośno.

– To był horror – zakończyła wesoło Maggie. – Ale bar był otwarty. Jedyna rekompensata. Zamówiłam kilka naprawdę niezłych koktajli.

– Wyobrażam sobie – z przekąsem skomentowała Rose.

– Była parada drinków ze mną w roli Mistrza Ceremonii – ciągnęła Maggie.

– Miałaś już wtedy dwadzieścia jeden lat?

– Niezupełnie – Maggie nagle zmieniła temat. – No, więc, co jeszcze słychać u ciebie?

– Niewiele – powiedziała smutno Rose. Co nie było prawdą, wiedziała o tym, ale po co miałyby opowiadać Maggie o fatalnym przyjęciu, kłótni z ojcem czy niespodziewanym spotkaniu z Jimem Danversem? Jeszcze nie czas. Przecież musiała najpierw odkryć, co wpłynęło na tę cudowną przemianę Maggie w odpowiedzialną, niestarającą się być za wszelką cenę w centrum uwagi, mającą pracę mieszkankę Golden Acres,

doceniającą i przyjaźniącą się z innymi, starszymi mieszkańcami tegoż osiedla.

– Powiedz coś o weselu. Będą druhny?

Nastąpił krótki moment napiętej ciszy.

– Tylko Amy, tak myślę – odparła Rose. – I ty, jak sądzę. Jeśli chcesz.

– Pytanie, czy ty chcesz, żebym była twoją druhną.

– Nie zależy mi specjalnie na tym wszystkim – wykręcała się Rose. – Jeśli chcesz wziąć w tym udział, to przecież możesz.

– No, wiesz, to twój ślub – odrzekła Maggie. – Powinno ci zależeć.

– Ciągłe mi to wszyscy powtarzają.

– No, tak – skrzywiła się Maggie. – Dobranoc.

– Dobranoc – powiedziała Rose.

– Dobranoc – powtórzyła Maggie. Cisza.

– Rose? – zaczęła jeszcze raz Maggie. – Rose, czy mogłabyś mi przynieść szklanek wody z jedną kostką lodu?

– Sama sobie przynieś – ucięła Rose. Ale już gdy to mówiła, wstała, uświadamiając sobie, że o tym także zapomniała; zawsze przynosiła Maggie wodę. Odkąd były zupełnie małe. Gdy ta mieszkała u niej, prawie codziennie wieczorem przynosiła Maggie szklanek wody. I prawdopodobnie gdy będą już po osiemdziesiątce, przeżyją swoich mężów, przejdą na emeryturę i przeniosą się do jakiejś przyszłościowej wersji Golden Acres z roku 2060, ona wciąż będzie przynosić swojej siostrzyczce szklanek wody z jedną kostką lodu.

Gdy Rose wróciła do łóżka, coś lśniło na jej poduszce. Spojrzała uważnie, myśląc, że może to jakiś robak. Ale nie. To kwadratowa czekoladka w błyszczącym papierku.

- Jak w najlepszych hotelach – powiedziała Maggie.
- Śpij! – nakazała Rose.
- Dobrze, już dobrze – odparła Maggie. Ale zanim faktycznie zamknęła oczy, położyła czekoladkę na stoliku nocnym tak, żeby była pierwszą rzeczą, którą jej siostra zobaczy rano po przebudzeniu.

W swojej sypialni Ella wzięła głębszy oddech, uświadamiając sobie w tym momencie, że wcześniej ciągle go wstrzymywała, i wygodniej ułożyła się w swoim łóżku. W głowie kręciło jej się od pytań. O co chodziło z Sydelle? Kim była Moja Marcia? Dlaczego Rose właściwie nie rozmawiała z Maggie? Dlaczego Maggie wykazywała tyle determinacji, żeby zadowolić siostrę? Czy rzeczywiście ślub odbędzie się bez Maggie? Czy zaproszą Ellę? Przygryzła wargę i zamknęła oczy. Coś się wydarzyło, Ella była pewna. Przecież musiała istnieć jakaś przyczyna, dla której Maggie wyprowadziła się od Rose i pojechała do Princeton, przyczyna, dla której nie rozmawiała z jedyłą siostrą przez dziesięć miesięcy.

- Daj im czas – powiedział Lewis.
- Spróbuję – szepnęła do siebie i posłała dwa całusy w kierunku pokoju wnuczek.

Rose włożyła rękę w rękawicy do garnka z gotującymi się indyjskimi nogami, wyciągnęła jedną z nich i zaczęła obierać mięso.

– Bardzo ci dziękuję, że przyszedł – powiedziała Ella, która stała za Rose obierając marchewki. Były w specjalnym pomieszczeniu w synagodze, gdzie co piątek przygotowywano lunch dla bezdomnych. – Jesteś pewna, że to ci odpowiada?

– Jestem – odparła Rose. – To lepsze niż cebula, prawda?

– Zgadza się! – wykrzyknęła Ella, w głębi ducha krzywiąc się na swój zbyt entuzjastyczny i głośny ton. Wróciła do marchewek, bardzo starając się nie przyglądać swojej starszej wnuczce.

Rose była na Florydzie od trzech dni i ciągle stanowiła dla Elli zagadkę. Na wszystkie pytania odpowiadała grzecznie i wyczerpująco, zadawała też sporo własnych, większość z nich sformułowana była tak, że łatwo można odgadnąć, iż między innymi w ten sposób zarabia na życie. Lub raczej zarabiała, ponieważ Rose wyjaśniła wszystkim, że chwilowo robi sobie przerwę w swojej karierze prawniczej.

– Co masz na myśli, mówiąc „przerwa”? – zapytała Maggie.

– Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałam. Przerwę – odparła Rose, nie patrząc na siostrę. Ella wiedziała, że między nimi wydarzyło się coś złego. Ale nie potrafiła odgadnąć, co, a Maggie nie puszczała pary z ust na ten temat. Za to chodziła za siostrą po Golden Acres jak zagubiony szczeniak.

Rose zdjęła rękawice, położyła dłonie na biodrach i przeciągnęła się, kręcąc szyją. Nawet w siateczce na włosach jej wnuczka była piękna, zdecydowała Ella. Wyobrażała sobie, że tak właśnie wygląda bohaterka



biblijna – wysoka, silna i stanowcza, mocne ramiona i zręczne ręce.

– Dobrze się czujesz?

Rose westchnęła.

– Indyk skończony.

– Zróbmy sobie przerwę – powiedziała Ella. Przeszły do karcianego stolika w rogu, gdzie siedziała pani Lefkowitz czytając ostatnie wydanie „Hello!” (jako że, tak twierdziła, plotki z Anglii zawsze były ciekawsze).

– Przyszła panna młoda – pozdrowiła Rose. Rose uśmiechnęła się niewyraźnie i usiadła na rozkładanym krześle.

– Posłuchajmy o weselu! – zaproponowała pani Lefkowitz. – Masz już sukienkę?

Rose wzdrygnęła się.

– Wesele... Yhm... No, tak, Sydelle mi pomaga.

– Sydelle?

– Moja macocha – wyjaśniła Rose. – Cruella De Vil z Cherry Hill. – Spojrzała na Ellę. – Jaki był ślub mamy?

– Skromny – odpowiedziała Ella. – Sami go zaplanowali. Wzięli ślub w gabinecie rabina, w czwartek po południu. Chciałam pomóc urządzić wesele... Ale Caroline nie chciała wiele, a twój ojciec nie chciał niczego, czego nie chciała Caroline.

– Brzmi znajomo – skomentowała Rose. – Ojciec nie... – ugryzła się w język. – Nie jest zbyt stanowczy.

„Z wyjątkiem postanowienia, żeby wyrzucić mnie z waszego życia”, pomyślała Ella.

– Kochał waszą mamę – powiedziała głośno. – Każdy to widział, wystarczyło na nich spojrzeć. Chciał się nią opiekować, dać jej szczęście.

– Chcę porozmawiać o twoim ślubie! – pani Lefkowitz tymczasem

odłożyła brukowe sprawozdanie z ostatniego flirtu Fergie. – Chcę wiedzieć wszystko!

Rose westchnęła.

– Nie ma tego zbyt wiele, naprawdę. Został zaplanowany przez potwora, który całkowicie ignoruje mnie, gdy mówię, czego chcemy Simon i ja, i próbuje wcisnąć nam swoje pomysły do gardła.

– Cytryna – pani Lefkowitz pokiwała głową. – Yhm?

– Pomyśl o owocu – kontynuowała. – Gdy wyciskasz pomarańczę, co masz w szklance?

Rose uśmiechnęła się.

– Kłopoty?

– Nie, nie, panno Sprytna. Sok pomarańczowy. Nie grapefruitowy ani jabłkowy, nie znajdziesz tam też mleka. Tylko sok pomarańczowy. Zawsze. Ludzie też tacy są. Mogą dać tylko to, co sami

mają w środku. No, więc, jeśli Sydelle sprawia wam tyle kłopotów, to znaczy, że w środku nie ma nic prócz kwasu. Daje światu to, co ma w sercu.

I po tym wywodzie pani Lefkowitz oparła się wygodnie, zadowolona z siebie.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – zapytała Ella.

– Dr Phil – pani Lefkowitz rzuciła porozumiewawcze hasło.

Ella zapamiętała, że musi sprawdzić, kto to taki doktor Phil.

– No, więc – zaciekawiała się Rose – jakim owocem jest Maggie?

– Słodkim – odparła pani Lefkowitz.

Rose roześmiała się.

– Jeśli tak pani myśli, to znaczy, że nie zna pani w ogóle mojej siostry.

– Nie jest słodka? – zdziwiła się Ella.

Rose wstała.

– Zabiera rzeczy – powiedziała. „W końcu – pomyślała Ella, gdy Rose zaczęła chodzić tam i z powrotem. – W końcu dowiemy się, o co chodzi, i co poszło nie tak”.

– Zabiera wszystko – mówiła dalej Rose łamiącym się głosem. – Nie zauważyliście? Moja siostra uważa, że ma pewne prawa. Czuje się na przykład upoważniona do zabierania rzeczy, które do niej nie należą. Ubrania, buty, pieniądze, samochody... Inne rzeczy.

„Inne rzeczy”, zakodowała Ella.

– Chyba mi nie powiecie, że przez ten cały czas, gdy tu mieszka, nic nie zginęło?

– Wydaje mi się, że nie – odparła Ella.

– Nie mamy nic, czego by potrzebowała – dodała pani Lefkowitz.

Rose pokręciła głową.

– Wynikałoby z tego, że gdy skończyła ze mną, postanowiła wstąpić na drogę cnoty.

„Inne rzeczy”, myślała Ella próbując odgadnąć, gdzie tkwiło sedno sprawy.

– Co takiego Maggie zabrała? – zapytała.

Rose szybko odwróciła głowę.

– Hm?

Ella powtórzyła pytanie.

– Myślę, że wzięła coś, co dużo dla ciebie znaczyła. Co to było?

– Nic – skrzywiła się Rose. I teraz nie była już po prostu zła, w jej głosie słychać było wściekłość. „Na Maggie”, pomyślała Ella. I może na nią też. – Nic aż tak ważnego.

– Kochanie – Ella wyciągnęła rękę. Rose zignorowała ją. – Myślę, że Maggie jest w porządku – kontynuowała. – Oszczędza, wiem na pewno, i

uwążam, że jej pomysł na firmę jest całkiem do rzeczy. Znalazła kreacje kilku osobom, które znam. Swojej znajomej Dorze, mojej sąsiadce Mavis Gold...

– Po prostu uwążajcie – zakończyła Rose. – Jeśli jeszcze niczego nie zabrała, to nie znaczy, że nie zamierza. Być może wygląda słodko, ale taka nie jest. Nie zawsze.

I wyszła z pokoju. Ella siedziała bez ruchu na swoim krześle, z otwartymi ustami.

TTLR

Dwa dni później Maggie przyglądała się Rose śpiącej na leżaku obok niej.

– Jest zmęczona – zauważyła Dora.

– Twoje spostrzeżenia są doprawdy niezwykle przenikliwe – dociął jej Jack.

– Wydaje się miła – stwierdził życzliwie Herman, co zdarzało mu się niezmiernie rzadko, pomijając kwestię tatuaży.

– Jest miła – przytaknęła Ella.

Maggie westchnęła.

– Chyba wraca do domu – powiedziała. Gdy wychodziła rano, z łazienki, słyszała, jak Rose rozmawia przez telefon. Mówiła ściszym głosem do kogoś, kto zapewne był Simonem, przepaszając go i prosząc, żeby sprawdził loty do Filadelfii.

Ale Rose nie mogła wyjechać. Nie w ten sposób. Nie, zanim Maggie nie przekona jej, że się zmieniła, że teraz będzie lepsza i że naprawdę szczerze żałuje i przepasza ją.

Odwróciła się na bok, myśląc intensywnie. Rose potrzebowała spokoju, więc Maggie zadbała o to, by codziennie mogła się zdrzemnąć, żeby na basenie panowała cisza, żeby wieczorem wyszły na spacer. Zatroszczyła się o to, by Ella przygotowywała ulubione dania Rose, włącznie z serowymi chrupkami i lodami, które Rose potajemnie uwielbiała. Gdy oglądały telewizję, zawsze to Rose trzymała pilota i Maggie nie narzekała, gdy siostra grzebała w jej książkach z biblioteki w poszukiwaniu wierszy, które pamiętała z college'u. Ale wszystkie te starania zdawały się spełzać na niczym. Rose trzymała się blisko Elli, zadając jej mnóstwo pytań

dotyczących matki, oglądając zdjęcia i towarzysząc w wypełnianiu obowiązków dobroczynnych. Były jak papużki nierozłączki, doskonała para. I Rose nie dopuszczała do tego towarzystwa Maggie. Maggie, co było jasne, jeszcze nie wybaczone.

A Maggie nie miała pojęcia, co może zrobić, by takie wybaczenie uzyskać. Oprócz przeproszenia siostry. Co czyniła bez przerwy i bez oczekiwanego rezultatu. Przecież musi być coś, co mogła dać

Rose; coś, co mogła zrobić, żeby przekonać swoją starszą siostrę, że naprawdę żałuje i że teraz będzie inaczej.

No, cóż, myślała, przewracając się na brzuch, przynajmniej Rose ma kolejnego chłopaka. Przyszłego męża. I ślub, który zapewne planuje z całą swoją bezwzględną skutecznością, którą kiedyś wykorzystywała w pracy. Maggie wyobraziła sobie listę gości wpisaną w arkusz kalkulacyjny, komputerowo wygenerowany plan sytuacyjny obrazujący rozmieszczenie weselników przy stole. Ogrodnika hodującego doskonale pąki do jej bukietu. A co z sukienką? Maggie usiadła tak gwałtownie, że wylała wodę, co spowodowało, że Dora krzyknęła, Jack zaczął ją rugać, a Ella podała ręcznik.

– Hej, Rose! – krzyknęła. Rose poderwała się ze snu i spojrzała na nią zaspanym wzrokiem. – Masz już sukienkę?

Siostra ponownie zamknęła oczy.

– Szukam – odpowiedziała.

– Śpij dalej – Maggie dała jej spokój. Wspaniale! Gdyby tylko udało jej się znaleźć odpowiednią sukienkę dla Rose. No, nie załatwiłoby to wszystkiego, ale zawsze to jakiś początek. Nawet więcej, to byłby znak – znak, że Maggie była szczerą i miała dobre intencje.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że znalezienie

odpowiedniej sukienki miałyby wymiar symboliczny. Pamiętała to z zajęć na temat mitów, w których częstym wątkiem są dalekie wyprawy; bohater wyrusza w świat na poszukiwania i wraca ze swoją zdobyczą. Może to być miecz, kielich, szklany pantofelek czy zaczarowane ziarna fasoli. Gawain i Zielony Rycerz, mówił profesor. Władca pierścieni. Po co te wszystkie przedmioty, co symbolizują? – padło pytanie. Świadomość. Gdy bohater zyskuje taką świadomość, może wtedy żyć tu na ziemi spokojnie i szczęśliwie. Hmm, Maggie nie była heroiną i nie była też pewna, czy dobrze rozumiała całą tę kwestię symbolizmu i samopoznania, ale z pewnością zna się na zakupach. Zna się na modzie i co więcej, zna swoją siostrę i jest w stanie znaleźć dla niej odpowiednią sukienkę ślubną.

Zajrzała do swojego terminarza. Była dość zajęta – szykowała się pięćdziesiąta rocznica ślubu Liebermanów, a pani Gantz, wybiera się w dalekomorski rejs – ale chyba uda jej się coś wykombinować. Gdzie zacząć? Poszuka inspiracji w dziale ślubnym u Saksa. Prawdopodobnie nie znajdzie niczego w rozmiarze Rose, ale zorientuje się przynajmniej, co proponują. Potem, jak już wymyśli mniej więcej, czego szukać, odwiedzi swoje trzy ulubione sklepy z używaną odzieżą. Pamięta, że w jednym z nich przechodziła obok sukienek ślubnych w poszukiwaniu zupełnie innej części garderoby. Więc na pewno tam są i...

– Hej! – Maggie zawołała ponownie, próbując zachować swój zwyczajny ton. – Słuchaj, Rose, jak długo zostajesz?

– Do poniedziałku – odparła Rose. Potem wstała, powoli podeszła do basenu i wskoczyła do wody.

To dawało Maggie cztery dni. Czy da radę znaleźć sukienkę ślubną – odpowiednią sukienkę ślubną – w cztery dni? Nie była pewna. Będzie musiała zacząć natychmiast.

– A twoja ulubiona rzecz, Rose? – zapytała znienacka siostrę. – W czym najbardziej lubiłaś chodzić?

Rose podpłynęła bliżej Maggie i oparła się rękami o brzeg basenu.

– W mojej niebieskiej bluzie z kapturem. Pamiętasz ją?

Maggie skinęła, czując jak zamiera jej serce. Pamiętała niebieską bluzę bardzo dobrze, bo Rose nosiła ją praktycznie non stop przez całą szóstą klasę.

– Lubię ją – powtarzała uparcie, gdy ojciec próbował namówić ją, by się rozebrała, gdy robił pranie.

– Nosiłaś ją, aż się rozleciała – wspomniała Maggie.

Rose pokiwała głową.

– Wysłuzona, stara kangurka – westchnęła z uczuciem, jakby mówiła o psie albo osobie, a nie o ubraniu. Maggie poczuła, że serce jej zamiera jeszcze bardziej. Jak miała wyczarować suknię ślubną z wysłużonej niebieskiej bluzy z zamkiem błyskawicznym z przodu i z kapturem? Będzie musiała zacząć od zera. I jeśli ma tylko cztery dni, nie da rady sama. Gdy Rose pokonywała kolejne długości basenu, Maggie przywołała Dorę, Ellę i Lewisa.

– Potrzebuję waszej pomocy. Mam pewien plan – powiedziała szeptem.

Dora przysunęła bliżej swój leżak, a oczy jej się zaświeciły.

– Fantastycznie! – ucieszyła się.

– Nie chcecie nawet dowiedzieć się, o co chodzi? – zapytała Maggie.

Dora spojrzała na Lewisa. Lewis na Ellę. Wszyscy troje spojrzeli na Maggie i z powagą pokręcili głowami.

– Nudzi nam się – stwierdziła Dora. – Chcemy coś zrobić.

– Pozwól nam pomóc – dodała Ella.



– W porządku – Maggie odwróciła kartkę swojego terminarza i w myślach zaczęła szkicować plan działania. – Powiem wam, co zrobimy.

TTLR

– Gotowy? – zapytała Ella, mocując się z teczką pełną zadrukowanych stron. – Może masz ochotę usiąść?

– Jestem stary – stęknął Lewis. – Zawsze mam ochotę usiąść.

Przysunął krzesło do swojego biurka w siedzibie „Golden Acres

Gazette” i spojrzał na Ellę wyczekująco. Ella odchrząknęła i spojrzała ma Maggie. Maggie uśmiechnęła się do niej zachęcająco i Ella zaczęła czytać wiersz, który razem napisały. *Skowyt seniora.*

*Widziałem najlepsze umysły mojego pokolenia pokonane przez*

*Te chwile starości, niestrawność, sklerozę, odziane w poliester*

*Jak z trudem, koło czwartej, docierają na miejsce zarezerwowane dla inwalidów*

*zastanawiając się, co dziś podadzą o tej, zbyt wczesnej dla reszty świata, porze.*

– Oho! – Lewis starał się nie roześmiać. – Widzę, że odkryłyście Ginsberga.

– Tak – powiedziała z dumą Maggie. – Mam nadzieję, że moje nazwisko znajdzie się w miejscu należnym autorowi.

– Współautorowi – skarciła ją Ella.

– OK, OK, jak tam sobie chcecie – zgodziła się Maggie.

– A jak tam tajna misja? – zapytał Lewis.

Twarz Maggie zachmurzyła się.

– To trudniejsze niż się spodziewałam – odparła. – Ale dam sobie radę. Wciąż chcecie mi pomóc?

– Oczywiście – zapewnił Lewis. Maggie pokiwała głową, zeskoczyła z krawędzi biurka i wzięła swoją torebkę.

– Muszę lecieć – powiedziała. – Pani Gantz czeka na kostiumy kąpielowe. Zobaczymy się w domu o czwartej.

Z uśmiechem na twarzy Ella patrzyła na Maggie, gdy ta wychodziła z biura.

– No, więc, kochanie – zaczął Lewis. – Jak tam babciowanie?

– Nieźle – powiedziała Ella. – W każdym razie lepiej. Maggie świetnie sobie radzi. Interes zaczyna się rozkręcać. Jest teraz ciągle zajęta.

– A Rose?

– No, cóż, wydaje mi się, że ślub ją trochę przeraża. I że Maggie daje jej się nieźle we znaki. Bardzo się kochają, przynajmniej tyle wiem.

Ella pamiętała, jak wcześniej, jeszcze długo przed swoim przyjazdem, Rose pojawiała się ni stąd, ni zowąd w czasie rozmowy z Maggie – chociaż nie jej imię, zauważyła Ella, a tylko jako „moja siostra”. Na przykład:

– Moja siostra i ja chodziłyśmy z ojcem na mecze.

Albo:

– Moja siostra i ja miałyśmy wspólny pokój, bo Sydelle Straszliwa kazała mi się wyprowadzić z mojego w czasie remontu.

Ella czekała na każdą najkrótszą wzmiankę, każdy skrawek rozmowy, który pozwalał jej zobaczyć je obydwie jako małe dziewczynki, szczególnie w pierwszej fazie pobytu Maggie na Florydzie, gdy ta w ogóle niewiele mówiła. Czasem Ella prawie je widziała, we wspólnym pokoju z dwoma takimi samymi łózkami obok siebie, Rose na podłodze, leży na brzuchu nad – czym? Jedną z przygód Nancy Drew, zdecydowała Ella. Co okazało się prawdą. A Maggie, jeszcze małość w – czym? Czerwonych ogrodniczkach, pomyślała Ella. Maggie skacze tam i z powrotem, tam i z powrotem, aż jej czerwone nogi i brązowe włosy zlewają się w jedną plamę i wykrzykuje:

– Zwinny! Brązowy! Lis! Przeskoczył! Leniwego psa!

– Chciałabym – zaczęła Ella i zamknęła usta. Czego chciała? –

Chciałabym je pogodzić. Chciałabym dać Maggie życie, jakiego pragnie, i powiedzieć Rose, jak poradzić sobie z macochą, po prostu... – podniosła rękę i machnęła, jakby trzymała w niej czarodziejską różdżkę.

– Naprawić to wszystko.

– Hmm, nie od tego są dziadkowie i babcie – odparł Lewis.

– Nie? – Ella zapytała posepnym tonem.

Lewis pokręcił głową.

– A więc od czego? – mówiąc to, pomyślała o tych wszystkich latach, w czasie których powinna była poznać odpowiedź na owo pytanie.

Lewis w zamyśleniu patrzył na sufit.

– Sądzę, że dziadkowie dają bezwarunkową miłość, oparcie i od czasu do czasu zastrzyk gotówki. Miejsce, gdzie wnuki zawsze mogą przyjść, jeśli tego właśnie potrzebują. I nie mówią im, co powinni zrobić, bo to aż w nadmiarze otrzymują od rodziców. Pozwalają wnukom samym rozwiązywać swoje problemy.

Ella zamknęła oczy.

– Zastanawiam się, czy Rose mnie nienawidzi – powiedziała tak cicho, że Lewis prawie jej nie usłyszał. Nie mówiła o tym ani jemu, ani Maggie, ani nikomu innemu, ale gdy pierwszy raz zobaczyła Rose, poczuła radość, a zarazem przerażenie, bo jakaś jej część wciąż czekała na tę chwilę, gdy Rose zacznie zadawać pytania, na które Ella nie potrafiłaby odpowiedzieć.

– Jak ktokolwiek mógłby cię nienawidzić? – zapytał łagodnie Lewis.

– Za bardzo się martwisz. To mądre dziewczyny. Nie będą winić cię za grzechy, których nie popełniłaś, ani oczekiwać, że rozwiążesz za nie ich problemy. Nikt nie może tego oczekiwać.

– A jednak mimo to chcę spróbować. Czy to znaczy, że jestem zła?

Lewis uśmiechnął się do niej i wziął ją za rękę.

– Nie – powiedział – To sprawia tylko, że jeszcze bardziej cię kocham.

TTLR

Jak się okazało następnego ranka, zasadniczy kłopot z zakupem sukni ślubnej wprost z wieszaka polegał na tym, że sukienki sprzedawano tylko w dwóch rozmiarach, z których żaden nie był rozmiarem Rose.

– Wzory fasonów są tylko takie – wyjaśniła znudzona ekspedientka, gdy Maggie chciała zobaczyć coś większego niż rozmiar trzydzieści osiem lub czterdzieści. – Przymierza pani, wybiera i wtedy zamawiamy właściwy rozmiar.

– A co, jeśli żadna z nich nie pasuje? – zapytała Maggie.

– Spinamy szpilkami, jeśli są zbyt duże – otrzymała odpowiedź.

– A jeśli są za małe? – zapytała ponownie, przeglądając sukienki na wieszaku i wiedząc z całą pewnością, że Rose absolutnie nie wejdzie w żadną z nich. Ekspedientka wzruszyła ramionami i nabazgrała na kartce nazwę i adres.

– Proszę spróbować tam, być może mają większe rozmiary – powiedziała.

Pod kolejnym adresem – w jednym z wielu punktów sieci specjalizującej się w sprzedaży sukni ślubnych – rzeczywiście były większe sukienki. Znalazła je w dziale, który z fałszywą skromnością nazwano Diva.

– Czy w cenę są wliczone dodatki? – dociekała Ella. Co do tego Maggie nie była pewna, ale wiedziała, że sukienki są okropne.

– A co myślisz o tej? – zapytała Ella, pokazując Maggie którąś z rzędu suknię o linii A z podwyższoną talią. W okolicach biustu miała bukietki jedwabnych kwiatusków.

– Całkiem niezła – skwitowała Maggie – taka poprawna, wiesz? Ale ja chcę znaleźć coś doskonałego i nie jestem pewna, czy to właściwe

miejsce. – Westchnęła, opierając się o szklaną gablotę, w której prezentowały się przecenione podwiązki. – Nie jestem nawet pewna, co byłoby doskonale. Czuję, że będę wiedzieć, gdy już to zobaczę, ale teraz nie jestem pewna, czy w ogóle mi się to uda.

– Hmmm, co lubi Rose? – zapytała Ella.

– Rose nie wie sama, co lubi – odparta Maggie. – Jej ulubioną rzeczą była niebieska bluza z kapturem zapinana z przodu na zamek błyskawiczny. – Znowu westchnęła. – Chyba będę musiała porozmawiać z jakimś krawcem. Może nam się uda... – rozejrzała się po sklepie. – Ale nie tutaj. Gdzie Lewis?

Lewis, jak się okazało, w przymierzalni oferował pomocne uwagi na temat sukien ślubnych ich przyszłym właścicielkom.

– Nie wiem – mówiła drobna rudowłosa w sukni przypominającej nadmuchaną bezę – myśli pan, że nie przytłacza mnie zbyt?

Lewis przyjrzał się jej uważnie.

– Przymierz jeszcze raz trzecią i tę z wyciętymi plecami – poradził. – To wciąż moja faworytka.

Murzynka z koralikami i muszelkami wplecionymi we włosy poklepała Lewisa po ramieniu i obróciła się dookoła własnej osi.

– O tak, zdecydowanie tak – Lewis z uznaniem pokiwał głową.

– Lewis! – zawołała Maggie. – Wychodzimy!

Do ich uszu doszedł chór niezadowolonych głosów wydobywający się z sześciu kabin w przymierzalni.

– Nie! Jeszcze nie! Jeszcze jedna sukienka!.

Lewis uśmiechnął się.

– Wygląda na to, że mam talent. Maggie, może mnie zatrudnisz jako pomoc.

– Załatwione – powiedziała Maggie. – Ale do wyjazdu Rose zostały dwa dni, a sukni jak nie było, tak nie ma Więc do roboty. Chodźmy!

Tego dnia wieczorem Maggie i Ella razem wracały do Golden Acres. Powietrze było lepkie i wilgotne, brzęczące od cykad i przepełnione rozczarowaniem. Sukienka, którą pojechały zobaczyć, okazała się katastrofą – zbyt błyszcząca mieszanka satyny i poliestru, zbyt duży dekolt w kształcie serca, brzeg spódnicy obszyty koralikami, ale tak luźno, że kilka z nich potoczyło się po podróbce linoleum, wyłożonym w kuchni kobiety, która chciała ją sprzedać. Gdy Maggie powiedziała, że to niedokładnie to, czego szukają, kobieta stwierdziła, że zrobią jej przysługę, jeśli ją po prostu zabiorą.

– To była pani sukienka? – zapytała Maggie.

– Miała być – odpowiedziała kobieta.

I tak wracały do domu z sukienką kołyszącą się jak duch na wieszaku nad tylnym siedzeniem, a Maggie była nieźle wkurzona i zaczynała wpadać w panikę.

– Co ja teraz zrobię? – zamartwiała się.

I była zaskoczona, gdy Ella udzieliła jej odpowiedzi.

– Wiesz, co myślę? Myślę, że mamy do czynienia z sytuacją, gdzie liczy się intencja.

– I co, Rose ma iść do kościoła w intencji? – zdenerwowała się Maggie.

– Oczywiście, że nie, ale sam fakt, że to robisz i tak bardzo się starasz, pokazuje, jak bardzo ją kochasz.

– Tylko że ona nie wie, że to robię – odpowiedziała Maggie. – A ja naprawdę chcę dla niej coś znaleźć. To ważne. Bardzo.

– Ale przecież nie musisz kupić tej sukienki przed jej wyjazdem.



Masz pięć miesięcy. Zawsze możesz znaleźć coś odpowiedniego i zamówić. Albo uszyć.

– Nie umiem szyć.

– Ty nie umiesz – odparła Ella. – Ale ja tak. To znaczy, umiałam. Minęło już sporo czasu, ale kiedyś szyłam wszystko. Obrusy, zasłonki, sukienki dla twojej mamy, gdy była mała...

– Ale suknia ślubna... To chyba trudne?

– Nawet bardzo trudne – potwierdziła Ella. – Ale możemy to zrobić razem, gdy już zdecydujesz, co to ma być.

– Myślę, że już wiem – ucieszyła się Maggie.

Rzeczywiście, po obejrzeniu około stu modeli w sklepach i następnych pięciuset na zdjęciach, wiedziała mniej więcej, co powinna włożyć Rose. Widziała tę sukienkę w wyobraźni, ale na razie nigdzie więcej jej nie dostrzegła. Typowa suknia balowa, myślała, ponieważ Rose była wystarczająco kształtna i miała na tyle talii, że powinna wyglądać w czymś takim dobrze. I może okrągły dekolt, ale niezbyt głęboki, i rząd paciorków albo perełek wzdłuż krawędzi, nic zbyt krzykliwego i z pewnością nic swędzącego. Najlepsze będą rękawy trzy czwarte, zdecydowanie lepsze niż krótkie, które kojarzą się z matroną, i na pewno nie bez rękawów, bo nic takiego Rose by nie włożyła. I pełna spódnica, jak u księżniczki z bajki, która kojarzyć się będzie Rose z Glindą – dobrą wróżką z *Czarodzieja z krainy Oz*, ale, oczywiście, nie aż tak teatralnie kostiumowa, i koniecznie tren, niezbyt długi.

– I myślę, że Rose mi zaufa.

Co niezupełnie było prawdą, przyznała Maggie sama przed sobą. Miała po prostu nadzieję, że Rose jej zaufa. Miała nadzieję. Prowadziła, a przed oczami miała suknię ślubną dla Rose.

– Gdy szyjesz – zapytała Elle – musisz mieć dokładny wykroj tego, co chcesz zrobić?

– Tak to zazwyczaj wygląda.

– A co, jeśli chcesz uszyć coś innego niż wszystkie istniejące wykroje?

– Hmm – Ella postukała opuszką palca w dolną wargę. – No, więc, myślę, że spróbowałabym znaleźć poszczególne części wykroju i połączyć je. To delikatna sprawa. I droga, jeśli wziąć pod uwagę te kilometry materiałów.

– Jakież kilkaset dolarów? – zapytała Maggie słabym głosem.

– Sądzę, że więcej – powiedziała Ella. – Ale mam trochę pieniędzy.

– Nie! – zareagowała żywo Maggie. – Nie, ja chcę za nią zapłacić! Chcę, żeby była ode mnie.

Jechała teraz przez gęsty mrok, słysząc w dali odgłosy burzy, przygotowującej się do obdarowania Florydy wieczornym deszczem. Brak pewności siebie i poczucie zagubienia, które odczuwała tak często, wszystkie drwiny, które pamiętała ze szkoły średniej; każdy szef, który ją wylał i właściciele domów, z których ją eksmitowano, i każdy jej chłopak, który nazwał ją idiotką – wszystko to stanęło jej nagle przed oczami. Wszyscy oni mówili: Nie potrafisz. Jesteś głupia. Źle to robisz. Nigdy nie dasz sobie rady, nie uda ci się.

Zacisnęła ręce na kierownicy. Ale przecież potrafię! – pomyślała. Przypomniała sobie te popołudnia, gdy rozwieszała swoje ulotki w Golden Acres, zawierające rysunek sukienki na wieszaku i słowa: TO, CO LUBISZ oraz: MAGGIE FELLER, ZAKUPY NA ZAMÓWIENIE, i telefon, który potem dzwonił nieustannie przez dwa tygodnie, tak że w końcu musiała zainstalować osobną linię. Przypomniała sobie, jak Jack pomagał jej z

księgowością, jak wyjaśniał jej raz po razie jedno i to samo, nie tracąc przy tym cierpliwości i tłumacząc, że jeśli chce zaoszczędzić na własny sklep, powinna wyobrazić sobie, że jej pieniądze to tort, którego lwią część musi zjeść, żeby przeżyć – to są pieniądze na czynsz, jedzenie, benzynę i tym podobne – ale jeśli uda jej się co miesiąc odłożyć mały kawałek, nawet najcieńszy kawałeczek tortu, jaki da się ukroić, wtedy po jakimś czasie („Nie tak szybko – ostrzegał – ale za jakiś czas”) wystarczy jej na większe rzeczy, o których marzy. Jeszcze raz spojrzała w wyobraźni na cyfry i odkroiła spory kawałek na suknię Rose.

Pomyślała też o małym, pustym lokalu, który zauważyła niedaleko sklepu z bajglami. Stał nieużywany od trzech miesięcy, ze słodką markizą w zielono– białe pasy i szybą wystawową upstrzoną przez muchy. Przypomniała sobie, jak przechodziła obok niego w czasie przerwy i fantazjowała, że myje szybę, aż lśni, maluje ściany kremową farbą i adaptuje tylną część na kabiny przedzielone eleganckimi, białymi zasłonkami. W każdej przebieralni stałaby wyściełana ławeczka, tak że klientki mogłyby usiąść; powiesiłaby też półkę, gdzie można położyć torebkę i znalazłaby stare lustro na wyprzedażach, a każda cena byłaby okrągłą liczbą, w którą wliczony byłby już podatek. To nie filmowy Hollywood, co prawda, ale za to coś, w czym jest dobra. Najlepsza. Coś, co lubi najbardziej. I jak na razie, szło jej całkiem nieźle, co oznacza, że może jej się powieść i z tym. Nie upadnie, nie podda się i nie będzie potrzebowała pomocy. Wręcz przeciwnie, to ona będzie spieszyć na ratunek.

– Spróbujemy? – zapytała w końcu. Sukienka na tylnym siedzeniu zakołysała się delikatnie tam i z powrotem, jakby tańczyła.

– Tak – odparła Ella. – Tak, kochanie. Oczywiście, że spróbujemy.

– Stein i Spółka, przy telefonie Simon.

– Czy oni wiedzą, że w ten sposób odbierasz telefony? – zapytała Rose, przewracając się na łóżku. Była dziesiąta rano. Ella poszła do szpitala kołysać uzależnione od kokainy niemowlaki, a Maggie udała się na jedną ze swoich tajnych misji, co oznaczało, że Rose ma dla siebie wszystkie cztery pokoje.

– Wiedziałem, że to ty. Identyfikacja numeru – wyznał Simon. – Co słychać? Odpoczywasz?

– Coś w tym rodzaju – odparła Rose.

– Słońce i piasek, tęczowe drinki i od czasu do czasu plażowy podrywacz?

Rose westchnęła. Simon jak zwykle przekomarzał się z nią i jak zwykle był zabawny, ale ton jego głosu nie brzmiał jeszcze normalnie. Jim, pomyślała Rose. I cała ta sprawa z tajemniczą babcią oraz, w efekcie, nagły wyjazd na Florydę. Będzie musiała niedługo wracać i wyprostować to wszystko.

– Jedyni plażowi podrywacze mają po osiemdziesiąt lat i chodzą o lasce.

– Uważaj na nich! To właśnie starsi panowie potrafią czasem zaskakiwać jak nikt inny. Wszystko w porządku u ciebie?

– W porządku. U Elli też. A Maggie... – Rose zmarszczyła brwi. Maggie się zmieniła, ale Rose nie była pewna, czy ma w to wierzyć. Wyszła z łóżka i razem z telefonem przeszła do salonu. – Maggie jest teraz biznesmenką – powiedziała. – Kupuje ludziom ubrania na zamówienie, co wydaje się dość sensowne. Ma naprawdę dobry gust, zna się na tym. Zawsze

wie, w co się ubrać i co będzie komu pasowało. Wielu tutejszych mieszkańców nie może już prowadzić samochodu, a tym, którzy mogą, same zakupy dają się nieźle we znaki.

– Mnie też zakupy dają się nieźle we znaki! To genetyczne. Ostatnio, gdy mama wybrała się do Franklin Mills, to wezwała policję, bo myślała, że ukradli jej samochód. Tymczasem zwyczajnie zapomniała, gdzie go zaparkowała.

– Ufff – westchnęła Rose. – Więc to dlatego wpakowała na tylne siedzenie te wszystkie pluszaki i przywiązała wstążki do anteny?

– Nie, po prostu lubi wstążki. I pluszaki. – Nastąpiła chwila ciszy. – Wiesz, gdy tak odjechałaś, byłem na ciebie trochę zły.

– Chodzi ci o Jima Danversa? – Rose z trudem przełknęła ślinę, choć przecież tego właśnie się spodziewała.

– Mhm – mruknął Simon. – Właśnie. Nie chodzi mi o to, że to się zdarzyło. Po prostu chciałbym czuć, że możesz mi powiedzieć różne rzeczy. Że możesz mi powiedzieć wszystko. Będę twoim mężem. Chcę być dla ciebie oparciem. Chcę, żebyś się ze mną pożegnała, zanim gdzieś wyjedziesz. Gdy wróciłem do domu, a ciebie nie było...

Rose zamknęła oczy. Też pamiętała to uczucie. Wchodzisz do pustego domu i okazuje się, że osoba, którą kochasz, zniknęła bez słowa.

– Przepraszam – powiedziała Rose. – Spróbuję.

Przełknęła ślinę i podeszła do półki z książkami, na której stały zdjęcia jej, Maggie i ich matki w białej, ślubnej sukience, z uśmiechem, który mówił, że ma przed sobą całe życie i że będzie to życie wypełnione szczęściem.

– Przepraszam, że tak wyjechałam i że nie powiedziałam ci o Jimie. Nie powinienesz był dowiedzieć się w taki sposób.

– Pewnie nie. Ale nie powinienem cię tak ostro potraktować. Wiem, jak bardzo się denerwujesz tym całym zamieszaniem z weselem.

– No, wiesz, z nas dwojga to ja mam na to czas.

– No, właśnie, a propos – napomknął Simon. – Miałaś telefon od łowcy głów.

Puls jej przyspieszył. Gdy pracowała u Lewisa, Dommela i Fenicka takie telefony odbierała kilka razy w tygodniu. Ludzie, którzy natknęli się na jej życiorys na którejś ze stron branżowych, dzwonili proponując wskoczenie do innej firmy, w której zapewne dzień pracy okazałby się jeszcze dłuższy. Ale odkąd przestała pracować, telefon zamilkł.

– Ktoś ze Stowarzyszenia Alternatywy Kobiet.

– Naprawdę? – Rose starała się przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek o nich słyszała i co robili. – Skąd wzięli moje nazwisko?

– Potrzebują prawnika do spraw pracowniczych – Simon zrobił wyraźny unik, z czego Rose wywnioskowała, że to on do nich dzwonił.

– Zapewniają pomoc prawną kobietom o niskich dochodach. Przyznanie opieki nad dziećmi, zasiłki, odwiedziny, tego typu sprawy. Wygląda na to, że sporo czasu spędzisz w sądzie, pieniądze prawdopodobnie niespecjalne, bo na początek to tylko pół etatu, ale pomyślałem, że może być ciekawe – przerwał. – Oczywiście, jeśli jeszcze nie jesteś gotowa...

– Nie! Nie! – Rose starała się nie krzyknąć, choć chyba jej się to nie udało. – Brzmi... To znaczy, jestem bardzo... Zostawili numer?

– Tak – powiedział Simon. – Ale powiedziałem im, że jesteś na urlopie, więc nie ma pośpiechu. Używaj życia! Załóż kostium i idź przyprawić jakiegoś staruszka o zawał.

– Najpierw muszę zadzwonić do Amy. Zostawia mi wiadomości codziennie, odkąd tu jestem, i jakoś nie możemy na siebie trafić.

– A, Amy X.

Rose roześmiała się.

– Wiesz, że nazywała się tak w college'u tylko przez trzy tygodnie

– Myślałem, że w college'u występowała pod imieniem Ashante.

– Nie, to było w liceum – Rose przypomniała sobie, jak jej najlepsza przyjaciółka ogłosiła swoje „niewolnicze imię” w połowie zajęć z historii USA prowadzonych przez pana Hallecka.

– Przekaż jej moje najserdeczniejsze pozdrowienia – polecił Simon.

– Które zapewne i tak nie będą dla niej dość dobre.

– Amy cię lubi.

– Amy uważa, że nikt nie jest dość dobry dla ciebie – stwierdził Simon. – I ma rację, ale ja nie jestem taki zły, ogólnie rzecz biorąc.

I wiesz co?

– Co?

Simon zniżył głos do szeptu.

– Bardzo cię kocham, moja przyszła żono.

– Ja też cię kocham – powiedziała Rose. Odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się i wyobraziła sobie Simona przy jego zabałaganionym biurku, po czym wykręciła numer przyjaciółki.

– Dziewczyno! – zawołała Amy – Opowiadaj! Jak tam babcia? Lubisz ją?

– Tak – odpowiedziała Rose zaskakując samą siebie. – Jest bystra, miła i... szczęśliwa. Myślę, że przez długi czas była rzeczywiście smutna i że teraz jest szczęśliwa, gdy Maggie i ja jesteśmy tutaj. Jedyny minus to to, że bez przerwy się we mnie wpatruje.

– Czemu?

– No, wiesz. Nie widziała, jak dorastamy. Powiedziałam jej, że

niewiele straciła.

– *Au cointraire*, siostró. Straciła wszystkie twoje wygrane konkursy matematyczne. I twoje wystąpienie w roli Vulcana na trzech kolejnych paradach w Halloween...

Rose skrzywiła się.

– Straciła nasz widok w getrach i postrzępionych bluzach – ciągnęła Amy ze śmiechem. – OK, zgoda, też wolałabym to przegapić.

– Byłyśmy modne!

– Raczej żałosne – poprawiła ją Amy. – Pozwól mi porozmawiać z twoją babcią! Mam w zanadrzu kilka historii, które ją zaciekawia!

– Zapomnij! – pogroziła Rose..

– No, to powiedz mi coś innego... Czy Maggie będzie na weselu?

– Tak sędę.

– Zastąpi mnie? – domagała się Amy.

– Oczywiście, że nie – zapewniła Rose. – Twoja kokarda jest bezpieczna.

– W porządku – uspokoiła się Amy – Idź i wypij pinacoladę za moje zdrowie.

– A ty idź dbać o czystość naszej wody pitnej – odrzekła Rose.

Odłożyła słuchawkę i pomyślała o czekającym ją dniu. Żadnych psów, które trzeba by wyprowadzić, brak kryzysu weselno– ślubnego, z którym należałoby się uporać. Przeszła do salonu babci i wzięła ze stolika album leżący na samym wierzchu całej ich sterty. „Caroline i Rose” głosił napis na okładce. Otworzyła album i oto ona, w pierwszym dniu życia, owinięta w biały kocyk. Miała zaciśnięte powieki, a jej mama, patrząc w obiektyw aparatu, uśmiechała się niepewnie.

„Boże – pomyślała Rose, – była taka młoda!” Odwracała kolejne



strony Niemowlę; raczkujący berbec; na rowerku z dodatkowymi kółkami, za nią mama z wózkiem, w którym maleńka Maggie jedzie jak Kleoptara w swojej barce. Rose uśmiechała się, odwracając powoli strony albumu i obserwując, jak upływały lata, a ona i jej siostra stawały się coraz starsze.

TTLR

Maggie oparła się wygodnie na swoim krześle, gestem rasowej biznesmenki poprawiła kucyk i skinęła.

– OK – ogłosiła. – Myślę, że to jest to.

Skinieniem przywołała Ellę i Dorę do swojego stolika z tyłu sklepu z materiałami.

– Ta spódnica – powiedziała pokazując im model. – I ta góra – ostrożnie położyła drugi model na pierwszym. – Oraz te rękawy – zaprezentowała kolejny model – ale długość tylko trzy czwarte.

– Uszyjemy ją najpierw z muślinu – zaproponowała Ella. – Nie będziemy się spieszyć. Będzie dobrze – zebrała wszystkie trzy modele. – Zaczniemy jutro od samego rana i zobaczymy, co się da zrobić.

Maggie wyprostowała się i uśmiechnęła z dumą.

– Będzie świetna – powiedziała.

Tego wieczora Maggie wróciła z pracy w sklepie, zatrzymując się po drodze, by oddać trzy z odrzuconych przez panią Gantz kostiumów kąpielowych, i zobaczyła bagaże swojej siostry ułożone równiutko przy drzwiach. Serce jej zamarło. Nie udało się. Rose wyjeżdża i nie wie nawet, jak bardzo Maggie starała się znaleźć dla niej sukienkę. Nie wie, jak bardzo było jej przykro i jak żałowała tego, co się kiedyś stało. Siostra nadal prawie z nią nie rozmawiała, prawie na nią nie patrzyła. Totalne fiasko.

Poszła do ich wspólnej sypialni słysząc, że głosy dochodzą z werandy.

– Zazwyczaj zakładasz, że z małymi psami pójdzie łatwiej – mówiła Rose. – Ale tak naprawdę to z nich właśnie największe uparciuchy i w dodatku najgłośniej szczekają.

– Miałyście kiedyś psa?

– Przez jeden dzień – powiedziała Rose. – Raz.

Maggie poszła do kuchni, myśląc sobie, że przygotuje siostrze kolację – to przynajmniej będzie coś; mały, ale znaczący gest, uczynek, który pokaże Rose, że Maggie na niej zależy. Wyciągnęła z lodówki kawałki miecznika, pokroiła czerwone cebule, awokado i miniaturowe pomidorki na sałatkę. Koszyk z bułeczkami postawiła tuż obok talerza Rose. Rose uśmiechnęła się później na ich widok.

– Węglowodany!

– Specjalnie dla ciebie – powiedziała Maggie i podała siostrze masło.

Ella obserwowała je z zaciekawieniem.

– Moja macocha – zaczęła Rose z pełną buzią. Przełknęła. – Sydelle... Sydelle nienawidzi węglowodanów.

– Oprócz okresów, gdy przechodzi na dietę ziemniaczaną – uzupełniła Maggie.

– Zgadza się – Rose przytaknęła siostrze. – Wtedy nienawidzi czerwonego mięsa. Ale niezależnie od wybranej diety, nigdy nie pozwalała mi jeść chleba.

Maggie zabrała koszyk i rozszerzyła nozdrza najbardziej jak mogła.

– Rose, zrujnujesz cały swój apetyt! – naśladowała piskliwy głos Sydelle.

Rose pokręciła głową.

– Jakby to w ogóle było możliwe.

Maggie dosunęła krzesło i zaczęła swoją sałatkę. – Pamiętasz podróżującego indyka?

Rose zamknęła oczy i skinęła.

– Jak mogłabym zapomnieć?

– Co to takiego, ten podróżujący indyk? – zapytała Ella.

– No, więc... – zaczęła Rose.

– To był jeden z... – jednocześnie odezwała się Maggie.

Siostry uśmiechnęły się do siebie.

– Ty opowiedz – zdecydowała Rose.

Maggie skinęła.

– OK. Byłyśmy obydwie w domu, bo trwały wakacje, a Sydelle była na diecie.

– Jednej z wielu – dopowiedziała Rose.

– Co jest, kto opowiada?! – zdenerwowała się Maggie. – No, więc, przychodzimy do domu i co mamy na kolację? Indyka.

– Indyka bez skórki – dodała Rose.

– Po prostu indyka – kontynuowała Maggie. – Bez ziemniaków. Bez nadzienia. Bez sosu.,.

– Boże uchroni! – wtrąciła Rose.

– Po prostu był indyk. Następnego dnia na śniadanie mieliśmy jajka w koszulkach, nadchodzi pora lunchu i oto pojawia się indyk. Ten sam indyk.

– To był – odezwała się ponownie Rose – bardzo duży indyk.

– Mieliśmy go jeszcze na kolację tego dnia. I na lunch nazajutrz. A wieczorem szliśmy na kolację do jednej ze znajomych Sydelle i byłyśmy takie podniecone, bo sądziłyśmy, że w końcu zjemy coś, co nie jest indykiem, ale już na miejscu odkryłyśmy, że Sydelle...

– ... zabrała indyka ze sobą! – Rose i Maggie zakończyły opowieść razem.

– Okazało się – wyjaśniła Rose smarując bułkę masłem – że jej znajoma była na tej samej diecie.

– Wszyscy zjedliśmy indyka – powiedziała Maggie.

– Podróżującego indyka – dorzuciła Rose.

I Ella oparła się o swoje krzesło odczuwając falę ulgi przenikającą jej ciało, gdy wnuczki zaczęły się śmiać.

Tej nocy po raz ostatni Maggie i Rose leżały obok siebie na cienkim materacu rozkładanej kanapy, słuchając rechotu żab i delikatnego szelestu drzew palmowych poruszanych ciepłym wiatrem oraz rozlegającego się od czasu do czasu pisku hamulców, gdy ten czy inny mieszkaniec Golden Acres wracał do domu, niezbyt pewnie czując się za kierownicą swojego samochodu.

– Jestem taka pełna – jęknęła Rose. – Gdzie nauczyłaś się tak gotować?

– Od Elli – powiedziała Maggie. – Smakowało ci, prawda?

– Było pyszne – Rose ziewnęła. – A co z tobą? Chcesz tu zostać?

– Tak. To znaczy, lubię Filadelfię i tak dalej. I czasami myślę jeszcze o Kalifornii. Ale naprawdę podoba mi się tu, wiesz? Chcę rozkręcić moją firmę. I jestem potrzebna Elli.

– Do czego?

– No, dobra, może nie jestem jej potrzebna – zgodziła się Maggie. – Ale wydaje mi się, że lubi mieć mnie w pobliżu. I ja też lubię tu być. To znaczy nie tutaj – powiedziała wskazując pokój, budynek i ogólnie osiedle dla emerytów o nazwie Golden Acres – ale w ogóle na Florydzie. Każdy tu jest przybyszem, zauważyłaś?

– Mniej więcej.

– I bardzo dobrze, tak sędzę. Jeśli każdy chodził do szkoły gdzie indziej, nie wpadasz ciągle na ludzi, którzy pamiętają cię z liceum albo z college u, i tak dalej. Możesz się zmienić, jeśli tylko zechcesz.

– Zmienić możesz się gdziekolwiek – odparła Rose. – Popatrz na mnie.

Maggie oparła się na łokciu i spojrzała na siostrę, na jej znajomą twarz, włosy rozsypane na poduszce i zobaczyła w niej nie zagrożenie, nie złość i sekutnicę albo osobę, która będzie mówić jej, że robi wszystko źle, ale sprzymierzeńca. Przyjaciela.

Leżały obok siebie i przez chwilę panowała cisza. W swojej sypialni Ella podniosła głowę i wstrzymała oddech nasłuchując.

– Wiesz, mam zamiar to zrobić – powiedziała Maggie. – To Co Lubisz. Pewnego dnia otworzę sklep. Nawet wiem już, gdzie.

– Przyjadę na uroczyste otwarcie – zapowiedziała Rose.

– I chcę ci powiedzieć...

– Że przepraszasz – wyrecytowała Rose. – I że się zmieniłaś.

– Nie! To znaczy tak. To prawda.

– Wiem... Wiem, że to prawda.

– Ale nie to chciałam ci powiedzieć. Chciałam ci powiedzieć, żebyś nie kupowała sukienki.

– Co?

– Nie kupuj sukienki. To będzie prezent ślubny ode mnie.

– Yhm, Maggie... Czy ja wiem?

– Zaufaj mi – Maggie przybrała błagalny ton.

– Chcesz, żebym wyszła za mąż w sukience, której nigdy nie widziałam?

Rose zaśmiała się nerwowo, wyobrażając sobie suknię ślubną w stylu Maggie – wielki dekolt, jeszcze większe rozcięcie, bez rękawów, bez pleców i z falbankami...

– Zaufaj mi – powtórzyła Maggie. – Wiem, co lubisz. Pokażę ci zdjęcia, przyjadę do ciebie raz i drugi, zrobimy kilka przymiarek.

– Zobaczymy...

– Więc dajesz mi szansę? Mogę spróbować? – zapytała Maggie.

Rose westchnęła.

– OK. Spróbuj. Wykończ się sama.

Cisza.

– Kocham cię, wiesz – powiedziała jedna z dziewcząt, a Ella nie była pewna, która. Rose? Maggie?

– Błagam – powiedziała druga siostra. – Nie wpadajmy w sentymentalizm.

Ella w swoim łóżku czekała na więcej, wstrzymując oddech. Ale nic już nie nastąpiło. A kilka godzin później, gdy ostrożnie otworzyła drzwi i weszła do ich pokoju, siostry jeszcze spały, obydwie zwinięte na swoich lewych bokach z lewymi rękami pod policzkami. Pochyliła się, prawie bojąc się oddychać i pocałowała każdą w czoło. „Życzę wam szczęścia – pomyślała. – I miłości. Wszystkiego, o czym marzycie”. I jak najciszej mogła, postawiła na stoliku dwie szklanki wody, każdą z jedną kostką lodu, a potem na palcach wyszła z pokoju.

– Uspokój się! – rozkazała Maggie po raz osiemnasty i pochyliła się nad Rose, która wzdrygnęła się. – Jeśli się nie uspokoisz, nie będę mogła tego zrobić.

– Nie mogę się uspokoić – powiedziała Rose. Miała na sobie gruby, biały, frotowy płaszcz kąpielowy. Jej włosy, dzięki godzinnym staraniom Michaela od Pileggiego, upięte zostały w misterną fryzurę składającą się z loków, wsuwek do włosów i maleńkich, białych kwiatuszków. Podkład miała już nałożony, usta pomalowane. Amy, olśniewająca w swojej prostej, granatowej tunice, którą ozdobiła kokardą wielkości poszewki na poduszkę, biegła wokół w poszukiwaniu ludzi z firmy cateringowej i półmiska z kanapkami, który obiecali przynieść, a Maggie próbowała aktualnie, bez skutku, podkręcić rzęsy swojej siostry.

– Dzień dobry! – Michael Feller, również olśniewający w swoim nowym smokingu, z rzadkimi włosami pomysłowo zaczesanymi na sporej łysinie, wetknął głowę przez drzwi. – Wszystko w porządku? – Podskoczył na widok Maggie manewrującej zalotką i ostatecznie lokującej ją we właściwym miejscu. – Co to jest? – zapytał przerażony.

– Zalotka – powiedziała Maggie. – Rose, nic ci nie zrobię. Teraz popatrz prosto na mnie... Nie ruszaj głową... O! Mam!

– Yyy – jęknęła Rose, wykrzywiając się na tyle, na ile pozwalały jej naciągnięte rzęsy, unieruchomione pomiędzy metalowymi szczypcami.

– Au... Boli...

– Zostaw siostrę w spokoju – powiedział stanowczo Michael Feller.

– To... nie... bo... li... – sylabizowała Maggie kończąc podkręcanie.

– O! Super! Teraz jeszcze druga!



– Boże, ratuj – westchnęła Rose i spojrzała na swoje stopy.

Wyglądały ładnie, musiała to przyznać; początkowo miała mieszane odczucia co do pedikiur.

– Nie jestem osobą tego typu – mówiła. Ale Maggie, która stała się niezmiernie apodyktyczna, odkąd To Co Lubisz zostało opisane w Fort Lauderdale Sun– Sentinel, nie przyjęła tej odpowiedzi do wiadomości.

– Przecież nikt nie będzie oglądał moich stóp – protestowała Rose, a Maggie odparła, że Simon będzie oglądał jej stopy, nieprawdaż?

I Rose poddała się.

Maggie manewrowała zalotką w kierunku Rzęs Oka Numer Dwa, podkreśliła je ostrożnie i cofnęła się o krok, żeby ocenić efekt.

– Widziałaś mojego partnera? – zapytała. – To znaczy, wiem, że to twój dzień i tak dalej, ale...

I zamilkła patrząc na siostrę.

– Maggie! – wykrzyknęła Rose. – Jestem prawie pewna, że się czerwienisz!

– Nie wydaje mi się. Po prostu wiem, że to dla faceta krępujące, zaproszenie go od razu na ślub...

– Mam wrażenie, że Charles czuje się tu dobrze – zauważyła Rose. Tak naprawdę Charles wydawał się prawie doskonały; facet, o jakim Rose zawsze marzyła dla Maggie i wierzyła, że pojawi się na horyzoncie, gdy tylko ta skończy z pseudopracującymi gitarzystami basowymi– ukośnik– barmanami tego świata. Był młodszy od Maggie, która poznała go w Princeton, ale poza tym niewiele o nim mówiła.

– I zwariował na twoim punkcie.

– Tak myślisz?

– Zdecydowanie – zapewniła Rose w momencie, gdy nadeszła Amy,

wymachując nad głową półmiskiem z kanapkami. Maggie dała nura za drzwi.

– Znalazłam jedzenie – ogłosiła Amy.

– Gdzie? – zapytała Rose, machając do ojca, który wychodził.

– Pod czujnym okiem Sydelle, a gdzieżby? – Amy opakowała w serwetkę połowę kanapki z indykiem i podała całość Rose. – Zdrapywała majonez z chleba. A Moja Marcia pytała rabina, czy może odmówić Modlitwę Pańską.

– Żartujesz?

Amy kiwnęła głową. Rose ugryzła kanapkę i zaraz ją odłożyła.

– Nie mogę. Nerwy – wyjaśniła, gdy Maggie zjawiała się na powrót w pokoju niosąc wielki, niewyraźnie przypominający kształtem suknię toból w pokrowcu z białego plastiku.

– Gotowa na spotkanie z sukienką, Kopciuszku?

Rose przełknęła z trudem i skinęła. Wewnętrznie przeżywała agonię. A jeśli suknia nie będzie dobra? Wyobrażała sobie, jak idzie wzdłuż nawy w tu i ówdzie rozprutej sukience, ciągnąc za sobą zwisające nitki. O Boże, pomyślała. Czy naprawdę była na tyle głupia, żeby Maggie na to pozwolić?

– Zamknij oczy – powiedziała Maggie.

– Nie!

– Proszę...

Rose westchnęła i przymknęła oczy. Maggie sięgnęła do pokrowca, delikatnie rozsunęła zamek i ściągnęła sukienkę z wieszaka.

– Ta da! – zaintonowała i zakręciła suknią w powietrzu.

Początkowo Rose widziała tylko spódnicę – mnóstwo warstw tiulu. Potem, gdy Maggie podniosła sukienkę do góry, zobaczyła, jaka jest piękna – kremowa, satynowa góra nakrapiana maleńkimi perłami, dopasowane

rękawy, dekolt, jak zauważyła, w sam raz. Tak jak obiecała, Maggie przysłała zdjęcia i przyleciała do Filadelfii na przymiarke. Ale produkt końcowy przerastał wszelkie wyobrażenia i nadzieje Rose.

– Ile czasu wam to zabrało? – zapytała Rose, wchodząc w środek spódnicy.

– Już ty się tym nie martw – odparła Maggie, zapinając dziesiątki guzików, które ręcznie przyszyła wzdłuż pleców.

– I ile kosztowała?

– O to też się nie kłopotz. To prezent od nas – Maggie poprawiła dekolt i odwróciła siostrę do lustra.

– Och! – wykrztusiła Rose, patrząc na swoje odbicie – Och, Maggie!

I wtedy przyszła Amy trzymając w dłoniach bukiet z różowych róż i białych lilii, a rabin wetknął głowę przez drzwi, uśmiechając się do Rose i mówiąc, że już czas. Za nim weszła Ella z przekrzywionym bukietem przy sukience i pudełkiem z butami w rękach.

– Wyglądasz pięknie – powiedziały Ella i Maggie dokładnie w tej samej chwili, a Rose wpatrywała się wciąż w lustro, wiedząc, że jest to ta właśnie sukienka, którą powinna mieć dziś na sobie; wiedząc, że nigdy nie wyglądała piękniej i szczęśliwiej niż w tym właśnie momencie, z siostrą po prawej i babcią po swojej lewej stronie.

– Proszę – powiedziała Ella otwierając pudełko. – Są dla ciebie.

– Ale mam już buty... – Rose spojrzała i zobaczyła buty wprost doskonale – satyna w kolorze kości słoniowej, niskie obcasy, wyszywane taką samą nitką jak sukienka. – O, Boże. Są śliczne. Skąd je wzięłaś? Patrzyła na Ellę i próbowała odgadnąć. – Należały do mamy?

– Nie – odparła Ella. – To moje buty – Wytarła oczy chusteczką.

– Wiem, że powinnam pożyczyć ci kolczyki, naszyjnik czy coś w tym

rodzaju, jeśli jeszcze nie masz czegoś pożyczonego, ale...

– Są idealne – zawołała Rose wkładając stopy w buty. – I pasują! – dodała.

Ella pokręciła głową, a jej oczy całkiem wypełniły się łzami.

– Wiem – szepnęła w odpowiedzi.

– Nie płacz jeszcze – powiedział Lewis, gdy tym razem jego głowa pojawiła się w drzwiach. – Przecież nawet nie zdążyliśmy zacząć. – Uśmiechnął się do Rose. – Wyglądasz prześlicznie. Myślę, że wszyscy są gotowi, jeśli tylko ty jesteś.

Rose przytuliła Elle, potem siostrę.

– Dziękuję za sukienkę. Jest niewiarygodna. To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam!

– Proszę bardzo – powiedziała Ella.

– To nic takiego – dodała Maggie.

– Wszyscy gotowi? – zapytała Rose, zwracając się do Elli i Maggie, które skinęły potwierdzająco. Kelner otworzył drzwi, goście spojrzeli na Rose i uśmiechnęli się. Błysk lamp aparatów. Pani Lefkowitz pociągnęła nosem. Michael Feller podniósł welon Rose.

– Wyglądasz tak pięknie – szepnął jej do ucha. – Jestem z ciebie taki dumny.

– Kocham cię – powiedziała Rose. Odwróciła się. Na końcu nawy stał Simon i uśmiechał się do niej: niebieskie oczy pełne blasku, jarmułka zatknięta na czubku starannie podciętych loków, rodzice obok niego. Ella chwyciła Maggie za rękę i ścisnęła ją mocno.

– To twoja robota – szepnęła, a Maggie skinęła, uszczęśliwiona.

Obydwie spojrzały na Rose i napotkały jej wzrok. „Kochamy cię”, pomyślała Ella i uśmiechnęła się śląc jej wszelkie najlepsze życzenia i, w tej

właśnie chwili, Rose spojrzała na nie poprzez swój welon i również uśmiechnęła się do nich.

– A teraz – zaintonował rabin – Maggie Feller, siostra panny młodej, przeczyta wiersz.

Maggie czuła unoszące się w powietrzu napięcie. Poprawiła sukienkę (w kolorze szałwi, bez rękawów, bez rozcięcia i bez głębokiego dekoltu, które budziły taki postrach w jej dużej siostrze) i stanęła na przeznaczonym jej miejscu. Była pewna, pomyślała odchrząkując, że Sydelle i ojciec spodziewają się, że wyjedzie z czymś na kształt: „Była raz sobie dziewczynka z Nuntucket”. No, cóż, tym razem czeka ich niespodzianka.

– Czuję się w tej chwili bardzo szczęśliwa, ponieważ wiem, że moja siostra jest szczęśliwa – zaczęła Maggie. – Gdy byłyśmy małe, Rose zawsze się mną opiekowała. Zawsze stawała po mojej stronie i chciała dla mnie jak najlepiej. I jestem dziś szczęśliwa, ponieważ wiem, że Simon robi to samo dla niej, i że Rose zawsze będzie częścią mojego życia, a ja częścią jej życia. Zawsze będziemy się kochać, ponieważ to właśnie robią siostry – Uśmiechnęła się do Rose. – Rose, ten wiersz jest dla ciebie.

Wzięła głęboki oddech i, mimo że ćwiczyła go setki razy w samolocie i dawno już nauczyła się go na pamięć, poczuła treść, jak przechodzi od głowy w dół jej kręgosłupa. Ella uniosła podbródek przybierając wyraz twarzy dokładnie taki, jaki można było od czasu do czasu zobaczyć na twarzy Maggie i Rose, a Charles uśmiechnął się do niej z dumą ze swojego miejsca w jednej z tylnych ławek. Maggie odetchnęła i skinęła w stronę babci. Potem utkwiała oczy w Rose ubranej w swoją cudowną sukienkę, którą razem z Ellą uszyły, i zaczęła:

*Noszę twe serce z sobą (noszę je w moim sercu) nigdy się z nim nie rozstaję*

*(gdzie idę ty idziesz ze mną, cokolwiek robię samotnie jest twoim dziełem, kochanie) i nie*

*znam lęku przed losem (ty jesteś moim losem) nie pragnę piękniejszych światów (ty jesteś mój świat prawdziwy) ty jesteś tym co księżyc od dawien dawna znaczy tobą jest co słońce kiedykolwiek zaśpiewa*

Maggie poczuła, że jej gardło zaciska się jak pięść.

W pierwszym rzędzie Lewis skinął do niej, a Ella uśmiechała się przez łzy. Ojciec popychał okulary do góry i szybkimi ruchami przecierał oczy. Zebrani goście patrzyli na nią wyczekująco. Pod rozpostartą chupą widziała szeroko otwarte oczy Rose i jej drżące usta.

I mogła sobie również wyobrazić mamę, ducha w tylnym rzędzie, jej jaskrawą, czerwoną szminkę i złote kolczyki, jak spogląda na swoje córki i wie, że mimo wszystko, obydwie wyrosły na odważne, mądre i piękne kobiety, które zawsze będą dla siebie siostrami i przyjaciółkami, i że Rose zawsze będzie chciała dla Maggie tego, co dla niej najlepsze, a Maggie zawsze będzie chciała tego, co najlepsze dla Rose. „Oddychaj”, pomyślała Maggie i mówiła dalej:

*Oto jest tajemnica której nie dzielę z nikim (korzeń korzenia zalążek pierwszy zalążka niebo nieba nad drzewem co zwie się życiem; i rośnie wyżej niż dusza zapagnie i umysł zdoła zataić) cud co gwiazdy prowadzi po udzielnych orbitach noszę twe serce z sobą (noszę je w moim sercu)<sup>2</sup>*

Uśmiechnęła się do gości i do siostry, i wydało jej się, że widzi przyszłość – dom i dzieci, które będą mieli Rose i Simon, wakacje, w czasie których odwiedzą ją i Ellę na Florydzie, gdzie popływają razem, Rose, Maggie i Ella oraz dzieci Rose w wielkim, niebieskim basenie pod cudownie jasnymi i gorącymi promieniami słońca, a potem zwiną się razem w kłębek na łóżku Elli, jedno obok drugiego, i zasną, gdy nadejdzie noc.

---

<sup>2</sup> *Noszę twe serce z tobą* E. JE. Cummings w tłumaczeniu Artura Międzyrzeckiego

– E. E. Cummings – powiedziała, świadoma, że udało jej się, że wszystkie oczy zwrócone były na nią, a ona wymówiła doskonale każde słowo; ona, Maggie Feller, wreszcie spisała się na medal.

TTLR

TTLR



## *Podziękowania*

Ta książka nie zaistniałaby bez pomocy i ciężkiej pracy trzech niewiarygodnych kobiet. Moja agentka, boska i wspaniałomyślna Joanna Pulcini, daje mi niegasnące wsparcie i jest błyskotliwym czytelnikiem. Pasja i zaangażowanie Lizy Nelligan (wraz z jej opowieściami o siostrze) pomogły mi bardziej niż mogę to wyrazić. Greer Kessel Hendricks nie tylko wzięła mnie pod swoje skrzydła i zgodziła się wydać moje książki, ale wyznaczyła siebie nieoficjalną królową mojego fanklubu i *de facto* moim osobistym rzecznikiem prasowym. Żaden autor nie mógłby sobie życzyć uważniejszych czytelników i pełniejszych entuzjazmu orędowników. Mam szczęście, że zostałam obdarowana takimi współpracownikami i przyjaciółmi.

Teresa Cavanaugh i Linda Michaels pomogły Rose i Maggie ujrzeć świat. Asystentka Joanny, Anna deVries, i asystentka Greer, Suzanne O'Neill, cudownie radziły sobie z moimi telefonami. Laura Mullen z wydawnictwa Atria nie tylko potrafi czynić cuda, ale jest również jedną z najbardziej opanowanych osób na świecie. Dziękuję im wszystkim.

Podziękowanie wszystkim pisarzom, którym zawdzięczam inspirację i zachętę musiałoby się zakończyć napisaniem kolejnej książki, wspomnę więc chociaż kilkoro z nich: Susan Isaacs, Anna Maxted, Jennifer Cruise, John Searles, Suzanne Finnamore i J. D. Mc Clathy.

Dziękuję wszystkim członkom mojej rodziny, którzy dają mi miłość, wsparcie i dostarczają materiału do pracy. Szczególne podziękowania dla mojej siostry Molly Weiner, zwinnej, brązowej lisicy, za jej wdzięk i pogodę ducha.

Dziękuję przyjaciołom, którzy mi dogadzali, dodawali otuchy, śmiali

się, słuchając fragmentów tej książki i taktownie powstrzymywali od komentarza na temat katastrofalnego stanu mojego domu i higieny osobistej w czasie, gdy tonęłam w korektach; i którzy zgodzili się pożyczyć mi fragmenty swojego życia, a w szczególności Susan Abrams, Lisie Maslankowski, Ginny Durham i Sharon Fenick.

Chcę, żeby cały świat wiedział, że Wendell, Król Wszystkich Psów, wciąż pozostaje moją muzą; a mój mąż, Adam – towarzyszem podróży i w każdym calu fantastycznym facetem.

I w końcu, najważniejsze: jestem bardziej niż wdzięczna wszystkim czytelnikom, którzy przychodzą na spotkania ze mną lub napisali do mnie jak bardzo podobało im się *Kochając Większą Kobietę* i którzy poganiają mnie do pracy nad kolejną książką! Dziękuję za życzliwość i wspaniałomyślność, i za to, że poświęcili swój czas, abym mogła dowiedzieć się, że moje słowa trafiły do nich w najwłaściwszym momencie ich życia i okazały się bardzo ważne. Mam w zanadrzu jeszcze kilka ciekawych opowieści, jeśli tylko chcecie je czytać. Zapraszam na moją stronę internetową [www.jenniferweiner.com](http://www.jenniferweiner.com), odwiedźcie ją i napiszcie słowo lub dwa.

Dziękuję, że czytacie, – Jen